



**JAN KARON**

*ISKRA BOŹA*

## **Iskra boża**

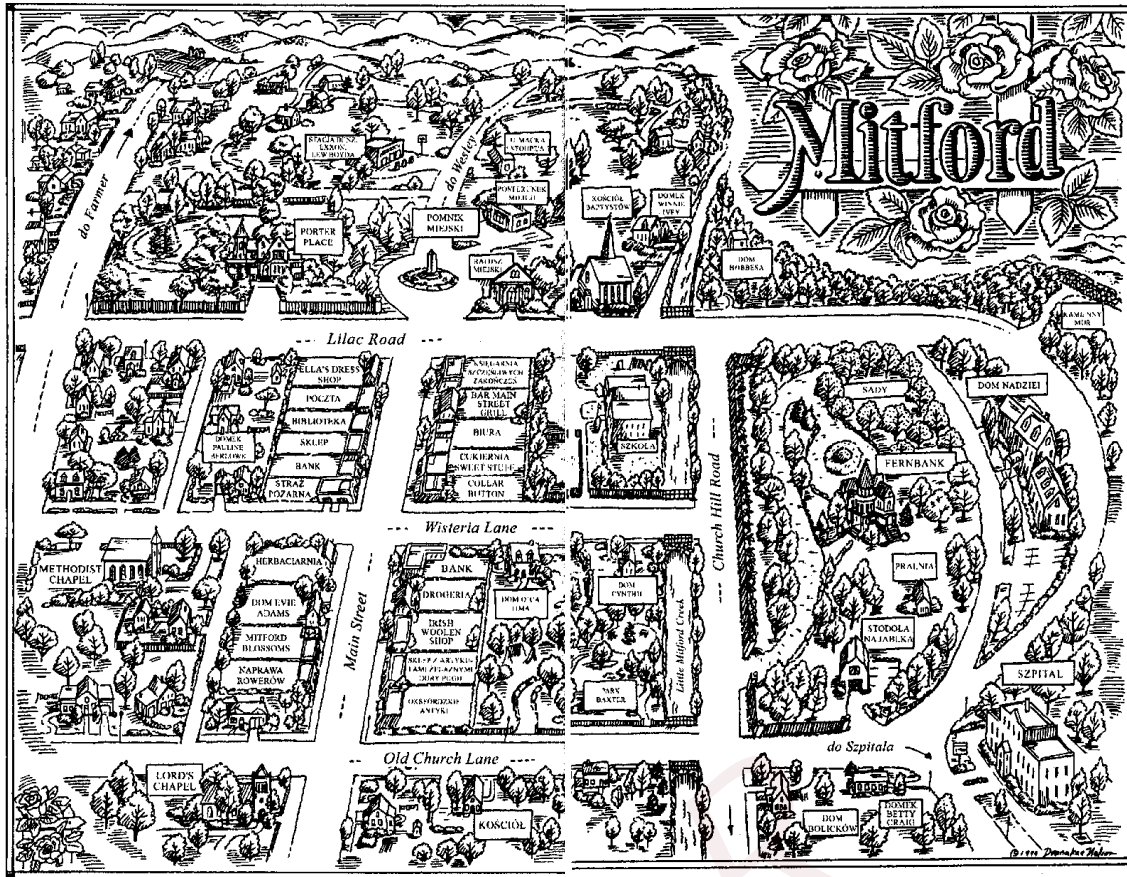
*Jeśli w istocie Twój talent to iskra boża,  
Wtedy, na miarę tej z nieba zesłanej światłości,*

*Twórz, Poeto!*

*U siebie, i rad bądź stałości...*

**William Wordsworth**

TLR



TFL

# Rozdział pierwszy

## *Zimowy eden*

Pierwszy płatek wyładował na krzaku jeżyn w wąwozie strumienia Meadowgate Farm.

W ściętej mrozem godzinie tuż przed świtem pozostałe płatki odcisnęły swój ślad na porośniętym mchem dachu wędzarni, w laurowym gaju przy pastwisku w północno-zachodniej części gospodarstwa i na stylisku motyki opartej o ogrodzenie.

Niedaleko stawu, w zagrodzie dla owiec, kozioł, łania i dwa jelonki stały nieruchomo, podczas gdy sowa zerwała się do lotu z gałęzi na wierzchołku sosny i wzbiła się, cicho i zdecydowanie, na dach stodoły.

Sowa zahukała raz, potem dwa razy.

Jakby wezwany jej aksamitnym krzykiem, platynowy księżyc przedarł się nagle przez chmury nad stawem zmieniając lustro wody w błyszczące jezioro ciekłej masy perłowej.

Później chmury znowu przesłoniły tarczę księżyca, a w głębokiej ciemności płatki śniegu padały gęsto i szybko, wirując niczym w szklanej zabawce.

Było dwanaście po szóstej, gdy szary świt wstał nad grzbietem Hogback Mountain, ukazując ślady opon traktora, łączące stodołę w Meadowgate z pastwiskiem i zagrodą dla owiec. Widoczne też były ślady ciężkich butów i psich łap prowadzące wzdłuż drogi do stodoły i z powrotem do domu. Z komina wydobywał się dym, a w oknach kuchni płonęło światło.

Od tulipanowca w północno-wschodnim rogu po stertę stali na południowym zachodzie, całe pięćdziesiąt hektarów Meadowgate Farm rozciągało się przykryte puszystym kocem marcowego śniegu.

Cynthia Kavanagh stała w ciepłej kuchni domu na farmie w szydełkowym szlafroku i spoglądała na cichy krajobraz.

— I znowu wszystko wydaje się takie niewinne — oceniła. — Zimowy eden.

Przy sosnowym stole ojciec Timothy Kavanagh kartkował swój dziennik z cytatami, aż znalazł odręcznie sporządzony zapis.

— Niewiarygodne. Sypało raz, dwa, trzy, cztery... razem z dzisiejszym dniem pięć razy od wigilii Bożego Narodzenia.

— Śnieg, śnieg i jeszcze więcej śniegu!

— Nie wspominając już o psach, psach i jeszcze większej liczbie psów! Można by pomyśleć, że ktoś podjechał ciężarówką pod nasze drzwi i opróżnił całą pakę psowatych.

Po swoich zwyczajowych porannych igraszkach Barnaba, mieszaniec bouvier i wilczarza i wierny przyjaciel od dziesięciu lat, leżał pogrążony w śnie na chodniku przed paleniskiem; Buckwheat, wiekowy angielski foxhound, oparł się o poręcz sofy; walijski corgi, słusznie nazwany Bodacious\*, chrapał na fotelu z wysokim oparciem, który już dawno zaanektował dla siebie; i Luther, niedawny dodatek do zgrai z Meadowgate, rasy mieszanej, rozłożył się na swoim posłaniu w kącie, brzuchem do góry. Przemoczona sierść wszystkich psów parowała, sprawiając, że w powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach.

\* *Bodacious* — w amerykańskim angielskim oznacza „śmiały”, „zuchwały”, „odważny”. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

— Uch! — jęknęła jego żona, która była przyzwyczajona do parowania sierści tylko jednego mokrego psa.

Ojciec Tim podniósł wzrok znad dziennika, do którego przepisywał zebrane zewsząd notatki.

— Więc, co dzisiaj robisz, Kavanagh?

Cynthia opuściła tłoczek francuskiego zaparzacza do kawy.

— Będę robiła szkic Violet spoglądającej przez okno w kuchni na stodołę, zadzwonię też do Puny, żeby zapytać o bliźnięta... spóźniają się, jak wiesz.

— Świetny pomysł. Miały się urodzić około czwartego, piątego marca, a tutaj jest już czternasty. Jak tak dalej pójdzie, to będą mogły od razu pójść do przedszkola.

— A ty musisz pojechać do Mitford z listą zakupów na jutrzejszą powitalną kolację dla Dooleya.

— Załatwione.

Na samą myśl o wizycie ich chłopca w domu, w czasie przerwy wiosennej, mocniej biło mu serce, ale kolejna myśl, że nie ma nic więcej do zrobienia z wyjątkiem kursu do Sklepu, była zdecydowanie zniechęcająca. Dobrze nieba, na farmie nie ma nic do roboty poza odpoczywaniem, czytaniem i wyprowadzaniem czterech psów; nie zrobił prawie nic od czasu przyjazdu w połowie stycznia. Willie Mullis, zatrudniony na pełen etat, który zastąpił pracującego na część etatu Bo Davisa, mieszkał na miejscu i wykonywał wszystkie drobne prace, karmiąc i zajmując się inwentarzem; Joyce Havner, tak jak przez wszystkie lata w Meadowgate, robiła pranie i sprzątała; Blake Eddistoe prowadził z godną podziwu sprawnością klinikę weterynaryjną, zaledwie kilka metrów od domu; był nawet ktoś do odśnieżania i koszenia trawy, w miarę jak zmieniały się pory roku.

Szczerze mówiąc, miał wrażenie, że jego jedynym zajęciem, odkąd przyjechał, żeby doglądać farmy Owenów, jest oczekiwanie na wiadomości od jego biskupa, Stuarta Cullena, który tuż przed Bożym Narodzeniem przysłał mu e-mail następującej treści.

<Uwaga:

<Nieomal na pewno będę miał coś dla Ciebie na początku nowego roku. Jak mogłeś się spodziewać, nie jest to nic porywającego i Bóg raczy wiedzieć, to będzie wyzwanie. Mimo to przyznaję, że jestem jawnie zazdrosny.

<Nie mogę teraz nic więcej powiedzieć, ale skontaktuję się po okresie świątecznym i omówimy szczegóły. (Przypominam sobie, nawiasem mówiąc, że spędzasz następny rok na farmie Owenów i że jedno z drugim nie będzie kolidowało).

Przez cały styczeń zachodził w głowę, o jakież to wyzwanie może chodzić. W lutym wreszcie zadzwonił do Stuarta, usiłując to z niego wydobyć, ale Stuart poprosił go o jeszcze kilka tygodni, zanim ostatecznie wyjawia tajemnicę.

Była już połowa marca i wciąż ani słowa.

— Wzdychasz, Timothy.

— Zastanawiam się, kiedy Stuart w końcu uchyli rąbka tajemnicy.

— W czerwcu przechodzi na emeryturę i przygotowuje konsekrację katedry — razem wzięwszy, na pewno nie narzeka na brak zajęć. Na pewno wkrótce się odezwie, najdroższy.

Podala mu kubek czarnej kawy, który przyjął z wdzięcznością.

Tak więc, siedział sobie, przeszedłszy na emeryturę po blisko czterech dekadach aktywnej posługi duszpasterskiej, grzejąc się przy otwartym ogniu, w towarzystwie swojej pogodnej, poślubionej siedem lat temu żony, w miejscu, które w jego przekonaniu stanowiło najbardziej zapierającą dech w piersiach, wiejską scenerię w Ameryce.

Dlaczego miałby zatem martwić się jakimś wyzwaniem, które nadejdzie albo i nie. Czyż w swoim życiu nie miał już dość wyzwań?

Jego żona z kolei niezmiennie wynajdowała nowe wyzwania. Podczas ich roku na farmie, dogodnie oddalonej o dwadzieścia minut jazdy samochodem od Mitford, postanowiła osiągnąć trzy życiowe cele: nauczyć się robić koronki igłowe, smażyć idealne frytki w piekarniku i przeczytać *Wojnę i pokój*.

— A jak sobie radzisz z *Wojną i pokojem*?

— Tak mi przykro, że muszę ci to powiedzieć, ale nawet jej jeszcze nie otworzyłam. Czytam czarującą starą książkę pod tytułem *Mrs. Miniver*.

— A co z frytkami?

— Ponieważ Dooley przyjeżdża jutro, przeprowadzę mój kolejny eksperyment — chcę sprawdzić, czy namoczenie ziemniaków w lodowato zimnej wodzie sprawi, że będą bardziej kruche. I zdecydowanie tym razem użyję oliwy z orzeszków ziemnych.

— Ja obiorę i pokroję ziemniaki — zaproponował.

Nie zauważył żadnych działań związanych z realizacją planu nauki robienia koronek igłowych, postanowił więc nie poruszać tego tematu.

— Żałosne — oznajmiła, czytając mu w myślach. — Mam do tego dwie lewe ręce. Nie można się tego nauczyć z książek. Postanowiłam poprosić Olivię, żeby dała mi kilka lekcji, jeśli znajdzie jakiś wolny dzień od czasu do czasu. Poza tym lunch z kimś, kto też maluje oczy, może być całkiem przyjemny.

— Z pewnością nic nie mogę zrobić dla ciebie w tym zakresie.

Opadła na fotel z wysokim oparciem naprzeciw niego i wypila łyk kawy z kubka.

— A ty, najdroższy? Czy już osiągnąłeś wszystkie swoje życiowe cele?

Pytanie w dziwny sposób go ubodło.

— Wydaje mi się, że się nad tym nie zastanawiałem. Może nie chciał myśleć o żadnych dodatkowych celach. Zamknął oczy i oparł głowę o oparcie fotela.

— Wydaje mi się, że gdybym miał otrzymać jakiś cel, to byłoby to życie bez niepokoju — życie bardziej chwilą obecną, nie w ciągłym nerwowym pośpiechu, jak w ostatnich latach... życie... w pokorze — i wdzięczności — za wszystko, co powierzy mi Bóg.

Zastanawiał się przez chwilę, potem uniósł głowę i spojrzał na nią.

— Tak. To byłby mój cel.

— Ale czy tego nie robisz?

— Nie. Czuję presję, żeby ruszyć w świat, aby się otworzyć na jakąś nową i wartościową posługę. Przez te ostatnie tygodnie wiodłem zupełnie bezużyteczną egzystencję.

— Raz na jakiś czas można wieść zupełnie bezużyteczną egzystencję. „Zatrzymajcie się — mówi nam — i wiedźcie, że Ja jestem Bogiem”. Musimy się nauczyć czekać na Jego słowo, Timothy. Te wszystkie lata nauczania i celebrowania, i tymczasowa posługa duszpasterska w Whitecap — jakie cudowne dziedzictwo pozwolił ci posiąść Bóg. I świadczenie o Bogu wobec Louelli, panny Sadie i Hélène

Pringle i Morrissa Love'a i George'a Gaynora i Edith Mallory i Leeperów...

Wzięła głęboki oddech.

— Lista ciągnie się bez końca, cała społeczność, na litość boską, nie wspominając o działalności charytatywnej na rzecz Szpitala Dziecięcego i odnalezieniu małej siostry i braci Dooleya...

— Jednego brata nadal brakuje — przerwał jej — i co zrobiłem w jego sprawie?

— Być może nic nie możesz zrobić w tej sprawie. Nie ma absolutnie nic, co mogłoby wskazać nam drogę, żadnych wskazówek. Może jedynie sam Bóg jest w stanie zrobić coś w tej sprawie. Być może Kenny jest zadaniem dla Boga.

Ogień buzował na kominku, psy chrapały.

Jego żona właśnie wygłosiła mu kazanie i właśnie takie kazanie było mu potrzebne. Miał towarzyszkę, która wiedziała dokładnie, o co chodzi, szczególnie wtedy, gdy on tego nie wiedział.

— „A więc idźmy, nie ustając — zacytował Longfellowa — z sercem niezdolnym się bać!”\* Gdzie jest lista zakupów?

\* Fragment wiersza *Psalm życia* Henry'ego Wadswortha Longfellowa w tłumaczeniu Wiktora Baworowskiego, w: Longfellow. *Wybór poezji*, PIW, Warszawa 1975.

— Obecnie w mojej głowie, ale zaraz wydobędziemy ją stamtąd.

Wysunęła małą szufladę ze stolika pod lampą i wyjęła z niej notatnik i pióro.

— Stek! Zapisała.

— Ta sama część co zwykle?

— Ta sama, ta sama. Polędwica.

To nie będzie wielkopostne poszczenie, ale wielkopostna uczta dla zagłodzonego studenta, który rzadko przyjeżdża do domu.

— Ziemniaki Russet — powiedziała, kontynuując litanię.

— Zawsze najlepsze na frytki.

Wizja tego kulinarnego maratonu już wkrótce zaostry mu apetyt, nawet jeśli nie będzie mógł jeść większości dań przewidzianych w menu. Podczas gdy wielu teologów dopatrywało się ciernia świętego Pawła w jednej z rozlicznych niepokojących dysfunkcji, on był przekonany od lat, że była to ta sama przeklęta dolegliwość, która przypadła jemu w udziale — cukrzyca.

— Spody na tarty — dodała, zapisując. — Do licha. Za skarby świata nie przypomnę sobie wszystkich składników na jego ulubioną tartę czekoladową, i oczywiście, nie przywiozłam tutaj swojego zeszytu z przepisami.

— Nigdy nie smakowała mi tarta z naszego przepisu — wyznał niespodziewanie.

— Ty nie powinieneś nawet dotykać tarty czekoladowej, Timothy, więc co to za różnica? Dooley ją uwielbia, nie jest taka zła, naprawdę.

— Czegoś jej brakuje.

— Czego na przykład?

— Czegoś bardziej... no wiesz.

— Bitej śmietany!

Jego żona uwielbiała bitą śmietanę; przy najmniejszej okazji chętnie nakładałaby ją grubą warstwą na wszystko.

— Nie bitej śmietany. Czegoś bardziej jakby...

Uniósł ręce; jego kulinarna wyobraźnia ostatnio bardzo zubożała.

— Bezy, w takim razie.

— Bezy! — zawołał, klepiąc się w nogę. — O to mi właśnie chodziło!

Zerwała się ze swojego fotela i podreptała do lady kuchennej.

— Pudło z przepisami Marge... Przeglądałam je ostatnio i wydaje mi się, że sobie przypominam... Chwileczkę... Cebule w sosie śmietanowym, makaron penne z kawałkami mięsa krabów, to brzmi nieźle...

— Czytaj dalej.

— Tarty!

— Brawo.

— Tarta z maślanką... tarta z octem winnym... ze świeżym kokosem...

— Możesz ją zaznaczyć!

— Z kremem z mleka i jajek... ze świeżymi brzoskwiniami... z dużą ilością jabłek...

— Przestań — jęknął. — Jestem tylko człowiekiem.

— Proszę bardzo. Tarta czekoladowa z bezą.

— Dokończ tę listę, Kavanagh, i już mnie tutaj nie ma.

Ha! Odmawiał sobie wszystkiego przez te ostatnie tygodnie tak bezwzględnie, jakby był jednym z pierwszych pustelników egipskich; zje cieniuteńki plasterk tej tarty, albo...

— Wiem, o czym myślisz — odparła.

Nałożył kurtkę, potrząsnął kieszenie w poszukiwaniu swojej włóczkowej czapki i pocałował ją w ciepłe usta.

— Zawsze wiesz, o czym myślę — zauważył.

Miał już dłoń na gałce drzwi, gdy zadzwonił telefon.

— Spróbuj obciąć włosy, jak już będziesz w mieście — poradziła, podnosząc słuchawkę. — Znowu zaczynasz wyglądać jak Jan Chrzciciel. Halo? Meadowgate Farm.

Przyglądał się jej, jak milknie, słucha, a potem uśmiecha się od ucha do ucha.



— Dziękujemy za telefon, Joe Joe. To cudownie! Gratulacje! Pozdrów od nas Puny. Przyjadę do Mitford w czwartek. Timothy właśnie jedzie do miasta, jestem pewna, że do niej zajrzy.

— No i? — zapytał podekscytowany jak dziecko.

— Chłopcy! Łączna waga to siedem kilogramów! Thomas i...

Przerwała i przez chwilę wyglądała tak, jakby pozjadała wszystkie rozumy.

— I?

— Thomas i Timothy!

— Nie!

— Tak! Jeden ma imię po dziadku Puny, a jeden po tobie. Teraz na świecie żyje dwóch małych chłopców, którzy otrzymali imię na twoją pamiątkę, i mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że ludzie nie nadają imion małym chłopcom na pamiątkę ludzi, którzy wiodą bezużyteczną egzystencję.

Chłopcy! A ponieważ ojciec Puny zmarł już dawno, będzie ich dziadkiem, tak samo jak dziewczynek, bliźniaczek Puny i Joe Joe.

Jego pierś przepełniało ciepłe i promienne uczucie.

Skręcił na drogę stanową, która już została odśnieżona z myślą o szkolnych autobusach, i ruszył na południe, mijając kościół baptystów i przykrytą śniegiem altanę z chrustem. Spojrzał na pulpit przy drodze, na którym napis zmieniany był co tydzień.

**GDYBY MIŁOŚĆ DO BOGA BYŁA ZBRODNIĄ, CZY BYŁBYŚ W WIĘZIENIU?**

Poruszanie się samochodem było bajecznie proste. Niebiosa zesłały im zaledwie kilka centymetrów śniegu i w półciązarówce zbudowanej jak czołg czuł się bezpiecznie i zdecydowanie ponad tym wszystkim.

*Jawnie zazdrosny. Jawnie zazdrosny.* Czegóż mógł zazdrościć jego ważny biskup, nawet jeśli jednocześnie jego najstarszy przyjaciel, wiejskiemu pastorowi? Znowu to samo, ta myśl nie dawała mu spokoju, doprowadzając go do szału.

— Zawierzam Ci, Panie, całą tę tajemnicę — powiedział na głos — i dziękuję Ci za ten dzień!

Zaiste, cały dzień należał do niego. Zajrzy do szpitala, żeby odwiedzić Puny i jej nową trzódkę; podjedzie do Domu Nadziei i złoży wizytę Louelli; w południe zatrzyma się u Lew Boyda, na stacji Exxon, gdzie ostatnimi czasy spotykał się Klub Indyków; utnie sobie pogawędkę z Avisem w Sklepie...

Co do strzyżenia, nie miał zamiaru już nigdy więcej powierzać swojej łysiej głowie Fancy Skinner, koniec kropka; Joe Ivy przeszedł na emeryturę i nie chciał mieć już nic wspólnego z tym rzemiosłem; wyprawa do fryzjera w Wesley zabrałaby za dużo czasu. Więc, nie, zaiste, zdecydowanie nie, ta wyprawa do cywilizowanego świata nie zaowocuje strzyżeniem.

Słońce przedarło się przez ołowiane chmury i cały krajobraz wydawał się skąpany w jakże mile widzianej jasności.

— Huraaa! — zawołał, starając się zagłuszyć huk silnika ciężarówki.

Dlaczego czuł się taki osamotniony i rozżalony zaledwie pół godziny temu, skoro teraz czuł się jak nowo narodzony?

Włączył radio, z którego popłynął głośny strumień muzyki country; leciały właśnie złote przeboje.

— „Kupiłem buty, odeszły ode mnie...” — ktoś śpiewał.

Zawtórował, nie przejmując się prawie w ogóle tym, że nie zna słów.

— Przyjechała wieś do miasta! — wykrzyknął, wjeżdżając do Mitford.

Przejeżdżając pędem obok stacji Exxon, przycisnął dwa razy klakson, żeby powiadomić wszystkich, wszem wobec, że nadjeżdża.

Pochylił się i pocałował ją w czoło.

— Dobra robota — pochwalił, czując, jak coś ściska go w gardle.

Dwa zestawy bliźniaków! Na litość boską...

— Prawdziwe olbrzymy — powiedziała, uśmiechając się do niego.

Jego tak zwana pomoc domowa, zatrudniona od z górą dziesięciu lat, którą kochał jak własną córkę, leżała zmęczona, ale promieniejąc, na szpitalnym łóżku.

Ujął ją za rękę, czując szorstkość dłoni, którą spowodowały lata szorowania, polerowania, gotowania, prania, prasowania i ogólnie czynienia życia jego i Cynthii dużo łatwiejszym, nie mówiąc już o tym, że jednocześnie niezaprzeczalnie radośniejszym.

— Dziękuję, że nadałaś jednemu z tych wspaniałych chłopców imię na pamiątkę tego starego pastora.

— Nie będziemy zwracać się do niego na co dzień, używając tego eleganckiego imienia. Będziemy do niego mówić po prostu Timmy.

— Timmy. Zawsze lubiłem, gdy moja mama nazywała mnie Timmy.

— Timmy i Tommy — powiedziała dumnie.

— Timmy i Tommy i Sissy i Sassy.

— Będzie ojciec również dziadkiem chłopców — dodała, na wypadek gdyby jeszcze o tym nie pomyślał.

— To będzie dla mnie zaszczyt.

— Ojczy?

Odkąd odprawił ceremonię ich ślubu kilka lat temu, zaczęła zwracać się do niego, używając tytułu księdza w sposób, który sprawiał, że wydawało mu się, jakby był jej prawdziwym ojcem. Zawsze to zauważał. Do licha, jeśli nie był bliski rozplakania się jak dziecko.

— Tak, moja droga?

— Kocham ojca i Cynthię.

I pojawiły się, spływając mu po policzkach jak grochy...

— I my też cię kochamy — załamał mu się głos.

— I cóż, jak smakuje ci ostatnio jedzenie w Domu Nadziei?

Siedział na podnóżku obok fotela na biegunach Louelli, czując się, jakby miał osiem albo dziesięć lat, jak zwykle w obecności panny Sadie i Louelli.

— Ach, słonko, czasami jest dobre, a czasami zupełnie jak pomyje. Nie bede ukrywać.

Zauważył, że Louella mówi „bede”, odkąd odeszła panna Sadie, która nie pozwalała używać tego słowa.

— Weźmy na przykład zupę — w menu każdego dnia jest ta sama zupa, dzień po dniu, odkąd tu jestem.

Wyglądała na zupełnie zde gustowaną.

— Co to za zupa?

— Zupa dnia! Jeśli nie są w stanie wymyślić więcej niż jednej zupy w tym kosztownym przybytku, to wolę nie mieć z tym nic wspólnego.

— Aha — odparł.

— Moja babcia, Wielka Mama, twierdziła, że zupa jest dla chorych, w każdym razie, a ja nie jestem i nie zamierzam być chora.

— Tak trzymać.

Louella nie przestawała się bujać. Ciepły pokój, chmury wiszące nisko za oknem i ciche brzęczenie telewizyjnego programu z zakupami sprawiły, że poczuł się senny; zaczęły mu opadać powieki...

Louella nagle przestała się bujać.

— Chciałam ojca zapytać — co robi ojciec w sprawie pieniędzy panny Sadie?

Wrócił natychmiast do rzeczywistości.

— O jakie pieniądze chodzi?

— Nie pamięta ojciec? Mówiłam ojcu o pieniądzach, które schowała w tym starym samochodzie.

— W starym samochodzie — powtórzył, zupełnie nie mając pojęcia, o co chodzi.

— W tym starym plymoucie, którego miała. Louella wyglądała, jakby zupełnie straciła do niego cierpliwość.

— Louello, nie mam zupełnie pojęcia, o co ci chodzi.

— Z ojca pamięcią musi być już zupełnie źle.

— A może opowiesz mi wszystko od początku.

— Wydawało mi się, że do ojca dzwoniłam i że wszystko powiedziałam przez telefon, ale może mi się tylko śniło. Czy kiedykolwiek śni się ojcu coś tak realnie, że myśli ojciec, że to się naprawdę wydarzyło?

— Tak.

— Na jakiś czas przed śmiercią panna Sadie bardzo się wściekła na giełdę, że wszystko leci w dół. Wie ojciec, kiedyś zarobiła na tym całkiem nieźle.

— O tak, proszę pani.

Czyż nie zostawiła Dooleyowi okrągłego miliona z hakiem w dniu śmierci? Dooley jednak nie był jeszcze świadom tego wyjątkowego faktu.

— Powiedziała: „Słuchaj, Louello, zamierzam ulokować tę niewielką sumkę tam, gdzie ci nieudacznicy z giełdy nie będą mogli jej zmarnować”. Ja na to: „Panno Sadie, gdzie zamierza pani ją schować, pod materacem?”. Ona na to: „Nie bądź głupia, zamierzam schować ją w swoim samochodzie i zamknąć go”. Nie jeździła już wtedy i jej samochód stał na ceglach w garażu. Potem dodała: „Nie pozwól, żebym zapomniała, że tam są”.

— I? — zaciekał się.

— A ja wzięłam i pozwoliłam jej zapomnieć, że tam są! Plymouth z 1958 roku stał od kilku lat w garażu w Fernbank, starym domu panny Sadie, na wzgórzu za Mitford. Fernbank należał obecnie do Andrew Gregory'ego, burmistrza Mitford, jego włoskiej żony, Anny, i jego szwagra, Tony'ego.

— Cóż, prawdopodobnie nie było to dużo — powiedział uspokajająco.

— Nie było to dużo? Ależ oczywiście, że to było dużo. Dziewięć tysięcy dolarów!

— Dziewięć tysięcy dolarów? Zamarł.

— Proszę nie krzyżeć — pouczyła go. — Nie wiadomo, kto mógłby nas usłyszeć.

— Jesteś pewna co do tej kwoty, Louello?

— Oczywiście, że jestem pewna! Panna Sadie i ja przeliczyłyśmy tę kwotę w banknotach studolarowych. Ile banknotów studolarowych mogłoby to być? Nie pamiętam.

— Hm, to byłoby dziewięćdziesiąt banknotów.

— Tak, słonko, to było dziewięćdziesiąt banknotów, poświęciłyśmy sporą część dnia, żeby przeliczyć te studolarówki, bo za każdym razem gdy je liczyłyśmy, panna Sadie kazała zaczynać od początku i liczyć jeszcze raz!

— Dobry pomysł — odparł, bo nic lepszego nie przychodziło mu do głowy.

— Wzięłyśmy recepturkę i nałożyłyśmy ją na plik banknotów i wyjęłyśmy dużą kopertę, i włożyłyśmy je do środka, i polizałam, i zakleiłam szczelnie kopertę, żeby nic nie wypadło.

Zwróciła się do mnie: „Louello, jesteś moją najlepszą przyjaciółką, ale nie możesz tam ze mną pójść, to sprawa pomiędzy mną a Panem Bogiem”.

Potem poszła do garażu, a gdy wróciła, była z siebie bardzo zadowolona.

Zapytałam: „Panno Sadie, gdzie schowała pani pieniądze, na wypadek gdyby pani umarła?”. Ona na to: „Nie zamierzam umierać w najbliższej przyszłości, nie martw się o to”. Jakiś czas później wspomniała o tych pieniądzech; mieszkaliśmy wtedy w starym domu panny Olivii. Powiedziała, że powinna zabrać je z tego miejsca, w którym je schowała, ale sytuacja na giełdzie była nadal bardzo zła.

Potem zupełnie o tym zapomnieliśmy.

Pewnego dnia siedziałam sobie na tym fotelu i oglądałam seriale i nagle dotarło to do mnie, jakby uderzył we mnie piorun. Zawołałam: „Ojej! Coś złego stanie się z pieniędzmi panny Sadie, a panna Sadie będzie wściekła jak osa”.

Ojciec Tim był zupełnie oniemiały z powodu tego zaskakującego obrotu wydarzeń. Co do tego, co można zrobić w tej sprawie, miał w głowie dziwny mętlik.

Pokaźny biust Louelli unosił się i opadał, dodatkowo podkreślając powagę misji do spełnienia; pochyliła się do niego i zniżyła głos.

— Więc — rzuciła — co zamierza ojciec zrobić w sprawie pieniędzy panny Sadie?

W drodze na Main Street przemknął obok ich żółtego domu na Wisteria Lane i doszedł do wniosku, że wygląda nieskazitelnie w każdym calu. Dzięki pieczy, jaką sprawował nad ich domem Harley, doglądając każdego kąta, mogli spędzić ten beztroski rok w Meadowgate. Uniósł do góry dłoń i pomachał.

— Do zobaczenia! — zawołał.

Zajechał na stację Exxon Lew Boyda, nadal od czasu do czasu zwanej stacją Esso, i ujrzał Klub Indyków rozłożony wygodnie na plastikowych krzesłach ogrodowych za szybą wystawową. Byli to kolejno: J.C. Hogan, długoletni wydawca „Mitford Muse”; Mule Skinner, na wpół emerytowany agent handlu nieruchomościami; i Percy Mosely, były właściciel już nie istniejącego baru Main Street Grill.

Zadawał się z tą zgrają już od osiemnastu czy dwudziestu lat i zamknięcie lokalu przez Velmę i Percy'ego w wigilię Bożego Narodzenia rok temu było dla niego przykrym szokiem. Do pustego lokalu wprowadził

się wkrótce sklep z obuwem po obniżonych cenach. Obecnie miejsce, w którym stał kiedyś tylny boks klubu, zajmował stojak z damskimi półbutami w rozmiarach od osiem do dziesięć.

— Uuu... jee...!

Mule wstał i zasalutował.

— Oto nadchodzi nasz producent filmowy z Los Angeles.

— Kto, ja?

— Tylko patrzeć, jak zaczniesz sobie wiązać z tyłu kucyk i nosić kolczyk w uchu.

Ojciec Tim poczuł się nagle, jakby włosy spływały mu na ramiona niczym średniowieczna opończa.

— Dajcie spokój, odczepcie się od niego — powiedział Percy. — Mieszka w głuszy, nie musi się przylizywać tak jak my.

— Jeśli tobie się wydaje, że jesteś przylizany, to ja jestem święty turecki.

— Jak długo zamierzacie jeszcze siedzieć na tej wsi? — chciał wiedzieć Percy.

— Hal i Marge będą mieszkać we Francji przez rok, więc... jeszcze przez jakieś dziewięć miesięcy. Ale dla nas to nie jest kara, nam się tam podoba.

— Mieszkałem na wsi, gdy dorastałem — wyznał Percy — i niewiele brakowało, a bym zwariował. Na farmie cały czas trzeba coś robić, koniec kropka. Przynies to, napraw tamto, wykop to, nakarm zwierzęta. Jak nie żniwa, to obsiewanie.

— Dobrze, że się w końcu pojawiłeś, kolego, niewiele brakowało, a zepsułaby się moja kanapka z rybą.

J.C. zaczął grzebać w swojej wypchanej teczce i wyjął z niej coś zapakowanego w folię z wtórnego przerobu. Mule zaczął wąchać powietrze.

— Jak długo ją tam miałeś?

— Od siódmej rano.

— Chyba nie zamierzasz tego jeść?

— Dlaczego nie? Jest zaledwie kilka stopni.

Ojciec Tim zauważył, że woda po goleniu wydawcy jest w stanie skutecznie zamaskować każdy nieprzyjemny zapach w promieniu, lekko licząc, kilku kilometrów.

— A ty co przyniosłeś? — zwrócił się do Percy'ego Mule.

— Wczorajszą resztkę pieczeni schabowej z kością, w miodzie, na bułce z sezamem, z sałatą, majonezem i frytkami.

— A niech mnie! — zachwyił się Mule.

Spodziewał się, że ktoś, kto był właścicielem baru Grill przez z górą czterdzieści lat, może przynieść ze sobą niezły lunch, ale nic tak wystawnego. Zajrzał do własnej papierowej torby.

— A co to jest? — zainteresował się J.C., zajadając z apetytem kanapkę z rybą.

— Nie mogę uwierzyć.

Mule wyglądał na niepocieszonego.

— Fancy znowu serwuje mi jakąś parszywą dietę.

— Dlaczego żona robi ci lunch? Jesteś dużym chłopcem, sam zrób sobie ten przekłety lunch.

Mule przyjrzał się uważnie zawartości torebki Ziploc.

— Słodki ziemniak — stwierdził zdruzgotany. — Bez masła.

— Słodki ziemniak?

Percy przyglądał się z niedowierzaniem żalosnemu daniu.

— Co to za dieta?

Mule osunął się ciężko na krzesło.

— Nie zjem słodkiego ziemniaka, za żadne skarby nie zjem słodkiego ziemniaka. Cały się trzęsę, jadłem śniadanie o szóstej trzydzieści, a teraz jest już po dwunastej.

— A co dała ci na śniadanie? Rzepę?

— Jajka na twardo. Nie cierpię jajek na twardo; mam po nich gazy.

— No i co, Percy — zauważył ojciec Tim, rozpakowując kanapkę z szynką i serem na białym chlebie, z automatu — widzisz, co narobiłeś, likwidując biznes? Zostawiłeś nas na pastwę losu.

— Tak — poparł go Mule. — Ja byłem zadowolony z poprzedniego stanu rzeczy.

J.C. pochłonął drugą część kanapki.

— Psypustsa zenik nemazalu...

— Nie mów z pełnymi ustami — warknął Mule, który grzebał w kieszeniach w poszukiwaniu reszty do automatu.

J.C. przełknął wszystko i popił połową puszki sprite'a.

— Domyślam się, Indyki, że nie słyszeliście nowiny o Wiedźmie z Północy.

— Wiedźmie z Południa — poprawił go Percy, rozpoznając przydomek, chociaż błędny, nadany szczerze nienawidzonej byleją właścicielce lokalu, w którym znajdował się bar Grill.

— Wygląda na to, że wypowiedziała pierwsze zrozumiałe słowo od czasu tego poważnego urazu głowy we wrześnie.

— Pieniądze! — wykrzyknął Percy.

— Jakie pieniądze?

— „Pieniądze” musiało być pierwszym słowem, które wydobyło się z ust tej podstępnej, zatwardziałej i skąpej...

— Ależ, Percy — przerwał mu ojciec Tim.

J.C. spojrział gniewnie na wszystkich zebranych.

— Chcecie usłyszeć tę cholerną historię czy nie?

— Mów — polecił ojciec Tim.

— Ed Coffey był wczoraj w mieście, wywożąc rzeczy z przybudówki w Clear Day, żeby zabrać je do posiadłości na Florydzie. Opowiadał, że tuż przed jego wyjazdem siedziała na swoim wózku inwalidzkim przy oknie, patrząc na ptaki, i dała mu znać, żeby do niej podszedł...

Mule wyglądał na zde gustowanego.

— Ed Coffey ma mózdzek jak ptak!

— Potem dała mu znak, żeby podszedł jeszcze bliżej... Klub Indyków oczekiwał w napięciu.

— Ed powiedział, że zamiast odezwać się nieskładnie, jak do tej pory, przemówiła najnormalniej w świecie...

— Co powiedziała, do licha?

Percy czuł, jak pieczeń wieprzowa staje mu w gardle; najbardziej w świecie nie lubił, jak ktoś za wszelką cenę zawsze musiał być w centrum uwagi.

— O tak, proszę państwa, stał sobie tam, gdy to słowo padło z jej ust.

— Już nam to mówiłeś, idioto. Co takiego powiedziała?

J.C. wytarł pot z czoła zwiniętym kawałkiem papieru toaletowego.

— Odczep się ode mnie — warknął na Percy'ego.

Wydawca „Muse” oparł się wygodnie o oparcie plastikowego krzesła i spojrzał ponownie na zaintrygowanych słuchaczy.

— Powiedziała: Bóg.

— Bóg? — Percy i Mule wykrzyknęli jednocześnie.

— Niemożliwe!

Mule potrząsnął głową.

— Niemożliwe, żeby Edith Mallory powiedziała „Bóg”, chyba że próbowała coś dodać, za co ja w dzieciństwie dostawałem lanie.

— Zgadza się — przytaknął Percy. — To niemożliwe. Tak, pomyślał ojciec Tim. Tak!

Zatrzymał się przy kanale, gdzie Harley Welch leżał na plecach pod ciężarówką.

— Harley!

Przykucnął, usiłując dojrzeć swojego starego przyjaciela.

— Czy to wielebny?

— To co ze mnie zostało. Jak leci?

— Dobrze, jeśli uda mi się odkręcić to złącze. Kiedy przyjeżdża nasz chłopiec?

— Jutro. Odwiedzimy cię jutro albo pojutrze. Czy słyszałeś o bliźniakach?

— Tak, proszę ojca, wszyscy w miasteczku o tym mówią. Podobno wypisz wymaluj stara pani burmistrz.

Roześmiał się.

— Przypuszczam, że Lace przyjeżdża?

— Tak, proszę ojca, dostałem od niej list kilka dni temu; wie ojciec, że dostała jakieś ważne stypendium.

— Tak, słyszałem. To cudownie! A przy okazji, kiedy ostatnio pracowałeś przy samochodzie panny Sadie?

— Ojej, tak dawno, że nie pamiętam. Chwileczkę, czy ona zmarła na wiosnę?

— Tak.

— Pracowałem przy nim na jakiś czas przed tym, gdy umarła, jeszcze wtedy jeździła. Pamiętam, że przyjechała tu pewnego ranka, musiałem wymienić jej zepsute sprzęgło.

— Nie wiesz, czy on nadal stoi w garażu w Fernbank?

— Nie wiem, czy nowy właściciel go sprzedał. Mówiono o tym, że pan Gregory zamierza go wyremontować... George Gaynor pracował przy nim przez dzień czy dwa, może. Nie mogę sobie przypomnieć.

— Jak układa ci się z panną Pringle?

Hélène Pringle była nauczycielką gry na pianinie, która wynajmowała jego dom w Mitford, a Harley był jego starym przyjacielem, który mieszkał w suterenie.

— Powiedzmy, że wysłuchałem takiej ilości gry na pianinie, że nawet nie miałem pojęcia, że tyle zostało napisane.

Ojciec Tim roześmiał się.

— Przyjedź do nas na wieś z wizytą.

— Dobrze — odparł Harley. — Przywiozę ze sobą brytfankę ciastek czekoladowych.

— Trzymam cię za słowo.

— Jak się ma panna Cynthy?

— Doskonale.

Wyprostował się, słysząc, jak trzeszcza mu kolana.

— Muszę się zbierać, jak mawiała moja babcia, i pędzić do Sklepu. Uszanowania dla panny Pringle!

Poszedł do ciężarówki, gwizdząc melodię, którą usłyszał w radio.

Nic tak nie poprawiało nastroju i nie dodawało energii jak wizyta w Mitford.

Wszedł energicznie do jednego z najbardziej ulubionych przez siebie miejsc w Mitford, a jego przybycie oznajmił dźwięk dzwonka u drzwi.

— „Uwielbiam zapach tuszu drukarskiego z rana!” — zawołał, cytując Umberto Eco.

— Ojciec Tim!

Hope Winchester odwróciła się od półki, gdzie układała biografie.

— Tęskniliśmy za ojcem!

— A ja za wami! Co słyszać, Hope? Uniosła lewą dłoń, żeby zobaczyć.

— A niech mnie! — wykrzyknął, cytując Dooleya Barlowe'a.

— Należał do jego babci, ze strony Murphey. Scott jest na szkoleniu dla kapelanów w tym tygodniu, podarował mi go, zanim wyjechał.

— Jedno czy obydwa kolana?

— Obydwa!

— Porządny gość!

Nadal czuł się jak krety, gdy pomyślał, że prosząc o rękę Cynthii, wówczas jego sąsiadki, ukląkł tylko na jedno kolano.

Uścisnął serdecznie Hope.

— *Felicitaciones! Mazel tow!*

— *Muchas gracias. Hm. Obrigado!*

Roześmiali się swobodnie. Wydawało mu się, że nigdy wcześniej właścicielka Księgarni Szczęśliwych Zakończeń nie wyglądała tak promiennie.

— Mam listę — oznajmił, wyjmując ją z kieszeni kurtki.

— Ojca listy pomogły przetrwać naszej księgarni trudne czasy. Tysiącrotne dzięki. Ojej. Jest naprawdę długa.



— Już dawno mnie tu nie było. Powiedz mi, czy Louise podoba się w Mitford?

— Zaraz wracam — odparła.

Pośpieszyła do podnóża schodów i zawołała swoją siostrę, która ostatnio przeprowadziła się tutaj z domu ich zmarłej matki.

Louise natychmiast zeszła po schodach, wbijając wzrok w stopy. Hope ujęła swoją siostrę pod ramię i przyprowadziła ją do ojca Tima.

— Ojczy, to jest moja siostra, Louise Winchester.

Z pewnym trudem Louise podniosła wzrok i spojrzała na niego.

— Tak mi miło... — wypowiedziała z trudem. Hope uśmiechnęła się.

— Louise jest nieśmiała.

— Według mnie nieśmiałość jest bardzo atrakcyjną cechą. W dzisiejszych czasach nieomal zupełnie nie istnieje.

Ujął dłoń Louise, dochodząc do wniosku, że jest chyba ładniejsza niż jej siostra, z tą grzywą orzechowych włosów i parą zielonych, dociekliwych oczu.

— Louise, tak się cieszymy, że jesteś z nami, wiem, że twoja obecność będzie dla nas bardzo ważna. Niech Bóg ci błogosławi, żebyś odnalazła tu swoje miejsce i aby pomyślność towarzyszyła ci we wszystkim, co robisz.

Prawdziwie wzruszyło go jej bezwiedne, nawet jeśli bardzo nieznaczne, dygnięcie.

— Ojciec Tim był ciekaw, jak podoba ci się Mitford. Zarumieniła się lekko.

— Czuję się tutaj jak... w domu.

— Louise czyni prawdziwe cuda z naszymi zamówieniami i uporządkowała wszystko od A do Z.

— Wspaniale, Louise!

Poczuł się nagle dumny, jakby była członkiem jego rodziny.

— Oto lista ojca Tima. Mamy tylko trzy pozycje z dziewięciu. Czy mogłabyś zamówić dzisiaj pozostałe?

— Zwykła przesyłka — dodał, zauważając, że Margaret Ann, mieszkający w księgarni kot, ociera mu się o nogi, zostawiając na spodniach grubą warstwę futra. — Tylko czekać, jak książki mnie przysypią, a ja nie mam czasu, żeby czytać.

— Miło mi było ojca poznać... — pożegnała się Louise.

Na Jowisza, znowu to zrobiła. Gdyby było to absolutnie konieczne, Emma Newland mogła obejrzeć pokaz dygania, nie ruszając się z Main Street.

— Jakież plany? — zwrócił się do Hope.

— Chcielibyśmy z ojcem o tym porozmawiać; zastanawialiśmy się nad paździenikiem, gdy liście będą zmieniać kolory. Czy zechce ojciec udzielić nam ślubu?

— Z przyjemnością! — uroczyście obiecał.

— Mimo że chodzimy do Lord's Chapel, mamy nadzieję znaleźć jakiś mały górski kościółek. Coś...

Zawahała się, myśląc intensywnie.

— Coś uduchowionego i czarującego?

— O tak!

— Coś całkowicie bezpretensjonalnego, ze wspaniałym widokiem?

— No właśnie!

— Zastanowię się nad tym — obiecał.

Opowiedział jej o tym, jak personel szpitalny był absolutnie oczarowany wydaniem po raz kolejny na świat przez ich pacjentkę pary bliźniąt; o tym, jak to chłopcy wyglądają na silnych, zdrowych i nadzwyczaj przypominają ich prababcie ze strony taty i ich poprzednią panią burmistrz, Esther Cunningham; jak Louella powiadomiła go o istnieniu dziewięciu tysięcy dolarów, które, jak twierdziła, są ukryte w samochodzie panny Sadie, i że jak do tej pory, nie ma pojęcia, co w tej sprawie zrobić.

Obwieścił jej, że śnieg na drogach szybko zamarza; że Edith Mallory wypowiedziała pierwsze od czasu poważnego urazu głowy sprzed siedmiu miesięcy, zrozumiałe, nie mówiąc o tym, że niepojęte, słowo; że J.C. Hogan znowu używa wody toaletowej, cokolwiek warta jest ta wiadomość; że Avis udzielił mu wyczerpującej porady, jak udoskonalic domowe frytki z piekarnika; że Hope Winchester ma pierścionek zaręczynowy i że chce, żeby udzielił im ślubu; że Louise Winchester zapowiada się na wartościowy dla Mitford nabytek; i na koniec, że widział kwitnącego w śniegu krokusa, alleluja.

Był najnormalniej w świecie wyczerpany tym wszystkim, zarówno samym działaniem, jak i relacjonowaniem; czuł się tak, jakby wrócił właśnie z wizyty na obcej planecie.

— Wielkie nieba — podsumowała jego żona — jestem zmęczona samym słuchaniem. A jak jej minął dzień?

Joyce Havner zadzwoniła, żeby powiedzieć, że jest chora.

Violet, posuwająca się w latach bohaterka książek o kocie, z których to pisanie i ilustrowanie słynęła jej żona, przyniosła do kuchni nieżywą mysz.

Garnek z zupą wykipiwał na kuchence, w czasie gdy ona malowała akwarelę przedstawiającą Violet wyglądającą przez okno.

Oddała akwarelę kierowcy UPS punktualnie o pierwszej; jest w tej chwili w drodze do jej wydawcy w Nowym Jorku.

Dzwoniła Olivia Harper, i Lace przyjeżdża jutro z uniwersytetu w Wirginii.

— To wszystko? — zdziwił się.

— Nie bądź taki ważny, wielbny, tylko dlatego, że pojechałeś do wielkiego miasta i wysłuchałeś wszystkich wiadomości, a twoja żona została w domu, bo nie miała co na siebie włożyć.

Roześmiał się.

— Tęskniłem za tobą.

— Ja też za tobą tęskniłam — odparła, śmiejąc się razem z nim.

W bibliotece domu na farmie e-mail od byłej sekretarki ojca Tima, Emmy Newland, ustawił się w kolejce.

<Drogi Ojczu

<Rok temu poradził mi ojciec, żebym kupiła czarny płaszcz, który będzie pasował do mojej granatowej sukienki na wyprawę do Londynu.

<Żeby mogła nałożyć sukienkę, miałam zgubić pięć kilogramów. Ale teraz do wyjazdu zostało mi już tylko kilka tygodni, a ja przytyłam siedem!!#)!!\* Nikomu o tym ani słowa.

<Ponieważ nie ma absolutnie takiej możliwości, żeby mogła zgubić dwanaście kilogramów do czerwca, będę musiała kupić nową sukienkę, żeby pasowała do mojego czarnego płaszcza.

<Tak więc czy powinnam kupić i nałożyć granatową, tak jak pilnowałam od początku? Czy też powinnam kupić czarną, która będzie mi pasowała do wszystkiego?

<Serdeczne pozdrowienia dla wszystkich.

<PS: Czekam na szybką wiadomość, w następnym tygodniu zaczynają się wyprzedaże

<PPS: Harold nie musi już nosić ze sobą papieru toaletowego na pocztę, gospodarka wyraźnie przyspieszyła.

Odmówili swoją modlitwę na czas postu, zjedli skromną kolację i upiekli tartę — która z pewnością stanie się jeszcze smaczniejsza po nocy w lodówce.

Teraz przysunęli się do ognia na kominku, przy odgłosach marcowego wiatru chłuszczącego okna; ona z *Mrs. Miniver*, a on z *The Choice of Books*, tomem z końca dziewiętnastego wieku, który znalazł w ich sypialni. Odczuwał ogromną ulgę, że nie wracała już więcej do tematu jego włosów, cokolwiek z nich jeszcze pozostało.

— Posłuchaj tego, Timothy.

Cynthia poprawiła okulary, mrużąc oczy, aby odczytać mały druk.

— „Poślubienie właściwego życia jest równie ważne jak poślubienie właściwej osoby”.

— Aha. Nigdy o tym w ten sposób nie myślałem.

— A ja zastanawiałam się nad tym, poślubiając ciebie.

— Czy jestem właściwą osobą?

— Czy będzie to właściwe życie — odparła.

— I?

— I jest. Dla mnie jest doskonałe.

Jego żona, która wolała czytać nieżyjących autorów, ponownie pochyliła głowę.

— Jak bardzo nieżyjący, dokładnie, muszą być? — zapytał ją kiedyś.

— Nie bardzo; zazwyczaj wyznaczam granicę na latach trzydziestych i czterdziestych, zanim rozpętała się zawierucha. Tak więc... umiarkowanie umarli, powiedziałabym.

Dorzucił polano do wygasającego ognia; zasyczało i zabulgotało od warstwy śniegu, którą na drewnianym pudle przy drzwiach osadził wiatr. Okiennica na oknie w spiżarni zastukała, a hałas w dziwny sposób spotęgował wrażenie przytulności.

— A tutaj znalazłam coś innego — rzuciła. — „To było solą małżeństwa, to conocne opróżnianie kieszeni wspomnień, perfekcyjne, nieodłączne obcowanie dwóch par oczu, dwóch par uszu. Dawało to, w pewnym sensie, nieomal podwójne życie: chociaż nigdy, z drugiej strony, całkiem samodzielne”.

Pokiwał wolno głową, czując nagły przypływ szczęścia.

— Tak — przyznał z zapalem. — Tak!

# Rozdział drugi

## *Wikary*

Obudził się z poczuciem winy, że nie dostarczył Russellowi Jacksowi jego codwutygodniowej porcji wątróbki.

Russell przez lata oczekiwał na niego w drzwiach małego domku Betty Craig, szczęśliwy jak dziecko, wyglądając dostawy wątróbki, która wystarczała na dwa tygodnie kanapek na białym chlebie z majonezem. Russell Jacks już jednak nie żył i już nigdy nie zapragnie „pasztetu biednych ludzi”.

Panna Sadie, która często mu się śniła, również odeszła. Był też Absalom Greer. „Odszedł do wieczności!” — jak mógłby powiedzieć starszy kaznodzieja.

Odszedł...

Poczucie straty nagle przeppełniło go ogromnym smutkiem.

Nie bał się jednak śmierci; znał miejsce, do którego ma odejść. Oczywiście, nie pójdzie tam dlatego, że był „dobry”, na ile można to zmierzyć, ale dlatego, że dawno temu zawierzył swe serce Bogu, który dał się poznać przez Tego, który umarł po to, aby on, Timothy Kavanagh, miał życie wieczne.

Dziwne. Anomalia z wątróbką wydawała mu się dużo dziwniejsza niż przedziwny fakt, że Jezus Chrystus postanowił oddać Siebie za pastora z małego miasteczka.

W czerwcu skończy siedemdziesiąt lat, myślał o tym często ostatnimi czasy. Siedemdziesiąt! Nie był w stanie racjonalnie przetworzyć tego faktu; przerastało to jego wyobraźnię. Ale nie, większa liczba lat nie sprawiła, że zaczął bardziej obawiać się śmierci — czyż Thomas Edison nie powiedział: „Jak tu pięknie!”, a Cotton Mather, zawsze podobały mu się ostatnie słowa Cottona Mathera: „Czy to właśnie umieranie? Czy to wszystko? Czy to właśnie tego się bałem, gdy modliłem się o lekką śmierć? Ach, potrafię to znieść! Potrafię to znieść!”.

Bał się natomiast, że nie dokończy jakiegoś ważnego dzieła, w ten sposób nie wypełniając swej ziemskiej misji. Ten strach nie dawał mu spokoju przez większość jego życia, najpierw jako czynnego, a teraz emerytowanego księdza.

Zawsze wtedy poprawiała mu nastrój myśl o tym, że Dooley śpi w sąsiednim pokoju, że swoją własną ziemską misją do wypełnienia.

A co, gdyby Bóg nie przysłał jedenastoletniego wnuka Russella Jacksa do jego drzwi, niczym jakiejś cennej specjalnej przesyłki, którą należy szybko otworzyć i z którą należy delikatnie się obchodzić, aby nie uległa zniszczeniu? Zaiste, w przeciągu dziesięciu lat, odkąd Dooley stał się jego podopiecznym, nauczył się go kochać, jakby był jego własnym dzieckiem.

Jak można oczekiwać, niektórzy twierdzili, że „uratował” Dooleyowi życie. Prawda jednak polegała na tym, że to raczej Dooley uratował jego. W wieku ponad sześćdziesięciu lat ze zorientowanego na siebie starego kawalera stał się zaradnym ojcem. A potem, oczywiście, do sąsiedniego domu wprowadziła się Cynthia. Podwójny cud, jakich mało.

*Boże, modlił się, dziękuję Ci za Twą nieustanną łaskę. Pomóż mi zrealizować Twój plan na moje życie; daj mi serce, abym słyszał Twój głos... I proszę, gdybyś mógł zrobić to samo dla Dooleya...*

Przysunął się do żony, otoczył ją ramieniem i poczuł, jak ogarnia go głęboka, kojąca tajemnica snu.

Po porannym oficjum brewiarzowym pomodlił się z Cynthią, następnie poszedł do kuchni i zajął się rozpalaniem ognia na kominku.

Przykucnął obok paleniska i na wciąż ciepłym ruszcie nad węglem rozmieścił drobne kawałki cedrowego drewna. Po dodaniu trzech kawałków dobrze wysuszonego dębu i podpaleniu zapalką specjalnie przygotowanej sosnowej podpałki obserwował, jak języki ognia ogarniają całość, i słuchał niecierpliwie, jak cedrowe drewno zaczyna trzaskać i strzelać.

Stał potem, zadowolony, ogrzewając sobie plecy, aż dołączyła do niego Cynthia w swoim ulubionym, nawet jeśli mocno wytartym szlafroku, aby rozpocząć ich wspólne przygotowanie śniadania.

— Powiedz mi szczerze, co myślisz o moich frytkach z piekarnika — zapytała, smarując tost masłem.

— Dobrze. Bardzo dobrze — pochwalił, przygotowując jajka z wody.

— Och, miałam nadzieję, że powiesz „wyśmienite”! — zawołała, nalewając sok. — Następnym razem posolę wodę.

— Przeczytanie *Wojny i pokoju* byłoby prostsze — odparł, opuszczając tłok francuskiego zaparacza do kawy.

Siedzieli przy kominku, wdzięczni za błogosławieństwo jego ciepła.

— Czy wydaje ci się wyższy? — zapytała.

— Metr osiemdziesiąt pięć.

— Jak myślisz, kiedy mu powiesz?

— Nigdy nie lubiłem trzymać sekretów. Ale coś mi mówi, żeby poczekać.

— Zawsze ufałam ci, że będziesz wiedział, kiedy nadejdzie odpowiedni moment.

Napiła się kawy.

— Jego jeep jest w strasznym stanie, potrzebny mu nowy samochód.

— Zgadzam się.

— Mógłbyś użyć pieniądze z funduszu... Nie musiałbyś wyjawiać rozmiaru podarunku panny Sadie, aż będziesz gotowy.

— Zastanawiałem się nad tym.

— Czuję, że powinien mieć coś, czego naprawdę pragnie, nie kolejny używany samochód z problemami poprzedniego właściciela.

— A co, jeśli będzie chciał BMW?

— Lace ma. Może rzeczywiście chceć BMW.

— Te samochody są szybkie.

— Wydaje mi się, że byłby odpowiedzialny.

— Naprawdę szybkie.

— Timothy, ubóstwiam tę malutką zmarszczkę, która pojawia ci się na czole, gdy się martwisz. Jest taka... rozkoszna.

*Rozkoszna!* Nigdy nie zrozumie, dlaczego inni nie martwią się o sprawy, które jego doprowadzają do rozpaczy. Samochody BMW są nie tylko szybkie, ale kosztują więcej niż niejeden dom; taki drogi samochód może przewrócić Dooleyowi w głowie; poza tym inni studenci mogą go za to znienawidzić...

Jego żona przechyliła na bok głowę i rozbrajała go całkowicie chabrowym błękitem swoich oczu.

— „Skosztujcie i zobaczcie, jak dobry jest Pan — najdroższy — szczęśliwy człowiek, który się do Niego ucieka”.

— Głosisz mi kazanie, Kavanagh?

— Psalm trzydziesty czwarty — odparła, uśmiechając się do męża.

Wpadł do kuchni, niosąc zapas drewna, a za nim wdarło się do środka lodowate powietrze.

— Mam dobrą i złą wiadomość — oznajmiła.

— Najpierw zła.

Podszedł do paleniska, a tuż za nim Barnaba.

— Joyce nie wróci wcześniej niż za kilka miesięcy. Ma zatory w żyłach, będą jej musieli wstawić stenty... Lekarz mówi, że w jej wieku nie powinna już sprzątać domów.

— Ach.

Położył drewno na palenisku.

— Przykro mi. Ugotuję dla niej szynkę, będziemy się za nią modlić.

— Gotowy na dobrą wiadomość?

— Jak zawsze.

— Właśnie dzwonił James. Wszystkim bardzo spodobała się akwarela przedstawiająca Violet patrzącą na śnieg przez okno. Miała zdobić kartki pocztowe, a teraz chcieliby dostać dwanaście akwrel przedstawiających życie Violet na wsi — do kalendarza ściennego.

Skoro nie piszę teraz żadnej książki, pomyślałam, że może się to okazać cudownym pomysłem. Przekazałabym wszystkie tantiemy na Szpital Dziecięcy.

Z pewnością starczyłoby na całe nowe skrzydło!

Nie dałam jeszcze Jamesowi odpowiedzi; chciałam się dowiedzieć, co ty o tym myślisz. Wiem, że jesteś zachwycony tym, iż nie ślęczę nad stołem do rysowania, odkąd przyjechaliśmy do Meadowgate. Tak cudownie mija nam tu czas, na tym odludziu, bez żadnych terminów i zobowiązań.

Zdjął kurtkę i rzucił ją na kanapę w oknie.

— Chcę tego, czego ty chcesz, i mówię to na poważnie.

Rzeczywiście mówił to na poważnie, mimo że tracił ją na całe dni, gdy pracowała nad książką. Ale to nie była książka.

— Chciałabym się tego podjąć — odparła. — Myślę, że sprawiłoby mi to przyjemność. Chyba dałoby mi to poczucie wolności.

Usiadł na fotelu z wysokim oparciem i przyciągnął ją na kolana.

— Violet przeganiająca perliczki?

— Wspaniały pomysł! A co powiesz na Violet na strychu stodoły, tam, gdzie znaleźliśmy gniazdo kur bantamek?

— Violet usiłująca się wydostać z mydleńca przy klatce dla kurcząt!

— Doskonały pomysł! — pochwaliła go. — Violet opalająca się przy wędzarni! Albo jeszcze lepiej, przycupnięta na dachu wędzarni, spoglądająca na góry.

— Pamiętasz, jak musiałem ją znieść z dachu? W czasie gdy ty pojechałaś sobie do klubu country tańczyć tango z Andrew Gregorem?

— Rumbę — poprawiła go.

— Ile zatem mamy miesięcy?

— Styczeń, luty, marzec, kwiecień.

— Wspaniale. Podejmij się tego. Bułka z masłem. Pocałowała go w czubek głowy.

— To tak, jakby spełniło się najcudowniejsze marzenie, naprawdę. Malowanie akwarel, mieszkanie na wsi w cudownym starym domu na pięknej farmie, bez żadnych zobowiązań...

— Wychodzenie na spacer z psami — dodał, kontynuując wyliczanie — czytanie na głos przy komin-ku...

— Hej.

Dooley stał w drzwiach, w spodniach od pizamy i sfatygowanej bluzie University of Georgia. Przeciągnął się i ziewnął szeroko.

— Hej — odwzajemniła radośnie jego powitanie Cynthia. — Jest dwunasta w południe, wielkoludzie.

— A niech mnie, w całym swoim życiu nie widziałem tylu psów wyłożonych na jednym łóżku, musiałem wstać i spać na sofie w bibliotece.

Barnaba podszedł leniwie do Dooleya, który podrapał go za uchem.

— Hej, kolego, masz u mnie krechę za to, że wyrzuciłeś mnie wczoraj w nocy z łóżka.

Cynthia podeszła do lodówki i otworzyła drzwi.

— Śniadanie czy lunch?

— Tarta! — odparł Dooley.

— Dzwoni Marge — szepnęła do niego, gdy wrócił z biblioteki. — Tak, Marge, mnie też jest przykro. Lekarz powiedział, że nie ma nawet co marzyć o powrocie do pracy przez kilka najbliższych miesięcy...

— Ależ nie, jestem pewna, że razem z Timothyem możemy utrzymać dom w porządku, z pewnością nie w tak świetnym stanie, jak robiła to do tej pory Joyce, ale...

— Nie, naprawdę, nawet tak nie myślcie...

— Ale nie moglibyśmy...

— Flower Girls? Sprzątają i myją okna, i gotują — robią wszystko?

— Jestem jednak pewna, że nie będziemy potrzebować pomocy. Jesteśmy tylko we dwoje.

— Ależ oczywiście, tak, wszystko jest w najlepszym porządku. Mnóstwo śniegu, odkąd wyjechaliście, ale dzisiaj powinno się rozchmurzyć i zrobić cieplej. Dooley jest tutaj, wiem, że chciałby, abym was serdecznie od niego pozdrowiła. A jak się ma Rebecca Jane? Mówi po francusku? O tak, u mnie też coś szumi, bardzo słabo słysząc...

— Flower Girls, tak. Numer telefonu jest w twoim małym czerwonym notesie? Ale tylko jeśli sprawy przyjmą naprawdę zły obrót, co wydaje się nieprawdopodobne...

— Pozdrów od nas Hala i Rebeccę Jane, chyba coś przerywa...

— *Oui, bon soir, ma chérie!*

Gdy zdejmował kurtkę z wieszaka, usłyszał kroki Dooleya, noszącego obecnie rozmiar czterdzieści sześć.

— Zabieram psy na spacer. Masz ochotę się z nami przejść?

— Pewnie. Potem pójdę do kliniki, zobaczyć, czym zajmuje się obecnie Blake.

Dooley i Blake Eddistoe, młody weterynarz Hala, mieli odmienne poglądy na temat medycyny weterynaryjnej. Podczas gdy Dooley preferował stosowanie bardziej naturalnych, mniej inwazyjnych metod, tam gdzie było to możliwe, Blake skłaniał się ku agresywnym programom kuracji farmakologicznej. Bez wątplenia filozofia Blake'a działała, ponieważ Hal był z niego całkiem zadowolony, a jego czterdziestoletniego doświadczenia nie można było przecież lekceważyć. W każdym razie Dooley i Blake będą pracować razem tego lata i ojciec Tim modlił się, żeby dawne drażliwe kwestie pomiędzy nimi zostały rozwiązane.

Wyszli na podjazd i skręcili w prawo w kierunku stodoły, mijając mały domek Williego Mullisa. Z bud uniosła się wrzawa psów rasy beagle Williego, gdy dwaj mężczyźni i psy kontynuowali wędrówkę na północ, opierając się kłującemu wiatrowi.

— Chodźmy obok szopy na traktor, a potem skręcimy na to małe pole obok owiec — zaproponował ojciec Tim. — Jeszcze tam nie byłem.

Przyprószone mrozem trawy na pastwisku trzeszczały pod ich stopami; w powietrzu unosiły się obłoczki oddechów.

— Naprawdę lubię to miejsce — wyznał Dooley.

— To twój drugi dom. Pamiętasz, jak przyjechaliśmy tutaj po raz pierwszy i Goosedown Owen zrzuciła cię do koryta z pomyjami?

Dooley roześmiał się, gdy szli w stronę lasu, a pod ich stopami chrzęścił zalegający jeszcze gdzieniegdzie dużymi łatami śnieg. Za ogrodzeniem czternaście owiec rasy dorset leżało w otwartej szopie, dumając.

— Czy podoba wam się tutaj? — zapytał Dooley.

— Wydaje się nam, że jesteśmy na wakacjach, szczerze mówiąc. Ale może się to stać... jakby problemem...

— Jakim problemem?

Poczuł radość, że Dooley okazał zainteresowanie.

— Mam czasami wrażenie, że marnuję czas. Jestem przyzwyczajony do bycia w wirze spraw, robienia tego, do czego wezwał mnie Bóg.

— Czy nie możesz być w wirze spraw... tutaj?

— Przypuszczam, że tak, ale...

Dooley spojrzał na niego przeszywającym spojrzeniem swoich błękitnych oczu.

— Ale czekam na kolejne rozkazy, można powiedzieć. Biskup Cullen ma coś dla mnie, ale jeszcze się do mnie nie odezwał.

— Na pewno to zrobi — odparł Dooley. Rzucił patyk psu o imieniu Bodacious.

— Hej, Bo!



— Tak myślisz?

— Tak jest. Ludzie naprawdę potrzebują tego, co chce im tato dać.

Ojciec Tim naciągnął na uszy wełnianą czapkę.

— To znaczy?

— Boga — odparł Dooley. — Tato daje ludziom Boga.

Poczuł się wzruszony i nagle zawstydzony. Dlaczego tak się nad sobą lituje? Może rzucić się w wir spraw, bez aprobaty biskupa. Na co czeka? Nagle zrobiło mu się lekko na sercu.

— Dziękuję, synu, za te słowa otuchy.

Uśmiechnął się do tego przystojnego, piegowatego chłopca, który zawitał do jego życia — i zmienił je zupełnie.

Dooley przyglądał mu się przez chwilę.

— Hm, ma tato naprawdę długie włosy.

— Tak, to prawda.

I nie miał pojęcia, co zrobić w tej sprawie. Strzygli mu włosy wszyscy, poczynając od niegdysiejszego malarza pokojowego, poprzez byłego pracownika ochrony w Graceland, a na szalonej kobiecie w spodniach capri kończąc, i żadne z tych rozwiązań nie wydawało się skuteczne w perspektywie długofalowej.

— Czy Sammy może przyjechać i spędzić tu trochę czasu tegolata?

— Ależ tak! Oczywiście.

Młodszy brat Dooleya, Sammy, zniknął ze swoim ojcem wiele lat temu. I chociaż udało im się w końcu go znaleźć, Sammy nie chciał opuścić bezrobotnego, nadużywającego alkoholu Clyde'a Barlowe'a, alias Jaybir-da Johnsona, z którym mieszkał w przyczepie bez telefonu, do której nie docierała poczta. Co gorsza, Sammy był zmuszony odwiedzać Dooleya i swoje rodzeństwo mieszkające w Mitford po kryjomu — co nigdy nie jest dobrym rozwiązaniem. Dooley szedł ze spuszczoną głową.

— Często myślę o Kennym.

— Bóg wie dokładnie, gdzie jest, i pewnego dnia, wierzę, że go do nas przyśle.

— Naprawdę w to tato wierzy czy...

— Czy co?

— Czy też może myśli tato, że tak należy mówić, ponieważ jest tato księdzem?

— Naprawdę w to wierzę. Czy zapomniałeś o naszej umowie? Tej, którą zawarliśmy przed Bożym Narodzeniem rok temu?

— Chyba zapomniałem.

— Będziemy dziękować Bogu za Jego opatrzność w odnalezieniu Poo, Jessie i Sammy'ego, modlić się i oczekiwać, że zaprowadzi nas do Kenny'ego.

Oczy Dooleya jakby na powrót pojaśniały.

— Przybij piątkę — zawołał ojciec Tim.

Kłaśnięcie ich dłoni zabrzmiało jasno i głośno na mroźnym powietrzu.

— Więc! Jaki samochód chciałbyś mieć?

*Panie, miej litość...*

— Pick-upa.

— Ach!

Odetchnął z ulgą.

— Krótka paka. Czterooosobowy. Odtwarzacz CD. Skórzana tapicerka. Regulowana kierownica. Ogranicznik prędkości...

Dooley przyjrzał się z ukosa ojcu Timowi, żeby zobaczyć, jak to przyjmuje.

— Nie MG? Nie mercedes?

— Dla starszych ludzi.

— Nie BMW?

— Za bardzo do przodu. Roześmiał się z ulgą, gdy tak szli.

— Nie wiedziałem, że cokolwiek może być za bardzo do przodu dla studenta.

— To nie jest cool być za bardzo do przodu — wyjaśnił Dooley.

A tam, pomiędzy dębami, ścieżka prowadząca do lasu... wspaniała opcja na wiosenny spacer, pomyślał ojciec Tim.

— Jak myślisz, ile może kosztować taka półcieżarówka?

— Może trzydzieści tysięcy.

Dokładnie tyle zapłacił za swój dom z dwoma sypialniami w Alabamie, gdy był wikariuszem wiele lat temu.

Dooley wsunął głębiej ręce do wyłożonych futerkiem kieszeni swojej kurtki.

— Sześć cylindrów. Rozsuwane tylne okno. Automatyczna skrzynia biegów...

— Wygląda na to, że się nieźle przygotowałeś. Coś jeszcze?

— Czerwony.

Ojciec Tim roześmiał się.

— Kolor twoich włosów — rzucił, przypominając ich stary dowcip.

Skręcili przy zagajniku, gdzie psy ryły nosami przykrytą śniegiem pachnącą ściółkę.

— Zamierzasz, jakby, kupić mi samochód?

— Zdecydowanie musimy znaleźć dla ciebie dobry, bezpieczny środek transportu. Więc...

Jego głos uleciał na wietrze, kiedy kontynuowali wędrówkę.

Większość listu, który doręczył mu prawnik panny Sadie tuż po jej śmierci, znał na pamięć.

*Jak ojciec wie, dałam wiele pieniędzy instytucjom troszczącym się o los człowieka i chciałabym dać coś człowiekowi, dla odmiany.*

*Modliłam się w tej sprawie, podobnie Louella, i Bóg dał nam swoje pozwolenie.*

*Zostawiam pieniądze mamy Dooleyowi.*

*Uważamy, że ma to coś, czego trzeba, żeby zostać kimś. Wie ojciec, że tato nie miał żadnego wykształcenia, a proszę tylko spojrzeć, kim został, bez niczyjej pomocy. I Willard — niech ojciec patrzy, co udało mu się osiągnąć bez żadnej pomocy.*

*Ojciec, brak pomocy może być zbawienny. Ale dostęp do niej może być jeszcze lepszy — jeśli charakter jest wystarczająco mocny. Wydaje mi się, że pomaga ojciec Dooleyowi ukształtować charakter, który pomoże mu zająć wysoko w tym świecie, tak więc pieniądze będą jego, gdy osiągnie wiek dwudziestu jeden lat.*

*(Jestem staromodna i wydaje mi się, że osiemnaście lat to zdecydowanie zbyt wcześnie, żeby dostać spadek).*

*Złożyłam jeden i jedną czwartą miliona dolarów w miejscu, gdzie przyrosną, i podjęłam kroki, aby zabezpieczyć jego wstępny etap nauki. Gdy będzie miał osiemnaście lat, dochód z funduszu będzie pomocny przy opłaceniu jego nauki w college'u.*

*Ufam, iż nie powie mu ojciec o tym, dopóki nie będzie dość dorosły, by przyjąć to z godnością. Ufam również, iż ojciec będzie z nim w chwilach trudnych i dobrych, dokładnie tak, jak robił to ojciec do tej pory.*

List panny Sadie był trochę niejasny — mimo że od strony prawnej pieniądze należały do Dooleya, gdy skończył dwadzieścia jeden lat, miał się o nich dowiedzieć, gdy będzie w stanie przyjąć na siebie tę odpowiedzialność. Zatrzymali się, żeby otworzyć furtkę.

— Więc? — zapytał Dooley. — Powiedziałeś „więc”. Wiercisz we mnie dziurę wzrokiem.

— Więc, tak! Musimy coś zrobić. Ale dlaczego półciężarówka? Co zamierzasz nią wozić?

— Będę ją docierał do czasu, gdy skończę studia weterynaryjne. Wtedy będzie się idealnie nadawała do wożenia całej zgrai takich wyleniałych kundli jak te.

Dooley rzucił kolejny patyk.

— Bierz go, mała!

*Synu, mam ci coś ważnego do powiedzenia. Gdy nadejdzie właściwy czas, będziesz mógł sobie sam kupić swój budynek, mieć własną praktykę i jeździć nowiutką półciężarówką, może nawet dwoma...*

Dlaczego nie powie mu o tym teraz, gdy tak stoją na przeszywającym zimnie przy furtce? Skrywanie tej ogromnej tajemnicy sprawiło, że czuł się tak, jakby połknął dynię.

— Jeżdżenie cały czas samochodem Lace nie jest rozwiązaniem.

— Czy to jej pomysł? Dooley wzruszył ramionami.

— Podoba się jej mój jeep. Ale w jej samochodzie jest ciepło zimą i chłodno latem, a ponieważ u mnie nie da się otworzyć drzwi od strony pasażera, musi wsiadać albo od mojej strony albo... wślizgiwać się przez okno.

Dooley zarumienił się aż po czubek głowy. To było dla niego na pewno krępujące, i ojciec Tim sam zaczął się wstydić.

— OK.

Poklepał chłopca po ramieniu.

— Zajmiemy się tym.

— Wkrótce?

— Tak. Zanim wrócisz na uczelnię.

Dooley się rozpromienił. Ojciec Tim ujrzał jednak w jego oczach ledwie widoczny błysk zwątpienia i podejrzliwości; był to przebłysk dawnego Dooleya, który w swoim życiu tak często doznawał zawodu.

— Tracy? Mówi Tim Kavanagh — przywitał powierniczkę, która zarządzała kontem Dooleya. — Zastanawiałem się, ile wynosi obecnie stan naszego konta... minus podatek. Poczekam. Oczywiście. Dziękuję.

Upił właśnie łyk herbaty, gdy Tracy wróciła do telefonu i podała mu kwotę.

— Do licha!

Nieomal prychnął herbatą na kuchnię.

Milion siedemset dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

— Dobra robota! — zawołał jak najbardziej szczerze.

Silny wiatr omiatał dom; stuletnie krokwie i deski w podłodze tak stukały i jęczały, że można by pomyśleć, iż przeprawiają się przez Atlantycką pod czas wichury.

Jego żona leżała obok niego, spokojnie jak owieczka, podczas gdy on przewracał się z boku na bok, usiłując poskromić swą bujną wyobraźnię.

Wijące się, górskie drogi, zarówno w Georgii, jak i Karolinie Północnej, odtwarzacz CD ustawiony na pełny regulator, kabina i nawet paka pełna jego przyjaciół, sześć cylindrów mocy pod maską; w najgorszym wypadku, Dooley, nie zmrużywszy oka lub zwyczajnie niewyspany, staczający się po zboczach góry przy automatycznie ustawionej prędkości...

— Timothy! — zawołała jego żona, czytając mu w myślach.

— No dobrze! — odparł, czytając w jej.

Odwrócił się i schował twarz w poduszce. Zastanawiał się... Cóż jest złego w objaniu się, tak jak to robił przez kilka ostatnich tygodni? Czyż to nie pierwszy raz w swoim życiu, na litość boską, się objaja? Dlaczego nie może sobie wziąć jednego roku wolnego, po służbie przez blisko czterdzieści lat? Dlaczego czuje się jak łajza, tylko z tego powodu, że nie wstaje punktualnie o piątej rano, tak jak czynił to przez dziesiątki lat, i nie wyrusza na swoją górę, by walczyć jak reszta zwykłych śmiertelników?

Czyż nie marzył przez całe lata, żeby to właśnie robić? Czyż nie tęsknił za czasem, gdy będzie mógł leniuchować, rozmawiać do woli ze swoim najlepszym przyjacielem i pokrewną duszą, czytać, cokolwiek wpadnie mu w ręce, spacerować w mroźnych lasach, oglądać *60 Minutes* i nawet od czasu do czasu film na kanale Turner Classic? I co, jeśli nawet od czasu do czasu przełącza telewizor na kanał z programami kulinarnymi, co w tym złego? Nic!

— Timothy!

— Karaluchy pod poduchy.

W istocie, jeśli taka suma miałaby być ukryta w plymoucie panny Sadie z 1958 roku, musi milczeć o tym fakcie jak grób, w przeciwnym razie wiadomość rozniesie się po Mitford lotem błyskawicy.

Zatelefonował do restauracji w Fernbank, w poszukiwaniu Andrew.

Włoski szwagier Andrew i szef kuchni Lucery, Tony, odebrał telefon.

— Andrew kupuje towar do Oksfordzkich Antyków w Anglii i nie będzie go przez trzy tygodnie.

— No cóż, w takim razie zadzwonię za trzy tygodnie. Zastanawiałem się, Tony — czy stary plymouth panny Sadie nadal stoi w garażu?

— Na ceglach. Andrew kazał go remontować, ogólnie poprawić jego wygląd. Mówi, że chciałby go pokazać na paradzie z okazji 4 Lipca.

— Cudowny pomysł! Widok tego wspaniałego pojazdu na ulicy obudzi jakże miłe wspomnienia. A jak się mają interesy w najwyśmienitszej restauracji krainy gór?

— Mamy zatrzęsienie klientów! Mam nadzieję, że odwiedzi nas ojciec z Cynthią. Zawsze będziecie miłe widzianymi gośćmi. Andrew mówi, że Fernbank nie... należałby do nas, gdyby nie ojca pomoc.

— Przyjedziemy na pewno któregoś wieczoru i się zabawimy! Przekaż od nas serdeczne pozdrowienia swojej prześlicznej siostrze, zatelefonuję do Andrew, gdy wróci. *Ciao!*

Więc samochód nadal tam był. Ale co z dziewięcioma tysiącami dolarów?

Ani słowa z góry.

Gdyby żył jeszcze Absalom Greer, siedziałby pochylony nad kierownicą swojego starego forda sedana, wiernie przemierzając boczne drogi do małych gromadek wiernych, jak nazywał kościółki rozrzucone w dolinach. A on, Timothy Kavanagh, nad czym się pochylał? Nad tomem angielskiej poezji.

Włożył zakładkę pomiędzy strony, wstał i podszedł do okna. Spojrzał na topniejący i spływający z dachu wędzarni śnieg.

*...Nie jest to nic porywającego i Bóg raczy wiedzieć, to będzie wyzwanie...*

Odwrócił się i podszedł do okna w kuchni, uchylił firankę i spojrzał na stodołę niewidzącym wzrokiem.

Cynthia miała rozpocząć ten cudowny projekt, a on co?

Cztery psy i naręcze drewna do kominka.

— Trzy — oznajmił Willie Mullis.

Willie stał w drzwiach do kuchni, z gołą głową i przygnębiony, wysuwając w jego stronę zniszczony kapelusz, zawierający całodzienny zapas jajek.

— Więcej nie potrzebujemy — odparł ojciec Tim, sięgając do kapelusza. — Dziękujemy. Myślisz, że będą niosły więcej, jak przyjdzie wiosna?

— Tak, proszę ojca.

— To dobrze! Myślisz, że będzie jeszcze padał śnieg?

— Nie, proszę ojca.

— Jak twój artretyzm? Trochę lepiej?

— Tak, proszę ojca.

— Wygląda na to, że mamy ładny, ciepły dzień. Temperatura może podskoczyć do ponad piętnastu stopni, jak myślisz?

— Tak, proszę ojca.

— Czy nie potrzebujesz pomocy w stodole?

— Nie, proszę ojca.

— Gdyby tak było, to po prostu daj mi znać.

— Tak, proszę ojca.

Włożył brązowe jajka do miski na stole, przyglądając się im z zadowoleniem. Z odrobiną startego sera, kapką śmietany, listkiem cebuli...

— Czy to był Willie? — zapytała jego żona, wchodząc do kuchni.

— Trzy jajka — odparł, pokazując. — Oczywiście kury będą nosły więcej, gdy przyjdzie wiosna, nie będzie już padał śnieg, temperatura prawdopodobnie podskoczy dzisiaj do ponad piętnastu stopni, a artretyzm dokucza mu trochę mniej.

— Na niebiosa — zawołała — mnie nigdy nie udaje się wydobyć z Williego tylu informacji. Przy tobie robi się prawdziwą gadułą.

19 marca. Przewrócił stronę kalendarza na biurku Owenów.

Dooley miał zostać przez kilka dni w mieście u swojej rodziny i zabrać Lace do kina do Wesley. Potem on i Dooley mieli wybrać się do Holding, gdzie ceny samochodów — według Lew Boyda — są bardziej atrakcyjne. Gdy będą już w Holding, postarają się spotkać z Sammym.

Tymczasem był bardzo rozczarowany swoim biskupem i jeszcze bardziej samym sobą. Postanowił się zmobilizować i coś zrobić, nawet jeśli okaże się to błędnym posunięciem.

Najpierw odwiedzi swojego starego przyjaciela i szefa kuchni na rubieżach, Bezdomnego Hobbesa, który przeprowadził się do tych lasów, gdy Creek został zamieniony w centrum handlowe. Może będzie mógł pomóc Bezdomnemu w jego posłudze.

Potem odwiedzi Lottie Greer, starszą siostrę Absaloma, która mieszkała w górze drogi na tyłach wiejskiego sklepu, który Absalom zbudował w młodości. Dooley nie będzie rozczarowany, jeśli weźmie dla panny Lottie kawałek jego czekoladowej tarty...

— Przynoś plon tam, gdzie zostałeś powołany! — szepnął, cytując naklejkę na zderzaku.

Ach, ale Wordsworth umiał to powiedzieć znacznie lepiej.

— *Jeśli w istocie, Timothy, Twój talent to iskra boża\**... Podeszedł do wieszaka i zdjął kurtkę.

— *Wtedy* — grzmiał donośnie, tak aby jego głos dotarł aż do ostatniej ławki — *na miarę tej z nieba zesłanej światłości*...

\* Fragment wiersza *If Thou Indeed Derive Thy Light From Heaven* Williama Wordswortha.

Nałożył kurtkę, wsunął odziane w skarpety stopy do ciężkich butów i zaczął szukać rękawic...

— *Twórz, księżo! U siebie, i rad bądź stałości!*

— Co, u licha, robisz? — zdziwiła się Cynthia, pojawiając się w holu.

Poczuł, jak czerwieniej mu policzki.

— Głoszę sobie kazanie!

— Aż szyby drżą w oknach.

— No tak, cóż...

— To ten śnieg — zauważyła ze współczuciem. — Trzy miesiące śniegu, po których na pewno nastąpią dwa tygodnie roztopów.

— Posłuchaj, cały czas chodzi mi to po głowie i chciałbym to komuś powiedzieć. Poeta pisze tu o gwiazdach.

... *Mimo że widzi je połowa ziemi,*

*Połowa globu ceni ich płomienie,*

*Nie są wcale bardziej boskiego pochodzenia,  
Ni czystszej istoty niż ta, która płonie,  
Jak samotny ogień-stróż na grzbiecie  
Ciemnej góry, niż te, co zdają się  
Pokornie migotać na zimy nieboskłonie,  
Pośród wyzutych z liści gałęzi drzew...*

— Samotny ogień-stróż — powtórzyła. — Pokornie migotać na zimy nieboskłonie. Ładne!  
Westchnął głęboko i opadł na taboret obok drzwi.

— Potrzebuję pracy — wyznał.

— I ja też jej dla ciebie potrzebuję, najdroższy. Och, bracie, czyż nie.

Wyjeżdżał właśnie półciężarówką na podjazd, gdy Cynthia wybiegła z kuchni i zaczęła do niego machać, żeby się zatrzymał.

Odsunął okno.

— Dzwoni Stuart! — zwołała. Poszedł do domu z bijącym sercem.

— Timothy, mówi Stuart, ogromnie przepraszam, że zajęło mi to tak dużo czasu. Mógłbym się długo tłumaczyć, ale — żeby nie przedłużać... Co byś powiedział na to, żeby zostać wikarym?

## Rozdział trzeci

### *Wierni pozostali*

Znalazł Cynthię w pralni.

— Tak się cieszę! — Ucałowała go radośnie w policzek.

— I ja się cieszę — wyznał. — Nie będę ci już przynajmniej suszył głowy.

Roześmiała się.

— Ale ja uwielbiam, jak suszysz mi głowę. A skoro już mowa o głowie...

— Lepiej nie wracajmy do tego tematu.

— A zatem, powiedz mi, kochanie — kim jest wikary? Wiesz, że wywodzę się z prezbiterian.

Wepchnęła ich dzinsy i dzinsowe koszule do pralki.

— Wikary to ksiądz w kościele, który nie jest parafią.

— A więc nadal jesteś księdzem! Do pojemnika wsypała proszek.

— Zdecydowanie tak!

— Czy nadal zwracamy się do ciebie „ojcze”?

— Tak! Zaledwie kilka rzeczy się zmienia, naprawdę... Po pierwsze, pieniądze.

— W tym sęk.

— Będę dostawał stypendium, parę groszy. Ale nie ma się czym martwić, Kavanagh, odłożyłem sporo pieniędzy na nasz wypadek do Irlandii w następnym roku. A teraz, dobra wiadomość — nie będę się musiał zadawać z radą parafialną.

— Alleluja!

— Niech no sprawdzę, z czym jeszcze mogę mieć do czynienia.

Poszedł do kuchni i zaczął kartkować jeden z wielu tomów, które przywiózł na farmę, i wrócił do pralni.

— „Wikary: ksiądz ustanawiany przez biskupa w danej parafii, aby sprawować ograniczoną władzę w danym mieście albo okręgu diecezji”. Tutaj jest inna definicja: „Asystent biskupa odpowiedzialny za kościół albo misję”. I na koniec — dodał — duchowny odpowiedzialny za kaplicę.

Przekręciła gałkę na pozycję „Start”.

— To całkiem dużo odpowiedzialności, jeśli chcesz znać moje zdanie.

— Szczególnie że Holy Trinity stał pusty przez blisko czterdzieści lat.

Serce biło mu mocno, gdy się nad tym zastanawiał. Pusty przez czterdzieści lat! Dlaczego, u licha, Stuart miałby być „jawnie zazdrosny” w przypadku takiej perspektywy? Pozbycie się stamtąd myszy i wiewiórek wydaje się zadaniem niezłych rozmiarów — a potem, zapełnienie kościoła ludźmi, Bóg raczy wiedzieć skąd...

— Wyglądasz na mało przekonanego — zauważyła, składając ręczniki.

— Nie na mało przekonanego. Na kompletnie zaskoczonego!

Zamknął książkę i wsunął ją pod ramię.

— I przestraszonego na śmierć, jeśli mam być całkiem szczery.

— Pamiętasz, kochanie, co powiedział James Hudson Taylor; cytowałeś mi to, jak zabierałam się do pracy nad niejedną książką o Violet. „Są trzy etapy w każdym dziele Boga: niemożliwe, trudne, zrobione”.

Ze wszystkich możliwych rzeczy! — pomyślał. Ze wszystkich możliwych rzeczy...

— Pozwól, że się za ciebie pomodłę.

Ujęła jego dłoń w swoje ręce, a jego natychmiast ogarnęło pocieszające i pewne uczucie, że jej dotyk jest jak koło ratunkowe, które rzucił mu sam Bóg, jakby był obecny w pokoju, co oczywiście było najprawdziwszą prawdą.

Odmawiali wspólnie wielkopostną modlitwę.

— „...Teraz, gdy zbliżamy się do zachodu słońca, a naszym oczom ukazuje się wieczorne światło, śpiewamy na Twoją chwałę, Boże: Ojczy, i Synu, i Duchu Święty...”

Odmówił następnie błogosławieństwo nad posiłkiem i patrzyli na siebie przez chwilę, nad sosnowym stołem.

— Jestem wdzięczny za ciebie — wyznał — tak bardzo, że nie mogę wyrazić tego słowami.

Psy chrapały, ogień trzaskał na kominku, zegar wybił siódmą.

Przechyliła na bok głowę i uśmiechnęła się do niego.

— Oto siedzimy, pod nieboskłonem zimowego nieba, dwoje ludzi patrzących w nieznaną przyszłość, trzymając się za ręce ponad stołem, w pokoju oświetlonym jedną świecą i ogniem na palenisku. To wszystko wydaje mi się zbyt cudowne, Timothy, i czuję się tak spokojna co do twojego nowego powołania; znowu powierzył ci zaszczytną misję.



Wiedział, że jego żona ma rację. Bez względu na myszy i wiewiórki, a nawet, niech Bóg broni, węże, wiedział, że jego żona ma rację.

Oddychał lekko, a potem zrobił coś czego, jak dobrze pamiętał, nie robił już od dawna. Oparł się wygodnie o oparcie krzesła i poczuł, jak ustępuje całe napięcie.

— Ach... — westchnął.

— Amen! — odpowiedziała z uczuciem.

Po naradzie z Cynthią poszedł do biblioteki.

<Moja droga Emmo

<Kup czarną.

<I czerwoną apaszkę.

<Twój w Panu.

<o. Tim

Mimo że nie miał klucza, aby wejść do środka, wyruszył o świcie, żeby zobaczyć Holy Trinity, zwany Little Trinity ze względu na ograniczoną i wynoszącą zaledwie czterdzieści miejsc pojemność kościoła.

Bez względu na to, jakie czekały go przeszkody, zawierzył je wszystkim Bogu i pozwoli, aby to On rządził; co do niego samego, odda się temu zadaniu całym sercem, a Nieprzyjaciel będzie się musiał obejść smakiem.

Nadal będzie nosił koloratkę i szaty liturgiczne; nadal będzie celebrował mszę świętą i wykonywał wszystkie inne obowiązki księdza. Więc, zaiste, prawie nic się nie zmieni.

Wrzucił drugi bieg, gdy półcieżarówka zaczęła pokonywać wzniesienie, zmierzając na zachód. A nawet gdyby się miało zmienić?

Ta myśl przyprawiła go niemal o zawrót głowy, jakby w jego organizmie uwolniło się coś gazowanego.

Spojrzał na Barnabę, który siedział na fotelu pasażera, patrząc nieruchomo przed siebie.

— Wikary! — rzucił, smakując to słowo. — Co myślisz?

Cynthia nazywała go najdroższym; żona jego kuzyna misiem; jako chłopiec miał przydomek Śliski, nie-stety; jego mama często nazywała go Timmym; Dooley nazywał go tatą; a wszyscy bez wyjątku zwracali się do niego: ojcze; a teraz dostał jeszcze jedno imię, pochodzące, jakże stosownie, od *vicarious*, „sprawowany w zastępstwie”.

Pokonywał zakręty starannie, trzymając się blisko krawędzi drogi. Niektórzy ludzie na tych terenach lubili jeździć środkiem jezdni, bardzo ryzykowna skłonność, której pochodzenie wytłumaczono mu na poczcie w Farmer. „Płacimy podatek za obydwie strony drogi”, stwierdził Merle Hoff, którego ziemia graniczyła od północy z Meadowgate.

Jego pierwszym zadaniem będzie wezwanie ślusarza, zajmie się tym, gdy dotrze na farmę. A kogo wynajmie, żeby pozamiatał, załatał dach i naprawił komin, i wymienił spróchniałe deski w podłodze, i ogólnie doprowadził wszystko do porządku? Zajmie się tym we właściwym czasie.

Stuart mówił, że jego asystent planował przyjechać i rozpoznać sytuację w Holy Trinity, ale nie udało mu się tego zrobić wskutek nieprzewidzianych wydarzeń i szczegóły były im prawie zupełnie obce. Szczerze mówiąc, poświęcenie katedry, uroczystości związane z przejściem Stuarta na emeryturę i konsekracja nowego

biskupa miały się wydarzyć jednego dnia. Fakt ten wprawiał wszystkich w zarządzie diecezji w przerażenie i sprawiał, że wszyscy uwijali się jak w ukropie.

Stuart powierzył zatem wszystkie sprawy związane z Holy Trinity jemu. To miało być w całości jego dziecko, z całym inwentarzem; innymi słowy, miał wszystko sprawdzić, wziąć się do roboty i wyprowadzić całość na prostą. Według Stuarta ktoś, kto przekazał anonimowo okrągły milion na budowę katedry, był również osobiście zainteresowany tym, aby przywrócić do stanu świetności Holy Trinity i dorzucił dodatkowe dwadzieścia pięć tysięcy na ten cel.

Ponadto Holy Trinity miała otrzymywać wszystkie datki, jakie diecezja otrzymywała na poprawę infrastruktury i lokalne programy społeczne.

— Jesteś idealną osobą na to stanowisko — oświadczył mu Stuart. — To, że mieszkasz obecnie parę kroków od kościoła, nie miało nic wspólnego z moją decyzją — chociaż ułatwia to trochę sprawy dla mojego nowego wikarego, tak mi się wydaje! Wiesz, Timothy, że darzę cię ogromnym szacunkiem. Nie mam zamiaru rozgadywać się o tym i sprawić, żeby przewróciło ci się od tego w głowie, pozwól jedynie, że powiem, iż należysz do tych rzadkich, najwyższej klasy pastorów — proszę, zrozum mnie tutaj dobrze — z którymi miałem przywilej wspólnie służyć.

— Jesteś zbyt łaskawy — odparł. — Muszę ci jednak powiedzieć, że obiecałem Cynthii, że zabiorę ją za rok do Irlandii na dwa, trzy miesiące. Zasiadzieliśmy się na wsi już zupełnie, muszę dotrzymać swojej obietnicy.

— Czy możesz poświęcić naszemu zadaniu jeden rok?

— Dokładnie jeden rok, niestety.

— Pozwól, że cię zacytuję, Timothy. „Załatwione”. Sprawisz, że Holy Trinity zacznie sprawnie funkcjonować, a my pošlemy wikariusza na stałe.

Nie zapytał, co dokładnie sprawiło, że jego biskup był tak podekscytowany całym projektem i tak jawnie zazdrosny.

Wydawało mu się, że pokonał kilkaset metrów, wspinając się krętą drogą, która była w dość złym stanie. Niektóre koleiny były tak głębokie jak rowy nawadniające.

Utrzymanie stromej bitej drogi, tak aby nie zmyły jej deszcze, było zawsze bardzo trudnym zadaniem...

Krajobraz był nadal zdecydowanie zimowy, mimo że można było już dostrzec zawiązki liści. Gdy spoglądał w lewo, w stronę nagich lasów, jego oczom od czasu do czasu ukazywała się góra. Ten widok zawsze głęboko go poruszał. Po prawej stronie nie kończące się górskie łąki ze skalnymi formacjami...

Przez kolejne dwa, trzy kilometry droga prowadziła po płaskim terenie, potem kończyła się niespodziewanie przy wartkim strumieniu. Zauważył z ulgą, że droga ciągnie się dalej za strumieniem.

— Bród! — zwrócił się z wyjaśnieniem do Barnaby.

Nie widział brodu już od lat.

Przejechał ostrożnie półciągarówką przez wysoką wodę utworzoną przez topniejący i spływający z góry śnieg i spojrzął na zegarek. Jeśli wskazówki od Williego Mullisa były poprawne, to powinien się już zbliżać do celu. Gdy oddalał się od strumienia, drzewa zaczęły tworzyć łuk nad drogą; światło przebijało się przez spleta-

ne gałęzie i tworzyło tańczące na masce samochodu plamy. Przy starym dębie droga skręciła gwałtownie i zobaczył go — biały, kryty gontem budynek z dzwonnica, kamienną podmurówką i zwrócony na zachód.

Ale nie tego się spodziewał, w ogóle.

Mimo że kościół stał tyłem do przyjeżdżających, było oczywiste, że ktoś dba zarówno o sam budynek, jak i teren przykościelny. Wszystko wydawało się doskonale utrzymane. Nic nie sugerowało ruiny czy zniszczenia.

Przyjrzał się uważnie zielonemu cynowemu dachowi i wysokiemu oknu widocznemu z tyłu. I jedno, i drugie najwyraźniej było w najlepszym porządku.

Czy był to rzeczywiście kościół Holy Trinity? Wyblakły, odręczny napis na tabliczce znaczącej, jak mu się wydawało, parking zdawał się to potwierdzać.

Wyłączył zapłon, otworzył drzwi półciężarówki, wypuszczając Barnabę, a następnie sam zeskoczył ze stopnia samochodu. Poczul natychmiast ukłucie ostrego, świeżego, górskiego powietrza w płucach.

Z miejsca, w którym się znajdował, dostrzegł promienie słońca ogrzewające górskie szczyty, ale pełny widok zasłaniał niski kamienny murek biegnący przed kościołem.

— Chodź, przyjacielu!

Poszedł wzdłuż ściany kościoła tak podekscytowany, jakby nigdy wcześniej nie widział, jak wschodzące słońce oświetla znajdujące się w dole wzgórze.

Dobry Boże!

Wyglądało to tak, jakby w dole za murkiem otworzyło się przed nim całe boskie stworzenie. Ocean najstarszych gór świata zdawał się kłębić w dole, tocząc swe wody na zachód, najpierw falami zieleni, a potem w oddali, błękitu. Nieduże obłoczki mgły gromadziły się w szczelinach; a słońce czerwonego, pokerowego koloru oświetlało promieniami wzgórze i skaliste grzbiety, wschodząc nad drzewami z tyłu.

Przeżegnał się, przepełniony radością.

Wydawało mu się, że stoi na szczycie świata, a wszystkie obawy i przerażenie pozostały daleko w dole; zaiste wydawało mu się, że stoi na świętej ziemi...

Ale oczywiście, stał na świętej ziemi.

Odwrócił się i spojrzał na kościół. Przez otwarte podwójne drzwi i krótki narteks do wnętrza, oświetlając ławki, wpadało światło.

— Barnaba! Czy to sen?

Wbiegł po trzech kamiennych schodach i wszedł do narteksu.

Miał wrażenie, że pachniało kadzidłem, z nutą starego drewna i igliwia, mgły i kamienia, i próchnicy, całego koncertu natury, w której Holy Trinity tkwił od ponad stu lat.

Przeszedł do nawy i skłonił się głęboko przed drewnianym krzyżem nad ołtarzem, dziękując za pochodzącą z niego radość, która przepełniła go tak niespodziewanie.

A on spodziewał się najgorszego!

Co dziwne, sosnowa podłoga była zamieciona; z krokwi nie zwisały pajęczyny; nawet okna wyglądały na przyzwoicie czyste.

Podrapał Barnabę za uchem, zupełnie oniemiały.

A więc właśnie to przygotował dla niego Bóg.

Odwrócił się do balustrady przed ołtarzem i przesunął dłonią po drewnie. Dąb. Żłoty, z dużymi słojami. Potarł drewno kciukiem, pograżony w myślach i poważny, potem opadł na kolana na gołej podłodze i oparł głowę na balustradzie. Barnaba usiadł obok niego.

*Panie, dziękuję Ci za przygotowanie mnie w każdy możliwy sposób na to, abym spełnił Twe oczekiwania, wypełniając tę misję, i że zechciałaś obdarzyć mnie tym powołaniem. Pokaż mi, jak dostrzegać tutejsze potrzeby i jak je zaspokajać, na Twoją chwałę i cześć.*

Kontynuował na głos:

— Pobłogosław pamięć wszystkich tych, którzy gromadzili się w tych ławkach i życie tych, którzy zgromadzą się tutaj ponownie.

Barnaba oparł się o ramię wikarego.

— Jestem Twój, o Panie. Pokaż mi, jak działać, naucz mnie Twoich ścieżek, prowadź mnie w Twojej prawdzie i ucz mnie. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Unióś głowę i przyglądał się grze światła wpadającego do wnętrza przez znajdujące się za nim otwarte drzwi. Gdzie był ten, kto otworzył kościół? I dlaczego budynek był przygotowany na kongregację, która jeszcze nie została zebrana?

Wstał i rozejrzał się dookoła, oglądając ściany ze żłobionych bali, sufit wspierający się na sosnowych belkach, okna zapraszające do małego pomieszczenia las i niebo...

— Dzień dobry! — zawołał.

Stał w przejściu, spoglądając na ławki i góry, zieleni, błękit i purpurę w falującym porannym świetle...

*Twórz, księżo! U siebie, i rad bądź stałości!*

Czuł mrowienie w koniuszkach palców, wywołane ekscytacją na myśl o tym, co go czeka, oraz surowym zimnym wiosennym rankiem na wysokości prawie półtora tysiąca metrów.

Rozejrzał się jeszcze w poszukiwaniu modlitewników czy śpiewników, ale nic nie zauważył, następnie poszedł wzdłuż ławek do wyjścia, zszedł po schodach, przyłożył do ust zwinięte dłonie i ponownie zawołał:

— Dzień dobry!

Usłyszał jednak tylko echo i wołanie samca kardynała na gałęzi sosny w pobliżu drzwi.

Razem z Barnabą wbiegli do kuchni, gdzie przy wychodzącym na północ oknie Cynthia rozłożyła swoje przybory do malowania.

— Timothy? — Wyglądała na dziwnie zaskoczoną jego widokiem. — Wyglądasz, jakby ci ubyło dziesięć lat! Co się stało?

Usiadł energicznie na kanapie w oknie.

— Nie uwierzysz — zaczął.

Powiedział Dooleyowi, skąd pochodzą fundusze na zakup samochodu — a mianowicie z zasobności kiesy i szczodrobliwości serca panny Sadie Baxter; zapytał powiernika, jak przelać pieniądze na konto dilera; przeszedł również szkolenie telefoniczne, jak wyjść z całej sytuacji bez znacznego uszczerbku finansowego.

— Poproś, żeby pokryli koszty transportu.

— Aha. Może to zrobić.

— I nie kop opon. Już się tego nie robi.

I tak kontynuował Lew swoją listę absolutnie niezbędnych zachowań przy zakupie półciężarówki.

Ale oczywiście w salonie nie było półciężarówki, która ich interesowała. Lista dodatkowego wyposażenia sprawiła, że taki samochód musiał zostać zamówiony u producenta, a okres oczekiwania wynosił cztery miesiące.

— A może wystarczą trzy? — zapytał przekonany, że to zupełnie rozsądna propozycja.

— Cztery miesiące — odparł handlowiec.

Oczekiwał, że Dooley zgodzi się na uboższą wersję i weźmie półciężarówkę, którą będą mogli wyjechać z salonu.

Nie wchodzi w grę.

Dooley zastanawiał się przez chwilę nad błękitnym modelem, który posiadał część dodatkowego wyposażenia, jakie go interesowało, i w końcu oznajmił swoją przemyślaną decyzję.

— Poczekam na czerwoną.

— Którą czerwień wybierasz? — zapytał handlowiec, który skropił się zdecydowanie większą ilością wody po goleniu niż J.C. Hogan. — Na twoim miejscu wybrałbym Impulse Red Pearl, to połączenie metaliku i naprawdę przyjemnej gustownej rdzawej czerwieni. Na przykład Radiant Red rzuca się bardzo w oczy, mam na myśli policję.

— Zdecydowanie Impulse Red! — zawołał ojciec Tim. — Przepraszam, synu. To zależy wyłącznie od ciebie.

Dooley uśmiechnął się.

— Impulse Red. Właśnie ten chciałem wybrać.

Był dumny ze swojego chłopca. Gotowość Dooleya, żeby czekać na to, na czym mu naprawdę zależy, była jego zdaniem oznaką charakteru.

Panna Sadie byłaby zadowolona.

Przeszli się Main Street w Holding, na odcinku, gdzie nieomal wszyscy znali Sammy'ego. Mimo że Dooley wysłał do swojego brata list do odbioru na pocztę, w którym napisał, że chciałby się z nim spotkać dzisiaj rano w drogerii, sprzedawczyni powiedziała, że nie widziała Sammy'ego już od kilku tygodni.

To musiało być na początku lutego, powiedziała im, wykladała kartki walentynkowe na stojak, gdy przyszedł Sammy i kupił baton Snickers.

— Jak wyglądał? — chciał wiedzieć Dooley. — Był chory, wyglądał źle?

— Ależ nie — zaprzeczyła. — Wyglądał tak jak zwykle, mówił, że idzie do fryzjera.

Dooley i ojciec Tim spojrzeli na siebie. Sammy dumnie powtarzał, że sam ścina sobie włosy.

— Ile kosztuje ścięcie włosów w Holding? — zapytał Dooley.

— Wydaje mi się, że osiem dolarów. Mój mąż, Wayne, zmarł dwa lata temu i już nie jestem na bieżąco. Kiedy znaleźli się na chodniku, Dooley zmarszczył czoło.

— Napisałem do niego, że jadę do domu, i dziwiłem się, że mi nie odpisał.

Dooley kopnął czubkiem tenisówki w słup ulicznego znaku.

— Można by pomyśleć, że gdyby już miał osiem dolarów, nie wydawałby ich na strzyżenie.

— Chodźmy do fryzjera — zaproponował ojciec Tim. Fryzjer spojrzał na nich sponad jednego z dwóch stanowisk.

— Sammy! Wyglądasz, jakbyś miał odprawić pogrzeb, chłopcze. Skąd wzięłeś ten szmal?

— Mam na imię Dooley; Sammy jest moim młodszym bratem. Był tutaj ostatnio?

Fryzjer zamrugał gwałtownie, jakby nie widział zbyt dobrze.

— Nie, odkąd obciąłem mu włosy, ach, kiedy to było, gdzieś w lutym, myślę. Widywałem go w mieście od małego, ale wtedy po raz pierwszy obcinałem mu włosy.

— Po co obciął mu pan włosy? Fryzjer wyglądał na zaskoczonego.

— Bo mnie poprosił.

— To znaczy, wybierał się gdzieś czy...?

— Mówił, że chyba wybiera się gdzieś autobusem, nie pamiętam gdzie. Jesteście podobni do siebie jak dwie krople wody. — Fryzjer przyjrzał się uważnie Dooleyowi. — No może jest odrobinę wyższy.

— Trzy centymetry — powiedział Dooley. — Kto jeszcze w mieście może coś wiedzieć o Sammym?

— Nie mam pojęcia. Zagląda zawsze do drogerii i do klubu bilardowego. Widziałem, że już byliście w drogerii. Wiem, że czasami chodzi na pocztę; zagląda też od czasu do czasu tutaj, żeby się dowiedzieć, co sły-  
chać.

Poszli do klubu bilardowego i na pocztę, a potem nad rzekę, gdzie próbowali znaleźć Lona Burtiego, weterana z Wietnamu, który troszczył się o Sammy'ego. Lon będzie z pewnością wiedział, gdzie jest Sammy. Ale Lona nie było w domu.

Zostawili wiadomość zatknietą za metalowym prętem drzwi z siatką, prosząc, aby Lon kazał zadzwonić Sammy'emu do Dooleya na farmę.

Jak najszybciej. Na koszt rozmówcy.

Nie ma półciężarówki i nie ma młodszego brata. Jechali na górę bez słowa.

— Zabieram cię na zachód słońca.

— Kocham zachody słońca!

— ...pick-upem.

Nałożyła swoją futrzaną kurtkę z kapturem.

— Kocham pick-upy. Roześmiał się.

— A czego ty nie kochasz, Kavanagh?

— Dwudziestopięciowatowych żarówek w lampach do czytania, kotów, które wymiotują na wycieraczkę po pożarciu myszy, plam starczych...

— Stara śpiewka — odparł.

— Tylko spójrz! Pokazała mu tył dłoni.

— Piegi — stwierdził. — Daję ci słowo.

Na myśl o tym, że usiądzie na kamiennym murku z Cynthią, najnormalniej w świecie kręciło mu się w głowie. To właśnie z nią najbardziej chciał podzielić się tym nadzwyczajnym widokiem. A zaraz potem, oczywiście, z Dooleyem — przywiezie tutaj Dooleya podczas jego długich letnich wakacji. I Puny, i wnuki, całą menażerię...

— Będę ci pomagała w każdy możliwy sposób — obiecywała, gdy pokonywali samochodem nierówne koryto strumienia, a następnie pieli się w górę drogą po jego drugiej stronie.

— Proszę tylko, żebyś nie kazał mi urządzać kolacji ze spaghetti.

— Holy Trinity to nie jest parafia w typie kolacji ze spaghetti.

— A w jakim wobec tego jest typie?

— Zobaczysz.

Usiedli na murku i trzymając się za ręce, podziwiali krajobraz.

— A to tylko wiosenny zachód słońca — zauważyła.

— Poczekaj tylko do jesieni! Jak zniesiemy takie piękno?

Był zadowolony, że drzwi do kościoła były zamknięte; nie chciałby umniejszać radości wywołanej zjawiskowym pięknem widoku przed nimi.

Podeszli do samochodu, trzymając się za ręce w zapadającym zmierzchu.

— Więc jak myślisz, w jakim typie jest to miejsce? — zapytał.

Spojrzała na niego, szczęśliwa i pełna nadziei.

— W typie kolacji na wolnym powietrzu!

— Strzał w dziesiątkę! — wykrzyknął wikary.

W zimnym zacinającym deszczu spotkał się ze ślusarzem przy Holy Trinity. Nie zauważył znaków niczyjej obecności. W istocie, drzwi były ponownie zamknięte.

Ślusarz pochylił się nad osłoną zamka, podczas gdy ojciec Tim usiłował ochronić ich przed deszczem tarczą parasola.

— W żaden sposób nie mogę dorobić klucza do tego cuda. Ten zamek musiał tu zostać założony, gdy George Washington ścinał wiśnię swojego ojca\*. Nie mam odpowiedniego sprzętu, żeby zająć się zrobieniem takiego klucza.

\* Według anegdoty, George Washington jako chłopiec ścinał nowo zasadzoną przez ojca wiśnię. Gdy zapytany, przyznał się do tego czynu, ojciec pochwalił go, mówiąc, że woli mieć prawdziwne dzieci niż sad pełen wiśni.

— Więc, co możemy zrobić?

— Wymienić zamek. Nic innego nam nie pozostaje.

— Dzisiaj? Teraz?

— Muszę pojechać do miasta i kupić to, co mi będzie potrzebne, mogę się tu z ojcem umówić jutro rano około ósmej, ósmej trzydzieści.

— Niech tak będzie — odparł. — Ale proszę znaleźć coś w antycznym stylu, żeby nie było błyszczące.

Po drodze na farmę zdał sobie sprawę, że nie podoba mu się ten pomysł.

Osoba, która tak troskliwie opiekuje się Holy Trinity, nie będzie się mogła dostać do kościoła; zaiste to on będzie intruzem, nie oni.

Zadzwoił do ślusarza do domu i zostawił wiadomość.

— Buster, mówi Tim Kavanagh. Nie jedź do Holy Trinity rano, chciałbym poczekać jeszcze parę dni. Mam nadzieję, że nie jest to dużym kłopotem. Skontaktuję się z tobą.

Jak miał się skontaktować z osobą, która samoistnie ustanowiła się kościelnym Holy Trinity?

Odpowiedź, która przysłała mu do głowy, była prosta, jeśli nie całkiem oczywista. Zostawi wiadomość.

*Drogi Przyjacielu* — napisał na papierze listowym Meadowgate Farm. — *Niech Bóg błogosławi Ci obficie za Twoją troskę o dobro Holy Trinity. Wykonałeś naprawdę wspaniałą pracę!*

*Biskup Stuart Cullen ustanowił mnie wikarym Holy Trinity, powierzając mi zadanie odrodzenia i doprowadzenia do stanu świetności miejscowej kongregacji.*

*W tym celu muszę dorobić klucze. Niestety, mój ślusarz nie jest przygotowany na wykonanie klucza do takiego starego zamka i w konsekwencji musimy wymienić zamek.*

*Gdybyś zechciał do mnie zadzwonić na poniższy numer, chętnie omówiłbym z Tobą ten i inne szczegóły dotyczące nadchodzącej renowacji HT.*

*W Tym, Który pokochał nas pierwszy.*

Podpisał się starannie, stawiając obok znak krzyża.

*Ojciec Timothy A. Kavanagh †*

Wrzucił do półciężarówki rolkę taśmy klejącej, której użyje, żeby przymocować wiadomość do drzwi.

Spojrzał na niebo.

*Gdy jaskółka lot swój zniża, deszcz się zbliża...*

Jaskółki nie latały nisko dzisiaj rano, więc być może deszcz nie pokrzyżuje mu planów i nie zniszczy odręcznie napisanego przesłania.

Zostawił śpiącego Barnabę i wyruszył na zachód wąwozem doliny, a następnie wijącą się górską drogą, pokonując nadal wartki strumień. Kontynuował drogę w tunelu pączkujących drzew, potem skręcił przy dębie i zatrzymał się na parkingu. Dwadzieścia i dwie dziesiąte kilometra. Dwadzieścia jeden i dziewięć dziesiątych minuty.

Poszedł szybko do kościoła i ujrzał, że drzwi są znowu otwarte. Ha! Nie będzie musiał jednak przyklejać wiadomości.

— Dzień dobry!

Wchodząc do nawy, nie posiadał się z radości.

— Dzień dobry! — zawołał ponownie. Żadnej odpowiedzi.

— Do licha!

Zauważył sznur wiszący po prawej stronie drzwi i pociągnął go gwałtownie.

Dzwon w wieży nad jego głową zadźwięczał żałośnie. Będzie musiał pociągnąć znacznie silniej, niż początkowo myślał...

*Bam!*

No proszę, na Jowisza! Chwycił sznur jeszcze mocniej i pociągnął ponownie.

*Bam!*

Dźwięk poszybował radośnie przez wielką głębię wąwozu i wrócił do niego, falujący i cudowny.

*Bam!*



Nie ma stu lat, żeby zrobić tu, co do niego należy, ma czas do następnego kwietnia i ani chwili do stracenia.

*Bam!*

Powoli nabierał wprawy.

*Bam!*

Sznur wysunął mu się z dłoni, chwycił go i pociągnął ponownie; dźwięk rozbrzmiał donośnie...

*Bam!*

Może to sprowadzi tajemniczego kościelnego. W każdym razie to cholernie dobry sposób, żeby się rozgrzać w zimny poranek.

*Bam!*

Wystarczy.

Otarł chusteczką zroszone potem czoło. Na równi z rąbaniem drewna...

Przeszedł pomiędzy ławkami i przyglądał się uważnie obydwu bokom ołtarza, szukając włącznika światła. Znalazł go i nacisnął. No tak! Nieduży żyrandol z trzema żarówkami oświetlił nawę, chociaż dość słabo. A tam, po lewej stronie były drzwi. Nie zauważył ich wcześniej. To powinna być zakrystia...

Zamknięta. Ślusarz nie narzekałby tutaj na brak zajęć.

Przeszedł szybko pomiędzy ławkami, zbiegł po schodach i sprawdził północną stronę kościoła. Nie było zewnętrznych drzwi do zamkniętego pomieszczenia...

Nie było też toalety, oczywiście. To typowe dla starych misyjnych kościołów. Będą musieli zainstalować przenośną toaletę.

Wrócił do nawy, wyjął mały notes i pióro z kieszeni kurtki i usiadł w pierwszej ławce po lewej stronie.

Będzie musiał zamówić modlitewniki i śpiewniki, i oczywiście klęczniki. Klęczniki nie muszą być haftowane złotem przez cały tłum Kobiet Kościoła Episkopalnego, widział katalog z klęcznikami ze skóry ekologicznej, w cenie około pięćdziesięciu dolarów. Kielich i patena... obrusy... kilka flakonów na kwiaty na ołtarz...

Ha! Oczywiście! Ambona! Całkiem istotny element wyposażenia, ambona. I pulpit, do czytania lekcji...

Przerwał na chwilę pisanie i spojrzał na żyrandol. Jak, u licha, ktokolwiek będzie w stanie czytać przy tym żalonym oświetleniu? W deszczowy albo pochmurny dzień będą potrzebować latarek!

Co jeszcze? Opłatki, które razem z Cynthią mogą upiec z przepisu, jaki udało mu się stworzyć, gdy był wikariuszem. Miska i dzban na wodę do zakrystii...

To przypominało urządzenie nowego domu. Podczas gdy większość księży otrzymywała piękny budynek, pełen najnowszych sprzętów, on zaczyna od zera.

Zaczyna od zera! Brzmi całkiem nieźle, jak się z tym już oswoić.

I muzyka... co można zrobić w sprawie muzyki? Może ogłoszenie na poczcie zaowocowałyby bezpłatnym akompaniamentem? Ale z drugiej strony, chyba nie. Może spróbuje znaleźć jakieś pianino w Mitford...

Tymczasem zostawi ogłoszenie na poczcie i w wiejskim sklepie, informując, że Holy Trinity otworzy wkrótce swe podwoje dla klientów, w pewnym sensie, a potem zadzwoni do okręgowego agenta handlu nieruchomości, który prawdopodobnie pomoże mu w rozpowszechnieniu tej informacji.

Chociaż to wszystko było bardzo pożyteczne, prawdziwym kluczem do wszystkiego będą wizyty w domach, bez wątpienia. Gdy Dooley wyjedzie na uczelnię w sobotę, od razu się tym zajmie.

Rozejrzył się po nawie, przyglądając się miejscu na północnej ścianie, gdzie rura od pieca wyprowadzała kiedyś dym na lodowate zimowe powietrze. Przypuszczał, że znowu będą go potrzebować, ponieważ nie widział rur, które sugerowałyby, że Holy Trinity została wyposażona w system ogrzewania. W każdym razie, zajmą się tym w odpowiednim czasie.

Przypomnił sobie Lord's Chapel i chór liczący ponad dwadzieścia dobrze wyćwiczonych głosów, i Richarda grającego z pasją na organach, i jak to wszystko sprawiało, że wszyscy aż czuli mrowienie w koniuszkach palców, w każdą niedzielę. I witraże w oknach, osadzone w wyłożonych dębem ścianach nawy i prezbiterium, niczym rzadkie klejnoty... Jezus w turkusowej poświacie pod zstępującym gołębiem, i święty Jan w swojej przepasce na biodrach, wyglądający na absolutnie zaskoczonego cudownym pojawieniem się Syna Bożego, i zarazem jego własnego kuzyna...

Pamiętał uczucie zmęczenia, po nie kończącym się doglądaniu setek szczegółów, tylko po to, żeby po raz kolejny przeżyć wzniosłe uczucie towarzyszące przejściu w procesji z chórem i kongregacją z mroźnego terenu kościelnego do ciepłej nawy, z Wielkiego Postu w Wielkanoc, podczas gdy wszystkie głosy jednoczyły się z trąbką w cudownym hymnie, który uwielbiał od dziecka.

*Jezus Chrystus dziś zmartwychwstał*

*Al...le...lu...ja!*

*Zwycięski, święty dzień nasz,*

*Al...le...lu...ja!*

Z zaskoczeniem odkrył, że stoi w ciszy Holy Trinity, jakby nagle obudził się z jakiegoś snu.

Spojrzał na swoje notatki. Tak! Wizyty w domach.

Ale gdzie tu mieszkają ludzie, tak w ogóle? Nie przypominał sobie, żeby widział domy po tej stronie strumienia. Kilka po drugiej stronie, może. Może.

Westchnął. Stuart przyznał, że to będzie wyzwanie, dlaczego więc był zdziwiony? Pochylił głowę, zamknął oczy i uniośł dłonie w geście niemej prośby. *Panie!*

— Ojcze? Przestraszył się.

— Tak?

W drzwiach kościoła, w poświacie ostrego porannego światła, stała kobieta.

Ruszyła w jego kierunku i mimo że nie był w stanie dostrzec jej twarzy, natychmiast poczuł, jak coś go do niej przyciąga, i ruszył, żeby przywitać tę, którą wezwało bicie dzwonu. Zauważył, że jest wysoka i że porusza się szybko, mimo że była lekko pochylona i opierała się na lasce. Gdy weszła w plamę światła padającego z okna nad ołtarzem, zauważył, że jej twarz jest radosna i ożywiona.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego dłoń, a on ujął ją z głęboką pokorą, zauważając, że drży lekko w jego uścisku.

— Ojcze, jestem Agnes Merton — jedna z ostatnich wiernych, którzy tu pozostali.

# Rozdział czwarty

## *Agnes*

— Miło mi panią poznać. Jestem Timothy Kavanagh.

— Proszę mi mówić po imieniu. Agnes.

Wymienili długi uścisk dłoni, jakby mieli na to całe wieki.

— Biskup Cullen poprosił mnie, abym został wikarym w Holy Trinity.

— Czekaliśmy na ojca przez wiele lat, ojciec Kavanagh. Bóg jest wierny. Obiecał nam, że kogoś przyśle.

— I oto jestem — odparł, nadal ściskając jej dłoń.

— Agnes! Zawsze podobało mi się to imię. Czy to właśnie ty dbałaś o to miejsce z takim oddaniem?

— Mój syn, Clarence, i ja. Przez ponad trzydzieści lat.

— Trzydzieści lat! To zupełnie niewyobrażalne przedsięwzięcie!

— Robimy wszystko stopniowo, ojciec. Tydzień po tygodniu, rok po roku. Na chwałę i cześć Tego, który kocha nas każdego dnia.

— Wyjątkowy akt oddania.

— Teraz robię tylko drobne rzeczy. To Clarence naprawił i wymalował dach, i wymienił spróchniałe belki, i wstawił stłuczone szyby. I dużo więcej, oczywiście. Jest wspaniałym i utalentowanym synem.

— Byłbym wdzięczny — odparł — gdybyś opowiedziała mi wszystko. Przybywam do Holy Trinity tak nieświadom wszystkiego jak nowo narodzone dziecko. Wiem tylko, że mam sprawić, aby Holy Trinity zaczęło sprawnie funkcjonować. I okazuje się, że ty i twój syn wykonaliście całą najgorszą pracę, żeby nie powiedzieć najlepszą!

Uśmiechnęła się.

— Kto zaczął, zrobił połowę.

— Horacy.

— Tak!

Zdali sobie nagle sprawę, że nadal ściskają sobie dłonie. Cofnęli się, rozbawieni.

— Usiądźmy, proszę. Dobrze?

Ostrożnie usiadła w przedniej ławce, opierając laskę na oparciu.

— Twoja laska. Mogę spojrzeć?

Rączka w kształcie owcy wykonanej z dbałością o najdrobniejsze szczegóły, a poniżej wypolerowany mosiężny pierścień.

— Bardzo piękne!

— Wyrzeźbił ją mój syn. Podobno *Agnes* znaczy po grecku *owca*.

— Och, Agnes! — rzucił, siadając na ławkę obok niej. — Ja dziękuję Bogu za ciebie już teraz!

— A ja dziękuję za ojca!

Białe włosy Agnes ściągnięte były do tyłu, związane w kok i upięte wsuwkami, pojedyncze kosmyki jednak luźno okalały jej twarz. Była to żywa i inteligentna twarz, z mocno zarysowanymi kośćmi, pod pokrytą drobnymi zmarszczkami skórą, białą jak pergamin. Kobieta była starsza od niego, miała około osiemdziesiątki i mimo że długa suknia pod brązowym kardiganem spłowieła i nosiła ślady zużycia, jej wygląd nie był pozbawiony elegancji.

Prawdę powiedziawszy, wyglądała jak ktoś, kogo znał przez całe życie, nie mógł sobie jednak przypomnieć, kto to taki.

— To długa opowieść, ojcze.

— Mam dużo czasu, żeby jej wysłuchać. Spojrzał na zegarek.

— Przynajmniej do piątej po południu, kiedy to muszę być w domu. Nasz chłopiec przyjeżdża ze swoją śliczną towarzyszką na kolację.

— Ma ojciec syna? — Jej oczy pojaśniały.

— Dar prosto od Boga. Dooley zjawił się w moim domu, gdy miał jedenaście lat, a miesiąc temu skończył dwadzieścia jeden.

— Cóż poczęlibyśmy bez naszych synów?

— Nie mam pojęcia. Jest jedną z największych radości mojego życia. Ale opowiem ci więcej o Dooleyu później. To twoja opowieść.

— Przyniosłam dla nas termos herbaty, ojcze. Jest przy drzwiach, czy zechciałby...

— Alleluja!

Wstał i pośpieszył przejściem pomiędzy ławkami. Termos herbaty! Błogosławieństwo za błogosławieństwem.

Podniósł koszyk i wrócił do ich ławki, szczęśliwy jak dziecko. Długa opowieść i termos herbaty...

— Proszę mi pozwolić — rzucił, odkręcając termos, podczas gdy Agnes wyjęła dwa kamionkowe kubki.

Gdy nalewał napój, w powietrzu uniósł się aromat sasafrasu i mięty, wprawiając go w jeszcze radośniejszy nastrój.

— W dawnych czasach — wyjaśniła — do Holy Trinity włamywali się wandalowie, a dzwon obwieszczał ich ujęcie. Gdy usłyszałam dzisiaj bicie dzwonu, natychmiast poczułam niewypowiedzianą radość.

Milczała przez chwilę.

— Wiedziałam, że nasza modlitwa została wysłuchana. To wyznanie wyjątkowo go poruszyło.

— Tak więc zrobiłam herbatę. Uśmiechnęła się, ogrzewając kubkiem dłonie.

— Przypuszczam, że powinnam zacząć od początku?

— To zawsze dobry sposób.

— Gdy miałam dwadzieścia sześć lat, przyjechałam w te góry z Rangeley w stanie Maine, jako wysłanniczka Narodowego i Zagranicznego Towarzystwa Misyjnego Protestantckiego Kościoła Episkopalnego Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Wzięła głęboki oddech.

— Można sobie język połamać! Nic dziwnego, że przyjęliśmy wersję skróconą, Kościół episkopalny!

Pamiętam bardzo dobrze pełną nazwę, ponieważ zmusiłam się do napisania jej pięćset razy, myśląc, że w ten sposób stanę się bardziej święta! Po college'u uczyłam w szkole, następnie przeszłam szkolenie jako diakonisa. Pragnęłam całym sercem wyruszyć w świat i zbawić go.

Czytałam, że są to najstarsze góry na świecie, i czytałam też o strasznej biedzie, która tu panowała. Dorothea Lange i Doris Ulmann fotografowały całe rodziny w Appalachach, a scenki przez nie uwiecznione głęboko mnie poruszyły, a nawet męczyły i prześladowały.

Nie znałam wtedy Jednej Prawdy, ojcze, w ogóle, mimo że złożyłam swoją przysięgę, wyznałam wiarę i kształciłam się na diakonisę. Mimo to przybyłam z lasów Maine, uzbrojona w głębokie przekonanie o znaczeniu swojej misji i błogosławieństwo, nawet jeśli niechętnie, mojego ojca. Straciłam moją drogą matkę, gdy miałam czternaście lat, i w ten sposób nie miałam pomocnej dłoni, która by mnie prowadziła, co w rezultacie okazało się mieć i swoje dobre strony.

Przyjechała ze mną Jessie Bennett; ona również przeszła przeszkolenie jako diakonisa. Kościół w tamtych czasach często wysyłał dwie diakonisy na misję. Oprócz wizytującego księdza, który przyjeżdżał raz w miesiącu, diakonisy mieszkaly wśród społeczności i sprawowały posługę duszpasterską pośród kongregacji.

Wypił z zadowoleniem łyk gorącej herbaty.

— Kościół wybudował nam szkołę, w której uczyłam razem z Jessie i gdzie urządziłyśmy swój dom — zaiste, to miejsce stało się prawdziwym domem dla wszystkich na tym górskim grzbiecie. Opiekowałyśmy się też chorymi i rozdawałyśmy żywność i ubranie. Dostawali je wszyscy, którzy o nie poprosili; odbywały się regularne spotkania poświęcone studiowaniu Pisma Świętego i wspólne wieczery przy dużym stole na kozłach, który zbudował Moses McKinney.

Zimą, oczywiście, ogień w kominku i piec nigdy nie wygasały, dzięki czemu budynek szkoły był przytulnym miejscem spotkań dla naszych sąsiadów w długie i lodowate wieczory. Niektórzy robili kapy, niektórzy grali na instrumentach, a niektórzy snuli opowieści.

I Boże Narodzenie! Och, jak żałuję, że nie było ojca tutaj i nie widział ojciec starego budynku szkoły w Wigilię. Moses zawsze ścinał choinkę, która sięgała sufitu, a budynek był wysoki na ponad trzy metry. Parafianie schodzili się, przynosząc swoje ozdoby — sosnowe szyszki, suszony krwawnik, anafalis, kawałki wstążki, owoce, guziki, ptasie gniazda — na naszej choince panował taki bałagan, ale dla nas był to najpiękniejszy widok na świecie.

Jessie i ja pracowałyśmy całym miesiącami, żeby przygotować podarunki — chciałyśmy, żeby każdy tutaj mógł znaleźć dowód pamięci o sobie, nawet najskromniejszy, pod tym królewskim drzewkiem.

Był absolutnie zauroczony.

— Ksiądz przyjeżdżał do nas na Boże Narodzenie zaledwie raz na cztery lata, więc odprawianie nabożeństwa zazwyczaj przypadało mnie i Jessie. Pamiętam, że zawsze chciałam czytać List do Tytusa: „Ukazała się bowiem łaska Boga, która niesie zbawienie wszystkim ludziom...”

Twarz Agnes Merton jaśniała.

— To był szczęśliwy czas dla Jessie i dla mnie, i dla małej Bertie.

— Dla małej Bertie?

— Bertie była siostrzenicą Jessie. Siostra Jessie i jej szwagier zginęli w wypadku na łódce i Jessie została prawnym opiekunem Bertie. Ach, była takim wesołym dzieckiem, aż przyjemnie było popatrzeć! Takie żywe i radosne oczy, i taka gaduła. Rozmawiała ze wszystkimi, nawet zupełnie obcymi osobami.

Mimo że razem z Jessie pracowałyśmy ciężko, żeby zdobyć zaufanie wszystkich, to sposób obcowania Bertie z ludźmi sprawiał, że do nas przychodzili, i ich dzieci, tak że z czasem wszyscy staliśmy się jedną rodziną, wszyscy, którzy mieszkaliśmy wtedy w tej krainie nad chmurami.

Przyjechaliśmy tutaj we wrześniu, przeżywszy długą podróż z Maine, i dowiedziałyśmy się, że przeszła tu bardzo poważna powódź.

Zjawiłyśmy się tutaj, wspinając się po tych wąskich górskich drózkach w buicku, który mój tato przekazał na rzecz kościoła! Miałyśmy cały swój dobytek w tym starym samochodzie, i ach, ojej, musiałyśmy stanąć niezły widok. Naczynia kuchenne w samochodzie, a na dachu przywiązana kołyska i kufer.

Wilson's Creek był tak wezbrany, że płynął jak rzeka i nie mogliśmy go pokonać. Mieszkałyśmy w naszym samochodzie przez dwa dni, czekając, aż woda opadnie. Potem znaleźli nas mieszkający w pobliżu sąsiedzi i zabrali do swojego domu. Nakarmili nas i zmusili, żebyśmy spały w ich łóżkach, podczas gdy oni spali na zsuniętych razem krzesłach.

Przez te wszystkie lata stawiano mosty na Wilson's Creek. Jeden z nich był ze stali, ojczu. Ze stali, proszę mnie posłuchać! A powódzie przychodziły i zmywały je, na zawsze. Szczerze mówiąc, wielu z tych, którzy tutaj pozostali, tak naprawdę nie chce mostu. Większość z nas używa tego w McClellanville, trzy kilometry w górę rzeki.

W każdym razie wiele rodzin przeniosło się do Mitford albo Wesley, albo Johnson City — co było kolejnym ciosem dla kościołów misyjnych. Zmiany demograficzne, tak to nazywają. Młodzi ludzie wyjeżdżają, starzy ludzie umierają...

— Woda wymywa drogi — dodał — rzeki zrywają mosty.

Ujął termos.

— Agnes?

— Bardzo proszę, ojczu. Dziękuję.

Napełnił ponownie ich kubki, w ukośnych promieniach wpadającego przez okna światła. W krzewie przy drzwiach zaśpiewał kardynał.

— Czy powinienem się zwracać do ciebie diakonisa Merton czy diakonisa Agnes?

— Proszę mi mówić Agnes.

— A ty oczywiście możesz do mnie mówić Tim.

— O nie, ojczu, nigdy nie zwracałam się po imieniu do księdza i nie zamierzam tego zmieniać.

Unieśli zgodnie swe kubki, rozbawieni.

— Nie zapomnę tej ciemnej nocy, w przeddzień jeszcze jednej przerażającej burzy, gdy w końcu udało się nam dojechać do naszej małej prostej chatki, gdzie mieszkaliśmy, zanim zbudowano szkołę.

Przygotowałyśmy sobie posłanie i zjadłyśmy kolację przy świetle latarni — założono tu elektryczność dopiero w 1954 roku — i położyłyśmy się, przerażone na śmierć. Dwóm wykształconym dziewczynom z

Maine nie wydawało się to już przygodą; nagle stało się to bardzo realnymi i przerażającymi tarapatami, w które się wpackowałyśmy.

Pamiętam te ogromne cienie, które tańczyły na ścianach, rzucane przez lampę. I nietoperze, ojciec, to było straszne! Nietoperze latały wokół naszych głów i krążyły po pokoju, a potem nadciągnęła burza i byliśmy przekonane, że nadszedł nasz koniec.

Wypiła duży łyk herbaty i zamyśliła się.

— Czy próbował już ojciec kiedyś sasafrasu?

— Tak. Wychowałem się na wsi w Missisipi.

— Pochodzi z krzewu za szkołą, a mięta rośnie dziko na skarpie.

— Budynek szkoły zatem nadal stoi!

— O tak. Niczym skała, to zaledwie krótki spacer stąd przez zagajnik rododendronów. Jest naszym domem od wielu lat. Został kupiony od Narodowego i Zagranicznego Towarzystwa Misyjnego Protestantckiego Kościoła Episkopalnego Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Roześmiali się swobodnie.

— Przez te wszystkie lata, gdy tu mieszkałam, nie pamiętam tak ulewnego deszczu ani takiego silnego wiatru. Wiatr zerwał dach chaty i rzucił go na drzewa i zdawało się, że rozstały się niebiosy.

Deszcz padał na nas z ogromną siłą, chłuszcząc nas niczym grad, a ponieważ latarnia natychmiast zgasała, wokół nas zapanowała absolutna ciemność.

Agnes spoglądała w stronę ołtarza, mówiąc, jakby oglądała film.

— Nie jestem w stanie wyrazić naszego strachu. Byliśmy całkowicie zdezorientowane i biegałyśmy po kawałkach szkła z rozbitej latarni. Wyszłyśmy z chaty i próbowałyśmy znaleźć nasz samochód, nie byłyśmy jednak w stanie — i przez cały ten czas, pamiętam, jak mała Bertie krzyczała z przerażenia.

Pamiętam również, jak krzyczałam do Boga i robiąc to, zdałam sobie sprawę, po raz pierwszy w życiu, że Go w ogóle nie znam, że nigdy nie zawierzyłam nic z siebie Bogu. Zostałam swoje serce i duszę dla siebie.

Spojrzała na wikarego.

— Jessie i ja nazwałyśmy nasze zapoznanie z tymi górami Wielkim Chrztem, a mimo to została ochrzczona jedynie moja uparta i samowolna głowa. Potrzeba było lat, ojciec, abym doznała jedynego prawdziwego chrztu w moim sercu. Można powiedzieć, że dorosłam do mojej wiary, jak dziecko dorasta do za dużych butów.

— A Jessie?

— Jessie zwykła mówić, że zanim przyjechałyśmy na grzbiet góry, Bóg był jej znajomym. Ale po burzy został jej najlepszym przyjacielem. Jestem pewna, że pozostał nim do końca życia.

Agnes zamyśliła się na chwilę, pijąc herbatę.

— Przypuszczam, że straciłyście swój wspianiały samochód...

— Przeciwnie, Bóg go ochronił! Wiedział, jak bardzo będzie nam potrzebny przez następne lata, i samochód przetrwał tę straszną burzę bez niemal żadnego uszczerbku. Wielkie nieba — zawołała nagle ze skruką. — Zupełnie ojca wykończę, mówiąc w tym tempie!

— To niemożliwe. Nie wtedy, gdy słucham dobrej opowieści!

— Opowiadałam zdecydowanie za dużo o Agnes Merton. Jakie ma ojciec plany co do Holy Trinity?

— Będziemy mieć pełne ręce roboty, żeby wszystko szybko przygotować. Właśnie sporządziłem listę.

— Listę!

Wyjęła okulary z kieszeni swetra.

— A co się na niej znajduje, mogę zapytać?

— Wszystko. Cały dom. Piec. Ambona. Pulpit. Obrusy. Wszystko. Kłęczniki. Modlitewniki. Śpiewniki...

— Trzydzieści siedem modlitewników znajduje się na półkach naszej starej szkoły.

— Nie mówisz poważnie!

— Czy używa ojciec tych z 1928 roku?

— Wychowałem się na nich, ale nie korzystałem z nich już od lat. Ale bardzo chętnie to zrobię.

Już od dawna pragnął odświeżyć swoją znajomość ogólnie cenionego wydania modlitewnika z 1928 roku.

— I śpiewniki. Mamy ich czterdzieści jeden.

— Czterdzieści jeden!

— Zostały zakupione zaledwie kilka miesięcy, zanim zamknięto kościół; są w idealnym stanie.

— Ale nie powiesz mi, że macie ambonę i piec. — Żartował, oczywiście.

— Ambonę przechowujemy na strychu; Clarence woskuje ją każdej jesieni, aby zabezpieczyć ją przed wysychaniem w zimie; zrobił ją z dębu z tych gór. A piec jest w naszym tylnym pokoju, który kiedyś był izbą chorych. Trzeba go jedynie naoliwić.

— Agnes...

— Tak, ojczy?

— Czy to sen?

— Z pewnością mnie wydaje się snem. Bywały chwile, gdy razem z Clarence'em poddawaliśmy się zupełnie, ale Bóg zawsze dodawał nam nadziei. Trudno jest czekać.

— Bardzo trudno.

— Na co czeka ojciec? Zastanowił się, ale tylko przez chwilę.

— Żeby znalazł się Kenny Barlowe.

Niech Bóg broni, aby Sammy ponownie zaginął.

— Kenny Barlowe. Pragnę czekać i modlić się z ojcem w tej sprawie.

— Dziękuję, Agnes. Zobacz tylko, co zrobiłaś. Ułatwiłaś życie swojemu wikaremu.

Uśmiechając się, nałożyła okulary i spojrzała na jego otwarty notes.

— Co jeszcze jest na ojca liście?

— Obrusy.

— W dolnej szufladzie mojej komody, zawinięte w bibułę. Podobno bibuła zapobiega żółknięciu Inianych obrusów.

— Kadzielnica.



— Nie wiem, co o tym pomyślą. Zawsze wyznawaliśmy skromny obrządek.

— O jedną rzecz mniej do zdobycia! Co do daty rozpoczęcia odprawiania nabożeństw, to myślę, że pierwsza niedziela w maju będzie realna. To daje nam czas, żeby zebrać wszystkich zainteresowanych.

Agnes zamyśliła się.

— Skąd ich weźmiemy, Agnes?

— Szczerze mówiąc, nie wiem. W tych rejonach pozostały zaledwie trzy osoby, które mają pojęcie o anglikańskim obrządku. Dwie są starszymi osobami, ale są mądre i urocze, nadal wychodzą z domu. Będą takie szczęśliwe. I być może uda się nam ściągnąć parę osób z grona baptystów mieszkających w dole strumienia. Ich kościół spalił się doszczętnie w ostatnie Boże Narodzenie, straszna rzecz. Clarence zanieś im moją wiadomość, i zobaczymy, kogo wyznaczycy Bóg, aby ozdobił tę nawę.

Dlaczego poczuł się nagle jak dziecko, które zostało cudownie uratowane? Do oczu napłynęły mu łzy.

— Czuję się bardzo wzruszony. Bardzo... zadziwiony. Otarł oczy chusteczką.

— I bardzo wdzięczny.

— Być może Bóg poprosił ojca, żeby zrobił ojciec coś mniejszego niż to, do czego jest ojciec przyzwyczajony. Albo, być może, poprosił ojca o zrobienie czegoś większego...

Pokiwał głową.

— ...i dlatego nie może się ojciec temu nadziwić. Tak. Nadziwić!

— Podejźmy do budynku szkoły — zaproponowała. — Napelnij ponownie nasz termos i znajdę coś do jedzenia.

— Agnes — rzucił pod wpływem impulsu — czy znasz się na...

Jak może o to zapytać?

— Na czym, ojczu?

— Na stryżeniu włosów?

Jego żona wychyliła się do przodu i przyjrzała mu się uważnie.

— Timothy! Zrobiłeś to, nareszcie! I muszę przyznać, że efekt jest doskonały!

Usiadł obok niej, na kanapie w oknie, otoczył ją ramieniem i pocałował w policzek.

— Co się stało, kochanie? Jesteś taki szczęśliwy, jakbyś wygrał los na loterii.

— Nie uwierzysz — zaczął.

Z zainteresowaniem zauważył, że przyjechali z Mitford jego jeepem.

— Wydawało mi się, że tego chce — wyjaśnił Dooley — ze względu na, no wie tato, ze względu na was wszystkich.

Rozumiał, o co jej chodzi. Lace Harper posiadała swoje własne cechy wspaniałego charakteru.

Wyszedł na przedni ganek z Dooleyem, który zmierzał do kliniki, żeby zobaczyć się z Blake'em Eddistoe. W zapadającym zmierzchu światła kliniki oddalonej zaledwie o kilka metrów płonęły jasno.

— Żadnych wiadomości od Sammy'ego?

— Nie, i naprawdę się martwię. Ale nie chcę tam jechać; nie chcę się z nim spotkać.

To ze swoim ojcem, Cyde'em Barlowe'em, nie chciał się spotkać Dooley.

— Pojadę tam w następnym tygodniu, być może Buck i ja będziemy się tam mogli wybrać razem. Nie martw się. Odmawiaj modlitwę, która nigdy nie zawodzi.

Dooley wsunął dłonie do kieszeni kurtki i wpatrywał się w podłogę ganku.

— Co do tego, o czym mówiłeś na Boże Narodzenie...

— Tak?

— Powiedziałem, że chcę przyjąć twoje nazwisko, a ty powiedziałeś mi, żebym się nad tym zastanowił.

Zastanowiłem się.

Dooley podniósł głowę i spoglądał przez chwilę na ojca Tima.

— Chcę przyjąć twoje nazwisko.

Ojciec Tim milczał przez chwilę, poruszony realnością tej propozycji.

— Czy rozmawiałaś ze swoją mamą? Czy będziemy mieć jej błogosławieństwo?

— Buck chce adoptować Poo i Jessie, więc będą nazywać się Leeper. Nie rozumiem, dlaczego miałoby to mieć jakieś znaczenie, że będę się nazywał... Kavanagh.

— Chciałbyś, żebyśmy cię z Cynthią adoptowali? Czy chciałbyś tylko zmienić nazwisko?

Nie chciał naprawdę o to zapytać — a co, jeśli nie spodoba mu się odpowiedź?

Dooley odpowiedział w jednej chwili.

— Żebyście mnie adoptowali.

Bez słowa ojciec Tim objął wysokiego, poważnego, młodego mężczyznę, który został powierzony jego opiece tak dawno, i stali w tym objęciu przez chwilę.

— Załatwione. Zadzwońię do Waltera i powie nam, od czego zacząć.

Głos Dooleya zdradzał ogromne emocje, gdy w końcu się odezwał.

— Jeden z naszych baranów jest chory.

— Co mu jest?

— W przewodach moczowych baranów mogą pojawić się kamienie i kryształy, i trudno jest wprowadzić cewnik. Uważam, że Blake powinien zastosować kurację farmakologiczną antybiotykami i środkami przeciwzapalnymi, i być może zmienić mu dietę, i wtedy kamienie rozpuszczą się i ustąpią.

— A co myśli Blake?

— Idę do niego, żeby się dowiedzieć.

— Synu...

— Tak, proszę taty?

— Pozdrów go od nas; będzie u nas na kolacji w poniedziałek.

*Trzymaj nerwy na wodzy, chciał powiedzieć.*

Usłyszeli, jak trzaskają wejściowe drzwi, i kroki Dooleya, który zbliża się korytarzem do kuchni. Ojciec Tim ujrzał na jego twarzy gniew.

— Blake zamierza zrobić w jego pęcherzu moczowym sztuczną przetokę, będzie prowadziła bezpośrednio do żołądka, co znaczy, że baran będzie oddawał mocz przez żołądek, jak owca.

— Co w tym złego? — zapytał ojciec Tim.

— Będzie popuszczał mocz, wokół otworu powstanie odparzenie od moczu i nikt nie będzie miał czasu, żeby się tym zająć. Trzeba przemywać otwór codziennie; nikt nie ma na to czasu...

— Podano obiad — wtrąciła Cynthia.

Dooley gniewnym ruchem odsunął od stołu krzesło dla Lace i przytrzymał, żeby usiadła.

— Weźmy głęboki oddech, usiądźmy i cieszymy się naszym wspólnym posiłkiem — zaproponował ojciec Tim. — Potem możemy porozmawiać o baranie.

Cynthia podała Lace modlitewnik.

— Lace, kochanie, czy przeczytasz nam modlitwę na czas postu?

Policzki Lace zaróżowiły się nieznacznie, gdy czytała stanowczym, jasnym głosem.

— Udzielaj nam łaskawie Twojej pomocy, o Panie, Boże naszego zbawienia; abyśmy mogli z radością przystąpić do rozważania tych wielkich dzieł, poprzez które dałeś nam życie i nieśmiertelność, przez Jezusa Chrystusa naszego Pana.

— Amen! — zawołali zgodnie.

Ojciec Tim podał lewą dłoń Cynthii, a prawą Lace. Pochylili głowy.

— Panie, dziękujemy Ci za wielką moc Twojej łaski w życiu każdego z nas. Dziękujemy Ci za Lace i Dooleya, których kochamy i których obecnością się cieszymy, i za obiecującą przyszłość, którą przygotowałeś dla każdego z nich. Dziękujemy Ci za dary, którymi tak łaskawie obdarzyłeś Lace i które pomogły jej w zdobyciu tego zaszczytnego stypendium. Dziękujemy Ci za Twój dar dla Dooleya, dar troski o wszystkie Twoje stworzenia, duże i małe. Dziękujemy Ci za Cynthię, która raduje i ubogaca ducha wszystkich, którzy ją znają. A teraz, Panie, dziękujemy Ci za ten obfity posiłek, na który składają się rzeczy, które Dooley lubi najbardziej, i których spożywanie z nim sprawia nam przyjemność. Spraw, aby nasze wielkopostne serca stały się czule i łagodne, modlimy się, aby nie stwardniały i nie skruszyły się w pył.

— W imię naszego Pana i Zbawiciela, Jezusa Chrystusa, Amen.

— Amen!

Stek, frytki z piekarnika, rukola z dodatkiem pomarańczy i orzechów. Sprawdził poziom cukru i nie tylko spróbuje wszystkiego po trochu, ale zje również gorącą bułeczkę. Co więcej, nałoży na nią masło, alleluja.

Gdy półmisek z mięsem przechodził z rąk Lace do Dooleya, poczuł, że chłopiec pogodnieje. On też poweselał.

— A niech mnie! — zachwycił się Dooley, zjadając stek, który wcześniej wybrał z porcji od rzeźnika.

Cynthia podała ziemniaki, umieszczone na błękitno-białym półmisku.

— Tak długo męczyłam się nad tymi frytkami — wyznała — i wydaje mi się, mam nadzieję, modłę się... że w końcu mi się udały.

— Lace — poprosił ojciec Tim — spraw Dooleyowi jedną przyjemność więcej — i zjedz jeszcze parę.

Jak zwykle, olśniewała go wyjątkowa uroda Lace i poruszająca głębia jej bursztynowych oczu.

Pamiętał ich pierwsze spotkanie kilka lat temu. Zamiast iść do domu panny Sadie drogą, poszedł na skróty przez ogromny zagajnik dzikiej paproci na zboczu góry. W pobliżu dużego dębu natknął się na kogoś w kapeluszu, wykopującego paprocie razem z korzeniami i upychającego je do płóciennego worka.

Myślał, że to chłopiec albo młody mężczyzna, dopóki winowajca nie odwrócił się, zaskoczony. Tak właśnie zobaczył po raz pierwszy Lace Harper, wtedy Lacey Turner. Ujrzał w jej oczach strach i gniew, gdy się do niej zbliżał.

— Dostaniesz w łeb — zagroziła — jak zbliżysz się do mojego worka. Nic mi to nie robi, że jesteś księdzem.

Poprosił ją, żeby rozważyła ponowne zasadzenie tego, co wykopała, ona jednak nie ustąpiła. Na lokalnym rynku paprocie uzyskiwały wysoką cenę.

Chwyła worek, motykę i uciekła, z odsłoniętą głową i na bosaka, zbiegając ze zbocza w dół.

Bóg jednak miał dla Lace Turner szlachetniejsze plany niż wykopywanie paproci.

Ta młoda kobieta, ofiara przemocy i w dużej mierze samouk, zawierzyła swe życie Chrystusowi, podczas spotkania odnowy religijnej, które prowadził Absalom Greer. Następnie, po śmierci matki, została adoptowana przez lekarza z miasteczka i jego żonę, i osiągała doskonałe wyniki w nauce na University of Virginia.

Większość ludzi nie wierzy, że cuda nadal się zdarzają. Ci ludzie się myślą.

— Wydaje mi się, że ci się udało — stwierdził Dooley, zjadając z apetytem frytki.

— Chrupkie na wierzchu? — upewniła się Cynthia.

— Tak.

— Miękkie od środka? Bardziej złote?

— Tak, madam.

— Dooley Barlowe! Nie mogę uwierzyć, że tak do mnie powiedziałeś.

Lace roześmiała się.

— To naprawdę dobre.

— Wiem, że jestem jankeską i takie rzeczy nie powinny mieć znaczenia, ale mógłbyś tak do mnie mówić? To cudownie brzmi.

Dooley roześmiał się tym rehotliwym śmiechem, którego brzmienie sprawiało ojcu Timowi taką radość.

— Jak to zrobiłaś? — zwróciła się Lace do kucharza.

— Wszystko sprowadza się do rondla. Używałam cienkiego rondla, który sprawiał, że frytki wyglądały bardzo blado i nudnie. Więc Avis zaproponował, abym użyła grubego rondla, i bardzo proszę — gruby rondel przewodzi ciepło bardziej równomiernie i na dodatek powoduje, że frytki zyskują tę cudowną złotą chrupiącą skórę.

— Dobra robota! — pochwalił ojciec Tim.

Postanowił nie zważać na to, co od czasu do czasu dostrzegał w oczach Lace, gdy spoglądała na Dooleya. Czasami był to strach. Czasami był to gniew. Czasami była to miłość.

Jeśli postanowią razem spędzić życie, nie będzie to łatwe. Każde z nich musiało przejść przez przemoc, odrzucenie i niszczycielską siłę goryczy. Aby przeżyć, musieli wznieść wokół siebie mur, który nie tak łatwo było zburzyć.

Mimo to, zważywszy na całą tę prawdę, wybierze wiarę w to, co widzi w tej chwili — wyraz prawdziwego szczęścia na twarzy swojego chłopca i pełnej życia, pięknej dziewczyny, która tak głęboko zaistniała w ich życiu.

— Pozwólcie, że podzielę się z wami pewną myślą — zaczął wikary. — George McDonald napisał kiedyś: „Człowiekowi trudno jest zdobyć to, czego pragnie, bo nie pragnie najlepszego. Bogu trudno jest dać, bo chciałby dać to, co najlepsze, a człowiek nie chce tego wziąć”.

— Bóg daje nam dzisiaj wieczorem to, co najlepsze, a my to bierzemy. Dzięki Ci, Boże.

Dooley spojrział na niego uważnie, a potem na Lace.

— Tak, proszę ojca — przyznał cicho.

Gdy otworzył kuchenne drzwi, żeby wypuścić psy, poczuł, że powietrze jest ciepłe, niemal balsamiczne.

— Wiosna — westchnęła jego żona. — Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak bardzo na nią czekałam.

— Pani Wiosna zabawiła po drugiej stronie góry, w swojej sukni z mchu i jaskrów, i bez wątpienia zmierza w naszym kierunku.

Roześmiała się.

— Dziękuję, Hessie Mayhew!

— Tymczasem nasz mały ogień na kominku jest błogosławieństwem.

Usiadł na fotelu, sięgnął przez stół z lampą i ujął jej dłoń.

— To była wspaniała kolacja, kochanie. Dziękuję.

— Nie chciałam nic mówić przy stole, ale frytki wymagają jeszcze dopracowania.

— Musztarda po obiedzie, Kavanagh. To już zamknięty temat.

— Zobaczymy — odparła.

Mimo że był więcej niż odrobinę zmęczony, poczuł, jak wzbiera w nim radość.

— Dooley jest gotów nazywać się Kavanagh. Zapytałem, czy chce przyjąć jedynie nazwisko, czy też chce, żebyśmy go adoptowali — wydawało mi się, że powinniśmy to sobie wyjaśnić.

— Chce, żebyśmy go adoptowali, prawda?

— Tak. Powiedziałem mu, że ma to załatwione.

— To dobrze. Tak się cieszę.

— Zadzwoń do Waltera i zobaczę, co trzeba zrobić.

— Powiedz im, żeby przyjechali, tydzień na wsi dobrze im zrobi.

— Dobrze.

— Dooley jest bardzo drogi mojemu sercu; uważam, że jest bardzo dzielny.

— W jaki sposób?

— Pójść do tej dziwnej szkoły w Wirginii, niemal zrzuciwszy z siebie te spodnie na szelkach, i odnaleźć się tam, a teraz jest zapalonym studentem w college'u, z planami na przyszłość. Pomyśl tylko, jak zupełnie inaczej mogło się potoczyć jego życie.

— Często o tym myślę.

— Mocno mnie przytulił, gdy wyjeżdżali; prawie nigdy tego nie robił bez nagabywania. I powiedział: tak, madam!

Siedzieli, wpatrując się w ogień na kominku, zadziwieni i szczęśliwi.

— Przy okazji — rzucił — skoro wychodzą ci już frytki, przypuszczam, że zajmiesz się czytaniem *Wojny i pokoju*?

— Do licha. Nie powinnam była wyznaczać sobie tak pochopnych celów. Muszę to zrobić. Powinnam to zrobić. I próbowałam to zrobić tak wiele razy. Ale, Timothy...

— Tak?

— Nie jestem w stanie tego zrobić.

— Daj sobie z tym spokój — poradził. — Życie jest zbyt krótkie.

Oparła głowę o zagłówek fotela i spojrzała na niego czule.

— Dziękuję ci, kochanie, potrzebowałam tych słów. Może nam coś przeczytasz? Psalm byłby najlepszym utuleniem do poduszki.

— Będę musiał poszukać okularów — rzucił, wstając pospiesznie.

Jak dobrze mieć towarzyszkę życia, dla której psalm jest najlepszym utuleniem do poduszki!

— To bardzo miłe ze strony dzieci, że chciały nam pomóc posprzątać — rzuciła. — Lace jest taka cudowna.

— I tylko pomyśleć, że całe swoje wykształcenie zawdzięcza obwoźnej bibliotece. Zawsze wydaje mi się to prawdziwym cudem. Nie chce się wierzyć!

— Nie uważasz, że to bardzo dobrze z naszej strony, że przestaliśmy planować ich wspólną przyszłość? Robiliśmy to przez chwilę i to nie fair w stosunku do nich — i nas samych, gdy się nad tym zastanowić.

— Zgadza się — przyznał. — Będziemy nadal trzymać się od tego z daleka i odmawiać modlitwę, która nigdy nie zawodzi.

Cynthia zwinęła się jeszcze bardziej na swoim fotelu i ziewnęła szeroko.

— Jejku, jest już dawno po mojej porze snu, a muszę wstać rano i pracować nad lutym.

Przesunął ręką po wierzchu lodówki. Nie ma.

— Już skończyłaś styczeń? Tak szybko?

— W ekspresowym tempie. Trochę mnie to martwi. Wydaje mi się, że rysunek nie może być dobry, skoro jego ukończenie zajęło mi tylko trzy dni. Nigdy wcześniej mi się to nie przytrafiło.

— Przypuszczam, że twojemu niegodnemu mężowi nie będzie wolno na niego spojrzeć.

Och! Zatknięte na jego głowie, na litość boską.

— Jeśli naprawdę tego chcesz.

— Oczywiście, że chcę. Bardzo.

Jego żona zawsze bardzo niechętnie pokazywała mu rezultaty swojej pracy, co było dla niego niezrozumiałe.

— Obejrzyjmy go rano, gdy będzie dobre światło.

Usiadł i otworzył swoje mocno zużyte Pismo Święte na psalmach.

— A na które nabożeństwo wybierzemy się jutro? — chciała wiedzieć. — O dziewiątej czy o jedenastej?

— Nie idźmy do St. Paul's. — Zaskoczyła go myśl o zupełnie innej opcji. — Pojedźmy do Holy Trinity.

— Tak! To cudowny pomysł!

— Wezmę zestaw do komunikowania — zaproponował.

— A ja przygotuję nam na lunch piknik.

— Dołóż jeden z tych bochenków chleba, które upiekłaś w tym tygodniu.

— Idealnie!

Nie powie o tym swojej entuzjastycznej małżonce, ale zabierze również swoje fioletowe wielkopostne szaty liturgiczne — to będzie próba generalna, w pewnym sensie.

Gdy wkładał swój modlitewnik do koszyka z piknikiem następnego ranka, odkrył nie bez pewnego zdziwienia, że jest radosny i podekscytowany. Zaiste, czuł się tak, jakby jechał do domu.

## Rozdział piąty

### *Chleb i ryba*

Podobnie jak poprzedniego wieczoru, temperatura była wyjątkowo wysoka jak na tę porę roku. Znak ten niedoświadczeni i niewtajemniczeni mogli potraktować jako oznakę wczesnej wiosny.

Nikt jednak z mieszkających w pobliżu Meadowgate i górskich sąsiadów na zachód nie dałby się tak łatwo nabrać. Czyż jedna z najgorszych zamieci śnieżnych ostatniego wieku nie zdarzyła się w końcu marca, a najgłębszy śnieg nie zalegał w maju? I czyż nie zwodziły ich od niepamiętnych czasów niezliczone fałszywe wiosny, które rujnowały ich nadzieje niosącym spustoszenie śniegiem?

Niemniej jednak wszędzie było widać dzikie fiołki, przebijające się przez wilgotną ściółkę, podczas gdy ich bliski kuzyn, *viola rafinesquii*, skrapiał swymi kwiatami nową trawę górskich pastwisk. Całkiem niezłe, jeśli przyjrzeć się uważnie, radziła sobie również różowa i błękitna jasnota, ulubione pożywienie kurcząt w czasie napływu w górskie rejony osadników ze Szkocji i Irlandii.

— Czuję to — stwierdziła Cynthia, gdy jechali pod baldachimem gałęzi drzew.

Wrzucił trzeci bieg w półciężarówce, gdy zaczęli pokonywać trzykilometrowy płaski kawałek drogi.

— Co czujesz?

— Tętniące dookoła życie, wrażenie, że coś się dzieje. Przeszył ją dreszcz radości.

Coś się działo, w istocie; on też to czuł.

Gdy przyjechali za kwadrans dziesiąta, na parkingu zastali pick-upa, którego paka była nieomal w całości zjedzona przez rdzę, i dodge'a sedana z 1982 roku.

Okazało się również, że drzwi do kościoła są szeroko otwarte — ku jego zdziwieniu w środku znajdowało się kilka osób, zajmujących pojedyncze miejsca w ławkach. Był sam, ponieważ Cynthia zajęła się rozkła-

daniem obrusu na kamiennym murku, i zatrzymał się niepewnie w drzwiach, trzymając w górze torbę z szatą liturgiczną.

Zdał sobie sprawę, że stoi z otwartymi ustami, i zamknął je natychmiast. Przeżył moment paniki, jakby wiedział o tym, że powinien się przygotować i jakoś o tym zapomnieć. Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę.

— Ojciec Kavanagh!

Agnes podniosła się z miejsca w pierwszej ławce i opierając się na lasce, wyszła mu na spotkanie w przejściu pomiędzy ławkami.

— Wszyscy usłyszeli wczorajsze bicie dzwonu i pomyśleli, że może obwieszcza nabożeństwo o dziesiątej, jak za dawnych czasów. Clarence i ja przyszliśmy na swoje własne nabożeństwo dzisiaj rano i... oto wszyscy jesteśmy! — Agnes była zaróżowiona z emocji.

— Tak! No cóż! Wielkie nieba!

Spojrzał na swoją zaskoczoną żonę, która pojawiła się w drzwiach.

— Jestem Timothy Kavanagh, a to jest moja żona, Cynthia, i...

Wziął głęboki oddech.

— ...i mieliście absolutną rację, dzisiaj w Holy Trinity jest nabożeństwo i w jakież cudowny ranek dane jest nam w nim uczestniczyć! Czy widzieliście mgłę unoszącą się z kotlin? Jak pięknie kwitną drzewa? I dziękuję wam za przyście, niech Bóg was pobłogosławi za to, że tu jesteście!

Trajkotał jak nakręcony, nadal podnosząc rękę z torbą z szatą liturgiczną, aby alba i ornat nie ciągnęły się po podłodze.

— Modlitwa poranna czy komunie święta? — zapytała Agnes.

— Ach. — W głowie mu się kręciło. — Komunie! Mamy chleb i wino, niezbyt dużo wina, ale wystarczy dla wszystkich.

Cynthia pospieszyła wzdłuż przejścia, niosąc kosz z piknikiem, postawiła go na siedzeniu ławki i wzięła od niego torbę z szatą liturgiczną.

— Pomogę ci się ubrać.

— Czy pani Kavanagh będzie trzymała kielich?

— Ach, nie, ja mam tylko uprawnienia do siedzenia w ławce!

— Agnes — zwrócił się do niej — może ty? Zawahała się przez chwilę.

— Dobrze.

— Babciu! — rozległ się młody głos. — Muszę siusiu!

Starsza kobieta i chłopiec minęli ich pędem, pospieszyli przejściem pomiędzy ławkami i udali się szybkim krokiem do gaju laurowego.

— Świece? — zapytał Agnes.

— Na ołtarzu.

— Czy zakrystia jest otwarta?

— Nie, przykro mi, nie.

— Przypuszczam, że nie mamy nikogo do niesienia krzyża?



— Jest tu Clarence. Wie, co robić.

— To dobrze! Poproś go, żeby zabrał krzyż i wyszedł do mnie na zewnątrz. Nałożę szatę pod klonem. Czy ktoś może pociągnąć za sznur dzwonu? Chleb i wino są w koszu, z kielichem.

Porwał z kosza swój modlitewnik, podał go pospiesznie Agnes, przemierzył szybkim krokiem kościół i wyszedł na zewnątrz z Cynthia. Jego torba powiewała na wietrze.

Dzięki Bogu, że zrezygnował z przywiezienia Barnaby. Jego dobry pies biegłby przed nimi, na czele tej procesji, szczekając jak szalony, a to dopiero byłby widok!

Clarence był postawnym mężczyzną, tuż po czterdziestce, z rudawą brodą, lekko łysawy i uśmiechał się nieśmiało. Miał na sobie spodnie na szelkach, koszulę w kratę i wypłowiałą marynarkę. W obydwu rękach trzymał krzyż zrobiony z surowego drewna, noszący nadal ślady kory.

— Clarence, niech cię Bóg błogosławi! Prowadź, a ja będę szedł za tobą.

Serce biło mu tak mocno, że można by pomyśleć, iż jest młodym wikariuszem. Odmówił żarliwą modlitwę i spojrzał na zegarek.

Punktualnie dziesiąta.

Dzwon bił cztery razy, rozbrzmiewając dźwiękiem w ogromnym amfiteatrze wąwozów i kotlin.

Gdy Clarence uniósł krzyż, babcia i chłopiec pojawili się na ścieżce i zajęli miejsce za nim. Potem weszli wszyscy po schodach, a nowy wikary zamykał pochód.

W przeciągu kilku minut, których potrzebował, by nałożyć szaty liturgiczne, Agnes zapaliła świece, nakryła ołtarz prostym białym obrusem i otworzyła modlitewnik z 1928 roku na porządku komunii świętej.

Przeżył krótkotrwały moment paniki, spowodowany brakiem jego znajomej wersji z 1979 roku. Ale skoro starsza wersja była jedyną, jaką dysponowali dla czterech, pięciu, sześciu — liczył pospiesznie — siedmiu członków kongregacji, nie było się nad czym zastanawiać.

Był przekonany, że załamie mu się głos, gdy zacznie mówić; stres zawsze sprawiał psikusy jego głosu.

Wtedy zobaczył swoją żonę, jak uśmiecha się promiennie do niego z pierwszej ławki — ta, która uwielbia niespodzianki, powinna mieć dość atrakcji na cały miesiąc — i w cudowny sposób opuściło go napięcie, jakby coś w nim stopniało.

Poczuł się nagle jak latawiec spuszczonej z uwięzi, który wznosi się i szybuje ponad wszystkim, co go kiedykolwiek dręczyło i ograniczało.

Pomógł Agnes uklęknąć przy ołtarzu na nagiej sosnowej podłodze.

— Krew naszego Pana Jezusa Chrystusa, która została przelana za ciebie, Agnes, niech zachowa twoje ciało i duszę na życie wieczne.

Stare i znajome słowa przysły mu na myśl z łatwością i lekkością.

— Wypij to, na pamiątkę krwi Chrystusa, która została przelana za ciebie, i nie ustawaj w dziękowaniu.

Na koniec nabożeństwa poczuł, jak bardzo jest poruszony widokiem pochylonych przed nim głów i panoramą, która roztaczała się przed jego oczami i ciągnęła setki kilometrów na zachód.

— Pokój Boga, który przechodzi wszelkie pojęcie, niech zachowa wasze serca i umysły w wiedzy i miłości Boga, i jego Syna Jezusa Chrystusa naszego Pana; i błogosławieństwo Boga Wszechmogącego, Ojca i Syna i Ducha Świętego niech będzie z wami, teraz i na zawsze.

— Amen!

— Bracia i siostry — powiedział, gdy członkowie kongregacji zbierali się do wyjścia — proszę, abyście dołączyli do mnie i Cynthii i spożyli razem z nami prosty posiłek rozłożony na kamiennym murku.

Pomysł ten przyszedł mu do głowy zupełnie niespodziewanie.

— To piknik przygotowany dla dwojga, ale Bóg zamierzył go dla ośmiu, co przypomina mi o starym błogosławieństwie nad posiłkiem: „Niebieski Ojcze, pobłogosław i zachowaj nas przy życiu; jest nas dziesięciu, a jedzenia nie dość dla pięciu!” Dał nam chleb i rybę tego ranka, żebyśmy mogli święcić rozpoczęcie naszej podróży jako kongregacja i wznieść podziękowania za cudowny nowy rozdział w dziejach Holy Trinity. A teraz, pójdźmy wykonywać pracę, którą On nam powierzył.

Odpowiedziały mu trzy głosy.

— Bogu niech będą dzięki!

Gdy szedł pomiędzy ławkami w swojej fioletowej wielkopostnej szacie, poczuł w swoim sercu zdecydowaną bliskość Wielkanocy.

— Zaczęliśmy przynosić wszystko wczoraj wieczorem — wyjaśniła Agnes. — Dwanaście modlitewników, obrusy i koszyk na ofiary, i proszę tylko spojrzeć, jak bardzo się nam przydały! Pan Cowper powiedział to bardzo jasno, że Bóg działa w tajemny sposób.

— Tak jasno, że wielu jest przekonanych, że jego werset pochodzi z Pisma Świętego! Proszę, powiedz mi, czy nie jest ci trudno klęczeć — to znaczy, myślałem, że skoro używasz laski, to...

— Jest mi trudno, ale będę klęczeć tak długo, jak dam radę — i tak długo, jak będzie mi ojciec pomagał się podnieść!

Prowadził rozmowę z Agnes i gośćmi, podczas gdy Cynthia rozpakowywała koszyk na kamiennym murku.

— A gdzie poszedł Clarence? Był taki pomocny przy świecach, nie wspominając o niesieniu krzyża i chodzeniu z tacą...

— Poszedł na chwilę do domu. Jest bardzo nieśmiały; już od bardzo dawna nie mieliśmy w Holy Trinity dnia tak bogatego w wydarzenia.

Cynthia wyłożyła dwie grube kanapki z plastrami pieczonego kurczaka na białym chlebie i przekroiła je na osiem części. Następnie wyjęła z kosza słoik pikli do chleba Lew Boyda i kawałek białego cheddara...

Opierając się na lasce, Agnes podeszła do murku.

— Czy mogłabym w czymś pomóc, pani Kavanagh?

— Czy mogłabyś mówić do mnie Cynthia?

— Cynthia. Tak miała na imię moja babcia ze strony taty. A ty mów mi Agnes.

— Agnes, co byśmy zrobili bez ciebie i Clarence'a?

— Poradzilibyście sobie doskonale! Czy mogę ci przedstawić Granny Meaders i jej wnuczka, Rootera?

— Hej — przywitał się Rooter — czy mogę to dostać?

— Czy możesz dostać co? — odparła Cynthia.

— Ten kawałek kanapki, który właśnie ukroiłaś?

— To będzie największy.

— Tak. Właśnie ten.

— Cóż, przypuszczam, że skoro jesteś najmłodszy i nadal rośniesz, najbardziej go potrzebujesz.

— I chciałbym też parę tych ciastek.

— Nie ma w nich cukru.

— Faj. To nie bede ich jadł.

— Granny — Cynthia podała dłoń. — Miło mi cię poznać.

— Miło was poznać, drodzy. Byłam chrzczona w kościele, który spłonął w Boże Narodzenie. To przez wojowanie.

— Wojowanie?

— Zwojowanie — wyjaśniła Agnes. — Ma na myśli druty. Były stare. Mówią, że odbudują kościół, ale niżej, w dolinie.

— Czy mam ci mówić Granny? — zapytała Cynthia.

— Wszyscy tak do mnie mówią, skarbie.

— Proszę, weź serwetkę, a ja nałożę ci wszystko, co mamy. Czy miałabyś ochotę na pikle?

— Czy są słodkie? Mój żołądek nie toleruje niczego kwaśnego.

— Tak, proszę pani, są słodkie. A tu proszę ciastko i plasterek jabłka i kawałek sera...

— Prawie w ogóle nie mogę gryźć.

— Ale może wszystko zmiążdżyć dziąsłami! — poinformował Rooter, dumny z takiej umiejętności.

— ...i oczywiście, mamy termos smacznej herbaty malinowej, ale tylko dwa kubki. Niech mnie kule biją!

— Co takiego powiedziałaś?

— Powiedziałam: „niech mnie kule biją”.

— Czy to przekleństwo?

— Cóż, chyba tak, w pewnym sensie.

— Ja tak nie mówię, jak przeklinam.

— Tak, ale mógłbyś powiedzieć „niech mnie kule biją” i zwrócić na siebie uwagę, w odróżnieniu od używania tych słów, które sugerujesz. Chciałam powiedzieć, że nikt nie zwraca już uwagi na te stare hasła.

— Wymyśliłem już, co zrobić z herbatą. Ty i ksiądz możecie pić z jednego kubka, a ja i babcia z drugiego.

— A co z pozostałymi?

— Stary Robert może się napić po mnie i babci, a pan Goodnight, on mógłby się napić z zakrętki od tej butelki.

— Rooter — powiedziała Agnes — pobiegnij tą ścieżką do małego domku — nie tego dużego, tylko małego i poproś Clarence'a o osiem papierowych kubków. Jeśli go tam nie będzie, to wejdź przez tylne drzwi i sprawdź nad zlewozmywakiem. Osiem! Biegnij!

Router pobiegł.

Jego babcia uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając różowe dziąsła.

— To dobrze, że nie chciałaś więcej, umi liczyć tylko do dziesięciu.

— Jak to dobrze, że je zabrałam! — Cynthia wyciągnęła jeszcze jeden przysmak z kosza. — Pakowałam rzeczy z myślą o uczcie i miałam rację! — Odwinęła folię i pokazała dwa małe placuszki z jabłkami. — Dadzą się idealnie pokroić na osiem małych kawałków.

— Lloyd Goodnight, pani Kavanagh.

— Witamy panią. — Lloyd Goodnight podał jej swoją dużą, szorstką dłoń.

— Lloyd przychodził do tego kościoła jako dziecko.

— Zostałem ochrzczony w Wilson's Creek, na dole. I miałem dwanaście lat, jak zamkli kościół. Nie było już nikogo w pobliżu, kto by do niego przychodził, prócz mojej mamy i taty, potem wyjechalim stąd. Wróciłem do domu, na wierzchołku, rok temu nazad.

Lloyd Goodnight wyglądał na zadowolonego z powrotu.

Cynthia nakładała kawałki placuszków na serwetki.

— Czy podobało ci się nabożeństwo dzisiaj rano?

— O tak, proszę pani. To ja pociągałem za sznur dzwonu. — Lloyd wyprostował się z dumą.

— Dobra robota, przyznaję!

— Mogłem pociągać jeszcze trochę, ale wydawało się, że wszyscy som gotowi zacząć.

Cynthia roześmiała się.

— Brak mi naszego starego kościoła. Nosilem krzyż za chłopaka i robiłem dużo z tego, co dzisiaj robił Clarence. Cały czas słyszę słowa księdza: „Módlmy się za cały Kościół chrystusowy”. Widzi mi się, że to duża rzecz, modlić się za cały Kościół, na całym ogromnym świecie.

— Tak — przyznała Cynthia. — To bardzo duża rzecz. I nadal tego ogromnie potrzebujemy, w dużym stopniu.

— Tam jest Robert Prichard — rzuciła Agnes. — Robert, podejdiesz i przywitasz się z panią Kavanagh?

Robert, który siedział w tylnej ławce i nie podszedł do ołtarza przyjąć komunii, opierał się o drzewo, spoglądając na całe zgromadzenie z kamienną twarzą. Był wysoki, szczupły i miał na sobie koszulę z krótkim rękawem, która ukazywała liczne tatuaże.

Podszedł powoli.

— Hej — przywitał się, wsuwając dłonie do tylnych kieszeni dżinsów.

— Hej — odwzajemniła powitanie Cynthia. Router podbiegł bez tchu i podał kubki.

— Proszę!

— Dziękuję, Router.

Cynthia ustawiła kubki w szeregu na murku.

— Wydaje mi się, że starczy dla wszystkich po połowie kubka. Agnes, czy zechciałybyś nalać?

— Prawie nie wiedziałam, co gadać w te nabożeństwo — wyznała Granny Meaders.

— Wszystko było napisane — wyjaśnił Router. — Czarno na białym.

— Te literki były za małe dla mnie, nic nie widziałam.

Cynthia wyjmowała kawałki pikli ze słoika i kładła po jednym na kanapce.

— Nie słyszałam, żebyś ty odpowiadał, panie Rooter.

— Nie bede czytać na głos przed nikim.

— Dwa lata repetował — wyjaśniła babcia.

— I nie wróce do tej szkoły, jak już ją skończe w sierpniu, nigdy.

— A ciekawe, gdzie pójdziesz? — zapytała Granny.

— Do piekła i z powrotem, zanim nie wsiąde do autobusu, aby stąd wyjechać.

Cynthia podała pełną serwetę.

— Robert...

Robert wziął ją bez słowa.

— Mam nadzieję, że wam nie wadzi, że mam pantofle — rzuciła Granny.

Podczas gdy wszyscy spoglądali na jej pantofle bez palców, poruszyła palcami stóp w wełnianych skarpetach.

— Prawie już nie mogę nosić normalnych butów, tak mi puchną stopy.

Cynthia pokiwała głową.

— Doskonale to rozumiem!

— W życiu zem nie widział księdza w sukience — rzucił Rooter. — Czemu nosi sukienkę?

Już bez szat, ojciec Tim dołączył do zgromadzenia w swoim ulubionym szarym garniturze.

— Podziękujmy Bogu za nasz chleb i rybę! Czy mamy czekać na Clarence'a?

— Nie chciałby, żebyśmy czekali — rzuciła Agnes. — Jestem pewna, że przyjdzie za chwilę.

Ale Clarence nie przyszedł.

— Jedynie sucha karma dla starszych psów — zawyrokował Blake Eddistoe. — Ten gość żył sobie zbyt dobrze.

— Myślałem, że na tym się skończy.

— Musimy sprawić, żeby zrzucił około czterech kilogramów. Jego dysplazję dodatkowo potęguje przybytek wagi i oczywiście dodatkowe kilogramy nie są dobre dla jego serca. Jak pamiętam, mówił ojciec, że ma, ile, dziesięć czy jedenaście lat?

— Był młody, gdy się u mnie zjawił; nie znam dokładnie jego wieku, ale tak, wydaje mi się, że ma jedenaście lat.

— Więcej igraszek na pastwisku nie zaszkodziłoby naszemu staruszkowi.

— Innemu staruszkowi też nie — ocenił wikary, nie mając pojęcia, jak znajdzie czas na więcej igraszek na pastwisku.

<Nie mam czasu na pogaduszki.

<Kupiłam czarną sukienkę, przyplątało mi się choróbsko, straciłam cztery kilogramy.

<Harold mówi, że to była woda.

<Sukienka zrobiła się za duża. Była na wyprzedazy, więc nie mogę zwrócić. Koszt przeróbki niebotyczny, więc rezygnuję.

<Zrzucę dziewięć kilogramów i ubiorę starą granatową.

<Módl się za mnie.

<Pozdrowienia dla wszystkich,

<Emma

<Gdy się spotka królową, trzeba skłonić głowę czy dygnąć?

— Adele dostała awans — poinformował ich J.C. — Przeczytacie o tym w jutrzejszej „Muse”.

Wydawało mu się, że J.C. wygląda na dziwnie przygnębionego.

— Awans na kogo? — dopytywał się Mule.

— Z kaprała na sierżanta.

— Gratuluję! — zawołał ojciec Tim. — Jesteśmy dumni razem z tobą.

J.C. pochylił głowę i zaczął przeszukiwać swoją wypchaną teczkę, która leżała obok niego na krześle z chromowanego metalu, znalezionym na wysypisku w Mitford.

— Czy jej rewolwer 9 mm też dostał awans? Według Mule'a nie powinno się pozwalać kobietom, żeby zostawały oficerami policji, co dopiero obnosiły się z ciężkim metalem w kaburze.

— Już nie nosi rewolweru 9 mm — warknął J.C. — Teraz ma .40 H&K\*.

— Nie musisz od razu tak na mnie skakać.

— Więc, co jeszcze słyszeć? — rzucił Percy.

— Gene Bolick nie radzi sobie zbyt dobrze — zauważył J.C. — Guz jest zbyt głęboko, żeby go operować, a leki nie przynoszą takich skutków, jak powinny.

\* H&K — Heckler & Koch — niemiecki producent broni.

Mule zajrzał do swojej torby na lunch.

— Uch. Co u licha...

— Nawet nie zaczynaj — ostrzegł go Percy. — Nie chcę tego słyszeć.

Percy odwinął folię ze swojego kawałka lazanii i wyjął z kieszeni koszuli plastikowy widelec.

— Lazania! — nie mógł wyjść z podziwu Mule, spoglądając znad swoich szkieł połówkowych.

— A ty co przyniosłeś? — zwrócił się do ojca Tima.

— Kanapka z kurczakiem na chlebie pełnoziarnistym z niskotłuszczowym majonezem i kilkoma piklami do chleba.

Mule zajrzał do swojej przepastnej papierowej torby i westchnął głęboko.

— Dziękujemy Panu za tę strawę! — zawołał ojciec Tim.

— Amen!

Percy rzucił się z apetytem na resztki z wczorajszej kolacji.

— Lew powinien tu zainstalować kuchenkę mikrofalową. Hej, Lew, dlaczego nie zainstalujesz tu mikrofalówki?

Lew wszedł do środka z warsztatu, wycierając ręce w gałgan.

— Zainstalujcie sobie swoją własną przeklętą mikrofalówkę. Nie prowadzę tu restauracji, gdybyście nie zauważyli.

— Posłuchaj — zaczął Percy — kupujemy napoje, kupujemy nabs, benzynę do naszych samochodów — to byłaby dobra inwestycja w twoich stałych klientów.

— No tak, cóż, oni wszyscy byli stałymi klientami w twoim barze, i spójrz, co się stało, zamknąłeś interes!

Wszyscy roześmiali się na głos, z wyjątkiem J.C., który wpatrywał się w swój nie otwarty kubek jogurtu.

— Dzięki jeszcze raz za bożonarodzeniowe pikle, Lew — rzucił ojciec Tim. — Przypuszczam, że to ten przepis zainspirował Earlene, żeby pocałowała cię w usta, gdy zdobyłeś nagrodę.

Lew zarumienił się.

— Tak, proszę ojca, to ten przepis, bez dwu zdań.

— Kiedy Earlene sprowadza się do Mitford?

— We wrześnie! — odparł radośnie Lew. — Z całym majdanem.

— I nie zapominaj o mamie — dodał Mule. — Z całym majdanem i mamą.

Lew nie zareagował na to wspomnienie o jego teściowej, która sprowadzała się z Tennessee z jego niegdyś sekretną żoną.

— A co słyhać w ojca nowym kościele?

— Wczoraj mieliśmy nasze pierwsze nabożeństwo, muszę przyznać z radością.

— Wspaniale! — zachwycił się Mule. — Ilu?

— Włącznie ze mną? Ośmiu.

Mule wyjął przezroczysty pojemnik z torby.

— Bardzo niewielka liczba.

— Liczby to jeszcze nie wszystko — zauważył cicho wikary.

— Kto cię ostrzygł? — zainteresował się nagle Mule. — Wyglądasz całkiem nieźle.

— Kobieta, która mieszka nad chmurami, za strumieniem bez mostu.

Percy spojrzał na niego z niedowierzaniem.

— Nic dziwnego, że tyle to trwa pomiędzy jednym a drugim strzyżeniem — ocenił.

— Ach, J.C., jakieś nowe wieści o Edith Mallory?

— Słyszałem, że znowu powiedziała „Bóg” i usiłowała dodać jeszcze jedno słowo.

— Skąd o tym słyszałeś? — zapytał Percy.

— Od Eda Coffeya.

Mule wyglądał na obrażonego.

— Dlaczego znowu rozmawiałeś z tym podłym głupkiem? Rozmawiałeś z nim zaledwie kilka dni temu.

— Nie twój interes.

— Bardzo ci dziękuję. Mule odkręcił pokrywkę.

— O Boże!

Percy odwrócił wzrok.

— Nie mów nam, co to jest. Nic nas to nie obchodzi.

— Co to jest? — zapytał ojciec Tim.

— Niech mnie licho, jeśli wiem. Patrzcie.

Mule pokazał zawartość, żeby wszyscy mogli się przyjrzeć.

— Przy tym jogurt wydaje się rarytasem — zawyrokował J.C.

— Jest brązowe — stwierdził Percy. — Czy może ciemnozielone? Mam niezbyt dobre okulary.

Ojciec Tim przyjrzał się dokładnie.

— Ciemnozielone.

— Zadzwoń do niej i zapytaj, co to jest — poradził Percy. — Dałbym pół dolara, żeby to zidentyfikować.

Ojciec Tim sprawdził kieszenie spodni, w poszukiwaniu ćwierćdolarówek.

— Ja dorzucę drugie pół.

— Zwykle nie dzwonię do Fancy do salonu, ale za dolara...

J.C. wskazał na ścianę.

— Tam masz telefon.

— Tak, ale jeśli skorzystam z telefonu, który kosztuje ćwierć dolara, to z całego tego interesu zostanie mi siedemdziesiąt pięć centów.

— To siedemdziesiąt pięć centów, których wcześniej nie miałeś — udzielił rady ojciec Tim.

— No dobrze, w porządku. Mule wybrał numer.

— Fancy, kochanie? Masz minutę? Co takiego zapakowałaś mi na lunch?

Długa chwila ciszy.

— Nie mówisz poważnie. Nie do wiary, no tak to zazwyczaj wygląda, bez dwu zdań.

Więcej ciszy. Członkowie Klubu Indyków siedzieli w napięciu na swoich krzesłach.

— Jakiego koloru były przedtem? Dalsza cisza.

— Nie pierwszy raz ktoś zagroził, że pozwie cię do sądu z powodu włosów. Nie dojdzie do tego, więc się nie martw. Tak. Tak. Ja też cię kocham.

— Zwracasz się do swojej żony „kochanie”?

J.C. wyglądał na wyraźnie poruszonego tym odkryciem.

— Mówisz jej, że ją kochasz, biorąc na świadka Boga i wszystkich innych?

— Chwileczkę, chwileczkę — usiłował przywołać wszystkich do porządku Percy. — Zbaczamy z głównego tematu. Co za świństwo zapakowała ci na lunch?

— Do licha — westchnął Mule. — Zapomniała mi powiedzieć, a ja nie zamierzam wydać kolejnej ćwierćdolarówki.

— Ponosisz same straty w tym interesie — zawyrokował ojciec Tim. — Straciłeś swojego dolara i za-inwestowałaś ćwierćdolarówkę z własnych pieniędzy.

— Do licha — zawołał Mule. — Rezygnuję. Powinienem to chyba po prostu zjeść i mieć to za sobą, umieram z głodu.

— Kto tym razem chce oddać Fancy do sądu? — zainteresował się J.C.



— Dlaczego mówisz: „tym razem”? Zdarzyło się do tej pory tylko raz — sprostował Mule, obrażony.

— No więc to było tamtym razem, a teraz jest tym razem.

— Powiedziałeś to tak, jakby cały czas ktoś oddawał ją do sądu.

— Boże, zlituj się — zawołał Percy. — Cukier ci podskoczył, musisz się pożywić. Kup sobie z automatu paczkę nabs i ucisz się, na litość boską.

Gdyby Velma Mosely była tutaj, zdziesiąłaby Mule'a Skinnera w głowę, raz a dobrze. Chyba nigdy, ale to nigdy nie zrozumie, jak Percy i Velma radzili sobie przez ponad czterdzieści lat ze zręczliwymi i wybrednymi klientami baru Grill.

— Powąchaj — polecił Mule, usiłując podać plastikowy pojemnik ojcu Timowi.

— Nie, dziękuję.

Mule zajrzał do pojemnika.

— To chyba guacamole.

Poszukał w swojej torbie na lunch plastikowego widelca i wbił go w zawartość.

— Ha! No to pożałujecie, że tak naśmiewaliście się z mojego jedzenia. To pieczony kurczak polany guacamole!

J.C. wstał i chwycił swoją teczkę.

— Ja spadam.

— Gdzie idziesz? Nie spróbowałaś nawet swojego jogurtu.

— Idę do tej przekłetej kafeterii zjeść lunch w spokoju z kobietami. *Sayonara, hasta la vista*, jeszcze o mnie usłyszycie.

— A niech mnie! — rzucił Mule, gdy J.C. zniknął w drzwiach.

— Jego woda po goleniu nieomal mnie odurzyła — westchnął Percy. — Otwórz drzwi i podeprzyj je, żeby wpadło do środka trochę powietrza. Co mu jest, tak w ogóle?

Ojciec Tim nic nie powiedział, ale wydawało mu się, że rozpoznaje problem J.C. jako ten, który jemu samemu niedawno doskwierał.

W drodze do Domu Nadziei rozmyślał o Edith Mallory, za którą się często modlił, nawet wtedy, gdy nie chciał.

Nie mógł sobie wyobrazić, jak to jest, gdy logiczne myślenie zostaje całkowicie zniszczone. Przyszło mu na myśl wspomnienie z dzieciństwa, jak poruszał dłonią w koszu z ziarnem w sklepie z artykułami żelaznymi. Dziesiątki tysięcy ziaren zboża, wszystkie zdawały się podobne, gdy ich dotykał, wszystkie wydawały się niczym jedwab — a co, gdyby szukał w koszu jednego konkretnego ziarna, podobnie jak Edith, która szukała jednego konkretnego słowa w ogromnym oceanie przypadkowych słów, jakie zostały uwolnione w jej umyśle?

*Panie, modlił się, pomóż jej znaleźć kolejne słowo. I kolejne, i kolejne...*

— Louella?

Louella siedziała na swoim fotelu przy oknie, na ekranie telewizora przesuwaly się obrazy, a dźwięk był wyłączony.

— Panna Louella śpi — szepnęła siostra, która podeszła na palcach i stanęła za jego plecami. — Późno poszła wczoraj spać, bo oglądała konkurs piękności.

— Proszę jej powiedzieć, że tu byłem i że jeszcze przyjdę, dobrze?

— O tak, proszę ojca.

— Jak się ma? — Jakoś go zdziwiło, gdy zastał ją śpiącą; myślał przez chwilę...

— Ach, ma się bardzo, bardzo dobrze. Musieliśmy wyleczyć tę niewielką infekcję pęcherza, wie ojciec, to nie było za dobre, ale poza tym jest wesoła i nie traci apetytu!

Gdy siostra wyszła, stanął przy fotelu i pomodlił się za swoją przyjaciółkę i ukochaną towarzyszkę panny Sadie; nie chciał stracić Louelli.

Pojechał mustangiem z Domu Nadziei na Old Church Lane i skręcił w prawo na Main Street, gdzie zaparkował przed sklepem z artykułami żelaznymi Dory Pugh.

— Czy możesz dorobić zapasowy? — zwrócił się z pytaniem do Dory.

— Ależ ojcie, dobrze ojciec wie, że dla ojca zrobię wszystko.

— No tak, ale czy możesz? Dora zachichotała.

— Oczywiście, że mogę. Ale gdzie to ojciec znalazł? Wygląda to jak coś, co zgubił założyciel naszego miasta, gdy podróżował konno po tej górze w 1846... A może w 1864?

Z nowym kluczem na srebrnym kółku, które podarował mu Walter i Katherine, poszedł szybkim krokiem do Cukierni Sweet Stuff i dokonał zakupu. Korzystając z telefonu Winnie, zadzwonił też do Esther Bolic, ale nikt nie odpowiadał, nie była też włączona automatyczna sekretarka.

Pospieszył następnie do Sklepu i zostawił listę zakupów, według której Avis przygotuje prowiant, po który przyjdzie w drodze powrotnej do Meadowgate.

Z nadal ciepłą papierową torebką na siedzeniu pasażera pojechał Main Street na północ, skręcił w lewo na Lilac Road, a następnie w prawo na tylny wjazd Porter Place, znanego również jako Muzeum Miejskie.

Zapukał do tylnych drzwi, tuż przy zielonym plastikowym wiszącym koszyku, który zawierał resztki geranium z poprzedniego lata, i usłyszał posuwiste kroki po drugiej stronie.

— Kto tam? — zapiszczała panna Rose, otwierając szeroko drzwi.

Była na bosaka i miała na sobie szydełkowy szlafrok, a na nim wełniany wojskowy mundur z kilkoma medalami wyeksponowanymi na klapie.

— Kaznodzieja. Przyszedłem z wizytą!

Mówił głośno i usiłował robić wrażenie radosnego, ale tak naprawdę panna Rose zawsze śmiertelnie go przerażała.

— Bill leży w łóżku.

— Jest chory?

— Nie wiem, nie pytałam go.

— Czy mogę wejść i z nim posiedzieć?

— Nie jesteśmy w stanie przyjmować gości.

— Mam torebkę pączków dla was obojga, ale w takim razie, po prostu... zabiorę je do domu i zjem sam.

W całym swoim życiu nie powiedział nic tak drażniącego przy panie Rose.

— Proszę wejść, proszę wejść!

Wydawało mu się, że starsza kobieta wygląda odrobinę, ale tylko odrobinę mniej groźnie.

— Ale żwawo — poleciała.

Nadal ściskając torebkę, przemknął obok panny Rose, a następnie pośpieszył korytarzem do sypialni, w której czuć było ostry zapach moczu.

Kłękając przy łóżku wujaszka Billy'ego, zauważył, że jego twarz wydaje się dziwnie nabrzmiała.

— Przyniosłem wujaszce pączka. Jeszcze ciepły. Winnie przesyła pozdrowienia.

— A niech mnie kule biją — wujaszek Billy oddychał z trudem — to sam kaznodzieja.

Jego oczy otwarły się, a potem przykryły je ciężkie powieki.

— Czy dobrze się wujaszek czuje? Wujaszek Billy zakaszał.

— Jestem zdrowy jak rydz.

— Proszę mi powiedzieć, co się dzieje.

Dłoń jego przyjaciela była wyschnięta i wątła, niczym szczapa.

— Wujaszku Billy, czy może mi wujaszek powiedzieć, co się dzieje?

— Już ojcu powiedziałem — szepnął z wysiłkiem wujaszek Billy.

— Proszę mi powiedzieć jeszcze raz, nie usłyszałem wyraźnie.

Powieki wujaszka Billy'ego zadrżały.

Coś było nie tak. Bardzo nie tak.

Pobiegł do kuchni i rzucił torebkę z pączkami na stół.

— Zamierzam wezwać karetkę.

— W takim razie sam ojciec za nią zapłaci!

Panna Rose spojrzała na niego groźnie, chwyciła torebkę i ruszyła posuwistym krokiem korytarzem do łazienki. Usłyszał dźwięk zamykanego zamka.

Próbował zadzwonić z telefonu na ścianie, ale nie było żadnego sygnału, a nie miał przy sobie telefonu komórkowego. Czy mu się to podoba, czy nie, chyba będzie musiał zacząć nosić ze sobą telefon komórkowy, tak jak reszta ludzkości.

— Zaraz wracam! — zawołał.

Przebiegł bocznym podwórkiem i zanurkował w krzaki, następnie przeciął ulicę tuż przed pomnikiem i wbiegł po schodach do ratusza miejskiego, następnie przebiegł przez hol i wpadł do biura burmistrza, gdzie recepcjonistka zajęta była czytaniem magazynu „People”.

— Proszę wezwać karetkę na Porter Place — polecił, łapiąc oddech. — Chodzi o wujaszka Billy'ego.

# Rozdział szósty

## *Nad chmurami*

— Zastoinowa niewydolność serca — zawyrokował Hoppy. — Jego serce nie pompuje tak, jak powinno, ale leki działają; pozbywamy się płynu. Wydaje mi się, że wyjdzie z tego.

— Dzięki Bogu.

— Wysusia całe wiadro, co ułatwi oddychanie i doprowadzi do ustąpienia opuchlizny. Ale co się stanie, gdy stąd wyjdzie? W tym cały problem. Będzie musiał ograniczyć spożycie soli, istotnie, i ktoś musi pilnować jego diety.

— To będzie trudne. Panna Rose nie chce się przenieść do Domu Nadziei, a wujaszek Billy nie chce się bez niej wyprowadzić. Ale... zrobię co w mojej mocy. Przy okazji, cudownie było spotkać się z Lace.

— Cudownie było spotkać się z Dooleym — odwzajemnił się jego przyjaciel i jednocześnie przepracowany miejski lekarz.

W dalekim zakątku New Jersey automatyczna sekretarka w kancelarii prawnej jego kuzyna Waltera poinformowała go, że pan Kavanagh wyszedł do Starbucks i wróci za chwilę, proszę zostawić numer.

Zadzwonił do mamy Dooleya, Pauline Leeper, do jadalni

Domu Nadziei, i zapytał, czy będzie mógł zajrzeć w tym tygodniu.

— Czy coś się stało? Usłyszał niepokój w jej głosie.

— Nie, nic się nie stało — zapewnił ją.

Był pewien, że Pauline się zgodzi. Poza tym Dooley miał dwadzieścia jeden lat i był w pełni zdolny do podejmowania własnych decyzji bez zgody rodziców.

Zadzwonił do Betty Craig, do jej małego domku, w którym dziadek Dooleya, Russell Jacks, przeżył w pokoju gościnnym swoje ostatnie lata.

— Betty! Mówi...

— Ojciec Tim! Znam ojca głos i wiem, dlaczego ojciec do mnie dzwoni.

— Ależ Betty...

— Chce ojciec, żebym poszła i siedziała z panną Rose, dopóki wujaszek Billy będzie w szpitalu!

Cóż mógł odpowiedzieć?

— Czy zrobisz to? Długa, pełna namysłu cisza.

— Moje stawki wzrosły! — rzuciła.

— Nie ma sprawy.

— Nie ma?

Betty Craig, która już od kilku lat próbowała przejść na emeryturę i zaprzestać działalności jako dyplomowana pielęgniarka, była zbyt uprzejma, aby odmówić wprost tej uciążliwej propozycji.

— W ogóle. Prawdę powiedziawszy, już od jakiegoś czasu należy ci się podwyżka.

— Naprawdę?

— Czy mogłabyś pójść tam dzisiaj rano i zająć się praniem, przebrać pościel i coś ugotować?

— Cóż, tak...

— Co powiesz na podwyżkę dwudziestoprocentową? Czy wydaje ci się to odpowiednią kwotą?

— Ach, bardzo odpowiednią.

— Cokolwiek będziesz potrzebowała kupić w Sklepie, zapisz na mój rachunek. Dziękuję ci, Betty, i oczywiście, gdy wujaszek Billy wyjdzie ze szpitala, będziemy potrzebowali, żebyś robiła wszystkie te wspaniałe rzeczy, które robiłaś ostatnim razem, gdy był chory. Niech cię Bóg błogosławi, jesteś aniołem. Powiedz mi, w jakich godzinach będziesz pracować.

Odłożył szybko słuchawkę, wziął głęboki oddech i ponownie wybrał numer.

— Buck?

— ...w wykopie... Trzaski.

— Zadzwoń do mnie na farmę. Masz mój numer? Trzaski.

— U podnóża góry... Trzaski. Dźwięk wybierania. Sprawdził skrzynkę e-mailową. Pięć wiadomości.

Nie ma czasu do zmarnowania, musi pojechać do Holy Trinity i spotkać się z Agnes o... spojrział na zegarek... dziewiątej trzydzieści. Dobrze. Ma godzinę.

Wybrał numer.

— Proszę? Płacz dzieci.

— Puny! Mówi...

— Hej, ojcie! Czy słyszy ojciec, jak płaczą? Rety, ci chłopcy to prawdziwe urwisy.

— No pewnie.

— Ale ich kocham, wszyscy ich kochamy! Muszę kończyć, ojcie, w całym swoim życiu nie widział ojciec tylu pieluch. Nie miałam pojęcia, że chłopcy zużywają dużo więcej pieluch niż dziewczynki, czy słyszał ojciec o tym?

— Nigdy. Czy mogę zajrzeć za parę dni?

— Proszę do mnie najpierw zadzwonić, ten dom jest wywrócony do góry nogami, szkoda, że nie widział ojciec, jak pakowałam dzisiaj rano lunch, do pudełka na lunch włożyłam pluszowego misia, a kanapkę położyłam na półce z zabawkami. Chyba zjem ją sama. Ojej, muszę kończyć.

Trzask.

Przyciągnął do siebie klawiaturę i podwinął rękawy flanelowej koszuli.

<Temat: Królowa

<Jak dygnąć:

<Jedna stopa do przodu.

<Ugnij kolano.

<Wykonaj pionowy ruch ciała w dół.

<Twój wierny sługa

Wybrał czcionkę. Kliknął na obramowaniu. Wybrał wielkość czcionki. Sformatował stronę. Podrapał się w głowę. Zaczął pisać.

Przycisnął „drukuj” i polecił wydruk dwudziestu pięciu egzemplarzy, potem zobaczył, jak dobrze wyglądają, i zadał ponowny wydruk.

Włożył całość do teczki i poszedł do kuchni, niezmiernie zadowolony. Mimo że zajmował się sprzedażą i usługami, a nie marketingiem, efekt swoich działań uznał za zadowalający.

Skreślił pod okno z kanapą, gdzie rozstawione były sztalugi, obok leżały akwarele, a na tapecie był luty.

— Co myślisz? — Podsunął jej pod nos ulotkę.

— Wspaniale!

— Mogłaby mieć, hm, bardziej atrakcyjny wygląd. Ale po zastanowieniu postanowiłem nadać jej prosty charakter.

— To zawsze najlepsze rozwiązanie! Pocałowała go na pochwałę.

Czego jeszcze mężczyzna mógł pragnąć na tym świecie?

Przemknął obok kościoła baptystów Green Valley i z uznaniem przyjął hasło umieszczone na pulpicie:

**PRZYPADEK MA MIEJSCE WTEDY GDY BÓG POSTANAWIA ZACHOWAĆ ANONIMOWOŚĆ**

Agnes spotkała go przy murku, gdzie stali, spoglądając w dół na chmury, które zebrały się w kotlinach po deszczu ubiegłej nocy. Następnie, niosąc kosz z herbatą i teczkę pod pachą, wszedł z nią do nawy.

Zobaczył ją natychmiast i wstrzymał oddech.

— Piękna! — wykrzyknął, wyprzedzając ją w drodze do ambony umieszczonej po lewej stronie przejścia pomiędzy ławkami.

Poczuł znajomy zapach, który kojarzył mu się jedynie z kościołami i salonem jego mamy; aromatyczny wosk, którym tak starannie natarto dąb, jeszcze przez długi czas będzie wydawał swą woń.

Poszła za nim, opierając się na lasce.

— Clarence zbudował ją cztery lata temu, gdy Bóg odnowił nasze przekonanie, że przyśle kogoś. Stała tu jedynie przez chwilę, a potem zabraliśmy ją do budynku szkoły, gdzie była bezpieczna.

Wypolerowany dąb lśnił w świetle, które wpadało przez okno nad ołtarzem.

— Wyjątkowo piękna! — pochwalił.

— Przyniósł ją w niedzielę wieczorem i z ogromną radością zainstalowaliśmy ją tutaj. Czy podoba się ojcu miejsce, w którym jest ustawiona?

— Nie mogłoby być lepiej! Co się stało z oryginalną amboną?

— Została skradziona wiele lat temu. Wandale, którzy to zrobili, nie byli złodziejami, ale bluźniercami innego gatunku.

Wskazała na inicjały, niezręcznie wycięte po lewej stronie ambony.

— O tam... „J.C. kocha C.M.” Na początku bardzo się tym zmartwiliśmy, potem doszłam do wniosku, że może to znaczyć: „Jezus Chrystus kocha Clarence'a Mertona”.

Roześmiał się.

— To właściwa postawa, a na dodatek święta prawda! A tutaj! Tak misternie wyrzeźbione detale. To też on to zrobił, tak?

— Tak, starymi narzędziami do rzeźbienia, które otrzymał dawno temu.

Powiodł palcem po rzeźbionym dębie, znacząc drogę, którą przed nim pokonało dłuto.

Cierniowa korona. Serce. Gołąb. Kwiat derenia. A w centrum — krzyż.

— Agnes...

Tylko tyle był w stanie powiedzieć. Była poruszona, dumna.

— Tak.

— Podziękujmy Bogu!

Zaiste, rozsadzała ich radość i jedynym ratunkiem była modlitwa.

Ujął jej dłoń w swoje dłonie i pochylili głowy.

— Wielbimy Cię, Panie, dziękujemy Ci, Panie, błogosławimy Ci, Panie!

— Dziękujemy Ci za cud i tajemnicę tego miejsca, za te trzydzieści wyjątkowych lat oddania, za Twoją nieustającą otuchę dla serc i dusz Twoich sług, Agnes i Clarence'a, za Twoje cudowne dary dla Clarence'a, za pobiegliwość i pomysłowość, i za Twój dar dla obojga, ogromnej wytrwałości w wierze i modlitwie.

— Dziękujemy ci z tę nawę nad chmurami, w której Twe święte imię było i nadal będzie czczone, wielbione i chwalone. Dziękujemy Ci za to, że pójdziesz przed nami, gdy będziemy odwiedzać naszych sąsiadów, i za to, że przygotujesz dla każdego i dla wszystkich szeroką drogę do Holy Trinity. Przyciągnij, kogo zechcesz, do czułości Twojej bezwarunkowej miłości, słodczy Twojej nieustającej łaski i balsamu Twego nieograniczonego wybaczenia.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

— Amen — wypowiedzieli zgodnie.

— Cóż, w takim razie!

Poczuł się, jakby miał dwa metry wzrostu i cały czas rósł.

— Mam już gotową ulotkę. Chcesz ją zobaczyć?

— Tak!

Wyjął jeden egzemplarz z teczki.

— I zabrałem taśmę klejącą, żebyśmy mogli ją przykleić do drzwi, jeśli kogoś nie będzie w domu, i pinetki na słupy elektryczne i płoty.

— Pomyślał ojciec o wszystkim! — zawołała podekscytowana tak jak on.

*Kościół Episkopalny Holy Trinity Wilson's Ridge*

Poświęcony w 1899 roku Ponownie przyjmie wiernych w niedzielę, 1 maja o dziesiątej rano Radosną celebracją *Modlitwy Porannej i Komunii Świętej*

Zapraszamy wszystkich i każdego

— Zwrot „Komunii Świętej” powinien się być znaleźć w osobnej linijce — wyznał. — Nie wiedziałem, jak ustawić ten, jak mu tam.

— Wygląda doskonale — oceniła. — Podoba mi się to obramowanie.

— Dzisiaj możemy przeczytać litanie na środę popielcową i skończyć naszą listę wizyt, i... co jeszcze?

— Pokażę ojcu cmentarz.

— A rano wyruszymy bardzo wcześnie, jeśli ci to odpowiada. Przyjadę po ciebie o dziesiątej, zgoda?

— Będę gotowa — odparła wesoło — z termosem herbaty.

— A teraz bardzo chętnie wysłuchałbym kolejnej części twojej opowieści.

Wyglądała niepewnie.

— Czy naprawdę chce jej ojciec wysłuchać? Nie jestem dumna ze wszystkiego, co będę musiała ojcu powiedzieć.

— Chcę jej wysłuchać. Bardzo.

W pierwszej ławce wyjęła kubki z kosza, odkręciła zakrętkę termosu i wlała parującą herbatę.

Mimo że poranne słońce ogrzewało grzbiety gór, w nawie było zdecydowanie chłodno. On miał na sobie kurtkę, a Agnes szczerzej opatulila swoją szczupłą sylwetkę starym kardiganem.

— Chciałbym też dowiedzieć się czegoś o wszystkich, którzy przyszli w niedzielę. O Rooterze i jego babci...

— Granny nie jest jego rodzoną babcią. Była sąsiadką, która wzięła go jako niemowlę, gdy porzucili go rodzice.

Poczuł ukłucie w sercu.

— Czy nie ma temu końca, Agnes?

— Nie, ojcze, nie ma. Świat jest surowy i nie wybacza, co jest tylko jednym z powodów, dla których mnie tu ojciec dzisiaj widzi.

— Tutaj?

— Na tym szczycie góry, pozornie z dala od okrucieństwa, które nas czeka, gdybyśmy tylko upuścili to miejsce.

— A Clarence?

— Jest tu szczęśliwy; tutaj Clarence się odnajduje. Ma pracownię na naszym podwórku i tworzy piękne rzeczy w drewnie, które sprzedaje człowiekowi, jeżdżącemu do górskich sklepików.

Spuściła skromnie oczy.

— Clarence zdobył wiele nagród.

— To cudownie! Nie wątpię. A opowiedz mi o Robercie.

— Robert był w więzieniu przez jedenaście lat; mieszka sam, dalej tą drogą.

Zauważył, jak na jej twarzy rysuje się smutek.

— Dlaczego był w więzieniu?

— Mówiono, że zabił człowieka.

— Czy znasz go dobrze?

— Nikt nie zna go dobrze. Mimo to wierzę, że jest niewinny. Od początku twierdził, że jest niewinny. Człowiek, o zabójstwo którego go oskarżono, był jego dziadkiem.

— Widzę w jego oczach wielki głód. Robert chce poznać Boga.

— Tak. Chce. Chociaż może nie wiedzieć albo nawet nie zdawać sobie sprawy, z tego, że chce. Wydaje mi się, że jest rozpaczliwie samotny.

Oparł łokcie na kolanach, pochylił się do przodu w ławce i patrzył niewidzącymi oczami na sosnowe deski podłogi.

— A Lloyd?

Miał nadzieję, że opowieść o Lloydzie będzie trochę radośniejsza.



— Jest dobrym człowiekiem. Dla niego zetknięcie ze światem też okazało się brutalne, nawet jeśli jednocześnie kształcające i wrócił do domu, mając nadzieję, że wszystko będzie wspaniałe, jak w jego dzieciństwie.

— Agnes roześmiała się lekko. — Oczywiście, gorzko się rozczarował!

Wyprostował się i usiadł wygodnie na drewnianej ławce.

— Mam nadzieję, że pewnego dnia pojedę do domu; minęły już lata od czasu, gdy ostatnio odwiedziłem Holly Springs w Missisipi. Wydaje mi się, że boję się... nie jestem pewien... że wszystko wyda mi się takie inne, albo jeszcze gorzej, zbyt znajome.

— Rozumiem.

— Ale proszę, zacznij swoją opowieść od miejsca, na którym ostatnio skończyłaś. Ty, Jessie i mała Bertie przeżyłyście Wielki Chrzest. Co stało się potem?

Uśmiechnęła się i wypila łyk herbaty, wdychając rozkoszny aromat sasafrasu, nie zmącony tym razem pospolitym zapachem mięty.

— Okazało się, że kochamy tych ludzi i że oni kochają nas. Z czasem zrozumiałam, że ludzie tutaj nie są przedmiotami naszej działalności charytatywnej, ale prawdziwymi sercami, którym chciałam ponad wszystko pomóc.

Jessie i ja prosiłyśmy, aby diecezja przysyłała każdy kawałek odzienia, jaki udawało im się zebrać, wybrałyśmy się nawet do Asheville w dwóch przełomowych chwilach, aby wystąpić ze szczególną prośbą o zimowe płaszcze i buty. Nawet sobie ojciec nie wyobraża, jaki niedostatek tu zastałyśmy.

Uśmiechnął się.

— Byłem młodym duchownym na rubieżach Missisipi blisko czterdzieści lat temu, więc potrafię sobie wyobrazić.

— Jestem pewna, że ma ojciec duże doświadczenie w pracy z różnymi ludźmi. Proszę mi wybaczyć moją śmiałość, ale może pewnego dnia ojciec opowie mi swoją historię.

— Zgoda! — zawołał.

— Używałyśmy naszego buicka, żeby wozić ludzi do lekarza, czasami aż do Holding. Droga do Holding i z powrotem zajmowała nam cały dzień, często przekraczałyśmy strumień późno w nocy.

— Nie było lekarza w Mitford?

— Tylko w niektóre dni. Podobnie jak duchowny, przyjeżdżał jedynie z wizytą. A nikt z nas nie miał zbyt dobrego zdania o tych marnych gościach z Wesley — byli bliźniakami i obydwójce wyglądali, jakby zjedli wiadro zielonej persymony!

Ale wszyscy uwielbiali naszego buicka. Tak wielu nigdy wcześniej nie jechało samochodem. Pakowali się na tylne siedzenie jak ulęgałki, jak mawiała Jessie, i wszyscy trzymali się ręcznych uchwytów. Wydaje mi się, że byłam bardzo energicznym kierowcą w tamtych czasach, niektórzy mówili, że panna Agnes jeździ po tych drogach jak szalona.

Roześmiała się.

— Pamiętam, że rozlegało się pukanie do drzwi i na progu stała dwójka albo trójka niedomytych urwisów, pytających: „Panno Agnes, czy możemy usiąść w pani samochodzie?”. A pewnego zimowego wieczoru Jessie wyszła, żeby włożyć dwie zapiekanki z kabaczkim do tego przepastnego bagażnika — którego używa-

łyśmy również jako zamrażarki — a na tylnym siedzeniu, przykryta naszym pledem, spała twardo trójka dzieci z sąsiedztwa. Przyszły spędzić noc w samochodzie panny Agnes! Przez rok czy dwa było to bardzo modne.

Oczywiście, nie wszystkim w tych stronach podoba się pomysł samochodu. Są tacy, nawet dzisiaj, którzy wcale nie mają ochoty na jazdę w dół góry samochodem.

— Należę do nich, prawdę powiedziawszy.

— Jubal Adderholt nie opuszczał tej góry od czternastu lat. Jest kimś, kogo chciałabym, abyśmy odwiedzili jutro.

Odwróciła wzrok.

— Być może...

— Być może?

— Być może powinniśmy sporządzać plan naszych wizyt, a nie siedzieć tu i marnować czas.

— Jeszcze dziesięć minut?

Zawahała się, a potem skinęła głową na zgodę. Wydawało mu się, że cień smutku przemknął po jej twarzy, ale być może się mylił.

— Wiemy, że drogi dzisiaj nie są najlepsze, ale w tamtych czasach były bez porównania gorsze. Jeżdżenie buickiem po najbiedniejszym okręgu w stanie może wydawać się awanturnicze czy nawet romantyczne, ale te trudne warunki odbijały się na wszystkim, od opon poczynając, na silniku kończąc.

Nie tak dawno zapytałam starszą panią, co według niej było najbardziej niesamowitą rzeczą w jej długim życiu. Spodziewałam się odpowiedzi w rodzaju: „Człowiek na Księżycu!”, ale ona spojrzała na mnie z absolutną pewnością i oświadczyła: „Dobre drogi, Agnes, dobre drogi!”.

Części były w tamtych czasach przerażająco drogie, tak jak podobno i dzisiaj. Zamawiałyśmy części z Bangor w stanie Maine, przez kilka lat, ponieważ miałyśmy zaufanie do dilerów; ale jak ojciec wie, takie zakupy na odległość są zawsze drogie. Przypuszczam, że było to błogosławieństwem, naprawdę, gdy nasz wspaniały stary pojazd po prostu się zepsuł i byliśmy zmuszone przesiąść się... do ciężarówki...

Spojrzała przez wysokie okno nad ołtarzem na gałęzie dębu. Wydawało mu się, że zapomniała, iż tam jest.

— Wszystko w porządku? Przeżegnała się.

— Tak — szepnęła.

Odwróciła się wtedy i spojrzała na niego przeciągle.

— Wiem, że powiem ojcu wszystko; tak po prostu musi się stać.

Spojrzała za jego plecami i ujrzał, jak smutek w jednej chwili znika z jej twarzy.

— Clarence!

Odwrócił się i ujrzał zarys postawnej sylwetki Clarence'a w drzwiach.

— Nie udało mi się zamienić z nim więcej niż jedno słowo w niedzielę. To prawdziwe błogosławieństwo!

Podniósł się z ławki, gdy Clarence zbliżał się do nich pomiędzy ławkami.

— Clarence... — Wyciągnął dłoń. — Posługa z tobą była przyjemnością i radością, i jestem absolutnie zachwycony naszą piękną amboną.

Agnes wykonała kilka gestów dłońmi i ojciec Tim zorientował się, że używa języka migowego.

Clarence uśmiechnął się, bez wątpienia szczęśliwy, i podał ojcu Timowi dużą, naznaczoną licznymi odciśkami dłoń. Potem zwrócił się językiem migowym do mamy, która przetłumaczyła jego powitanie wikaremu.

— Mówi, że czekaliśmy długo. I cieszy się, że ojciec się zjawił.

Clarence przyglądał się jej uważnie, gdy mówiła, i skinął głową na znak aprobaty.

— Mój syn jest zupełnie głuchy, ojczy, nie potrafi też mówić. W zamian mówi jego serce.

— Słuchaj, Stuart, wiem, że jesteś zajęty...

— Nie zbyt zajęty, żeby porozmawiać z tobą, stary przyjacielu. Jak się układa w Holy Trinity?

— Czy wiedziałeś, że teren i budynek były dogłądane przez trzy dekady przez kobietę i jej syna?

— Nie wiedziałem, w istocie, do czasu gdy wysłałem ci e-mail w grudniu. Potem postanowiłem nie mówić nic o tym, co się dowiedziałem, żebyś mógł sam to odkryć. Poza tym nie byłem pewien, ile z tego, co się dowiedziałem, było prawdą. To brzmiało jak jakaś bajka z Appalachów.

— To nie jest bajka. A ta kobieta, Agnes Merton, jest diakonisą, jedną z diakonis, które ustanowił stary Kościół misyjny. Nie miałem pojęcia, że jakieś jeszcze żyją.

— Kilka oczywiście tak. Jedna w Wirginii, jedna czy dwie w Nowej Anglii, może więcej, nie wiem. To zamknięty rozdział w historii Kościoła.

— Teraz wiem, dlaczego mówiłeś, że jesteś jawnie zazdrosny.

Stuart roześmiał się.

— Czy tak mówiłem?

— Właśnie tak.

— I jestem. W całym swoim życiu nie widziałeś takiej pompy i zamieszania, jak przy potrójnej uroczystości konsekracji katedry, mojego przejścia na emeryturę i ustanowienia nowego biskupa. Wszyscy jesteśmy bliscy ataku serca. A ty siedzisz sobie na tym swoim beztroskim szczycie góry, ptaki jedzą ci z ręki, pумы wypoczywają o twoich stóp...

— Masz absolutną rację.

— Szczerze mówiąc, po głosie wydaje mi się, że jesteś piętnaście, może nawet dwadzieścia lat młodszy. Ojej, muszę uciekać. Bądź w kontakcie. Do zobaczenia w czerwcu!

— Zawsze pamiętam o tobie w modlitwach.

— I ja o tobie. Niech On zapewni ci wszystko, czego potrzebujesz dla Holy Trinity.

— Nie mogę się nadziwić, ile zapewnił już do tej pory. Ale opowiem ci wszystko innym razem. Musicie tu przyjechać z Marthą, musicie.

— Może za rok jesienią. Po konsekracji jedziemy na miesiąc na wyspy. Nie mam pojęcia, co zrobię z całym tym czasem.

— Na pewno coś wymyślisz — zawyrokował wikary. Miesiąc? Na wyspach! Nie mógł sobie nawet wyobrazić siebie w takiej sytuacji. Wiedział tylko, że był zadowolony, będąc tu, gdzie posłał go Bóg — spoglądając w dół na chmury, prawie tysiąc czterysta metrów nad poziomem morza.

<Czy wysuwam dowolną stopę, jak mi się podoba?

Więcej precyzji!!!

<Jak mocno mam ugiąć kolano?

<Jak niski ma być ten pionowy ruch ciała w dół?

<A gdy już będę miała za sobą te małe sztuczki, czy mogę spojrzeć jej w oczy?

<Mam nadzieję, że nie jest tak zarozumiała, żeby nie można jej było spojrzeć w oczy???

<A jeśli tak, to po co w ogóle się z nią spotykać?

<I pomyśl tylko o tych wszystkich starszych ludziach, którzy nie są w stanie ugiąć kolana? Czy są pozbawieni szansy ujrzenia Jej Wysokości???

E-mail ciągnął się jeszcze przez chwilę. Najwyraźniej Emma była przerażona na śmierć perspektywą lotu przez ocean i zrobiła się bardzo drażliwa.

Willie Mullis zaprezentował mu zawartość swojego kapelusza.

— Dziewięć.

— Dziewięć! Jak cudownie!

Ściągnął miskę na jajka z półki nad wieszakiem.

— Może wejdiesz dalej?

— Nie, proszę ojca.

— Przypuszczam, że kury zaczną nieść więcej — jak myślisz, ile?

Wyjął jajka po jednym z kapelusza i włożył je do miski. Cztery brązowe, pięć białych.

— Może dwanaście dziennie?

— Dziewiętnaście.

— Dziewiętnaście?

— Tak, proszę pana.

— Zostało nam sporo z poprzedniego dnia; może zabrałbyś te dla siebie?

— Nie, dziękuję, proszę pana.

— No cóż, w takim razie. Może nam trochę pomożesz i weźmiesz kilka?

— Po jajkach mam wzdęcia.

— Rozumiem. Miałbyś ochotę wejść na kubek gorącego kakao?

— Nie, dziękuję, proszę ojca.

Willie spuścił wzrok na swoje buty, do podeszwy których przykleiła się spora ilość słomy.

— Wyrzucałem gnój ze stajni dzisiaj rano.

— Rozumiem. Cóż, gdybyś potrzebował pomocy, daj mi znać. I dziękuję ci, Willie, dziękuję.

— Tak, proszę ojca.

— Wydaje mi się, że on mnie nie lubi — wyznał Cynthii.

— Też coś, kochanie. Ciebie wszyscy lubią.

— Dobrze, dobrze, Kavanagh. Powiedz mi więc, co będziemy robić z dziewiętnastoma jajkami dziennie.

Westchnęła.

— Nie mam pojęcia. Tarty. Omlety. Sałatki z jajek. Co robiła Marge, na litość boską? Nic nie mówiła. Nie mam zamiaru piec ciasta, tak na marginesie, nie mam czasu, żeby piec ciasto, więc nawet nic nie mów o pieczeniu ciasta!

— Ciasta! Nawet by mi to nie przyszło do głowy.

Jego żona była dziwnie blada i wyglądała na bardzo zmęczoną.

— Co się dzieje, moja dziewczyno?

Podszedł do niej do zlewozmywaka i otoczył ją ramieniem.

— Po pierwsze, pranie! Skąd się to wszystko bierze? Normalnie jakby się kociło! A potem ścieranie kurzów, i zamiatanie, i gotowanie, i trzepanie psich posłań, i opróżnianie zmywarki, i praca nad kalendarzem...

— Jak ci idzie luty?

— Uch. Źle. Zupelnie źle. Ze styczniem mi się upiekło, a teraz mam za swoje przy lutym.

— Jak mogę ci pomóc?

— Ten dom był taki przytulny i miły i nawet jakby mały, gdy była tu Joyce, a teraz jest najzwyczajniej w świecie ogromny. Ten odkurzacz... ktokolwiek go wymyślił, należałoby zakuć go w dyby.

— Chodź i usiądź — poprosił, odciągając ją od zlewozmywaka. — Zajmę się praniem, zrzuć to na mnie. A co powiesz, jeśli zacznę nosić koszule przez trzy, a nie dwa dni w tygodniu? A do tego zrobię dzisiaj kolację! Co powiesz na omlet? Albo tartę, mógłbym zrobić tartę...

— I kominek — westchnęła, opadając na fotel z wysokim oparciem. — Nie wiem, co się z nim dzieje, ale za każdym razem, gdy pojawi się nawet najmniejszy wiatr, rozdmuchuje popiół po całej podłodze.

Widok jego zazwyczaj wesołej żony tak zmęczonej i przygnębionej był dla niego nie do zniesienia. Dlaczego nic nie zauważył? Był aż tak ślepy czy aż tak głupi?

A może jedno i drugie?

— Będę przez parę dni w Holding, kontrolując budowę, którą wykonujemy dla banku — powiedział Buck. — Zajrzę do Lona Burtiego i zobaczę, co się dzieje w przyczepie Clyde'a Barlowe'a.

— Dobrze. Jesteś pewien, że nie będę ci potrzebny?

— Nie widzę takiego powodu.

— Jak interesy?

— Jesteśmy zawaleni robotą — odparł Buck. — Ale nie narzekam.

Kilka lat temu ojczym Bucka poprosił Boga, aby odmienił jego życie, i od tej pory on i Buck pracowali razem, więcej niż raz, aby odnaleźć jego zaginione rodzeństwo. Prawdę powiedziawszy, pomiędzy wikarym i bezkompromisowym nadzorcą budowlanym, który nadzorował budowę Domu Nadziei, wytworzyła się silna więź.

— Pauline mówiła, że ojciec dzwonił. Coś się stało?

— Dooley chce przybrać nazwisko Kavanagh. Mówiąc to, poczuł się nieswojo.

— Byłbym wdzięczny, gdybyś pozwolił mi porozmawiać z Pauline, zanim jej to powiesz. Planuję być w czwartek w Domu Nadziei.

— Będę milczał jak grób.

— Myślisz, że... jak myślisz, jak ona to przyjmie?

— Nie wiem. Może się poczuć tak, jakby ponownie traciła jedno ze swoich dzieci. Nic jej nie mówiłem o tym, że Sammy zniknął. Oczywiście, nie wiemy, czy naprawdę zniknął.

— To prawda.

Wiedział jedynie, że wiadomość o Sammym nie nastrajała go optymistycznie. Było mu ciężko na sercu, gdy myślał o chłopcu, który był tak podobny do Dooleya, że mogli być bliźniakami, i który miał talent do zamienienia jałowej pustyni w cudowny ogród.

— Ile czasu zajmuje kupno kawy w Starbucks?

— Na litość boską, nie byłem w Starbucks. Byłem przez cztery dni w Atlancie.

— Aha.

— Moja automatyczna sekretarka nie działa zbyt dobrze — wyjaśnił Walter. — Co słyhać, kuzynie?

— Dooley skończył dwadzieścia jeden lat w lutym. Po, jak mam nadzieję, spokojnym przemyśleniu tematu chciałby przyjąć nazwisko Kavanagh.

Walter roześmiał się.

— Podoba mi się, gdy Anglik wybiera irlandzkie nazwisko. Być może zdarza się to jeden albo dwa razy na tysiąc lat. W każdym razie, to fantastyczna wiadomość; wydaje mi się, że jest dość melancholii w twoim chłopcu, aby zrobić z niego doskonale autentycznego Irlandczyka. I słuchaj, zostaniesz tatą! W wieku zaledwie ilu — siedemdziesięciu lat?

— Sześćdziesięciu dziewięciu, jeśli sprawy papierkowe zostaną zamknięte przed dwudziestym ósmym czerwca.

— To nie jest moja specjalność, ale wydaje mi się, że wszystko powinno pójść dość łatwo, zważywszy na to, że jest pełnoletni. Pozwól, że się tym zajmę i dam ci znać.

— Wkrótce, jak myślisz?

— Za dzień lub dwa, powiedzmy, nie później niż w następną środę, ale to już ostateczny termin. Jak się ma twoja olśniewająca żona?

— Chce, żebyś przyjechał z Katherine do nas na farmę tego lata.

— I obcował z owcami i krowami? Porozmawiamy o tym, to wspaniały pomysł. Tak więc, jak spędzasz te słodkie chwile nieróbstwa?

Słodkie chwile nieróbstwa? Zdał sobie sprawę, że te słowa przyprawiają go wręcz o mdłości; nieróbstwo nigdy nie będzie jego udziałem — pod żadną postacią.

Nigdy nie powinien był się wplątać w tę szermierkę słowną z Emmą, dlaczego nie miał dość rozumu? Nacisnął „odpowiedź” i zaczął pisać.

<Prawa stopa.

<Lekko ugięte.

<Niezbyt niski.

<Z poważaniem.

Ktoś zdecydowanie siedział w nogach łóżka, po jego stronie. Podniósł głowę z poduszki.

Panna Sadie miała bose stopy, a na sobie długą, białą koszulę nocną.

*Panno Sadie!* Serce podeszło mu do gardła. *Myślałem... myślałem, że pani...*

*Że umarłam? Ależ tak!*

*Gdzie ma pani buty? Przeziębci się pani na śmierć!*

*Zachichotała jak dziewczynka. Za późno!*

Wydawało mu się, że to dziwne, iż w ogóle nie wygląda staro, ale wyjątkowo młodo. Gdzie była i co robiła przez cały ten czas?

Był na nią bardzo zły. Dlaczego udawała, że umarła, co tak bardzo ich wszystkich zasmuciło i złamało serce Louelli? I czy chociaż raz zastanowiła się nad tym, jak bardzo za nią tęsknił przez te wszystkie lata? Był wściekły, że dał się tak podstępnie oszukać.

*Kiedy zamierza mu ojciec powiedzieć?*

— Gdy nadejdzie odpowiednia pora — odparł wściekły jak osa.

Cynthia przekreśliła się w jego stronę, zarzucając mu na pierś rękę.

— Co mówiłeś? — szepnęła.

Panna Sadie siedziała w tym miejscu, jak żywa! Siedziała tu, tak że mógł ją uszczypnąć, w pewnym sensie.

— Panna Sadie! — zawołał, jak porażony.

— Ach — odparła Cynthia, po czym wróciła do swojego świszczącego, ale przyjemnego chrapania.

## Rozdział siódmy

### *Idź, ogłoś to*

Agnes przytrzymała się uchwyty, gdy samochód podskoczył na dziurze wielkości miednicy.

— Kiedyś przebiegał tędy szlak handlowy Indian Cherokee!

— Szlak handlowy oznaczał z pewnością zdecydowanie lepszą komunikację!

W istocie, możliwość korzystania z półciężarówki dostępnej na farmie okazała się zbawienna; po mu-stangu zostałyby jedynie strzepy w jego nowej parafii.

Przez cały ranek modlił się za Sammy'ego, wiedział też, że Cynthia robi to samo.

— Agnes, czy dołączysz jeszcze jedno imię do twojej listy modlitw?

— Z przyjemnością.

— Sammy.

Ze zdziwieniem zauważył, że załamał mu się głos, gdy wypowiadał to imię.

— Clarence też się będzie modlił.

— Wiesz lepiej niż wszyscy inni, że Clarence jest wyjątkowy.

Jej oczy pojaśniały.

— Jak mógłbym się nauczyć z nim rozmawiać?

— Mogę ojca nauczyć.

— Wspaniale!

— Clarence i ja posługujemy się amerykańskim językiem migowym od czasu, gdy był dzieckiem. Składa się na to literowanie palcami, albo ABC, język migowy ciała — często określany jako język ciała i mimika twarzy. Mimika twarzy może dużo wyrażać, wszyscy jej oczywiście używamy; chociaż moim zdaniem głusi używają jej w bardziej wyraźny i interesujący sposób. Twarz głuchej osoby może być bardzo ekspresyjna.

Przyhamował, gdyż zaczęli zjeżdżać ostro w dół.

— Czy nie ma prostych ruchów dłonią, które wyrażają całe myśli albo zdania? Nawet złożone pojęcia? Chciałbym zacząć od czegoś w rodzaju *Mini rozmówki w języku migowym*.

— Oto znak, który jest powszechnie znany; może ojciec odezwać się nim dzisiaj wieczorem do swojej pięknej Cynthii.

Uniosła prawą dłoń, zginając palce środkowe w kierunku wnętrza dłoni, wyprostowała mały palec, palec wskazujący i kciuk, i powiedziała mu, co to znaczy.

Znał kiedyś ten znak, ale zupełnie o nim zapomniał; była to zagubiona wiedza, którą odzyskał dokładnie w chwili, gdy jej potrzebował. Powtórzył jej gest lewą dłonią, czując ukłucie szczęścia.

— Bardzo dobrze! — pochwaliła go Agnes. — To cudowny fragment języka migowego, którego warto się nauczyć, nawet jeśli nigdy nie nauczy się nic więcej.

— A znaki, które oznaczają tylko słowa?

Przyhamował nieomal do zatrzymania, podczas gdy ona uniosła ręce, dłońmi w dół, ponad swoją głowę, a potem otworzyła je do góry.

— Wieża!

— Blisko. Niebo.

— Aha!

— A to?

Dotknęła lekko swoich ramion i poruszyła dłońmi na zewnątrz.

— Hm...

Chciał być bystry, ale nie potrafił.

— Anioł.

— Bardzo eklezyjastyczny język!

— Pełen wyrazu, ekscytujący i bezpośredni język! — wykrzyknęła. — Jeszcze jedno na dzisiaj. To, kim jest dla nas ojciec w Holy Trinity.

Utworzyła literę swoją prawą dłonią, dwa razy dotknęła swojego lewego ramienia i opuściła ręce płasko wzdłuż ciała.

— Nie mam pojęcia — odparł.

— Pasterz!

— Trudne.

— Tak, na początku. A potem, jak z każdym mówionym językiem, zdajesz sobie sprawę, że twój nowy język w końcu zaczyna żyć. Jeden znak prowadzi naturalnie do drugiego; a potem, nagle, porozumiewasz się.

Pamiętam tę rozpacz, kiedy dowiedziałam się, że Clarence jest głuchy, i jak bezsilna się wtedy czułam; miał czternaście miesięcy. Wiedza na temat głuchych w tamtych czasach była bardzo znikoma. Znalazłam parę



książek w bibliotece; studiowaniu ich poświęcałam każdą wolną chwilę — nieustannie mówiłam do niego językiem migowym.

Potrzeba było czasu, ojcze. Zaczęłam myśleć, że może język migowy jest jednym wielkim kłamstwem i zapewne wszystkie moje wysiłki spełzną na niczym. Wtedy przyszedł dzień, którego nigdy nie zapomnę, kiedy mój syn zaczął mówić do mnie, wyrażając swoje serce za pomocą swoich dłoni. Miał cztery lata — przepełniła mnie radość i cud tego fenomenu.

W jej oczach pojawiły się łzy; spojrziała na gałęzie drzew kołysane przez wiatr, potem odwróciła się do niego, uśmiechnięta.

— A teraz! Przećwiczmy sobie alfabet, jako rodzaj rozgrzewki.

— Chętnie.

— Być może nie będzie ojciec nic z tego pamiętał, ale możemy ćwiczyć za każdym razem, gdy się spotkamy. Proszę, oto A.

— Stare dobre A!

Zacisnęła palce dłoni w pięść i oparła kciuk na palcu wskazującym.

Ojciec Tim powtórzył ten gest, pełen entuzjazmu, że się uczy.

— Doskonale! A to jest B.

Uniosła palce dłoni prosto do góry i zgięła kciuk do środka, dotykając wnętrza dłoni.

— Chętne i towarzyskie 6! — zawołał, wykonując gest lewą dłonią.

Uśmiechnęła się.

— Jest ojciec pilnym uczniem dla tego starego nauczyciela.

— Agnes... Czy się odważy?

— Urodziłem się na południu, tam się też wychowałem i pozwól, że to powiem, choć wiem bardzo dobrze, iż nie powinienem o to pytać. Jeśli moje pytanie będzie nietaktowne, to proszę, żebyś mi z góry wybaczyła...

Wyglądała na niepewną.

— Czy nie miałabyś nic przeciwko... to znaczy... ile masz lat?

— We wrześniu skończę osiemdziesiąt siedem.

— Ależ to niesamowite! Wydajesz się dużo młodsza!

— Szczerze mówiąc, był absolutnie zaskoczony. — Michał Anioł miał osiemdziesiąt siedem lat, gdy napisał *Ancora imparo*, albo *Nadal się uczę*.

— Nauka była zawsze największą słabością moją i Clarence'a, muszę z przyjemnością przyznać.

— Czy to nie przeszkadza, że jesteście... tak daleko od jakiegokolwiek pomocy medycznej?

Roześmiała się.

— Doszłam do wniosku, że człowiekowi nigdy nie uda się uciec zbyt daleko od pomocy medycznej! Najlepszym lekarstwem dla Clarence'a jest praca w drewnie. Moim własnym niezawodnym lekarstwem jest nasz ogród i nasze książki. Jednak...

Spojrziała na niego — jakby szelmowsko.

— ...Muszę przyznać się do stosowania jeszcze jednego panaceum.

— Śmiało!

— Jestem absolutnie uzależniona od krzyżówek. Roześmiał się.

— Rozwiązywanie krzyżówek, mam nadzieję, opóźnia petryfikację mojego biednego mózgu i również sprowadza na mnie przyjemny sen... jeśli kopanie ogródka nie uczyniło tego wcześniej! Ale, odpowiadając na ojca pytanie — każdej wiosny jadę na badanie i szczepienie przeciwko grypie w Wesley i ufam, że Bóg będzie nadal obdarzał nas Swym miłosierdziem i łaską. A ojciec, mogę zapytać? Jak długo już czyni ojciec dobro na ziemi?

— W czerwcu skończę siedemdziesiąt lat. Siedemdziesiąt! Aż trudno uwierzyć.

— Przypominam sobie coś, co napisał George Herbert, ten wspaniały człowiek. „Teraz, w starości mej, rozkwitam jeszcze...”\* Wyczuwam, że Bóg wyznaczył dla ojca nowe cudowne zadanie, że wkracza ojciec do jakby złotego przejścia.

— Do złotego przejścia — rozmyślał. — Dziękuję ci za tę myśl.

— Gdy będę kontynuowała opowieść mojego życia, muszę prosić ojca z góry o wybaczenie.

— Zupełnie nie mam pojęcia, jakiego wybaczenia mogłabyś chcieć albo potrzebować ode mnie. Ale oczywiście je masz.

\* George Herbert, *Kwiat*, tłum. Aleksander Mierzejewski, w: *Poeci języka angielskiego*, tom I, PIW, Warszawa 1969.

Podskakiwali na wybojach w samochodzie, jadąc smaganą wiatrem drogą, kończąc sesję nauki literowania palcami na literze G.

— Czy śpiewasz, Agnes?

— Słoń nie nadepnął mi na ucho, ojczy, ale niewiele brakowało.

— Wiem, że to pieśń bożonarodzeniowa, ale jestem w nastroju na *Idź, ogłoś to po górach*.

— Napisana przez pana Johna Worka!

— Muszę przyznać, że masz bardzo szeroką wiedzę.

— Pracowałam w bibliotece sporo lat.

— Tutaj?

— W Chicago.

— W takim razie opuściłaś te góry!

— Tak. Muszę przyznać, że nie pamiętam wszystkich zwrotek; są trzy, wydaje mi się.

— Ja też ich nie pamiętam. Nieważne, zaśpiewamy dwa razy refren. Ale nie pozwól mi śpiewać samemu, bo pożałujesz.

Z wyjątkiem swojego najlepszego przyjaciela, którym — jak cudownie się składało — była jego żona, z nikim przez te wszystkie lata nie czuł się tak swobodnie jak z Agnes Merton. To sam Bóg zesłał mu tę kobietę, tak jak Danielowi swojego anioła, gdy wrzucono go do jaskini lwów.

— Proszę, niech ojciec zacznie, a ja dołączę. Odrzucił do tyłu głowę i zaczął tubalnie:

*Idź, ogłoś to po górach,*

*Wszystkim dolinom ogłoś rad!*

*Idź, ogłoś to po górach,*

*Że Zbawca przyszedł na świat...*

*Idź, ogłoś to po górach.*

*Wszystkim dolinom ogłoś rad!*

— Na niebiosa, co za uczucie! Czyżby udało się nam osiągnąć jakąś harmonię, panno Agnes?

Zmarszczki wokół jej oczu pogłębiły się, kiedy się uśmiechnęła.

— Tak, ale nic więcej — odparła.

Zrywający się wiatr uderzył w nich mocno, gdy wjechali na podwórko przed chatką.

— Jubal Adderholt nie przekona się do nas od razu. Pod drzwiami dla pasażera ustawił drewniane krzeselko, które zabrał ze stodoły w Meadowgate.

— Proszę się przytrzymać — zaproponował, wyciągając rękę.

Agnes chwyciła jego dłoń, ostrożnie postawiła jedną stopę na krzeselku, a następnie stanęła z ulgą na ziemi, wspierając się na lasce.

— Widzę, że włączcie na mój teren! To jest teren prywatny!

Gospodarz, z długą brodą i bosymi stopami, otworzył drzwi swojej dwupokojowej chatki i przyglądał się z daleka gościom, którzy znaleźli się na jego podwórku. Dym unosił się z komina i natychmiast porywał go wiatr.

— Dzień dobry panu! Przynieśliśmy gorącą herbatę.

— Czy to panna Agnes?

— Tak! — zawołała, chwytając mocno laskę.

— Przecież pogoniłem panią już tyle razy, a pani cały czas wraca!

— I nie przestanę, proszę pana.

— W życiu żem nie widział czegoś takiego, ani chwili spokoju. Kto to jest, ten z panią? Straszycie mnie prawem?

— To jest ojciec Timothy Kavanagh, nasz nowy wikary w Holy Trinity.

— Nie chcę żadnych nawiedzonych, ledwie panią trawię.

— Nie zostaniemy długo. Posuwajmy się do przodu — szepnęła do ojca Tima.

— Wypuszczę na was moje psy!

— Gorąca herbata będzie cudownie smakować w ten chłodny wiosenny poranek!

— Psy? — upewnił się szeptem ojciec Tim.

Gdy wchodzili po schodach na ganek, twarz Jubala z dużą brodą zniknęła w drzwiach.

— Nie ma żadnego psa! Jedynie bardzo zdesperowany kundel mógłby się chcieć zadawać z Jubalem Adderholtem.

Doszedł do wniosku, że Agnes wygląda na najzwyczajniej w świecie zachwyconą przyjęciem, które im zgotowano.

Stali przez chwilę na skrzypiących deskach podłogi na ganku, założonym stertami drewna na podpałkę. Pokażny zbiór wieściorkich ogonów przybity był do ścian z bali, a nawet do drzwi wejściowych. Wiatr poruszył futrem ogonów.

— Ten zbiór ciągnie się wokół całej chatki — wyjaśniła Agnes niskim głosem. — Można by powiedzieć, że to chatka kryta futrem.

— Dobra izolacja na zimę!

Przez otwarte drzwi apetyczny zapach gotowanej potrawy wydostawał się na powietrze.

— Wchodzimy, proszę pana!

— Nie ma mie tu, wyskoczyłem przez okno. Popchnęła drzwi laską, aż się otwarły.

— To dobrze! — zawołała. — Zostanie więcej herbaty dla mnie i ojca Tima.

— Jestem całkiem na golasa! — zagroził im Jubal z sąsiedniego pokoju.

— Proszę się nami nie krępować, nie takie rzeczy żeśmy widzieli, jestem pewna.

W chatce było duszno z gorąca; na piecu, na małym ogniu stał żeliwny rondel.

Agnes wyjmowała kubki i termos z koszyka, gdy Jubal wszedł do pokoju w podkoszulku termicznym i spodniach, które podtrzymywały szelki. Był lekko pochylony, miał ciemne krzaczaste brwi i grzywę zupełnie białych włosów, które zlewały się w jedną gęstwinę z jego brodą.

Starszy mężczyzna spojrzał gniewnie na ojca Tima.

— Niech ojciec nie próbuje zbawiać starego grzesznika, jasne? I niech ojciec nie próbuje obmywać mi stóp, sam myję swoje przeklęte stopy, dzięki wielkie.

— Ale to ksiądz z Kościoła baptystów chciał obmyć panu stopy. — Agnes naląła kubek herbaty i podała go Jubalowi.

— I zobaczta, co stało się z ich kościołem — spłonął do szczytu.

Wziął parujący kubek i wciągnął z lubością aromatyczny zapach.

— Wypiłem już cały suszony sasafras, co mi go pani przyniesła — spojrzał z wyrzutem na Agnes.

— Wie pan bardzo dobrze, gdzie go szukać we własnych lasach.

— Człek w moim wieku nie może se skakać po sosnowych lasach.

— Panna Martha jest od pana starsza o dziesięć lat i nadal co wiosnę uprawia sama swój ogródek.

— Przyszła pani znowu mnie nagabywać, co?

— Tak — odparła Agnes, lekko uśmiechając się do Jubala. — Dzięki nagabywaniu ciebie zachowuję młodość.

— Jak się ojciec z nią zszedł?

Jubal przeszył ojca Tima zimnym spojrzeniem.

— Pociągnąłem za sznur dzwonu w Holy Trinity i sama przyszła.

— Niech was Bóg ma w swojej opiece. — Jubal wypił duży łyk gorącej herbaty, potem jeszcze jeden. Łzy nagle popłynęły mu po policzkach. — Taką samą robiła moja mamcia.

Niepewny, jak zareagować na taką demonstrację uczuć Jubala, wikary rozejrzał się po pokoju. Kilka obrazków wyciętych z czasopism wisiało na ścianach z bali; w rogu sufitu pajak zrobił pajęczynę.

— Bardzo przytulne miejsce. Jubal wytarł oczy w rękaw koszuli.

— Nie ma się jak obrócić, ale mi wystarczy. Jak już żeście się wprosili, to możecie se sięść.

Idąc za wskazówką Agnes, ojciec Tim usiadł energicznie na pradowej sofie, z której uniósł się obłok kurzu. Agnes usiadła na wyplatany z trzciny fotelu przy piecu, a Jubal zajął miejsce na sofie obok wikarego, który w rezultacie kichnął trzy razy.

— Na zdrowie! — zawołała Agnes.

— Dziękuję — odparł ojciec Tim, wyciągając błyskawicznie chusteczkę.

Gwałtowny podmuch wiatru wpadł z hukiem do komina, rozdmuchując ogień.

— A jak minęła panu zima?

— Mów mi Jubal. Jedyna, co mówi do mnie pan, to ta tutaj. Zima była cholernie długa, cholernie zimna i cholernie dużo sypało; i cholernie się cieszę, że już po niej. Jedyna dobra rzecz w zimie to wiewiórki, wie ojciec, były smaczne i miały dużo mięsa. Przed kolacją lubiłem sięść na ganku z wiatrówką dwudziestką dwójką, to było łatwe jak wyjmowanie jajek z gniazda. Bach! Tuż za przednią łapą, tam strzelałem. Nigdy nie strzelałem im w łeb; lubię gotować je całe i wysysać mózg, jak robił mój dziadek.

Jubal rozparł się wygodnie na sofie i spojrzał na wikarego.

— Pewnie wie ojciec, że nie można jeść wiewiórek, jak robi się gorąco.

— W rzeczy samej, nie wiedziałem — przyznał ojciec Tim.

— W gorącą pogodę dostają takich robaków jak powrozy, zaraz pod skórą. To zimna pogoda robi z nich dobre jedzenie. Będę gotował wiewiórki do maja. Jak chcecie zostać i spróbować, to właśnie gotuję jedną dla siebie; zrobię se do niej kluski.

— Dziękujemy — odparł wikary — będziemy się niedługo zbierać.

— Weźmy na przykład indyki, trza je trafić w głowę, i trza być nie lada strzelcem, bo w indyku trudno o głowę, że tak powiem.

Ojciec Tim spojrzał na Agnes, żeby sprawdzić, jak przyjmuje te rewelacje. Wyglądała na najwyraźniej niewzruszoną.

— Od czasu do czasu strzelę indyka; nie ma w tym roku tyle indyków co wiewiórek. Króliki też prawie znikły, ale wrócą. Zasadzę se rząd kapusty, to ich zwabi, przybiegną w podskokach.

— No pewnie!

— Są tacy na tej górze, co jedzą gwizdzące świnię, ale to nie dla mnie — za dużo tłuszczu. A jelenie, za dużo cholernej roboty przy rozbieraniu.

— Aha.

— Rzecz w tym, że można se żyć całkiem nieźle, jak się ma bystre oko i pewną rękę. Proszę spojrzeć na moją rękę.

Jubal wysunął swoją pomarszczoną prawą rękę.

— Pewna! — zawołał z podziwem ojciec Tim.

— Jak człek chce mieć pewną rękę, musi się trzymać z daleka od gorzałki. Pędziłem ją, przewoziłem, handlowałem na czarno; ale nigdy mną nie rządziła. Jak byłem mały, napiłem się podłego bimbru, niewiele brakowało, a byłoby po mnie. Potem już nigdy nie tykałem się gorzałki.

— Wyleczyłeś się — stwierdził wikary.

— Mam też całkiem niezłe oko; nie widział ojciec takiego dobrego strzelca, a idzie mi już osiemdziesiąty drugi rok.

— Brawo!

— Nigdy nie marnowałem se wzroku czytaniem. O nie, nie umiem czytać ni w ząb i nigdy nie chciałem umieć. Byłbym wściekły jak osa, jakby wszystkie te słowa kotłowały mi się w głowie jak pszczoły w ulu. Z drugiej strony, nie mam wcale zębów, tylko tą sztuczną szczękę, co ją zakładam, jak kto przychodzi. — Jubal wyrwał sztuczne zęby z ust i cisnął je na siedzenie mocno sfatygowanego fotela. — Bedzie dość tej męki.

— Masz rodzinę, Jubal? Braci, siostry?

— Była nas piątka, ale żyje tylko dwójka. Wszyscy przyszlیم na świat dzięki starej babci, która jechała przez nasz strumień na mule. Odbierała wszystkie porody na tej górze. Ja kosztowałem mego tatkę kurczaka — oskubanego, opalonego i poćwiartowanego. Taka była cena. Nasz Toby, on kosztował dwa króliki, ustrzelone i oprawione. Jahab kosztował... — Jubal spojrzał na Agnes. — Ile mówiłem, że kosztował Jahab?

— Kurę nioskę — odparła Agnes.

— I tak dalej, aż doszło do mojej siostrzyczki, Romey, dziewczynki. Ona kosztowała świnie.

— Świnie! — wykrzyknął wikary.

— Z nas wszystkich właśnie za nią dalim najwięcej, tą maciore.

— Inflacja.

Jubal wypił resztkę herbaty z kubka; kolejny podmuch wiatru zahulał w kominie, sprawiając, że do pomieszczenia wpadł dym.

— Czy masz dzieci? Byłeś kiedyś żonaty?

— Nazywali mnie Stary Piotr Zjadacz Dyni\*, nigdy nie umiałem utrzymać przy sobie żony. Miałem jedną, uciekła z krętaczem, co handlował odgromnikami. Miałem drugą, upiekła mi ciasto, stało na stole z kartką, jak wróciłem z tartaku z Lizbethton. Sąsiad mi ją przeczytał, pisało: „Jubal, odeszłam i już mnie nie szukaj”. — Jubal westchnął. — To ciasto to była ostatnia rzecz, jaką zrobiła dla mnie Ruthie Adderholt.

\* Stary Piotr Zjadacz Dyni — *Old Peter Pumpkin Eater*, amerykańska rymowanka dla dzieci, opowiadająca o starym Piotrze, który nie potrafił zatrzymać przy sobie żadnej z żon.

Zapadła pełna namysłu cisza.

— Było z jagodami — dodał Jubal.

— Hm. Po ile chodzi dzisiaj amunicja? — Ojciec Tim nie miał pojęcia, skąd przyszedł mu do głowy taki temat konwersacji; jakby spadł prosto z nieba.

— Cholernie za dużo, mogę to ojcu powiedzieć. Pokażę moją strzelbę, dopiro co ją przeczyściłem. Ma już ze dwadzieścia lat, ale jest tak dobra, jakbym kupił ją nie dalej jak wczoraj.

Nie zawiązane sznurówki butów ciągnęły się za Jubalem, gdy posuwał nogami, zbliżając się do wieszaka na strzelbę, skąd zdjął swoją broń.

— Jest... naładowana? — upewnił się wikary.

Nie miał w rękach strzelby od czasu, gdy skończył dwanaście lat i kiedy to nieomal odstrzelił sobie stopę. O nie, zaiste, nie był miłośnikiem broni palnej.

— Ma ojciec cholerną rację, jest naładowana. Człek musi mieć broń naładowaną, jak chce mieć pełny żołądek.

Jubal zaprezentował strzelbę, trzymając w jednej dłoni osadę, a w drugiej lufę. Ojciec Tim dotknął wypolerowanej osady, ostrożnie.

— Aha! — rzucił, ponieważ nic innego nie przychodziło mu do głowy. — No cóż, Jubal, powinniśmy się zbierać. Przyszliśmy zaprosić cię do Holy Trinity, gdy otworzymy swoje podwoje w pierwszą niedzielę w maju.

— Nie przyjdę.

— Chcieliśmy ci tylko powiedzieć, że byłbyś bardzo mile widziany; bylibyśmy szczęśliwi, gdybyś do nas dołączył.

Jubal spojrział gniewnie na wikarego.

— Nie wierzę w całe to kościelne gadanie i w całe to umieranie na krzyżu, i kochanie swojego sąsiada i takie tam. Nie interesuje mnie to, mówiłem jej ze sto razy.

Mężczyzna spojrział gniewnie na Agnes, która zbierała kubki.

Jubal Adderholt, z brodą sięgającą klamry paska i naładowaną strzelbą w ręce — pomyślał wikary — to niezbyt ładny obrazek.

Wsiadali do półcięzarówki, gdy Jubal wystawił przez drzwi głowę i zawołał na cały głos:

— I nie módlta się za mnie!

Śmiali się długo, pokonując wyboistą drogę.

— Ojczy, proszę przyznać. Ta wiewiórka w garnku Jubala sprawiła, że poczuł się ojciec głodny jak wilk.

— Sprawiała! Przyznaję również, że wolałbym nie wejść w drogę Jubalowi Adderholtowi.

— Jest całkowicie niegroźny, i oczywiście zawsze cieszy się z towarzystwa, chociaż udaje, że robimy mu kłopot. Coś jak dziecko, które chce, żeby je ktoś przytulił i pokochał, a w zamian wpada w furję.

Ojciec Tim pokiwał głową; widział wielu takich Jubalów podczas swojej posługi duszpasterskiej.

— Płacze za każdym razem, gdy przynoszę mu herbatę. Zapach sasafrasu przypomina mu jego mamę; gotowała na palenisku w ich chacie, gdy jej ubrania zapaliły się od ognia. Jubal dobiegł do niej za późno i spłonęła żywcem. Był wtedy zaledwie małym chłopcem, jedynym z pięciorga dzieci, które usłyszało jej krzyki i próbowało ją uratować. Broda zakrywa straszne blizny po poparzeniach na jego twarzy.

Milczeli przez chwilę, jadąc po wyboistej drodze, odgałęzieniu drogi stanowej. Będzie oczywiście módlł się za Jubala Adderholta, czy się to Jubalowi podoba, czy nie.

— Co to jest — zapytał ojciec Tim — gwizdząca świnia?

Roześmiała się.

— Świstak.

— Do licha.

— Chciałam ojcu powiedzieć, przy okazji, że świat nie zapomniał całkowicie o Holy Trinity. Przez te wszystkie lata widywaliśmy czasami jakiegoś sentymentalnego księdza, jak zagląda przez okna, a od czasu do czasu zdarzają się osoby, które przyjeżdżają tu na piknik. Albo, ale to bardzo, bardzo rzadko, ktoś przyjeżdża i zostawia kwiaty na cmentarzu.

Był też kiedyś letni dzień, kiedy w dole strumienia zatrzymał się cały autobus turystów. Podróżowali szlakiem historycznych kościołów i wspięli się na grzbiet, do Holy Trinity. Doskonale się bawili i nawet brak toalet przyjęli ze stosownym entuzjazmem.

Zdarzyło się to dokładnie w dniu, gdy odprawiałam naszą roczną modlitwę wieczorną. Wie ojciec, że musimy odprawiać przynajmniej jedno nabożeństwo liturgiczne w roku, aby pozostać pod jurysdykcją Kościoła i nie musieć płacić podatków. Proszę sobie wyobrazić naszą radość, gdy okazało się, że zajęte są wszystkie ławki.

Spojrzała na niego z promienną twarzą.

— Wydaje mi się, że mogę sobie wyobrazić!

— Był to jeden z wielu sposobów, na które Bóg dodawał nam otuchy przez te wszystkie lata.

— Czy dzisiaj byłby dobry dzień na kontynuację twojej opowieści, od miejsca, na którym ostatnio skończyłaś?

Wygładziła sukienkę na kolanach, milcząc.

— Wasz szacowny buick odmówił posłuszeństwa, więc przesiadłyście się na półciężarówkę.

Usiłował wyobrazić sobie Agnes Merton pokonującą te wąskie kręte drogi pick-upem.

Agnes nie odzywała się przez chwilę, spoglądała jedynie przez okno na lasy. Samiec kardynała przeleciał przez drogę, smuga czerwieni na tle wciąż nagich gałęzi drzew.

— Czasami myślę — powiedziała w końcu — że Bóg nie przystosował mnie do życia w tym świecie. Być może jestem typem egipskiej pustelnicy, przeniesionej w najstarsze góry świata.

Ponownie umilkła, potem odwróciła się i obdarzyła go jednym ze swych charakterystycznych półśmiechów.

— Nigdy nie byłam szczególnie zainteresowana zamążpójściem; moja praca misyjna przynosiła mi satysfakcję i była często wyczerpująca. Jessie i ja pracowałyśmy ciężko, a jej wiara przerastała moją. Pracowałam dla ludzi; Jessie pracowała dla Boga. Często cytowała słowa świętego Franciszka, które zapamiętałam, aby mogły być dla nas wzajemnie zachętą:

„Zawsze miej na uwadze koniec własnego życia. Nie zapominaj swojego celu i przeznaczenia jako boskiego stworzenia. Jesteś wyłącznie i tylko tym, czym jesteś w Jego oczach. Pamiętaj, że gdy będziesz opuszczał tę ziemię, nie będziesz mógł zabrać niczego, co dostałeś... a tylko to, co sam dałeś: pełne serce, wzbogaczone przez uczciwą służbę, miłość, poświęcenie i odwagę”.

Przypomniał sobie, że kiedyś nauczał o tych słowach trubadura, w kazaniu zatytułowanym „Miej na uwadze”.

— Jeśli zastanowić się nad tym przesłaniem, linijka po linijce — kontynuowała — jest niezwykle mądre. Przez lata wierzyłam w poświęcenie mojego życia uczciwej służbie, miłości, poświęceniu i odwadze, bez jakiegokolwiek potrzeby zawierzenia mojego życia Bogu. Zawarłam przymierze głową, ale nie sercem.



Quint Severs oddał swoje serce Bogu na wiele lat, zanim Jessie, mała Bertie i ja przybyliśmy na grzbiet tej góry. Quint był cudownym mechanikiem dla naszego buicka; był całkowitym samoukiem i miał naturalny dar do pracy przy silnikach, do tego, jak działały wszystkie rzeczy ogółem. Zawsze służył nam tak, jakby służył Bogu. Był prawdziwym aniołem.

Ale nasza półciężarówka to była już zupełnie inna historia. Ojej, dojechaliśmy już do sióstr; wizyta u nich jest na naszej liście ostatnia, ale możemy odwiedzić je teraz, a nie w drodze do domu... jeśli miałby ojciec ochotę.

— Zrobmy to teraz — zaproponował. — Nie zaszkodzi mi w życiu trochę więcej spontaniczności!

— Proszę w takim razie wjechać tutaj. Może ojciec zostawić samochód przy starej komórce.

Ujrzał nie pomalowany dom z rozsypującym się gankiem. Obok znajdowała się sterta wyrzuconych materaców, lodówka i zbieranina innych niepotrzebnych sprzętów domowych. Wszystkie były równo ułożone i nabierały z elegancją patyny pod niebieskim brezentem rozpiętym na czterech pniach młodych drzew. Pomarańczowo-biały kot przycupnął na krawędzi starego poidła i pił wodę. Równo ułożone sterty używanych opon znajdowały się w różnych miejscach na podwórku, które dodatkowo zdobił wiekowy korpus traktora i prawdziwa zbieranina zardzewiałych beczek na ropę. Ogółem rzecz biorąc, widok wydawał mu się nie pozbawiony pewnego stylu.

Zaparkował przy komórce, która przechylała się w stronę półciężarówki, jakby mogła się za chwilę zawalić na maskę.

— Zastanawiałem się... — zaczął, otwierając drzwi.

— Potrzebujemy przenośnej toalety do Holy Trinity.

— Nie wjadą ciężarówką po tych drogach, żeby ją wypompować. Zostaje nam tylko sosnowy las, ojczy, i nie ma na to żadnej rady.

— No cóż!

Obdarzyła go swym rozbawionym półuśmiechem.

— Proszę się nie martwić. Gdy wszystko się rozkręci, otworzę dla naszej kongregacji budynek szkoły.

— Ale to jest twój dom.

— To Jego dom — sprostowała, stawiając stopę na krzeselku — i jestem pewna, że On by to zaaprobował.

— Potrzeba jest matką wynalazków — odparł, uśmiechając się.

— Urodziłyśmy się w rodzinie episkopalian — wyjawiała mu Martha McKinney — i złamało nieomal nasze serce, gdy zamknięto nasz stary kościół, jakby był zwykłą stacją benzynową!

Zgromadzili się w kuchni sióstr McKinney, w domu, który ich ojciec wybudował w tysiąc dziewięćset drugim roku. Mimo że kuchnia była wyposażona w kuchenkę elektryczną, w powietrzu unosił się aromat gotowania dochodzący z garnka na piecu na drewno.

A jemu ciekła ślinka na myśl o wiewiórce Jubala...

...a co się działo na piecu sióstr McKinney? Coś zdecydowanie się tam działo; nagle poczuł się głodny jak wilk.

Martha zdjęła swoje okulary z grubymi szklami.

— W końcu, nie miałyśmy wyboru, jak zrobić to, co zrobiłyśmy — oznajmiła z przekonaniem.

Odwróciła się do okna i uniosła okulary, przyglądając się im pod światło.

— Tłuszcz! — Przetarła energicznie szkła brzegiem fartucha.

— A co takiego zrobiłyście? — Miał nadzieję, że nie jest zbyt ostentacyjnie wścibski.

— Zostałyśmy metodystkami! — wyznała Martha.

— Zostałyśmy metodystkami! — zawtórowała jej siostra, Mary, która siedziała przy piecu, opierając bosc stopy na rozpórce krzesła.

— Aha!

— Ale tak naprawdę nie chciałyśmy! — wyjaśniła Mary. Martha spojrzała na swoją siostrę gniewnie.

— Z pewnością nie mogłyśmy przejść do baptystów! Rozumie się samo przez się, ojcze, że tęsknię za liturgią!

— Tęskni za liturgią! — zawołała Mary.

Martha nałożyła ponownie okulary i spojrzała mu prosto w oczy.

— No to jedziemy z tym koksem. Woli ojciec białe mięso czy ciemne?

Czyżby ich niespodziewana wizyta zmusiła gospodynie do podzielenia się posiłkiem? Czy odpowiednim zachowaniem będzie przyjęcie zaproszenia, czy może powinni się zbierać? Jakie zasady towarzyskie obowiązują w tym przypadku? Zimny wiosenny wiatr omiół ściany domu; spojrzał na Agnes, poszukując wskazówki.

— Panno Martho — odparła Agnes — zjemy wszystko z wyjątkiem kupra.

Kurczak i kluski w górskiej kuchni ogrzewanej przez buzujący piec na drewno; aromat mocnej kawy z ekspresu postawionego na tylnym palniku; zbliżający się okres

Wielkanocy; a przed nimi świat nie kończących się możliwości.

Delektował się miłymi niespodziankami, które zgotowała mu nowa parafia, między innymi siostrami, z których jedna była krągła jak kuleczka i nieśmiała, a druga wysoka jak topola i odważna. W istocie, Martha McKinney wyglądała tak, jakby mogła samodzielnie przykryć dachem budynek albo nawet zaorać mułem szesnastohektarowe pole.

— Pan Adderholt — poinformowała Agnes — robił potrawkę z wiewiórki, gdy go odwiedziliśmy.

Martha roześmiała się.

— Jubal Adderholt wybił chyba wszystkie wiewiórki w okręgu. Wyginą jako gatunek, jeśli ten taki owaki jeszcze trochę pożyje. Pięć lat temu na Boże Narodzenie obiecał, że ustrzeli dla mnie wiewiórkę, ale musiałam się obejść smakiem!

— Przypomnę mu — obiecał ojciec Tim.

— Proszę mu powiedzieć, żeby przysłał mi dwie, jeśli nie zrobi mu to różnicy, mało na nich mięsa. Ja nie zamierzam marnować kuli na wiewiórki.

— Ma pani strzelbę? — zapytał z niedowierzaniem ojciec Tim.

— Oczywiście, że mam strzelbę!

— Oczywiście, że ma strzelbę — powtórzyła Mary, wytrzeszczając oczy.

— Też mi tam! Wszyscy na tej górze mają strzelbę.

— Johnny miał strzelbę — dorzuciła Mary.

Odrzuciwszy wszelkie oferty pomocy, Martha zbierała naczynia ze stołu, podczas gdy pomarańczowobiały kot zjadał łapczywie podroby ze spodka za piecem.

— Johnny panny Mary przyniósł nam kiedyś polędwicę niedźwiedzia — pochwaliła się Agnes. — Johnny był cudownym człowiekiem, który orał nasz ogród, zanim Clarence stał się dość duży, by to robić.

Młodsza siostra uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając w uśmiechu nową sztuczną szczękę.

— Za dnia ja i Johnny nie wchodziliśmy sobie w drogę — zwierzyła się wikaremu — ale wieczorem wracaliśmy do domu i zalecaliśmy się do siebie.

Zasłoniła usta dłonią i zachichotała.

— Dobry plan — odparł z przekonaniem.

— Byliśmy małżeństwem przez czterdzieści dwa lata.

— No widzi pani? Bardzo dobry plan! Martha uniosła do góry dłonie.

— Proszę jej nie słuchać, mówi o Johnnym przez cały czas!

— Mówię o Johnnym przez cały czas — powtórzyła. — Johnny miał w sobie domieszkę krwi Indian Cherokee, jego prapradziadek był szamanem. Czy wiedział ojciec, że szaman ze szczepu Cherokee nie może się leczyć sam? Taka była zasada. Ja nazywam się Chiltosky, ale wszyscy mówią na nas siostry McKinney.

— Gdzie, u licha, położyłam swój druciak?

— Gdy zmarł dziesięć lat temu, zostawiłam swój dom w dole drogi i przeprowadziłam się do siostry.

— Kolejny dobry plan, jeśli chce pani znać moje zdanie. Panno Martho, już od lat nie jadłem tak wysmienitego kurczaka i klusek. Jest pani pewna, że nie pochodzi pani z Holly Springs w Missisipi?

Martha wysypała pozostałość z garnka do miski.

— Urodziłam się i dorosłam na tym górskim grzbiecie, i nigdy stąd nie wyjeżdżałam, z wyjątkiem tego okresu, gdy uczęszczałam do college'u w Connelly Springs. Potem wróciłam do domu i uczyłam piątą klasę przez czterdzieści lat w dolinie.

Musiałam dotrzeć z tego grzbietu do szkoły w każdy dzień tygodnia, bez względu na pogodę. Szłam półtora kilometra do strumienia, potem przechodziłam przez strumień po konarze drzewa albo ściągałam buty i przechodziłam w bród — cokolwiek. Imałam się wszystkiego, z wyjątkiem chyba skoku na lianie!

Martha roześmiała się serdecznie, podobnie jak reszta obecnych.

— Potem czekałam na Portmana Henshawa, który był urzędnikiem w banku w Holding, i jechałam z nim aż do Granite Springs, gdzie wysadzał mnie pod drzwiami szkoły. Co roku musiałam uzyskać zgodę jego żony, panny Hettie, żebym mogła z nim jeździć. Musiałam zapytać ją w oficjalnym liście zawsze pierwszego stycznia, a odpowiedź zawsze przynosił jej biedny, pozostający pod jej pantoflem mąż.

„Droga Pani — brzmiała moja petycja — byłabym wdzięczna, gdyby pan Henshaw mógł mnie wozić w tym roku do szkoły i z powrotem. Z góry dziękuję. Z poważaniem”. Zawsze posyłałam dwie kwarty fasolki szparagowej z tym listem i słoik dżemu truskawkowego.

Natychmiast otrzymywałam odpowiedź, dopisaną na końcu mojego listu, i ani słowa napisanego odręcznie! Drukowała litery jak drugoklasista! „Droga Pani McKinney, może Pani jeździć z Panem Henshaw, jeśli tylko nie będzie musiał na Panią czekać przy strumieniu. Proszę nie wnosić błota do samochodu. Z powa-

zaniem". Na koniec roku zawsze posyłałam buszel ziemniaków z czterema słoikami fasoli limeńskiej i pięćma banknotami jednodolarowymi, co zawsze wydawało mi się bardzo sowiłą zapłatą, szczególnie że i tak jechał tą drogą.

Mary skinęła zgodnie głową.

— I tak jechał tą drogą.

— Portman jeździł na początku fordem; zawsze lubiłam tego forda, ale z biegiem lat przerobiliśmy co najmniej pięć albo sześć różnych samochodów, raz był to pontiac.

Martha pokręciła z dezaprobatą głową.

— Doprawdy nie mam pojęcia, co opętało Portmana Henshawa, żeby kupić tego pontiaca. Agnes, pamiętasz tego pontiaca?

— Tak. Ciemnozielony, miał pokrowce na siedzenia, które uszyła panna Hettie.

— Miałam trzydzieści trzy dni nieobecności w szkole przez tego przekłętą pontiaca. W całym swoim życiu nie widziałam takiego wraka, a mimo to musiałam posłać koszyk wiktuałów i pięć dolarów, na które musiałam ciężko pracować.

Martha naląła Agnes filiżankę kawy z obitego dzbanka na piecu.

— W każdym razie jeździłam z Portmanem, aż przeszedł na emeryturę, potem próbowałam zabierać się okazją z kim popadło, ale zawsze były z tym problemy, więc ja też przeszłam na emeryturę. Nie miałam wyboru, chyba że kupiłabym własny samochód, ale ja nie chciałam się z tym bawić!

— A jak, drogie panie, robicie zakupy albo dostajecie się do kościoła? — zainteresował się wikary.

— Najstarszy syn Portmana, Thomas, przejął obowiązki taty; wozi nas na zakupy do sklepu raz w tygodniu. Zamierzam zostawić mu po śmierci ten traktor na podwórku, to antyk. Dostanie za niego dobre pieniądze.

Jest też syn Agnes, Clarence, wozi nas, kiedy tylko może, zamierzam mu zostawić to poidło, żeby mógł poić w nim swoją winorośl. Oczywiście, co roku uprawiam duży ogród warzywny; dzięki niemu możemy z łatwością przetrwać, jeśli musimy obejść się przez tydzień czy dwa bez wizyty w Winn Dixie na dole, a ponadto ja i siostra nadal zbieramy jeżyny...

Martha otworzyła drzwiczki piekarnika i na małą kuchnię uderzyła fala gorąca. Ojciec Tim zdał sobie sprawę, że jedynie z największym wysiłkiem jest w stanie usiedzieć na miejscu.

Wyposażona w parę zużytych kuchennych rękawic Martha wyjęła ciasto z owocami, wciąż gorące w kamiennym naczyniu i z wyraźną dumą umieściła je energicznie na odwróconym rondlu na stole.

— Zebrane w pierwszym tygodniu sierpnia i oczyszczone z robaków zupełnie gratis.

Miał ochotę się przeżegnać.

— Co do kościoła...

Martha wbiła drewnianą łyżkę w parujące ciasto z jeżynami.

— Chodzimy, jeśli trzeba. Na litość, to zaledwie trzy kilometry.

Z szacunku dla duchowieństwa Martha podała pierwszą porcję ojcu Timowi, który przekazał ją Agnes.

— Trzy kilometry?

Czyż Agnes nie mówiła, że panna Martha jest starsza od Jubala o dziesięć lat?

— Wychodzi nam to na zdrowie! — stwierdziła Martha. — Poza tym ktoś zawsze przywozi nas do domu.

Mary pokiwała głową.

— Ktoś zawsze przywozi nas do domu!

Czy sprawdził dzisiaj rano poziom cukru? Nie mógł sobie przypomnieć. Dobry Boże...

Agnes delectowała się aromatycznym zapachem unoszącym się znad kubka kawy.

— Panno Martho, proszę ściągnąć fartuch i usiąść z nami.

— Och, nie, nigdy nie ściągam fartucha! — zawołała Martha.

— Nigdy nie ściąga fartucha! — zawołała Mary.

Ojciec Tim zauważył, że emanujące z pieca na drewno ciepło zarumieniło wszystkie policzki.

— Panno Martho, panno Mary, najwyższy czas, żebyśmy wam powiedzieli, dlaczego przyszliśmy. Wydaje nam się, że mamy bardzo dobre wiadomości!

— No cóż! — zawołała Martha. — Lubię dobre wiadomości!

— Lubi dobre wiadomości! — powtórzyła Mary, eksponując w uśmiechu sztuczną szczękę.

Kciuk do góry, palec wskazujący wysunięty do przodu, pozostałe trzy palce zgięte w stronę dłoni.

— To — wyjaśniła Agnes — jest *L*. A to... jest przyczepa Donny'ego Lusterera. Być może zauważył ojciec, że nie mówię zbyt wiele o ojca nowych parafianach, zanim ich ojciec nie pozna; wydaje mi się, że powinnam pozwolić ojcu na sformułowanie własnej opinii. Powiem jedynie, że Donny jest wyjątkowym młodym mężczyzną.

— Nienaganne — zauważył, rozglądając się po podwórku, gdy parkował samochód obok pick-upa. — Ktoś jest dumny z tego, że jest tu gospodarzem.

Agnes przyglądała się przez chwilę dłoniom, opierając je na kolanach.

— Ojczy, muszę powiedzieć to, co mam do powiedzenia... teraz. Nie mogę już dłużej czekać.

Podniosła głowę i spojrzała na niego; ujrzał w jej oczach pewność i zdecydowanie.

— Im dłużej się waham, tym bardziej boję się mojego wyznania.

— Nie musisz mi niczego wyznawać.

— To bardzo ważne. Potem będę mogła spokojnie opowiedzieć ojcu resztę mojej historii, która jest również historią Holy Trinity.

Za przyczepą wczesne popołudniowe światło zamigotało na górskim pastwisku, gdzie pasło się małe stado krów.

Agnes przeżegnała się, gdy mówiła mu to, co musiało zostać powiedziane.

— Nigdy nie wyszłam za mąż — wyznała.

— Mam pięć lat.

Sissie Gleason uniosła do góry tyleż palców.

— Pięć! — wykrzyknął wikary. — Pamiętam, jak miałem pięć lat!

Był to zaledwie przebłysk pamięci, niczym jedna klatka z długiego filmu. Jego mama huśtała go na huśtawce zawieszanej na drzewie za ich domem w Holly Springs. Było to na dzień przed jego piątymi urodzinami i jego mama śpiewała piosenkę, której nie zapomni do końca swojego życia.

*Słodkie dziecię, oto mucha,*

*Spójrzmy na nią, ty i ja...*

— Nie jestem dzieckiem! — zawołał.

— Naprawdę? Rzeczywiście? Na chwilę zapomniałam, przyznaję, ale tylko na jedną chwilkę!

Uważał, że jego mama jest najpiękniejszą kobietą na świecie...

— Mam pięć lat! — zawołał, frunąc w kierunku idealnie błękitnego nieba.

Jego bose stopy przesywały jedwabiste letnie powietrze.

— Masz jeszcze cały dzień, zanim skończysz pięć lat! Chcę, żeby ten dzień trwał wiecznie...

— Dobrze jest mieć pięć lat — powiedział, pochylając się, żeby zajrzeć w poważne oczy dziecka z potarganymi włosami. Stojący w kącie pokoju telewizor zachwalał towary programu zajmującego się sprzedażą.

— Przedtem miałam tyle. — Uniosła do góry cztery palce. — A ty ile masz lat?

Podniósł do góry obydwie dłonie i zginał wszystkie palce siedem razy.

Przyglądała się uważnie tej długiej wypowiedzi.

— To za dużo.

— Masz absolutną rację — zgodził się, prostując z trudem kolana.

— Co to jest na twojej szyi?

— Koloratka.

— Po co ją masz?

— Oznacza, że jestem kaznodzieją, księdzem. Mówi ludziom, że jestem kimś, do kogo mogą przyjść, komu mogą zawierzyć, z kim mogą się modlić.

— A to — wyjaśniła Agnes — jest Dovey Gleason, mama Sissie i siostra Donny'ego.

Pochylił się nad łóżkiem, na którym leżała Dovey, i spojrzał w jeszcze jedną parę brązowych i poważnych oczu.

— Dovey.

Wziął jej dłoń i instynktownie ujął ją w obydwie ręce.

— Dovey — powiedział ponownie; wymówienie jej imienia sprawiło mu dziwną ulgę. — Czy mogę się za ciebie pomodlić?

Nie wiedział o niej nic, z wyjątkiem tego, co widział w jej oczach.

— Tak — szepnęła. Usiadł na krześle obok niej.

— Dobry Boże i kochający Ojczy, Stwórco wszystkiego, co istnieje, widocznego i niewidocznego, dziękujemy Ci za obecność w tym domu, i w sercu Twojego dziecka, Dovey. Daj nam oczy, abyśmy dostrzegli dobro w jej cierpieniu, daj nam wiarę, żebyśmy dziękowali za jej uzdrowienie, daj nam miłość, żeby dodała nam siły podczas oczekiwania. W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego, Amen.

— Amen — odparła Agnes.

— Amen — szepnęła Dovey.

Gdy podniósł wzrok, ujrzał Donny'ego Lusterę stojącego w nogach łóżka.

— Amen — powtórzył Donny. — Panno Agnes, co słyhać?

— Wszystko w porządku, Donny, dziękuję. Proszę, poznaj ojca Timothy'ego Kavanagha.

Szczupły mężczyzna z jasnymi włosami pochylił się w jego stronę i uścisnęli sobie dłonie.

— Bardzo mi miło cię poznać, Donny. Zostałem powołany na wikarego w Holy Trinity.

— To dobrze. Kościoły w okolicy zaczynały przepadać jeden po drugim, nasz się spalił, a wasz został zamknięty.

— Na co choruje Dovey?

— Nie wiemy, nie znaleźliśmy nikogo, kto by wiedział. Zabrałem ją do Wesley i do Holding. Leczą ją na depresję, ale niektórzy myślą, że to ukąszenie kleszcza.

— Od jak dawna...?

— Leży od czterech, pięciu miesięcy i nie czuła się dobrze na długo przedtem.

— Nic nie może zrobić — dodała Sissie. — Czasami nie może się podnieść, sika do łóżka.

Donny spojrział surowo na Sissie.

— Nie odzywaj się, mała panno. Ojciec Tim nadal trzymał dłoń Dovey.

— Widziałem kilka pięknych krów na wzgórzu. Czy to twoje, Donny?

— Tak. Hoduję od czasu do czasu kilka sztuk.

— Bardzo tu ładnie. Tak czysto, że można jeść z podłogi. Mogę zapytać, co robisz?

— On umie, robić wszystko! — zawołała Sissie.

— Naprawdę?

— Gotuje...

— Dobrze to umieć.

— ...myje naczynia, sprząta cały dom.

— Ach.

— Opiekuje się mną i mamą.

— To najlepsze, co może robić!

— Mam firmę zajmującą się wyrębem drzew — odparł Donny. — Tynkuję na boku i pracuję przy sianokosach w dolinie.

— I gra na skrzypcach i wszystkich tych instrumentach, co wiszą na ścianie.

Sissie wyglądała na bardzo dumną. Wtedy zauważył ścianę drugiego pokoju całą obwieszoną instrumentami.

— To jest gitara — pokazała Sissie. — To jest bandžo. A to... co to jest, Donny? Zapomniałam.

— Cymbały. Ale on nie chce tego słuchać.

— Ależ chcę. Czy grasz na tych wszystkich instrumentach?

— Tak.

— Jak się nauczyłeś?

— Przyszło jakoś tak naturalnie — szepnął Donny.

— Gra też na drumli — pochwaliła się Sissie.

— Sissie — poleciła jej mama — cicho.

— Ja tylko mówię, mamó. Donny usiadł w nogach łóżka.

— Dziadek mój i Dovey był stroicielem, najlepszym w tym okręgu i poza nim; nauczył mnie grać na wszystkich instrumentach smyczkowych. Zacząłem, gdy miałem dziewięć lat, grałem na tej starej balii basowej\*, która tam stoi.

\* „Bas na balii” — oryginalna nazwa *washtub base* (*washtub bass*) — rodzaj smyczkowego basowego instrumentu muzycznego domowej roboty popularnego w Stanach Zjednoczonych. Bazę i pudło rezonansowe stanowi balia.

— Gdzie grasz?

Sissie wspięła się na łóżko.

— Gra w kościołach i na spotkaniach pielgrzymkowych, nieprawda, Donny?

Sissie przysunęła się bliżej i pogłaskała mamę po policzku.

— Donny też naucza.

— Naucza?

Donny zarumienił się.

— Proszę się nie martwić, nie jestem żadną konkurencją dla prawdziwego kaznodziei!

— To naprawdę przekracza wyobraźnię. Wyrąb drzew, gotowanie, sprzątanie, sianokosy, gra na instrumentach muzycznych, nauczanie...

— Prawdziwy człowiek renesansu! — zawołała z zadowoleniem Agnes.

Dovey podniosła głowę z poduszki.

— Sissie, przynieś mój dzbanek, filiżanka jest tutaj. Sissie zsunęła się z łóżka, podeszła do zlewu i przyniosła dzbanek.

— Nie ma w nim wiele.

— Napelnij go — poleciła Dovey. — Muszę wziąć leki.

Sissie przydreptała z dzbankiem i postawiła go na stoliku nocnym.

— Ten dzbanek był jej mamy. Mama Ruby dała jej cały serwis, gdy była jeszcze mała. Używa ich codziennie. Nie chce żadnych innych.

— Wszystkie są popękane i wyszczerbione — ocenił z naganą w głosie Donny. — Nadają się do wyrzucenia.

— Należały do mamy — odpowiedziała gniewnie Dovey.

Sissie podskoczyła na łóżku.

— Włącz adapter, Donny!

— Nie chcą tego słuchać w tej chwili; a teraz, przestań na chwilę mówić.

— Zagra wszystko — Sissie poinformowała wikarego. — Donny lubi Monroe Brothers. Próbuje śpiewać tak jak oni.

— Widzisz tę różgę? Jeszcze chwila i skończy się moja cierpliwość.

— Czy mógłbyś coś dla nas zagrać? — poprosił ojciec Tim. — Bardzo proszę.

— Oczywiście, że mógłby — odpowiedziała Sissie. Donny spojrzał na siostrę.

— Jeśli Dovey ze mną zaśpiewa.



— Nie potrafię, Donny, nie potrafię teraz śpiewać.

— Ależ oczywiście, że potrafisz, Dovey, wiesz, że potrafisz. Proszę, spróbuj.

Donny podszedł do ściany i spoglądał na nią przez chwilę, potem zdjął gitarę.

— *Co mógłbyś dać*, Dovey. — Przynął taboret do nóg łóżka i oparł stopę na szczeblu.

— Nie wiem, czy dam radę, Donny...

— Oczywiście, że dasz. Kręcił kołkami, strojąc gitarę.

— No, zgódź się. Tylko trochę, w refrenie, ja zaśpiewam zwrotki.

Donny Luster trącił struny gitary palcami i zaczął śpiewać. Jego głos był czysty i tęskny.

*Bracie, daleko jesteś dzisiaj od Stwórcy swego*

*Oddałeś swą duszę za smak szczęścia ulotnego*

*Ach, gdybyś wezwany został dziś przez Boga czcigodnego*

*Co mógłbyś w zamian za duszę swoją dać?*

*Co mógłbyś dać...*

Nadal trzymając dłoń wikarego, Dovey zaśpiewała drżącym głosem.

— W zamian...

— Co mógłbyś dać...

— W zamian — zaśpiewała ponownie.

— Ach, gdybyś wezwany został dziś przez Boga czcigodnego...

Brat i siostra dokończyli refren razem.

— ...Co mógłbyś w zamian za duszę swoją dać?

— Bardzo dobrze, Dovey. Jeszcze raz.

*Wzywa cię miłosierdzie, czyż nie posłuchasz tego wezwania*

*Czy drogi Zbawca musi powtarzać swe wołania*

*Nie dawaj lekko duszy swej, wielka zaiste jest jej cena*

*Co mógłbyś w zamian za duszę swoją dać?*

*Co mógłbyś dać...*

Czekając na odpowiedź Dovey, Donny zaśpiewał ponownie ostatnią linijkę.

— Co mógłbyś dać...

— Nie mogę, Donny.

Ojciec Tim odwrócił się do Dovey i zobaczył łzy na jej policzku.

Sissie pogłaskała mamę po rękę.

— Dobrze, mamó. Donny, przestań namawiać mamę do śpiewania, jak nie chce!

— Przepraszam — rzucił ojciec Tim. — Nie powinienem był prosić.

— To nie jest ojca wina — odparł Donny.

Odwrócił się od łóżka, rozgniewany, i powiesił gitarę na ścianie, potem spojrział na Dovey, nakładając kurtkę.

— Przyszedłem powiedzieć ci, że za chwilę przyjdzie tu Granny; nie wrócę przed zmierzchem. Ty i Sissie macie obiad, ja już zjadłem.

— Wyjdę z tobą — rzucił ojciec Tim, gdy Donny zmierzał w stronę drzwi.

Donny poszedł do swojej półciężarówki, nie zwracając uwagi na wikarego.

— Donny...

Niektórzy twierdzili złośliwie, że posługa duszpasterska i wtrącanie się w cudze sprawy to jedno i to samo, pomyślał ojciec Tim, ale cóż, trudno.

Donny odwrócił się, a w jego oczach widać było łzy.

— Mogłaby wyzdrowieć, gdyby tylko chciała.

— Zauważyłem, że nie miała siły śpiewać. Jestem pewien, że zaśpiewałaby, gdyby mogła.

Donny zakrył twarz dłońmi.

— Dobry Boże! — zawołał, łkając.

Mimo że nigdy nie przyjmowała eucharystii, Dovey, która została ochrzczona w wieku jedenastu lat, była szczęśliwa, że może ją przyjąć. Jako wikary Holy Trinity postanowił nigdy nie wybierać się z wizytą duszpasterską bez swojego zestawu do komunikowania.

W drodze powrotnej na grzbiet góry powiedział Agnes, jaki wpływ ma ta trudna sytuacja na Donny'ego Lusterę.

— Jest przekonany, że to depresja, i myśli, że mogłaby ją pokonać, gdyby tylko chciała. Gdy nie ma siły śpiewać, jest zły i rozczarowany. I co całkiem oczywiste, zapracowuje się na śmierć. Czy istnieje jakiś mąż?

— Zostawił ją trzy lata temu; Donny przeniósł Dovey i Sissie do siebie, gdy jej choroba przybrała taki poważny obrót. Granny przychodzi czasami, gdy Rooter jest w szkole, i Clarence czasami mnie tu przywozi w drodze do Wesley.

Poczuł ogromny ciężar na sercu.

— W jaki sposób pomaga Granny?

— Przede wszystkim dotrzymuje towarzystwa Dovey i Sissie i pomaga Dovey zjeść jej posiłek w południe.

— Dzięki Bogu za Granny.

— Granny to prawdziwy klejnot. Jej dziadek przyjechał tutaj, gdy rząd dawał każdemu człowiekowi całą ziemię, którą był w stanie obejść w przeciągu jednego dnia — jeśli zbudował na niej dom. Stary dom nadal stoi, ale już ledwie się trzyma. Lloyd Goodnight i kilku innych zrobili co w ich mocy, ale to zaledwie kropla w morzu potrzeb.

Jechali przez chwilę, milcząc.

— Czy Donny powiedział ojcu, że ich mama jest w więzieniu? — zapytała Agnes.

— Za co?

— Za zabicie ich ojca.

— Nie — odparł porażony. — Kiedy się to stało?

— Dovey miała szesnaście lat, a Donny prawie dziesięć.

— Ile on lat ma teraz?

Zaryzykowałby, że ma dwadzieścia pięć albo dwadzieścia sześć, chociaż w pewnym sensie wyglądał na starszego.

— Siedemnaście.

Zabrakło mu słów. Tutaj słowa nie wystarczały.

Gdy odprowadzał Agnes pod drzwi jej domu, zatrzymał się i uderzył w czoło.

— Nie mogę uwierzyć w to, jaki jestem zapominałski! Składaliśmy wizyty przez cały dzień, a ja nie dałem ani jednej ulotki.

— Może...

— Może?

Agnes wyglądała na zdecydowaną.

— Może tak jest lepiej.

— A to dlaczego?

— Czy to możliwe, żeby ulotka obwieszczała złą datę, ojcze? Dużo się w tej sprawie modliłam i oto moja propozycja. Nie czekajmy do maja. Tak wielu potrzebuje tego, co tak bardzo pragnie dać Bóg w Holy Trinity. Otwórzmy nasze podwoje dla wszystkich i każdego z osobna... w Wielkanoc rano.

— W Wielkanoc rano? Ale to za ledwie za trzy dni. Mimo że była zmęczona ich wędrówką po górach i dolinach, oczy błyszczały jej z emocji.

— Każda szlachetna praca jest na początku niemożliwa.

— Thomas Carlyle — rzucił, nagle niezadowolony.

Kwiaty, muzyka, wino komunijne, klęczniki — odhaczał w myślach poszczególne punkty na liście, która była jego skromnym zdaniem olbrzymia, nie wspominając o homilii, która powinna być pożywną strawą duchową... Msza wielkanocna nie może zostać sklecona jak jakiś górski piknik, na litość boską...

— Na litość boską! — wyrwało mu się.

— Ojca śliczne ulotki się nie zmarnują. Skreślimy starą datę i podamy nową, i Clarence je dostarczy.

Wziął głęboki oddech.

— Zrobimy to, ojcze?

Czekała czterdzieści lat; kim on był, żeby czekać aż do maja?

— Tak — odparł, uśmiechając się nagle promiennie do swojej diakonisy. — Tak! Zdecydowanie tak!

Czuł się, jakby opuścił Meadowgate wiele dni, a nawet tygodni temu. To była długa wyprawa i gdzieś w swojej cielesnej formie czuł każdy wybój na drodze.

Mimo to gdy zobaczył Cynthię przy jej stole do rysowania pod oknem, ujrzał ją jakby zupełnie nowymi oczami. Odwróciła się i spojrzała na niego, uśmiechając się, i jego zmęczenie natychmiast znikło. Podeszedł do niej i oparł dłonie na jej ramionach.

— Jakże się cieszę, że jestem już w domu — wyznał, pieszcząc czubek jej głowy policzkiem. — Ubieraj się, wychodzimy dzisiaj na kolację do restauracji. Do Lucery!

— Do restauracji? Do Lucery? W poście?

— Muszę znowu zacząć zabiegać o twoje względy. Spojrzała na niego, szczęśliwa.

— Nie zauważyłam, że przestałeś. Uczynił znak, którego nauczyła go Agnes.

— Ja też cię kocham! — odparła.

— Skąd to wiesz?

— Gdy uczyłam w szkółce niedzielnej, ja i dzieci uczyliśmy się tego.

Wskazała na kominek i popiół leżący wokół paleniska, następnie uniosła wzrok do góry, wzruszyła ramionami i wyrzuciła do góry dłonie.

No proszę, to dopiero komunikacja gestem i mimiką twarzy.

Usiadł na brzegu łóżka i przyglądał się, jak wyjmuje z włosów różowe wałki, dokładnie tak samo jak w dniu ich ślubu we wrześniu.

Co to był za dzień, gdy jego narzeczona tkwiła uwięziona w swojej łazience, w szydełkowym szlafroku starym jak jego angielski bukszpan, podczas gdy organista w Lord's Chapel grał jak oszalały, a chór spoglądał niecierpliwie na zegarki.

Prawdopodobnie połowa kongregacji przypuszczała, że wołała uciec z miasta, niż złożyć przysięgę małżeńską ich księdzu, staremu kawalerowi. Mimo że jego parafianie uwielbiali go co do jednego, nie byli sobie w stanie wyobrazić, że ktoś inny mógłby żywić do niego takie same uczucia.

Zaniepokojony jej dość nietypowym spóźnieniem biegł przez całą drogę do żółtego domku w swoich eleganckich butach i smokingu, uwolnił ją z łazienki, czekał w panice, jak się ubierze dokładnie w pięć minut, następnie pośpieszył do Lord's Chapel, ze swoją małżonką dyszącą z wysiłku na wysokich obcasach u jego boku, pokonując cały odcinek z oszalamiającą prędkością.

— Jak to się stało, że się nie przewróciłaś i nie złamałaś sobie karku... — rozmyślał na głos.

— O czym, u licha, mówisz?

— O dniu naszego ślubu, i jak wyrывałaś wałki z włosów, jak pióra z kurczaka; fruwały wokół nas — a potem ten bieg po zdrowie, który odstawiliśmy w drodze do kościoła; dosłownie płynęłaś w powietrzu, Kavanagh!

Roześmiała się, spryskując się czymś, co zamieniło pokój w altanę wistarii.

Być może było to wspomnienie tego wrześniowego dnia, a może ulga związana z powrotem do domu po długim i produktywnym pobycie pośród swoich nowych parafian — a może jedno i drugie.

Cokolwiek to było, zdał sobie sprawę, że już od dawna nie czuł się tak szczęśliwy.

Przed wyruszeniem do Mitford zdążył jeszcze zajrzeć do biblioteki. Wiatr smagał blaszany dach, podczas gdy on sprawdzał pozostawione wiadomości.

— Ojciec, mówi Buck. Lon Burtie nie ma pojęcia, gdzie jest Sammy. Mówi, że Clyde Barlowe zniknął gdzieś kilka tygodni temu i wydaje mu się, że Sammy pomyślał, że to niepowtarzalna okazja, i postanowił uciec. Lon mówił, że czekał przez kilka tygodni, czy Sammy przypadkiem się nie pojawi, ale że był już gotowy do nas zadzwonić, gdy ja zadzwoniłem do niego. Mówił, że Sammy wspominał o tym, że chciałby spróbować żyć na własny rachunek. Jedyne, co martwi Lona, to że Sammy zawsze wszystko mu mówił, a tym razem wyjechał bez słowa. Byłem w drogerii, w klubie bilardowym, we wszystkich znajomych miejscach, ale nikt go nie widział. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy się zwrócić do policji. Proszę do mnie zadzwonić. *Pip*.

— Tim, tu twój jedyny kuzyn. Bułka z masłem. Wystarczy, żebyś złożył podanie w swoim sądzie okręgowym. Kwestia nazwiska i kwestia adopcji to dwie odrębne sprawy, ale w obydwu można złożyć jedno poda-

nie. Na szczęście, ma dwadzieścia jeden lat — to bardzo wszystko upraszcza i nie jest wymagana żadna zgoda rodziców. Cała procedura zasadniczo pozbawia ich praw do swojego biologicznego dziecka.

Tak więc sprawy mają się dobrze, przyjacielu, moje gratulacje. Jestem osobiście zachwycony, że nasze nazwisko, bez względu na to, jak nadszarpnięte zębem czasu, zostanie zachowane. Wesołych Świąt Wielkonočných i serdeczne pozdrowienia dla Cynthii.

*Pip.*

— Ojcie Timie! Mówi Emma! Gene jest znowu w szpitalu i jest z nim niezbyt dobrze, powinien ojciec odwiedzić Esther, jeśli uda się ojcu zastać ją w domu. Jest załamana.

Emma najwyraźniej jadła coś, co wyjątkowo głośno chrupało.

— Przez cały dzień wieje jak podczas burzy. Jeśli jesteś na zewnątrz, to mam nadzieję, że masz na głowie jakieś nakrycie. Czytałam kiedyś, że łysi ludzie zapadają na wszelakie choroby dwa razy częściej niż ludzie, którzy mają włosy.

Siorbanie czegoś przez rurkę...

— Słyszałam, że królowa wyjeżdża w maju do swojej posiadłości wiejskiej, więc dałam sobie spokój nawet z myśleniem, że gdzieś się na nią natknę, z czego jestem całkiem zadowolona, bo niewiele brakowało, a skreśliłabym sobie kark, usiłując dygnąć zgodnie z twoimi wskazówkami.

Dalsze chrupanie...

— W każdym razie, jeszcze dziesięć tygodni i już mnie tu nie ma. Pozdrów ode mnie Cynthię, mam nadzieję, że nie zdziczeliście jeszcze do końca. Ha, ha.

Gwałtowne szczekanie...

— Ach, przestań! To ojciec Tim, pamiętasz go. Nie, nie, na dół, nie smakowałyby ci wiórki z wieprzowiny. Za słone.

Wypijesz wiadro wody i nasikasz w łazience, bo ja na pewno nie zamierzam spacerować z tobą po takim wietrze...

*Pip.*

Wróciło zmęczenie, ale zamierzał zrealizować plan wyjazdu na kolację do Lucery, bez dwu zdań.

Gdy otworzyli drzwi wejściowe, wiatr nieomal wyrwał je z zawiasów. Zamknął je natychmiast.

— Do licha!

Żona spojrzała na niego błagalnie.

— Najdroższy... nie jedźmy. Przechyliła na bok głowę, uśmiechając się.

— Możesz zabiegać o moje względy w domu, prawda?

— Och — westchnął z ogromną ulgą. — Święte słowa.

# Rozdział ósmy

## *W tej czarnej godzinie*

Razem z Cynthią przeczytali modlitwę wieczorną z 1928 roku i przed wyłączeniem lampki nocnej zapisał w dzienniku cytaty z Willa Rogersa:

*Wspinaj się zawsze na najwyższą gałąź — to tam są najdorodniejsze owoce.*

To będzie niezłe kazanie...

Zerknął na inne zapiski, na odwrocie paragonu ze Sklepu.

„A ostatecznie będzie się liczyło tylko to, ile żaru masz w sercu”. Bezpośrednio pod pierwszym zapisem zanotował niniejszą mądrość autorstwa Olivera Wendella Holmesa, następnie otworzył czystą stronę i wpatrywał się w nią przez chwilę, zamyślony.

*Pan Dooley Kavanagh*, napisał.

Z podziwem i niedowierzaniem przyglądał się przez chwilę temu, co napisał, a potem napisał jeszcze raz. *Dr Dooley Kavanagh*.

— Spójrz — zwrócił się do Cynthii.

Podniosła głowę i zobaczyła to, co napisał, potem uśmiechnęła się.

— Tak — zawołała. — Tak!

Zerwał się na równe nogi, zupełnie zdezorientowany. Jakiś ogromny huk gdzieś na dole, psy szczekające jak oszalałe...

Cynthia usiadła na łóżku.

— Dobry Boże!

— Idę na dół — oznajmił, nakładając szlafrok.

Zapach popiołu i dymu, przejmujące wycie wiatru... Wybiegł do holu, włączył światło na półpiętrze i zbiegł po schodach, a tuż za nim Barnaba. To coś w kuchni; usłyszał donośny huk, jakby coś się waliło, następnie potężny łomot czegoś o ścianę domu, który sprawił, że zadrżały okiennice.

*Dobry Boże, tylko nie stary dąb...*

Włączył gwałtownie przycisk przy drzwiach w kuchni.

Pomieszczenie zasnuwane było dymem z popiołu; na palenisku i na podłodze leżał gruz. Cement, sadza, kawałki cegły... wyjął chusteczkę z kieszeni szlafrocka i zatkał nią nos, oniemiały.

Bodacious tulił się do sofy; pozostałe psy tłoczyły się na obrzeżach gruzu, szczekając wściekle na intruzów.

— To komin — obwieścił, gdy Cynthia weszła do pokoju. — Słyszałem, jak coś uderzyło w ścianę domu. Zostań przy zlewie, kto wie, co jeszcze może spaść. Wyjdę i sprawdzę.

Mocny wiatr wiał z północnego zachodu; trzeba było mocno pchać drzwi, żeby je otworzyć.

Mniej więcej połowa komina z cegieł runęła pod wpływem wiatru; ujrzał poszarpany kontur na tle białego wschodu Wielkiego Czwartku.

Willie nałożył kawałek sklejki na otwór kominka, aby zapobiec dalszemu dostawaniu się sadzy do pomieszczenia. Było już jednak odrobinę za późno. Wiatr huczał nieustannie w kominie, aż Willie w końcu nadstukował sklejkę, zatykając cały otwór. Drobiny popiołu wirowały w powietrzu.

Cynthia siedziała naprzeciwko niego przy stole, z czołem pobrudzonym sadzą, zaczerwienionymi oczami i wyglądała na zrozpaczoną.

Przykrył dłonią kubek kawy, aby zapobiec dostawaniu się do środka kurzu.

— Willie zna murarza, mówił, że spróbuje go tu przyprowadzić dzisiaj albo na początku następnego tygodnia. Komin ma ponad sto lat, więc nie ma się co dziwić.

Schowała głowę w dłoniach.

— Uch.

— Willie podał mi nazwę firmy, która ubezpiecza tu wszystkie budynki. Zadzwoń do nich, jak tylko otworzą biuro. Gdy przyjadą, Willie może im wszystko pokazać, jeśli mnie nie będzie. I oczywiście, będę musiał porozmawiać z Halem, powiadomić go...

— Nie chcę martwić Marge sprawą sprzątnięcia domu — stwierdziła. — Jesteśmy dorośli, musimy wymyślić jakiś sposób, żeby sobie z tym wszystkim poradzić. Jest wszędzie; na wszystkim, nawet na meblach i parapetach na górze. I nie mogę absolutnie poprosić Puny, żeby tu przyjechała i pomogła mi przy tym.

— Czy Marge nie podała ci nazwy jakiejś firmy sprzątajacej, gdy rozmawialiście ostatnio?

— Flower Girls! — Twarz jego żony natychmiast pojaśniała. — Powiedziała, żeby zajrzeć do jej czerwonej książki telefonicznej.

Cynthia podbiegła do biblioteczki i zdjęła książkę.

— D, E, F... Fagan, Flanagan, Flemming... Flower! Flower Girls, Pansy. Która jest godzina?

Zakaszła donośnie.

— Może odrobinę za wcześnie. Jest dopiero szósta trzydzieści.

— Pracujące kobiety o godzinie szóstej trzydzieści są już na nogach! — obwieściła, chwytając słuchawkę telefonu.

Musi pojechać dzisiaj do Mitford. Agnes i Clarence nie są przecież jakimś eklezjastycznym centrum handlowym, w którym może znaleźć wszystko, co będzie potrzebne do odprawienia nabożeństwa wielkanocnego. Zgodnie z tym, co mówiła Agnes, zostało jej kilka końcówek świec i nie miała ani kropli wina mszalnego.

Sprawdzi, czy nie mają w Mitford Blossoms białych lilii, zajrzy do Sklepu po wino i świece, a po drodze wstąpi do żółtego domu, żeby zabrać swoje wielkanocne szaty liturgiczne.

Sporządził pośpiesznie listę i włożył ją do kieszeni kurtki. Musi również odwiedzić wujaszka Billy'ego, Esther Bolick i Louellę. Pobiegnie i zobaczy się z Louellą po spotkaniu z Pauline. Zatelefonował do Domu Nadziei i poprosił, żeby przekazali Pauline, obecnie ich menedżerowi jadalni, że ma nadzieję zobaczyć się z nią przed godziną szczytu w południe.

Puny i bliźnięta... tę wizytę będzie musiał przełożyć na okres po świętach wielkanocnych.

Potarł piekące oczy i spojrzął na zegarek. Jeśli dobrze wszystko rozegra, będzie miał pół godziny, żeby przyjemnie zmitrężyć czas z Klubem Indyków i zakupić posiłek z automatu.

Wiatr przycichł, dzięki Bogu. Ale czuł się podle, zostawiając swoją żonę samą. Mimo że posprzątałi podłogę i starli stół, kuchnia stanowiła przerażający widok. Na szczęście jej praca na sztalugach była przykryta kawałkiem płótna, które nakładała każdego wieczoru niczym nakrycie na klatkę z ptakami.

— Nie martw się mną — rzuciła. — Ty masz swoją pracę do wykonania, ja mam swoją. Ja zajmę się wnętrzem, jeśli ty i Willie zajmiecie się zewnętrzem. — Kichnęła głośno. — Nie oczekuj, powtarzam, nie oczekuj, że będę kierowała brygadą murarzy.

— Masz moje słowo.

Otarł jej czoło swoją chusteczką i uczynił znak. Odpowiedziała mu również znakiem, a on uściśnął ją serdecznie, nawet jeśli z pewnym poczuciem winy.

Rozmawiał z Buckiem wczoraj wieczorem; modlili się razem przez telefon, żeby odnalazł się Sammy, cały i zdrowy. Buck powiedział, że Lon Burtie wybrał się do przyczepy Barlowe'ów i zaglądał przez okna. Wszystko wyglądało normalnie.

Lon próbował dowiedzieć się czegoś o miejscu pobytu Clyde'a Barlowe'a, i kilka osób twierdziło, że wyjechał gdzieś z Cate'em Turnerem, który był ojcem Lace Harper i wieloletnim kumplem od gorzałki Clyde'a.

Koniec końców, nadal pozostawało pytanie: czy należy powiadomić policję?

Ojciec Tim, Cynthia, Agnes i Clarence będą pracować razem w kościele w sobotę, sprząając go gruntownie i przygotowując na niedzielę rano. A zatem jedyna pora, kiedy będzie mógł pojechać z Buckiem do Holding, to jutro, w piątek. Uzgodnili, że spotkają się o ósmej na stacji benzynowej Lew Boyda, Exxon, i pojadą w dół, na posterunek policji w Holding.

Razem z Cynthią uzgodnili ponadto, że wezmą udział w swoim własnym nabożeństwie wielkoczwartkowym dzisiaj wieczorem, w pokrytej popiołem kuchni — jakże odpowiedniej scenerii.

Co do kwestii papierkowej związanej ze zmianą nazwiska i adopcją, skontaktuje się w tej sprawie ze swoim adwokatem w następnym tygodniu i gdy Dooley przyjedzie do domu na wakacje, przekroczy próg domu jako Kavanagh.

Esther nie było w domu, więc zostawił jej wiadomość w drzwiach na patio, razem z pudełkiem czekoladek, które wybrał w drogerii.

Był to żalony podarunek; serce bolało go, gdy myślał o Gene i Esther, których znał jako przyjaciół i parafian od dwudziestu lat. Spojrzał na patio i pomyślał o tym, jak wiele steków zostało tu upieczonych na grillu, ile ptaków było tu karmionych w podzięce za ich piękny śpiew, ile pelargonii piło łapczywie wodę, i nikomu ani razu nawet nie przyszedł do głowy nieoperacyjny nowotwór mózgu.

Do oczu napłynęły jej łzy.

— To cudownie — zawołała Pauline Leeper. — Wiem, że będzie dumny, nosząc ojca nazwisko.

— Zawsze będzie spędzał czas z tobą, Buckiem, Poo i Jessie, gdy będzie przyjeżdżał do domu; zawsze będziecie jego rodziną.

— Tak, proszę ojca.

Wyjęła chusteczkę higieniczną z kieszeni uniformu i otarła oczy.

— Będę okropnie wyglądać — rzuciła, śmiejąc się. Poczł się niezręcznie i ogarnął go straszny smutek.

— Dziękuję ci za zrozumienie. Jesteś szlachetną i wrażliwą osobą, Pauline.



— Z łaski bożej, tylko tak mogło się to stać — odparła, a po policzkach popłynęły jej łzy.

— Co robi ojciec w sprawie pieniędzy panny Sadie?

Najwyraźniej był w błędzie, myśląc, że Louella ma krótką pamięć.

— Czekam, aż właściciel samochodu wróci do domu, abyśmy mogli o tym porozmawiać. Nie mogę przeszukać plymoutha bez jego pozwolenia.

Louella wyglądała na nieprzekonaną co do tego sposobu działania i zwróciła ponownie uwagę na pudełko czekoladek bez cukru, które przywiózł ze sobą.

— Co to? Ledwie widzę. Szukam czegoś z orzechami.

— Nugat.

— Zero nugatu. A ta tutaj?

— Hm. — Ślina napływała mu do ust. — Ciemna czekolada.

— Proszę, słonko — poprosiła, wysuwając w jego stronę pudełko. — Znajdź mi coś z orzechami.

Wziął czekoladkę z ciemnej czekolady bez cukru dla siebie. Niezła. Ale też niezbyt dobra.

— Jak myślisz, co panna Sadie chciałaby, żebyśmy zrobili z pieniędzmi, które znajdziemy?

— Dali je Panu Bogu!

— Z pewnością to zrobimy. Ale czy myślisz, że chciałaby, żeby zostały przeznaczone na coś szczególnego? Dach Lord's Chapel jest w idealnym stanie, dzięki niej. Koszt rozbudowy został sfinansowany dawno temu. Dom Nadziei funkcjonuje z bardzo dobrym wynikiem finansowym...

— Uważam, że powinniśmy pomodlić się w tej sprawie. Tak właśnie postępowaliśmy zawsze z panną Sadie, gdy dawałyśmy komuś pieniądze. Pamiętam, jak modliłyśmy się w sprawie pieniędzy, które dała ojca chłopcu. Jejku, a niech mnie! Gdy panna Sadie zapisała tę kwotę, w całym swoim życiu nie widziałam tylu zer po jakiejś cyfrze! A tak w ogóle, co on z nimi robi?

— Nie wie, że je ma. Nie powiedziałem mu.

— Na co ojciec czeka? Na jakiś znak z nieba?

— Nie jestem pewien.

— Dziecko, cieszę się, że mnie nigdy nikt nie dał miliona dolarów; byłabym zgubiona.

— Tak myślisz?

— Wszyscy by się na mnie rzucili i rozdrapali cały majątek po kawałku. Nie, słonko, nigdy nie lubiłam mieć do czynienia z pieniędzmi.

— Proszę — stwierdził. — Cały ten rząddek jest z orzechami.

Louella spojrzała na niego czule.

— Zawsze gdy ojciec do mnie przychodzi, czuję się, jakby w pokoju była panna Sadie. Byliście sobie bardzo bliscy, słonko.

— Śniła mi się zaledwie parę dni temu.

— Jak wyglądała?

— Wyglądała młodo! Nie mogłem uwierzyć, że wygląda tak dobrze!

Pamiętał ten sen tak dobrze, jakby to były odwiedziny. Louella skrzywiła się.

— Co się stało?

— Znowu dokucza mi to ramię. Bolało mnie przez całą noc.

— Pozwól, że się nim zajmę — zaproponował. Wstał z niskiego stołka, na którym zawsze siadywał, gdy przychodził w odwiedziny, i dotknął jej ramienia.

— Tutaj?

— Nie, słonko, nie tutaj. Trochę bardziej w lewo... No właśnie. I jeszcze troszkę wyżej.

— Tutaj?

— Dokładnie tutaj! Na litość, boli jak czyrak, proszę nie trzeć zbyt mocno.

Siostra Herman wsunęła głowę przez drzwi.

— Jestem następna w kolejce po panie Louelli! — zawołała, uśmiechając się.

Ruszył korytarzem do wygodnego pokoju Bena Isaaca Bermana.

Ben Isaac nieomal zawsze zostawiał drzwi do swojego pokoju otwarte i nieomal zawsze słuchał muzyki klasycznej. Muzyka, która dobiegała w tej chwili, to był zdecydowanie Mozart... prawdopodobnie *Divertimento* numer 10, F-dur, ale tylko prawdopodobnie.

Zapukał do otwartych drzwi.

— Ben Isaac?

— Jestem tu, ojciec, jestem! Proszę wejść, proszę wejść.

Ukazał mu się wysoki, przystojny starszy mężczyzna, opierający się na lasce i ubrany w marynarkę z krawatem i ciemne spodnie.

— Ben Isaac! Jesteś wystrojony!

Ben Isaac pochylił się w stronę wikarego i odparł przyciszonym głosem:

— Mam bardzo miłą przyjaciółkę, ojciec. Ojciec Tim uściśnął mu energicznie dłoń.

— Miło mi to słyszeć! To wszystko zmienia, prawda?

— Z pewnością. Za pół godziny pójdę w jej towarzystwie na lunch.

— A gdzie ta szczęśliwa dama mieszka?

Oczy Bena Isaaca rozbłysły, gdy wskazał na ścianę i wyszeptał:

— Tuż obok.

— Ja także dokładnie tuż obok znalazłem swoją cudowną żonę!

Starszy mężczyzna zachichotał.

— Ojej — zawołał. — Ojej.

Zajrzał do biura kapelana, ciesząc się z widoku Scotta Murphy'ego, który został dosłownie zesłany przez Boga do Domu Nadziei — i prosto w ramiona ulubionego księgarza Kavanaghów.

— Gratuluję! — zawołał, ściskając przyjaciela.

— Dziękuję, dziękuję, ojciec. I dziękuję, że zgodził się ojciec odprawić ceremonię naszego ślubu.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparł jak najbardziej szczerze. — Odprawiam nasze pierwsze nabożeństwo w Holy Trinity w Wielkanoc, rano o dziesiątej. Byłoby mi miło, gdybyście mogli przyjechać.

— Moje nabożeństwo jest również o dziesiątej. Z pewnością przyjedziemy, jednak w jakąś inną niedzielę. Jak długo się tam jedzie?

— Piętnaście do dwudziestu minut na farmę, potem około piętnastu do dwudziestu na grzbiet góry. Moglibyście przyjechać na kawę, a potem pojechać za nami.

Spojrzał na zegarek.

— Muszę uciekać...

— Jakaś rada, zanim ojciec pójdzie?

— Na...?

— Na bycie zaręczonym. Nigdy wcześniej tego nie robiłem.

Ojciec Tim roześmiał się.

— Lepiej, żebym nie dawał ci żadnych rad. Niewiele brakowało, a wszystko bym sknocił. Nie, chwilę, oto moja rada; to, co zrobiłbym, gdybym miał odrobinę rozumu: dziękuj Bogu nieustannie za Jego łaskę. I posyłaj jej kwiaty, zanim zawalisz, jak również zaraz po tym.

Scott uśmiechnął się.

— Załatwione — odparł. — I... hm, ma ojciec coś na lewym policzku. Wygląda jak...

Wikary podniósł rękę i wytarł policzek.

— Sadza — wyjaśnił. — Ale to nic interesującego.

— Do licha! Dolar pięćdziesiąt za paczkę nabs i dietetyczną colę — zwrócił się do J.C. — Sęk w tym, że pamiętamy czasy, gdy paczka nabs kosztowała pięć centów.

— Ja nie sięgam pamięcią czasów pięciocentówek — warknął J.C.

— Ach, przepraszam, zapomniałem, że twój młodzieńczy wiek plasuje cię w kategorii dziesięciu centów.

— Piętnastu — poprawił go J.C., zjadając coś bliżej niezidentyfikowanego.

— Kaktus mi tu wyrośnie — odparł wikary.

Wydawało mu się, że wydawca „Muse” wygląda, jakby całą noc przewracał się z boku na bok, w ubra-  
niu.

— A gdzie jest Mule? Gdzie Percy?

— Percy robi sobie kolonoskopię. Mule zabrał Fancy na lunch do Wesley.

Wikary pomyślał, że wolałby raczej poddać się kolonoskopii.

— Pozwól, że o coś cię zapytam — zaczął, otwierając puszkę coli.

— Pytaj.

— Co cię gryzie?

J.C. zmarszczył czoło i uniósł do ust kanapkę.

— To ja gryzę.

— Daj spokój, możesz być ze mną szczery.

Nigdy nie mieszał się w sprawy J.C. Hogana, być może z wyjątkiem tej jednej okazji, gdy J.C. zabiegał o względy Adele i — w opinii zarówno jego, jak i Mule'a, wszystko robił nie tak.

J.C. zawiązał ponownie kanapkę, po czym wepchnął ją do teczki.

— Adele awansowała.

— Tak. I dostała nowy rewolwer. Mówiłeś nam.

— Dostała podwyżkę.

— To dobrze.

— Ma nową fryzurę.

— Aha.

— Dostanie nowy wóz patrolowy.

— Ojej.

Zapadła długa chwila ciszy. Ojciec Tim obserwował, jak mucha wspina się po wewnętrznej szybie frontowego okna Lew. Z kanału dobiegł dźwięk klaksonu; Lew wszedł, żeby wprowadzić do kasy sprzedaż benzyny.

Gdy Lew wyszedł, J.C. spojrzął na ojca Tima, najwyraźniej nieszczęśliwy.

— I ma nowego partnera. Strzał w dziesiątkę.

— Na patrolu, rozumiem.

— Tak.

— Słuchaj. Muszę stąd wyjść za dziesięć minut. Pozwól, że cię o coś zapytam. Co robisz w tej sprawie? Marnujesz czas, myśląc, że Adele podoba się ktoś inny? Próbując wykombinować, co teraz robi? Martwiąc się, że już nie jesteś najważniejszy?

— Tak — przyznał J.C.

— Wiele dobrych rzeczy przytrafiło się Adele. Pogratiłowałeś jej?

— Nie.

— Niewiarygodne! Posłałeś jej kwiaty?

— To nie w moim stylu.

— Powiedziałeś jej, że jest najlepsza? Pocałowałeś ją, gdy przyszedłeś do domu? Pocałowałeś ją, gdy ona przyszła do domu?

— To nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

— To ma z tym wszystkim wiele wspólnego, przyjacielu. Pamiętam, co zrobiłeś dla Adele, gdy zabiegałeś o jej względy. Zaniósłeś do jej domu mięso na dwa schabowe. I zrobiłeś to tylko raz! To poważna sprawa, J.C., a ciebie po raz kolejny stać jedynie na stary trik ze schabowym — to nigdy nie działało; i nie zadziała.

— Wygłaszasz mi kazanie.

— Masz rację. Skoro masz wspaniałą żonę, tak jak i ja mam wspaniałą żonę, to nie możesz siedzieć beczynn timer. Ile czasu minęło, odkąd zabrałeś Adele na kolację? Kiedy ostatnio zabiegałeś o jej względy? Twoja żona bywa w różnych miejscach. A czy ty bywasz z nią?

Brak odpowiedzi.

— Wydaje mi się, że znam Adele dość dobrze, zaharowuje się, żeby uczynić z Mitford lepsze miejsce, a poza tym dokłada wszelkich starań, dbając o ciebie. Powinieneś masować jej stopy wieczorem, przynosić jej rano filiżankę kawy... — Zaczynał mówić dialektem z Missisipi.

Twierz wydawcy zrobiła się czerwona jak burak.

— Masować jej stopy? Czy ty zupełnie oszalałeś?

— No dobrze, dobrze, wystarczy, jeśli wysilisz się na coś pomiędzy schabowym i masowaniem stóp. Ale pozwól, że ci to powiem, nowa woda po goleniu tego nie załatwi. A bycie ponad to, by cieszyć się jej sukcesem, tym bardziej nie. Musisz zacząć zabiegać o względy tej kobiety i musisz się za to zabrać od zaraz.

— Mam znowu zabiegać o jej względy?

— To, jak zabiegałeś o jej względy za pierwszym razem, było tak żalosne, że nawet się nie liczy. Powinieneś zacząć zabiegać o jej względy, jakby to był pierwszy raz.

— Nie powinienem był puszczać przed tobą pary z ust. J.C. zamknął z hukiem teczkę.

— A ja mówię ci to wszystko, bo uważam, że Adele jest wspaniałą kobietą i, do licha, przyjacielu, kocham cię. — Dobry Boże, w całym swoim życiu nie powiedział niczego takiego do J.C. Hogana. — Przez bardzo długo ja zachowywałem się jak idiota w stosunku do Cynthii i pozwól, że ci powiem, że to bardzo niebezpieczne.

Pamiętał, jak zupełnie niesłusznie był zazdrosny o jej wydawcę, czuł się zagrożony jej sukcesem i przeżliwie bał się stracić to, co dał mu Bóg.

— Czy kochasz Adele?

— Tak — odparł J.C. — Bardzo.

— Czy słowa przysięgi małżeńskiej wypowiadałeś świadom ich powagi, gdy dawałem wam ślub?

— Tak.

— Z tego, co mi się wydaje, nie masz już ani chwili do stracenia. Musisz wybrać się na posterunek policji, wejść do środka... — Spojrzał na zegarek. — Widziałem wóz policyjny na parkingu kilka minut temu... a zatem wejść do środka i...

— I co?

Brakowało mu już argumentów. I co, w istocie? J.C. siedział na krawędzi krzesła.

— Powiedz, że oddajesz się w ręce sprawiedliwości za to, że zachowywałeś się jak głupiec.

— Daj spokój! To żalosne.

— Poproś ją, żeby skończyła dzisiaj pracę wcześniej, powiedz jej, że masz plany.

— Jakie plany?

— Moje wtrącanie się w nie swoje sprawy kończy się w tym miejscu.

Ojciec Tim zwinął opakowanie po nabs i cisnął je do kosza na śmieci.

— Będziesz to musiał sam wymyślić.

Zapomniał zapytać J.C., czy dowiedział się czegoś nowego o Edith Mallory. Modlił się za nią wiernie i często o niej myślał — usiłując sobie wyobrazić jej niecierpliwe poszukiwania słowa, brakującego ogniwa, którego szukała jak — cytując Jubalę — igły w stogu siana.

A co, jeśli zgubi znowu pierwsze słowo, które wymówiła z takim uczuciem?

„Bóg” — powiedziała. W dniu, w którym zamknęła go w pokoju w swoim towarzystwie w Kinloch, nie miała serca dla Boga, w najmniejszym stopniu.

Nie chciał, żeby zgubiła to słowo; to było zasadnicze, aby trzymała się kurczowo tego słowa.

Trzymaj się, Edith! — pomyślał, wyciągając kluczyk ze stacyjki na podjeździe muzeum miejskiego.

Betty Craig wyglądała na zmęczoną.

— Jak on się ma?

— W ogóle nie jest z nim dobrze.

— A panna Rose?

— To najpodlejsza starsza kobieta, jaka kiedykolwiek chodziła po tej ziemi, nic dodać, nic ująć.

— Co się dzieje?

— Jest z nim coraz gorzej; prawie nic nie je, a wie ojciec, jak on ubóstwia moją kuchnię. Chciał kurczaka z kluskami, ale wypił tylko kilka kropel rosółu, które podałam mu na łyżce.

— Czy powinien wrócić do szpitala?

— Wydaje mi się, że tak.

— Tętno?

— Słabe.

— Gdzie jest panna Rose?

— W łazience, ostatnio, gdy tam zaglądałam, uśmiechała się do swojego odbicia w lustrze. Jest taka okropna!

— Nie jest okropna. Jest chora. To straszna choroba i państwo nie przeznacza prawie żadnych środków na to, żeby ją lepiej poznać.

— Co powinniśmy zrobić?

— Zadzwoń do Hoppy'ego. Czy powinienem do niego zajrzeć?

— Uważam, że tak. Ojciec jest zawsze dobrym lekarstwem dla ludzi.

— Nie jestem pewien — odparł szczerze. J.C. był gotów mu wtedy przyłożyć.

Stanął przy łóżku, milcząc, spoglądając na mężczyznę, który sprawiał, że tak wielu się śmiało przez tak wiele lat...

Nie otwierając oczu, wujaszek Billy wyciągnął rękę, a ojciec Tim ujął ją w swoją dłoń.

— Czy to... kaznodzieja?

— Tak, wujaszku Billy.

Czuł, jak w gardle ściska go coś tak mocno, jakby miał się za chwilę udusić, tak bardzo poczuł się wyróżniony tym, że został rozpoznany zaledwie przez dotyk dłoni.

Przy ilu łóżach bóleści stał w swoim życiu? Czuwanie przy matce było najboleśniejszym przeżyciem, a obecne dziwnie przypominało mu tamte chwile. Zdał sobie sprawę, że to dlatego, iż Bill Watson był kimś więcej niż tylko serdecznym przyjacielem, kimś więcej niż wieloletnim parafianinem — był członkiem rodziny.

— Pozwolisz, że się za ciebie pomodłę? — zaproponował.

— Byłbym wdzięczny.

Ale gdy ukląkł, żeby to zrobić, poczuł, że nie jest w stanie się odezwać, ze względu na łyżę.

Wjechał na podjazd Meadowgate z siedmioma liliami w doniczkach, stłoczonymi na siedzeniu pasażera i podłodze, i ujrzał zieloną półciężarówkę na placu przed domem.

Przywitał go ciężki zapach popiołu i kreozotu, gdy tylko znalazł się na tylnych schodach.

— Kochanie, zobacz, kto przyjechał nas odwiedzić. Pansy Flower, a to mój mąż, ojciec Tim Kavanagh.

— Bardzo mi miło — odparła Pansy, dygając jednocześnie w ledwie zauważalny sposób.

Ta forma grzeczności nie zginęła jednak bezpowrotnie. W istocie, pojawiała się gdzie się nie obrócić — prawdziwy renesans obyczaju!

— Pansy ze słynnych Flower Girls! Tak się cieszę, że cię widzę, Pansy.

— Pansy opowiada mi właśnie o swojej dużej i bardzo utalentowanej rodzinie — oznajmiła Cynthia.

— Jest nas dziesiątka! Osiem dziewcząt, dwóch chłopców. Wszyscy żyją. Ja osobiście jestem dzieckiem w rodzinie.

— Aha!

— Iris, Lily, Rose, Arbutus, Delhpinium, mówimy na nią Del — Pansy liczyła ich na palcach. — Violet. Daisy. Jack in the Pulpit, mówimy na niego Jack. I Sweet William\*, mówimy na niego Billy.

\* Nazwy roślin kolejno: irys, lilia, róża, chruścina jagodna (drzewko truskawkowe), ostróżka, fiołek, stokrotka, obrazkowiec i goździk brodaty.

Ojciec Tim zauważył, że najzwyczajniej w świecie promieniała, wyliczając swoje rodzeństwo.

— Niech no się zastanowię. Iris to ta, która szyje? — Cynthia miała przygotowany notes i pióro.

— Nie, proszę pani. Iris prasuje. Tyle że teraz nie jest w stanie prawie nic robić, cierpi na zespół urazowy nadgarstka.

— A zatem Iris prasuje. Lily szyje.

— Nie, proszę pani, to Rose szyje. Lily gotuje na przyjęcia.

— A Arbutus?

— Ona nic nie robi. Wyszła za mąż za Juniora Bentleya i mieszka w murowanym domu.

Wykończony, postanowił spocząć w swoim fotelu z wysokim oparciem, unikając widoku sklejki.

— W murowanym domu?

— Tak, proszę pani. Na nowej obwodnicy, naprzeciwko Red Pig Barbecue. Z dwoma przeszklonymi gankami.

— Pozwól, że się upewnię, czy cię dobrze zrozumiałam. Dzwonię do Rose, jeśli potrzebuję kogoś do szycia, Iris, jeśli potrzebuję kogoś do prasowania, i Lily, gdy urządzam bożonarodzeniowe przyjęcie.

— Tak, proszę pani. Ach, zapomnieliśmy o Daisy, ma dwadzieścia dwa lata i pracuje z Jackiem i Billym przy uboju świń.

— Przy uboju świń!

— Tak, proszę pani, od października do marca, biją świnię co sobotę i robią kielbasę. Sprzedają parówki, pasztet albo w całości.

Wydawało mu się, że jego żona wygląda trochę blado.

— Proszę mi to wszystko zapisać — stwierdziła, podając notes Pansy.

— Nie chce pani się dowiedzieć o Violet? Cynthia opadła na krzesło przy sosnowym stole.

— Ależ tak! Usiądź, proszę, Pansy, i opowiedz mi wszystko.

— Violet pracuje w tygodniu, a w sobotnie wieczory śpiewa piosenki country na przyjęciach.

— Na tych, na które jedzenie zapewnia Lily?

— Tak, proszę pani, można je wynająć jako zespół. Potrawy z grilla i smażony sum to specjalność Lily; podaje je z surówką z białej kapusty, kukurydzianymi ciasteczkami i domowej roboty tater tots\*. Violet śpiewa jak Loretta Lynn i gra na gitarze.

\* Tater tots — zarejestrowany znak handlowy dla komercyjnej formy siekanych, smażonych na głębokim tłuszczu ziemniaków.

Poczuł, że zasypia.

— Ona i Lily liczą od głowy. Dwadzieścia dolarów na głowę za gotowanie i śpiewanie.

— A co, jeśli ktoś chce zamówić gotowanie bez śpiewania?

— Nie pracują w ten sposób; trzeba wziąć usługę w pakiecie. I nie pracują w niedziele, chyba że jest to uroczystość kościelna. Na uroczystościach kościelnych Violet śpiewa pieśni gospel i daje dziesięcioprocentową zniżkę. Ale nie dostają zbyt wielu zamówień z kościoła.

— Tak myślę; ludzie w kościele najczęściej mają własny śpiew.

— Tak, proszę pani, i w wielu przypadkach sami gotują.

— Cóż, Pansy, naprawdę potrzebny jest mi ktoś do sprzątanía. Jak sama widzisz, ten straszliwy bałagan nie może czekać w nieskończoność. Potrzebny jest mi ktoś jutro rano, o świcie. Czy nikt w rodzinie nie sprząta?

— Ależ tak, proszę pani! Z wyjątkiem Arbutus, która wyszła za mąż za Juniora Bentleya i mieszka w murowanym domu, wszyscy sprzątamí.

— Dzięki Bogu!

— Ale do sprzątanía wymieniamy się.

— Wymieniacie się?

— Tak, proszę pani, nikt nigdy nie przychodzi dwa razy pod rząd. Idzie to tak — Lily przychodzi w poniedziałki, Rose we wtorki, ja w środy, Del w czwartki, Iris... nie, chwileczkę, wydaje mi się, że to Rose przychodzi w poniedziałki, a Lily we wtorki. Do licha, nie mogę sobie przypomnieć tego wszystkiego; zupełnie mi się pomyliło. Już my coś wymyślimy.

— Będę niezmiernie wdzięczna — zgodziła się jego żona, która wyglądała, jakby miała ochotę na drzemkę.

Krzyż stał na środku nagiego sosnowego stołu, udrapowany purpurowym materiałem.

Zimne powietrze, a razem z nim nieprzyjemna woń kreozotu, przedostawały się w dół komina, a następnie do kuchni przez szczelinę wokół sklejki. Mimo że Cynthia zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby odświeżyć pomieszczenie, ohydny zapach wydawał się wszechobecny.

Był to wyjątkowy czas w życiu kościoła, czas, który zawsze poruszał ojca Tima. Spędził tę noc w jednym kościele, jedynie przy świecach płonących w nawie, bolejąc nad Jego cierpieniem i śmiercią, czuwając i czekając na Jego rezurekcję.



W istocie, nie wyobrażał sobie innego sposobu na to, żeby przyjąć autentyczną radość Wielkanocy bez doznania tej czarnej godziny.

Czysty i olśniewający głos jego żony czytającej fragment pierwszego listu do wiernych w Koryncie wzruszył go do głębi.

— „Ja bowiem otrzymałem od Pana to, co wam przekazałem, że Pan Jezus tej nocy, kiedy został wydany, wziął chleb i dzięki uczyniwszy, połamał i rzekł: »To jest Ciało moje za was [wydane]. Czyńcie to na moją pamiątkę!« Podobnie, skończywszy wieczerzę, wziął kielich, mówiąc: »Ten kielich jest Nowym Przymierzem we Krwi mojej. Czyńcie to, ile razy pić będziecie, na moją pamiątkę!« Ilekroć bowiem spożywacie ten chleb i pijecie kielich, śmierć Pana głosicie, aż przyjdzie”.

Przysunął świecznik i przeczytał na głos fragment z Ewangelii według świętego Łukasza i świętego Jana, ze starego modlitewnika.

— „...Jezus zaś mówił: »Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią«. A oni rozdzielili między siebie Jego szaty, rzucając losy”.

„Było to przed Świętem Paschy. Jezus wiedząc, że nadeszła godzina Jego, by przeszedł z tego świata do Ojca, umiłował swoich na świecie, do końca ich umiłował. W czasie wieczerzy...”

Wydawało mu się, że usłyszał gdzieś pukanie, ale nie był pewien.

— Słyszałaś coś?

Dało się słyszeć ponownie, tym razem głośniejsze, przy tylnych drzwiach.

— Willie! — rzucił, wstając od stołu. — To musi być coś ważnego.

Włączył światło i otworzył drzwi, ale nikogo nie zobaczył.

— Willie? Czy to ty?

Wysoka, szczupła postać stanęła w świetle ganku.

— To ja. S-S-Sammy.

# Rozdział dziewiąty

## *Ucztując*

W Wielki Piątek rano łagodna, nieomal balsamiczna bryza zawitała do doliny.

Delektując się swobodą, jaką dawała koszula z krótkim rękawem, ojciec Tim stał przed pralnią z mura-  
rzem, który bawił się kawałkiem tytoniu w ustach i przyglądał się zniszczeniom.

— W dawnych czasach budowali komin na jedną cegłę.

— Rozumiem, że to niedobrze.

— Wtedy było w porządku, teraz nie. To cud, że nie rozpadł się wcześniej. Tutaj, widzi ojciec, burze  
przychodzą głównie z zachodu, ze strony, gdzie znajduje się komin. Cała ta wilgoć, która przychodzi z wia-  
trem, gromadzi się w zaprawie, potem gdy przychodzą mrozy, zaprawa kurczy się; wie ojciec, o co mi chodzi?

— Tak.

— Pęcznieje, zamarza, pęcznieje, zamarza. Zanim się człowiek obejrzy, obluźowuje się, wypada, przy-  
chodzi wichura, komin się rozsypuje.

— Rozumiem.

W całym domu otwarto pradawne, podnoszone okna, żeby wpuścić do środka wiosenną bryzę i złago-  
dzić gorzki zapach zwęglonego drewna. Ojciec Tim słyszał warkot kilku odkurzaczy pracujących jednocześnie  
na gołych drewnianych podłogach, wraz z dudnieniem dużej suszarki do ubrań i odgłosem wirowania pralki.

Murarz strzyknął sokiem z tytoniu w krzew kamelii.

— Strasznie tu duży ruch — zwrócił się do wikarego.

Spory kontyngent Flower Girls zgłosił się do pracy i sądząc po wyrazie twarzy jego żony zaledwie  
chwilę temu, ojciec Tim doszedł do wniosku, że sprawy mają się dobrze.

Siedział z Sammym na tylnych schodach, odpoczywając.

— Dziękuję, przyjacielu.

Sammy przyjął podziękowanie krótkim, nieśmiałym skinieniem głowy.

Wywieźli kilka taczek gruzu z za sklejki. Jako że przeładowanie gruzu z taczki na pakę ciężarówki wy-  
magałoby zbyt dużego wysiłku, wywieźli gruz na wysypisko na farmie za ziemianką.

— Cieszymy się, że tu jesteś — powiedział ojciec Tim. — Jesteś z nami bezpieczny.

Kolejne skiniecie głową.

Déjà vu, pomyślał wikary. To dokładnie na tych schodach prowadzących na ganek siedział z Dooleyem  
w czasie ich pierwszej wizyty na farmie wiele lat temu.

— Jak się tu dostałeś? Sammy uniósł kciuk prawej ręki.

— Skąd wiedziałeś, gdzie jesteśmy?

— Zapytałem na stacji benzynowej w Mitford, wszyscy wiedzieli.

— Szukaliśmy cię z Dooleyem w Holding. Był bardzo zmartwiony, gdy nie mogliśmy cię znaleźć.

— No.

— Co się stało?

— Ch-ch-ciałem zrobić coś na własną rękę; ch-chciałem poradzić sobie sam, tak jak D-Dooley.

— Dooley nie poradził sobie sam.

Perliczka przemknęła obok, a tuż za nią w pogoni następna. W Meadowgate rozpoczęła się pora godów.

— Szczerze mówiąc — dodał ojciec Tim — ja też nie poradziłem sobie sam. Nie jesteśmy w stanie poradzić sobie sami; potrzebujemy się nawzajem. Dlaczego nie powiedziałeś Lonowi?

— Chciałem mu p-pokazać, że mogę to zrobić bez niczyjej pomocy. Nie było n-nikogo, z kim mógłbym porozmawiać.

— Teraz już masz takie osoby. Dooleya. Poo. Jessie. Bucka.

Wspominanie o mamie Sammy'ego nie było dobrym pomysłem; Sammy miał do niej ogromny żal za całe zło, które wyrządziła dzieciom.

— Cynthię. Barnabę. Mnie.

Położył dłoń na ramieniu Sammy'ego i poczuł, jak ten się wzdrygnął. Przez skórę poczuł też kość.

— Znalazłem pracę w szkółce roślin. Pracowałem przez trzy tygodnie.

— Nie udało się, w takim razie.

— Powiedzieli, że u-ukradłem pieniądze. Nie zrobiłem tego, zrobił to ten g-grubas.

— Być może będziemy mieli dla ciebie płatną pracę tutaj, na miejscu, jeśli jesteś zainteresowany. W końcu, jeśli chcemy mieć kanapki z pomidorami, potrzebne są nam pomidory. Idzie mi całkiem nieźle z różami, ale nie znam się za bardzo na pomidorach.

Oczy chłopca pojaśniały.

— Potrafię hodować pomidory, to łatwe.

— Z pewnością.

— O-o-ogórki, kabaczki, m-melony, groszek zielony, wszystko.

— A okrę? Przepadał za okrą.

— Nigdy nie h-hodowałem okry, ale mógłbym spróbować.

— Planujesz wrócić do ojca?

— J-już tam nie wrócę. Groził mi strzelbą, kazał mi siedzieć bez ruchu, ledwie mogłem o-oddychać, powiedział, że jak się ruszę, to przestrelali mi głowę. Był b-bardzo pijany. Po jakimś czasie zasnął, a ja uciekłem. Spałem tej nocy w garażu sąsiadów, a potem szedłem, aż d-dotarłem do M-Morganton. Znalazłem szkółkę i dostałem pracę.

— Gdzie się zatrzymałeś?

— Spałem w k-komórce, w której trzymali gliniane naczynia i inne rzeczy. Mam nadzieję, że on i C-Cate Turner smażą się już w piekle.

Zapadła długa chwila ciszy; słychać było jedynie gdakanie perliczek, śpiew ptaka.

— Co stało się z twoim pięknym ogrodem?

Ojciec Tim pamiętał ogród, który stworzył Sammy w miejscu, które Pismo Święte nazywa czasami „ziemią jałową”; był tak śliczny, że na jego widok do oczu napłynęły mu łzy.

Sammy wzruszył ramionami.

— Z-zarośnie i nikt nawet nie będzie wiedział, że tam był.

— Masz jakieś plany, co chciałbyś robić teraz?

— Nie wiem, gdzie mógłbym z-zamieszkać.

— Rozmawialiśmy o tym z Cynthią; chcielibyśmy, żebyś zamieszkał z nami przez jakiś czas. Ale jest kilka zasad, których musiałbyś przestrzegać.

Lepiej od razu o tym powiedzieć.

— Zakaz palenia. Zakaz przeklinania. Musisz utrzymywać porządek w pokoju. Jeśli będziesz wychodził, musisz nam powiedzieć dokąd. W domu musisz być najpóźniej o jedenastej.

Sammy przyglądał się, jak perliczki znikają za wędzarnią. Stara blizna na jego policzku poczerwieniała.

— Słyszałeś mnie, synu?

— N-no.

— Jesteś zainteresowany? Sammy kiwnął głową.

— No.

— Od jak dawna nie chodzisz do szkoły?

— Nie byłem w szkole, odkąd skończyłem ósmą klasę, i nie zamierzam wracać.

— Ile masz lat?

— Sz-sz-szesnaście.

— Kiedy skończyłeś szesnaście?

Sammy obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

— Jeśli masz z nami zamieszkać, i mam nadzieję, że tak się stanie, muszę poznać dokładną datę.

— Miesiąc temu.

— W marcu wobec tego.

— Tak, czternastego.

W Karolinie Północnej prawo pozwalało na zakończenie edukacji szkolnej w wieku szesnastu lat. Nawet jeśli nie był to najlepszy przepis, ojciec Tim poczuł ulgę; gdyby musieli zmusić Sammy'ego, żeby poszedł do szkoły, mogliby go stracić na zawsze.

Ojciec Tim wciągnął powietrze — cudowny aromat wydostawał się przez kuchenne drzwi i wędrował na ganek...

Minęło już dużo czasu, odkąd Sammy pochłoniął wczoraj wieczorem kolację i padł na łóżko Annie, nie zdejmując ubrania.

— Ta muffinka, którą zjedliśmy jakiś czas temu, to już historia. Chodźmy do domu i zjedzmy śniadanie.

Sammy zerwał się na równe nogi; na twarz zaczął wypływać mu uśmiech. Wikary zauważył, że Sammy opanował go, zanim stał się zbyt widoczny. W każdym razie był niczym promień słońca przebijające się przez ołowiane chmury.

Wielki Piątek był dniem postu i mimo że Cynthia zarzekała się później, że prosiła o coś „bardzo prostego”, Lily-która-gotuje-na-przyjęcia pokazała, na co ją stać.

Kasza kukurydziana z serem, bekon, smażone jabłka, jajecznicą, bułki i sos śmietanowy wyłożone były w miskach i na półmiskach na sosnowym stole. Usmażyła również połowę parówek, które przyniosła jako prezent z wytwórni parówek, i wystawiła dwa słoiki dżemu z zapasów farmy.

Jego żona przydreptała z pralni i wydała okrzyk zdumienia.

— Czy to sen?

— Alleluja i trzy razy amen! — zawołał wikary. Powinien zadzwonić do szpitala w Mitford i zarezerwować salę. — Co ty na to, Sammy?

Sammy wydawał się oniemiały i nie był w stanie odpowiedzieć.

Lily miała już ręce zanurzone po łokcie w zlewozmywaku pełnym gorącej, spienionej wody, szorując energicznie kuchenne naczynia. Zachichotała.

— Lepiej się tak nie zachwycajcie, dopóki nie spróbujecie.

Wikary odsunął krzesło dla swojej pełnej zachwyty żony.

— Słyszeliśmy, że śpiewasz jak Loretta Lynn!

— Och, nie, proszę księdza, to Violet śpiewa jak Loretta. Gdybym ja miała śpiewać, co nie wydaje mi się prawdopodobne, to śpiewałabym bardziej jak Dolly.

— Aha. I dziękujemy za parówki, Lily! Bardzo stosowny prezent!

— Są o smaku łagodnym, nie pikantnym; doszliśmy do wniosku, że nie wyglądacie na wielbicieli ostrych potraw.

— Bardzo słusznie! — odparł.

Jak mógł ucztować przy tak suto zastawionym stole, skoro był zobowiązany do postu?

— W każdym razie, to nie ode mnie, to od Daisy. Daisy robi parówki. Ja nie mam nic wspólnego z robieniem parówek! O, nie, proszę ojca, to zdecydowanie zbyt brudna robota. Ja nie zamierzam robić żadnych parówek...

— Wydaje mi się, że Lily to ta, która również szyje, kochanie.

— Ach, nie, proszę pani, to Rose szyje. Ja nie jestem stworzona do niczego innego, jak tylko do gotowania i do sprzątania.

— Pomódlmy się — rzucił.

Zmęczeni, siedzieli w bibliotece przy dogasającym ogniu na kominku. Sammy oglądał zawody gry w bilard w telewizji w swoim pokoju; Violet leżała zwinięta w kulkę na kolanach swojej pani; psy z farmy chrapały na swoich zwyczajowych miejscach w kuchni. Spowijał ich błogi spokój...

— Pozwól, że nam poczytam — zaproponował. Wydawało mu się, że jego homilia jest gotowa; reszta należy do Ducha Świętego.

Począł kartkować mały tomik poezji Longfellowa, który znalazł pośród licznych książek Marge, a następnie przeczytał fragment *Endymiona*.

*...O smutne dusze, których los*

*Strachem i bólem napiętnowany*

*Miłości smak będzie wam dany!*

*Nikt nie jest tak przez los przeklęty,*

*Nikt tak całkowicie samotny,  
Żeby jakieś serce, mimo iż nieznane,  
Nie zapragnęło jemu właśnie być oddane.  
Jakby skrzydłem niewidocznym,  
Anioł drżących strun serca dotknął;  
I intonując, zaszeptał czule,  
„Ach, gdzie, mój drogi, trwonileś swe bóle?”...*

— Czy wierzysz tak jak pan Longfellow — zapytała

— że nikt nie jest tak przez los przeklęty, żeby jakieś serce nie zapragnęło jemu właśnie być oddane?

— Tak, wierzę w to. Tak było z Dooleyem i z Lace. Z Buckiem i Pauline... — Mógłby tak wyliczać bez końca.

— Tak było z nami.

— Przez wiele lat myślałam, że żadne serce, znane czy nieznane, nigdy nie zapragnie mojego serca. Nigdy nawet nie marzyłam o szczęściu, którego zaznałam z tobą. A to, że czytasz mi na głos, jest tak hojnym darem; to więcej niż wszystko, o co kiedykolwiek mogłabym prosić albo pragnąć.

— Czy pamiętasz, jak przyszedł do mnie kiedyś do pracowni? — zapytał. — W środku nocy, a ja szedłem ciemną doliną... przeczytałaś mi wtedy Psalm sto trzeci. Tak ucieszył mnie twój widok, wydawało mi się, że ktoś uratował mnie przed utonięciem; twój głos był dla mnie wszystkim.

Siedzieli przez chwilę, przyglądając się purpurowemu żarowi pod rusztem.

— Mama mi czytała — rozmyślał — ale nie dla rozrywki. Jedyne w celach edukacyjnych, Bogu niech będą dzięki! Ale miałem Peggy, jak wiesz. Peggy nie umiała czytać, ale opowiadała mi przeróżne historie. Długie, rozbudowane, cudowne opowieści z czasów jej dzieciństwa w odległym zakątku Missisipi. Potem, gdy nauczyłem się czytać, ja czytałem jej.

— Usiłuję sobie przypomnieć — kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

— Miałem dziesięć lat, gdy zniknęła. Po prostu zniknęła. Byłem zrozpaczony.

Gdzie odeszła? Nigdy się nie dowiedział...

Poczuł nagle ten dawny ból, jakby otwarły się gdzieś drzwi, rzucając na korytarz smugę ponurego światła.

Jego najlepsza przyjaciółka po prostu nigdy nie wróciła do kuchni jego mamy, żeby z nią gotować i ją rozśmieszać; żeby wsunąć mu zakazany łąkoć, żeby wysłuchiwać jego trosk, jakby naprawdę były ważne.

Gdy zniknęła, często jeździł na rowerze wąską dróżką, wchodził do jej chatki i wymawiał na głos jej imię. Chatka wyglądała dokładnie tak, jakby Peggy po prostu gdzieś wyszła i miała za chwilę wrócić — jej sukienka wciąż wisiała na gwoździu, na oparciu krzesła przewieszony był fartuch, obok paleniska leżało drewno, przygotowane, by rozpalić ogień i gotować posiłek.

Jego mama, która według niego wiedziała wszystko, zdawała się nic nie wiedzieć o zniknięciu Peggy. Niejeden raz zaglądał do stodoły — a co, jeśli zbierała jajka na górze i spadła przez spróchniałe deski? Przez wiele miesięcy szukał jej na ulicach Holly Springs, a raz poszedł do jej kościoła w środę wieczorem i czekał na drodze, żeby zobaczyć, czy nie będzie szła.

Przyszło mu do głowy, gdy tak siedział, nieomal pół wieku później, że szukał Peggy prawie przez całe swoje życie. Albo bardziej prawdziwie, szukał jej szczególnego ciepła. W podzielonym, często zimnym domu jego dzieciństwa ciepło Peggy rozpałało w nim potrzebę miłości i bycia kochanym.

Spojrzał na swoją żonę w niemym zdumieniu.

— Że też nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy — rzucił.

— Co nigdy wcześniej nie przyszło ci do głowy?

— Przypominasz mi Peggy. Przechyliła na bok głowę i uśmiechnęła się.

— Jestem dumna, że przypominam ci Peggy — odparła. — A może pójdziemy już na górę, kochanie — gdzie czeka na nas świeża pościel i wysprzątane kąty?

Wzięła go za rękę i poprowadziła po schodach i po raz kolejny poczuł radość tych ostatnich tygodni. Zrobi pewnego dnia dla swojej żony coś cudownego. Zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby odplacić się za to, co tak hojnie mu ofiarowała.

Otworzył oczy i wyjrzał przez okno przy łóżku. W chłodnym świetle wczesnego poranka oddalona sylwetka drzewa wydawała się obramowana platyną.

— Śpisz jeszcze?

— Już nie.

Przewrócił się w jej stronę i pocałował ją w policzek.

— Chrystus zmartwychwstał!

— Chrystus zmartwychwstał, w istocie!

— Alleluja!

Jak zawsze rano w Wielkanoc uczucie lekkości zastępowało smutek.

— Jestem tak podekscytowana na myśl o naszym pierwszym prawdziwym nabożeństwie w Holy Trinity — cieszyła się. — Chwileczkę, cofam to, co powiedziałam. Ostatnia niedziela była cudownie prawdziwa.

— Podoba ma się to, jak myślisz; zawsze będziesz moim diakonem.

Wyszedł z łóżka.

— Włączę ekspres, szynka czeka na włożenie do piekarnika, tuż przed naszym wyjściem.

— Zrobię śniadanie dla mnie i Sammy'ego. Będziesz jadł tosty?

— Same tosty. Z odrobiną masła.

Podczas gdy księża zwyczajowo pościli przed Eucharystią, jego przekłeta cukrzyca wymagała niezwykle delikatnego traktowania.

Wykonali nawzajem do siebie znak; stało się to ich nową prywatną liturgią.

Ojciec Tim pchnął ręką i otworzył drzwi do pokoju, w którym do ukończenia college'u mieszkała córka Owenów, Annie. Lata spędzone w służbie zagranicznej sprawiały, że przez długi czas pozostawała poza domem, wkrótce jednak przeprowadzi się do Asheville. Cieszyli się na to nie tylko Owenowie, ale i on sam.

Barnaba wbiegł do środka i stanął przy łóżku, machając ogonem.

— Sammy! Dzień dobry! Czas wstawać, synu.

— Co się dzieje?

— Niech cię Bóg błogosławi na te Święta Wielkanocne!

Wychodzimy do kościoła za jakąś godzinę, śniadanie na stole za dwadzieścia minut.

— Do kościoła?

Sammy usiadł na łóżku, ubrany w jedną z bluz, jakie zostawił tu Dooley.

— Nie ide do żadnego k-kościoła.

— Rozmawialiśmy o tym wczoraj wieczorem.

— T-tak, ale nie mówiłem, że p-p-pójdę.

— To jedna z zasad. Chodzimy do kościoła jako rodzina.

— Tej zasady nie było na l-liście, którą mi dałeś wcześniej.

— Przepraszam. Uważałem tę zasadę za oczywistą i dlatego o niej nie wspomniałem. Wstawaj już, proszę, i zjedz śniadanie.

— Przestań na mnie dyszeć! — usłyszał, jak Sammy zwraca się do Barnaby, który dogonił swojego pana na schodach.

Po raz kolejny zdał sobie sprawę, że nigdy nie sprawiało mu przyjemności zmuszanie kogokolwiek do czegoś. Ale w sytuacji gdy pod czyjś dach trafia zagubiony chłopiec, stawką niekoniecznie jest przyjemność. Z Dooleym często szło jak po grudzie, i być może tak samo będzie w tym przypadku.

Panie, pomodlił się, dziękuję, że jesteś ze mną...

Przyjechali wcześniej, mimo to na parkingu stały już cztery samochody.

Wszedł pośpiesznie do środka, z Barnabą postępującym tuż za nim, sprawdzając w pamięci listę rzeczy do zrobienia. Biuletyny kościelne na najwyższej półce przy sznurze do dzwonu. Sok, kubki i pudełko ciastek na najniższej półce. Chleb i wino w zakrystii; jego białe szaty liturgiczne powieszono na drzwiach od środka. Lilie przed ołtarzem, śnieżnobiały obrus położony na ołtarzu, podłoga zamieciona, okna błyszczące...

Wczorajsza odprawa z Sammym, Cynthia, Lloydem oraz siostrami Merton była jednym z najwznieślej-  
szych wydarzeń jego kapłaństwa.

Pełen ekscytacji wydawał rozkazy swoim oddziałom.

— Panno Martho, czy pani śpiewa?

— Czytam na głos! — obwieściła Mary.

— To dobrze! Właśnie tego potrzebujemy dzisiaj rano, Nie oszczędzajcie swoich strun głosowych, drogie panie. Kavanagh, na ciebie też liczę.

— Wiesz doskonale, że mój talent to wzrok, nie słuch!

— Żadnych wykrętów! Lloyd, śpiewasz?

— Tenorem. Ale nie umiem czytać nut, za żadne skarby świata.

— To żaden problem, używamy starych śpiewników. Mamy gościa! Witamy w Holy Trinity! Wesołych Świąt! Umie pani śpiewać?

— Sprawię, że ojca pies zacznie wyc — oświadczyła Sparkle Foster.

— Niech w takim razie wyje. Jesteśmy tu, żeby świętować!

Pośpieszył do zakrystii, wołając przez ramię:

— Chrystus, powstawszy z martwych, już więcej nie umiera!

Cynthia uśmiechnęła się do porannych przybyszy.



— Mój mąż zawsze się tak zachowuje w Wielkanoc — wyjaśniła.

Jego żona, dar od Boga.

Sammy Barlowe, dar od Boga.

Jego wzrok wędrował po ławkach.

Agnes Merton, Clarence Merton, dary od Boga...

Robert Prichard... tak, dar od Boga...

*Każdy święty ma przeszłość* — powiedział kiedyś szesnastowieczny poeta — *a każdy grzesznik przyszłość*. A wszystko to dzięki temu, co On zrobił z miłości.

— „Chrystus został bowiem złożony w ofierze jako nasza Pascha. Tak przeto odprawiamy święto nasze, nie przy użyciu starego kwasu złości i przewrotności, lecz na praśnym chlebie czystości i prawdy...”

— Tak jak było na początku, teraz, zawsze i na wieki wieków...

Stare słowa zdawały się rodzić na nowo, a jego serce otworzyło się na przyjęcie jego nowych parafian.

Zgromadzili się na terenie kościelnym, przy kamiennym murku.

Ile dusz gromadziło się przy tym murze w życiu Holy Trinity i spoglądało na jasne, jak też i ciemne niebo? Jednego wikary był pewien, nie będzie zbyt wielu wielkanocnych poranków tak wspaniałych jak ten.

Każdy górski szczyt skąpany był w łagodnym impresjonistycznym słońcu; wciąż nagie drzewa, pozornie ponure i posępne zaledwie kilka dni temu, wyglądały na pocieszone i pełne nadziei; po raz pierwszy zauważył pąki na rododendronie.

Barnaba rozłożył się na murku, przyglądając się badawczo gościom.

— To największy przeklęty pies, jakiego w życiu widziałem — wyznał Rooter. — Gryzie?

— Jak na razie, nie — uspokoił go ojciec Tim.

— Nie chciałbym, żeby zeżarł mnie pies.

— Nie ma sprawy, zjadł śniadanie przed wyjściem.

Stał z Cynthią i Agnes przy murku, rozdając kartony jajek. Sissie Gleason była pierwsza w kolejce, trzymając mocno za rękę Granny.

Sissie podniosła wzrok i spojrzała na ojca Tima.

— Czy Bóg był tu dzisiaj?

— Tak! — odparł wikary. — I nadal jest. Sissie podniosła do góry jedną stopę.

— Chciałam, żeby zobaczył moje nowe buciki.

— Czy nie są to najśliczniejsze żółte buciki na świecie? — zapytała Granny.

— Ależ tak! — przyznała Cynthia. — Sama chciałabym takie mieć.

Sissie zajrzała do kartonu z jajkami.

— Nie są pomalowane — stwierdziła. — Nie nadają się do chowania.

— Weź je do domu i ugotuj na twardo — poradziła Cynthia — potem pomaluj je markerami i chowaj do woli. Masz markery?

— Co to są markiery?

— Przyniosę ci kilka w następną niedzielę. Umiesz czytać?

— Nie. Nie chodzę jeszcze do szkoły.

— Przyniosę ci książkę — obiecała Cynthia. — Ma mnóstwo obrazków. Ucałuj od nas swoją mamę. Ojciec Tim przykucnął obok Sissie.

— Dziękujemy, że przyszedłeś Sissie. Powiedz swojemu wujkowi, Donny'emu, że byłby tutaj bardzo mile widziany. I powiedz mamie, że się za nią modlimy.

— Sparkle Foster — przedstawiła się kobieta, mniej więcej czterdziestoletnia, ściskając dłoń Cynthii. — Jestem fryzjerką w dolinie, miło mi panią poznać. A to mój mąż, Wayne.

— Sparkle! Wayne! Błogosławieństwa na Wielkanoc!

— Wzajemnie! To zdecydowanie nowy kościół dla nas. Ja zostałam wychowana na metodystkę, Wayne na baptystę.

— Ja zostałem wychowany na krzykacza — sprostował Wayne — dopiero później przygarnęli mnie baptyści.

Cynthia wręczyła karton rudowłosej Sparkle, która wyglądała na wzruszoną podarunkiem.

— Ależ dziękuję, jak to miło z państwa strony. Poza tym, że to Wielkanoc, czy jest jeszcze jakiś inny powód rozdawania jajek w kościele?

— Tak, w istocie! Nasze kury niosą jajka szybciej, niż my jesteśmy w stanie je zużyć! Skąd masz takie ładne imię?

Sparkle roześmiała się.

— Moja babcia wzięła je z komiksów.

— Bardzo pomysłowo! Cieszymy się, że przyszliście, i mamy nadzieję, że zobaczymy się ponownie.

— Nie jestem pewna, czy będziemy w stanie przyzwyczaić się do waszego obrządku.

Wayne pokiwał głową, wyraźnie się zgadzając.

— Potrzebujemy instruktażu w sprawie modlitewnika — stwierdził wikary. — Wszystkim wyszedłoby na dobre. Co powiecie na składkowy lunch w najbliższą niedzielę? Po którym odbędzie się dyskusja na temat naszego obrządku?

W jego nowej parafii nie ma czasu do stracenia; wszystko jest wóz albo przewóz.

— Wspaniały pomysł! — poparła go Martha McKinney, następna w kolejce. — Przyniosę swój tort czekoladowy.

— Przyniesie swój tort czekoladowy — powtórzyła Mary wyraźnie ucieszona taką perspektywą.

— Panno Martho, panno Mary, Chrystus Zmartwychwstał!

— Zmartwychwstał. W istocie! — zawołały zgodnie. Martha przyjęła ich tuzin jajek z wyraźną wdzięcznością.

— Kiedyś miałyśmy mnóstwo jajek, wszyscy hodowali kury! Ale dzisiaj prawie nikt nie trzyma kur.

— Wybiegają na drogę — zauważyła Mary. — To dlatego.

Ojciec Tim wskazał na otwarte drzwi i kręcący się wokół kościoła tłum.

— Cóż, drogie panie, co myślicie? Do oczu Marthy napłynęły łzy.

— To najlepsze, co przytrafiło się na tym wzgórzu już od wielu lat. Moja pamięć nie sięga radośniejszej chwili. Byłam taka podekscytowana, że nie mogłam spać przez pół nocy!

— Obydwe nie mogłyśmy spać przez pół nocy! — wyjaśniła Mary.

— Błogosławieństwa na Wielkanoc!

Uściskał pannę Mary, podczas gdy Cynthia uścisnęła pannę Marthę. Praca zespołowa!

— Lloyd!

Wikary uścisnął dłoń jeszcze jednej osoby, która od kołyski należała do kościoła episkopalnego.

— Chrystus zmartwychwstał!

— Chrystus zmartwychwstał, w istocie! — odparł Lloyd, który przyjął tuzin jaj z szerokim uśmiechem.

— Gdy nadejdzie lato, będę zaopatrywał ojca i panią Kavanagh w kukurydzę. Hoduję silver queen.

— Nasza ulubiona! Chciałem zapytać cię wczoraj, czym się zajmujesz, teraz gdy się przeprowadziłeś.

— Przez wiele lat pracowałem w budowlance, jako murarz. Jestem, można powiedzieć, częściowo na emeryturze, ale nadal od czasu do czasu coś muruję.

— Chyba sam Bóg mi ciebie zesłał! Zbieram właśnie szacunki na budowę komina, który zdmuchnął wiatr. Niezła ruina. Zechciałbyś dać nam swoją cenę? Mieszkamy w dolinie, dom doktora Owena.

— Chętnie. Z przyjemnością! Wiem dokładnie, gdzie to jest.

— Wtorek, z samego rana?

— Może ojciec na mnie liczyć.

— Błogosławieństwa na Wielkanoc, Granny. Jajka prosto z gniazda.

— Rooter pochłonie całe mnóstwo, zanim zdążę się obejrzeć.

Rooter wziął jajka.

— Nie mamy nic przeciwko, żeby dostać więcej, jak będziecie mieć — rzucił Rooter.

— Co się mówi? — podpowiedziała Granny.

— Dziękujemy.

— Bardzo proszę — odparł wikary, klepiąc Rootera po ramieniu.

Rooter skrzywił się.

— W życiu nie słyszałem tych pieśni, co je śpiewacie. Ojciec Tim usłyszał, jak Agnes chichocze.

— Przyjdź znowu w następną niedzielę — odparł — to będziesz miał okazję usłyszeć kilka kolejnych!

Chociaż wiesz co?

— Co?

— Jak będziesz przychodził z Granny, to pewnego dnia zaczniesz poznawać słowa i melodie, i zanim się obejrzyysz...

Rooter uśmiechnął się.

— Mogę przychodzić, ale nie będę śpiewał, może mi ojciec wierzyć...

Rooter zwrócił się do Agnes.

— Chciałbym coś powiedzieć Clarence'owi. Czy mogłabyś mi pokazać te znaki rękami, które do siebie robicie?

— Co chciałbyś powiedzieć?

— „Co słyhać, bracie?”

— Podejdz tu, to ci pokażę — zaproponowała Agnes.

— A przy okazji — rzucił ojciec Tim — chciałbym zobaczyć na własne oczy wyroby Clarence'a. W dogodnej chwili.

— Załatwione! — zgodziła się Agnes, cytując jego powiedzenie.

— Robercie... to dla ciebie. I błogosławieństwa na Wielkanoc!

Robert przyjął karton bez słowa, pochylając głowę. Gdy podniósł wzrok, ojciec Tim poczuł ukłucie w sercu. W oczach Roberta Pricharda ujrzał bezgraniczny smutek.

Ojciec Tim objął go spontanicznie.

— Chrystus zmartwychwstał! — szepnął głosem szorstkim ze wzruszenia.

Ciasteczka zniknęły, podobnie jak sok, gdy Rooter przybiegł z powrotem do Agnes.

— Zrobiłem to! Co jeszcze mogę do niego powiedzieć?

— Co jeszcze chciałbyś powiedzieć?

— Chciałbym wiedzieć, jak robi te wszystkie rzeczy w swoim małym domku. Te niedźwiedzie i jelenie, i te miski, chcę wiedzieć, jak robi te miski. Nie umiem sobie wyobrazić, jak je robi.

— Spójrz — poleciała Agnes. Uczyniła znak. — Potrafisz powtórzyć?

— No.

Powtórzył znak.

— To znaczy „jak”. Potrafisz zrobić ten znak?

— No.

— To znaczy „robić”. A oto reszta twojego pytania: „to”. „Jak robić to?”

Rooter przyglądał się uważnie, naśladowując ostatni znak.

— Dobrze to zrobiłem, prawda?

— Doskonale! A teraz najtrudniejsze; zróbmy je wszystkie po kolei. Jak... robić... to?

Ojciec Tim przyjrzał się. Ten chłopiec był bystry.

— Znowu mi się udało!

— Tak, w istocie. Jakie to niezwykłe.

— A niech mnie kule biją! — zawołała z zachwytem Granny.

Agnes odsunęła kosmyk włosów z czoła.

— Powtórzmy jeszcze raz. Powtórzyli jeszcze raz.

— A teraz biegnij i znajdź Clarence'a!

Rooter rzucił się do biegu, ale po chwili się odwrócił.

— Czy on w ogóle nie mówi?

— W ogóle.

— Jak on się nauczył robić te wszystkie rzeczy?

— Bóg go nauczył.

— Nie mam zamiaru w to uwierzyć. Boga nie można zobaczyć.

— Bóg obdarował Clarence'a darem rzeźbienia w drewnie, czyniąc wrażliwym na niego jego serce, umysł i dłonie. Clarence dotyka drewna i wie rzeczy, których większość z nas nie jest w stanie zrozumieć.

Rooter westchnął.

— Teraz już całkiem zapomniałem, co się nauczyłem.

— Popatrz.

Wykonała znaki, a on powtórzył je bezbłędnie.

— Pospiesz się teraz! Biegnij! Rooter ruszył biegiem.

— Czyż nie jest wyjątkowy? — zapytała Granny.

Opuszczali właśnie parking, gdy Lloyd wsiadał do swojego pick-upa.

— Co powiedziałaś — zwrócił się do Cynthii — gdybyśmy przygotowali jeszcze jedno nakrycie przy naszym wielkanocnym stole?

— Myślę, że to wspaniały pomysł. Wychylił się przez okno mustanga i zawołał:

— Lloyd!

— Tak, proszę ojca?

— Czy lubisz szynkę i pudding z kukurydzy, i ciepłe bułki, i fasolkę szparagową?

Lloyd jechał za nim, podczas gdy on ruszył mustangiem drogą wysypaną żwirem w stronę strumienia, nadal oszołomiony zapachem pszczelego wosku, starego drewna, olejku cytrynowego, lilii...

Chciał zachować radość tego dnia jeszcze na długi czas.

— Co słyhać tam z tyłu, Sammy? Szybki rzut oka w tylne lustro...

Podobnie jak do parafian, Sammy zachowywał dystans do swojego towarzysza na tylnym siedzeniu.

Gdy Lloyd pojechał do domu na grzbiecie góry, on usiadł z Cynthią w bibliotece i zajęli się statystyką.

Nie licząc jego wiernego psa, liczba parafian Holy Trinity zwiększyła się z siedmiu do czternastu.

Mimo że liczby nie są najważniejsze, był pod dużym wrażeniem ich wskaźnika wzrostu, który kształtował się na imponującym poziomie pięćdziesięciu procent.

— Pięćdziesiąt procent! — obwieścił swojej żonie. — Na przestrzeni jednego tygodnia, bądź uprzejma zauważyć.

— Niech pobiją to megakościoły — zachwyciła się razem z nim.

Willie Mullis wydawał się żywym obrazem, jak mawiała babcia ojca Tima — kogoś, kto przybiegł w te pędy.

— Trojaczki.

— Trojaczki?

— Dwie owce i jeden baran. Wszystkie zdrowe.

— Cudownie! Dziękuję za raport.

Jest dziewiąta wieczorem, na litość boską, nie był pewien, czy będzie w stanie przeżyć jeszcze jedno epokowe wydarzenie tego dnia.

— Masz ochotę wejść i napić się gorącej czekolady? Dzisiejszy wieczór jest dość chłodny.

Willie zmarszczył brwi. Po co marnować czas na picie gorącej czekolady, skoro można pójść do stodoły i być świadkiem czegoś, co nie zdarza się codziennie? Bliźnięta są dość powszechne. Ale trojaczki? Potrząsnął głową, rozczarowany ludźmi z miasta ogółem.

Gdy Willie odwrócił się, żeby wyjść, ojciec Tim poczuł, jak Violet owija się wokół jego kostek. Nagle doznał olśnienia. Spojrzał na swoją żonę; ona spojrzała na niego.

— Violet i trojaczki! — zawołali donośnym głosem.

— Wezmę tylko mój szkicownik!

— Zawołaj też Sammy'ego! — poprosił. — Ja pójdę po latarkę. Hej, Willie! Poczekaj, idziemy z tobą!

Zanim zdążył znaleźć latarkę i nałożyć buty, jego żona przekonała do wymarszu Sammy'ego, pobiegła do wieszaka przy drzwiach, znalazła swoje wełniane skarpety, nałożyła je, wsunęła stopy do butów, tamże wepchnęła nogawki spodni od piżamy, naciągnęła kurtkę na szydełkowy szlafrok, nacisnęła włóczkową czapkę na głowę i już była za drzwiami, z Sammym i Barnabą podążającymi tuż za nią. Wyszli, pozostawiając za sobą trzaskające na wietrze drzwi z siatką.

Jagnięta na długich chwiejnych nogach.

Nic innego na świecie nie przywracało tak nadziei jak widok jagnięcia.

Jego żona siedziała na sianie w koszarze trojaczków, szkicując jak oszalała, podczas gdy dwójka nowo narodzonych jagniąt ssała z ogromnym apetytem mleko. Sammy, stojąc za koszarą, przyglądał się temu wszystkiemu z podziwem.

— To, jak przypuszczam — zwrócił się do Cynthii — załatwia marzec.

— Marzec i może nawet kwiecień — wyznała. Wszedł Willie z butelką.

— Musiałem wziąć tego małego tutaj, nie je mleka od swojej mamy, a ja muszę iść zająć się resztą stada.

Willie spojrział znacząco na ojca Tima.

— Chcesz, żebym... hm...

— Tak, proszę ojca.

Wikary wziął butelkę z mlekiem i usiadł na słomie obok Barnaby.

— Podaj mi go, pokaż, jak się to robi, to dla mnie coś nowego.

Willie wziął jagnię na ręce i podał je ojcu Timowi; było mokre i lepkie od wód płodowych, a zdezynfekowana jodyną pępowina nadal krwawiła.

Przy odrobinie zachęty jagnię znalazło smoczek butelki i zaczęło ssać z zadziwiającą energią.

Ojciec Tim oparł się o deski koszary, uśmiechając się lekko. Jego nowa kurtka gospodarska w końcu została ochrzczona.

— Zamknijcie dom — radził Hal. — Niepotrzebne wam to całe zamieszanie z budową komina pod naszymi nosami. Willie może się wszystkim zająć.

— Nie, nie, chcielibyśmy zostać. Przyznaję, że jest nam tutaj bardzo dobrze i cieszymy się na lato spędzone tutaj z Dooleyem. Mamy nadzieję, że czekają nas jeszcze lata wspólnego życia w naszym Mitford.

— Jak sobie życzysz, stary przyjacielu. Cieszę się, że znalazł się Sammy; to już czwórka z piątki, dzięki Bogu!

Gdy w słuchawce dały się słyszeć zwyczajowe trzaski, ojciec Tim odłożył ją, z ulgą.

W jakiś dziwny sposób on i Cynthia zdołali zapuścić korzenie w Meadowgate; zerwanie tej więzi i przeprowadzenie się na powrót na Wisteria Lane byłoby nie lada zadaniem. Poza tym chciał się przyglądać, jak dorastają jagnięta, i jeść okrę z aluwialnej gleby ogrodu położonego w dolinie.

— Okra! — rzucił na głos, entuzjastycznie.

Jego żona oderwała na chwilę wzrok od swojego szkicownika i spojrzała na niego.

— Okra?

— Smażona, jeśli to możliwe.

— Z pewnością nie duszona! — odparła z przekonaniem.

Podczas lekkiego wiosennego deszczu w środę kierowca UPS zajechał z piskiem opon na podjazd i nie mogąc przywołać nikogo do tylnych drzwi, użył wózka do przetransportowania na tylne schody dwudziestu pudełek. Nie widząc żadnej szansy na uniknięcie uciążliwego zadania polegającego na wyładowaniu ich na ganek, westchnął głęboko i zabrał się do pracy.

Oto przybyły klęczniki do Holy Trinity.

Wkrótce potem kierowca konkurencyjnej firmy kurierskiej przyniósł ciężki karton na frontowy ganek i uciekł do ciężarówki, zanim ktokolwiek mógłby go poprosić o postawienie pudła w holu.

Świece, pojemnik na hostię, flakony, kielich, patena, tablica na hymny i świeczniki na ołtarz dotarły do celu.

## Rozdział dziesiąty

### *Żeby zbierać*

Bliźnięta. Jedno. Jedno. Bliźnięta. Jedno. Bliźnięta. Bliźnięta. Jedno.

Na Meadowgate Farm jagnięta pojawiały się jedno po drugim, jak samoloty nad Atlantą.

Podskakiwały wokół stodoły i na pastwisku jak na sprężynach, robiąc to, co Anglicy już dawno nazwali hasaniem.

— Nazywa się to też brykaniem — wyjaśniła jego żona, kucając z aparatem w dłoniach.

— Ile filmów już zużyłaś?

— Zaledwie jedenaście.

— No tak, ale fotografowanie to jedno, a wywoływanie filmów to drugie.

— W mojej profesji, najdroższy, wszystko mogę odliczyć od podatku.

Zadowolone owieczki leżały na zieleńjącym pastwisku niczym futrzane kopce, żując z zadumą. Tu i tam przez pomyłkę jakaś owieczka próbowała mocnym pociągnięciem ssać wymię obcej owcy, ale w efekcie była przepędzana do swojej własnej matki.

Była to ta pora roku na Meadowgate, gdy samochody i półciężarówki zwalniały, jadąc drogą stanową. Od czasu do czasu całe rodziny wysypywały się z samochodów, żeby postać przy ogrodzeniu i nacieszyć się tym cudem.

Ojciec Tim uniósł rękę, witając Williego, który szedł w dół pastwiskiem, opierając się na lasce.

Używając swojego obiektywu o zmiennej ogniskowej, Cynthia zrobiła kilka zdjęć ich dobrego pasterza, który z powodu pory jagnienia i cielienia się wyglądał na zdecydowanie przepracowanego. W istocie, w północnej części pastwiska Meadowgate urodziły się ostatnio cztery cielęta i spodziewano się kolejnych sześciu.

— Ten biedak potrzebuje żony.

— Ma do pomocy chłopca z sąsiedztwa — odparł ojciec Tim.

— Tak, ale czy chłopiec z sąsiedztwa czeka na niego z gorącym posiłkiem na stole, gdy Willie wraca zmęczony ze stodoły?

— Masz rację.

— Poślę mu tartę z jabłkami. Znalazłam dwie w zamrażarce, wrzucę obydwie do piekarnika dzisiaj po południu; będziemy mieć cudowny zapach w kuchni.

— Jedna dla Williego i jedna dla Sammy'ego?

— Ni mniej, ni więcej. Ja i ty będziemy się rozkoszować jedynie aromatem.

— To mi odpowiada — zgodził się.

Podniósł wzrok i ujrzał, jak coś brązowego przemyka po grzbiecie góry. Perliczki. Całe stadko. Pędzące w dzikiej pogoni za czymś białym... aha!

— Kavanagh, pamiętasz jeden z rysunków do kalendarza, o którym mówiliśmy: Violet goniąca za perliczkami?

— Planuję go jako ilustrację września.

Cała zgraja zbiegła z zabójczą prędkością z góry i zniknęła za stodołą.

— Może będziesz musiała zmienić lekko koncepcję.

Mimo opieki personelu szpitala w Mitford stan zdrowia wujaszka Billy'ego Watsona nie poprawiał się. Obecnie zmuszona do gotowania dla panny Rose i zagładania do niej trzy razy dziennie, Betty Craig bliska była rozpaczki; i nie, w Domu Nadziei nie było wolnego miejsca i nie spodziewano się, że to się zmieni, chyba że... „No cóż, wie ojciec”, zaznaczył dyrektor odpowiedzialny za przyjęcia.

Mimo że nie miał żadnego pojęcia, co powinien zrobić, wiedział, że musi podjąć jakieś działania.

— Lloyd — zaczął, ściskając szorstką, obszerną dłoń zwycięskiego murarza. — Witamy w Meadowgate.

— Dzisiaj zajmę się przygotowaniem, a od jutra będę miał pomocnika. Wykonamy dla ojca dobrą robotę — obiecał Lloyd.

W odróżnieniu od niektórych biedaków, którym składali takie obietnice pracownicy firm budowlanych, wikary pomyślał z ulgą, że może przyjąć obietnicę Lloyda za dobrą monetę.

— Zabawmy się w zgadywanek — poprosił żonę.

— Kocham zgadywanki!

— Czego ty nie kochasz, Kavanagh?

— Dżinsów bez lycry, butów roboczych na podeszwie z traktorem, plam starczych...

— *Ditto*.

— I — dodała — wszystkich sitcomów prócz M\*A\*S\*H\*.

— A więc. Powiedzmy, że ktoś pracowałby z tobą w domu przez dwa dni w tygodniu. Teraz, gdy musisz zmagać się z kalendarzem, przeszkadzałoby ci to?

— Nie, gdyby ta osoba wykonywała swoją pracę, a mnie pozwalałaby wykonywać moją. Dlaczego pytasz?



— Koniec zgadywanki — odparł.

— Kto wygrał?

— Obydwoje wygraliśmy — zawyrokował. — Zaufaj mi.

— Lily? — szepnął do słuchawki.

— Kto mówi?

— Ojciec Tim — przedstawił się, nadal szepcząc.

— Dlaczego ojciec szepcze?

— Nie chcę, żeby usłyszała mnie żona.

— No proszę, niech się ojciec wstydzi! Słyszałam o takich księżach jak ojciec!

— Nie, poczekaj! Źle mnie zrozumiałas. Chcę zatrudnić cię, żebyś pomagała pani Kavanagh. To niespodzianka.

Sceptyczna cisza.

— Na dwa dni w tygodniu — dodał.

— I co mam robić?

— Sprzątać, gotować.

— Dla ilu?

— Dla trójki. Latem będą cztery osoby.

— Nie mogę przyjąć żadnej pracy w sobotę, wtedy obsługuję przyjęcia.

— Oczywiście.

— I nie w piątki, wtedy przygotowuję się do obsługi przyjęcia.

— Dobrze, dobrze.

— I nie w poniedziałki, wtedy dochodzę do siebie po obsłudze przyjęcia.

— Ach. Usiadł.

— Czasami będę musiała przysłać Del albo nawet Violet w zastępstwie.

— Wydawało mi się, że Violet wyszła za męża za kogoś, kto mieszka w domu z cegieł i...

— To Arbutus.

— Oczywiście.

— Del nie umie gotować, ma do tego dwie lewe ręce, ale mama mówi, że sprząta jak buldożer.

— Jak buldożer... a co to dokładnie znaczy?

— Wykłada krzesła na stół, odsuwa meble od ściany, trzepie dywany wiosem. Koniecznie musi ojciec to zobaczyć.

Poczuł, jak ogarnia go przygnębienie.

— Czy możesz przyjechać?

— Wydaje mi się, że powinnam ojca uprzedzić, że Violet śpiewa podczas pracy. Mam nadzieję, że nie przeszkadza ojcu śpiew. Bardzo ją wszyscy lubią.

— Na pewno!

— Country Light, tak nazywa swój styl.

— Czy zgadzasz się?

— Kiedy mam zacząć?

— Natychmiast. Od zaraz. Jutro.

— Jak długo będę pracowała?

— Do stycznia, gdy wrócą właściciele Meadowgate.

— Mam stałych klientów, rozumie ojciec. Musiałabym znaleźć inne rozwiązania, co może okazać się bardzo uciążliwe.

— Rozumiem — odparł. — A tak przy okazji, pani Kavanagh...

— Mówiła mi, żeby zwracać się do niej Cynthia.

— Cynthia... jej praca wymaga dużo koncentracji. Nie można jej przeszkadzać.

Długa chwila ciszy. W tle dźwięk muzyki płynącej z radia...

— Właśnie się pomodliłam w tej sprawie — poinformowała go Lily — ale nie dostałam żadnej odpowiedzi. Nic. Zupełna cisza.

— Jak myślisz, jak długo może to potrwać, zanim dostaniesz odpowiedź?

— Powinien ojciec wiedzieć lepiej ode mnie, ojciec jest kaznodzieją.

Westchnął. Puni Bradshaw Guthrie zupełnie go zepsuła.

— A może po prostu wrócimy do tego... później? Co za wspaniały pomysł.

— Chwileczkę, chwileczkę, wydaje mi się, że nadchodzi odpowiedź. Chwileczkę.

Dłuższa chwila ciszy. DJ śpiewa do muzyki.

— Mogę się tego podjąć! — zawołała. — W każdą środę i czwartek!

— Cudownie! Wspaniale!

— Będę u ojca w środę o ósmej rano. Przywiozę własne ściereczki do sprzątnięcia i słodzoną herbatę, mam alergię na koty, więc będę miała na twarzy maskę.

— Maskę. Dobrze. Coś jeszcze?

— Kończę pracę punktualnie o trzeciej.

— Doskonale. Zachichotała.

— Może przestać ojciec teraz szeptać.

— Jest twój — zwrócił się do Sammy'ego.

Stał za zardzewiałą bramką razem z Sammym i przyglądał się skapanemu w słońcu ogrodowi. Marge mówiła kiedyś, że ten kawałek ziemi był uprawiany nieprzerwanie od ponad wieku, a głównym nawozem, przynajmniej odkąd oni są właścicielami, był nawóz krowi, z owiec i kur.

— To zielone to szparag.

Sammy opuścił daszek czapki, a jego oczy oceniały spustoszenie, jakie uczyniła zima. Podniósł spłowiałą paczkę nasion.

— Tu był burak. A tam może marchewka i cebula.

— Na tym treliazu rosła fasola — rzucił ojciec Tim. — Narwałem cały kapeluszu dwa lata temu.

— Tutaj prawdopodobnie ziemniaki. — Sammy kopnął wzgórek ziemi. — A tam pomidory.

— Myślisz, że będziemy mieć miejsce jeszcze na kabaczki?

— Jakie? — chciał wiedzieć Sammy.

— Żółte.

— Tak. A co z arbużami?

— Nie wiem. Czy można hodować arbuży w górach? Wydaje mi się, że potrzebują piasku.

— Można kupić piasek w szkółce.

— To właściwa postawa. W życiu jest czas, żeby siać i żeby zbierać!

— Tutaj posiałbym kukurydzę, jakieś cztery, pięć rzędów. A ojca okrę obok kukurydzy.

— Skąd to wszystko wiesz?

— Nauczyłem się od Lona; on sam hoduje wszystko, co je. Jak chcemy kupić nasiona i sadzonki, to musimy ruszyć tyłki.

— Pojedziemy do Wesley jutro.

Ramiona Sammy'ego były zdecydowanie dłuższe niż rękawy w bluzie Dooleya. Zajrzą przy okazji do marketu, a i strzyżenie by nie zaszkodziło.

— Co do nawozu. Pani Owen mówi, że używają nawozu z owiec, krów i kur.

— Może być.

— Rzecz w tym, że musisz sam go zebrać.

— To znaczy — zebrać go z pola?

— Tak.

— Czy jest zgniły?

— Nie wiem. Będziesz musiał zająć się tym z Williem. Dobre taczki, widły, łopata i jesteś w branży.

Sammy poprawił swoją czapkę z daszkiem.

— Czy umiesz obsługiwać kultywator?

— Nie wiem, nigdy nie próbowałem. Klepnął Sammy'ego w plecy.

— Nauczę cię.

Dwa rudziki przeleciały nad ogrodem. Pojawiające się listki porastającej ogrodzenie winorośli drżały na porannym wietrze.

Mimo że Sammy rzadko pozwalał, aby na jego twarzy malowały się uczucia, zdradzały go oczy. Ojciec Tim wiedział, że ten ogród dostarczy czegoś dużo bardziej cennego niż stawy na ich stół; będzie stawą dla duszy Sammy'ego Barlowe'a.

<Olśnienie!

<Ktoś mi powiedział, że można wejść online — i sprawdzić cały federalny system więziennictwa w poszukiwaniu nazwiska więźnia. Jak tylko się dowiem, jak się to robi, zaraz się tym zajmę. Wydaje mi się, że powinniśmy spróbować. Czy wiesz, czy ma na imię Kenneth, czy powinienem wpisać po prostu Kenny?

<Jeśli chodzi o system stanowy, trzeba przeszukiwać stan po stanie. Z czterdziestoma ośmioma stanami, a może to pięćdziesiąt dwa, mogę potrzebować rąk do pomocy.

<Postanowiłam nałożyć czółenka, które już mam. Czarne. Będę musiała dać je do rozciągnięcia, stopy musiały mi urosnąć, a ja tego zupełnie nie zauważyłam. Ha, ha. Podróże to prawdziwe utrapienie.

<Nie widziałam Cię już od wieków. Życzenia wesołych Świąt Wielkanocnych dla Ciebie i Cynthii. Zadzwoń do mnie. Serdecznie pozdrawiam, Emma.

<Chrystus zmartwychwstał!

<Raduj się tym! Ja czuję się silniejszy. Mam nadzieję, że nie znajdziesz KB w tych konkretnych okolicznościach, ale z drugiej strony chodzi o to, żeby go znaleźć.

<Sammy jest tutaj z nami. Zapukał do naszych drzwi, dzięki Bogu! Wyższy od Dooleya, mimo że pięć lat młodszy.

<Zadzwoń do Ciebie w tygodniu, chyba że Ty odezwiesz się pierwsza. Nowa parafia już funkcjonuje. Cynthia maluje dwanaście scenek do kalendarza ściennego z Violet. Do dzisiaj urodziło się piętnaście jagniąt. W tym cztery owce.

<Kenneth. Na drugie ma Russell. Pamiętaj, że Barlowe pisze się na końcu przez e.

<Jestem niezmiernie wdzięczny za wszystko, co zrobiłaś w przeszłości, aby pomóc odnaleźć te z dzieci, które zaginęły. Zostawię w tym tygodniu tuzin jajek dla Ciebie u Lew Boyda. Będą w szafie chłodniczej.

<Szczерze Ci błogosławię na ten wielkanocny czas!

<Pięćdziesiąt stanów.

— Willie, jak leci?

Willie wyciągnął przed siebie dwa kartony jajek.

— Czternaście. W tym kartonie brakuje pięciu.

— Zaledwie czternaście?

Obiecał tuzin Emmie, tuzin Percy'emu, tuzin Esther...

— Kury chyba mają strajk.

— Na to wygląda.

— Dostają karmę dla niosek?

— Jak zwykle.

— Węże?

— Za wcześnie.

— Dobrze. No cóż! Jestem z miasta, wiesz o tym. Dziękuję, Willie. Coś nowego w stodole?

— Dwójka.

— W takim razie, to już prawie koniec.

— Tak, proszę ojca. I proszę podziękować swojej pani za szarlotkę. Zjadłem za jednym posiedzeniem.

— Dobrze! Moja żona będzie zachwycona, kiedy jej o tym powiem!

Nie chciał dawać w prezencie niepełnego kartonu. Percy będzie musiał poczekać.

Za życzliwą zgodą Andrew razem z Sammym przeczesali plymoutha w poszukiwaniu, jak wytłumaczył Sammy'emu, szarej koperty. Przy wzroście nie przekraczającym metra pięćdziesiąt i wadze poniżej pięćdziesięciu kilogramów panna Sadie nie miałaby dosyć siły, żeby wysunąć siedzenie i schować coś za nim, oni jednak wysunęli je mimo wszystko.

Sprawdzili dokładnie miejsce na całej długości za deską rozdzielczą; zajrzeli do schowka; sprawdzili wyłożenie dachu najlepiej, jak było to możliwe bez zdejmowania go. Otworzyli bagażnik i przejrzyli zawartość

zardzewiałego zielonego pudełka na narzędzia, zajrzeli pod dywaniki na podłodze, a nawet sprawdzili popielniczkę.

— N-nie można byłoby wepchnąć koperty do tych maluteńkich popielniczek — stwierdził Sammy.

— To prawda! — przyznał mu rację.

Ich działania niewątpliwie były bardzo podstawowe. Wszystkie miejsca, do których zaglądali, były miejscami, do których panna Sadie miała swobodny dostęp. Nie schowałaby dziewięciu tysięcy dolarów tam, gdzie mogłaby się na nie natknąć pierwsza lepsza osoba.

Przypomniał sobie, jak George Gaynor mówił o klejnotach ukrytych w misce olejowej packarda, ale panna Sadie, przy całym jej wyrafinowaniu, nie była typem kogoś, kto próbowałby schować coś w misce olejowej.

— Nic — podzielił się wynikiem poszukiwań z Andrew, który jak zwykle był bardzo zadbany i elegancki, ubolewając jednocześnie nad spadkowym trendem kursu dolara i wzrostowym trendem kursu funta.

— Myślę, że byłoby lepiej, gdyby zostało to między nami — zwrócił się do Andrew.

— Całkowicie się z ojcem zgadzam.

— Tony wspominał, że być może będziesz go chciał poddać renowacji.

— Rozważałem to kilka miesięcy temu. Coś nostalgicznego na paradę w Dniu Niepodległości! Zważywszy jednak na sumę kilku tysięcy dolarów, niezbędną, żeby doprowadzić go do idealnego stanu, i obecną sytuację ekonomiczną...

— W istocie. Jak interesy w Oksfordzkich Antykach?

— Powolutku. Coraz trudniej znaleźć dobry towar. Jak życie na wsi?

— Powolutku — odparł, chichocząc.

— A niech mnie, ależ ty urosłeś!

— J.C. Hogan, Percy Mosely, Mule Skinner, Lew Boyd — chciałem wam przedstawić Sammy'ego Barlowe'a, brata Dooleya.

— Niemożliwe! — zaprotestował Percy. — Myślałem, że to Dooley.

— Siadaj, siadaj — zapraszał Lew, klepiąc Sammy'ego w plecy. — Pozwól, że ci postawię colę i paczkę nabs.

— Ja dorzucę torebkę chipsów — zaoferował Mule.

— Wolisz śmietanowe czy grillowe?

— Grillowe — zdecydował Sammy.

— Myślałem, że zjemy lunch w Wesley — zauważył ojciec Tim.

— Po co będziecie tam jechać i szastać pieniędzmi. Percy wrzucił półdolarówkę do otworu automatu.

— Wydawaj pieniądze u siebie, zawsze tak mówiłem swoim klientom.

Ich oczom ukazało się Moon Pie; Percy podał je Sammy'emu.

— Ja stawiam!

Ojciec Tim przyglądał się Moon Pie z pewną pogardą.

— Mieliśmy iść do baru sałatkowego w Wesley, typu: „płacisz i jesz, ile chcesz”.

Percy przewrócił oczami.

— Ten chłopiec nie potrzebuje baru sałatkowego, on potrzebuje wrzucić coś na ruszt! Czy nie mam racji, Sammy?

— Edith Mallory wypowiedziała kolejne słowo.

Rozmowa ucichła; J.C. rozejrzał się po zebranych, rozkoszując się tą chwilą.

— Wyrzuć to z siebie, przyjacielu.

— Mówili, że przyjechała pewnego ranka wózkiem do pokoju śniadaniowego, spojrzała im prosto w oczy i powiedziała...

J.C. odchylił się do tyłu na swoim plastikowym krześle i delektował się ciszą.

— Znowu to robi — rzucił niecierpliwie Mule. — Daj spokój, do licha.

— I powiedziała: „Bóg jest”.

— Bóg jest czym? — dopytywał się Percy. J.C. wzruszył ramionami.

— To wszystko. Tylko tyle powiedziała.

— Słowa te mogą stanowić pełne zdanie — zauważył ojciec Tim.

Dla Edith Mallory nawet te dwa słowa byłyby zadziwiającym wyznaniem wiary.

— Pewnie próbuje powiedzieć, że Bóg jest jednym wielkim ladaco, bo spuścił jej na głowę dach. Kto wie? Kogo to obchodzi?

Percy zdecydowanie nie miał zbyt dobrego zdania o właścicielce wynajmowanego przez niego przez wiele lat lokalu.

— Jak radzisz sobie w tym małym kościółku?

— Rozrasta się! Liczba wiernych wzrosła o pięćdziesiąt procent.

— Niemożliwe — rzucił z podziwem Mule.

— A niech mnie licho — zachwycił się Percy.

— Nie mają toalety — dodał Sammy. — Trzeba chodzić w krzaki.

Pohukiwania, klepanie się po udach, ogólna wesołość. Lew Boyd wyszedł z kanału.

— To właśnie podoba mi się na stacji Lew Boyd's Exxon

— ocenił. — Ludzie, którzy dobrze się bawią.

Zataszczyli cały kram do kuchni, do czasu, gdy będą go mogli posortować jutro rano: nasiona, sadzonki, doniczki i ziemia do sadzenia, angielska łopata ogrodowa, zęby do kultywatora, trzydzieści kilogramów naturalnego nawozu, cztery sportowe koszule, cztery T-shirty, bluza z kapturem, dwie pary spodni khaki, dwie pary dżinsów, dwanaście par skarpetek, buty sportowe, sweter z dekoltem w szpic, wiatrówka, dwa zestawy bielizny, skrzynka cheer-wine i w oczekiwaniu na jutrzejszą wizytę Lily — cztery torby z zakupami spożywczymi.

Zostawił jajka dla Emmy u Lew, kolejny tuzin z liścikiem za drzwiami z siatką u Esther, zajrzał z wizytą do wujaszka Billy'ego, który spał, i kupił na autostradzie dwa zestawy z burgerami, które pochłonęli do ostatniej frytki przed opuszczeniem granic miasta. A postrzyżyny Sammy'ego, jak to się mówi, minęły go o mały włos.

Był wykończony, podobnie Sammy. O ósmej wieczorem wdrapali się z wysiłkiem na górę gotowi położyć się do łóżek, absolutnie wyczerpani.

— Lily? — upewnił się, otwierając tylne drzwi.

— Nie, proszę ojca, jestem Delphinium, może ojciec mówić do mnie Del. Miło mi ojca poznać.

Wysoka, dobrze zbudowana kobieta uchwyciła jego dłoń w stalowym uścisku — czy to był odgłos łamiącej się kostki? — i przemknęła obok niego z wiadrem wypełnionym środkami czystości.

Del, która odsuwa meble od ścian! Wyklada krzesła na stół! Trzepie dywany...

— Ale wydawało mi się, że Lily...

— Lily jest chora. Wymiotuje! — wyjaśniła Del. — Czy pokaże mi ojciec, co mam zrobić?

Nie był pewien, jak Del spodoba się jego żonie; Cynthii może nie odpowiadać odsuwanie mebli od ścian i trzepanie dywanów.

— Mam dla ciebie niespodziankę — zwrócił się do Cynthii, gdy ta pojawiła się w holu, idąc do kuchni.

— Jesteś biały jak ściana.

— Może ci się nie spodobać.

— Oczywiście, że mi się spodoba; kocham niespodzianki.

— To miała być Lily — szepnął.

— Lily?

— Ale jest Del.

— Del?

— Odsuwa meble od ścian i nie umie gotować, ma do tego dwie lewe ręce.

— Timothy, dlaczego szepcesz? I o czym ty mówisz? Uniósł ręce, przerażony.

— Zatrudniłem Lily, żeby ci pomogła, ale wymiotuje, więc przysłała Del.

— Jedną z Flower Girls! Czy jest w kuchni?

— Jest bardzo wysoka — przestrzegł żonę.

Wybiegł truchtem tylnymi drzwiami, i to w samą porę. Del właśnie naciągnęła na głowę chustkę i była gotowa rozpocząć pracę.

— Lloyd, jak myślisz, jak długo zejdzie ci u nas?

— Wie ojciec, musimy rozebrać resztę komina, aż do miejsca, gdzie jest szeroki na dwie cegły. Tym razem położymy dwie cegły, aż do samej góry.

— Tak.

— Potem trzeba będzie zainstalować przewód kominowy.

Lloyd spojrzał w niebo.

— Jeśli utrzyma się pogoda, a tak na pewno nie będzie, to pewnie zajmie nam ze sześć tygodni.

— Chciałem zapytać — czy możecie wykonać całą swoją pracę z zewnątrz? Jestem pewien, że moja żona na to liczy.

— Obawiam się, że nie. Gdy się na dobre do tego zabierzemy, będzie dość dużo chodzenia tam i z powrotem.

Opuścił podjazd, a potem ruszył na drogę stanową, jakby goniła go sfora psów.

Przemknął tak szybko obok nowego napisu na przydrożnym pulpicie, że poszczególne wyrazy zlały się w niezrozumiałą całość.

— Trzydzieści osiem poziomo, hasło brzmi „Jałowcowa” — powiedziała Agnes.

Okulary zsunęły się jej na czubek nosa, gdy ona wpatrywała się pilnie w złożoną gazetę.

— Na osiem liter.

Zdążyli już pośpiewać i obecnie zajmowali się krzyżówką, podskakując na wyboistej drodze, podczas kolejnej rundki wizyt u parafian.

— Co już mamy? Powiedziała mu.

— Hm.

Nigdy nie był zbyt dobry w rozwiązywaniu krzyżówek, szczególnie jeśli nie mógł na to cholerstwo spojrzeć. Niemniej jednak chciał być pomocny.

— Przypomnij mi jeszcze raz dwadzieścia cztery pionowo.

— Prawo do własności. Pięć liter. Zaczyna się na *T*.

— Tytuł! — zawołał.

— Oczywiście! To daje nam *Ł* w trzydzieści osiem poziomo! No, to w końcu ruszyliśmy z miejsca.

— Chciałbym się zatrzymać i przywitać z Jubalem. Co myślisz?

— Ważna sprawa do załatwienia — odparła, stukając długopisem w gazetę. — Poczekam w samochodzie.

— Czemu ludzie z kościoła zawsze mnie prześladują. — Mimo że Jubal wyglądał groźnie, otworzył szerzej drzwi. Ojciec Tim przekroczył próg.

— Przywiozłem ci tuzin jajek.

W środku unosił się intensywny zapach czegoś gotującego się...

Jubal wziął od niego karton, podejrzliwe, i uniósł przykrycie.

— Niech mnie kule biją! — Oczy starszego człowieka pojaśniały. — Brown betties, tak je nazywaliśmy, gdy dorastałem. Dzięki wielkie.

— Bardzo proszę.

— Tylko niech ojciec tera nie próbuje ode mnie czegoś wyciągnąć. Księża z tego słyną.

— Mam nadzieję, że będą ci smakować!

— Będą doskonale do szopa, którego ustrzeliłem wczoraj wieczorem. Właśnie go gotuję.

— Szopa? — Zdał sobie sprawę, że zaczyna się wycofywać.

— Olbrzym.

— Aha!

— Kiedyś kupiłem psa do łowienia szopów, ale okazał się psem do łowienia oposów

— Muszę lecieć, Jubal.

Jubal przyjrzał mu się uważnie.

— Nie przyjechał tu ojciec, żeby kłaść most przez strumień, co?

— W ogóle o tym nie myślałem.

— Nie chcemy tu żadnego mostu; zewsząd leźliby tu ludzie. Nie, nie chcemy tu żadnego mostu i niech ojciec nie próbuje nam żadnego dawać.

— Możesz na mnie liczyć! Zszedł z ganku na podwórko.



— Zjrę znowu, jeśli pozwolisz, przyniosę ci jeszcze trochę brown betties.

*Modłę się za ciebie*, nieomal powiedział, ale w porę ugryzł się w język.

— Przy okazji, jak będziesz miał jakąś wiewiórkę na zbyciu, jedną czy dwie, panna Martha mówiła, że bardzo chętnie je przyjmie.

Jubał zmrużył oczy.

— Niech ojciec powie tej starej babie, niech se sama ustrzeli pieprzoną wiewiórkę!

— Jakby się nad tym zastanowić, wydaje mi się, mogłaby się wymienić z tobą i dać ci ciasto albo może blaszkę ciastek, jeszcze ciepłych z piekarnika.

Jubałowi opadła szczeka.

— Trzymaj się!

Pośpieszył do półciężarówki, z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Panno Agnes, jak tak dalej pójdzie, nie skończymy tej krzyżówki do końca świata. W trzydzieści osiem poziomo mamy tylko trzy litery.

— Skończę ją dzisiaj wieczorem! — odparła z przekonaniem. — Ale byłabym wdzięczna, gdyby pomógł mi ojciec odgadnąć jeszcze przynajmniej dwie litery w trzydzieści osiem poziomo, zanim się rozstanemy. Przy okazji, jeśli będzie czas po kościele w niedzielę, czy przyjdziecie z Cynthią zobaczyć pracę Clarence'a?

— Będziemy zaszczyceni.

— Otrzymał właśnie największe zamówienie w swoim życiu. Będzie kosztowało go to wiele pracy przez wiele miesięcy.

— Będę prosił Boga, aby raczył zaspokoić wszystkie jego potrzeby.

— Tylu chłopców potrzebuje modlitwy — zauważyła Agnes.

— I dziewcząt — odparł, wjeżdżając na podwórko Donny'ego Luster.

— Masz na sobie żółte buciki! — zachwycił się ojciec Tim.

— Mama mówi, że mogę je nosić w jeszcze jeden dzień oprócz niedzieli. Wybrałam dzisiaj.

— Są piękne i tak błyszczą.

Pochyliła się nisko nad swoimi butami, pełna podziwu.

— Prawie że widzę w nich swoje odbicie; Donny natarł je bułką.

— Bułką?

— Mama mówi, że w bułkach jest smalec; sprawia, że buty się błyszczą.

— Będę o tym pamiętał! To bardzo pożyteczna rada. — Mama Ruby nauczyła mamę używać bułki.

Usiadł na krześle przy łóżku i ujął dłoń Dovey; Agnes zajęła miejsce na fotelu na biegunach.

— Jak się ma twoja mama, Dovey? Masz od niej wiadomości?

Sissie stała przy łóżku i głaskała mamę po ręce.

— Zacznie płakać, jak będziecie mówić o mamie Ruby. — Płacz może być bardzo dobry — wyjaśnił ojciec Tim.

Łzy popłynęły po policzkach Dovey i zaczęły spływać na poduszkę.

— Wszystko u niej w porządku — szepnęła Dovey.

- Ostatniego maja skończy pięćdziesiąt dwa lata.
- Mama Ruby naucza w więzieniu o Jezusie.
- Cicho, Sissie, pozwól mówić naszym gościom.
- Chciałbym do niej napisać, gdybyś dała mi jej adres.
- Sissie, przynieś mi adres mamy i moje lekarstwo w filiżance.

Sissie oddaliła się na chwilę.

— Mama tego nie zrobiła — powiedziała Dovey. — Bił ją, od kiedy byliśmy mali, a ona nigdy nic z tym nie zrobiła. Potem zaczął bić mnie. W całym swoim życiu nie miała w rękach strzelby, ale wzięła jego kaliber dwanaście i...

Odwróciła głowę.

- Mama tego nie zrobiła. Bił mnie tak bardzo...
- Rozumiem — odparł. Może rozumiał, może nie.
- Panno Martho, muszę pani coś wyznać.
- Najwyższy czas, żeby księża zaczęli się spowiadać; czytam gazety, rozumie ojciec.
- Cóż, my byśmy tego nie chcieli, prawda?
- Z pewnością nie w moim domu! — zaprzeczyła oburzona samym pomysłem.
- Rozmawiałem z Jubalem, żeby przysłał pani i pannie Mary parę wiewiórek.
- A ten taki owaki odmówił.

Bez względu na to, jak bardzo się starał, nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

— Odmówił. Powiedział, żeby panna Martha sama sobie ustrzeliła wiewiórki.

Ku jego miłemu zaskoczeniu panna Martha McKinney wybuchnęła głośnym śmiechem.

— A oto moje wyznanie — zaczął. — Powiedziałem mu, że wydaje mi się... wydaje mi się, że może upiecze mu pani ciasto. Wie pani — na wymianę.

Panna Martha wyglądała na absolutnie zaskoczoną. No to narozrabiał, zdecydowanie.

Skrzyżowała ręce na obfitych piersiach i spojrzała na niego z góry. Ona była wyniosłym dębem, a on był robakiem.

— Albo może — wycofywał się — kilka ciasteczek. Nędznym robakiem.

— Jedną bułkę albo dwie?

— Wtrącanie się w nie swoje sprawy! Jeśli jest w tym życiu coś, czego nie znoszę, to wtrącanie się w nie swoje sprawy! Dostrzegłam zadatki tej beznadziejnej przypadłości, gdy po raz pierwszy ujrzałam ojca na oczy!

— To prawda.

Niesłuchanie często mieszał się w nie swoje sprawy. Pochylił głowę, przyznając się ze smutkiem do tej jakże nagannej skazy swojego charakteru.

— Spójrzcie! — zawołała panna Mary. — Modli się.

— Niech się modli!

Usłyszał Agnes, jak stara się stłumić śmiech, jak chichocze panna Mary.

Spojrzał w górę, jak czekający na ścięcie.

Panna Martha była czerwona na twarzy jak indyk, usiłując pohamować śmiech.

— Niech ojciec powie temu staremu prykowi, że upiekę mu ciasto z jeżynami, ale jeśli zrobi ojciec jeszcze raz coś takiego, to...

— To...?

— Dam ojcu wałek i niech ojciec sam sobie piecze to przeklęte ciasto!

— Tak, proszę pani! — zgodził się, szczęśliwy, że żyje.

Wiedział, że nie będzie go w domu, ale zostawił wiadomość i karton jajek na półce przy drzwiach.

*Drogi Robercie Mam ich więcej, gdy te zużyjesz. Mam nadzieję zobaczyć Cię w Holy Trinity w tę niedzielę. Po nabożeństwie będzie przyjęcie składkowe, ale nie musisz niczego przynosić, będzie mnóstwo jedzenia.*

*Twój przyjaciel w Chrystusie o. Kavanagh †*

Obawiał się trochę o to przyjęcie składkowe. Czy powinien zwolnić z obowiązku Roberta, ponieważ mieszka sam i prawdopodobnie nie gotuje, czy też powinien pozwolić mu stanąć na wysokości zadania, tak jak reszcie parafii? Wikary przyniesie przecież szynkę, Lily upiecze ciasto, jego żona zrobi sałatkę ziemniaczaną w takiej ilości, że starczyłoby na wykarmienie wojska, i wszystko będzie dobrze.

— Dziękuję — powiedziała Agnes, gdy wrócił do samochodu.

Spojrzał na nią, zaciekawiony, ale nie zapytał, co ma na myśli.

— Jak mogę znaleźć Roberta w ciągu dnia?

— Ma warsztat samochodowy w Lambert, około piętnastu kilometrów stąd. Nie byłam tam już od wielu lat. Lloyd wiedziałby, gdzie to jest.

— Chciałbym go wkrótce odwiedzić. Miałabyś ochotę mi towarzyszyć?

— Wydaje mi się, że byłoby najlepiej, gdybyście mogli się spotkać tylko we dwoje.

— Dlaczego mi przed chwilę podziękowałaś? Wydała się dziwnie poruszona.

— Za to, że wtrąca się ojciec w nie swoje sprawy — odparła.

Pozostałych osób na ich liście nie było w domu. Za każdym razem zostawiali ulotkę i całkiem sporo wrzucili do przydrożnych skrzynek pocztowych.

Kiedy przyjechał do Meadowgate tuż przed trzecią, usiadł na ostatnim stopniu tylnego ganku, zdjął swój brązowy półbut i wytrząsał z niego coś, co wydawało mu się kamyczkiem z podjazdu. Przez drzwi z siatką usłyszał rozmowę Del i Cynthii.

— Widziałam paninego białego kota koło wędzarni.

— To Violet. Wygrzewała się w słońcu.

— Na pani miejscu trzymałabym ją w domu.

— A to dlaczego?

— Niedźwiedzie.

— Niedźwiedzie?

— Nie tak dawno widziała zem jednego, jak przechodził rano bez drogę.

Długa chwila ciszy, stuk pokrywki o garnek.

— Są też rysie i kojoty.

— Niemożliwe!

— Ależ tak, proszę pani. Kiedyś kojoty nie pokazywali się w tych stronach, ale teraz zeszedli na dół i czasami porywają małe zwierzęta.

Usłyszał krótkie westchnienie swojej żony.

— A pewnie słyszała pani o pantyrach.

— O pantyrach?

— Dzikich pantyrach. Żyją głównie w górach, ale są tacy, co widzieli je w dolinach.

— Co to, u licha, jest ten dziki pantyr?

— Kot. Taki jak w Afryce, ale inny. Mówią, że wyginęły, ale to nieprawda. Żeby pani słyszała, jak one miauczą. Ja nigdy nie słyszałam, jak one miauczą, ale mój brat Jack słyszał. Mówi, że jedyny sposób na pantyry, żeby nie rozszarpał na kawałki, to zdejmować z siebie ubrania w biegu i upuszczać je pojedynczo, co kawałek. Wtedy mają coś do żucia, a ty masz czas, żeby uciec.

— Czy jest jeszcze coś, co powinnam wiedzieć?

— Jastrzębie.

— Jastrzębie?

— Tak, proszę pani. Ludzie mówią, że porywają małe zwierzątka, które nie mogą się obronić.

Wybiegając z kuchni i zatraskując za sobą drzwi z siatką, jego żona nieomal zrzuciła go ze schodów w drodze do wędzarni.

— Czternaście — oznajmił Willie.

— Znowu?

— Dziewiętnaście jagniąt, siedem cieląt, czternaście jajek.

Willie obdarzył go jednym ze swoich nielicznych uśmiechów.

— Prowadzenie farmy w dzisiejszych czasach opiera się całkowicie na liczbach, nieprawdaż?

Jakkolwiek obawiał się odpowiedzi, musiał zadać to pytanie.

— I jak poradziła sobie Del?

— Absolutnie porażająca siła. W życiu nie widziałam kogoś, kto mógłby z nią rywalizować. Przez cały długi dzień biegała jak nakręcona.

— Ale jak sobie poradziła?

— Jestem taka wdzięczna, kochanie, że to zorganizowałeś. To naprawdę cudownie z twojej strony.

— Ale?

— Jeśli Del przyjdzie jeszcze raz, ja wychodzę.

— Tego się obawiałem.

— Ściągała wszystkie chodniki, wieszała je w ogrodzie, trzepała je, jakby chciała je zabić...

Postanowił tego nie komentować.

— ...przesuwała meble po podłodze, wchodziła na drabinę, żeby wypolerować oświetlenie na suficie, szorowała blaty i szafki w kuchni, tak jakby jutro miał się skończyć świat...

Jego żona wyglądała blado.

— A potem...

— A potem?

— ...przeraziła mnie na śmierć opowieściami o niedźwiedziach, kojotach i całej menażerii stworzeń, które tu grasują, włącznie z jakimiś dzikimi pantyrami.

— Panterami — poprawił ją.

— Panterami?

— Miejscowi mówią *pantyry* zamiast *pantery*. Doszedł do wniosku, że to nie jest dobry moment aby wspomnieć, że gdy Lloyd i jego pomocnik na dobre zabiorą się do pracy, będzie — jak to określił Lloyd? — dość dużo chodzenia tam i z powrotem.

## Rozdział jedenasty

### *Serce czyste*

<Ani Kennetha, ani Kenny'ego Barlowe'a w systemie federalnym.

<Absolutnie nie jestem teraz w stanie sprawdzić systemu stanowego, mam roboty po łokcie.

<Snickers ma infekcję ucha, muszę mu je zakrapiać trzy razy dziennie. Powinieneś sprawdzać regularnie uszy Barnabie.

<Harold jest chory na gripę i nie chodzi na pocztę. Ja sama nie czuję się za dobrze. Pamiętaj, żeby nosić nakrycie głowy, nadal trwa sezon na gripę, nie żartuję.

<Jadę do Atlanty odwiedzić Catherine!!! Na dwa tygodnie!!! Módl się za Harolda i Snickersa, którzy zupełnie sobie beze mnie nie radzą.

<Czy możesz uwierzyć, co dzieje się w rodzinie królewskiej? Pomódl się przy okazji również za nią.

<Emma

<PS: Gene Bolick przewieziony z Charlotte do szpitala w Mitford, lepiej się tam wybierz.

<Drogi Ojcie Timie i Cynthio,

<Chcieliśmy podzielić się z Ojcem radosną wiadomością o Morrisie Lovie.

<Został zaproszony, aby zagrać na organach w St. John's Cathedral w Nowym Jorku!

<Nie posiadamy się z radości. Mówi się o wyjeździe autobusem z naszego własnego małego St. John's. Otis pomoże nam to sfinansować. 14 czerwca. Proszę dać nam znać, czy mógłby się ojciec spotkać z nami w Nowym Jorku, bylibyśmy niesamowicie szczęśliwi!

<Mały Timothy rośnie jak na drożdżach. Wszyscy tutaj bardzo chcieliby zobaczyć tego, na którego pamiątkę otrzymał swoje imię.

<Modlimy się wiernie za Sammy'ego i Kenny'ego, tak jak nas Ojciec prosił.

<Jak zawsze serdeczne pozdrowienia od Sama i Marian

\* \* \*

<Drodzy Sam i Marian,

<Niech Bogu będą dzięki, uczynił wielkie rzeczy!

<Sammy zjawił się na naszym progu, radzimy sobie krok po kroku. Nie przestawajcie się za niego modlić. Nadal nie wiemy, co dzieje się z Kennym. Moja nowa górską parafia jest dla mnie i Cynthii ogromnym błogosławieństwem.

<Mamy nadzieję zobaczyć się z Wami, gdy skończę tutaj swoją roczną posługę.

<Z wyrazami miłości i wdzięczności od obojga z nas.

<O. Tim

\* \* \*

<Hej, Tato...

<Kiedy kupisz sobie komórkę?

<Dooley

\* \* \*

<Hej, Przyjacielu!

<Gdy ty kupisz sobie półciężarówkę.

<Serdeczne pozdrowienia, Tato

\* \* \*

<Zaprogramuję Ci ją.

<Powiedz Sammy'emu, że zadzwonię do niego dzisiaj wieczorem.

<Mam nadzieję, że wszystko dobrze się układa.

\* \* \*

<Wszystko się układa.

<Cieszę się na wspólnie spędzony czas tego lata.

<Sammy zasypie nas okrą.

\* \* \*

<Ja dziękuję.

\* \* \*

<Drogi Timothy,

<A więc, oto doczekaliśmy lat spokojnej starości i — po latach brania się za bary z życiem — okazuje się, że zostaliśmy pasterzami rubieży. Ty w kościele bez żadnych wygód, nie wspominając nawet o jakiejś nędznej katarynce, i ja bez żadnego kościoła, polegający w całości na parze niezawodnych stóp (teraz pokrytych istnym rojem haluksów) i ciężarówce z silnikiem starszym niż Karta praw stanu Wirginia. Co my takiego, na litość, zrobiliśmy — albo czego nie zrobiliśmy? W czym zawiniliśmy?

<Tak sobie tylko mówię, oczywiście. Muszę przyznać, że kocham tę zapadłą misję ponad te wszystkie lata dopieszczania i bycia dopieszczanym przez letnich. Wybacz mi!

<Nie zmyślaj, czy naprawdę jesteś nad chmurami? My jesteśmy pod wodospadem! Ogromne dudnienie i grzmot tego wodospadu jest boską mową, której nie umiem zinterpretować umysłem, ale w jakiś sposób rozumie sercem.

<Gdy nasza trójka po raz pierwszy zamieszkała tu w czteropokojowej chatce, myślałem, że jego potężny huk sprawi, że będę wściekły jak osa (a tak w ogóle, dlaczego osy są wściekłe?). Teraz, gdy wyjeżdżam na dzień lub dwa, co od czasu do czasu ma miejsce, tęsknię za nim z całego serca!

<Bardzo mnie to zasmuciło, że nie mogliście z Cynthią przybyć na tę cudowną posługę — Timothy, jak mi życie miłe, byłbyś zachwycony — ale z drugiej strony, jestem szczęśliwy, że rzucił Cię na Twoje własne podwórko, abys zrealizował Jego niezrozumiałe i szczególne plany.

<Być może gdy będziemy już starzy i siwi (jestem siwy, ale jak do tej pory nie pogodziłem się z faktem, że jestem stary), usiądziemy przy kominku na fotelach z wysokim oparciem (co takiego w fotelach z wysokim oparciem sprawia, że wydają się takie miłe), zapalimy fajkę i porozmawiamy o przygodach, którymi On tak hojnie nas obdarował w tym krótkim i cudownym życiu.

<Pamiętasz Abnera? Tego chłopca, który posłał Ci tę wspaniałą scenkę z arką wyrzeźbioną bez żadnego przygotowania ani wzoru? Zawierzył swoje życie Bogu i muszę Ci powiedzieć, że jest najwspanialszym z ewangelistów, gdy wybieramy się ze słowem bożym po tych górach i dolinach. Jaką cudowną jest istotą i jeszcze może zostać, w naszym Panu.

<Kończąc, wzywam Cię, abys poprawił częstotliwość Twojej korespondencji! I na litość boską, jak zawsze, PRZYŚLIJ PIENIĄDZE.

O. Harry

Mimo że e-mail wydawał mu się dość ekscytujący, tradycyjna poczta nadal niosła ze sobą liczne uroki — jak na przykład konieczność popołudniowej wyprawy do skrzynki pocztowej.

Czytał odręcznie napisany list George'a Gaynora, wędrując w górę podjazdu, a jego plecy smagał ostry kwietniowy wiatr.

*Drogi Ojczy!*

*Po tych wszystkich latach odkryłem swoją niszę. Moja praca kapelana dla współtowarzyszy w tym nieco odległym więzieniu jest zdecydowanie tym, na co już dawno przygotował mnie Bóg. W istocie, wierzę, że czas spędzony w więzieniu był dla mnie duchowym obozem dla rekrutów przed tym, co robię teraz... udowadniając po raz kolejny to, co Paweł powiedział nam w swoim Drugim Liście do Tesaloniczan — we wszystkim...*

*Dotarła już do mnie dobra wiadomość od Hope i Scotta. Zamierzam wybrać się na ślub i cieszę się na spotkanie z Ojcem, Cynthią i Harleyem. To będzie pierwszy ślub, nie licząc mojej nieszczęsnej uroczystości, w którym wezmę udział od czasu ukończenia college'u. Drużba! Do chwili, gdy nie związałem się z Bogiem w czasie długiego urlopu od życia na poddaszu ojca kościoła, byłem z pewnością najmniej odpowiednią osobą do tej roli. Jego łaska niezmiennie mnie zadziwia i onieśmiela.*

*Napisał do mnie ostatnio Pete Jamison, jesteśmy w kontakcie. Nigdy nie zapomnę, jak poprzez jedną modlitwę zbawił Ojciec dwóch. Wzrasta w wierze, chociaż trapi go, jak większość z nas, przekleństwo robienia jednego kroku do przodu i dwóch do tyłu.*

*Hope mówi, że dostał Ojciec kościół w górach, który był zamknięty przez kilkadziesiąt lat, i że poproszono Ojca, aby go Ojciec rozkręcił jak najszybciej. Jest Ojciec idealną osobą do tego zadania. Obdarzył Ojca siłą, dał Ojcu rączy chód i wyniósł Ojca na wyżyny.*

*Proszę pisać, gdy tylko znajdzie Ojciec czas, poczta jest niczym manna.*

*W Jego łasce George*

Psy z farmy poddawane były w tym dniu kosmetycznym zabiegom na wybiegu, dlatego tylko on i Barnaba odpowiedzieli na pukanie do drzwi.

— To ja! — obwieściła Lily. — Wróciłam!

— Bogu niech będą dzięki! — zawołał. — Nie wiedziałem, kogo mam oczekiwać, ale byłem pewien, że mnie nie zawiedziesz.

— Och, nie, proszę ojca, nigdy nie sprawiam zawodu ludziom, jeśli to tylko możliwe.

— Czy wyzdrowiałaś?

— Czuję się jak nowo narodzona, nie trwało to nawet dwudziestu czterech godzin. Ale mnie nieźle pogoniło.

Lily wstawiła do lodówki butelkę słodkiej herbaty, schowała torebkę do starej szafki na produkty spożywcze i nałożyła coś, co wyglądało na maskę.

— Czy Del dobrze się sprawiła? Zdecydował się na klasyczną dyplomację.

— Lepiej niż dobrze!

— Zupełnie was wykończyła, tak mi się wydaje. Del wszystkich nas wykańcza, niech Bóg ją błogosławi, ale tej podłogi nie trzeba będzie szorować przez długi czas!

Violet wyszła spod kuchennego stołu i owinęła się wokół kostek Lily.

— Widzi ojciec? Zawsze tak jest. Każdy przeklęty kot na tym świecie musi się o mnie otrzeć. Psik! Odejdź! I nie podłóż!

— Cynthia sugerowała, żebyś zobaczyła, co jest, i ugotowała to, co wydaje ci się najlepsze. Pamiętaj, że w domu jest diabetyk.

Jakże niechętnie to mówił.

Lily nałożyła i zawiązała fartuch.

— Nie ma sprawy. Mój mąż na cukrzycę.

Poczuł dziwną ulgę, słysząc o jeszcze jednym biedaku cierpiącym na tę niemiłą przypadłość.

— Musieli mu odciąć cztery palce.

— Wielkie nieba!

— Ale proszę się nie martwić — zapewniła go — to nie przez moje gotowanie.

Siedzieli z Williem na posianiu ze świeżej słomy i każdy z nich karmił z butelki wygłodniałe jagnię.

— Miałeś kiedyś żonę, Willie?

— Tak.

— Ach.

— Odeszła do wiecznej chwały. Najlepsza z najlepszych. Nie do zastąpienia.



— Przykro mi. Chciałbyś zjeść z nami dzisiaj kolację? Pracuje dzisiaj dla nas specjalna kucharka.

— Raczej nie, dziękuję.

Ojciec Tim wstał, słysząc, jak trzeszczy mu w kolanach, stawie biodrowym i krzyżu. Przez chwilę zastanawiał się, czy kiedykolwiek przyzwyczai się do swojej fatalnej kondycji...

— Poślemy ci coś. Czy będziesz chciał, czy nie. Na twarz Williiego znowu wypłynął uśmiech.

— Będę zobowiązany.

— Jak poszło? — zapytał.

— Wspaniale! Jest cudowna! Przesmaczne posiłki w zamrażarce, ciasto jest śliczne, i posłałam Sammy'ego, żeby zaniósł Williemu pieczeń.

— Mam szczerą nadzieję, że nie według mojego starego przepisu.

— Oczywiście, że nie! Roześmiała się.

— Chciała nawet ugotować za ciebie szynkę na niedzielę, ale wyjaśniłam, że będziesz to chciał zrobić osobiście.

Spojrzała na niego.

— Czy właśnie westchnąłeś?

— Zastanawiałem się — nie byłem ostatnio zbyt dobrym dziadkiem.

— Byłeś zajęty byciem dobrym wikarym. Puny to rozumie; rozmawialiśmy dzisiaj. Dziewczynki uczą się pilnie w szkole, chłopcy jedzą jak smoki. Joe Joe pracuje na nocną zmianę, a ona jest wykończona — jak to zwykle bywa przy domu pełnym maluchów. Chociaż, jak Bóg mi na niebie, nie mam w tym zakresie własnego doświadczenia.

— Zawsze chciałaś mieć dzieci...

— Tak. — Zamilkła na chwilę. — A teraz mam Dooleya! — odparła wesoło. — I Sammy'ego — tak długo, jak zechce zostawić go pod naszą opieką Bóg.

— Jak układa ci się z Sammym?

— To może długo potrwać. Pamiętasz, jak długo to trwało z Dooleyem?

— Pamiętam.

— Ale mam czas, żeby czekać.

— Jesteś najlepsza z najlepszych, Kavanagh.

— Dziękuję.

— Nie do zastąpienia — dodał.

Zastanawiał się nad ich rozmową, spacerując z Barnabą po starym pastwisku dla koni. Co do tego, jak długo zostanie z nimi Sammy — to zdecydowanie była działka Boga. W każdym razie lato spędzone na farmie z bratem z pewnością wyjdzie mu na dobre.

Zobaczą po prostu, co przyniesie im życie, i wezmą to za dobrą monetę.

W piątek wieczorem w Holy Trinity deszcz zaciął w okna i ostry wiatr wprawiał w drżenie szyby. Na dolnych gałęziach rododendronu za kamiennym murkiem samczyk kardynała schował pod skrzydło zdobioną grzebieniem główkę i w towarzystwie samiczki czekał na koniec burzy.

Nieco dalej, w dole drogi, tuż za zakrętem, sto dwadzieścia dziewięć ogonów wiewiórek przybitych do bali chatki Jubala Adderholta powiewało gwałtownie w strugach deszczu; podmuchy wiatru porywały dym dobywający się z komina i niosły go na wschód, gdzie stał dom Donny'ego Luster.

Wewnątrz, obrazy obracającego się naszyjnika z szafirów rozpadły się na telewizyjnym ekranie na kolorowe cząstki. W ciemnym frontowym pokoju camel bez filtra palił się w popielniczce, podczas gdy Donny Luster siedział, wyglądając przez okno i nic nie widząc. W swojej sypialni Dovey i Sissie Gleason spały w mocnym uścisku, nieświadome drżenia domu na podłożu z betonowych płyt.

Trzy kilometry na północny zachód, na dobrze wyposażonym podwórku sióstr McKinney stare koryto napełniło się deszczówką, która zaczęła następnie z niego wypływać do rowu wyłobionego przez płynącą nim od lat wodę. Na ganku rudo-biały kot kulił się pod pradawną pralką, nakrytą targaną na wietrze plandeką.

Pół kilometra na zachód wiatr zerwał z dachu antenę telewizyjną Roberta Pricharda i zrzucił ją na zbieraninę próchniejących klatek dla królików. Utkwiła na chwilę pomiędzy klatkami, a następnie sturlała się po zboczku za dwupokojowym domem. Wylądowała w pobliżu stosu kamieni wykopanych ponad sto lat temu z czarnej ziemi przez kogoś, kto zapragnął pola kukurydzy, i spoczęła na samotnym narcyzie w pełnym rozkwicie.

Pełna pogardy dla kalendarzowych terminów czy sezonowej punktualności wiosna ogłaszała swoje przybycie na błękitne górskie grzbiety ponad zieloną doliną rzeki.

Zbiegł po schodach, odnotowując spore stado bernikli, przelatujących nad domem w drodze do znajdującego się na farmie stawu.

— Alleluja! — zawołał porażony scenką na kuchennym oknie.

Na parapecie stał sznur błękitnych słoików wypełnionych tulipanami: purpurowymi, fioletowymi, słomkowymi, różowymi z plamkami w kolorze limonki.

— Zaczęły rozkwitać dzisiaj rano, maluję je jak szalona.

Jego żona, siedząca na swoim taborecie przy sztalugach rozłożonych pod oknem, na policzku miała rozkoszną plamkę czerwonej farby.

— Zmykaj, ojcze, twój diakon jest zajęty sprawami własnego powołania.

— Sammy sadi nasiona do doniczek przy komórce. Pomyślałem, że zajrzę do niego na chwilę, a potem pojedę do Holy Trinity. Agnes i ja musimy opracować wspólnie plan nauczania z naszych modlitewników. Muszę też pomyśleć, co zrobić z naszym składkowym przyjęciem, jeśli deszcz się utrzyma.

— W prognozie pogody mówili, że deszcz będzie padał do soboty włącznie. Ale w razie gdyby się pomylili, w kotłowni jest składany stół. Wydaje mi się, że zmieściłby się z tyłu za ławkami.

— Wspaniale! Zawiozę go tam dzisiaj, na wszelki wypadek.

— Bóg z tobą, najdroższy!

Spojrzała na plamę koloru, który właśnie nakładała na papier.

— I z tobą!

Nie ma to jak porządne, zdrowe liturgiczne rozesłanie, pomyślał, zauważając dziwną lekkość w swoim kroku.

Jego płaszcz przeciwdeszczowy wisiał, ociekając, na gwoździu, podczas gdy on stał i przyglądał się, jak Sammy zręcznie umieszcza nasiona w ziemi do sadzonek.

— Tutaj są pomidory.

— Ile krzewów zasadzimy?

— Myślę, że osiem.

— Będziesz ty, Dooley, Willie, Blake, Cynthia i ja, a wszyscy lubimy pomidory. Czy wystarczy osiem krzewów?

— W zupełności. Tutaj jest p-papryka. A tutaj bakłażany. Ja na p-pewno ich nie jem, ale Cynthia mówiła, że wy tak.

— A co z ogórkami i kabaczkami?

— Nasiona sieje się prosto do ziemi.

— Dzięki Bogu za Lona Burtiego. I za ciebie, Sammy.

— Wie ojciec, że muszę zanieść to wszystko do domu i trzymać pod światłem. K-kotłownia by się nadawała. Potrzebne jest światło i ciepło.

— Jesteś cudowny — stwierdził z przekonaniem. Sammy wzruszył ramionami.

— Co pamiętasz o Kennym?

Sammy wyrecytował litanie całej rodziny Barlowe'ów.

— Mama oddała go za cz-cztery litry whisky.

— To wszystko?

— Dooley powiedział, że człowiek, który go zabrał, n-nazywał się Ed Sikes.

— Dooley myśli, że Kenny miałby osiemnaście lat.

— Kenny jest ode mnie dwa lata starszy. Więc, t-t-tak.

— Coś szczególnego w jego wyglądzie? Czy wygląda tak jak ty i Dooley, i Poo?

— W-w-wygląda bardziej jak... no wie ojciec.

— Twój tato.

— Ale ma włosy takie jak my.

— Coś jeszcze?

— Jest ode mnie n-niższy. Wikary zachichotał.

— A kto nie jest?

— Ma na twarzy dużego p-pieprzyka... — Sammy myślał przez chwilę. — Na lewym policzku. I ma też dużego p-pieprzyka na plecach. Kazał mi drapać się po plecach i mówił, że mnie wychłoscze, jak zadrapię mu tego p-pieprzyka — ale nie mówił na serio, tak tylko żartował.

— Wiesz co?

— Co?

— Wierzę, że Kenny nas znajdzie, albo my znajdziemy jego. Prawdę powiedziawszy, czekam na to. Ale koniec końców, muszę zawierzyć to Bogu; to tak naprawdę jego zadanie.

— Jeśli chce ojciec znać m-moje zdanie, to nie radzi sobie za d-dobrze.

— Pomyśl o tym. Pismo Święte mówi nam, że dwa wróble sprzedano kiedyś za asa. A przecież bez woli Ojca żaden z nich nie spadnie na ziemię. Jeśli troszczy się On o wróble, to jestem skłonny wierzyć, że troszczy się o mnie — i ciebie — nawet bardziej. Ile masz włosów na głowie?

Sammy wykrzywił się, wzruszył ramionami.

— Bóg wie, ile. Jezus tak mówi: „U was zaś policzone są nawet wszystkie włosy na głowie”.

— Nie wierzę w to.

— No to posłuchaj. Stworzył cię. Zależy mu na tobie. Kocha cię. Chce dla ciebie wszystkiego, co najlepsze.

Ojciec Tim zamilkł na chwilę; trudno to wszystko naraz pojąć, on sam czasami miewał z tym kłopoty.

— I z tych wszystkich powodów ma nawet specjalny plan dla ciebie, na twoje życie. To dlatego możemy mu zaufać, że zrobi to, co najlepsze, gdy odmawiamy modlitwę, która nigdy nie zawodzi.

— C-co to za modlitwa?

— Niech się dzieje wola Twoja.

Gdakając, perliczki goniły się po stodole w swoim dorocznym zapale, by sprowadzić na świat kurczęta.

— To znaczy, że mam Mu pozwolić zrobić to, na c-co ma ochotę?

Sammy'emu bardzo nie podobał się ten pomysł.

— Właśnie. Na cokolwiek ma ochotę. Ponieważ to, co chce zrobić, jest dla ciebie najlepsze. Nie potrafi zrobić nic innego — można powiedzieć, że tak jest zaprogramowany.

— A c-co, gdybym go poprosił, żeby o-odnalazł Kenny'ego?

— On oczywiście bardzo dobrze wie, gdzie jest Kenny.

— Jeśli j-jest taki dobry i tak dalej, m-można by pomyśleć, że mógłby go p-przysłać.

— Skoro o tym mowa, nie zapominajmy, co zrobił do tej pory — mamy Dooleya, znaleźliśmy Jessie, znaleźliśmy Poo. Znaleźliśmy ciebie.

Przypomniał sobie, jak po raz pierwszy zobaczył Sammy'ego Barlowe'a, gdy szedł samotnie korytem rzeki, a jego rude włosy w świetle zachodzącego słońca przypominały płonącą pochodnię.

— Czwórka z piątki, Sammy. Czwórka z piątki! Wydaje mi się, że Bóg był bardzo zajęty sprawą Barlowe'ów.

Sammy rozerwał paczkę nasion.

— Nie bede się modlił. Raz już próbowałem, nie d-dostałem żadnej odpowiedzi.

— Może to nie jest odpowiedź, na którą miałeś nadzieję, ale możesz być pewien, że to właściwa odpowiedź.

Sammy spojrzał na niego, twardo.

— Nie bede się modlił.

— Nie szkodzi — zgodził się ojciec Tim. — Ja będę się modlił. I Cynthia. I Dooley.

I Emma, pomyślał, i Buck, i Pauline, i Marion, i Sam, i Agnes, i Clarence...

Ustawili stół i nakryli go obrusem w różowym kolorze, co nadało małej nawie uroczysty wygląd.

— Zostawimy go tutaj, bez względu na pogodę! — zawyrokował wikary. — Położymy na nim nasze kościelne biuletyny i może kilka książek — zaczniemy je wypożyczać!

— A czy flakon z tulipanami nie będzie wyglądał ślicznie na tym starym obrusie? Jessie i ja używałyśmy go w starej szkole; leżał przez te wszystkie lata w szufladzie.

Rozejrzała się z przyjemnością po prostym pomieszczeniu.

— Nie jest to jakaś zacna budowla z normańską wieżą i pięknymi witrażami, ale nasz kościół jest cudowny, prawda, ojcze?

— Zgadza się, Agnes!

Zaprawdę, był niezwykle dumny z Holy Trinity, chociaż dla wielu o takim jak on powołaniu byłoby to nic, ujma...

— Gotowy na filiżankę herbaty?

— O tak.

Deszcz dudnił miarowo o blaszany dach, w czasie gdy Agnes wyjęła z kosza termos, postawiła dwa kubki na przedniej ławce i napełniła je parującą herbatą.

— Modliłam się w tej sprawie, ojcze, i jestem gotowa opowiedzieć ojcu resztę mojej historii. Jeśli jest ojciec gotów jej wysłuchać.

— Agnes, Agnes! Raczysz żartować.

Deszcz dudniący o blaszany dach. Zapach jedliny i próchnicy, wosku pszczelego i olejku cytrynowego. Wszystko to i jeszcze opowieść.

— Wasz samochód zepsuł się ostatecznie — rzucił, opierając się wygodnie, z ciepłym kubkiem w dłoniach

— i kupiłyście półciężarówkę.

Usiadła obok niego, wdychając zapach herbaty.

— Obawiam się, że liczyliśmy na zbyt wiele! Nasz stary samochód wyglądał naprawdę żałośnie, gdy go w końcu sprzedaliśmy! Poszedł za czterdzieści dolarów do rodziny, która usunęła fotele i całą resztę i używała go jako spiżarni. Na podwórku przed domem, mogę dodać! Wiele lat później zaczęli go zdobić światełkami na Boże Narodzenie — stało się to nieomal tradycją w tych górach. Zachichotał. Wyobrażał to sobie tak wyraźnie, jakby widział to na własne oczy.

— Quint Severs nigdy nie zajmował się półciężarówkami, więc posłał mnie do człowieka, który się na tym znał. Plotka głosiła, że był złotą rączką we wszystkich technicznych sprawach; był w pewnym sensie utalentowany. Niestety, nasza półciężarówka przysparzała nam wielu kłopotów — czasami żyliśmy tak biednie jak nasi parafianie.

Nie chciałam prosić o pieniądze mojego ojca; zarówno dla mnie, jak i dla Jessie było kwestią zasadniczą, żeby polegać na Bogu w kwestii zabezpieczenia naszej egzystencji. Byliśmy najbiedniejszą diecezją w stanie, i z Asheville nie napływały fundusze, na których można byłoby polegać.

Nasz nowy mechanik był w stanie zdziałać cuda. Było tak, jakby dołączył do naszej drużyny, i tak jak nam, zależało mu, żeby nasza półciężarówka była zawsze sprawna, żebyśmy mogły wozić ludzi do lekarza i do szpitala — a nawet do szkoły.

Agnes spojrzała na okno nad ołtarzem.

— Ach, ojcze...

Zwróciła się do niego i ujrzał, być może po raz pierwszy, wyryte na jej twarzy wszystkie lata jej życia.

— Wydaje mi się, że powinnam opowiedzieć tę długą historię w kilku słowach. Zakochałam się po raz pierwszy w życiu. W człowieku, który był niewierzący i w istocie, szczyił się manierami, które były...

Obserwował, jak starannie dobiera słowa.

— ...prostackie i okrutne. Z czasem nasze stosunki stały się... zażyłe. Co mogę powiedzieć na swoją obronę? Nic. Straciłam głowę, straciłam dla niego swoje serce. Miałam czterdzieści pięć lat.

Agnes siedziała, trzymając w dłoniach kubek, jakby zamieniła się w posąg. Deszcz zaczął w okna, sprawiając, że w kościele zapanował półmrok.

— Byłam zrozpaczona, oczywiście, gdy dowiedziałam się, że jestem...

Agnes Merton pochodziła z innego świata i innych czasów, w których nie wypowiada się takich rzeczy na głos.

— Rozumiem — odparł.

— John Newton napisał: „Poczucie winy uwięziło w gardle mój głos, ukłucie jadowitego węża zatrulo całą moją radość”.

Ledwie byłam w stanie funkcjonować. Wydawało mi się, że wszystko, co uosabiałam, wszystko, co uczyniłam w Jego służbie, zostało zniweczone. Trzymałam to w tajemnicy przed Jessie, tak długo, jak mogłam, ale mojego wielkiego nieszczęścia nie można było ukryć. Zażądała, żebym jej wszystko opowiedziała. Ta wiadomość była dla niej na wiele sposobów tak druzgocąca jak dla mnie.

Nie potrafiła mi wybaczyć, ojcze.

Na domiar wszystkiego bardzo martwiłam się swoim wiekiem. W tamtych czasach... urodzenie dziecka po czterdzieście wiązało się z dużym ryzykiem. A potem dowiedzieliśmy się, że kościół i szkoła zostaną wkrótce zamknięte. Nie było funduszy na ich dalsze utrzymywanie.

Nasz świat dosłownie się zawalił; czułam się za to całkowicie odpowiedzialna przed Bogiem. Zawiodłam Jessie i małą Bertie. Zawiodłam parafię. I z pewnością zawiodłam Zbawiciela. W miarę jak zamykały się kolejne drzwi kościołów w tych górach, uwierzyłam nawet, że to ja sprawiłam, iż Bóg karze kościół za moje grzechy. Był to oczywiście nonsens, ale wtedy przytłaczało mnie poczucie winy. Stałam się niczym wyschłe kości na polu Ezechiela i nie było nikogo, kto mógłby przepowiedzieć Jego łaskę i wybaczenie.

Wypiła łyk herbaty.

— Psalm pięćdziesiąty piąty. Czy zna go ojciec?

— Ależ tak, w istocie. W trudnym okresie mojego życia nauczyłem się go recytować z pamięci.

— Czy moglibyśmy go teraz razem wygłosić? Razem przemówili słowami psalmisty:

*Zmiłuj się nade mną, Boże, w swojej łaskawości, w ogromie swego miłosierdzia wymaż moją nieprawość!*

*Obmyj mnie zupełnie z mojej winy i oczyść mnie z grzechu mojego! Uznaję bowiem moją nieprawość, a grzech mój jest zawsze przede mną Tylko przeciw Tobie zgrzeszyłem...*

Ponad wąwozem zaczęły ustępować chmury; promień słońca oświetlił górskie zbocze.

*Oto Ty masz upodobanie w ukrytej prawdzie, naucz mnie tajników mądrości.*

*Pokrop mnie hizopem, a stanę się czysty, obmyj mnie, a nad śnieg wybieleję. Spraw, bym usłyszał radość i wesele: niech się radują kości, któreś skruszył! Odwróć oblicze swe od moich grzechów i wymaż wszystkie moje przewinienia! Stwórz, o Boże, we mnie serce czyste i odnow w mojej piersi ducha niezwykłego!*

— W tym długim ponurym okresie — powiedziała — cały czas miałam te słowa na ustach. Nie wiedziałam wtedy jednak, że On zrobił wszystko, o co go tak usilnie prosiłam. Musiało jednak minąć dużo czasu, zanim mogłam przyjąć Jego miłość i wybaczenie.

Mój ojciec wiedział, jaka byłam tu szczęśliwa. I gdy diecezja zamknęła tę i tak wiele innych posiadłości kościelnych, postanowił kupić mi budynek szkoły i przyległe czterdzieści hektarów.

To spowodowało jeszcze jeden przykry konflikt; chciałam uciec z tego miejsca na zawsze. Mimo to nie mogłam nie przyjąć takiego hojnego daru. Myślałam, że będę mogła kiedyś sprzedać swoją własność i otrzymać łaskę, żeby zapomnieć o wszystkim, co się tutaj wydarzyło.

Jessie zabrała małą Bertie i wróciła do swojej rodziny. Otrzymała kościół misyjny na zachodzie. Nasze rozstanie było nieomal nie do zniesienia — chłód Jessie wobec mnie i małą Bertie, trzymająca się mnie kurczowo.

Modlił się za nią po cichu, podczas gdy ona umilkła na chwilę, by zaraz kontynuować opowieść.

— Przypomniałam sobie, że słyszałam o pewnej kobiecie w Chicago, która przyjmowała młode kobiety, które...

Grace Monroe była gotowa mnie przyjąć. Zamknęłam szkołę i poprosiłam Quinta, żeby się nią zaopiekował. Półciężarówkę sprzedałam. Nigdy nie powiedziałam... ojcu dziecka o tym, co się stało, i z pewnością nie własnemu ojcu.

Przyjechałam do Chicago z trzystoma siedemdziesięcioma czterema dolarami i walizką ubrań.

Grace była starszą kobietą i ja byłam ostatnią, która miała zaszczyt doświadczyć jej cudownego zrozumienia. Gotowałam dla niej, wycierałam z kurzu jej porcelanę i starałam się być jak najbardziej pożyteczna.

Gdy urodził się Clarence, poprosiła nas, żebyśmy zostali. Bardzo pokochała Clarence'a; gdy był jeszcze bardzo mały, nauczyła go obchodzić się delikatnie z wszystkim, czego dotykał.

Rozpoczęła tę naukę od wręczania mu niezwykle cennej figurki z wczesnego Staffordshire, dojarki z brązową krową. Nauczyła go, jak ostrożnie podnosić figurkę i ścierać pod nią kurz.

Wiele razy robił to pod jej czujnym okiem, i nigdy jej nie rozbił ani nie wyszczerbił, ojcze, a był zaledwie malutkim chłopcem!

Całą tę miłość, która wtedy została na niego przelana, on przelewa dzisiaj na wszystkie swoje piękne misy i zwierzęta, i laski.

— Cynthia i ja bardzo się cieszymy, że w niedzielę będziemy mogli obejrzeć jego prace.

— Czy zamęczyłam ojca na śmierć? — upewniła się sama wyglądając na zmęczoną.

— To niemożliwe. Ale być może powinniśmy zostawić resztę twojej opowieści na inną okazję. Wydaje mi się, że to bardzo dużo cię kosztowało.

— Jeszcze więcej kosztuje mnie jej ukrywanie. Tak mam więcej do opowiedzenia. Dużo więcej. Ale teraz musimy porozmawiać o naszym nauczaniu w niedzielę

Dziękuję, ojcze, za to, że mnie ojciec wysłuchał. Ojca zrozumienie jest ogromnym darem.

W języku migowym wypowiedział trzy słowa, które dzisiaj rano wypowiedział również do Cynthii. Jej oczy wypełniły łzy ulgi, gdy czyniła w odpowiedzi takie same znaki.

## Rozdział dwunasty

### *Przyjęcie składkowe*

Dary wcześniej przybyłych zostały umieszczone na różowym obrusie.

Na środku stołu prezentował się imponująco tort czekoladowy na podstawce na nóżce, obok stało trzywarstwowe ciasto Lily. Na stole znajdowała się również przykryta folią pieczona fasola Lloyda, zrobiona według przepisu Puna sałatka ziemniaczana Cynthii, zgroza dla baptystów — gotowana szynka z sosem burbońskim ojca Tima, makaron z serem Agnes i nadziewane jajka Granny.

— Granny — zainteresował się wikary — czym różnią się jajka nadziewane od jajek po diabelsku?

— Różnica polega na tym, że nie nazywam ich jajkami po diabelsku — oświadczyła Granny. — Na tym świecie jest dość diabelskich spraw.

— Amen! — zgodził się.

Na drugim końcu rozkładanego stołu prezent niespodzianka od wikarego stał dumnie, błyszcząc, i rozaczał w powietrzu aromat powszechnie uwielbiany we wszystkich kościołach.

— *French roast* — poinformował Lloyda, poklepując ekspres. — Świeżo zmielona, w najlepszym gatunku.

— Alleluja! — ucieszył się Lloyd, który nie miał zbyt dobrego zdania o kościelnej kawie, ogółem rzecz biorąc.

Sammy ściał całe naręcze kwitnących gałęzi z okolicznych lasów i doręczył je Cynthii, do przybrania stołu. Uciekając na chwilę od zgiełku, wikary udał się na dziedziniec przed kościołem, aby powitać nowo przybyłych i podziwiać widok, razem z Granny. Po długotrwałych opadach deszczu nadszedł chłodny wiatr; ocean gór błyszczał, jasny, przejrzysty i zieleniejący.

— Robert! Dzień dobry!

Robert wytarł prawą dłoń w nogawkę spodni przed podaniem pastorowi.

— Dziękuję za jajka, nic nie przyniosłem na przyjęcie.

— Nie ma potrzeby, mamy tu mnóstwo jedzenia. Czy umiesz śpiewać, Robercie?

— Nigdy nie próbowałem.

— Spróbuj dzisiaj! Musimy rozśpiewać to towarzystwo, żeby nam było ciepiej. Dołącz po prostu do mnie i nie przestawaj. Mój głos nie jest szczególnie zachwycający, ale w każdym razie nie fałszuję.

— Sparkle! Jesteś niczym powiew wiosny.

— Żółty, niebieski, zielony, purpurowy i różowy, a na to wszystko futrzana kurtka! Jeśli ktoś urządza dzisiaj bal przebierańców, to chcę zdobyć nagrodę za najgorszy strój!

— Gdzie jest Wayne?



— Leży pod kupą złomu, którą nazywa samochodem.

— Powiedz mu, żeby tu przyszedł, potrzebny jest nam jego baryton.

— Jeśli Wayne Foster pokaże się tu jeszcze kiedykolwiek, to chyba padnę. Nie miał zielonego pojęcia o tym, co się dzieje w ostatnią niedzielę. Myślał, że klęczniki to coś, na czym można oprzeć stopy.

— Wielu episkopalian też tak myśli! Co to za niebiański zapach?

Sparkle pokazała swój przykryty folią dar.

— Pieczeń mięsna! — obwieściła. — Z przepisu mojej mamy. Będzie ojciec wniebowzięty, gdy jej ojciec spróbuje.

— Widzę, że trzeba zapłacić wysoką cenę, ale możesz na mnie liczyć.

Gdy Agnes wyszła, żeby położyć na skrawku mchu kosarza, zobaczyli Rootera wybiegającego z laurowego zagajnika.

— Właśnie mi się przypomniało — zwróciła się Agnes do wikarego. — Udostępniłam budynek szkoły, gdyby ktoś chciał skorzystać z toalety; być może będzie chciał ojciec to ogłosić.

— Proszę spojrzeć, panno Agnes.

Rooter uczynił kilka znaków do Agnes, wskazując pierwszym i drugim palcem prawej dłoni na oczy.

— Wspaniale, Rooter Hicks! — zawołała wyraźnie zadowolona.

— Wie ojciec, co tera powiedziałem? — zwrócił się do wikarego.

— Nie mam pojęcia.

— Powiedziałem: „Do zobaczenia, stary”.

— Jak się tego nauczyłeś? — chciała wiedzieć Agnes.

— Znalazłem to w książce.

— W książce!

— W bibliotece w szkole. Mają pełno książek o tym, jak mówić rękami. Z rysunkami. Patrzcie jeszcze raz — zawołał, lekko zginając cztery palce, wysuwając kciuk i wykonując ruch w stronę brody. — Wie pani, co to znaczy? — zwrócił się do Agnes.

— Mówisz: „Patrz!”.

— Tak. Zrobię go, jak będę chciał zobaczyć prace Clarence'a, jego miski i tak dalej.

— Jesteś taki mądry!

— Wcale nie jestem mądry — odparł Rooter, nieco obrażony.

— No to bystry — poprawiła się. — Jesteś bardzo bystry. A w każdym razie — Agnes czyniła znaki dłońmi, jednocześnie mówiąc — ścięło mnie z nóg.

— Chcę nauczyć się jeszcze więcej tych rzeczy, zabrałem jedną z tych książek do domu.

— On nie lubi przynosić książek do domu — wtrąciła się Granny. — To było tak wyjątkowe, że sama do niej zem zajrzała.

— Wspaniale! — zachwycił się wikary.

— Ale nic z tego nie pokapowałam. Oczy Rootera pojaśniały.

— Nauczę cię!

Ojciec Tim usiadł na murku.

— Mam pomysł, Rooter. A co, gdybyśmy powierzyli ci zadanie nauczania kongregacji jednego prostego znaku w każdą niedzielę? Coś, co każdy będzie mógł wykonać. W ten sposób wszyscy nauczymy się rozmawiać z Clarence'em.

Rooter wyglądał na kompletnie zaskoczonego.

— Znaczy się, mam stanąć przed wszystkimi i zrobić to, co właśnie zrobiłem?

— Tak. Czy nie uważasz, Agnes, że to dobry pomysł?

— Ależ tak!

— W najbliższą niedzielę mógłbyś nauczyć wszystkich: „Jak się masz, stary” — co i tak już umiesz.

— Tak.

Rooter uczynił znak obrazujący to, co powiedział wikary.

— W następną niedzielę mógłbyś nauczyć nas: „Do zobaczenia, stary”. I tak dalej. Czy to by ci odpowiadało?

— Nie zamierzam stawać przed żadnymi ludźmi. Nie ma mowy.

— Dlaczego? — zdziwił się ojciec Tim.

— Bo... — Rooter wykrzywił się — bo wszyscy by się na mnie gapili.

— Zgadza się. Patrząc się na ciebie, nauczyliby się rozmawiać z Clarence'em. Obecnie jedynymi, którzy rozmawiają z Clarence'em, są jego mama i ty. I może ja... ale tylko trochę. Trzy osoby.

Rooter rozważył te słowa, potem spojrzął na Agnes.

— Musiałaby pani robić to ze mną.

— Będę zaszczycona — zgodziła się. — Chodźmy, czas na modlitwę.

Wikary ujrzał swojego cierpliwego i przyjaznego pomocnika, jak czeka na niego, trzymając ręcznie rzeźbiony krzyż. Uczynił znak dłońmi, wypowiadając trzy słowa do Clarence'a, który uśmiechnął się szeroko i odpowiedział, również czyniąc znaki. Uniósł do góry kciuki, zwracając się do Lloyda, który stał obok gotów pociągnąć za sznur dzwonu.

*Bam...*

*Bam...*

*Bam...*

Dźwięk poszybował od dzwonnicy, poprzez wąwóz i pstre grzbiety gór.

Idąc za krzyżem w stronę ołtarza, zdał sobie sprawę, że tęskni za Sissie.

— Trzydzieści minut — oszacował, spoglądając na zegarek — i jesteście gotowi wyruszyć w drogę.

Dzięki wszystkim, którzy przygotowali strawę na dzisiejszy stół przyjaźni. Ja uczestniczyłem w wielu takich świętych ucztach i muszę wam powiedzieć, że dzisiejsze dary były najlepsze z możliwych.

Chciałbym również podziękować tym, którzy z przyjemnością zjedli to, co zostało przygotowane, i wyrazili swoje uznanie — to istotny wkład sam w sobie, jak powie wam każdy kucharz.

Agnes mówi mi, że to pierwsze oficjalne przyjęcie na terenie Holy Trinity od... ilu lat, jak myślisz, Rooter?

— Od stu!

— Blisko, Rooter. Panno Martho?

— Od czterdziestu trzech!

— Od czterdziestu trzech lat! I czy to nie cudowne, że w czasie Jego błogosławionej rezurekcji również Holy Trinity ma powstać ze zmarłych, do nowego życia? Alleluja! Albo, jak mogłaby rzec Granny, halleluja!

Zaskoczona niespodziewaną wzmianką o sobie Granny mimowolnie uniosła dłoń i pomachała do wika-rego.

— Wychowałem się zasadniczo w kościele baptystów i również kocham to wyznanie. Jednak jak sami mówicie — i obydwaj sposoby są poprawne — to wspaniałe uczucie móc ponownie wypowiedzieć te słowa uwielbienia. A skoro mowa o słowach...

Dzisiejszego ranka baptyści, metodyści, luteranie oraz prezbiterianie wielbili Boga w sanktuarium. Wielbiliście go dzisiaj rano w nawie i weszliście do nawy przez narteks.

Widzę, że Lloyd i Robert siedzą po lewej stronie kościoła. A Agnes i pozostali po prawej.

Te i inne wyjątkowe słowa — i tradycje — sprawiają, że trochę się różnimy w Holy Trinity. Zanim Agnes i ja opowiemy wam w następną niedzielę o naszym modlitewniku i, na przykład, jak bardzo pomocne mogą okazać się przypisy, dzisiaj porozmawiamy o tym budynku, domu bożym — który, jak wierzę, wszyscy pokochamy jak prawdziwy dom...

— To jego skarb, ojciec.

W ciemnym, chłodnym wnętrzu swej pracowni Clarence z szacunkiem uniósł pokrywą błyszczącego mahoniowego kufra i ukazał zawartość w postaci dawnych ręcznie wykonanych narzędzi. Wikary złapał oddech.

— Uou — zachwyił się Sammy.

— *Ditto!* — zawołała Cynthia.

Clarence wykonywał znaki, a Agnes tłumaczyła jego słowa.

— Gdy mieszkałem z mamą w Chicago, poszedłem do szkoły dla głuchych. Zacząłem uczyć się stolarstwa i zrozumiałem, że do końca życia chcę się tym zajmować.

Ojciec Tim dojrzał szczerą radość na twarzy swojego pomocnika.

— Bardzo stary człowiek przychodził i uczył nas specjalnych umiejętności, na przykład, jak wyrzeźbić ręcznie miskę, zamiast toczyć ją na tokarce. Miał dziewięćdziesiąt cztery lata i miał ten kufer z narzędziami, który przynosił do pracowni, żeby studenci mu się przyjrżeli. Nie wolno nam było dotykać tych narzędzi. Ale ja bardzo tego chciałem.

Clarence ostrożnie wyjął z kufra jedno z narzędzi i podał je Sammy'emu. Kolejne podał Cynthii i jeszcze jedno ojcu Timowi.

— Ten człowiek nazywał się George Monk, a kufer był dziedziczony w jego rodzinie stolarzy z Sheffield, z Anglii. Tak się stało, że pan Monk był zdania, że jestem bardzo dobrym stolarzem, i jednego dnia, gdy wszyscy wyszli z pracowni, pozwolił mi, abym wyjął wszystkie narzędzia ze skrzyni i obejrzał je. Opowiadał mi o tym, jak były używane, i powiedział, że uważa, iż jestem...

Clarence spuścił wzrok na kufer, zawstydzony.

— Utalentowany! — wyjaśniła Agnes. — Powiedział, że Clarence jest utalentowany.

Na jego twarz wystąpił rumieniec, Clarence ponownie zaczął wykonywać znaki.

— Pan Monk nie miał dzieci — tłumaczyła Agnes — i gdy zmarł, prawnik przyszedł do nas z tym kufrem. Miałem wtedy jedenaście lat i było to najważniejsze wydarzenie w moim życiu.

Clarence wyglądał na poruszonego tym wspomnieniem.

— Pan Monk powiedział, że w żadnym muzeum nie widział takiego kufra z narzędziami — wyjaśniła Agnes. — Byliśmy głęboko poruszeni jego gestem miłości i zaufania. Clarence mówi, że trzyma ojciec dłuto. Cynthia, to jest dłuto kielichowe... czy widzicie monogram wytwórcy, John Green, o tutaj? Sammy, to jest sztydło płaskie.

Clarence zrobił znak do Sammy'ego.

— Było używane do drążenia otworów prowadzących na gwoździe. Rączka jest z mahoni, okucie z buku. Rączkę trzyma się w dłoni naprawdę przyjemnie; prawdopodobnie służyło czterem innym stolarzom, zanim odziedziczył je pan Monk.

Sammy pokazał na coś.

— C-co to jest?

Palce Agnes zdawały się płynąć, gdy tłumaczyła zarówno pytania, jak i odpowiedzi.

— Domowej roboty korba do świrdrów, wierci się nią otwory.

— Używasz tego w-wszystkiego, gdy pracujesz?

— Używałem wielu z tych narzędzi, gdy robiłem ambonę i laskę mamy.

Ojciec Tim był poruszony tym, co zobaczył w warsztacie Clarence'a; niczego podobnego nigdy wcześniej nie widział. Każde narzędzie wisiało na swoim miejscu, razem z innymi tego samego rodzaju, włącznie z zestawem strugów płaszczynowych, korb do świrdrów, strugów żłobników i strugów wałkowników. Na drewnianych półkach stały tace na chleb i misy na ciasto z kasztanowca i topoli. Na pozamiatanej sosnowej podłodze stała miotła oparta o wyplatane krzesło. W rogu popołudniowe światło padało ukośnie na tajemniczą drewnianą konstrukcję, z powagą i uroczystą godnością.

Agnes oparła się na lasce.

— A tam widać niektóre z pięknych wyrobów zainspirowanych i powstałych pod wpływem pana Monka.

Odwrócili się w kierunku ściany, gdzie wisiały w rzędach laski z rzeźbionymi główkami. Pod laskami zaś menażeria rzeźbionych zwierząt tłoczyła się na stole na kozłach.

Wikary ujął w dłoń niedźwiedzia czarnego i trzymał go przez chwilę w strudze światła. Obracał go w jedną i w drugą stronę, urzeczony. Szczerze mówiąc, nigdy nie wiedział, jak wygląda niedźwiedź, aż do tej chwili.

— Clarence zrobił prezent dla każdego z was — powiedziała Agnes.

Clarence zaczął rozdawać prezenty.

— Dla ojca, Geehaw Whimmy Diddle. Indianie Cherokee używali go jako wykrywacza kłamstw; Clarence pokaże ojcu, jak się nim posługiwać. Dla ciebie, Cynthia, Flipper Dinger, zabawa polega na złapaniu kulki do koszyka — a dla ciebie, Sammy, Limber Jack, który będzie tańczył na swojej scenie do końca świata. Mamy nadzieję, że te stare górskie zabawki sprawią wam wiele radości.

Cynthia promieniała.

— Mnie już samo poznanie, jak się nazywają, sprawiło dużo radości!

Opuszczając teren kościelny, ojciec Tim ujął dłoń Agnes, a jego serce przepełniła radość, jakiej nie znał już od lat.

— Ty i Rooter będziecie uczyć języka migowego, my razem modlitewnika... a niech to, będziemy tu naszym prawdziwym uniwersytet!

— „Teraz w starości mej, rozkwitam jeszcze”\* — odparła, cytując jednego z ulubionych przez nich oboje poetów.

\* George Herbert, *Kwiat*, op. cit.

— „Wącham znów rosę i deszcze!” — odpowiedział.

— A przy okazji, co to było trzydzieści osiem poziomo? Hasło brzmiało „Bujdy”, o ile sobie dobrze przypominam.

— Nonsens!

— Pod tym hasłem mogłyby się kryć rady, które czasami daje kościół.

Agnes nie była w stanie powstrzymać ironicznego uśmiechu.

— Mam nadzieję, że nie mąci ojca spokoju ten przykry problem.

— Ależ oczywiście, że nie! — odparł, uśmiechając się.

— Czy zawieziemy Sissie jej Magic Markers i książki o Violet? — zapytała jego żona, gdy wsiadali do półciężarówki.

Spojrzał na Sammy'ego, wciśniętego pomiędzy Cynthię a drzwi pasażera.

— Czy nasiona zakiełkują bez ciebie, przyjacielu?

— No. N-nie ma sprawy.

Wkrótce trzeba będzie zacząć ćwiczyć to, co przećwiczył z Dooleyem: rozpocząć długotrwały, żmudny i bolesny proces zamieniania „no” na „tak, proszę pana” i „tak, proszę pani” oraz „nie” na „nie, proszę pana” i „nie, proszę pani”. Ten instruktaż doprowadził do zaciętej walki z Dooleyem Barlowe'em, ale przy całym bólu i przykrości po obydwu stronach nasienie zakiełkowało i przyniosło owoc. Szczerze mówiąc, powinien był omówić to z Sammym na samym początku...

— Załatwione! — zwrócił się do żony, skręcając w lewo, zamiast w prawo, z prowadzącej do kościoła drogi.

— Czy udało ci się wydobyć od Sparkle ten przepis jej babci?

— Mam go tutaj — odparł, klepiąc kieszeń kurtki.

Już nigdy w życiu nie doda do pieczenia mięsnej mąki owsianej. O nie. Życie jest zbyt krótkie.

Drzwi otworzyła im Sissie, ubrana w T-shirt, spodnie od pizamy i swoje żółte buty. Miała zaczerwienione i spuchnięte oczy.

— Mama śpi — poinformowała ich. — Jest tu Granny, żeby skłonić ją do jedzenia, ale ona nic nie chce jeść.

— Pamiętasz Cynthię.

Jego żona nie lubiła formalnych tytułów; dla każdego i dla wszystkich była po prostu Cynthią.

— Hej — przywitała się Sissie, wyglądając bardzo mizernie.

— Hej. Przyniosłam ci obiecane książki.

Podala Sissie egzemplarz *Violet przyjeżdża na dobre* i *Violet jedzie na wieś*.

Sissie przyglądała się okładkom, w milczeniu.

— A to twoje Magic Markers. Sissie wzięła pudełko niepewnie.

— Nie wiem, co to są Magic Markers.

— Gdzie jest Donny? — zapytał ojciec Tim.

— Nie wiemy, gdzie on jest. Donny pije.

Księża mieli prawo, tak jakby, wpadać bez zapowiedzi, ale naleganie, aby zostać zaproszonym do środka, to już coś zupełnie innego.

On i Cynthia spojrzeli na siebie.

— A może poprosisz Sammy'ego, żeby na nas poczekał — zaproponowała. — Może chciałby poszukać korzeniówki w lesie. I daj mi kilka minut z Dovey i Granny, zanim wejdiesz.

— Mamo, musisz jeść.

— Nie chcę, Sissie.

— Musisz! Granny mówi, że umrzesz, jak nie będziesz jadła.

— Ależ nie — zaprzeczyła Granny. — Nic nie mówiłam o umieraniu. Mówiłam, że nie można żyć, jak się nie je.

Sissie oparła ręce na biodrach.

— To to samo, co umrzeć!

Sissie podeszła gniewnym krokiem do łóżka.

— Popatrz, mamo, zatańczę dla ciebie, dobrze? Odwróć głowę i się popatrz, zatańczę dla ciebie w moich żółtych bucikach. Tańczę dla ciebie, mamo! Proszę, jedz!

— Chodź, Sissie.

Ojciec Tim wyciągnął do niej ręce, a ona podeszła i usiadła mu na kolanach, niepewnie.

— Dovey, są rzeczy, które musimy robić, czy nam się to podoba, czy nie. Musisz się odżywiać.

— Przynieście mi w takim razie mój talerz i wszystko.

— To fasola szparagowa i tłuczone ziemniaki — wyjaśniła Sissie. — I co jeszcze, Granny?

— Duszona wołowina, bardzo miękka i smaczny rosół.

— A to czerwone?

— Buraki.

— Ona nie lubi buraków. Granny wyglądała na zdecydowaną.

— Buraki mają żelazo. Ona potrzebuje żelaza, jak ma wstać z tego wyrka.

Sissie zeskoczyła mu z kolan i wzięła talerz od Granny.

— Żelazo, mamo, potrzebujesz żelaza.

— Pomóż mi wstać w takim razie.

Cynthia pomogła Dovey usiąść na łóżku i poprawiła za nią poduszki.

— Gdy zjesz, chętnie wyszczotkowałabym ci włosy i pomogła zmienić piżamę. Co ty na to?

— Tak, proszę pani.

— Każemy ojcu Timowi wyjść na zewnątrz. Czy napijesz się wody?

— Tak, proszę pani, dziękuję. I muszę lekarstwo. Może mi pani wlać do dzbanka wodę?

Cynthia podeszła do zlewozmywaka z porcelanowym dzbankiem we wzorek, a za nią podążyła Sissie, służąc instrukcjami.

— Trzeba trzymać naprawdę dobrze za dno, ucho oderwało się i było przyklejane dwa razy. Mama ma go, odkąd była mała, i wszystkie inne ładne naczynia też. Cały jej serwis jest we wzór z zamkiem, krowami na podwórku i rzeką, ale prawie cały jest potłuczony i posklejany. Dała jej go mama Ruby, mama mówiła, że może go dostanę, jak urosnę.

— Chciałabym, żeby zabrał ojciec kiedyś tę małą na którąś ze swoich wizytacji — zwróciła się do wikarego Granny. — Prawie nigdy nic nie robi, siedzi tu jak królik w klatce.

— Sissie, czy miałabyś ochotę wybrać się kiedyś ze mną i Agnes — na jedną z naszych wizytacji?

— Co to są te wasze wizytacje?

— Odwiedzamy ludzi. I rozmawiamy. Lubisz rozmawiać.

— O tak, dobry Boże — przyznała Granny. — Gęba jej się nie zamyka!

— Patrzcie! — zawołała Sissie. — Mama ugryzła kęs! Zjadła!

Wyszli na zewnątrz z Granny, gdzie spotkali Rootera, jak przyglądał się robakowi wspinającemu się po nogawce jego spodni. Usiedli na plastikowych krzesłach, które najwyraźniej zniosły niejedno załamanie pogody.

— Gdzie byłś? — zwróciła się do Rootera Granny.

— Mówiłaś, żebym nie wchodził, poszedłem więc w górę drogą i znalazłem tego robaka.

— Cóż, nie usiądź na nim i nie pobrudź sobie portków.

Granny spojrzała na swoich towarzyszy, zadowolona z jeszcze jednej okazji, by mile spędzić czas.

— Możemy patrzeć na przejeżdżające samochody!

Mimo że nie znalazł korzeniówki, Sammy wyszedł z lasu z jeszcze cenniejszym znaleziskiem. Na pakę półcięzarówki rzucił duży kamień.

— Będę nim podpierał bramkę do ogrodu, gdy nie będzie się chciała zamknąć.

— Doskonale! Chodź tu i usiądź z nami, przyjacielu; wkrótce będziemy wracać.

Sammy przyciągnął krzesło do Rootera i skinął w stronę Granny.

— A wiecie, że mama Donny'ego zastrzeliła jego tatę? — Rooter zapytał wikarego.

Robak szedł w górę po jego ramieniu.

— Wiemy.

— Zabiła go na śmierć. A wiecie, że Robert zabił swojego dziadka? Długo siedział we więzieniu; Granny mówi, że dłużej, niż ja żyję.

— Nie gadaj o tych okropieństwach — skarciła go Granny.

— Czy widziałeś, jak to zrobił? — ojciec Tim zwrócił się do Rootera.

Rooter zdjął robaka z ramienia i przyglądał mu się uważnie, jak leżał mu na dłoni.

— Nie było mnie na świecie, jak to zrobił.

— Skąd wiesz, że to zrobił?

— Stary Fred, co mieszka w autobusie, mówił, że Robert to zrobił, jasne jak słońce. Stary Fred słyszy głosy, rozmawia z ludźmi, których tam wcale nie ma.

— Czy byłeś w tym autobusie? — rozgniewała się Granny. — Wiesz bardzo dobrze, że nie wolno ci łączyć do tego autobusa.

— Nie uda ci się mnie za to zbić, bo mnie nie złapiesz.

— To poproszę tego księdza tutaj, żeby cię zdzielił za mnie.

— Nie, proszę pani, ja nie zajmuję się biciem. Pozwól, że cię zapytam, Rooter, czy Fred mówił, że widział, jak się to stało?

— Mówił, że nie widział, jak się to stało, ale że szedł drogą i słyszał, jak Robert i jego dziadek się kłócą, mówił, że słyszał, jak dziadek krzychał na głos jego imię.

— Czy Fred zeznawał w sądzie, Granny? Wiesz coś o tym?

— Nie zadaję się z marginesem, mnie wystarczy zadawanie się z przyzwoitymi ludźmi.

Granny wyciągnęła rękę i chwyciła Rootera za włosy.

— Auu! — jęknął Rooter.

— Będzie cię bolało jeszcze bardziej, jak jeszcze raz tam poleziesz. — Granny nie puszczała włosów Rootera.

— Słyszysz, co mówię?

Rooter spojrzał na Sammy'ego i ojca Tima, speszony.

— Słyszysz, co mówi, synu?

— Słyszę — zwrócił się do Granny.

Jeśli przeżył ranek na wyżynach, to teraz z pewnością czuł się, jakby szedł doliną, zarówno dosłownie, jak i w przenośni. Był wykończony.

Oparł się wygodnie o wysokie oparcie fotela, siedząc naprzeciwko żony i zamknął oczy.

Powinni zaprosić na któryś weekend małego brata i siostrę Sammy'ego. Mógłby zabrać ich z miasta. Na pewno sprawiłby im radość widok jagniąt i kurcząt. Sammy'emu dobrze zrobiłoby towarzystwo rodzeństwa. Bez względu na to, jak się starają z Cynthią, tego jednego nie są mu w stanie dać.

— Ile było dzisiaj jajek? — zainteresowała się jego żona, ziewając szeroko.

Ziewnął w odpowiedzi.

— Jak zwykle. Czternaście.

— Znowu zabraknie miejsca w lodówce, proszę, zabierz ze sobą trochę na swoje wizytacje w tym tygodniu — poradziła. — Panna Martha musiała zużyć cały swój tuzin do tego tortu czekoladowego. Co to był za tort!

— Nawet mi nie mów — rzucił błagalnie.

Mógłby przysiąc, że Martha McKinney ukryła w swoim torcie magnes, tak przyciągał go do stołu, raz po raz. Chyba tylko z bożej łaski udało mu się zachować zdrowy dystans, chociaż spróbował kilka okruszków z kawałka Lily, na wypadek gdyby zapytała go o zdanie.



— Myślę, że Dovey nie cierpi na depresję — zawyrokowała.

— A jak myślisz, co jej jest?

Sam przeżył chwile w ciemności i mimo że nie leżał w łóżku, miał na to cholerną ochotę.

— Zgaduję jedynie, naprawdę. Wydaje mi się, że jej problem ma podłoże fizyczne lub fizjologiczne. Być może depresja wzięła się z tego, że nikt nie wie, jak wyleczyć jej prawdziwą chorobę.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, absolutnie wyczerpany.

— Co powiesz na miłą lekturę do poduszki?

Psy chrapały. Sammy rozmawiał, jak nieomal codziennie wieczorem, przez telefon z Dooleyem.

— Brzmi wspaniale — zgodziła się. — Może tym razem ja nam poczytam?

Chętnie zaczął wertować książkę.

— To z *Michała*, wspaniałego wiersza Wordswortha. Przywodzi mi na myśl Holy Trinity. Teraz, gdy na nowo odkryłem ten wiersz, zawsze będę widział w wyobraźni owce pośród skał. Zaczynaj czytać od miejsca, które zaznaczyłem palcem.

Violet wskoczyła na kolana Cynthii i usadowiła się na nich wygodnie, podczas gdy jej pani poprawiła okulary i zaczęła czytać:

*Góry pasterskie przed tobą wyrosły,  
Ale odwagi!  
Z obu stron potoku  
Góry się oto nagle rozstępują,  
Tworząc głęboką, cienistą dolinę.  
Żadnych tam nie ma domostw.  
Wędrownicy,  
Co tam zbłądzą, niczego nie ujrzą  
Prócz kilku owiec, skał, ogromnych głazów  
I kani, które żeglują po niebie.  
Jest to naprawdę ostateczna pustka\*.*

\* William Wordsworth, *Michał. Poemat pasterski*, tłum. Zygmunt Kubiak, PIW, Warszawa 1978.

Spojrzała na kominek, skąd usunięto sklejkę, a do komina wstawiono drabinę. Zauważyła sadzę i popiół, które opadły na palenisko od czasu odkurzenia Lily, i zastanowiła się nad tym, co mówił Lloyd i jego pomocnik o swoim pierwszym zajęciu w poniedziałek rano. Następnie spojrzała na swojego męża, który zasnął w okularach zatkniętych na czubku głowy.

— Ostateczna pustka, najdroższy! — zawołała, jakby ją słyszał. — Czy ty w ogóle jesteś sobie w stanie wyobrazić coś takiego?

Nie miał pojęcia, co myśleć o zdecydowanie atrakcyjnej kobiecie, która stała w drzwiach ich domu. Miała na głowie perukę blond — nie wspominając o kowbojskich butach z ostrymi szpicami i stroju z frędzlami, które zdecydowanie falowały.

— Cześć! Jestem Violet — przedstawiła się, obdarzając go szerokim uśmiechem.

— Violet! Spodziewałem się Lily.

— No pewnie. Wszystkie przepadają za Lily.

Może i tak, miał ochotę powiedzieć, tyle że ona prawie nigdy się nie zjawia. Jak to technicznie możliwe, żeby za kimś takim przepadać?

— Powiedziała, że będzie o dziewiątej trzydzieści na bank. Złapała gumę; musiała zadzwonić na stację, bo jej mąż jest w Hickory, gdzie szlifuje sobie głowice. Jechałam w tę stronę, więc prosiła, żebym się zatrzymała i ojcu powiedziała; nie ma telefonu komórkowego, wie ojciec. Może sobie ojciec wyobrazić życie bez telefonu komórkowego przy tym dzisiejszym szalonym tempie?

Szczerze mówiąc, był sobie w stanie wyobrazić.

— Ja gadam przez telefon komórkowy na okrągło. A ojciec?

— Nie mam telefonu komórkowego.

Jej błękitne oczy zrobiły się nagle okrągłe.

— Nie wierzę!

— Ale — przyznał niechętnie — zamierzam go sobie kupić.

— Kiedy?

— W lipcu.

— Pomogę go ojcu zaprogramować, jak będę zastępować Lily. Cóż, muszę lecieć. Mam występ w radiu o dwunastej.

— W radiu?

— Śpiewam. — I zaczęła śpiewać. — *Delta Dawn, cóż to za kwiat masz?...*

Usłyszał dziwny dźwięk, jakby mały człowieczek grał na małej trąbce.

— Ups, mój telefon, właśnie dzwoni! A nie mówiłam? Zbiegła po schodach, stukając obcasami.

— High Country Lite, dziesiąta czterdzieści! Dobrego dnia! Hej, mówi Violet, z kim rozmawiam...?

Zauważył, że Lloyd i jego pomocnik stali jak wryci, z szeroko otwartymi ustami.

— Zawsze nadrabiam czas, jeśli się spóźnię! — rzuciła Lily, wchodząc do kuchni.

Ich pomoc domowa ciągnęła po drewnianej podłodze w kuchni odkurzacz, podczas gdy jego żona siedziała przy swoich sztalugach i wyglądała tak, jakby miała ochotę wskoczyć przez okno.

— Oczywiście — krzyknął w odpowiedzi. — Cieszę się, że dotarłaś do nas bezpiecznie!

Zauważył, że ktoś stoi w kominku, na szczeblu drabiny widoczne były robocze buty, które zniknęły w otworze komina.

— Spadam stąd, Kavanagh. Wybieram się z wizytą do Lottie Greer i Bezdomnego Hobbesa. Już od dawna byłem im winien odwiedziny. Muszę kupić parę rzeczy dla naszego ciężko pracującego ogrodnika, a skoro już tam będę, to Lloyd mówił, że przydałaby mu się kielnia; w jego wiernym narzędziu ostrze odpadło od uchwytu po dwudziestu pięciu latach używania. Możesz to sobie wyobrazić?

— Z pewnością się wysłużyło! — stwierdziła jego żona ze stoickim spokojem.

— Trzy klęczniki przyszły rozprute w szwach i trzeba je zwrócić; pomyślałem, że je podrzucę do UPS. I Blake nie może dzisiaj wyjechać, stwierdził zanokcicę u kilku owiec, to poważna sprawa; obiecałem mu, że odbiorę lekarstwo, którego potrzebuje, u weterynarza w Wesley. A jeśli starczy mi czasu, zajrzę do Mitford i odwiedzę Gene'a i wujaszka Billy'ego. Oczywiście, chciałbym również pojechać do Lambert i zajrzeć do Roberta Pricharda...

— Najdroższy.

— Tak.

— Gonisz jak w kieracie.

Czuł, że nie może złapać oddechu, ale nie wiedział dlaczego.

— Chodź ze mną — poprosiła, ujmując go za ramię. Wyszli na ganek, a potem zeszli po schodach.

— Gdzie idziemy? — upewnił się.

— Z dala od tego wszystkiego! Z dala od czarującego *pac, pac, pac* szpachli w kominie i tuż pod moim nosem! Z dala od warkotu odkurzacza i tysiącrotnych przeprosin Lily, że znowu nas rozczarowała, i dwóch koszów prania, załadowanych aż po sufit ubłoconymi roboczymi ubraniami Sammy'ego...

W geście pojednania pozwolił, aby ciągnęła go za sobą jak wór ziemniaków.

— Z dala od kłębów psiej sierści — kontynuowała litanię — i białych kotów, które nieustannie uciekają na zewnątrz, żeby paść ofiarą dzikich pantyr! Z dala od komercji kalendarzy i jagniąt, które wyglądają jak psy w futrzanych pidżamach i które trzeba malować raz po raz, a przede wszystkim...

Kierowali się w stronę pastwiska dla owiec, w szybkim tempie, jakby uciekali z miejsca przestępstwa.

— ...z dala od nowego terminu, który został mi właśnie narzucony, co sprawia, że jestem wściekła na swojego bezwzględnego, okrutnego i pozbawionego rozumu wydawcę! Z dala od tego wszystkiego!

— Ale dokąd?

— Nie mam pojęcia. Żadnego. Co więcej, nawet nie chcę żadnych pomysłów.

— Aha.

— Z drugiej strony — rzuciła zupełnie bez tchu — gdyby mi miał przyjść do głowy jakiś pomysł, to byłoby to coś takiego. Do spokoju. Do samotności. Do śmiechu!

Zatrzymała się nagle i usiadła w trawie. Usiadł obok niej.

— Jesteś piękna, gdy się złościś.

Przeczytał to zdanie w komiksie, gdy był chłopcem. Zawsze uważał, że to wspaniałe powiedzenie. Wybuchnęła śmiechem i położyła się na trawie.

— Ty sam biegales ostatnio jak szalony, Timothy, tak jak zawsze w Lord's Chapel i Whitecap. Nawet gdy nie masz kościoła, biegasz jak szalony. Taką masz naturę, kochanie. Ja w ogóle nie mam takiej natury, ale wpadam w wir szaleńczego biegu wszystkich dookoła!

Nie chciał uciekać w chwili, gdy jego żona dawała upust swojemu niezadowoleniu; ona nigdy nie uciekała, gdy on to robił. Panna Lottie nie będzie jednak żyła wiecznie...

— Za rok jedziemy do Irlandii — przypomniał, głaszcząc ją po dłoni. — I do Whitecap, z dłuższą wizytą.

Usiadła.

— Ale to wszystko wydaje się takie odległe. Poza tym potrzebujemy czegoś miłego i zwykłego natychmiast. Czegoś... nieskomplikowanego.

— Coś jak nasze dawne chwile wytchnienia?

— Tak! To znaczy, spójrz tam... na tę śliczną wąską ścieżkę wiodącą do lasu. Czyż nie byłoby cudownie „tam zbłądzić”, jak pisał pan Wordsworth, i odkryć jej koniec?

— Pamiętam, że widziałem tę ścieżkę, gdy był w domu Dooley.

— Płot tak ślicznie opada po obydwu stronach ścieżki i bluszcz oplata słupki. Kiedyś musiała tam być furtka — i pomyśl tylko o cudownym mchu, który znaleźlibyśmy nad strumieniem. Przez ten las nie płynie żaden strumień, prawda?

— Nie wiem.

— Timothy, mieszkamy na wsi i nic nie wiemy o bożym świecie. I nie mam pojęcia, co z tym zrobić!

— Nie widziałem panny Lottie od ponad roku. Ma dziewięćdziesiąt lat, rozumiesz.

— Oczywiście, musisz ją odwiedzić. Wstała i otrzepała spodnie.

— A ja muszę zadzwonić do Nowego Jorku i omówić ten nowy napięty plan produkcyjny, i przygotować rysunek do wystania FedExem o jedenastej, i zdecydować, jakie ciasto powinna upiec dzisiaj Lily, i...

— Z wiśniami! — Wstał, słysząc trzeszczenie w stawach. — Poproś ją, żeby upiekła ciasto z wiśniami, a będę cię całował po stopach.

— Nie musisz się tak podlizywać — zawołała. — Masz to załatwione.

Pocałowała go w policzek, potem odsunęła się i spojrzała na niego, jakby zupełnie innymi oczami.

— Wybacz mi. Powinniśmy być tacy wdzięczni za wszystko, co mamy, mimo to pozwalam, aby uroki tego wygodnego życia zupełnie przewróciły mi w głowie. Ty potrafisz zachować do nich zdrowy dystans.

— Nie mogę uwierzyć, że przeżyłaś ze mną prawie osiem lat i mówisz to całkiem poważnie.

— No dobrze. Ale ty radzisz sobie z tym lepiej.

— Ty radzisz sobie całkiem nieźle, Kavanagh. Sam nasz Bóg musiał uciec od uroków życia. Pójdziemy tą ścieżką za tydzień. Zarezerwujmy na to czas.

— Zabiorę piknik w koszyku — zaproponowała. Poczuł, jak na twarz wypływa mu uśmiech.

— A ja wezmę koc.

Zapukał najpierw do jej mieszkania na tyłach sklepu Greerów, a nie słysząc odpowiedzi, zwrócił się z pytaniem do sprzedawcy w sklepie.

— Panna Greer wyszła z sąsiadką około godzinę temu.

— W takim razie czuje się dobrze! Dzięki Bogu, że nie przyszedł za późno.

— No pewnie.

— A jej kot?

— Odszedł do chwały, jak mawia. Ten kot miał osiemnaście lat!

— Do licha! No cóż. Jestem Tim Kavanagh.

— Judd Baker z Kalifornii. Razem z żoną, Cindy, kupiliśmy ten sklep rok temu i postanowiliśmy zachować oryginalną nazwę, sklep Greerów. Co ojciec uważa?

Rozejrzył się dookoła. Zdecydowanie nie był to stary sklep, w którym z Absalomem wyciągali butelki ze skrzynek i gadali jak najęci; nie był to stary sklep, na którego tyłach siedzieli i jedli przygotowany przez pannę Lottie posiłek, składający się z ziemniaków i baraniny z domowej roboty sosem miętowym; i z pewnością nie był to sklep, w którym młody Absalom ujrzał chór aniołów...

— Jest bardzo ładnie! O tak, bardzo ładnie. Ale... Westchnął mimowolnie.

— Ale inaczej — powiedział właściciel, kiwając mądrze głową.

Bezdomnego Hobbesa również nie było w domu.

Jego stary powiernik i zarazem kuchnia polowa serwująca zupełę przeniósł się z chatki nad strumieniem do białego domku przy wysypanej żwirem drodze. Do drewnianej ramy drzwi z siatką przypięty był liścik ze słowami powitania.

*Drogi Przyjacielu! To dom Boży. Podczas mojej nieobecności zapraszam, abyś usiadł na ganku i odpoczął chwilę i napił się wody z kranu, na prawo od schodów. W każdym razie będę z powrotem o czwartej po południu, 23.*

*Niech Ci Bóg błogosławi. B. Hobbes.*

Napisał liścik od siebie i wsunął go do skrzynki przytwierdzonej do poręczy ganku.

*Drogi Bezdomny!*

*Po raz kolejny zadałeś kłam swojemu wspaniałemu imieniu i zamieszkałeś w tym wspaniałym domu!*

*Często o Tobie myślę i tęsknię za naszymi rozmowami na, jak to określił Jefferson, „przedpotopowe tematy”. Mieszkam obecnie spory kawał drogi stąd i jestem wikarym w kościele Holy Trinity na szczycie Wilson's Ridge. Dziesiąta rano w każdą niedzielę. Jaką ogromną radość sprawiłby mi widok Twojej twarzy!*

*Z Jego łaski o. Kavanagh †*

*A oto coś dla Ciebie, mój przyjacielu i miłośniku książek — autorstwa François Mauriac:*

*„Gdybyś chciał zdradzić mi serce człowieka, nie mów mi, co czyta, ale do czego wraca”. Amen.*

W czasie swych licznych lat posługi spoglądał w niezliczoną ilość par oczu — czasami widział w nich samą miłość Chrystusa, dużo częściej obawę albo złość lub nieufność. W oczach Roberta Pricharda ujrzał coś, czego absolutnie nie był w stanie nazwać. Ale był w nich głód, z pewnością. Błaganie, tak. I straszny smutek. Bycie tego świadkiem sprawiało ból.

Wskazał na spłowiałe litery nad drzwiami prowadzącymi do kanału: *Prichard Enterprises*.

— Zakład wobec tego należy do ciebie, gratuluję! Robert wyjął gałgan z kieszeni i użył go przed uściśnięciem dłoni wikarego.

— Pomyślałem, że zajrzę i zamienię kilka słów. Pięknie tutaj.

Po drugiej stronie drogi, naprzeciwko warsztatu, ciągnęło się wyniosłe pasmo gór, opadające po zachodniej stronie.

— Chciałem ci powiedzieć, że cieszymy się, że dołączyłeś do nas do Holy Trinity. Każdy z osobna i wszyscy razem są w naszej gromadce błogosławieństwem.

Wikary przyglądał się, jak Robert nadal wyciera dłonie w gałgan, niepewnie. Wizyta pastora często zbijała ludzi z tropu.

— Chciałbym zobaczyć twój warsztat, jeśli masz czas, żeby mi go pokazać.

— Nie ma co za wiele oglądać. Mam podnośnik i kanał, nic wielkiego.

— To chyba automat z napojami. Pozwolisz, że poczęstuję cię czymś zimnym? Robi się gorąco.

— Muszę skończyć tego vana chevy do drugiej. Ale tak, może być. Możemy usiąść tutaj.

Robert wskazał kciukiem ławkę pod sosną.

— Dobrze. Czego się napijesz?

— Cheerwine.

Automat wyrzucił cheerwine, a on wybrał następnie napój dietetyczny — dobrze pamiętał swoją lekcję.

Przeszli przez wyrobiony asfalt i usiedli na ławce. Zapadła niezręczna chwila ciszy; Robert spojrzał na niego, jakby spodziewał się ataku.

— Nie zrobiłem tego, jeśli po to ojciec przyszedł. Drażąc ten temat, zaryzykuje, ale modlił się w tej sprawie, i oto miał pozwolenie, bez dwu zdań.

— Chciałem ci powiedzieć, że nie wierzę, iż to zrobiłeś. Wiewiórka wbiegła na drzewo za nimi. Robert nie zareagował na tę deklarację, bawił się jedynie puszką napoju.

— Nigdy nie gadałem o tym zbyt wiele; ludzie się boją o tym myśleć, szczególnie gdy im się wydaje, że ja to zrobiłem.

— Musiałeś zdobyć się na odwagę, żeby przyjść do Holy Trinity.

— No.

— Możesz mi powiedzieć, co się stało? Mięsień zadrgał na zuchwie Roberta.

— To trudne. Trudno o tym mówić.

— W takim razie po prostu porozmawiajmy.

— Nie.

Robert uwolnił oddech, jakby wstrzymywał go od dłuższego czasu.

— Opowiem ojcu. Klóciłem się z dziadkiem dwa razy. Za każdym razem o pieniądze. Pożyczył ode mnie, a potem nie oddał. Mówił, że nie pamięta, żeby ode mnie pożyczał. Za drugim razem było to pięćset dolarów, które odłożyłem na ciężarówkę, trudno tu dojechać do roboty, jak nie ma się własnych czterech kółek.

Poszedłem do niego, by pomóc mu oporządzić jelenia, i miałem ze sobą swój najlepszy nóż do jeleni; na ręczce wryłem swoje inicjały, RP. Gdy oskórowaliśmy tego jelenia — był młody i nie zajęło nam to dużo czasu — położyłem swój nóż na półce w komórce. Komórka stała tuż obok domu. Potem poszliśmy do domu wziąć balię. Chcieliśmy włożyć do niej mięso i zanieść do wędzarni.

Zaczęło mocno padać i dziadek kazał mi poprawić ogień na palenisku. Usiedliśmy na chwilę. Dziadek pił, jak zwykle.

Pamiętam, że wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, jak ktoś przechodzi. Nie widziałem, kto to, przez deszcz, ale to był mężczyzna w jakimś kapeluszu. Powiedziałem, że wygląda, jakby ktoś tam był, więc wziął strzelbę i wyszedł, a potem wrócił zupełnie przemoczony, powiedział, że nikogo tam nie ma i że chyba piłem.

Piłem, ale on pił dużo więcej. Zapytałem go, kiedy zamierza mi oddać pieniądze, a on powiedział, że nie ma nic do oddawania. Powiedział, że jest moim dziadkiem, krewniakiem, a krewni nie muszą oddawać.

Zaczęliśmy się kłócić i uderzył mnie dość mocno żeliwnym rondlem. Wiedziałem, że jeśli się stamtąd nie wyniosę, stłukę go na kwaśne jabłko.

Robert spojrział na wikarego.

— Więc uciekłem. Pobiegłem do domu. Potem przypomniałem sobie o nożu, który leżał na półce; dałem za niego trzydzieści dolarów.

Robert składał swój pobrudzony smarem gałgan w małą kostkę.

— Deszcz osłabł, gdy szedłem z powrotem, a gdy dotarłem do komórki, usłyszałem, jak ktoś woła: „Cicho, przestańcie gadać”. I słowo, którego nie zamierzam powtarzać wobec kaznodziei.

Potem usłyszałem krzyk dziadka, był to głos, którego już nigdy w życiu nie chciałbym usłyszeć.

Przestraszyłem się tak bardzo, że nie wszedłem do tej komórki, tylko pobiegłem do domu. Drugiego dnia telefon zaczął dzwonić w domu mojej mamy i ludzie mówili, że ktoś zabił dziadka. Chyba byłem głupi, nawet nie pomyślałem, że po mnie przyjdą. Szeryf i jego dwóch ludzi przyszło po mnie w porze kolacji. Ktośkolwiek to był, posłużył się moim nożem, ale jedyne odciski palców, jakie na nim pozostały, należały do mnie.

Szeryf zobaczył miejsce, w które dziadek uderzył mnie rondlem; było fioletowo-żółte i bardzo napuchnięte. Było po mnie, w chwili gdy zabrali mnie z domu.

Mogę ojcu szczerze powiedzieć, że raz czy dwa modliłem się, żeby dziadek umarł. Nieraz leżałem bezsennie nocą, nienawidząc go za to, jak traktuje ludzi. Ale jakoś...

Mięsień zadrgał na policzku Roberta.

Ojciec Tim czekał.

— Jakoś, wydaje mi się... jakby go kochałem. — Robert schował głowę w dłonie i zapłakał. — Gdybym tam wszedł, zamiast uciekać, może mógłbym go uratować.

Gdyby on, Timothy Kavanagh, został ze swoim ojcem do końca, zamiast uciekać...

Siedział z Robertem Prichardem przez, jak mu się wydawało, długi czas, modląc się w myślach. Potem wstali i wrócili do warsztatu.

— A co z Fredem, który mieszka w autobusie? Robert zmarszczył czoło.

— To znaczy?

— Czy on zeznawał w sądzie?

— Powiedział, że słyszał, jak się kłóciłem z dziadkiem.

— Jak dobrze go znałeś?

— Prawie w ogóle. Zainstalował tu swój autobus na parę miesięcy, zanim się to zdarzyło. Dziadek wspominał o nim, jeden czy dwa razy, może spotkałem go na drodze, ale nigdy naprawdę go nie znałem.

— Dziękuję ci za twoje zaufanie, Robercie. To dużo dla mnie znaczy. Modlę się za ciebie z całego serca.

— Dziękuję.

— I chcę powiedzieć jeszcze raz, że ci wierzę.

— Jedna, może dwie osoby wierzą. Większość nie. To chyba nie ma znaczenia.

— Ma — nie zgodził się ojciec Tim. — Ma.

# Rozdział trzynasty

## *Uciekają z klatki*

— Ojciec?

Spojrzał na zegarek: czwarta rano.

— Czy może ojciec przyjechać?

— Już jadę.

Mimo że w czasie całej swojej kariery duchownego był wzywany w środku nocy zaledwie dziesięć razy, czy coś koło tego, zapobiegliwie przestrzegał powszechnej zasady szefów straży pożarnej — zawsze miał w pogotowiu koszulę i parę spodni, a buty i skarpetki przy łóżku.

Przekraczał właśnie granicę miasta, gdy zdał sobie sprawę, że przemknął obok funkcjonariusza policji Mitford.

Nic dziwnego, pomyślał, gdy ujrzął błękitne światło we wstecznym lusterku.

Funkcjonariusz pochylił się i zajrzał do środka.

— Tylko mi pan mignął.

Najwyraźniej Rodney Underwood zaczął zatrudniać ludzi od dwunastego roku w dół.

— To prawda, przepraszam.

Poprawił koloratkę, aby funkcjonariusz na pewno zauważył, że jest duchownym.

— To wujaszek Billy. — Ku jego zdziwieniu po policzkach popłynęły mu gwałtownie łzy.

— Wujaszek Billy?

— Jedna z najważniejszych osób w Mitford. Umiera. Doktor Harper zadzwonił do mnie, żebym przyjechał.

— Proszę, żeby się to już nie powtórzyło.

— Oczywiście.

Młokos pokiwał głową, jakby coś nie dawało mu spokoju.

— Nie wiem, co jest z tymi duchownymi. Wszyscy jeżdżicie jak wariaci.

W swoim pokoju w szpitalu w Mitford wujaszek Billy usiłował sobie przypomnieć, jak zaczyna się dowcip o prawniku. Czy prawnik jechał drogą, gdy potracił świstaka, czy może szedł drogą? I czy to był świstak czy świnia?

Jego czas opowiadania dowcipów dobiegał końca, zdecydowanie.

Spojrzał na sufit, który wydawał się gęsto zasnuty niskimi chmurami i było na nim widać jakby gęsi lecące na południe.

Musi nadchodzić zima. Wydaje się, jakby zima była dopiero jeden czy dwa tygodnie temu, a tu przychodzi znowu, już od tego wszystkiego kręci mu się w głowie, wszystko tak się zmienia.

Zadrżał nagle i naciągnął nakrycie pod brodę.

To były chmury zwiastujące śnieg, tak! Przyniosą duży śnieg albo coś jeszcze gorszego, ulewny deszcz.



*Billu Watson! Co tak mamroczesz?*

Nie otworzył nawet jadaczki, o ile wiedział. Kątem oka widział ją, jak siedzi na łóżku, obok jego własnego łóżka i wygląda jak czarownica na miotle.

*Czy mówiłeś, że będzie padał śnieg?*

Leżał cicho jak mysz pod miotłą i zacisnął usta, żeby nie wyrwało mu się jakieś słowo.

*Mówisz do siebie czy do mnie, Billu Watson?*

Nie, do licha, nie mówię do ciebie, nie powiedziałem do ciebie ani słowa! Bóg jeden wie, wymęczyłaś mnie tak, że nie mam już zupełnie sił. Połóż się lepiej!

Zacisnął powieki jeszcze mocniej, żeby ich przypadkiem nie otworzyć i żeby nie zobaczyła, że nie śpi.

Za chwilę spróbuje znowu pomyśleć o tym prawniku, może uda mu się kogoś rozśmieszyć, jeśli zapuka do ich drzwi, może na przykład kaznodzieję Kavanagha.

Zaczął oddychać spokojnie, potem otworzył oczy i spojrzał ponownie na sufit. Gęsi zniknęły.

Poleciały na południe!

*Nie gadaj marudnie?* — zaskrzeczała jego żona.

Przeszył go zimny dreszcz; jego żona chyba czyta mu w myślach!

Nigdy nie słyszał o takiej podłej sztuczce!

Boże, miej litość, to się chyba nigdy nie skończy.

Nagle zdał sobie sprawę, że jakby przepływa przez chmurę, niczym ptasie pióro unoszące się na łagodnym wietrze.

Przed nim widać było światło, a chmura w dotyku wydawała się jak toster nastawiony na minimum, ciepły i przyjemny, jakby znajdował się w ramionach mamy, wiele lat temu.

Mocno zaciskał oczy, żeby nie widzieć sufitu, do którego się zbliżał, potem chyba wyfrunął prosto przez niego, bez żadnego problemu.

Światło stawało się teraz mocniejsze. Wydawało mu się to dziwne, że w ogóle go nie razi; rzeczywiście, było przyjemne, jakby sprawiało, że jego stare oczy robiły się zupełnie nowe...

Wujaszek Billy poczuł, jak jakaś dłoń dotyka jego dłoni. Ten dotyk wydawał mu się jakby znajomy...

*Wszchemocny i miłosierny Boże...*

Teraz znajdował się pośród gałęzi na samym szczycie ich jabłoni, zrzucając jabłka na dół, do swojej małej siostrzyczki, Maisie, a tam była jego mama, i czekała na niego...

*...niech ci da przebaczenie i odpuszczenie grzechów...*

Wydawało mu się, że słowa dochodzą gdzieś z bardzo daleka...

Wiedział tylko, że jest szczęśliwy, bardzo szczęśliwy; wydawało mu się, że jego serce pęknie z radości. Próbował wypowiedzieć jakieś słowo, które wyraziłoby jego radość...

— ...i łaskę i pocieszenie Ducha Świętego — powiedział ojciec Tim. — Amen.

Jego głos zabrzmiał głucho w pustym pokoju.

Następnego ranka Mitford dowiedziało się, że dwoje spośród nich zostało wezwanych tej nocy.

William Benfield Watson umarł w czasie snu, z uśmiechem na twarzy, a czyniąc to, zrealizował największe pragnienie każdej duszy, która pragnie spokojnej śmierci.

Niecałą godzinę później Gene Bolick zmarł z powodu nieoperacyjnego guza mózgu. Jego żona, Esther, bezgranicznie wyczerpana, opuściła szpital zaledwie chwilę wcześniej, ulegając naciskom pielęgniarek.

To siostra Herman stała przy łóżku Gene'a, gdy wypowiedział swoje ostatnie słowa.

— Proszę powiedzieć Esther...

Siostra Herman pochyliła się, żeby usłyszeć jego szorstki szept.

— ...żeby zapłaciła rachunek za prąd.

Siostra Herman nie była pewna, czy powinna podzielić się tym pragmatycznym wyznaniem; osamotniona wdowa mogła mieć nadzieję na coś więcej.

Jednak jeszcze bardziej martwiła się, że elektrownia rzeczywiście może odciąć dostawy prądu — a nie byłoby to zbyt dobre, zważywszy na wizyty tak wielu członków rodziny i przyjaciół.

Dlatego, przy aprobacie doktora Harpera, wyrecytowała te ostatnie słowa Esther i odczuła ogromną ulgę, gdy pogrążona w żałobie i wyczerpana wdowa podziękowała jej za przypomnienie.

— Czy jest siostra pewna, że to wszystko, co powiedział?

Esther ocierała oczy zwiniętym kwadratem szpitalnego papieru toaletowego.

Jakkolwiek siostra Herman gorąco pragnęła powiedzieć coś rzeczywiście ciepłego i pocieszającego, prawda była prawdą.

— Tak, proszę pani, to wszystko.

W rzeczywistości już od dawna miała przygotowany w pamięci zestaw zmyślonych ostatnich słów do przekazania pogrążonej w żałobie rodzinie — ale tylko wtedy, jeśli to było absolutnie i zdecydowanie konieczne.

W tym wypadku *Powiedz Esther, że ją kocham*, byłoby miłe, chociaż podstawowe.

*Powiedz Esther, że doceniam te wszystkie jata, które mi poświęciła, czyniąc mnie szczęśliwym* — byłoby bardziej kwieciste, ale nie do końca wiarygodne, ponieważ pan Bolick raczej nie zaliczał się do elokwentnych.

*Powiedz Esther, że spotkamy się w niebie* — byłoby dość ryzykowne, ponieważ czasami trudno zgadnąć, kto pójdzie do nieba, a kto do tego drugiego miejsca.

Jej zdecydowanym, osobistym faworytem było:

*Powiedz Esther, że była światłem mojego życia.*

Słyszała, że ludzie mówią niesamowite rzeczy, odchodząc. Nigdy nie zapomni, jak się dowiedziała w siódmej klasie, co powiedział Thomas Edison: „Jak tam pięknie”.

Takie słowa były pocieszające dla tych, którzy pozostawali; jakże pragnęłaby, aby umierający pacjenci częściej mówili takie rzeczy.

W każdym razie powiedziała Esther szczerą prawdę i szczęśliwa, że w końcu miała te ostatnie słowa za sobą, dodała, że pan Bolick wyglądał na spokojnego, bardzo spokojnego i nie cierpiał na koniec.

Willie podał mu karton przez próg.

— Dwanaście.

— Dwanaście? To duży spadek.

— Nie wiem, jak to się stało.

Willie miał ostatnio dużo obowiązków. Może nie przyszło mu do głowy, żeby to zrobić. Więc on zrobi to sam.

Idąc przez podwórko z plastikową torbą pełną liści kapusty i obierzyn z jabłek, spojrzał na ogród warzywny. Sammy przechodził właśnie z taczka przez furtkę.

— Dobra robota, Sammy! — zawołał, podnosząc do góry pięść.

Sammy kiwnął głową, nie przerywając pracy. Wikary przypomniał sobie, że zbliża się dzień wypłaty; to sprawi, że na twarzy ich młodego ogrodnika pojawi się uśmiech.

Podniósł zasuwę i wszedł do kurnika. Dwie na grzędzie. Jedna na gnieździe. Jeszcze jedna dziobiąca przy korycie z ziarnem.

Cztery.

Wszedł na zewnątrz, przyjrzał się zasuwie i spojrzał na otoczoną siatką zagrodę.

Sześć. Osiem. Dziesięć. Dwanaście, trzynaście. Kury wcale nie chciały stać w jednym miejscu, żeby je było łatwo policzyć. Do licha. Sześć. Osiem. Dziesięć. Jedenaście, Dwanaście.

Dwanaście.

Czyżby się pomylił?

Policzył jeszcze raz.

Dwanaście.

Dziwne, pomyślał. Zagadkowe.

Otworzył torbę i wrzucił liście kapusty do zagrody; kury rzuciły się na nie radośnie. Jedna za drugą, cztery pozostałe wyszły przez otwór w ścianie kurnika i sfrunęły w dół pochylni, w chwili gdy deszcz obierzyn z jabłek spadał przez pokrycie z siatki na zagrodzie.

— Cip, cip, cip! — zawołał.

Tak właśnie uczyła go przywoływać kury Peggy, gdy był chłopcem. Pamiętał, jak wchodził do zagrody, zupełnie nie bojąc się koguta, a potem kucał, żeby przyjrzeć się im wszystkim dokładnie.

Co myślały kury? Czy były takie głupie, jak uważali niektórzy ludzie? Nie wydawały się głupie, ale wyglądały na zdenerwowane. Czy wiedziały o rosoli i o wszystkich innych rzeczach, które miały się im przytrafić? Jak Bóg wkłada jajka do kur?

Po zakończeniu tych badań naukowych Peggy odkryła, że oblażył go wszy. Miał je we włosach, na ubraniu...

— Biegiem do łaźni! — poleciła jego przerażona mama. — I zaczekaj tam na mnie i Peggy.

Lekarstwo było w jego opinii bardzo przykre; do dzisiaj pamiętał jego zapach. Siarka!

Wpychając pustą torbę do kieszeni, wyruszył do stodoły, gdzie Willie karmił butelką jagnię.

— Byłem właśnie w kurniku i policzyłem kury. Czy nie mówiłeś, że mamy dziewiętnaście?

Willie wyglądał na zakłopotanego.

— Tak, proszę ojca, liczyłem je sam w Nowy Rok.

— Liczyłem dwa razy. Mamy dwanaście.

Willie wyglądał na zaskoczonego, potem znowu zakłopotanego.

— Ale to nie ma żadnego sensu. Gdy je karmiłem, nie widziałem, żeby jakieś zdechły.

Ojciec Tim przykucnął obok Williego.

— Czy mogą wydostawać się jakoś na zewnątrz? Może uciekają z klatki?

— W tym małym kurniku nie ma ani jednej szparki. Nic się nie wydostanie na zewnątrz i nic nie dostanie się do środka. I sprawdzałem też wokół ogrodzenia, czy przypadkiem nic nie próbowało się podkopać. Nic nie próbowało się podkopać.

— Więc to nie może być norka?

— Znaleźlibyśmy pióra. Co gorsza, słyszelibyśmy wrzawę. Kiedy lis albo norka dostanie się do kurnika, kury zaczynają gdakać. Nie ma sposobu, żeby cokolwiek mogło się dostać do środka inaczej, niż otwierając zasuwę, tak jak ja i ojciec.

Ta myśl zadziałała na Williego niczym kubeł zimnej wody.

— Czy powinienem wypuścić dzisiaj na noc psy?

— Te psy nie będą spać na zewnątrz, są teraz psami domowymi. Pani Owen zupełnie je zepsuła. W każdym razie tylko jeden z nich wszystkich nie jest jeszcze za stary, żeby porządnie szczekać.

— A co z twoimi psami?

— Ja nie wypuszczam swoich psów na noc. Są tu kojoty, wie ojciec.

— Tak słyszałem. Czy ktoś byłby w stanie przejść obok twojej budy, nie alarmując psów?

— Myślę, że gdyby ktoś był dość sprytny i zachowywał się dość cicho, to mogłoby mu się to udać. Nocą dużo łatwiej jest zakraść się do kur, nie budząc ich i nie prowokując gdakania. Można podnieść jedną z grzędę dość łatwo, jeśli wie się, jak z nimi postępować.

— Czy znasz sąsiadów?

— Raczej nie. Raz na jakiś czas widuję jednego czy drugiego w Kirby's Store. Ale wydaje się, że w dzisiejszych czasach nikt już nie kradnie kur.

— Prawda — przyznał ojciec Tim — wystarczy pojechać do Wesley; można dostać już oporządzoną za niecałe trzy dolary za kilogram.

Pokiwał głową, zastanawiając się nad tym.

— Więc jak się ma ten nasz mały przyjaciel?

Ojciec Tim jeszcze nigdy nie widział tak rozpromienionego Williego.

— Będzie z niego kawał barana.

— Dobrze. Miej oczy szeroko otwarte — poprosił wikary.

— Oczywiście — obiecał pasterz, wciąż wyglądając na zadziwionego.

— Czy zwrócił ojciec kiedyś uwagę na przedziwne nazwiska niektórych duchownych? Gdy tu przyjechałam, naszym księdzem był ojciec Kościół, a ostatnio przeczytałam artykuł ojca Raja.

Zachichotał.

— W swoim czasie znałem ojca Boskiego, biskupa Wieżyczkę... och, i biskupa Dzwona! Trzeba się było z nim liczyć! I, niech no pomyślę, ojca Krzyża z Alabamy. Wallace Krzyż, o ile sobie przypominam. Co ojciec o tym myśli? — dopytywała się.

Roześmiał się serdecznie.

— Nigdy nie wiedziałem, co mam o tym myśleć! Jechali wyboistą drogą po Sissie. Dzień dojmującego chłodu, mimo że świeciło jasne słońce, a niebo było bez jednej chmurki. Agnes kulila się na fotelu pasażera w ciężkim, jeśli nawet lekko wytartym płaszczu.

— Cóż, w takim razie zajmijmy się może ważniejszymi sprawami. Co teraz mówię, ojcze?

Agnes uczyniła znak, który wydawał mu się znajomy, potem inny, który wydał mu się zagadkowy i dziwny. Rozpoczęły się ich lekcje na ten tydzień.

— Ojej, patrz, kto nas odwiedził! Siostró, chodź zobacz, kto przyszedł do nas z wizytą!

Panna Mary przyczłapała do salonu, z policzkami zaróżowionymi od żaru.

— To panna Sissie Gleason w swoich niedzielnych wizytowych bucikach! — obwieściła panna Martha.

Panna Mary klasnęła w dłonie.

— Och, nie do wiary! To panna Sissie Gleason w swoich niedzielnych wizytowych bucikach!

Dumna Sissie wysunęła najpierw jedną, potem drugą stopę.

— A my nie mamy w domu nic słodkiego! Panna Martha wyglądała na zrozpaczoną.

— Cóż, wchodźcie, wchodźcie, znajdziemy coś słodkiego w malowanej szafce; zawsze tak jest.

— Nie, proszę pani — sprostował — nie przyszliśmy, żeby jeść, przyszliśmy z przesyłką dla was i żeby zobaczyć wasze uśmiechnięte twarze. Zaraz ruszamy dalej.

— Od sióstr McKinney nie wychodzi się bez poczęstunku. Chodźcie do kuchni, tam jest ciepło! Tej części domu nie ogrzewamy od pięciu lat, jest tutaj jak w kostnicy!

— Od pięciu lat! — zawołała Sissie. — To tyle, ile ja mam!

Panna Martha zaganiała ich jak stadko owiec, nie zważając w ogóle na protesty jego i Agnes. Szczerze mówiąc, był szczęśliwy, że prowadzony jest do kuchni sióstr, gdzie przywitał ich gorący strumień powietrza z pieca, w którym palono dębowym drewnem.

— Drogie panie, Cynthia sądzi, że do tego wspaniałego tortu zużyły panie swój tuzin. Oto kolejna partia.

— Patrzcie tylko! To prawdziwa odpowiedź na modlitwę. Niecałe dziesięć minut temu powiedziałam: Panie, nie ma nikogo, kto mógłby zawieźć nas do sklepu, żeby kupić jajka, a nie mamy już ani jednego!

— Ani jednego — potwierdziła panna Mary.

— Możemy zawieźć panie do sklepu — zaproponował. — Z przyjemnością.

— Gdzie, u licha, wszyscy byśmy się pomieścili? — wyraziła zwątpienie panna Martha. — Jednego trzeba byłoby przywiązać na dachu, a ja bym się na pewno nie zgodziła!

— Ja też nie! — zawtórowała panna Mary.

— Ja też nie! — obwieściła Sissy, którą niemniej jednak zafascynował ten pomysł.

— Ja zostaję, żeby przypilnować ognia — zadeklarowała Agnes — więc mnie też to nie grozi.

— I zdecydowanie, absolutnie, nie będę to ja — stwierdził wikary. — Prowadzę!

Wszyscy się roześmiali.

— Thomas zawiezie nas w piątek — obwieściła panna Martha — co oznacza, że wszyscy możemy świętować dzisiaj po południu. Czy prace polowe u ojca już zostały zakończone?

— Sammy właśnie przygotował kawałek ziemi i rozsypał nawóz; wkrótce rozpoczniemy prace polowe.

A u pani?

— Ja nie zamierzam niczego uprawiać w tym roku. Za dużo roboty!

Panna Mary pokiwała gniewnie głową.

— Za dużo roboty!

— Gdzie jest ta malowana szafka?

— Ależ Sissy — zaczął strofować ją ojciec Tim.

— Jest w tym małym pokoiku zaraz za piecem.

Panna Martha otworzyła drzwi, ukazując ciemne, nieogrzewane miejsce, którego ściany wyłożone były boazerią. Na półkach wyłożonych ceratą znajdowały się wszelkiego rodzaju towary w puszkach.

— Jest tam, nie potknij się o tę balię z pomidorami. Włączę światło.

Razem z Agnes podeszli do drzwi i ujrzeli malowaną szafkę na końcu małego pomieszczenia. Panna Martha wskazała na nią z dumą.

— Orzech z domowych stron. Nasz tato ją zrobił, niech mu Bóg błogosławi.

— A nasza mama ją pomalowała — dodała panna Mary. — I niech jej też błogosławi!

— Przepiękna! — zachwyciła się Agnes.

— Tato bardzo się zasmucił, gdy zobaczył, że szafka z orzecha została pomalowana, może mi ojciec wierzyć! Ale kochał naszą drogą mamę, i koniec końców malowane scenki sprawiły, że szafka stała się podwójnie droga.

— Widzicie krowę na drzwiczkach po prawej stronie? To była krowa mamy, gdy ona dorastała. Miała na imię Flower, mama namalowała ją z pamięci. A tutaj jest nasz dom, ten, w którym teraz jesteście. A tutaj, na drugich drzwiczkach, jest taty pies aportujący ptaki, stary Mack, a tutaj jego ulubiony zaprzęg.

— Prawdziwy skarb — ocenił ojciec Tim. — Przepięknie pomalowana!

— Co jest w środku? — chciała wiedzieć Sissy.

— Nieważne, młoda damo, słuchaj, jak ci mówią, co jest na zewnątrz.

— W tym miejscu, na pierwszej szufladzie jest Wilson's Creek; widzicie, jak się wiję przez góry? A tutaj jest nasz mały piesek, Tater.

Sissie przyjrzała się podobieżnie psa w łaty.

— Czy on mieszka w domu? Chcę go zobaczyć.

— Tater zmarł — wyjaśniła panna Martha. — W czerwcu minie pięćdziesiąt lat.

— Johnny miał psa; nazywał się Prezydent Roosevelt, wołaliśmy na niego Teddy...

— A teraz! Na ostatniej szufladzie, tutaj, jest stary budynek szkoły panny Agnes, ze starym dzwonem — a tutaj, przy uchwycie... co to jest, Sissie Gleason?

— Kościół, gdzie chodzimy z Granny!

— Tak! Holy Trinity. Z dachem krytym gontem, zanim pokryli go zieloną cyną.

— Prawdziwy klejnot! — nie posiadał się z zachwyty wikary.

Sissie tupnęła nogą, zniecierpliwiona.

— Co jest w waszej szafce?

— Jeszcze raz tupniesz nogą, panno, i nigdy nie zobaczysz, co jest w tej szafce. Słyszysz, co mówię? —  
Panna Martha w jednej chwili zrobiła się bardzo sroga.

— Tak.

— Tak, proszę pani — poinstruowała panna Martha.

— Tak, proszę pani, co jest w waszej szafce, proszę! Panna Martha spojrzała na wikarego i westchnęła.

— Nie daję mi żyć — stwierdziła i otworzyła drzwiczki szafki.

— Ojej, dość konfitury z jabłek, żeby nakarmić wojsko! Ale żadnych ciastek.

Zamknęła drzwiczki i wysunęła szufladę.

— Popatrz tylko, siostrzo, zapomniałam o herbatnikach, które upiekłam w sobotę! Smaczne i dobre do chrupania; owsiane z rodzynkami! Niedługo zapomnę, jak się nazywam. Siostrzo, przygotuj pięć szklanek, do tych ciastek przyda nam się mleko.

Owsiane z rodzynkami! Jego ulubione!

Został w tyle z panną Martha, podczas gdy jej siostra z Agnes i Sissie poszły w stronę półciężarówki.

— Co wie pani o Donnym?

— Najlepszy chłopak pod słońcem, ale pije. Mówią, że nie pije na okrągło, tylko że, jak oni to nazywają? Od czasu do czasu idzie w tango. I nie ma się co dziwić, jeśli chce ojciec znać moje zdanie.

— Czy znała pani dziadka Roberta Pricharda?

— Wszyscy znali Cleve'a Pricharda i nie ma ani jednego człowieka na tej górze, który by tęsknił za tym łajdakiem!

— To tylko takie gadanie.

— Były z nim same problemy. Na jego pogrzeb przyszły tylko dwie osoby. Agnes Merton była jedną z nich, ponieważ kiedyś naprawiał jej półciężarówkę, a tej drugiej nie mogę sobie przypomnieć. Wie ojciec, że Robert mówi, że tego nie zrobił, i szczerze mówiąc, wierzę mu!

— Ja też mu wierzę.

— Niektórzy mówią, że skazany morderca nie powinien przychodzić do kościoła.

— Kto tak mówi?

— Już powiedziałam coś złego o zmarłym i nie zamierzam na dodatek na nikogo donosić!

— Co sprawiło, że Cleve Prichard stał się takim łajdakiem, jak pani twierdzi?

— Hazard i narkotyki! Sprowadził łajdackie życie do naszej małej kotlinki! Zepsuł młodych! Pędził ten przeklęty bimber!

— Czy ludzie nadal robią tu whiskey?

— Oczywiście, że tak; to nie są dawne dzieje w tych górach. Ale mówiąc szczerze, muszę to przyznać Cleve'owi Prichardowi — nie zaczął nędznie i nie wziął się znikąd. Był bardzo pracowity i ludzie go za to szanowali, ale nie miał silnej woli i wpadł w złe towarzystwo.

Ktoś przycisnął klakson półciężarówki. Sissie, bez wątpienia.

— Samowolna! — oceniła panna Martha. — Połyka litery! Potrzebuje twardej ręki!

Leanna Millwright była w domu, podobnie jak siódemka jej chorych i kaszlących dzieci. Wzięła ulotkę i poprosiła wikarego, żeby zajrzał w inny dzień.

Rankin Cooper szukał dwóch krów, które uciekły z pastwiska; zobaczyli go, gdy zwalniali, żeby skręcić na podjazd prowadzący do jego domu i zatrzymali się przy drodze, żeby z nim porozmawiać.

Przez nieuwagę został baptystą, jak im wyjaśnił, ale jest bogobojnym chrześcijaninem i rozważy odwiedzić w Holy Trinity, jeżeli tylko uda mu się namówić do tego żonę, w co poważnie wątpił, ponieważ wywodziła się z metodystów.

Wszystkim rozdawali ulotki, zostawili również nowy zapas w sklepie przy moście. Było mu miło, że właściciel, Hank Triplett, pamiętał go z poprzedniej wizyty.

— Mały kościół na grzbiecie góry już działa — wikary oznajmił radosną nowinę kilku klientom. — Zapraszamy wszystkich i każdego z osobna!

— To kościół, do którego chodzę z Granny — poinformowała Sissie. — Zawsze mają ciastka, a czasami tort!

Uniosła do góry stopę, na wypadek gdyby ktoś chciał się przyjrzeć dokładnie jej złotym bucikom.

Gdy szli do półciężarówki, Sissie wyciągnęła rękę i ujęła go za dłoń.

— Lubię wam pomagać — oznajmiła.

— Gdzie jest dzisiaj Donny? — zwrócił się do Sissy, gdy jechali drogą do ich domu.

— Ścina drzewo.

Nie chciał pytać, czy nadal pije. Jeśli Donny pracuje, to postanowił przyjąć, że sprawy się unormowały. Bóg raczej wie, picie i ścinanie drzew mogły być śmiertelnym połączeniem.

— Chciałbym porozmawiać z twoją mamą na osobności.

— Co to znaczy: na osobności?

— Tylko we dwoje. Agnes?

— Usiądziemy na krzesłach ogrodowych i porozwiązujemy krzyżówkę — zaproponowała Agnes.

— Myślałem — oświadczył. — Wydaje mi się, że czterdzieści cztery poziomo to może być heliotrop.

— Oczywiście! Jest ojciec prawdziwym geniuszem.

— Co to jest geniusz? — zainteresowała się Sissy.

Bez słowa Dovey podała mu dłoń. Ujął ją i przytrzymał w swoich dłoniach.

— Czy czujesz się silniejsza?

— Cały czas mam nadzieję, że nabiorę sił, ale tak się nie dzieje.

— Chciałbym cię zabrać, żebyś zobaczyła się z moim przyjacielem, doktorem Harperem z Mitford.

— Nie, proszę ojca, nie zamierzam jechać do kolejnego lekarza.

— Chcesz wyzdrowieć?

— Ponad wszystko.

Po jej policzkach popłynęły łzy.

— Muszę po prostu poczekać, aż leki zaczną działać.

— Przyjmujesz je już od kilku miesięcy, Donny mi mówił.



— Nie chcę jechać jeszcze raz. Wszędzie mnie nakłuwali i pobierali krew. Raz zemdlałam i byłabym spadła z krzesła, gdyby nie złapała mnie pielęgniarzka.

— Sissie cię potrzebuje.

Zabrała rękę i wpatrywała się przez chwilę w sufit.

— Może być trudno w to uwierzyć, Dovey, ale Bóg może wykorzystać ten czas w twoim życiu.

— Nie wiem jak.

— Nie musimy wiedzieć jak, wystarczy, żebyśmy wierzyli, że może i że tak uczyni. Być może Bóg cię oczyszcza, Dovey. W Ewangelii według świętego Jana Jezus mówi nam, że oczyszcza każdą latorośl, która przynosi owoc, aby przynosiła owoc obfity. Bez względu na to, jaki jest jego plan, Bóg działa w naszym życiu, dla większego dobra — jeśli go o to poprosimy. Czy modlisz się, Dovey?

— Przez cały czas.

— Czy mogę zapytać, jak się modlisz?

— Żeby Bóg pozwolił mamie wrócić do domu.

— Ja modłę się, żeby Bóg pozwolił odkryć tajemnicę twojej choroby. Ale nie rozumiem, jak leżenie tutaj może mu pomóc w zrobieniu tego.

Wybuchnęła płaczem i odwróciła się do ściany, jej ramionami wstrząsał płacz.

— Mam plan — powiedział w końcu. — Czy zaufasz Bogu, aby pomógł mi w zrealizowaniu naszego planu?

— Chyba tak — szepnęła.

— Zaufasz? — powtórzył pytanie. Odwróciła się na łóżku i spojrzała na niego.

— Tak — odparła. — Tak!

Nie będzie wystawienia zwłok. Wujaszek Billy zostanie pochowany na cmentarzu miejskim, obok miejsca dawno zarezerwowanego dla Rose Watson, z domu Porter, przez jej zmarłego brata.

Betty Craig, niech jej Bóg błogosławi, będzie się zajmowała panną Rose Watson do czasu, gdy on wymyśli, co jeszcze można zrobić, ale Betty nie wytrzyma już długo, słyszał to w jej głosie.

Zadzwoił ponownie do Domu Nadziei, z prośbą.

— Nie czynimy cudów, ojcze.

Marnuje swój czas, ich również. Poprosił o połączenie z kapłanem.

— Scott, Tim Kavanagh. Potrzebuję cudu.

— Proszę strzelać.

— Wujaszek Billy odszedł, a panna Rose nie może mieszkać sama. Nie ma krewnych. Czy nie znalazłby się pokój...?

— Słyszałem, że nie mamy ani jednego miejsca, ojcze.

— Ale panna Rose jest siostrą Willarda Portera, który zbudował muzeum miejskie! Panna Sadie kochała Willarda Portera do swojej śmierci, i wiem, że chciałaby, żeby panna Rose dostała pokój w Domu Nadziei.

Gadał jak nakręcony.

— Słyszę, co ojciec mówi. Chciałbym pomóc. Naprawdę bardzo mi przykro, ojcze. Obiecuję, że będę się modlił w tej sprawie, i może ojciec na mnie liczyć.

Doprowadzał ludzi do rozpacz, i siebie też.

Zatelefonował do Esther Cunningham, twardej, konkretnej aż do bólu, emerytowanej pani burmistrz, która służyła miastu przez szesnaście, może osiemnaście lat. To Esther pilnowała tego, żeby panna Rose i wujaszek Billy mieli dość oleju opałowego w zbiorniku, i wynegocjowała dla nich pierwszorzędne mieszkanie na wieczyste użytkowanie w posiadłości w stylu wiktoriańskim i muzeum miejskim jednocześnie, nieopodal pomnika.

Esther Cunningham była jak czołg, jak *Tyrannosaurus rex*, była...

Esther mu pomoże.

— Mówi Ray Cunningham, mąż Esther, ojciec czworga, dziadek dwudziestu jeden i pradziadek większej liczby, niż jestem w stanie zliczyć. Jesteśmy znowu w drodze, być może w tej chwili jedziemy właśnie Oregon Trail. Zostaw wiadomość i rusz się sam, żeby zobaczyć, jak wygląda Ameryka.

*Pip.*

Oczy Sammy'ego wydawały mu się piękne i pełne wyrazu.

— Dziękujemy ci za twoją ciężką pracę, przyjacielu. Cieszymy się, że jesteś naszym głównym ogrodnikiem.

Sammy przyglądał się uważnie swojemu czekowi z wypłatą; zaśpiewał przedrzeźniacz siedzący na szczycie gruszy.

— Jedziemy w piątek do Mitford. Odprawiam pogrzeb i biorę w jednym udział. Mógłbyś z nami pojechać, jeśli chciałbyś coś zrobić w mieście.

— Chciałbym zagrać w bilard.

— W Mitford to niemożliwe. Musisz poczekać, aż pojedziemy do Wesley.

Sammy wzruszył ramionami.

— To wspaniały zarobek, jesteśmy z ciebie dumni. — Ucisnął pokrytą odciskami dłoń chłopca. — Dobra robota!

Sammy wbił wzrok w ziemię.

Ojciec Tim po raz kolejny zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, co zrobić z chłopcem, którego trzymał na muszce własny ojciec. Nagle poczuł na sercu taki ciężar, jaki najwyraźniej odczuwał Sammy.

— Chętnie przechowam dla ciebie to, co zarobiłeś, jeśli chcesz. Tak właśnie Dooley zdobył swój pierwszy rower, przez oszczędzanie. Mógłbyś kupić używany samochód albo półciężarówkę...

— Może — odparł Sammy.

Złożył czek i wsunął go do kieszeni koszuli. Ojciec Tim wskazał na kultywator.

— Pamiętaj, żeby nie nastawiać go na pełny regulator, nie na całą szerokość, i przejedź nim przez każdą grządkę dwa razy. Zawołaj mnie, jeśli będę ci potrzebny, będę w bibliotece.

Zwrócił się do Lloyda, który pracował dzisiaj na rusztowaniu.

— Byłbym wdzięczny, gdybyś rzucił okiem na chłopca, gdy tam jesteś.

— Nie wygląda na zbyt szczęśliwego.

Może jest jakaś nadzieja, że Sammy spojrzy na wszystko bardziej optymistycznie, gdy zasieje już groszek i zasadzi ziemniaki. I na pewno sprawy będą się miały inaczej, gdy Dooley przyjedzie do domu.

Ojciec Tim spojrział na datę na swoim zegarku. Z pewnością liczył już dni.

Utrata wujaszka Billy'ego sygnalizowała koniec pewnej ery. Ale ery czego? Czegoś na kształt niewinności, pomyślał, rozmyślając nad nabożeństwem pogrzebowym.

Bogata spuścizna pamięci wujaszka Billy'ego obejmowała czasy, gdy wszyscy chodzili latem boso, a jeśli brakowało pieniędzy, to nawet zimą; gdy ciasta z owocami i z kruszonką zawsze pieczone były w domu od podstaw, a owoce zbierane na polach; gdy młodzi chłopcy wyruszali z domu ze strzelbą albo sidłami, albo wędką i przynosili do domu pożywienie, dumni jak prawdziwy mężczyzna, który potrafi wyżywić rodzinę; gdy gwizd lokomotywy późno wieczorem nadal pobudzał wyobraźnię i przepełniał duszę nostalgią...

Siedział przy biurku w bibliotece w Meadowgate i zastanawiał się nad dowcipami, które wujaszek Billy tak pracowicie gromadził przez te wszystkie lata i opowiadał wszystkim i każdemu z osobna. Z całej niezliczonej masy pamiętał jedynie dowcipy o gościu sporządzającym spis ludności i kuchence gazowej. Ten drugi, według jego opinii, zasługiwał na główną nagrodę dla najlepszego przyzwoitego dowcipu, jeśli taka istniała.

Będzie to z pewnością wyjątkowe uzupełnienie nabożeństwa pogrzebowego z modlitewnika z 1928 roku, ale kierował się w tym wypadku sercem.

Zatelefonował do panny Rose i poprosił ją o zgodę, co nie było takim łatwym zadaniem. Następnie zaczęła kartkować książkę telefoniczną Mitford, zapisując numery telefonów.

Poczuł na twarzy mokry, przyspieszony oddech. Dobry Boże! Usiadł i spojrział na zegar. Druga rano.

— No dobrze, dobrze, już idę — szepnął do Barnaby. Wielce nietypowe zachowanie...

Wyszedł z łóżka, nałożył buty i szlafrok i zszedł po schodach za swoim wyraźnie rozgorączkowanym psem.

Gdy otworzył tylne drzwi, Barnaba wybiegł z kuchni jak oparzony i zniknął w ciemnej nocy, której nie rozświetlał księżyc. Usłyszał, jak kury w kurniku gdaczą wniebogłosey i psy Williego ujadają ze swojej budy.

— Barnaba! — zawołał swoim głosem duchownego.

Psy z domu też nie spały i chciały wydostać się na zewnątrz. Niech tak będzie. Otworzył drzwi i puścił całą sferę wolno.

Jeszcze więcej szczekania i ujadania, w czasie gdy cała zgraja zniknęła w mrocznej ciemności powoli budzącego się świtu.

Postąpił pochopnie, nie zakładając swojemu psu smyczy i pozwalając reszcie psów biegać wolno nocą.

Rewelacje Del sprawiły, że byli obecnie dość nerwowi; szczerze mówiąc, wolałby nic nie wiedzieć o zagrożeniach, jakie niesie ze sobą życie na wsi. Niewiedza jest błogosławieństwem! — myślał, przypominając sobie jedno z ulubionych przysłów mamy.

Nalał sobie pierwszą tego ranka kawę i usiadł przy stole w kuchni — razem z Cynthią mieli dokładnie półtorej godziny spokoju, zanim pojawi się Lloyd i Buster.

— Może coś zjadł, niech Bóg broni, podczas naszego spaceru po pastwisku.

Cynthia wyglądała na skruszoną.

— Muszę ci coś wyznać.

— Twój ksiądz cię wysłucha, dziecko.

— Dałam mu odrobinę sosu wczoraj wieczorem z kawałkiem poledwicy.

— Aha! Prawda zawsze się wyda, Kavanagh!

Zakryła twarz dłońmi, udając strach i spoglądała na niego przez palce.

— Mały kawałek? — zapytał. — Duży kawałek?

— Duży kawałek. To duży pies.

— Wiesz, że powinien jeść tylko suchą karmę. Odsłoniła twarz.

— Tak. A ty powinieneś jeść tylko ciasto z wiśnią bez cukru.

— Cynthia, Cynthia.

— Życie jest krótkie, Timothy. Nasze, psie...

— Masz rację. Ale...

— Już od tygodni odmawialiśmy mu wszystkiego, a on naprawdę miał na to ochotę. Na pamiątkę dawnych czasów, można powiedzieć. Przypuszczam, że było to jednak zbyt duże obciążenie dla jego organizmu. Możesz mnie oddać do sądu.

— Gdyby nie twój zakazany czyn, nie wróciłby z tym do domu. — Pokazał dowód. — Oczywiście, nie mam pojęcia, co o tym myśleć.

— W takim razie, wybaczasz mi?

— Zdecydowanie tak. Ale następnym razem...

— Następnym razem? Roześmiał się.

— To ty wyprowadzisz go o drugiej rano!

Mała biało-błękitna kratka na kawałku cienkiej bawełny. Materiał na koszulę.

Podczas gdy Barnaba chrapał pod stołem, ojciec Tim przyglądał się wyrwanemu kawałkowi materiału, który jego dobry pies przyniósł, wracając ze swojej mrocznej wyprawy.

A co, jeśli zrealizuje swój głupi pomysł i nikt się nie roześmieje? Czy to przyniesie ujmę człowiekowi, któremu przyszli oddać szacunek?

— Księga Przysłów — zwrócił się do zgromadzonego wokół grobu tłumu — mówi: „serce pogodne — to wieczysta uczta”. A dalej, 17, 22, głosi: „radość serca wychodzi na zdrowie”.

W istocie jedno z tłumaczeń tego przysłowia brzmi: „pogodny charakter służy twemu zdrowiu; smutek i przygnębienie są wiecznym znużeniem”.

Bill Watson spędził swoje życie, usiłując nadać mu lepszy wymiar, żyć zdrowiej, zapraszając nas, żebyśmy brali udział w wieczystej uczcie śmiechu. Nawet smutniejszy niż strata tego starego przyjaciela jest fakt, że większość z nas nigdy tego nie zauważyła, nigdy do końca nie zrozumiała słodkiego znaczenia tej prostej, a jednak niezwykle głębokiej posługi, którą tak wytrwale sprawował.

W istocie, cechą, którą najbardziej kochałem u naszego dobrego brata, była jego wytrwałość.

Gdy życie odwracało się od miłości, on kochał mimo wszystko. Gdy czynienie zła było dużo łatwiejsze niż czynienie tego, co należy, on mimo wszystko robił to, co należy. A gdy wszystko dookoła zdawało się gasić śmiech, on śmiał się mimo to.

Myślę o tym, jak gorliwa gospodyni wyraża swoją miłość dla nas gotowaniem i pieczeniem, tak jak Esther Bolick ukochała tak wielu z nas swoimi ciastami pomarańczowymi. W ten sam sposób wujaszek Billy

ukochał nas swoimi dowcipami. Och, i jak uwielbiał nas rozśmieszać, modlił się, żeby nas rozśmieszyć! I tak się działo.

Mam nadzieję, że dołączycie do mnie w naszym wspomnieniu o Billym Watsonie przypomnieniem kilku jego ulubionych dowcipów. Płakaliśmy i będziemy płakać ponownie nad stratą tej ciepłej i wiernej przyjaźni. Wiem jednak, że jest on bezpieczny w ramionach naszego Pana, Jezusa Chrystusa, dokładnie w miejscu, w którym — jak obiecuje wszystkim Bóg — znajdzie się po śmierci każde z jego dzieci.

Ta niesamowita prawda jest czymś wartym radosnego świętowania. I ja zapraszam nas, abyśmy świętowali ją śmiechem. Niech jego radosna muzyka uleci do nieba, wyrażając naszą płynącą z głębi serca wdzięczność za ten niezwykle i drogi dar Williama... Benfielda... Watsona.

Skinął do starego Muellera, który zaledwie kilka lat temu przesiadywał regularnie na murawie Porter Place z wujaszkiem Billym i przyglądał się, jak samochody okrążają pomnik.

Starszy mężczyzna stanął w swojej pradawnej marynarce i najlepszych spodniach, odchrząknął i przyjrzał się czterdziestu osobom zgromadzonym pod namiotem w ten wyjątkowo gorący dzień.

— Gość poszedł do lekarza i opowiedział, co mu dolega.

Kichnął i wydobyl z kieszeni spodni mocno sfatygowaną chusteczkę.

— Lekarz udzielił mu więc porady, co ma zrobić, żeby wyzdrowieć.

Wydymuchał nos z wielką starannością.

— Po chwili gość zbiera się, żeby wyjść, a lekarz go zatrzymuje. „Chwileczkę! Nie zapłacił mi pan za poradę”. Gość na to: „Zgadza się, bo nie zamierzam z niej skorzystać!”.

Stary Mueller usiadł ciężko na składanym metalowym krześle, pod którym spał jego pies, Luther. W namiocie dało się odczuć lekką bryzę.

No to dałem plamę, pomyślał ojciec Tim. Nikt się nie roześmiał — ani, gwoli ścisłości, nawet się nie uśmiechnął. Modlił się w myślach, podczas gdy Percy Mosely wstał i poprawił kołnierz dzianinowej koszuli.

Percy żałował, że nie nałożył, do licha, marynarki i krawata, nie przyszło mu to nawet do głowy, dopóki nie stanął tutaj, żeby zrobić z siebie idiotę. Ale jeśli już miał być idiotą, to chciał być najlepszym idiotą pod słońcem — dla wujaszka Billy'ego.

— Włóż w to serce! — poradził ojciec Tim.

— Zastępca szeryfa złapał turystę jadącego za szybko, no wiecie. No cóż, kazał zatrzymać mu się na poboczu i pyta: „Skąd jesteście?”. Turysta odparł: „Z Chicago”. „Proszę sobie nie żartować” — rozzłościł się zastępca szeryfa. „Na waszej rejestracji jest wyraźnie napisane: Illinois!”.

Percy zachwiał się lekko, podczas gdy jego ciało zalała fala czystego przerażenia. Czy już po wszystkim? Czy opowiedział dowcip? Miał pustkę w głowie. Usiadł.

W tylnym rzędzie zachichotała sekretarka burmistrza, ale spojrzała na trumnę i zasłoniła dłonią usta. Listonosz z Mitford, którego mama mieszkała w Illinois, stłumił śmiech.

Wikary przeżegnał się.

Poważny niczym sędzia J.C. Hogan wstał i otarł chusteczką spocone czoło. Nie zrobiłby tego dla byle kogo, absolutnie, ale robi to dla wujaszka Billy'ego. Według niego wujaszek Billy był niekwestionowanym bohaterem, za to, że żył z tą starą wiedźmą przez sto lat.

Wydawca zapiął guziki swojej marynarki od garnituru, którą przed chwilą rozpiął; gdyby pił, wypiłby jednego, zanim to wszystko się zaczęło. A co tak w ogóle miał zrobić? Mówić jak wujaszek Billy czy mówić tak jak on sam? Postanowił zafundować zgromadzonym mieszankę.

— Czy słyszeliście ten o gościu, który uderzył pierwszy raz w kulę golfową i od razu zaliczył dołek? Cóż, rzucił kij i tupnął gniewnie. „Do licha, głupia ta gra, rezygnuję!”.

Listonosz roześmiał się na głos. Sekretarka burmistrza zachichotała niczym hiena. Avis Packard, siedzący w kącie przy maszcie namiotu, wydał z siebie coś, co przypominało rechot. Można było rozpoznać obecnych w tłumie graczy w golfa.

Wyczerpany J.C. opadł na metalowe krzesło.

Wikary poczuł strużkę potu spływającą mu po plecach. A co się stało z jego własnym śmiechem? Tyle gadał i gadał o pocieszeniu, jakie niesie ze sobą śmiech, a ten, który sam to wszystko wymyślił, nie wydał z siebie ani dźwięku.

Wstał Mule Skinner, skłonił się przed tłumem, wziął głęboki oddech i odchrząknął. To był jego ulubiony dowcip wujaszka Billy'ego, zdecydowanie, i opowiedzenie go było dla niego zaszczytem — gdyby tylko mógł go sobie przypomnieć. W tym cały problem. Gdy ćwiczył go wczoraj przy Fancy, pominął istotną część, co sprawiło, że pointa w ogóle nie była śmieszna.

— Stary mężczyzna i stara kobieta siedzieli na ganku, wiecie.

Kiwanie głów. To był jeden ze standardów wujaszka Billy'ego.

— Stara kobieta mówi: „Wiesz, na co miałabym ochotę?”. Stary mężczyzna odrzekł: „Na co?”. Ona mówi: „Puchar lodów waniliowych z polewą czekoladową, posypanych orzechami!”.

Sam wujaszek Billy nie zrobiłby tego lepiej! — pomyślał wikary.

— „Na Jowisza, pójdę do sklepu i przyniosę nam lody”. Kobieta na to: „Lepiej sobie zapisz, bo zapomnisz!”. Mężczyzna: „Nie zapomnę!”.

Poszedł do sklepu, wrócił po dłuższej chwili z papierową torbą. Podaje jej torbę, ona zagląda do środka i widzi dwie kanapki z szynką.

Kilka osób pochyliło się do przodu na swoich składanych krzesłach.

— Kobieta podnosi kanapki i mówi: „Do licha, mówiłam ci, że zapomnisz! Chciałam z musztardą!”.

Wszyscy roześmiali się w głos, z wyjątkiem panny Rose, która siedziała sztywno, ze zmarszczonym czołem, w pierwszym rzędzie.

— To był mój ulubiony dowcip wujaszka Billy'ego! — ktoś zawołał.

Coot Hendrick wstał na chwilę, potem znowu usiadł. Wydawało mu się, że sobie nie poradzi. Nie chciał jednak okazać braku szacunku dla pamięci wujaszka Billy'ego.

Wstał ponownie, odchrząknął, podrapał się — i ruszył do ataku.

— Rolnik wiózł nawóz, no wiecie, i jego ciężarówka zepsuła się tuż przed szpitalem dla umysłowo chorych. Jeden z pacjentów wychylił się przez płot i pyta: „Co robi pan z tym nawozem?”

— Na to rolnik: „Położę go na truskawki”.

— Pacjent na to: „Może i jesteśmy szaleni, ale my na truskawki kładziemy bitą śmietaną!”.

Strzał w dziesiątkę! Zewsząd śmiech!

W pierwszym rzędzie Lew Boyd klepnął się w nogę. Wikary wiedział, że wujaszek Billy zawsze cenił sobie ten typ reakcji.

Dziękuję ci, Panie!

Doktor Hoppy Harper rozłożył się, wstając z metalowego krzesła, niczym scyzoryk wędkarza. Był najwyższą osobą w namiocie, co wzbudzało wiele szacunku już na wstępie.

Lekarz miejski zwrócił się do zgromadzonych.

— Wujaszek Billy opowiedział ten dowcip dobrych parę lat temu, gdy razem z panną Rose przyszli na kolację do domu ojca Tima. Nigdy nie zapomnę tego wieczoru, z wielu powodów, a szczególnie dlatego, że żyła wtedy jeszcze jedna z moich ulubionych pacjentek — panna Sadie Baxter.

Kiwanie ze zrozumieniem głowami. Lekki szmer szeptów. Panna Sadie Baxter!

— Wujaszku Billy, mam nadzieję, że wujaszka nie zawiodę.

Hoppy wsunął dłonie do kieszeni sportowej marynarki, ubranej na zielony fartuch.

— Gość chciał się nauczyć skakać na spadochronie... no wiecie. Idzie do szkoły i przez kilka tygodni chodzi na lekcje, i w niedługim czasie przychodzi pora na pierwszy skok.

Wylatuje więc w górę w małym samolociku, wyskakuje ze spadochronem i zaczyna spadać w dół jak worek kamieni. Leci jeszcze trochę... no wiecie, i zaczyna pociągać za linkę, ale nic się nie dzieje. Teraz leci już na łeb, na szyję, wciąż ciągnie za linkę. Nic. Zaczyna ciągnąć za linkę awaryjną, to samo — nic się nie dzieje; widzi wierzchołki drzew. Nagle dostrzega innego gościa, wystrzelił z ziemi i leci jak rakietka. Gość lecący w dół woła: „Hej, przyjacielu, czy znasz się na spadochronach?”. A ten, który leci w górę, woła w odpowiedzi: „Niestety nie. A czy ty znasz się na kuchenkach gazowych?”.

Śmiech i brawa. Trudno będzie temu dorównać.

Ojciec Tim poczekał, aż ucichnie śmiech, a potem wyszedł przed zgromadzonych.

— Urzędnik sporządzał spis ludności, no wiecie. Wybuch śmiechu.

— Uwielbiam ten dowcip! — Hessie Mayhew szepnęła do sekretarki burmistrza.

— No cóż, poszedł do domu i zapukał do drzwi. Otworzyła mu kobieta. Zapytał: „Ile macie dzieci i jak mają na imię?”.

Kobieta zaczyna liczyć na palcach, no wiecie, i mówi: „Mamy Jenny i Penny, mają po dziesięć lat. Mamy Hester i Lestera, mają po dwanaście lat. Mamy Billiego i Williego, mają po czternaście lat...”

Urzędnik na to...

Nagle coś mocno ścisnęło go za gardło. Wujaszek Billy wydawał się tak blisko, tak bardzo obecny, że wikary poczuł się do głębi wzruszony. I co, na Boga, powiedział urzędnik? Rozum go opuścił; zupełnie stracił głowę.

Panna Rose wstała, ściskając torebkę zrobioną w 1946 roku z korkowych wypełnień kapsli z butelek po wodzie sodowej.

— Urzędnik na to — obwieściła tubalnym głosem — „Czy chce mi pani powiedzieć, że za każdym razem rodziły się wam bliźniaki?”.

Kobieta na to: „Ależ nie, setki razy nie rodziło nam się nic!”.

Jakby z oczyszczonymi duszami i doświadczając nieoczekiwanego uczucia odnowy, zgromadzeni przyglądali się trumnice opuszczanej do grobu. Był to pogrzebny rytuał, rzadko w dzisiejszych czasach obserwowany i z gatunku tych, które symbolizują bezsporną ostateczność.

— Wszchemogącemu Bogu zawierzamy duszę naszego brata, Williama Benfielda Watsona, i powierzamy jego ciało ziemi; z prochu powstałeś i w proch się obrócisz; w pewnej i niezachwianej nadziei na Zmartwychwstanie do wiecznego życia, przez naszego Pana Jezusa Chrystusa...

Zawsze zasmucał go wyraz twarzy panny Rose Watson, ponieważ tak wyraźnie było na niej widać oznaki choroby. W istocie, zdawało się, jakby jakiś głęboki i straszny gniew wypłynął na powierzchnię i zastygł tam, aby go wszyscy widzieli.

Miała na głowie czarny koktajlowy kapelusz, którego wiek trudny był do określenia, i czarny kostium, który pamiętał z czasów w Lord's Chapel. Trudno było go zapomnieć z powodu watowanych ramion z lat czterdziestych i klap w dużej mierze zjedzonych przez mole.

Betty Craig trzymała pannę Rose pod ramię, wyglądając na zmęczoną, ale optymistyczną, w czasie gdy ludzie składali kondolencje i oddalali się od grobu.

— Panno Rose...

Ujął zimną dłoń starszej kobiety, czując, jak odpływa mu cała krew. Mimo iż uważał, że jest w jakiś sposób odpowiedzialny za jej pomyślność, nie miał żadnego pojęcia, co powiedzieć.

Odrzuciła do tyłu głowę i utkwiała w nim swoje złowrogie spojrzenie.

— Uratowałam ojca przeklętą głowę! — zapiszczała.

— O tak, zaiste! Na Boga, rzeczywiście pani to zrobiła.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, zaczął się śmiać ze swojej żalosej nieudolności i jednocześnie płakać nad jej stratą.

— I niech pani za to Bóg błogosławi!

Nagle zrobił coś, co do tej pory wydawało mu się nie do pomyślenia — zaczął ścisnąć pannę Rose Watson i poklepywać ją z całych sił po plecach.

— Timothy, przy tylnych drzwiach stoi kura!

— Zaproś ją do środka.

— Mówię poważnie.

Podszedł do drzwi z siatką i wyrzwał na ganek. Jedna, rasy rhode island red.

— W sprawie pojawiają się kolejne dowody — stwierdził.

Pokazał kawałek materiału Sammy'emu.

— Spójrz, co Barnaba przyniósł dzisiaj o drugiej trzydzieści w nocy do domu.

Wydawało mu się, że Sammy zrobił się dziwnie blady. Na jego policzku zadrgał mięsień.

— I co z tego?

— Oto, co myślę. Gdy Barnaba wyszedł za swoją potrzebą, kłusownik był akurat w kurniku...

— Kto to jest kłusownik?



— To określenie na kogoś, kto wchodzi na prywatny teren, żeby polować albo łowić ryby, lub kraść inwentarz. No więc Barnaba zaczął szczekać, kłusownik rzucił się do ucieczki, i trafiony, zatopiony! Barnaba dogania go i chwytą w zęby kawałek jego koszuli.

— Jeśli kury wydostają się same, jak t-t-ta jedna dzisiaj rano, to pewnie nie ma żadnego kłusownika. Kury po prostu jakoś... — Sammy wzruszył ramionami — ...u-uciekają z klatki.

— Myślę, że kłusownik wyrzucił kurę — odparł wikary.

— Wszystko jedno — rzucił Sammy.

Chłodno dzisiaj wieczorem.

Przyłożył zapalną do papieru; języki ognia szybko ją objęły i dotarły do rozpałki. Podczas gdy Cynthia pracowała przy kuchennym stole, a Sammy oglądał telewizję w swoim pokoju, on musiał wykonać kilka telefonów.

Z kuchni dotarł do niego zapach popcornu. Ogień na kominku i popcorn! Cały bezmiar łask, pomyślał...

— Chciałbym prosić cię o przysługę. Wiem, ile masz na głowie, a ta sprawa, szczerze, jest poważna.

— Znam cię, ojciec; wiem, że zrobiłbyś to dla mnie.

— Tak — odparł.

— Gdybyś nie wyświadczył mi najwspanialszej przysługi, nie byłbym najszcześniejszym z mężczyzn. Co mogę dla ciebie zrobić?

Ojciec Tim nakreślił swój plan.

— Przyjadę w fartuchu; prawie w ogóle go w dzisiejszych czasach nie zdejmuję.

— Będę na ciebie czekał przy skrzyżowaniu dróg do Farmer i Bentley, na parkingu Kirby's Store. Będę czerwona półciężarówką, mocno spłowiła.

— Ja sam jakby tracę kolor, ale do zobaczenia. Panie, modlił się ponownie, zdradź nam tajemnicę; spraw, aby nie była już tajemnicą...

— Hej, synu. Tęsknię za tobą... chciałem po prostu usłyszeć twój głos.

Dooley nigdy nie przepadał za takimi czułościami; niemniej jednak ojciec Tim uważał, że najlepiej jest mówić takie rzeczy. Strata ukochanych zawsze skłaniała go do przemyśleń...

— Dziesiątego maja zdaję ostatni egzamin i będę w domu jedenastego.

— Modlimy się za twoje egzaminy; nie martw się, poradzisz sobie. Nigdy nie zgadniesz, o czym myślałem. Pamiętasz, jak szliśmy razem do szkoły w Mitford — to był twój pierwszy dzień. Wyprzedziłeś mnie, a potem się rozmyśliłeś i poprosiłeś mnie, żebym siedł przed tobą. Nie chciałeś, żeby ktokolwiek pomyślał, że chodzi za tobą ksiądz.

Dooley zachichotał.

— Tak, no cóż, wyrosłem z tego.

Na dźwięk śmiechu, który ubóstwiał, ojciec Tim poczuł, jak robi mu się lekko na duszy. Powie mu o pieniądzech tego lata. Może pójda na pastwisko dla owiec i usiąda na dużym kamieniu przy stawie albo może usiąda w bibliotece — Dooley mógłby zająć skórzany fotel z wysokim oparciem na tę ważną chwilę. Do licha, mogliby nawet pokonać kilka górskich dróg w jego nowej półciężarówce.

W każdym razie blisko dwa miliony dolarów to ogromny ciężar do uniesienia.

Panie, modlił się, wybierz odpowiedni czas i miejsce na przekazanie tej ważnej nowiny, i dziękuję Ci za takie ukształtowanie jego charakteru, żeby umiał przyjąć tę odpowiedzialność z godnością...

## Rozdział czternasty

### *Głodny i niedoskonały*

O czwartej trzydzięci po południu groszek, ziemniaki, cebula, sałata i buraki zostały zasiane i zasadzone w świeżo spulchnionej ziemi. W kilku rzędach tkwiły czerwone gałęzie, ułamane z derenia rosnącego obok kurnika, aby młody groszek miał się po czym wspinać.

O dziewiątej dwadzieścia pięć wieczorem zaczął padać deszcz. Był to delikatny, miarowy deszcz, który stukał o blaszany dach domu na farmie i dzwonił w rynnach.

Ojciec Tim słuchał tej muzyki, zadowolony. Marzenie każdego ogrodnika, pomyślał.

— Śpisz? — zapytała Cynthia.

— Słucham deszczu.

— Myślałam.

— Przeróżające.

— Bardzo zabawne. Wydaje mi się, że potrzebna jest nam szkoła niedzielna w Holy Trinity.

— Zgadzam się. Po prostu jeszcze nie zdążyliśmy się za to zabrać.

— Zgłaszam chęć uczenia Sissy i Rootera.

— To cudownie!

Zawsze był zachwycony, gdy jego żona podejmowała się dobrowolnie zadań w kościele, w którym odbywał posługę.

— Będziesz dla nich prawdziwym błogosławieństwem, dla nas wszystkich.

— I oczywiście, inni też przyjdą.

— Oczywiście. A nawet jeśli nie...

— Ale chciałabym, żebyśmy mieli coś dla Sammy'ego — zauważyła z żalem. — Nigdy nie zniżyłby się do tego, żeby chodzić do szkoły niedzielnej z pięcio- i dziewięcioletkiem.

— Chyba że... — wtrącił się.

— Chyba że?

— Chyba że byłby twoim asystentem.

— Co masz na myśli?

— Gdyby mógł zrobić coś, co wiązałoby się z uprawianiem roślin, żeby mógł zilustrować twoje nauczanie... nie wiem... ziarno, wzrost, historia nowego życia... nowego życia w Jezusie...

— Podoba mi się — zachwyciła się. — Daj mi parę tygodni, pozwól mi to wszystko przemyśleć.

Ujął jej ciepłą dłoń, pocałował ją i przytulił do policzka.

— Panie, dziękuję, że posłałeś swoją córkę na to białe pole. Dziękuję, że pokazujesz jej Swój doskonały sposób na to, żeby uczyła miłości, miłosierdzia i łaski Twojego Syna. I pomóż nam, abyśmy się stali, sami, pilnymi uczniami w przyjmowaniu twoich wskazówek. Przez Chrystusa naszego Pana...

— Amen.

— Dziękuję — zwrócił się do swojego diakona.

— To ja dziękuję tobie.

— Za co?

— Za to, że chciałeś służyć w Holy Trinity. Ze wszystkich twoich kościołów to mój najbardziej ulubiony.

— Dlaczego?

— Bo jest taki głodny i niedoskonały.

Głodny i niedoskonały.

— Tak — rzucił, uśmiechając się w ciemności. — Tak!

Zdarzyło mu się być w kilku klubach bilardowych, gdy był dzieckiem, i nie wydawały mu się miejscem, w którym można pielęgnować pożądane cechy charakteru. Z drugiej jednak strony, czyż wszystkie szacowne posiadłości ziemskie w Anglii nie miały zawsze stołu bilardowego? Miały. I czyż bilard nie był grą dżentelmenów? Ogólnie rzecz biorąc, był.

Zatem gdyby tak zmienił terminologię i być może swoje wieloletnie uprzedzenia...

— Czy mógłbym, hm, poczekać na ciebie w klubie bilardowym?

Ujrzał, jak Sammy spogląda na jego zawstydzającą koloratkę. Tak jak Dooley, Sammy nie był zachwycony pomysłem chodzącego za nim księdza.

— Nie mam nic innego do załatwienia w Wesley i pomyślałem...

— Chyba tak, wydaje mi się.

Ojciec Tim zauważył, że blizna na policzku Sammy'ego poczerwieniała, jak zwykle, gdy chłopiec czuł się skrepowany.

— Zajrzymy do Mitford; muszę odwiedzić parę osób. Potem pojedziemy do Wesley. Potrzebujesz czegoś do ogrodu?

Sammy wyjął listę z kieszeni dzinsów; była gęsto zapisana drukowanym pismem.

— Myślisz na wyrost! A ja sobie coś przypomniałem — musimy znaleźć ci fryzjera, przyjacielu.

— Mogę sam się o-ostrzyć, jeśli n-n-nożyczki będą dość ostre. W s-sobotę.

Czuł się dumny, bardzo dumny z Sammy'ego Barlowe'a. Ale dlaczego bał się temu zaufać? Mimo że nie chciał się do tego przyznać, czekał, aż szydło wyjdzie z worka.

Wysadził Sammy'ego przy kanale i zaparkował półciężarówkę na tyłach budynku Lew. J.C. zatrzymał się obok niego minivanem subaru.

— Jak leci? — przywitał J.C.

Nie wyglądało na to, żeby było świetnie; J.C. wydawał się niewyspany, miał zaczerwienione oczy, a jego spodnie były zdecydowanie wymięte i wypchane.

— Jak co leci? — warknął J.C.

— Chodzi mi o Adele i ciebie, oczywiście. Czy poszedłeś na posterunek i oddałeś się w ręce policji? To był wspaniały pomysł, nawet jeśli on sam na niego wpadł.

— W życiu bym nie zrobił takiej głupoty.

— Więc, zaniósłeś jej kwiaty?

— Nie.

— Zabrałeś ją na kolację?

— Nie.

— Zrobiłeś cokolwiek?

— Próbowałem.

— I co się stało, gdy próbowałeś?

— Nie umiem tego robić. W żaden sposób. — Do oczu J.C. napłynęły nagle łzy.

— Wsiądźmy do półciężarówki i porozmawiajmy — zaproponował wikary.

— Po co?

Bo nie możesz stać tu na parkingu i płakać, miał ochotę powiedzieć.

J.C. przytrzymał się uchwyty i usiadł na fotelu. Ojciec Tim zamknął drzwi i wziął głęboki oddech.

— Trzymałem się od ciebie z daleka przez te wszystkie lata, przyjacielu, ale muszę cię o coś zapytać.

Modlisz się?

J.C. wyjrzał przez otwarte okno po stronie pasażera.

— Raz, wiele lat temu, zadzwonił do ciebie jeden gość i poprosił, żebyś odmówił tę modlitwę. Pamiętasz?

Pamiętał i często się zastanawiał, kto do niego wtedy dzwonił. Andrew Gregory zajrzał tego dnia do sklepu; Puny podała im herbatę.

— To było przed identyfikacją numerów, więc nigdy się nie dowiedziałem...

— To byłem ja. Zmieniłem głos. Ojciec Tim przełknął z trudem.

— Muszę ci powiedzieć...

J.C. wyjął sfatygowaną chusteczkę i wydmuchał nos.

— To rzeczywiście zadziałało, czułem się... inaczej po odmówieniu tej modlitwy.

— Inaczej lepiej czy...?

— Tak. Lepiej. Przez długi czas. Ale gdzieś to zgubiłem. Pozwoliłem, żeby przeciekło mi między palcami. Przez chwilę modliłem się jak oszalały, można powiedzieć, że... że poznawałem Boga po raz pierwszy w życiu. Potem poznałem Adele i...

J.C. wzruszył ramionami.

— I wszystko się zmieniło. Wydaje mi się, że myślałem, że to wszystko, czego mi potrzeba.

— Czy rzeczywiście tak jest?

— Nie chciałbym urazić Adele, ale... chyba nie. Siedzieli przez chwilę w ciszy.

— To wszystko, co mam do powiedzenia. J.C. wepchnął chusteczkę do kieszeni.

— I nie głos mi przekłętę kazania na ten temat. Ojciec Tim uśmiechnął się.

— Dobrze trafiłeś. Dzisiaj mam wolne.

J.C. oparł dłoń na klawce.

— Mam pomysł — zaproponował ojciec Tim. — Jeśli cię to interesuje.

— Może.

— Może próbowałeś być z Adele na swoich własnych warunkach. I nie jesteś tego w stanie zrobić; sam tak powiedziałeś. Wiesz, co myślę?

— Co?

— Daj temu spokój. Zostaw to. Poproś Boga, aby pomógł ci powiedzieć wszystkie te rzeczy, których nie możesz powiedzieć... zrobić wszystko to, czego nie możesz zrobić... poczuć te wszystkie emocje, których nie czujesz.

J.C. spojrział na niego chłodno.

— To nie jest kazanie, przyjacielu. To nie jest nawet homilia.

— Dlaczego miałbyś chcieć pomóc w zrobieniu czegoś, co powinienem robić sam?

— Bo cię kocha.

— Nigdy w to nie uwierzę.

— Ja sam tak myślałem przez wiele lat. Dlaczego chciałbyś zrobić dla mnie cokolwiek, dla takiego duchowego inwalidy? Ale oto cała sprawa. Możesz zaufać, że On cię kocha, i zaufać, że chce robić dla ciebie dobre rzeczy... bo On obiecuje to w Piśmie Świętym.

J.C. wyglądał przez okno.

— Co możesz stracić, ufając Mu?

Wydawca „Muse” bawił się rączką swojej antycznej teczki.

— Szczerze. Co?

— Nic.

Dwadzieścia lat zadawania się z tym ponurakiem, dwadzieścia lat znoszenia swoich wzajemnych dziwactw, dwadzieścia lat wiercenia dziury w brzuchu, aż w końcu utknęli na mieliźnie...

— Może jest za późno — rzucił J.C.

— Nigdy nie jest za późno — odparł z przekonaniem wikary.

Gdy wchodził do holu Domu Nadziei, postanowił, że nie poruszy tematu pieniędzy, chyba że zostanie o to wprost zapytany. Mimo że Louella bywała zapominalska, uparcie pamiętała o tych dziewięćdziesięciu dolarowych banknotach ukrytych podobno w plymoucie belvedere.

Jak sobie przypominał, banknoty były ułożone i związane recepturką. Jakiej grubości pakiet powstałby z dziewięćdziesięciu banknotów?

— Będę musiał do ojca oddzwonić — odparł na jego pytanie kierownik banku. — Nikt nigdy nie prosił mnie, żebym mierzył pieniądze.

Louella spała na fotelu. Samiczka kardynała jadła coś z karmnika za oknem.

Mimo że nie miał ani chwili do stracenia, nie chciał jej budzić. Nie chciał też jednak wyjść i zrezygnować z wizyty. Zostawił Sammy'ego u Lew Boyda, gdzie Harley zaproponował Sammy'emu dziesięć dolarów za pomoc w wyważeniu kół w dodge'u.

Zakaszła. Louella drzemała dalej. Na ekranie telewizora, przy wyłączonym głosie, zmieniały się obrazy porannego talk-show.

Obszedł pokój ciężkim krokiem. Louella westchnęła przez sen.

— Panno Louello — zaintonował swoim głosem kaznodziei — ma pani na sobie przepiękną suknię. Czy znowu kazała pani swojej sąsiadce z korytarza zamówić dla siebie coś przez Internet?

Louella otworzyła oczy i zmarszczyła czoło. Poprawiła okulary i pochyliła się do przodu.

— Kto to?

— To ja, ojciec Tim!

— Słonko...

Odmówiwszy kategorycznie zwracania się do niego per ojciec, Louella dawno temu zdecydowała mówić do niego „słonko”.

— Tak, proszę pani?

— Co robisz w sprawie pieniędzy panny Sadie? Opadł na podnóżek, który od długiego używania wydał mu się jego własnym krzesłem.

— Wszystko, co w mojej mocy, ale na razie nie udało nam się ich znaleźć.

— Jakim nam? Komu o tym opowiadasz?

— Andrew Gregory'emu, do którego należy samochód.

— Nie można rozpowiadać ludziom o takich pieniądzach!

— Szukaliśmy wszędzie, gdzie tylko możliwe, bez rozbierania samochodu na części. Szukaliśmy w skrytce, hm, w schowku, podnosiliśmy chodniczki, wyciągaliśmy fotele...

— Wyciągaliście fotele? Panna Sadie nie dałaby rady wyciągnąć żadnego fotela; była taka maleńka!

— To prawda! Chodzi mi o to, że szukaliśmy w każdym możliwym miejscu.

Louella wyglądała na zamyśloną.

— Czy pieniądze idą w górę czy w dół?

— Obecnie w dół — odparł świeżo po rozmowie z bankierem Dooleya.

— Panna Sadie na pewno nie byłaby zadowolona, gdyby pieniądze szły w górę, a jej dziewięć tysięcy leżało gdzieś schowane.

— Czy panna Sadie... często chowała rzeczy?

— Czy panna Sadie chowała rzeczy? Nie byłaby w stanie znaleźć swojej siwiuteńkiej głowy, gdyby nie wyrastała jej z szyi! Chowała swój notes każdej nocy, na wypadek gdyby włamał się złodziej. Wstawaliśmy codziennie, jadłyśmy coś, a potem szukałyśmy tego notesu.

Mówiłam: „Panno Sadie, dlaczego nie chowa go pani w tym samym miejscu, żebyśmy nie musiały za nim gonić codziennie rano?”. Ona na to: „Wtedy wszyscy by wiedzieli, gdzie go szukać!”. A kluczyki do samochodu! Boże miej litość, biegałyśmy codziennie za nimi jak oparzone, nigdy nie wiedziała, gdzie je schowała.

— Chowała swoje kluczyki do samochodu? Kluczyki, które w ogóle nie były chowane, były wystarczająco trudne do znalezienia...

— Gdyby włamał się złodziej, mówiła, chciałby ten drogi samochód i przede wszystkim szukałby tych kluczyków. Potem były też te drogie tabletki, które brała, chowała je w butach. Panna Sadie nigdy nie wyrzuciła pary butów, słonko! Miała czterdzieści, pięćdziesiąt par butów w tej dużej garderobie i stara Louella nigdy nie wiedziała, w której parze szukać.

— Dlaczego chowała swoje lekarstwa?

— Mówiła, że włamywacz mógłby sprzedać jej pigułki na ulicy.

— Aha.

— Wzięła ten pomysł z programu telewizyjnego. Widzisz tę siwą głowę?

— Tak, proszę pani.

— Miałam włosy czarne jak smoła, dopóki nie zamieszkałam na powrót z panną Sadie!

Louella roześmiała się serdecznie, a on do niej dołączył.

— Kochałam pannę Sadie ponad życie; pomogła mnie wychować! Ale powiem ojcu, że trudno było z nią wytrzymać.

Innym razem panna Olivia przysłała duże pudełko czekoladek. Ojej, to były bardzo dobre czekoladki. Chciałam je szybko zjeść, żeby się nie zepsuły, ale panna Sadie chciała je wydzielać. Raz na jakiś czas po odrobinie i bez dokładki!

Powiedziałam: „Panno Sadie, a co, jeśli przyjdzie Jezus, a my nie zdążymy zjeść tych czekoladek — wszystkie się zmarnują!”.

Ona na to: „Louello, jeśli przyjdzie Jezus, nie będziesz zajmowała się żadnymi czekoladkami, to niemożliwe”. Louella zamknęła oczy i potrząsnęła głową, chichocząc.

— Jednej nocy myślałam o tych czekoladkach, to było, jeszcze zanim przeniosłyśmy się do domu panny Olivii. Wtedy wciąż jeszcze wchodziłyśmy co wieczór po schodach w Fernbank; to było osiemnaście czy dwadzieścia dwa stopnie?

— Wydaje mi się, że dwadzieścia dwa.

— Wiesz, że zajmowało nam pół nocy, żeby wejść na górę — to dlatego zaczęłyśmy spać w kuchni!

— Pamiętam.

Wszyscy przeżyli razem cudowne chwile w tej kuchni.

— Słonko, wstałam z łóżka w tym swoim małym pokoiku do szycia i poszłam na dół, wolniutko, żeby nie zaskrzypiały schody. Zeszłam tam i zaczęłam szukać tego pudełka, ale nie mogłam go znaleźć. Nie, proszę mi uwierzyć, pudełko było schowane! To był pierwszy raz, gdy panna Sadie schowała coś przede mną!

Boże, miej litość! Zaczęłam zbierać się, żeby zacząć wchodzić na górę, i nie mogę wstać! To było przed moją operacją kolana. Mówię do siebie: Louella, no to już po tobie, Boże, musisz mi pomóc!

— Opowieść mrożąca krew w żyłach! — odparł.

— Byłam na samym dole schodów, spoglądając w górę i modląc się, i te biedne stare oczy zobaczyły małego aniołka na półpiętrze. Małego aniołka, całego na biało!

Przysunął swój stołeczek bliżej.

— Mówię: „Dziękuję Ci, Boże, za to, że przysłałeś tego anioła, żeby mi pomógł!” A panna Sadie na to: „Będziesz potrzebowała tego aniołka, żeby ci pomógł, jeśli buszowałaś w czekoladkach!”.

Louella wybuchnęła śmiechem; kardynał wyfrunął z karmnika.

— Schodziła na dół, żeby się sama do nich dobrać!

Poszła, wzięła to pudełko i siadłyśmy na schodach i zjadłyśmy wszystkie czekoladki, co do jednej. Powiedziała: „Louello, myślałam o tym. Nie będziemy żyły wiecznie, lepiej się pospieszmy”, a ja na to: „Amen!”.

Nie wiem, co było w tych czekoladkach, ale dobry Bóg użył tego, żeby dodać nam sił. Weszłyśmy na górę jak dwie małe dziewczynki i nie mogłyśmy zmrużyć oka przez całą noc! Mieszkałyśmy na górze przez dwa dni, takie byłyśmy zmęczone tym rozrabianiem!

— Gdzie schowała pudełko?

— Nie wiem, ale wyciągnęła jakieś małe narzędzie, czy coś, żeby to zrobić. Panna Sadie bardzo dobrze radziła sobie z narzędziami z tego starego zielonego pudełka.

— Czy po tym, jak schowała pieniądze, wróciła do domu z kopertą?

— Pewnie, że tak, panna Sadie nigdy niczego nie wyrzucała! Używała wszystkiego, do samego końca!

— Będziemy nadal szukać, Louello. Obiecuję, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

— Problem w tym, że nie podoba mi się całe to „my”. Pieniądze panny Sadie to prywatna sprawa!

— Tak, proszę pani — zgodził się z szacunkiem.

— Módl się, słonko, co zrobić z tymi pieniędzmi, jak już je znajdziesz.

Wstał i pocałował ją w policzek.

— Modłę się — odparł.

Poklepała go po dłoni i spojrzała na niego czule.

— I widzisz, co zrobiłeś, słonko, przez ciebie przegapiłam swój poranny program telewizyjny.

Bud's Billiards był pusty, z wyjątkiem kogoś, kto wyglądał na właściciela.

Sammy spojrzał na napis na ścianie, sięgnął do kieszeni po cztery jednodolarówki i wyłożył gotówkę na ladę.

— Stół jest w kącie — powiedział właściciel.

Przyglądali się Sammy'emu, jak podchodzi do stołu. Ojciec Tim przypomniał sobie, jak pragnął, w czasie wczesnych lat z Dooleyem, usłyszeć, jak Dooley się śmieje. Pragnął teraz zobaczyć, jak Sammy prostuje dumnie ramiona, porzucając ten skulony, przestraszony wygląd.

— Ma pan ochotę na piwo czy coś innego?

— Nie, dziękuję.

— Osobiście nie piję. Niektórzy potrafią przepić wszystkie pieniądze, które zarobią.

— To prawda.

— Jest pan jego tatą?

— Przyjacielem rodziny. Wikary podał dłoń.

— Ma na imię Sammy, a ja jestem ojciec Kavanagh. Uścisnęli sobie dłonie.

— Nie uwierzy ojciec, jak się nazywam, nikt nie chce mi uwierzyć.

— Zamieniam się w słuch.

— Bud Wyzer.

— Niemożliwe.



— Niektórzy twierdzą, że dostałem imię na pamiątkę tego napisu nad barem.

— Rzeczywistość przerasta fikcję.

— Nie przychodzi do nas zbyt wielu księży.

Ojciec Tim obserwował, jak Sammy bierze kij ze stojaka i przygląda mu się uważnie.

— Zawsze lubiłem księży.

— Naprawdę?

— Nie każdy byłby skłonny to przyznać, tym bardziej szkoda.

— Mój wujek był księdzem. Każdego lata jeździliśmy z moim bratem na małą farmę wujka Amosa w dolinie i zostawialiśmy tam aż do początku szkoły. Zajmowaliśmy się jego końmi, paśliśmy krowy, gotowaliśmy trochę dla niego, gdy zmarła ciocia Bess.

— Co gotowaliście?

— Zacząłem gotować, gdy miałem dziesięć czy dwanaście lat. Grill, surówka z kapusty, pieczony kurczak. Coś takiego.

— Podstawy — ocenił wikary.

— Zgadza się. W którym kościele ksiądz jest? Ojciec Tim obserwował, jak Sammy pochyla się nad stołem i wpatruje się w kulę.

— W małym kościółku w lasach, można powiedzieć. Holy Trinity na Wilson's Ridge. Episkopalny.

— Ja nie znam się na niczym innym, z wyjątkiem baptystów. Przypuszczam, że reszta znacznie się różni.

— Wszystko polega na osobistej więzi z Jezusem Chrystusem. Jeśli to nam się uda, różnice mają zazwyczaj mniejsze znaczenie, niż byśmy kiedykolwiek przypuszczali.

Sammy rozluźnił ramię i nadgarstek kilkoma próbnymi pchnięciami kija, następnie uderzył kulę, mocno. Głośny i niespodziewany łoskot przerwał brutalnie ciszę w pustym pokoju.

— Dobry Boże! Co on takiego zrobił?

— Rozbił trójkąt.

— Tak mi przykro, oczywiście zapłacimy. Bud wybuchnął śmiechem.

— Proszę się nie martwić, nic nie pękło.

Ojciec Tim poprawił okulary. Potrzebne mu są nowe szkła, zdecydowanie, był jednak w stanie dostrzec wyraz twarzy Sammy'ego.

Sammy Barlowe lubił grać w bilard bardziej, niż hodować groszek.

— Sprytna z niego sztuka — ocenił Bud. — Ma dobre uderzenie.

— Trudno mi powiedzieć, nigdy nie grałem w bilard.

— Powinien ojciec spróbować. A niech mnie, niech tylko ojciec spojrzy.

— Co takiego?

— Uderzył lekkim wysokim lewym angielskim w bilę rozgrywającą i posłał bilę numer trzy do prawego górnego rogu. Bila odbiła się od trzech band i wbiła bilę numer siedem do prawego dolnego rogu.

— Aha.

Sammy wyglądał na maksymalnie skoncentrowanego, nieświadom niczego dookoła, z wyjątkiem stołu do bilardu.

— Wygląda na to, że wie, jak się skoncentrować. Problem większości graczy polega na tym, że nie potrafią skupić się na stole.

Bila rozgrywająca uderzyła o bilę rozgrywaną i wbiła ją do prawej górnej kieszeni.

— Całkiem nieźle. Jak długo gra?

— Wydaje mi się, że od paru lat. W jednym miejscu w Holding.

Bud oparł się o koniec baru, przyglądając się stołowi Sammy'ego.

Sammy odbił bilę numer cztery od bandy i wbił ją do bocznej kieszeni. Następnie pochylił się nad bandą i prawą dłonią zrobił otwarty most dla kija. Przyglądał się uważnie i w końcu uderzył mocno.

— Bach! — zawołał Bud. — Pierwsza klasa.

— Ten stół jest do niczego — zwrócił się Sammy do Buda.

— W niczym ci to nie przeszkadzało.

— Podłoga musi być nierówna. Powinien go pan wypoziomować.

— Większość nie zwraca na to uwagi. Ale proszę, oto twoje pieniądze.

Sammy wyglądał na rozzłoszczonego.

— Poza tym jest parę w-wgłębień w b-blacie.

— Jak chcesz grać dalej, to ten stół po lewej jest płaski jak deska.

Otworzyły się drzwi i do środka weszła czwórka klientów, jeden z nich niósł pod pachą skórzany futerał.

— Oto i chłopcy z sąsiedztwa — Bud rzucił do wikarego. — Ten chłopak w błękitnej marynarce to Dunn Crawford, syn wicekanclerza. To spryciarz pełną gębą i jedyny z moich klientów, który ma własny kij.

Ojciec Tim poczuł się odrobinę nieswojo. Nowi klienci sprawili, że pomieszczenie zaczęło wydawać mu się nagle inne.

— Koledzy Dunna mówią na niego Hook. To kanciarz, który upatruje sobie na ofiary miejscowych chłopców. Łowi ich jak ryby.

Ojciec Tim zauważył, jak Dunn zapala papierosa i przygląda się Sammy'emu. Sammy nawet nie podniósł wzroku. Jego bila rozgrywająca uderzyła w dwie bile, ale nie trafiła do celu.

— Stuknęło w kieszeni — rzucił Bud.

Razem z Budem przyglądali się, jak Dunn obserwuje Sammy'ego, podczas gdy pozostała trójka z obstawy Dunna spierała się, kto ostatnio stawiał piwo.

— Idę o zakład, że stary Hook złoi skórę ojca chłopakowi.

— Czy powinienem uprzedzić Sammy'ego?

— W życiu i tak zawsze dostajemy w skórę, nie ma na to rady. Może to będzie dla niego nauczka. Tak jak ja to widzę, w tej grze chodzi o coś więcej niż bilard, to właśnie sprawia, że jest taka interesująca.

— Wszyscy ci chłopcy są zepsuci przez college.

Bud zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i wypuścił dym przez nos.

Dunn rozgrzał się kilkoma partiami ósemki ze swoimi partnerami i podszedł do stołu Sammy'ego.

— Nie widziałem cię tutaj wcześniej. Nieźle strzelasz.

— D-dzięki — odparł Sammy. — N-nie na tyle dobrze, żeby mieć swój własny k-kij.

— Prezent na urodziny od mojego taty. Jestem dość kiepski, szczerze mówiąc. Założę się, że mógłbyś mnie niejednego nauczyć.

— No to się zaczyna — rzucił szeptem Bud.

Dunn wykonał parę pojedynczych uderzeń na stole Sammy'ego i obydwaj spuścił głowę.

— Słuchaj, ponieważ nie mam za dużo czasu, zagrajmy dwie z trzech najlepszych partii dziewiątki. O...

Dunn ściszył głos.

Sammy wzruszył ramionami.

— Sam nie wiem.

— No zgódź się.

Sammy ponownie wzruszył ramionami.

— No dobrze.

Dunn zebrał pasiaste bile, z wyjątkiem dziewiątej, którą zagarnął razem z pozostałymi.

Twój ruch, możesz je rozbić, jeśli chcesz. Sammy przygotował się i uderzył mocno. Bile potoczyły się po stole; bila numer siedem wpadła.

— Muszę odebrać telefon — rzucił Bud. — Zostawiam ojca samego.

Ojciec Tim wspiął się na wysokie krzesło i napił się wody z butelki. Blizna Sammy'ego była purpurowa, gdy kończyli partię.

— Kto wygrał? — zwrócił się do Buda, gdy ten znalazł się na końcu baru.

— Ojca chłopak. To znaczy, że znowu będzie rozgrywał. Sammy rozbił romb.

— Nieźle. Dwie bile na dobrej pozycji uderzeniowej i jedna na wyjściowej. Przykłada się do bardzo lekkiego uderzenia, tak, wspaniale, wbija ją. Dobrze, ma łatwe uderzenie w bilę piątą, do górnego rogu...

Sammy pochylił się nad stołem, z brodą tuż nad kijem, i uderzył.

— Uderzył za mocno — ocenił Bud. — Stuknęło w kieszeni.

Koledzy Dunna przerwali grę i podeszli do stołu po lewej stronie. Ojciec Tim widział wyraz ich twarzy, gdy przyglądali się Sammy'emu. Niezbyt przyjazny.

Dunn zamierzył się na bilę z numerem pięć i wbił ją.

— Tam, gdzie jest bila rozgrywająca, nie pozwala mu za bardzo na uderzenie bili z numerem sześć.

Bud gniótł w palcach papierosa i przyglądał się, jak Dunn pochyła się nad stołem. Dunn uderzył bilę rozgrywającą odwrotnym angielskim, odbijając ją od bandy, tuż za bilą z numerem sześć.

— O tak! Odbiła się od szóstej bili i uderzyła w dziewiątą, tuż przed kieszenią boczną. Bach. Koniec gry.

— Hej, Bud! — zawołał jeden z graczy. — Cztery piwa i działka marlboro.

— Kto wygrał?

— Hook.

Wikary wyjął portfel.

— Poproszę jeszcze jedną butelkę wody, za chwilę. Niech będzie podwójna.

Dunn rozbił romb uderzeniem, które wbiło do kieszeni bile z numerami jeden, sześć i siedem. Przyłożył się do bili z numerem dwa, uderzył ją i wbił do bocznej kieszeni.

— Całkiem sprytnie — ocenił Bud.

Dunn próbował wbić bilę z numerem trzy przez całą długość stołu, ale spudłował.

Sammy nie miał nic pomiędzy bilą rozgrywającą i bilą z numerem trzy, ale pozostałe bile blokowały uderzenie prosto do kieszeni.

— Robi się gorąco — ocenił Bud.

Ojciec Tim doszedł do wniosku, że nie musi znać zasad gry, żeby wyczuć atmosferę panującą w klubie. Napięta.

Sammy zamierzył się i uderzył bilę rozgrywającą, używając prawego górnego angielskiego. Billa rozgrywająca ledwie musnęła bilę z numerem trzy, następnie stoczyła się ze stołu pod kątem, który pchnął ją na bilę z numerem dziewięć. Dziewiąta potoczyła się do kieszeni na rogu, obok bili z numerem ósmym i wpadła do dolnej kieszeni na rogu.

— Załatwione — stwierdził Bud.

Wikary nie był w stanie nic wyczytać z twarzy graczy, z twarzą Sammy'ego włącznie.

— Co się stało?

— Ojca chłopak złoł skórę staremu Hookowi.

Bud odwrócił się w stronę baru, żeby nikt nie widział uśmiechu na jego twarzy.

— Jakbyś chciał jakąś pracę na wakacje, to miałbym coś dla ciebie — zwrócił się do Sammy'ego Bud.

— On ma pracę — odparł wikary. — Jest wspaniałym ogrodnikiem.

W drodze do domu czuł, że Sammy będzie chciał mu coś powiedzieć.

— Chciałbym pracować dla Buda.

— Jak myślisz, jak byś się tam dostawał?

Długa cisza. Patrząc wprost przed siebie, Sammy w końcu odpowiedział na jego pytanie.

— Mógłby mnie ojciec zawozić.

Ojciec Tim powstrzymał się od jawnego rozbawienia i jedynie zachichotał.

— Oskubałem go na d-dwadzieścia dolarów.

To, co Lon Burtie powiedział mu o grze na pieniądze Sammy'ego, jak do tej pory, zupełnie wyleciało ojcu Timowi z głowy.

— Nie myślałem, że będziesz grał dzisiaj na pieniądze, nie znam się na tym. Jesteś wspaniałym graczem, Sammy; Bud mówi, że masz wrodzony talent. Byłoby cudownie oglądać twoją grę dla samej satysfakcji, jaką ci daje. Niech sama gra będzie przyjemnością.

— Lubię ogrywać innych. Jeszcze b-bardziej, gdy j-j-jakiś spryciarz myśli, że ogrywa m-mnie.

— Masz dobrą pracę za dobrą płacę. Nie musisz nikogo ogrywać, żeby zdobyć pieniądze na jedzenie, albo opiekować się swoim ojcem, tak jak robiłeś to kiedyś. Pieniądze zawsze wszystko zmieniają. Wydaje mi się, że bilard jest wspaniałą grą i że zasługuje na coś lepszego.

Jechali w ciszy przez kilka kilometrów. Powinien to jasno wyłożyć już teraz, nie jutro, nie za tydzień, gdy Sammy będzie chciał znowu pojechać do Wesley.

— Oto moje warunki. Od czasu do czasu będę cię zawoził, żebyś pograł sobie w bilard, ale tylko pod jednym warunkiem: nie ma mowy o hazardzie.

Resztę drogi przejechali w milczeniu.

— Szkoda, że nie widziałas, jak gra w bilard. Rzucił wszystkich na kolana. Właściciel zaproponował mu pracę! Nie był gotów, żeby podzielić się resztą wiadomości.

— Można by dużo mówić o ich wychowaniu — zauważyła Cynthia — ale młodzi Barlowe'owie mają wyjątkowe talenty. Gdzie on jest?

— W ogrodzie, sprawdza, czy coś kiełkuje. Kto był dzisiaj?

— Lily.

— Dzięki Bogu!

— Violet jest zaplanowana w grafiku na jutro.

— Wiesz, że Violet podobno śpiewa przy pracy.

Cynthia zmarszczyła czoło.

— Nieprzerwanie?

— Nie jestem pewien.

— Muszę znaleźć inne miejsce dla moich sztalug, Timothy. Nasza kuchnia jest jak Akropol w szczycie sezonu; jak centrum handlowe Ameryki! Nie mogę tak dłużej pracować, a pech chce, że właśnie tu wpada północne światło.

— Czy mamy wrócić do Mitford? Potarła czoło.

— Uch, miałam rozdzierający ból głowy przez cały dzień.

— Dałoby się to zrobić — mówił dalej. — Zainstalowalibyśmy cię z powrotem w twojej pracowni, ze wszystkim, czego potrzebujesz, w dwa dni.

— Nie, wolałabym raczej znaleźć sposób na wykonywanie mojej pracy i umożliwienie innym wykonywania ich obowiązków.

— Pamiętasz o naszej chwili wytchnienia? Moglibyśmy urządzić ją jutro — i spróbować coś wymyślić.

Uśmiechnęła się, nagle weselsza.

— Ja zajmę się koszem z prowiantem.

— A ja kocem — obiecał.

Gdy Violet przybyła o ósmej, nie miała na sobie swojego kowbojskiego stroju, ale coś, co przypominało, nawet jeśli dalece, strój austriackiej wieśniaczki.

— A niech mnie! Pasterka z Alp!

— Kupiłam na wyprzedazy rzeczy używanych, za trzy dolary! — zawołała, kręcąc się w miejscu, żeby zademonstrować całość. — Umiem też jodłować.

— Jodłować?

Odrzuciła do tyłu głowę i zajodłowała:

— Jodijodijodilaite, jodilajti, jodilajti!

— Niech mnie licho! — zawołał, rumieniąc się. — Hm, proszę, nie rób tego w domu; moja żona pracuje w kuchni.

— Nie ma sprawy! — zgodziła się. — Czy słyszał mnie ojciec w radiu?

— Nie. Ale uprzedź nas następnym razem i postaramy się ciebie posłuchać. Na marginesie, mamy kota, który ma na imię Violet. Gdzieś tu musi być.

— Szaleję za kotami. Lili nie lubi kotów; kicha na ich widok jak oszalała. Uch, co to za zapach?

— Kreozot. Wiatr zdmuchnął część naszego komina. Naprawiamy go. Masz rodzinę, Violet?

— Och, nie, proszę ojca, jestem bezpłodna jak w przypowieści biblijnej, a mój kochany mąż zmarł, gdy miał trzydzieści pięć lat.

Pstryknęła palcami.

— Bóg zabrał go ot, tak. Atak serca. Dziedziczne.

— Przykro mi.

— Nie znalazłam nikogo tak słodkiego jak Tommy O'Grady...

— Nie wątpię.

Violet wydawała się pogodna.

— Ale to nie znaczy, że nie próbuję!

— I co myślisz... na razie?

— Jestem absolutnie oczarowana, że chce wieszać pranie na sznurku, a nie suszyć w suszarce. Ale jest niesamowicie umuzykalniona. Gdy wywieszała pranie, dałabym sobie głowę uciąć, że... jodłowała.

Cynthia wyglądała na całkowicie zdezorientowaną.

— Ale to niemożliwe.

— Niemożliwe.

Zauważył, że ich pasterka zatrzymała się na ścieżce wiodącej do ganku i przyglądała się perliczkom, ścigającym się po podwórku.

Na twarz ojca Tima wypłynął uśmiech od ucha do ucha, gdy zauważył Lloyda, jak przygląda się Violet oglądającej perliczki.

— Lloyd — powiedział szeptem — mało ci oczy z orbit nie wyskoczą.

Lloyd zarumienił się gwałtownie.

— Daleko im do tego — odparł, uśmiechając się.

— Tutaj jest zupełnie inny świat!

Cynthia spojrzała na baldachim przeplatających się gałęzi drzew nad nieużywaną już od lat drogą na farmę. Światło i cień grały na drodze, wciąż widocznej pod liśćmi.

Bezbłędnie rozpoznał przepelniające go uczucie spokoju.

— W stylu Wordswortha! — zawołał oczarowany.

— Cienista polana! Wiosenna altana!

U stóp zbocza po ich lewej stronie płynął wartko strumień, wprost do New River. Cynthia odetchnęła głęboko.

— Mogłabym usiąść sobie dokładnie w tym miejscu i byłabym zupełnie szczęśliwa.

Spojrzał ukradkiem na zegarek. Za półtorej godziny będzie musiał porozmawiać ze swoim prawnikiem o dokumentach adopcyjnych.

— Widziałam to — powiedziała.

— Co takiego?

— Spojrzałeś na zegarek.

— Tak. Z przyzwyczajenia.

— To prawdziwie cudowny strumyczek — a może tutaj rozłożymy nasz piknik? Jestem zbyt głodna, żeby poznawać okolice przed lunchem. I spójrz, kochanie, stąd mamy cudowny widok na zagrodę owiec.

W istocie, widok znad drogi na skraju lasu roztaczał się na łąkę z owcami i jagniętami, pasącymi się pośród skalnych występów. Za skałami widać było linię ogrodzenia, a jeszcze dalej dach domu pod rozłożystym dębem.

Szczęśliwy, wygładził wybrane przez nich miejsce na poduszce z mchu i liści, i razem rozłożyli kapę na stoku opadającym w stronę strumienia.

Położyła się na kapie i spoglądała na misterną koronkę gałęzi z błękitnym niebem w tle.

— Dziękuję Ci, Boże!

— Tak, dziękuję Ci, Boże!

Gdy siadał obok niej, odwróciła do niego głowę i spojrzała na niego, zadowolona.

— Churchill powiedział kiedyś: „Zawsze przygotowujemy się do życia, ale nigdy prawdziwie nie żyjemy”. Powinniśmy to byli zrobić wcześniej.

— To prawda. Jest też takie powiedzenie dobrego człowieka imieniem Henry Canby: „Żyj głęboko, a nie szybko”.

W zagajniku drzew rozlegało się nawoływanie ptaków.

— Gdy pył ceglany stanie się zbyt gęsty, pamiętajmy zawsze o tym, żeby tu przyjść i zrobić to, co proponuje pan Canby.

Rozpakował kanapki.

— Damy sobie z tym radę. Podniosła coś spośród liści.

— Brązowe pióro — stwierdziła, przyglądając mu się uważnie. — Kiedyś bardzo chciałabym napisać i zilustrować książkę o tym, jak wyglądają rzeczy pod mikroskopem. Co moglibyśmy ujrzeć, gdybym zrobiła z tego slajd?

Obróciła pióro pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym.

— Jaki ptak go zgubił, jak myślisz?

— To kurze pióro — odparł.

Popołudniowe słońce przedostawało się przez liście nad nimi; skąpani byli w jego plamach. Leżał na plecach, obok niej.

— Więc, co zrobimy z twoim miejscem do pracy?

— Lloyd mówił, że na razie to była dopiero przygrywka, prawdziwy bałagan zacznie się w poniedziałek rano — starali się jak najdłużej unikać najgorszego. Jest też Lily, oczywiście, która musi mieć kuchnię, jeśli ma gotować, więc czeka nas... chaos, krótko mówiąc.

— Pokój Sammy'ego jest dobrze nasłoneczniony. Może, jakoś...

— Nie mogę tego zrobić.

— Możemy przenieść cię do wędzarni. Ma okno.

— Uch. Jest tam cała masa wstrętnych insektów i pajaków, z nogami dłuższymi od moich.

— Del wykurzyłaby je stamtąd w sekundę.

— Nie, kochanie. Pomimo okna jest tam zbyt ciemno i przytłaczająco.

— Mam pewien szalony pomysł... — zaczął.

— Kocham twoje szalone pomysły.

— Strych nad stodołą. Stare wrota wychodzą prosto na północ.

— Stodoła?

Milczała przez chwilę, z namysłem.

— Nie wiem. Ale On wie. Czy możemy się o to pomodlić?

Ujął jej dłoń.

— Ojciec — zaczął, postępując zgodnie z wezwaniem świętego Pawła, aby być spontanicznym w modlitwie — dziękujemy Ci, że troszczysz się o to, aby Cynthia miała gdzie pielęgnować i wyrażać ten cudowny talent, którym ją obdarzyłeś. Jesteśmy w kropce, ale ty nie. Czy mógłbyś nam to objaśnić? Dziękujemy Ci już teraz za Twoje mądre i łaskawe napominanie i za Twoje niezliczone błogosławieństwa w tym życiu... za drzewa nad nami i dobrą ziemię pod stopami. Za ludzi, których życie splatasz z naszym. Za Sammy'ego, który zaginął, ale się odnalazł. Za Dooleya, który wraca do domu...

— I dziękuję Ci, Boże — modliła się jego żona — za mojego cierpliwego i troskliwego męża, skarb, o którym nigdy nawet nie marzyłam.

Przeżegnał się.

— W imię naszego Pana i Zbawiciela, Jezusa Chrystusa...

— Amen! — zawołali zgodnie.

— Od razu lepiej.

— Dziękuję za dobre słowo w mojej sprawie do szefa.

Pogłaskała go po dłoni; słuchali przez chwilę beczenia owiec.

— Mam nadzieję, że biedny J.C. będzie umiał stanąć na wysokości zadania, jak to ująłeś. Jestem pewna, że ma w sobie wiele miłości, którą musi tylko zacząć się dzielić.

— Miłość. W tym cały problem! To właśnie to przerażające uczucie na tak długo mnie zupełnie sparaliżowało. A potem, gdy stałem przy murku na wzgórzu tego wieczoru, ogarnął mnie paniczny strach, że stracę cię na zawsze.

— Myślałam o wyjeździe z Mitford.

— A co, gdybym nie padł ci wtedy do nóg? Tyle rzeczy nigdy by się nie zdarzyło. To by się nie zdarzyło.

Strumień szumiał głośno; rozległ się śpiew junko.

— Co gorsza, nigdy nie spróbowałibyśmy tych ciasteczek z nadzieniem wiśniowym bez cukru, schowanych pod serwetą, których jeszcze nie zdążyliśmy wypakować.

— Aha! — zawołał radośnie, zanurzając natychmiast dłoń w koszyku.



Cynthia wróciła do domu, żeby dokończyć kwiecień i zrobić szkic maja, a on został jeszcze w lesie, żeby sprawdzić, gdzie prowadzi droga, która wyglądała na dawny trakt do zwożenia siana. Zajmie się dokumentami przed piątą.

Zostawił koszyk i koc nad strumieniem i powędrował przez las. Barnaba byłby zachwycony...

Gdy wyszedł z za zakrętu na zarośniętej drodze, był zaskoczony widokiem krytego gontem, parterowego domu na polanie.

Czyżby zszedł przez pomyłkę z terenu ziemi Owenów na teren sąsiadów? Raczej nie. Droga prowadziła tutaj od samej zagrody dla owiec daleko w głąbi do granicy posiadłości, którą wyznaczała droga stanowa...

Rynna zastukała, gdy wiewiórka przebiegła po dachu i przeskoczyła na konar drzewa.

Mógł być kiedyś urokliwy, pomyślał. Podszedł do domu, powoli, oceniając uważnie zniszczenia spowodowane upływem czasu i brakiem opieki.

...Duża sosna na załamany szczyt dachu.

...Brakujące dachówki i widoczne przez dziury podbicie; wybite szyby w oknach; okiennica oparta o ganek; łańcuch huśtawki na ganku wyrwany z zawiasu po jednej stronie...

Nie przypominał sobie tego domu. Gdy razem z Halem i psami obchodzili teren posiadłości kilka lat temu, trzymali się pól i połączy lasów liściastych na północy.

Prawdopodobnie dom zarządcy, nie używany od czasu, gdy w latach pięćdziesiątych zbudowany został mały domek Williigo. Jego wzrok wędrował po podwórku. Bela zardzewiałej siatki, porzucane butelki, śmieci.

Po gruntownej naprawie i malowaniu jego żona z pewnością uznałaby dom za intrygujący. Nie byłaby jednak zaintrygowana dziwnym uczuciem, które go ogarnęło, gdy wszedł na ganek.

Drzwi wejściowe, widoczne za drzwiami z podziurawioną siatką, były otwarte.

Dom wydawał się zdecydowanie pusty, ale na wszelki wypadek...

— Dzień dobry!

W obydwu pokojach z przodu domu, w pęknięciach na zachodniej ścianie rosła winorośl; z powodu zniszczonego dachu duża część podłogi była zupełnie przegniła. Kuchnia pozbawiona była szafek i sprzętu; pozostał jedynie zardzewiały zlewozmywak i kominek na wpół wypełniony popiołem. Obok paleniska leżało kilka patyków; na popękany i pozwijany linoleum stało drewniane krzesło.

Zaciekawiony, wziął patyk oparty o gzyms nad kominkiem i poruszył wydający cierpką woń popiół. Kilka zgniecionych puszek po piwie. Plastikowa pokrywa z jednorazowego kubka. Kości kurczaka.

Rozejrzał się po pokoju i ujrzał wąskie drzwi — być może schowek na deskę do prasowania — i otworzył je.

W małym schowku pozostała tylko jedna półka; na niej stał kubek jednorazowy, leżały też okulary przeciwsłoneczne bez jednego szkła; nie otwarta puszka z wieprzowiną i fasolą, kilka martwych pszczoł, otwarte pudełko krakersów, połowa rolki papieru toaletowego, małe opakowanie musztardy, ketchupu, soli i pieprzu oraz otwieracz do piwa. Wziął do ręki kubek i zajrzał do wnętrza. Szczęka. Dolna. Niezbyt przyjemny widok.

Zamknął drzwi do schowka, zostawiając wszystko nietknięte i wyszedł na ganek, zamykając za sobą drzwi z siatką.

Planował obejście domu, ale zatrzymał się, gdy dotarł do walącej się komórki, skąd dobiegł go dziwny odór. Ujrzał najpierw miejsce po ognisku, potem dużą stertę pierza, częściowo ukrytą pod płytą ze sklejki.

W bibliotece na farmie, oświetlonej jedynie światłem z ekranu komputera, w kolejce czekało kilka e-maili.

<Drogi Ojcie Timie

<Plik 90 banknotów studenckich będzie miał grubość około sześciu centymetrów. Przepraszam za spóźnioną odpowiedź. Zapraszamy z wizytą.

<Z poważaniem

<Kaye Abbott. Wesley National

\* \* \*

<Dobra wiadomość to, że zrzuciłam dwa kilogramy. Zła, że Harold miał rację — to były płyny.

<Pozdrawiam

<Emma

\* \* \*

<Timothy

<Módl się za swojego biskupa. Rozpoczynamy ostatni etap.

<Twój w Tym, który pokochał nas pierwszy

<Stuart

\* \* \*

<To znowu ja, Emma.

<Chciałam Ci powiedzieć, że z Esther jest naprawdę źle. Czy możesz uwierzyć, że nie robi nic więcej, poza pieczeniem trzywarstwowych ciast i rozdawaniem ich wszystkim dookoła?

<Zniosła jedno pannie Rose. A ja myślałam, że Esther uważa ją za wroga numer jeden, odkąd nazwała ją grubą! I stary Mueller dostał jedno, to chyba był dla niego najszczęśliwszy dzień w roku. Słyszałam, że teraz piecze ciasto dla Madge Thomas, która za żadne skarby w świecie nie byłaby niczego w stanie upiec, szczególnie teraz, gdy złamała sobie rękę, spadając z taboretu w kuchni. A na dodatek — biedny Gene nie zdążył jeszcze dobrze ostygnąć, a ona upiekła podobno ciasto dla siostry Herman!!

<Esther wpędza się do grobu, zamęczając się tą głupotą. To znaczy, czy próbowałaś kiedyś upiec ciasto trzywarstwowe? Gdybym ja kiedyś upiekła takie ciasto, to wylądowałabym natychmiast w szpitalu w Mitford.

<Jej przyjaciele chcą, żeby przestała piec ciasta i zaczęła opłakiwać stratę Gene'a. Ponieważ prawdopodobnie Ciebie posłucha, wyślij do mnie e-maila, że każesz jej przestać, a ja przekażę jej wiadomość.

Wikary zjadał właśnie ze smakiem swój poranny niedzielny tost, gdy do domu wszedł z ogrodu Sammy. Chłopiec wyciągnął w ich stronę pakunek, częściowo zawinięty w gazetę.

— Szparagi! — zawołała radośnie Cynthia.

— Wszystko z-zaczyna powoli rosnać. Z-zajrzałem na grządki, po drugiej stronie płotu, i znalazłem.

— Podsmażone na oliwie z oliwek z czosnkiem i skropione cytryną — pyszności! Dziękuję, Sammy.

— Możemy mieć sałatę, c-całkiem szybko, za osiem, dziesięć dni, jeśli tylko nie będzie mrozu.

— Chciałam cię zapytać — co najbardziej lubisz jeść, na całym świecie?

— Frytki.

— Doskonale! Jesteś we właściwym miejscu. We wtorek wieczorem będę robiła test.

Ojciec Tim rozsmarował dozwoloną odrobinę marmolady bez cukru.

— W tym chłopcu jest coś z Irlandczyka.

Cynthia przyjrzała się fryzurze Sammy'ego, rezultacie wczorajszego wieczornego zabiegu.

— Krótko! — oceniła.

Chłopiec wzruszył ramionami; na jego ustach pojawił się ledwie widoczny uśmiech.

— Nie będę się musiał strzyc aż do świętego N-nigdy.

W towarzystwie swojej czternastoletniej córki, Sally, Hank Triplett usiadł na ławce po lewej stronie, podobnie jak dziewiątka Millwrightów.

Mimo że pierwszy atak choroby mieli za sobą, Millwrightowie wydawali z siebie istną symfonię kaszlu, zadowolając w pełni gusta muzyczne wszystkich zebranych.

Lloyd Goodnight przybył z Busterem, który — zdecydowanie wbrew własnej woli — wyglądał znacznie czystiej.

Panna Mary i panna Martha przyprowadziły ze sobą sąsiadkę, Ednę Swanson, która miała pobożną nadzieję, że wiadomość o jej wizycie w kościele episkopalian nie dotrze do metodystów, do których należała od ponad trzydziestu lat.

Mimo że panna Martha wyjaśniła, że metodyści i episkopalianie i tak byli kiedyś jednym wyznaniem, nie przekonała Edny, która wiedziała co nieco o historii lokalnych kościołów i napisała kiedyś na ten temat broszurę. Broszura ta została później sprzedana po pięćdziesiąt centów za egzemplarz i przyczyniła się do wsparcia misji.

Mimo że większość kongregacji nie była przyzwyczajona do anglikańskich pieśni, Sparkle Foster, która nauczyła się śpiewać z nut w dziewiątej klasie, dzisiaj czuła się na tyle swobodnie, by śpiewać, donośnie i wyraźnie.

Ojciec Tim dołączył do Sparkle, Lloyd przyjął wyzwanie, a Cynthia wykańczała całość, dając z siebie wszystko. Wraz z pewnym siebie, ale śpiewnym sopranem Agnes i wprawiającym w drżenie dach mezzosopranem panny Marthy melodia otwierającej pieśni niosła się na wietrze ponad wąwozem, mieszając się z balsamicznymi, majowymi prądami termicznymi, na których zażywało przyjemności czternaście jastrzębi Coopera.

*Twą nadobną łaskę*

*Któż zdola wysławić?*

*Ona wokół króluje,*

*W blasku nocy się jawi;*

*Falą wzgórze opływa,*

*Zstępuje w doliny,*

*I słodko się skrapla*

*W deszcz i rosy drobiny...*

W kilka minut po rozpoczęciu nabożeństwa dwoje dzieci zajrzało przez otwarte frontowe drzwi.

Jako samozwańczy odzwierzytny dla spóźnionych panna Martha wstała z tylnego rzędu i podeszła, żeby zobaczyć, co się dzieje.

— Tak? — zwróciła się do nich donośnym szeptem. Chłopiec wyglądał na przerażonego, był jednak dzielny.

— Jestem Roy Dale, to jest Gladys, mała. Słyszeliśmy, że macie tutaj ciasta.

— Wchodźcie, wchodźcie, zobaczmy, co się da zrobić!

Zaganiając je do ławki, Martha McKinney dziękowała Bogu, że schowała do zamrażarki resztkę tortu czekoladowego z zeszłego tygodnia...

Po nabożeństwie i krótkim instruktażu na temat porządku liturgii wikary przedstawił Rootera Hicksa. Rooter, powiedział, zademonstruje sposób na przekazanie krótkiego powitania do noszącego krzyż w Holy Trinity, Clarence'a Mertona, oraz wszystkich innych, którzy niedosłyszą.

Rootera ogarnęło przerażenie, gdy wstawał, aby dokonać demonstracji. Szczerze mówiąc, zupełnie oniemiał i pokazywał znak powitania wielokrotnie, aż w końcu odzyskał głos.

— To tutaj znaczy: *Jak się masz, przyjacielu*. Wy też macie to zrobić.

Ojciec Tim powtórzył znak uczyniony przez Rootera.

— Jak się masz, przyjacielu? — powtórzył, czyniąc znak. — Cóż, jeśli chcielibyśmy wyjść stąd o przyzwoitej godzinie... — spojrzął na zegarek — ...to lepiej zabierzmy się do roboty i powtarzajmy za Rooterem.

Po tym wezwaniu kongregacja dołączyła do wikarego i zaczęła powtarzać za Rooterem.

— No, teraz to rozumiem! — pochwalił wszystkich wikary.

Znajdująca przyjemność w liczeniu głów, Cynthia z satysfakcją doniosła, że frekwencja w Holy Trinity podskoczyła do dwudziestu ośmiu. Wliczając wikarego, oczywiście.

Najpierw był zachwycony, potem posmutniał. Dwadzieścia osiem to ponad połowa pojemności ich nawy. Co robią, jeśli...?

— Krzesła w przejściu! — zawołał czytający w myślach diakon.

— Dwa nabożeństwa! — rzucił zdziwiony tym pomysłem.

Cynthia podniosła rękę.

— Chwileczkę, chwileczkę. Zaczynamy wtrącać się w boży plan.

Roześmiał się, natychmiast poczuwszy ulgę.

— Dzięki, Kavanagh. Już miałem w głowie cały program rozbudowy.

— Jeśli Roy Dale i Gladys przyjdą ponownie, Sammy i ja możemy mieć całą dwunastkę na spotkaniu szkoły niedzielnej w następnym tygodniu. Dwunastkę! Chyba zaczynam się... denerwować, naprawdę.

— Nie ma powodu. Czy rozmawiałaś z Sammym?

— Jeszcze nie. Czekam na odpowiedni moment. Ale myślę, że to zrobi.

— Czy przemyślałaś już lekcję? Pokazała na serce.

— To jakby... dojrzeła tutaj.

— Nie może być lepiej! — zawołał.

Modlił się za Esther Bolick, która zmagala się z cierpieniem, którego nawet nie był sobie w stanie wyobrazić.

Jako że ich znajomość sięgała blisko dwudziestu lat, doszedł do prostego wniosku: Esther opłakuje stratę Gene'a. A z tego bierze się wiele dobrego.

Przycisnął „Wyślij”.

<Niech Esther piecze.

## Rozdział piętnasty

### *Shady Grove*

Błękitny plastikowy namiot, zajmujący dużą powierzchnię wokół otworu kominka, został wzniesiony, aby zapobiec przedostawaniu się do pokoju pyłu z zaprawy i kreozotu.

Jednak widać było gołym okiem, że nie zdawał egzaminu.

Materiał przedostawał się do kuchni, salonu i jadalni, a następnie zakręcał i wędrował dalej korytarzem do biblioteki. Sadza zawierała w sobie tłuszcz, co oznaczało, że ścieranie jej z powierzchni wymagało dużej staranności.

Jakby tego nie było dość, sarta mokrego piasku obok tylnego ganku powoli topniała przenoszona do domu na podszwach roboczych butów Lloyda i Bustera. Pozostawała też kwestia stołu w kuchni, który musiał stać tuż obok kuchenki, czyniąc otwieranie drzwi do piekarnika prawdziwie karkołomnym zadaniem.

— Jak długo? — zwrócił się z pytaniem do Lloyda, zdesperowany.

— No cóż, widzi ojciec, demontujemy otoczenie kominka, żebyśmy się mogli dostać do nadproża i je stamtąd wydostać.

— Żebyśmy mogli zainstalować szyber — wyjaśnił Buster.

— Aha.

— No cóż, będziemy układać cegłę podwójnie, na całej długości wlotu komina — kontynuował Lloyd — potem będziemy tynkować, a to nie jest łatwe.

— Parszywa robota — przyznał Buster, potakując.

Lloyd zdjął czapkę z daszkiem, z nadzieją, że uda mu się wszystko wyjaśnić.

— Widzi ojciec, tynkowanie wlotu komina na zewnątrz, z góry na dół, to żaden problem, ale tynkowanie od środka, z dołu na górę, jest dużo trudniejsze, jeśli wie ojciec, o co mi chodzi...

— Jak długo?

Oczy zaczynały mu się szklić; nic nie mógł na to poradzić.

— Przepraszam za te dwa krzewy — dodał Lloyd.

— Oczywiście, będziemy bardziej uważać.

— Tak — dołączył się Buster. To już będzie trzeci raz.

— Jak długo?

Lloyd spojrział na Bustera, Buster spojrział na Lloyda. Spojrzeli razem na wikarego i oświadczyli zgodnie:

— Trzy tygodnie?

Nie mógł nie zauważyć znaku zapytania na końcu, jak się spodziewał, zdania twierdzącego.

— Czy przyłapał go ojciec na gorącym uczynku? Zatelefonował do prokuratora okręgowego, którego poznał przy okazji kolizji z prawem Dooleya kilka lat temu.

— Nawet go nie widziałem. Ale mój pies urwał kawałek jego koszuli, a on sam zostawił kilka rzeczy w innym domu na terenie posiadłości.

— Czy posiadłość jest ogrodzona?

— Tak.

— Ile kurcząt zginęło?

— Siedem. I znalazłem pióra i ognisko.

— Czy ściał jakieś drzewa na drewno?

— Myślę, że nie, nie sprawdzałem. Prawdopodobnie brał uschnięte gałęzie z okolicy.

— Co jeszcze ojciec wie?

— Zostawił dolną szczękę. Prokurator roześmiał się.

— Na pewno wróci.

— Tak właśnie myślę. Jakie zarzuty można mu postawić?

— Kradzież. Naruszenie własności drugiego stopnia. Okrucieństwo wobec zwierząt, co jest przestępstwem pierwszej klasy. A jeśli ściał jakieś drzewo lub krzaki, może ojciec dodać przestępstwo drugiej klasy. Koniec końców, jeśli był skazany pięć albo więcej razy, sędzia może mu dać do dwustu czterdziestu dni.

— Dziękuję — odparł ojciec Tim. — Będę w kontakcie.

— Ojca podejrzany sprawdza teraz zapewne asortyment na półkach z żywnością dla niemowląt w Value Mart. Ma ojciec na jakiś czas spokój.

Bardzo zabawne, pomyślał wikary.

Przed wycieczką na Wilson's Ridge poszukał Williego, który właśnie mieszał słodką paszę dla krów.

— Opowiedz mi o domu w lesie.

— Chyba niedługo się zawali.

— Czy wiesz, kto tam mieszkał?

— Nie wiem. Pani Owen mówiła, że ich chłopiec, John, komponował tam muzykę, zanim odszedł.

Syn Owenów zmarł w wieku kilkunastu lat na ostre zapalenie mózgu. Marge i Hal nigdy nie pogodzili się z tą stratą i rzadko o tym mówili.

— Czy widziałeś, żeby kiedyś ktoś kręcił się w pobliżu, chodził ścieżką?

— Nie, proszę ojca. Byłem tam tylko raz, prawie w ogóle nie pamiętam, że tam stoi.

Ojciec Tim już dawno dostał nauczkę, że nie powinien taić prawdy przed żoną. W tym przypadku jednak nie miał pojęcia, jak prawda mogłaby polepszyć sytuację. Dowody wskazywały dość jednoznacznie, że kłusownik wróci — a ta wiadomość mogłaby postawić na nogi cały dom. Będzie miał oczy i uszy szeroko otwarte, numer telefonu do szeryfa zawsze pod ręką i oczywiście będzie liczył kury.

— Granny będzie trzymała cię za rękę, a ojciec Tim będzie się za ciebie modlił — wyjaśnił Hoppy. —  
To absolutnie rewelacyjna oferta.

Dovey była sparaliżowana strachem.

— Dobrze — szepnęła.

— Wbiję igłę z zapytaniem i mam nadzieję, że wyjmę ją z odpowiedzią.

Dovey wzdrygnęła się, gdy igła trafiła w miejsce.

— Zaraz zemdleję — ostrzegła Granny.

— Proszę nawet o tym nie myśleć — zagroził Hoppy. Gdy fiolka napełniła się ciemną krwią Dovey, lekarz wyjął igłę i zamknął wieczko.

— Będziesz żyła — stwierdził, przykładając wacik z gazy do miejsca po ukłuciu.

— To już koniec?

— Jeszcze nie. Posłucham twojego oddechu i serca za pomocą tego urządzenia.

Nałożył stetoskop na szyję.

— I sprawdzę tętno, ciśnienie krwi i zbadam wątrobę.

— Jak będzie doktor sprawdzał mi wątrobę?

— Będę ją dotykał palcami... o tutaj. Nic strasznego.

— Czy muszę ją trzymać do tego za rękę? — dopytywała się Granny.

— Jest pani wolna, siostró Meaders. Dovey uniosła głowę.

— Czy mogę się napić wody?

— Przyniosę ci — odparła Granny.

Hoppy pomógł swojej pacjentce usiąść na brzegu łóżka.

— Co będziesz robiła, gdy staniesz na nogi i znowu poczujesz się jak młoda kobieta?

— Nie wiem, prawie już zapomniałam, jak to jest. Będę śpiewać, tak myślę.

— Weź głęboki oddech. Nie oddychaj. Śpiewasz? Oddychaj.

— Tak, proszę pana.

— Weź oddech. Nie oddychaj. Oddychaj. Dobrze. Umieścił membranę stetoskopu na jej piersiach, następnie na plecach.

— Co wy tam słyszycie? — zainteresowała się Granny, przynosząc wodę.

Hoppy uśmiechnął się.

— *Ta-tam, ta-tam.*

Po badaniu Hoppy usiadł na krześle obok łóżka, zamyślony, i przyglądał się Dovey, jak wyraźnie spragniona pije wodę z kubka.

— No dobrze, Dovey, a co powiesz na to?

Lekarz z Mitford z dyplomem z Harvardu zaczął śpiewać, jak ojciec Tim pamiętał z dawnych czasów w Lord's Chapel, swoim cholernie dobrym tenorem.

*Poszedłem do mojej Shady Grove*

*A ona stała w drzwiach, trzymając*

*W dłoniach buty i pończochy,*

*Jej małe bose stopy na podłodze.*

Gdy Hoppy zaczął śpiewać refren, dołączyła do niego Dovey, wtórując.

*Shady Grove, moja ukochana,*

*Shady Grove, powiedzcieć muszę ci*

*Shady Grove, moja ukochana*

*Wyjeżdżam dziś...*

— Bravo! — zawołał z radością Hoppy.

— Na litość boską!

Granny nie wierzyła własnym oczom.

— Lepiej nie mów Donny'emu, że to zrobiłaś! Hoppy włożył stetoskop i próbkę krwi do torby.

— Czego nie powinna mówić Donny'emu?

— Donny błagał ją, żeby zaśpiewała, a ona nie zaśpiewała ani jednej nuty, nie wiem już od jak dawna.

Hoppy włożył rękaw do pomiaru ciśnienia do torby i zasunął ją.

— To będzie nasza tajemnica, Dovey. Ojciec Tim będzie z tobą w kontakcie, damy ci znać, jak się sprawy mają. Niech cię Bóg błogosławi, wracaj do sił. I niech ciebie Bóg błogosławi, Granny.

— Dobrze, że pan doktor nas odwiedził. Granny uśmiechnęła się, pokazując różowe dziąsła.

— To było dobre lekarstwo dla Dovey.

— Gdzie, u licha, nauczyłeś się tej piosenki? — zapytał ojciec Tim, gdy szli do samochodów.

— Byłem hippisem przez niemal piętnaście minut; wszyscy śpiewali *Shady Grove*.

— Wizyty u ludzi wyraźnie ci służą — stwierdził wikary.

*Drogi Pasterze Kavanagh!*

*Dziękuję za miły list, który pastor do mnie napisał. Z radością przeczytałam o Dovey, Donnym i małej Sissy, i o tym, że dereń tak pięknie kwitnie w tym roku.*

*Zrobiłam strasznom rzecz swoim ukochanym i bardzo przeze mnie cierpieli. Nigdy nie przestanę się tego wstydzic, ale Bóg dał mi znać, że wybaczył mi tę strasznom zbrodnię. Jezus wydaje mi się być codziennie tak blisko. Czasami pomaga mi w moich lekcjach rozumienia Biblii, pomaga mi zrozumieć znaczenie. Tak proszę ojca dziękujemy przydałoby się nam więcej Biblii. Jakies dziesięć albo jedenaście byłoby w sam raz.*

*Dziękuję, że troszczy się ojciec o mnie i moją rodzinę. Mam nadzieję, że kiedyś się spotkamy. Proszę modlić się za moje dzieci i małą wnuczkę.*

*Ruby Luster Nr 10765L*

Pokazał list Cynthii.

— Paweł i Mojżesz byli mordercami, Rahab była nierządnicą, Dawid był cudzołożnikiem. Można kontynuować tę listę.

— Co jedynie potwierdza twoje ulubione słowa.

— Każdy święty ma przeszłość... — zaczął.

— A każdy grzesznik przyszłość.

Nióśł właśnie torbę warzywnych odpadków dla kurcząt, gdy usłyszał dochodzącą zza wędzarni rozmowę Sammy'ego z jego siostrą i bratem, którzy przyjechali w odwiedziny.



— Lepiej nie mów przy Dooleyu: „nie bede” — ostrzegął go Poo.

— Dlaczego? — chciał wiedzieć Sammy.

— Bo tego nie lubi. Dlatego. Mówi, że tak mówią ludzie z prowincji.

— Mówi, że tak mówią głupi ludzie — poprawiła go Jessie.

— Nieważne — stwierdził Poo. — Ja już tak przy nim nie mówię.

— No — potwierdziła Jessie — ale jak wychodzi, podskakujesz i krzyczysz: „nie bede, nie bede, nie bede, nie bede!”.

— Lubię mówić „nie bede” — wyznał Poo.

— Jak nie mówisz „nie bede”, to co mówisz? — zainteresował się Sammy.

— „Nie będę” i tak dalej. Prawda, Jess?

— Prawda — przyznała Jessie.

Ojciec Tim przerzucił odpadki przez ogrodzenie. Dzięki Bogu w tej kwestii trzymał gębę zamkniętą na kłódkę. I pomyśleć, że to dziecko zdobyło się na takie słowa...

— Dooley mówi: „tak, proszę pana”, „dziękuję” i całą resztę.

Poo wydawał się oburzony.

— Nauczył się tego w szkole.

— Mama i Buck każą mi i Poo mówić „tak, proszę pana”, „tak, proszę pani”, jak zamieszkaś z nami, też będziesz musiał tak mówić.

— Nie bede z wami mieszkał.

— Dlaczego nie będziesz? — zmartwił się Poo.

— Bo nie bede.

— No to nie! — zawołała rozżalonym głosem Jessie. — Wszystko nam jedno, czy będziesz z nami mieszkał, czy nie!

Ojciec Tim ujrzał ją za rogiem wędzarni, z opuszczoną głową. Wrzucił resztę warzyw i dogonił ją, gdy zmierzała gniewnym krokiem na ganek.

— Za chwilę czeka nas prawdziwa uczta... kanapki z bekonem, sałatą i pomidorem, lemoniada i szarlotka z lodami! — zawołał. — Co myślisz?

— Myślę, że Sammy jest wielkim, podłym osłem.

<Do: Vanita Bentley, „Mitford Muse”

<Kościół Episkopalny Holy Trinity przyjmie darowiznę z możliwością odliczenia podatku w postaci pianina w dobrym stanie. Z góry dziękujemy. 476-2394. Lub pocztą, o. Tim Kavanagh, skrzynka pocztowa 16, Farmer NC 28611

<Vanita, napisz, ile jestem Ci winien. Zamieszczaj do odwołania. Wielkie dzięki.

<Drogi O. Timie:

<To ogłoszenie kosztowałoby Ojca jedenaście dolarów tygodniowo. Może Ojciec zaoszczędzić trochę pieniędzy, jeśli pozwoli mi Ojciec nad tym popracować.

<Z poważaniem

<Vanita H. Bentley

\* \* \*

<Bardzo proszę. Twój w Chrystusie

\* \* \*

<Drogi O. Timie:

<Kościół Episkopalny Holy Trinity szuka pianina. Dobry stan. Odliczalne od podatku. 476-2394.12 słów.

<Razem: 4,00 USD za każdorazowe zamieszczenie.

<O. wersja miała 31 słów. Nikt nie pisze już listów, więc równie dobrze można podać tylko nr telefonu.

<Wyrzuciłam podziękowanie z góry, bo osobiście wydaje mi się trochę górnołotne. Prawie nikt już za nic dziękuje, co dopiero z góry. To ogromna oszczędność!

<Ponadto odliczalne od podatku pozwala nam zaoszczędzić jedno słowo, ma Ojciec dzisiaj dobrą paszę!!!

<Oczywiście można usunąć nazwę kościoła i zredukować liczbę słów do 8. Uwielbiam drobne ogłoszenia!!!

<Proszę powiadomić mnie o decyzji.

— Tylko kto będzie na nim grał? — zdziwiła się jego żona.

— Cynthia, Cynthia! Jeśli je dostarczymy, znajdzie się ktoś, kto na nim zagra. Wspomnisz moje słowa.

— Masz to jak w banku — obiecała jego żona.

— Sammy!

Zapukał do drzwi pokoju.

— Co słyhać?

— Oglądam telewizję.

— Ja nie znalazłem nic ciekawego. A ty co znalazłeś?

— Bilard.

— Mogę wejść?

— No.

— Pokazują w telewizji bilard?

— No.

Stanął i spoglądał na ekran. Bilard w telewizji!

— Musi wykonać teraz długie uderzenie — ocenił Sammy.

Kobiety grają w bilard! Niesamowite.

— Mogę z tobą pooglądać?

— No.

Sammy wstał i usunął z drugiego krzesła stertę nie poskładanego prania.

— Dzięki — odparł ojciec Tim, siadając wygodnie. Sammy nie odrywał wzroku od ekranu.

— Nie ma sprawy.

Cynthia promieniała, przygotowując się do snu.

— Sammy i ja rozmawialiśmy dzisiaj.

— I?

— I Duch Święty poddał nam pomysł na cudowną lekcję w szkole niedzielnej. Jestem taka podekscytowana! Omówimy to z tobą później.

— A teraz nic mi nie zdradzisz?

— Wciąż nad nią pracujemy.

— Czy spodobał mu się ten pomysł?

— Wydaje mi się, że tak.

Poczuł, jakby rodziła się w nim jakaś nadzieja.

— W kuchni było dzisiaj strasznie — pożaliła się. — Może powinniśmy przejść się jutro po kolacji do stodoły? Nie wyobrażam sobie, żebym mogła tam pracować; wydaje się to takie romantyczne, ale na pewno w praktyce wcale by tak nie było. Czy w stodołach nie ma myszy?

— Mogłabyś zabrać ze sobą Violet i pozwolić tej dziewczynie w końcu na siebie zapracować!

Odsunęła kapę i energicznie poklepała ich puchowe poduszki.

— W każdym razie jutro wieczorem jemy moje nowe i ulepszone frytki. Dooley przyjeżdża za cztery dni i jestem pewna, że po tym kolejnym eksperymencie będą fantastyczne.

— Po co ulepszać coś, co już i tak jest doskonale, Kavanagh?

Udała, że go nie słyszy, i wsunęła się do łóżka.

— Burgery z serem niebieskim... i surówka z białej kapusty, przepis Puny.

— Nie zapomnij o mnie — poprosił, siadając na brzegu łóżka, żeby zdjąć skarpety. — Zdążę po powrocie poszatковать kapustę.

Przyszedł czas, żeby przestać „nakręcać sobie interes”, jak mawiał Lloyd, i zająć się misterną materią pielęgnowania własnej trzódki. Dlatego właśnie dzisiejsza rundka po Wilson's Ridge i jego okolicach będzie ostatnia, na jakiś czas.

— Chcesz jechać? — zwrócił się do Barnaby. Czy papież jest katolikiem?

Zmierzał właśnie z Barnabą do półciężarówki, gdy zawołał go Lloyd.

— Prosił mnie ojciec, żebym miał oko na ojca chłopca.

— Prosiłem.

— Pali w stodole. Pomyślałem, że powinien ojciec to wiedzieć, bo to jeden ze sposobów na pozbycie się stodoły.

— Jesteś pewien?

— Widziałem kilka razy, jak zapalał papierosa, gdy tam siedł. Poza tym mam na to wyczulony nos. Ponieważ sam rzuciłem palenie dwadzieścia lat temu, czuję tytoń na odległość.

— Dziękuję, Lloyd.

— Wiem, że palenie tutaj jest zabronione. Buster pali w półciężarówce. Bardzo trudno znaleźć dobrego pomocnika, dlatego nic nie mówię. Mam nadzieję, że to w porządku.

Co zrobić? Poszukać Sammy'ego i załatwić sprawę teraz? Czy pojechać na Wilson's Ridge i porozmawiać z Sammym dzisiaj wieczorem? George Macdonald dobrze to kiedyś podsumował: „Masz do spełnienia przykry obowiązek o dwunastej. Nie psuj smaku dziewiątej, dziesiątej i jedenastej i wszystkich minut pomiędzy tymi godzinami goryczą dwunastej...”

— Czy widziałeś go dzisiaj rano?

— Wynosi nawóz z kurnika — odrzekł. — Na grządkę z okrą dla ojca.

Ten komentarz go poraził. Jak mógł zrobić to, co musiał zrobić, chłopcu, który prznosił kurze odchody, aby zaspokoić kulinarne zachcianki Timothy'ego Kavanagha?

— Jest szczęściarzem, że ma ojca, żeby skopać mu tyłek — stwierdził Lloyd. — Żałuję, że mój tato nie skopał mi mojego. Mogłoby mi to zaoszczędzić wiele smutku.

Trudna miłość, mówili w dzisiejszych czasach. Ale trudna dla kogo?

Dla jednej i dla drugiej strony, wydawało mu się.

Zatrzymał się na ścieżce do kurnika.

Jeśli zgani Sammy'ego za palenie, Sammy będzie wiedział, że był szpiegowany. Kto go szpiegował — Willie? Cynthia? Lloyd? Buster? Nie będzie w stanie zaufać nikomu w Meadowgate.

Okaże Sammy'emu Barlowe'owi to, co Bóg okazywał raz po raz Timothy'emu Kavanaghowi: łaskę.

Poprosi również Boga, aby tymczasem uchronił przed spaleniem stodołę.

Zahamował z piskiem opon na podwórku Jubala i wyłączył zapłon.

— Zostań — polecił Barnabie.

Jubal widział go, jak idzie; zanim doszedł do ganku, drzwi się otworzyły.

— Jubal? Tu ojciec Tim.

Nagle usłyszał swojego psa, jak zbliża się tuż za nim.

— Nie, Barnaba! Wracaj!

Werset z Pisma Świętego, werset! W głowie miał pustkę.

— Boże Wszechmogący!

Jubal Adderholt wymachiwał pistoletem i krzyczał z całych sił.

— Nie strzelaj, Jubal! Nie strzelaj!

Barnaba wpadł na ganek z takim impetem, że w oknach zadrżały szyby. Stojąc na tylnych nogach i machając ogonem, zarzucił przednie łapy na ramiona Jubala.

— Boże, pomóż mi i uratuj mnie! — krzyczał starszy mężczyzna, cofając się chwiejnym krokiem do tyłu.

— „Razem z Chrystusem zostałem przybity do krzyża! — obwieścił wikary. — Teraz zaś już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus...”

Jego pies opadł wolno na cztery łapy.

— „Choć nadal prowadzę życie w ciele, jednak obecne życie moje jest życiem wiary w Syna Bożego, który umiłował mnie i samego siebie wydał za mnie!”.

Serce ojca Tima waliło mocno, gdy kończył werset z Listu do Galatów 2,22.

Barnaba położył się na podłodze ganku.

— Przepraszam, Jubal, proszę, wybacz nam. Dobry Boże, nie robił czegoś takiego już od lat. To chyba te ogony wiewiórek. Czy wszystko w porządku? Wydaje mi się, że cię polubił.

— Polubił mnie? Całe szczęście, że nie odstrzeliłem mu łba.

— Jest zupełnie niegroźny, daję słowo. Po prostu zbyt przyjacielski.

— Właśnie zaczynałem czyścić pistolet na węże, jak usłyszałem, że podjeżdżacie. Czego, na Boga, znowu ode mnie chcecie? Nie mam już ani chwili spokoju, odkąd żeście otwarli ten wasz kościół.

— Chciałem tylko zajrzeć, żeby się przywitać, zobaczyć, co słychać.

— Proszę się.

Jubal wskazał na sofę, z której właśnie ściągnięto chroniący ją w zimie brezent. Usiadł.

— Gdzie jest panna Agnes?

— Boli ją kolano.

Jubal wyglądał na niezadowolonego.

— Pewnie całkiem o mnie zapomniała.

— Och, nie, w życiu by o tobie nie zapomniała. Jak się mają interesy z wiewiórkami?

— W maju zamykam sezon na wiewiórki, ale było tak zimno, że będę polował jeszcze jakiś tydzień lub dwa.

— Twoja strzelba...

— Tak?

— Mierzysz nią we mnie.

— Nic w niej nie ma.

Jubal uniósł strzelbę ponad jego głowę i pociągnął za spust. Pstryk.

— To jedna pusta komora dla ojca. Wikary zerwał się na równe nogi.

— Zrobiliśmy już dość kłopotu jak na jeden dzień, będziemy się zbierać.

— Nie ma ojciec żadnych jajek, co?

— Nie tym razem. Ale następnym razem na pewno przyniosę. Obiecuję.

Jubal cały czas machał mu strzelbą tuż przed oczami; już go tu nie ma.

— Nie będzie ojciec przypadkiem przejeżdżał w pobliżu domu panny Marthy?

— Będę, będę. Jadę prosto do niej.

— Upolowałem rano dwie wiewiórki, jeszcze była rosa; są oskórowane, ładne, mięsiste. Mógłbym je podać przez ojca...

— Jestem pewien, że panna Martha nie chciałaby pozbawiać cię jedzenia.

— Jest ich tam więcej.

— No cóż, w takim razie chętnie je dostarczę! Ojciec Tim podejrzewał od samego początku, że w piersi Jubala Adderholta bije wielkie serce.

— Oczywiście, ojciec wie, że będę się spodziewał od panny Marthy czegoś w zamian.

— Aha.

— I byłbym wdzięczny, jakby ojciec to podrzucił w drodze powrotnej.

Nie miał pojęcia, jak się wplątał w te tarapaty. Musiał wyjechać stamtąd, trzymając między stopami worek z wiewiórkami, podczas gdy jego pies wariował na siedzeniu pasażera.

I, oczywiście, panny Marthy nie było w domu.

Nie mógł zostawić tego konkretnego prezentu zatkniętego za drzwi z siatką, jak porannej gazety. W istocie, prognozowano, że temperatura wzrośnie dzisiaj do ponad dwudziestu stopni, a co, jeśli siostry wrócą do domu dopiero po południu?

— Boże, miej litość! — zawołał na głos, cytując Granny.

— Tak mi wstyd, że dowiedział się ojciec o moim picu. Sissie mówi, że ojcu powiedziała.

Mówi wszystko ta mała. Byłbym wdzięczny, gdyby mógł ojciec nie głosić mi kazania, ja już sobie sam głosiłem je aż do znudzenia.

Wszystko idzie dobrze przez jakiś czas, potem coś się dzieje, nie potrafię nawet powiedzieć, co to takiego. To tak, jakbym szedł drogą, która nagle kończy się przepaścią. Widzę, jak przepaść się zbliża, ale jak głupiec idę dalej.

Chcę z tym skończyć, modliłem się, żeby z tym skończyć, próbowałem z tym skończyć, ale cały czas wpadam w przepaść. I poza jeszcze gorszą rzeczą, jaką jest sprawienie zawodu Bogu, nie mam czasu bawić się z alkoholem, muszę prowadzić firmę. Tak jak się sprawy mają, że muszę opiekować się Dovey i Sissie, to sprawa życia i śmierci.

Donny oparł łokcie na kolanach i schował głowę w dłoniach.

— Mój tato był największym draniem, jaki chodził po ziemi, a wie ojciec, co Stary Testament mówi o grzechach ojców. Ale ja wierzę, że Bóg jest Bogiem miłosiernym, inaczej nie posłałby Jezusa. Wierzę, że grzechy ojców krążą w nas jak trucizna, ale nie jesteśmy potępieni. Oddał za nas swoje życie na krzyżu, żebyśmy nie byli potępieni, ale wolni.

W istocie, Donny wygłosił mu niezłe kazanie; kazanie, które Madelaine Kavanagh, jego mama, nazwałaby świętą prawdą.

— Czy mogę pojechać z ojcem z wizytą? Mogę? Stała na palcach i wyciągała do niego ramiona.

— Nie dzisiaj, Sissie. Pochylił się i wziął ją na rękę.

— Hej, ależ ty rośniesz!

— Już nie jestem małym dzieckiem, to dlatego.

— Cieszę się, że twoja mama śpi. Jak się czuje?

— Prawie w ogóle nie śpi w nocy, najczęściej śpi w dzień.

Trzymając dziecko na rękach, poczuł, jak ciężko robi mu się na sercu, z powodu całego zła tego świata.

— Będziemy cię wyglądać w kościele w niedzielę. Będziemy mieć naszą pierwszą lekcję w szkole niedzielnej, wiesz?

Sissie zmarszczyła czoło.

— Czy w szkole niedzielnej dają ciasto?

— Zobaczą, co się da zrobić.

Postawił ją na podłodze i przykucnął obok niej.

— Czy mogę się za ciebie pomodlić, Sissie? Pochyliła głowę, położył na niej dłoń.

— Ojcie, dziękuję Ci za cud Sissie Gleason. Za jej radosnego ducha, dociekliwy umysł, jej czułe serce. Dziękuję, że błogosławisz jej życiu hojniej, niż mógłbym o to prosić, czy nawet sobie wyobrazić. Przygotuj jej drogę, Panie, aby mogła się stać wszystkim, co dla niej zaplanowałeś. W imię Jezusa...

Sissie zacisnęła powieki.

— I Panie, proszę, spraw, żeby mama czuła się lepiej, żeby Donny przestał pić, sprowadź mamę Ruby do domu i daj nam hot dogi z serem na kolację dzisiaj wieczorem.

— Amen! — zawołali zgodnie. Nagle zrobiło mu się dużo weselej.

Pod domem Donny'ego zaparkował w cieniu, wsunął worek z wiewiórkami pod półcięzarówkę i dopilnował, aby okna nie były opuszczone na tyle nisko, aby mógł wyskoczyć przez nie jego pies.

Spojrzał na zegarek, opuszczając podwórko Donny'ego. Nie miał pojęcia, jak długo jego towar przebywał w kuchni Jubala, zanim zabrał go ze sobą czterdzieści pięć minut temu.

Wcisnął mocniej pedał gazu i pospieszył do sklepu Hanka Tripleta na skrzyżowaniu.

— Czy masz tu zamrażarkę, do której mógłbym to włożyć i może odebrać później w ciągu dnia?

— Co ma ojciec w torbie?

— Dwie wiewiórki. Oprawione. Hank zastanowił się przez chwilę.

— Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł. To znaczy, są tam desery lodowe i takie tam.

— No tak. Rozumiem.

Poszperał po półkach i kupił precle, chipsy, snickersy i mieszankę krakersów i kawałek sera, który w wiejskich sklepach nazywają szczurzym\*. Wymienił również papierową torbę na plastikową i wrzucił lód na jej zawartość, unikając konfrontacji z zawartością.

— Mam nadzieję, że zobaczę się z tobą i Sally w niedzielę.

— Może ojciec na nas liczyć — odparł Hank, wyglądając na zadowolonego.

\* Szczurzy ser (*Rat cheese*) — inaczej cheddar.

Zapukał do pięciorga drzwi, z których zaledwie jedno zatrzaśnięto mu tuż przed nosem, zabrakło mu jednak odwagi, by spróbować szóstych, znajdujących się w samym środku prywatnego wysypiska śmieci. Włożył też ulotki do siedmiu skrzynek pocztowych i umieścił ogłoszenia na dziewięciu słupach telefonicznych. W drodze do budynku szkoły zatrzymał się, aby zaproponować podwiezienie starszemu mężczyźnie, wędrującemu prawym poboczem drogi w roboczych spodniach i zniszczonym kapeluszu.

— Podwieźć pana?

Starszy mężczyzna spojrział z przerażeniem na czarnego psa, który wydawał się jedynie odrobinę mniejszy niż półcięzarówka, odwrócił się i uciekł do lasu.

Wyraźnie Barnaba nie był najlepszym narzędziem marketingowym.

— Agnes — przywitał się, pospiesznie wchodząc do budynku — czy mogę włożyć tę torbę do twojej zamrażarki?

— Bardzo proszę, ojcie. A co tam jest, jeśli mogę zapytać?

— W tym sęk. Dwie wiewiórki, oprawione i gotowe do ugotowania przez pannę Marthę, ale nie było jej w domu.

Agnes wybuchnęła śmiechem.

— Był ojciec u Jubala.

— Tak, i pytał o ciebie. Mówił, że mu się wydaje, że o nim zapomniałaś.

— Ten taki i owaki. Kto mógłby kiedykolwiek zapomnieć o Jubalu Adderholcie?

— Nie ja! — zawołał z przekonaniem.

— Jak udała się rundka wizyt?

Włożył torbę do zamrażarki i zdał jej relację.

— Nastawię wodę na herbatę, nie mogę się już doczekać, kiedy usłyszę ojca plan.

Wyjął dokumenty z dużej koperty i usiadł przy stole.

— To będzie niespodzianka nawet dla Cynthii. Proszę więc — zachowaj wszystko, co ci powiem, dla siebie.

— Załatwione — zgodziła się, cytując wikarego.

W drodze do Meadowgate spróbował jeszcze raz.

Zapukał do drzwi wejściowych i poszedł na tył domu. Zamknięte na cztery spusty.

Miał nadzieję, że nic się nie stało. Siostry zazwyczaj były w domu, z wyjątkiem tych dni, gdy jechały na zakupy.

Ponownie ruszył z torbą przez podwórko i wsiadł do półciężarówki, zauważając, że Barnaba w końcu przestał się interesować jego ładunkiem. Niezły galimatias.

— Zostań! — rozkazał swoim głosem kaznodziei. Gdy tylko stanął na ganku, drzwi Jubala otwarły się.

— Czekałem na ojca.

— Tak myślę.

— Co mi ojciec niesie?

Wydawało mu się, że Jubal spogląda na niego z wyraźną nadzieją.

— Widzisz, panny Marthy nie było w domu. Byłem u niej dwa razy i nie mam pojęcia, gdzie ona może być. Wiewiórki obłożyłem lodem i przechowałem je w zamrażarce panny Agnes, więc jestem pewien, że nic im się nie stało.

Podał torbę Jubalowi, niezmiernie wdzięczny, że w końcu pozbył się tego cholerstwa.

Jubal otworzył torbę i przyglądał się podejrzliwie zawartości.

— To nie są wiewiórki.

— Nie są? To znaczy...

— To jest... Boże, miej litość; co to jest? Wikary zajął do torby.

— Nie mam pojęcia.

— Daję ojcu dwie piękne wiewiórki, a ojciec wraca z kotem w worku!

— Chwileczkę, Jubal.



Pospieszył do półciężarówki i wyjął drugą torbę zza siedzenia kierowcy. Nawet jeśli panny Marthy nie było dzisiaj w domu i nie mogła podać swojego własnego prezentu, Jubal i tak dostanie zwrot ze swojej inwestycji.

Powędrował z powrotem na ganek Jubala. Boże, miej litość, w istocie, i to właśnie Timothy Kavanagh potrzebował jej dzisiaj. Czasami miał ochotę po prostu położyć się i umrzeć, jak by powiedział Lew Boyd.

Lloyd i Buster właśnie wyjeżdżali, gdy on zajechał pod dom o czwartej po południu. Dzięki Bogu, ich kuchnia była wolna, a on czuł zmęczenie w kościach.

— Nie uwierzysz! — przywitała go żona. Promieniała, jaśniała, emanowała energią.

— Chodź ze mną.

Chwyciła go za rękę i ruszyli korytarzem, potem wspięli się po schodach, minęli pokój Sammy'ego, skręcili za rogiem i znaleźli się przed zielonymi drzwiami. Dyszał jak pies myśliwski po polowaniu na zająca.

— Wiesz, gdzie prowadzą te drzwi? — zapytała.

— Na strych, tak mi się wydaje, chociaż nigdy tu nie byłem.

Otworzyła drzwi i weszli po wąskich schodach, aż znaleźli się w przestronnym, przepelnionym światłem pomieszczeniu z trzema wychodzącymi na wschód oknami i jednym mniejszym, wychodzącym na zachód.

W milczeniu ujęła go za rękę i poczęły przeciskać się pomiędzy zbieraniną starych mebli i pokrytych kurzem pudeł, aż stanęli przed dużym środkowym oknem.

Spojrzeli w dół na pokryty mchem dach wędzarni i powstający ogród Sammy'ego, następnie na stodołę z jej czerwonym blaszanym dachem i dalej na zielone pastwiska usiane krowami i na błękitne góry w tle.

Bez słowa zaprowadziła go przed zachodnie okno, skąd rozciągał się widok na owce i jagnięta i krnąbrnego barana z Meadowgate, i ogromny występ skalny wyrastający wprost ze szmaragdowej trawy.

— Słów mi brak! — zachwycił się, wzruszony.

— Brakuje tu tylko jednej rzeczy.

— Del!

— Tak! Poza tym — jej oczy przepełniała radość — tu jest jak w niebie.

— A skoro już mowa o niebie — zauważył — dlaczego tak często jestem zaskoczony, gdy Bóg wysłuchuje naszych modlitw?

— Jak idzie ci maj? — zapytał, szatkując kapustę.

— Mój ulubiony. Chcesz zobaczyć?

Wytarła ręce i przyniosła szkic akwareli. Jagnię leżało obok owcy, uśmiechając się — tak jak robią to jagnięta. Na pobliskiej skale przycupnęła Violet, z zielonymi oczami, szerokimi ze zdumienia.

— Aha! Jak dla mnie, też ulubiony. Do licha, ależ jestem z ciebie dumny! I Violet też. Ta dziewczyna to prawdziwa kokietka.

— Dziękuję, kochanie. Zostało mi jeszcze siedem, i trzy miesiące do dokończenia.

— Sammy i ja możemy zanieść twoje rzeczy do nieba po kolacji.

— Po kolacji? — Zastanowiła się, uśmiechając się.

Nie bardzo potrafił to zrozumieć, jednak odkąd przeprowadzili się na wieś, obiad coraz częściej stawał się kolacją.

Po zszatkowaniu kapusty w ilości wystarczającej do nakarmienia wojska usiadł w strefie działań wojennych, zwanej również kuchnią, i wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w błękitny namiot. Jego pracowita żona zajmowała się przygotowywaniem posiłku.

Podeszła do krzesła i dotknęła jego ramienia.

— Co się stało, kochanie?

— Odczuwam mój wiek.

— No cóż, w takim razie zrób coś!

— Co na przykład?

— Wybierz się na spacer po pastwisku z psami, idź po pocztę do skrzynki... spraw, by krew zaczęła ci szybciej krążyć.

— Spędziłem prawie siedemdziesiąt lat, sprawiając, by krew zaczęła mi szybciej krążyć.

— A co z twoim poziomem cukru?

— W porządku. Naprawdę mam ochotę po prostu tu siedzieć i odczuwać swój wiek. Raczej niż, no wiesz, walczyć z tym uczuciem.

Jego żona spojrzała na niego dziwnie, ale bez wątpienia z tolerancją i wróciła do swoich obowiązków.

Domyślał się, że jego własny nos, podobnie jak Lloyda, był dość wrażliwy. Gdy szedł do ogrodu, żeby zawołać Sammy'ego na kolację, poczuł zapach dymu na wiosennym wietrze.

Sammy siedział oparty plecami o drewniany płot i był zaskoczony, gdy ojciec Tim otworzył bramkę. Rzucił papieros w róg ogrodu, gdzie wylądował pomiędzy grabiami i łopatami.

— Kolacja — powiedział.

Milczeli, idąc do domu. Czy ma porozmawiać z Sammym teraz i zepsuć kolację Cynthii? Nie. Ale jeśli nie porozmawia z Sammym, kolacja i tak będzie zepsuta — poczuł ścisnięcie w żołądku. Być może potrzebny im był czas.

— Porozmawiamy po kolacji — powiedział ojciec Tim. Będą mieli przynajmniej czas, żeby pomyśleć o tym, co chcą sobie powiedzieć.

Gdy pochylał głowę przed modlitwą o błogosławieństwo, zauważył, że blizna Sammy'ego płonie.

Gdyby miał taką bliznę, też by płonęła.

Postanowił porozmawiać na, jak można go było z grubsza określić, własnym terenie — w bibliotece. Skórzane fotele emanowały pewnym autorytetem, którego mogło mu zabraknąć w podbramkowej sytuacji.

— W dzień po twoim przybyciu rozmawialiśmy o zasadach.

— Tak, ale powiedział ojciec, że o-ogród jest m-mój.

— Powiedziałem też o zakazie palenia i myślałem, że to stawia sprawę jasno.

— No, ale jeśli jest m-mój, to powinno mi być wolno robić tam, c-co chcę, to ja go u-uprawiam.

— Otrzymujesz za pracę wynagrodzenie, zasady pochodzą z domu, który cię przyjął.

— M-mówi mi coś ojciec, potem okazuje się, że to n-nie jest już prawda.

Zegar tykał nad kominkiem. Jagnię beczało w zagrodzie.

— Żyłeś jak sierota przez wiele lat, Sammy. Bez mamy i z ojcem, który nie mógł być dla ciebie prawdziwym ojcem. Prawdę powiedziawszy, byłeś ojcem dla niego.

Teraz mieszkasz z rodziną. W życiu rodzinnym obowiązuje pewna wspólnota — to, co robi jedna osoba, dotyka pozostałe osoby. Wiem, że to dla ciebie frustrujące, przez długi czas sam ustalałeś swoje zasady.

— Nie palić, nie oszukiwać, nie p-przeklinać, t-trzymać porządek w pokoju. Nie jestem w stanie r-robić tych i-idiotyzmów.

— Oto na czym polegają zasady. Nie mają zamknąć cię w pudełku, mają dać ci wolność. Czy w grze w bilard nie ma zasad? Czy możesz zignorować zasady i wygrać?

Sammy nie odpowiedział. Machał nogą, pragnąc jak najszybciej wyrwać się z tego przesłuchania.

— Masz bezpieczny dach nad głową, trzy posiłki dziennie, pracę, którą, jak mówisz, lubisz, wypłatę, swój własny pokój, ludzi, którym na tobie zależy. Czy to coś dla ciebie znaczy?

Sammy zacisnął szczęki, ojciec Tim wyczuł, że chłopiec jest gotów zerwać się do ucieczki. Nie chciał przypierać Sammy'ego do muru — chłopak miał pieniądze i wszystko co potrzebne, żeby ruszyć w drogę.

— Przemyśl to, synu. I chodźmy położyć się spać. Możemy porozmawiać znowu jutro... zawsze możemy porozmawiać. Jedna rzecz, na którą zawsze możesz liczyć, to to, że możemy porozmawiać.

Sammy zerwał się na nogi i podbiegł do drzwi biblioteki. Stał przez chwilę z ręką na gałce, spoglądając na niego wrogo.

— Nie cierpię tego d-domu.

Otworzył drzwi i wybiegł na korytarz, znikając po chwili na schodach.

Ojciec Tim słuchał odgłosu stóp Sammy'ego na stopniach, tak jak często słuchał odgłosu stóp Dooleya, wiele lat temu.

Robienie tego, co należy, było bolesne. Bywały chwile, kiedy miał ochotę zostawić sprawy samym sobie, dać się nieść biegowi wydarzeń, dać sobie spokój, bez względu na wszystko.

Serce ciążyło mu jak kamień, gdy sam pokonywał drogę na górę.

Nie miał pojęcia, jak przeżył te wszystkie lata bez kogoś, z kim mógłby rozmawiać w łóżku. Według jego mało wyrefinowanej opinii była to kwintesencja wspólnego życia.

Na szczęście, nie było mowy o frytkach. Były zupełnie bez smaku, pomyślał, chociaż nie było w tym żadnej winy kucharza.

— Mówi, że nie cierpi tego domu.

Cynthia westchnęła, przysunęła się do niego i oparła mu dłoń na ramieniu.

— Biedny Sammy. Przypuszczam, że możemy powiedzieć, iż tkwimy w tym po uszy.

— Po same uszy — przyznał niepocieszony.

# Rozdział szesnasty

## *Ciasto*

— Ojcie Timie? Lew Boyd. Chciałem ojcu powiedzieć, że jakiś łachudra przyszedł do mnie na stację i szukał ojca. Powiedziałem mu, że mieszka ojciec na wsi. Nie wiem, kto to był, wyglądał na bardzo wygłodzonego, według mnie. Powiedziałem mu, jak się do ojca dostać. Chwileczkę. Wydaje mi się, że minęły jakieś dwa, trzy tygodnie, odkąd tu był, może więcej. Nie wiem — czas płynie bardzo szybko, jak człowiek chce wszystkiego dopilnować.

*Pip.*

Rozmowa musiała zostać nagrana na automatycznej sekretarce w bibliotece wczoraj. Musiał być zbyt zajęty, rozmawiając z Sammym, że nie zauważył mrugającego światelka.

Przez lata wyobrażał sobie, że jego najlepszy przyjaciel z dzieciństwa, Tommy Noles, będzie próbował go odnaleźć. Miał jednak gorliwą nadzieję, że Tommy, który przepadł jak kamień w wodę po ukończeniu college'u, nie pojawi się nagle u niego, wyglądając na „bardzo wygłodzonego”.

Osobnik, który pojawił się na stacji Lew, był prawdopodobnie jednym z kilku, którzy przewinęli się na przestrzeni lat przez Mitford, poszukując pomocy u księdza z Lord's Chapel. Przechowywał specjalny zapas gotówki, który nazwał DP, i tylko Emma i on wiedzieli, co ten skrót oznaczał, a mianowicie: Dla Potrzebujących.

Nacisnął ponownie klawisz „Wiadomości”.

— Ojciec Tim? Mówi Betty Craig. Przykro mi, że zawracam ojcu głowę, ale już niedługo może nie mieć kto zawracać ojcu głowy. Panna Rose rzuciła we mnie przykrywką z garnka, a to nic w porównaniu z całą resztą. Proszę dać mi znać, czy coś ojciec wymyślił, i mam nadzieję, że szybko się ojciec odezwie.

*Pip.*

Nie miał zielonego pojęcia, co zrobić. Gdyby Esther Cunningham nie szalała teraz gdzieś po prerii, załatwiłaby to w sekundę. Po szesnastu latach sprawowania urzędu Esther zesła z ringu, w przeciwnym razie głosowałby na nią do końca życia. Jedyne, co mógł zrobić, to grać na zwłokę; zadzwoni do Betty i postara się ją dowartościować, a za tydzień weźmie byka za rogi...

Spojrzał na zegar wiszący nad kominkiem w bibliotece i stwierdził, że on sam chodzi w kółko po podłodze. W ten sposób nie sprawi, żeby krew zaczęła mu szybciej krążyć. Czuł się dziwnie zagubiony, niespokojny.

Było zdecydowanie zbyt wcześnie na pobudkę dla Sammy'ego. Cynthia chciała pospać do siódmej, po niespokojnej nocy. On sam wyprowadził już psy i pochłonął tosta i kawę. I, oczywiście, przeczytał poranne oficjum brewiarzowe i porozmawiał z Bogiem, jeśli nawet w mało uduchowiony sposób, ponieważ jego myśli pędziły jak szalone.

Chodził nadal w koło po pokoju, trzymając się za podbródek.

Sammy nie mógł mieć więcej niż sześć czy siedem lat, gdy Pauline porzuciła dzieci, zabierając ze sobą Poo. Clyde Barlowe uciekł z Sammym; matka sprzedała Kenny'ego za czterolitrową whisky obcemu człowiekowi o imieniu Ed Sikes; Jessie, wtedy mała dziewczynka, została uprowadzona przez chorą kuzynkę Pauline.

To właśnie w czasie tych strasznych zająć jedenastoletni Dooley zamieszkał u niego w domu. Nie mógł pojąć, jak jemu i Dooleyowi udało się przetrwać te wczesne lata. To był prawdziwy cud. A teraz Sammy...

Zdał sobie sprawę, że Sammy prawdopodobnie prawie albo w ogóle nie pamiętał, co to znaczy jeść wspólny posiłek z rodziną przy stole. Prawie wszystko, co robi w Meadowgate, jest dla niego, w ten czy inny sposób, nowe.

Z jednym możliwym wyjątkiem. Szczerze mówiąc, Sammy potrafił utrzymać swój pokój w dość przyzwoitym porządku, co zadziwiało zarówno Cynthię, jak i Flower Girls. Bardzo prawdopodobne, że to poczucie porządku przychodziło mu naturalnie; ponadto był ojcem dla swojego ojca przez całe lata i dlatego zetknął się na poważnie z odpowiedzialnością. Lon Burtie powiedział kiedyś, że dzięki grze w bilard Sammy zdobywał pieniądze na jedzenie, gdy Clyde przepijał pieniądze z opieki społecznej.

Z samego rana pochwali Sammy'ego za utrzymywanie takiego wspaniałego porządku w pokoju. Chciał mu o tym powiedzieć już od jakiegoś czasu...

Wiatr przybierał na sile, w całym domu czuć było nieprzyjemny zapach kreozotu. Cynthia kichała, on kichał... jak zwykle, jak zwykle. Katastrofa z kominem była prawdziwą lekcją cierpliwości...

Dokładnie o siódmej trzydzięci Lloyd i Buster zjawili się w domu z wiadrami zaprawy murarskiej i wyrazem przeprosin na twarzy.

— Postaramy się nic nie rozlać na podłogę.

Buster kiwnął głową.

— Postaramy się. — Tuż za nimi przyszedł Willie.

— Dwanaście — oświadczył Willie, który skończył z cegielkami i zamienił karton na kapelusz.

Ojciec Tim wyjął brązowe jajka z kapelusza i umieścił je w błękitnej misce.

— Więc wróciliśmy do normy?

— Tak, proszę ojca. Do stałego poziomu.

Może się mylił, może ten podejrzany osobnik, który obrabował ich kurnik, wyniósł się stąd, mimo wszystko. Zużyte dolne szczęki i puszka fasoli nie były żadnym dowodem na prowadzenie domu.

— Jest Del!

Nieomal krzyknął, gdy zobaczył, jak błękitny minivan z kalkomanią przedstawiającą amerykańską flagę wjeżdża na podwórko. Z anteny powiewała flaga konfederacka.

Twarz jego żony rozświetliła się jak żarówka.

— Nigdy bym nie przypuszczała, że będę się cieszyć na widok Del — szczególnie gdy spodziewam się Lily.

— Trudno się nudzić z tymi dziewczynami.

— Jest tylko jeden problem. Del nie gotuje i nie piecze, a nam potrzebne jest ciasto na niedzielę. Sissie na nie czeka, i Roy Dale, i Gladys...

— A czy Lily nie ma przyjść jutro?

— Miałam ci powiedzieć, jutro jesteśmy sami, Lily urządza przyjęcie urodzinowe w biurze burmistrza w Wesley.

Zastanowił się przez chwilę.

— Upieczenie ciasta chyba nie sprawiłoby, żeby krew zaczęła mi szybciej krążyć?

— Zapewne nie. Ale byłoby cudownie, gdybyś spróbował i sam zobaczył.

I znowu się pośpieszył.

O ósmej piętnaście byli w drodze na poddasze, taszcząc ze sobą odkurzacz, miotłę, śmietniczkę, dwie sztalugi, cztery pudła z materiałami do rysowania, pudło z książkami o sztuce, taboret, kosz ze szmatkami do czyszczenia, tapicerowany fotel, kosz, dwie miski, pięciokilogramową torbę z jedzeniem dla kota, dzbanek z wodą i samego kota.

Ich wędrówka na górę przypominała wędrówkę pierwszych osadników w Kansas.

Pomoże przenieść jeszcze jeden ładunek, potem zapuka do drzwi Sammy'ego. Postanowił, że pojedzie dzisiaj do Mitford i zabierze Sammy'ego oraz jego rodzeństwo do Sweet Stuff, a przy okazji kupi potrzebne składniki na ciasto.

Bardzo prawdopodobne, że Sammy już nie śpi. Nawet nastolatek miałby problemy ze snem w harmoni-  
drze wywołanym przeprowadzką z piekła do nieba.

Łóżko było zaścielone, w koszu znajdowała się pusta paczka po camelach, na krześle zaś leżało nie po-  
składane pranie...

Z pobieżnych oględzin garderoby wynikało, że Sammy miał na sobie czarne dżinsy, błękitną bluzę i  
zniszczone tenisówki, w których się tu pojawił.

Może Sammy wstał wcześniej i wyszedł do ogrodu, albo nawet do stodoły, i trzeba tylko pójść i go zna-  
leźć. Stał, wyglądając przez okno niewidzącymi oczami, potem odwrócił się i zszedł na dół.

Razem z Williem przeszukali obejście, ale na próżno.

Sammy'ego nie było. Jego serce tak mu mówiło.

— Widziałam wczoraj jego ziemniaki. Były takie zdrowe i piękne. I sałata...

Jego żona siedziała przy sztalugach przy oknie na poddaszu i wyglądała na zrozpaczoną.

— Wróci — powiedział, usiłując przekonać ich obydwójce. — Ogrodnicy zawsze chcą zobaczyć, jak  
wschodzą ich ziemniaki.

Usiadł na tapicerowanym fotelu, który przytargali z holu na dole. Nie chciał zadać tego pytania, wie-  
dział, że zabrzmi ono strasznie w tym pomieszczeniu.

— Powinniśmy zadzwonić na policję?

— Myślę, że powinniśmy dać mu szansę na powrót do domu — odrzekła. — A co, jeśli poszedł tylko  
do lasu, żeby wszystko przemyśleć? Albo może poszedł do Kirby's Store? Policja wydaje się bardzo drastycz-  
nym rozwiązaniem w tym momencie.

— Pewnie nie powinniśmy dzwonić do Dooleya...

— Boże broń!

— Módl się, żebyśmy nie musieli.

— Modłę się — powiedziała.

— Chcesz jeszcze jedną filiżankę kawy?

— Daleko stąd do kuchni.

— To mi poprawi krążenie krwi — uspokoił ją, zadowolony, że może coś zrobić.

— Wrócisz do nas wkrótce? — zwrócił się do Del.

— Jeśli kręgosłup mi nie nawali.

Odsuwała stół kuchenny od kuchenki, żeby otworzyć drzwiczki i umyć piekarnik. Spojrzała na Lloyda i Bustera tak, że pożałowali, że to widzieli.

— Znasz kogoś, kto siedzi ze starszymi, trochę gotuje, takie rzeczy?

— Problem ze starszymi polega na tym, że przy nich się nie siedzi, trzeba się przy nich tyle nabiegać, że żyć się odechciewa.

— Ale znasz kogoś?

— Nasza mama to robiła...

— Cudownie!

— Ale teraz ona jest starsza. Więc nie, proszę ojca, nie znam nikogo.

— Piekę dzisiaj ciasto — oznajmił, starając się, żeby zabrzmiało to optymistycznie.

Del uklękła i pracowała z zapalem.

— Znasz się na pieczeniu ciast?

Gotowanie szynki to jedno, ale pieczenie ciasta to już zupełnie inna historia.

— W ogóle, i nie zamierzam się uczyć. Znałam kobietę, która zakrztusiła się na śmierć kawałkiem ciasta kokosowego. To mi wystarczyło. Teraz piekę tylko ciasto z nadzieniem owocowym i to tak rzadko, jak to tylko możliwe.

Tu nie znajdzie żadnej pomocy.

Nie groził, nie nakłaniał ani nie żądał, powiedział to, co musiało zostać powiedziane, i nie było już odwrotu. Powiedział prawdę w imię miłości i to będzie musiało wystarczyć.

Pomodlił się ponownie o bezpieczeństwo Sammy'ego i aby Bóg zabrał smutek z serc ich obydwójga i obdarzył ich mądrością.

Cynthia powiedziała, że będzie czekała na Sammy'ego, gdy ten wróci, a tymczasem wikary Holy Trinity ma iść i zrobić dla siebie coś, co nie jest związane z pracą, coś lekkiego i zabawnego, i całkowicie bezmyślnego.

— Ale nie wiem jak to zrobić — zaprotestował.

— Jestem pewna, że coś wymyślisz — stwierdziła, spoglądając na niego, jakby miał cztery lata.

Po pierwsze, myślał, uruchamiając półciężarówkę, może zajrzeć do Blake'a Eddistoe w drodze do Mitford po składniki na ciasto. Nie widzieli przecież Blake'a od tygodni, czasami tylko udało im się do niego pomachać, gdy zauważyli go w dole przy budach.

A potem...

Gdy tak usiłował opracować dalsze punkty programu, zapomniał o swojej misji, przemknął obok kliniki i wyjechał za bramę, aż znalazł się na drodze stanowej. Nowy napis na pulpicie mignął mu przed oczami.

**JĘŚLI BÓG JEST TWOIM DRUGIM PILOTEM ZAMIEŃ SIĘ MIEJSCAMI**

A potem...

Co potem? Miał zupełną pustkę w głowie, bez wątplenia, nie wspominając o tym, jak ciążyło mu serce.

Przyszło mu do głowy, że Sammy mógł pojechać autostopem do Wesley. Może powinien więc zawrócić, pójść do domu i zadzwonić do Buda Wyzera. Ale nie, jest zbyt wcześnie, klub bilardowy jest czynny dopiero od pierwszej.

Zupełnie niespodziewanie doznał olśnienia. Nie mógł uwierzyć, że w takim momencie może mu przyjść do głowy taki rozsądny pomysł.

— Jest gdzieś na tyłach — powiedział Judd Baker. — Widziałem ją na własne oczy dzisiaj rano, kupowała sodę oczyszczoną.

— Nie pozwól mi stąd wyjechać bez składników na ciasto — poprosił wikary. — A zanim pojedę, byłbym wdzięczny, gdybym mógł skorzystać z twojego telefonu, gratis. Rozmowa lokalna.

— Nie ma sprawy. Jakie ciasto? Chętnie wszystko dla ojca przygotuję.

— Nie zastanawiałem się nad tym, jakie... Do licha. Teraz będzie musiał wymyślić, jakie.

— Nie mam pojęcia. Jak myślisz?

— Czekoladowe to pewniak.

— Niech będzie, będę wdzięczny.

— Polewa z orzechami?

— Jak uważasz. Zaskocz mnie!

Będzie zaskoczony, bez wątplenia, jeśli uda mu się upiec ciasto, które ktoś zechce zjeść.

— Panno Lottie?

Zapukał delikatnie do drzwi, nie chcąc jej przestraszyć. Gdy nikt nie odpowiadał, zapukał głośniejszym głosem — owdowiała siostra Absaloma może mieć problemy ze słuchem.

Drzwi otworzyły się i ukazała się w nich pochylona, białowłosa kobieta.

— Panno Lottie! Ojciec Tim Kavanagh, stary przyjaciel Absaloma.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem, potem uśmiechnęła się, rozpoznając przybysza.

— Czy to odpowiednia pora? — spytał.

— Będzie musiał mówić ojciec głośniejszym głosem! — zawołał Judd.

— Czy to odpowiednia pora, panno Lottie?

— O tak, każda pora jest odpowiednia dla przyjaciela Absaloma.

Zrobiła mu miejsce, przepuszczając go do salonu.

Poczuł sentymentalne ukłucie. Pokój był jeszcze piękniejszy niż w jego wspomnieniach. Malutkie okienko zasłonięte było pnączem klematisu niczym misterną szydełkową firanką. Nad maluteńkim kominkiem wykończonym kamieniem znajdowała się półka z osmalonej wiśni, na której stały spłowiałe fotografie sklepu Greerów z okresu świetności i ręcznie malowane zdjęcie Absaloma jako młodego ewangelisty.

— Przykro mi z powodu pani kota, panno Lottie.

— Thomas podarował mi osiemnaście lat zajmowania się myszami i dotrzymywania towarzystwa. To powinno wystarczyć każdemu, ale mimo wszystko mi go brakuje.



Jej ręka drżała, gdy wskazywała na krzesło Absaloma. Następnie sama zajęła krzesło naprzeciwko, gdzie siadywała przez tak wiele lat jako towarzyszka, powierniczka, pielęgniarka i gospodyni swojego brata.

— Miałam nadzieję, że ojciec przyjedzie — wyznała, spuszczać wzrok. — Absalom tak bardzo liczył się z ojca zdaniem. Był dla nas ojciec zawsze taki uprzejmy i troskliwy.

— Dziękuję bardzo, ale to pani i pani brat byli dla mnie mili. Byłam tu niedawno, ale wstyd mi, że nie przyjeżdżałam częściej.

— Wszyscy są tacy zajęci — odparła, jakby jej samej wydawało się to niewiarygodne.

— Słyszę, że wychodzi pani z domu. Kiwnęła głową, uśmiechając się.

— Gdy mogę.

— Tęsknię za Absalomem. Był wyjątkowy.

— O tak, był.

Zawsze nieśmiała, teraz wydawała mu się jeszcze bardziej nieśmiała.

— Chciałam ojcu wyznać, jak bardzo smuci mnie to, że go zawiodłam.

— Wielkie nieba! W jaki sposób, jeśli mogę zapytać?

— Wie ojciec, że byłam przeciwna jego miłości do

Sadie Baxter. Przez te wszystkie lata konspirowałam przeciwko Sadie, źle o niej mówiłam, bo nie chciałam stracić mojego brata.

Podniosła głowę i spojrzała na niego szczerymi brązowymi oczami.

— Jako dzieci Absalom i ja byliśmy jak papużki nierozłączki, jak mawiała mama, a on był zawsze bardzo czuły dla swojej małej siostrzyczki. Każdego lata wspinał się na wiśnię i przynosił mi kapelusz wiśni.

— Zawsze chciałem mieć brata albo siostrę — wyznał, jakby myśląc na głos.

— Gdy mój mąż zmarł po tak krótkim małżeństwie, Absalom wziął mnie do siebie. O nic nie musiałam się martwić. On polegał na Bogu, a ja polegałam na nim.

Dotknęła dłonią czoła.

— Był dla mnie wszystkim, a teraz jest za późno.

— Za późno na co, panno Lottie?

— Za późno, żeby prosić ich obydwójce o wybaczenie. Tak bardzo żałuję, że ich o to nie poprosiłam.

— Jestem pewien, że poprosiła pani o wybaczenie Boga.

— Nie — odparła. — Nigdy tego nie zrobiłam. Bóg był terytorium Absaloma. Pozwalałam mu zajmować się takimi rzeczami za nas obydwójce.

— Ach.

— Nigdy nie rozumiałam Boga tak jak Absalom.

— To znaczy?

— Bóg zdawał się taki bliski Absalomowi, a mnie taki odległy. Szłam do mojego brata i mówiłam: „Braciszku, pomodlisz się o dobry plon ziemniaków w tym roku?” A on modlił się i Bóg wiernie dostarczał nam pożywienia. Gdy ja się modliłam, to jakby... nie działało. Więc przestałam. Wiele lat temu.

Jej słowa zdawały się pełne żalu.

— Nigdy nie jest za późno, panno Lottie.

— Na co, ojczy?

— Na spokój Jego wybaczenia.

Bryza poruszyła klematisem w oknie, zmieniając odbicie światła na chodniku przed kominkiem.

— Gdy prosimy Boga, żeby nam wybaczył — i musimy to zrobić — opanowuje nas spokój. Wyrzucając z siebie poczucie winy i żalu, robimy miejsce na Jego łaskę.

Siedziała, spoglądając na swoje ręce, mocno zaciśnięte i oparte na kolanach.

— Absalom był wybrańcem Boga i nie wątpię, że kochał on wielce twojego brata. Ale ciebie też kocha. Czy wiesz o tym?

— Nie wiem tego... tak jak powinnam. Nigdy nie uważałam, że to ważne, abym wiedziała wszystkie te rzeczy o Bogu, skoro wiedział je Absalom. Wierzyłam, że moim jedynym zadaniem jest służenie mojemu bratu, aby on mógł służyć Wszechmogącemu.

— Służenie bratu było wspianą służbą Bogu. Proszę spojrzeć tylko, w jakim zdrowiu utrzymywała pani Absaloma, gdy on nauczał przez te wszystkie lata swe małe gromadki. Proszę pomyśleć o duszach, które zostały zbawione przez długie lata jego posługi, i ile istnień ludzkich zostało odmienionych na zawsze. Miała pani w tym swoją zasługę, panno Lottie, dużą zasługę.

W jej oczach zabłyszczały łzy.

— Najbardziej tęsknię za nim po kolacji — wyznała — kiedy to opowiadał mi o swoim dniu wśród ludzi.

— Siedział dokładnie tutaj, prawda?

— Tak, tutaj, przez te wszystkie lata. To było jego miejsce na studiowanie Słowa Bożego i przemyślenie kazań, i czytanie. Nie uczył się w szkole, wie ojciec o tym.

— Wiem.

— Sam się uczył.

— Może to, koniec końców, najlepszy sposób. Pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

— Jeśli pani o to poprosi, może mieć pani nadal towarzysza, z którym będzie mogła pani porozmawiać każdego dnia wieczorem po kolacji.

Przechyliła na bok głowę, zastanawiając się nad znaczeniem jego słów.

— Duch Samego Boga, który objawił się przez Jezusa Chrystusa, będzie tu z panią siedział. Jeśliby pani tego chciała.

Zakryła twarz dłońmi.

— O mój Boże.

— Co się stało?

— Nawet nie umiem sobie tego wyobrazić. Dlaczego miałby chcieć... siedzieć ze mną?

Spojrzała na niego, przerażona.

— Panno Lottie, gdyby miała pani dziecko, nie chciałaby pani spędzać z nim wieczorów i rozmawiać o tym, co wydarzyło się w ciągu dnia? Cieszyć się z własnego towarzystwa?

— Ależ tak! — zawołała.

— Jest pani dzieckiem bożym. Może Mu pani wszystko powiedzieć i o wszystko Go poprosić. I proszę tylko pomyśleć, jak wdzięczny będzie za pani towarzystwo.

Potrząsnęła głową, oniemiała.

— Z księgi Apokalipsy dowiadujemy się, dlaczego nas stworzył — a mianowicie stworzył nas dla własnej przyjemności. W istocie, stworzył nas dla Siebie.

— Absalom tak właśnie mówił — że Bóg stworzył nas dla Siebie.

Rodzaj zachwyty złagodził jej rysy.

— Nie jest za późno, panno Lottie.

— Tak — szepnęła. — Tak, przyszedł czas.

Opuścił salon jakby w uniesieniu.

— Czekoladowe ciasto w proszku, polewa w puszcze, orzechy włoskie — powiedział Judd. — Ma ojciec jajka?

— No pewnie!

— Ma ojciec cukier?

— Wszystko, z wyjątkiem tych podstawowych składników.

— W takim razie to wszystko. Załatwione.

— Wielkie dzięki.

Zanurzył rękę w kieszeni w poszukiwaniu portfela.

— Możesz mi równie dobrze dać wszystko podwójnie, ruszamy z nową szkołą niedzielną, a dzieci bardzo lubią ciasto.

I czyż Dooley nie przyjeżdża do domu lada dzień?

— Po zastanowieniu, niech będzie potrójnie. Czy panna Lottie niczego nie potrzebuje?

— Nie. Brat zadbał o jej dobrobyt.

— Będę zaglądał co jakiś czas — dodał. — Mogę skorzystać z telefonu?

— Na ścianie, o tam.

Nie, powiedziała mu Cynthia, Sammy nie wrócił do domu. Usłyszał niepokój w jej głosie.

Opuścił sklep Greerów z poczuciem strachu.

Cynthia promieniała, wręczając mu szarą kopertę, na którą czekał.

— Gratuluję, kochanie. Objęli się, bez słowa.

Byli dumnymi nowymi rodzicami osiemdziesięcikilogramowego chłopca.

*Drogi Ojczy Timie!*

*„Mitford Muse” była uprzejma podać mi ojca adres.*

*Nie będzie mnie ojciec pamiętał, ale Frank i ja przychodziliśmy do Lord's Chapel na nabożeństwo o dziewiątej, gdy przyjeżdżaliśmy z Fort Lauderdale każdego lata.*

*Frank odszedł, a ja opróżniam nasz dom, Overlook, oddalony zaledwie o dwa domy od Clear Day biednej Edith Mallory. Bardzo chętnie podarowałabym ojcu nasze pianino! Frank grał na nim na każdym naszym przyjęciu przez trzydzieści lat! Najbardziej lubił Gershwin, szczególnie "I've Got Rhythm!"*

*A skoro o tym mowa, czy nie przydałby się ojcu ładny stolik do gry w karty i cztery krzesła, chodnik do holu, stojak na parasole (bardzo ładny, tylko jedno wgniecenie) i lampa z rogu nosorożca (mam nadzieję, że bez błędu)?*

*Pozbywam się niepotrzebnych mebli.*

*Z poważaniem Marsha Ford*

*PS: Mam nadzieję, że wszystko można odliczyć od podatku. Trzeba mieć to na uwadze. Byłoby idealnie, gdyby mógł odebrać ojciec wszystko we wtorek o dowolnej porze.*

\* \* \*

*Droga Pani!*

*Oczywiście, że Panią pamiętam. Lubiła Pani nosić kapelusze, a duchowni znani są ze słabości do tej mody! A Frank lubił rozdawać w podziękowaniu okolicznościowe medaliony; wydaje mi się, że nadal mam ten, który mi podarował.*

*Bardzo chętnie przyjmiemy cały ten kram, i tak, rzeczywiście, wszystko powinno się dać odliczyć od podatku. Przygotuję dla Pani coś na piśmie, dla potwierdzenia.*

*Wiem dokładnie, gdzie jest Pani dom, i będę na miejscu we wtorek o jedenastej.*

*Moje szczere wyrazy współczucia; Frank był bardzo wesołym i pogodnym gościem, wyjątkowym członkiem naszego Kościoła.*

*Szczerze oddany w Tym, który pokochał nas pierwszy*

*o. Timothy Kavanagh*

List został ukończony, Cynthia malowała jak szalona, więc on mógł przystąpić do zadania. Rozgrzał ich umyty na połysk piekarnik do 190 stopni, według przepisu.

W powietrzu dało się wyczuć oczekiwanie, było nieomal namacalne; nasłuchiwał kroków na ganku, pukania do drzwi, dzwonienia telefonu; siedział jak na szpilkach.

Spróbuje za wszelką cenę nie ulec czarnym myślom i poświęci się całkowicie pieczeniu ciasta...

Wyjął trzy brązowe jajka z błękitnej miski i oddał się wysoce tajemniczemu rytuałowi, który zaowocuje śmiechem i radością na Wilson's Ridge.

— Jest piękne! — zawołała jak najbardziej szczerze.

Poszedł prosto do nieba i błagał żonę, aby przyszła i zobaczyła ten zwyczajny cud, którego dokonał.

Ciasto stało na kremowej ceramicznej paterze na środku sosnowego stołu i był nim zachwycony.

— Udało się — powiedział. — Nie mogę w to uwierzyć.

Nawet Buster i Lloyd byli pod wrażeniem.

— Ale zajęło mi to dwie godziny — żalił się. — A to ciasto z pudełka. Pomyśl tylko, ile zajęłoby zrobienie wszystkiego od początku. Był zrozpaczony.

— Dwie godziny pracy — obwieściła — w Holy Trinity wystarczy na zaledwie piętnaście minut.

Nie mógł się już doczekać niedzieli.

— Już dłużej nie mogę być dzielna — przyznała.

Słońce właśnie znikło za górą, a oni siedzieli, zmęczeni czekaniem, na starych wiklinowych fotelach na ganek.

— Ja wcale nie czuję się dzielny — wyznał. — Powiedziałbym raczej, śmiertelnie przerażony.

— Ja też.

— Policja w takim razie.

— Tak.

Podniósł się z fotela, ogromny ciężar własnego ciała zadziwił go.

Nieświadomie, potrząsał głową przez całą długość korytarza, aż do biblioteki. Perspektywa migającego błękitnego światła wywoływała w nim mieszaninę nudności i strachu.

Modlił się, wybierając numer.

*Nasz Panie Emanuelu, dziękuję Ci za to, że tak jak obiecałeś, jesteś z nami...*

Wyszedł na ganek, żeby poczekać na policję okręgową, gdy usłyszał chrzęst kroków na żwirze. Wiedział natychmiast...

Sammy szedł wolno w stronę ganku, a jego wysoka szczupła sylwetka ledwie była widoczna w wieczornym półmroku.

— Hej.

— Hej — odwzajemnił jego powitanie. — Gdzie byłeś?

— Tu i tam.

— To znaczy?

Sammy wzruszył ramionami.

— Odpowiedz mi, proszę.

Sammy usiadł na ostatnim stopniu, odwrócony plecami do wikarego.

— N-noc spędziłem w s-stodole.

— Wejdź na ganek. Porozmawiamy twarzą w twarz.

Z największym trudem udawało mu się zachować spokojny ton głosu.

Sammy nie śpieszył się, wstając ze stopnia i wchodząc na ganek.

— Usiądź — powiedział wikary. — Opowiedz mi wszystko.

— W stodole są węże.

— Nie to.

— Pojechałem autostopem do Wesley dzisiaj rano.

— Mów dalej.

— Poczekalem, aż otworzą klub b-bilardowy. B-buda dzisiaj nie było.

Sammy zahuścił nogą i spojrzał na podłogę.

— Czekam.

— Przegrałem wszystkie p-pieniądze.

— Wszystkie.

— No.

— Tak, proszę ojca.

— Tak, proszę ojca. Dunn złożył mi skórę.

— Sam się o to prosiłeś.

— No.

— Przez całe twoje życie nie było nikogo, kto interesowałby się tym, gdzie jesteś albo co robisz. Z chwilą gdy przekroczyłeś próg tego domu kilka tygodni temu, to się zmieniło. Teraz masz kogoś, kto bardzo interesuje się tym, gdzie jesteś i co robisz. Jest też ktoś, przed kim jesteś odpowiedzialny — tym kimś jestem ja. Ciszka.

— Słuchaj uważnie i zapamiętaj moje słowa: to się już nie powtórzy.

Sammy wzruszył ramionami.

— Czy słyszałeś, co powiedziałem?

— No.

— Tak, proszę ojca. Co powiedziałem?

— To s-się już nie powtórzy.

Usłyszał chrzęst opon wozu policyjnego na żwirze.

— To policja. Wyjdź ze mną.

— C-co się dzieje?

Ojciec Tim zszedł po schodach i stanął przed domem. Odwrócił się i czekał na Sammy'ego i podeszli do samochodu, gdy ten powoli się zatrzymał. Był wdzięczny za brak błękitnego migającego światła.

Policjant otworzył drzwi kierowcy i wyszedł na zewnątrz. Jego partner wyszedł z drugiej strony.

— Posterunkowy Justice, to jest posterunkowy Daley. Czy dobrze trafiliśmy?

— Ojciec Tim Kavanagh.

Podał rękę posterunkowemu Justice'owi.

— Dobrze panowie trafili i jestem winien panom przeprosiny. Zaszła pomyłka.

— Powiedziano nam, że zaginął chłopiec.

— No tak, cóż, wcale nie zaginął. To on we własnej osobie.

— Cześć — przywitał się łamiącym głosem Sammy.

— Ty wielki gruby potworze! — Cynthia dała Sammy'emu kuksańca w ramię. — Zrób to jeszcze raz, a zmyję ci facjatę.

Sammy wybuchnął śmiechem.

Cynthia roześmiała się przez łzy.

Ojciec Tim poczuł, jak z serca spada mu kamień.

— Czy ktoś ma ochotę na kawałek ciasta?

— Lily przygotowuje przyjęcie burmistrza, robi to co roku i wszyscy są zachwyceni! Oczywiście, gdyby było w nocy, tak jak kiedyś, śpiewałabym, ale zrezygnowali z urządzania przyjęcia w nocy, stwierdzili, że zaczęło tam dochodzić do jakichś harców.

— Ojej.

Violet miała na sobie dzinsy i T-shirt — z trudem ją rozpoznał.

— Cóż! Myśleliśmy, że nikt dzisiaj nie przyjdzie.

— O tak, jeśli jedna nie może, to zawsze przychodzi ktoś inny. Gdy Lily mówiła, że urzędza przyjęcie burmistrza, wydaje mi się, że myślała, że wiecie, iż dostaniecie zastępstwo. Zawsze dajemy zastępstwo.

— Cudownie. No cóż! Umiesz piec, Violet?

— Piec.

Zastanowiła się przez chwilę.

— W jakim sensie?

— Ciasta.

— Lily piecze. Ja sprzątam.

— Czy nie mogłabyś piec i sprzątać?

— Nie chciałabym, szczerze mówiąc. Ale o co w sumie chodzi?

— Upiekłem wczoraj ciasto...

— Niech ojciec da spokój! Nie wierzę, że ojciec to zrobił!

Ujrzał, jak Lloyd wysuwa głowę przez szczelinę w błękitnym namiocie i przygląda się z zachwytem ich pomocy domowej.

— ...a potem, wczoraj wieczorem — kontynuował wikary — mieliśmy pewną... uroczystość, no i Cynthia z Sammym zjedli większość ciasta. Tak więc potrzebuję jeszcze jednego ciasta na niedzielę.

Wyglądała na niewzruszoną.

— Dla dzieci! — dodał, usiłując dobić targu. Jęknęła.

— No dobrze, zrobię to dla ojca i panny Cynthii. Ale tylko ten jeden raz.

— Musisz rozgrzać piekarnik do stu dziewięćdziesięciu stopni — doradził. — Nie wystarczy tylko go wstawić, trzeba poczekać, aż piekarnik się rozgrzeje.

— Nie jestem aż taka głupia. Zdarzyło mi się upiec kilka ciast w życiu, po prostu nie zrobiłam z tego swojego zawodu.

Przypomniał sobie swoje kawalerskie życie i jakie było proste.

Gdy zdejmował czerwoną smycz z wieszaka, przyszła mu do głowy pewna myśl. Gdy Sissie, Rooter, Sammy, Roy Dale, Gladys i siedmioro Millwrightów dobiorą się do tego ciasta, zniknie w sekundę. Niedziela jest bardzo wyjątkowym szabasem, w istocie, a czyż dorośli nie byliby zachwyceni, znajdując kawałek ciasta na stole po zakończeniu nabożeństwa?

Odchrząknął.

— Violet? — zaczął.

Mknął drogą stanową, a Barnaba siedział ze stoickim spokojem na siedzeniu pasażera i spoglądał wprost przed siebie. Trzeba zanieść dokumenty do notariusza, odebrać prowiant ze Sklepu, zajrzeć do Harleya i Lew, potem wrócić na wieś, jak najszybciej. Jego kazanie leży w bibliotece, w powijakach i musiał zająć się procesem jego dojrzewania.

Chciał je z grubsza ukończyć przed przyjazdem Dooleya w sobotę, który prawdopodobnie będzie zmęczony pojeździe przedpotopowym jeepem z samej Georgii.

Skręcił w lewo na Lilac Road, żeby wjechać na Church Hill i zobaczyć kolor nowej farby na Fernbank, obecnie mieszczącym trzygwiazdkową restaurację, Lucera, Andrew i Anny Gregorych.

Jedynie z ogromnym trudem mógł dojrzeć przez drzewa późnowiktoriański Fernbank, ale zobaczył, że się błyszczy. Nowa farba wyglądała na bladożółtą i miał nadzieję, że poprzednia właścicielka mogła spoglądać na nią z aprobatą ze swego miejsca na wyżynach.

Zjechał w lewo na Old Church Lane i zdając sobie sprawę, że jego dobry pies może potrzebować przerwy technicznej, zatrzymał się przy krawężniku w pobliżu Baxter Park.

— Masz sekundę — rzucił, nakładając mu smycz.

Dobrze było znaleźć się na powrót w parku; wydawało mu się, że minęły już lata, odkąd zawitał na ciemną polanę i zalecał się do swojej żony, a ona odwzajemniała jego zaloty.

Zauważył wóz policyjny zaparkowany pod orzechem. Od czasu do czasu policjanci przyjeżdżali do parku, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, chociaż najgorszym i prawdopodobnie jedynym przestępstwem, do jakiego tu doszło, była próba napadu wiele lat temu na studenta z Wesley.

Aha! Samochód należał do Adele Hogan. Tak, w istocie, nowiuteńki i naprawdę ładny. Gdy szedł z Barnabą w stronę krzewów, zauważył, że głowy dwóch osób na przednim siedzeniu są bardzo blisko siebie. Szczerze mówiąc, wyglądało to tak, jakby... ..się całowali.

Ten widok zmroził mu krew w żyłach. Odwrócił wzrok, a potem spojrzał ponownie.

Tak! Całowali się! Bez wątpienia.

Pociągnął za smycz i wyszedł czym prędzej z parku, z ciężkim sercem.

— Czy jest to coś, co mógłbyś zrobić... delikatnie?

— Mógłbym je ściągnąć, tylko kto by je z powrotem założył? — zapytał Harley. — Ale jak się tak zastanowić, to jak panna Sadie byłaby w stanie zdjąć całe wyłożenie sufitu i założyć je z powrotem, żeby dobrze wyglądało? Nie wydaje mi się, żeby to było miejsce warte sprawdzenia.

Nie pytał jeszcze Andrew o zgodę na dokonanie bardziej dokładnych oględzin plymoutha. Chciał najpierw zobaczyć, co powie na to Harley.

— Może użyła jakiegoś narzędzia, żeby ukryć... to.

— Zastanawiam się, czy mogła to ukryć pod maską? Wie ojciec, że ten stary samochód ma silnik Golden Commando V8. Do licha, to była maszyna, pędziła jak wiatr! Miała cztery tuleje, gaźnik dwugardzielowy, a także specjalny podwójny system wydechowy...

Ojciec Tim spojrzał na zegarek.

— Moim zdaniem pod maską tego nie ma. Panna Sadie raczej nie zdołałaby tego zrobić.

— Czego ojciec szuka... dokładnie?

— Czegoś tej grubości, tej szerokości i takiej długości. Wykonał serię gestów.

Harley wyglądał na zdezorientowanego.

— Pomyśl o tym, bardzo proszę. Wróć do tego. I, Harley...

— Tak, proszę ojca?

— Nie mów o tym nikomu, proszę. Nikomu. Harley kiwnął głową, poważnie.

— Może ojciec być pewien.

Wszedł do środka, gdzie Lew liczył banknoty z kasy.

— Hej, przyjacielu — przywitał się wikary.



— Hej, jak leci?

— Dobrze. Jak myślisz, kim był ten gość, który mnie szukał?

— Nie mam pojęcia. Pytałem, jak się nazywa, ale nic nie powiedział. Mówił tylko, że ojca znajdzie.

— Starszy? Młody? Wysoki? Niski?

— Pewnie po czterdziestce. Z jego twarzy można było wyczytać nielekkie życie, więc trudno powiedzieć na sto procent. Średniego wzrostu.

— Szedł na piechotę? Przyjechał samochodem?

— Na piechotę.

— I tylko z łaski Boga żyjemy — westchnął.

## Rozdział siedemnasty

### *Pełen dom*

Samochód wypełniony domownikami z Meadowgate, a tuż za nim jeep przyjechały wcześniej.

W poprzednią niedzielę Dooleyowi udało się uzyskać zgodę na pozostanie w łóżku dłużej niż zwykle, ponieważ przyjechał do Meadowgate o pierwszej w nocy, „wykończony”, jak to określił, po całym tygodniu egzaminów i długiej podróży do domu.

W tę niedzielę Dooley chciał zobaczyć, czym zajmuje się jego brat w Holy Trinity. Mimo że Sammy czuł się upokorzony, gdy Dooley dowiedział się o jego zaangażowaniu w szkołę niedzielną, aprobata Dooleya i jego zainteresowanie zmieniły wszystko.

Niosąc szaty liturgiczne w pokrowcu z pralni chemicznej, ojciec Tim pośpieszył z Sammym do kościoła, podczas gdy Cynthia i Dooley zatrzymali się przy murku, podziwiając jastrzębie, jak nurkują i ślizgają się nad wąwozem.

On z kolei był szczęśliwy, podziwiając ich szpinet, bordowy chodnik ciągnący się przez środek kościoła i cztery krzesła złożone i oparte o tylną ścianę, na wypadek gdyby liczba parafian przerosła liczbę miejsc siedzących, oraz stolik do gry w karty, w narteksie, na którym biuletyny kościelne będą witać w każdą niedzielę wszystkich i każdego z osobna. Sammy energicznie postawił na stole kilka pełnych kartonów jajek, razem z ręcznie wykonanym namiocikiem z napisem: KTO PIERWSZY, TEN LEPSZY, po czym pośpieszył do zakrystii z ciastem w pudle.

Komu potrzebny pełen chór i witraże, przy całym tym bogactwie?

— Wyglądasz bosko — oceniła jego żona, pomagając mu nałożyć szaty liturgiczne. — Że tak powiem, oczywiście!

Zauważył, że jego szkarłatny ornat i haftowana złotem stuła sprawiły, że czuje się wspaniale — tak, to było właściwe słowo! — i pełen nadziei. W istocie, ich rezydujący samiec kardynała był również świetnie przybrany na ten cudowny, pierwszy dzień Zielonych Świątek.

— Ach, i Timothy...

— Tak?

— Jan Chrzciciel.

— Znowu? Dopiero co się strzygłem.

— To był Wielki Post, a teraz są Zielone Świątki. Jak nie jedno, to drugie, jak mawiała jego babcia. Sprawdzał właśnie ołtarz przygotowany przez Agnes, gdy usłyszał, jak ktoś zbliża się do niego przejściem między ławkami.

— Hejka, ojczy!

— Violet! Wielkie nieba, a to miła niespodzianka. Hej! Violet była wystrojona, mówiąc oględnie.

— Lloyd obiecał, że da dolara, jak pójdę z nim do kościoła, więc oto jestem! A oto dolar!

Na dowód podsunęła mu go przed oczy. Wikary uśmiechnął się.

— No cóż, wygląda na to, że jeden dolar dużo może. Spojrzała na ołtarz, rzeźbioną ambonę, klęczniki.

— Nigdy nie byłam w takim kościele, więc będzie mi musiał ksiądz wybaczyć, jeśli zrobię coś złe.

Roześmiał się.

— Nie ma sprawy. Gdy słuchamy głosu serca, nie ma mowy o pomyłce.

— Do licha — odparła, wyglądając na zadowoloną — wystarczy za całe kazanie.

*Zstąp, Duchu Święty, Gołębiu*

*Z całej swej boskiej mocy*

*Wznieć ducha świętej miłości*

*W zimnych sercach naszych.*

*Zobacz, jak marnujemy czas*

*Ulegając ziemskim pokusom*

*Jak niechętnie dusze nasze*

*Sięgają po wieczną radość.*

*Na próżno tworzymy nasze pieśni*

*Na próżno chcemy wstawać*

*Hosanny gasną na naszych ustach*

*A poświęcenie przepada.*

*Zstąp, Duchu Święty, Gołębiu*

*Z całej swej boskiej mocy*

*Zstąp, spuść miłość Zbawiciela*

*By ta naszą wznieciła.*

Podczas ogłoszeń spoglądał na swoją kongregację, nie bez pewnego zadowolenia.

Sparkle czuła się coraz pewniej w korzystaniu ze śpiewnika, panna Martha zadziwiała wszystkich mocą swojego głosu i oczywiście profesjonalny talent Violet sprawiał, że śpiewanie a capella w Holy Trinity miało się coraz lepiej. Zdecydowanie lepiej.

— Nasz Pan dał nam jeszcze jeden dzień doskonałości i zrobimy to, co do nas należy, aby delektować się każdą jego chwilą. Po ofiarowaniu wyjdziemy przed kościół i przyjmujemy komunię świętą przy murku. Po-

tem, na zakończenie nabożeństwa, wrócimy do środka, i skończymy ciasto czekoladowe... — spodobał mu się szmer aprobaty, który rozległ się w nawie — i nauczymy się nowego znaku Rootera.

— A teraz. Co nowego w Holy Trinity? Dłoń Rootera wystrzeliła w górę.

— Rooter?

— To pianino.

— Tak, pianino! Jak dowiecie się z biuletynu, jest to dar od Boga — poprzez pewną wrażliwą na potrzeby innych i hojną damę z Mitford. A teraz potrzebujemy zaledwie jeszcze jednego daru od Tego, który sam w sobie jest doskonałym darem: potrzebujemy kogoś, kto będzie na nim grał.

Spojrzał na parafian, parafianie spojrzeli na siebie nawzajem.

Potrząsanie głowami, następnie cisza. Po chwili niezwykle poważnej introspekcji Sparkle uniosła dłoń.

Wikary uśmiechnął się od ucha do ucha.

Dzisiaj rano widział, jak trójka parafian zwróciła się do Clarence'a znakiem powitania z ubiegłego tygodnia, „Pokój z tobą”.

— „I z tobą” — Clarence wykonał w odpowiedzi znak Dobre lekarstwo dla ich przyjaznego i utalentowanego nosiciela krzyża, pomyślał, i dobre lekarstwo dla nich wszystkich.

Ojciec Tim przypuszczał, że jego własny słownik znaków migowych składa się, z grubsza licząc, z większości liter alfabetu, porcji Rootera z zeszłej niedzieli, *Jak twoja praca?*, *Wielkie dzięki*, *Kocham cię* i oczywiście *Jak się masz, przyjacielu?*

Dość, żeby założyć cywilizację!

Podszedł do drzwi kościoła poprosić Rootera, aby ten przyszedł i dokonał swej cotygodniowej demonstracji. Ujrzał czwórkę młodych Millwrightów siedzących na murku; Rooter stał twarzą do nich i wyglądał na zaaferowanego swoją opowieścią.

— Prawie połowa ludzi w tym kościele kogoś zabiła — usłyszał stwierdzenie Rootera.

Millwrightowie przyglądali mu się z podziwem.

— Robert z tatuażem na ramieniu? Zabił swojego dziadka.

Mamie Millwright zakryła usta obiema dłońmi.

— A babcia Sissie? Zastrzeliła dziadka Sissie na śmierć. *Bum!* Prosto w głowę. Mózg wyprysł mu na wszystko.

Ojciec Tim zszedł po schodach i skierował się w stronę cienistego, północnego rogu kościoła.

— Rooter! — zawołał.

Rooter odwrócił się na pięcie, zaskoczony.

— Czy mógłbyś tu podejść?

Czasami wydawało mu się, że mógłby wzbić się nad wąwozem jak jastrząb. Kiedy tak stał z Cynthią i Dooleyem, podczas gdy jego parafianie wychodzili przez kościelne drzwi i wracali do swojego życia nad chmurami, zdał sobie sprawę, że jak dziecko nie może się doczekać tych wszystkich niedziel, które nadejdą. Holy Trinity jest jego ciastkiem.

— Rooter, to mój syn, Dooley Kavanagh.

Gdy wymawiał te słowa, jego serce zdawało się, dość dosłownie, rozsadzać mu pierś.

Rooter zmarszczył czoło i spojrział na Dooleya.

— Jak to możliwe, że skoro ty i Sammy jesteście braćmi, on jest tatą tylko jednego z was wszystkich?

— Nie rozumiem, jak on może być twoim tatą — wtrącił się Roy Dale.

Dooley uśmiechnął się.

— Dlaczego nie?

— Jest za stary.

Wikary mrugnął do Dooleya. Nie ma spoczynku dla potępionych, pomyślał, a prawi go nie potrzebują.

Granny spojrzała uważnie na Dooleya, potem na ojca Tima.

— Nie jest do ojca za bardzo podobny.

— Ma więcej włosów — odparł.

— Widzi ojciec ten haluks?

Granny pokazała na swoją prawą stopę, którą doskonale eksponował jej pantofel.

— Wytną mi go jutro. Panie, miej litość, boję się noża! Chyba wyskoczę przez okno i pobiegnę aż do Ashe County.

Cynthia objęła Granny.

— Pomodlimy się za ciebie, Granny. I nie martw się, wszystko będzie dobrze.

— Agnes — zapytał — co było w torbie, którą zabrałem z twojej zamrażarki?

— To nie były wiewiórki?

— Nie, proszę pani, obawiam się, że wiewiórki są wciąż tam, gdzie je zostawiłem.

Roześmiała się.

— I tam zapewne pozostaną, do chwili gdy ktoś inny niż ja sam je zabierze!

— Jubal nie był w stanie zidentyfikować tego, co zabrałem z twojego domu. Oczywiście przepraszam — i bardzo chętnie to zwrócę!

— Nie mam zielonego pojęcia, co to mogło być. Z żółwia, którego przyniósł nam Jeff Stokes, zrobiliśmy przepyszną zupę. A żabie udka... wydaje mi się, że Clarence usmażył je w zeszłym tygodniu, gdy ja sadziłam astry. Jak się nad tym zastanowić, to jego sprzedawca coś mu podarował, ale nie widziałam, co takiego.

Nie był pewien, czy jego kulinarne preferencje kiedykolwiek dorównają preferencjom jego parafian.

Wszyscy razem i każdy z osobna, Millwrightowie przeszli obok nich gęsiego, kiwając bez słowa głową bądź uśmiechając się nieśmiało. Cała rodzina robiła na nim wrażenie niesamowicie nieśmiałych — cechę tę jednak znakomicie rekompensowała Sparkle Foster.

— Kiedyś grałam na pianinie — wyznała, podchodząc do niego — i tak mnie to zmęczyło, że byłam trochę zadowolona, że tutaj nie macie pianina. Potem, gdy zapytał ojciec o kogoś do grania, poczułam takie ciepło jak topniejąca czekolada, gdy się ją zostawi w samochodzie na upale, i wiedziałam, że Bóg chce, żebym to zrobiła.

— I niech ci Bóg błogosławi, Sparkle! To wszystko zmieni.

— Ktoś będzie musiał zdobyć dla mnie nuty. Śpiewacie zupełnie inaczej.

— Załatwione!

— I strojenie — dodała. — Trzeba je nastroić.

Panna Martha chwyciła jego dłonie w swoje i potrząsnęła nimi mocno.

— Wspaniałe nabożeństwo, ojczu. Wspaniałe.

— Wspaniałe! — powtórzyła panna Mary.

— I dziękujemy ci, Cynthio, za szkołę niedzielną. Zawsze mówiłam, że jak ktoś nie chodzi na szkołę niedzielną, to tak jakby w ogóle nie chodził do kościoła!

Panna Mary pokiwała głową.

— Jakby w ogóle nie chodził do kościoła!

— Przyjemnie było do was dołączyć — podziękowała Violet. — Dobrze, że znam się na nutach! Ach, a tego dolara dałam na tacę.

— Jedna z twoich lepszych inwestycji, mogę cię zapewnić. Masz ją tu nadal przyprowadzać, Lloyd.

Lloyd uściśnął dłoń wikarego, rumieniąc się gwałtownie.

Ojcu Timowi wydawało się, że coś w Robertcie Prichardzie zelżało, stało się jakby swobodniejsze. Mimo to za każdym razem, gdy spoglądał w oczy Roberta, mrok nie ustępował, nie widział w nich światła.

— Zatrucie ołowiem — powiedział Donny'emu, gdy pojechali do niego po kościele. — Musi zostać w szpitalu w Mitford co najmniej trzy dni, według doktora Harpera. Chce, żeby się zgłosiła jutro rano, ma niepokojącą anemię i jest niedożywiona. Zbadają, jak funkcjonuje jej wątroba, przeprowadzą terapię chelatową; zyczną uzupełniać niedobory żelaza, tego typu rzeczy.

— To nie jest depresja?

— Nieomal na pewno, w pewnym stopniu depresja spowodowana tym, że nie była w stanie normalnie funkcjonować. Ale nie, depresja nie była kluczowym problemem.

Donny kopnął pniak drzewa, który znajdował się na podwórku przed domem.

— Jak to możliwe, że nie odkryli tego poprzednim razem, gdy ją zabrałem?

— Badanie poziomu ołowiu nie zawsze stanowi standardowy element przy diagnostyce wyczerpania organizmu.

Żwirową drogą przemknął samochód, wzbijając tuman kurzu.

— Macie ubezpieczenie?

Donny spojrzał na niego poważnie.

— Lusterowie płacą, jak pojawiają się potrzeby.

— A Sissie? Kto...?

— Nie wiem, z kim zostanie. Rano będę ścinał sosnę, a wieczorem będę przerabiał ją w tartaku. Granny jedzie jutro na usunięcie haluksa. Coś wymyślę.

— Doktor Harper twierdzi, że Dovey nie może wrócić przez jakiś czas do domu.

Donny rozgniewał się.

— Dlaczego nie?

— Ludzie z ochrony środowiska muszą tu przyjechać i sprawdzić rury i wszystkie inne miejsca, w których potencjalnie może znajdować się ołów. Ty i Sissie też będziecie musieli się wyprowadzić.

— Na jak długo?

— Nie wiem. Donny zaklął.

— To teraz muszę się wynieść z własnego domu?

— Jutro rano o siódmej będę czekał na ciebie w szpitalu w Mitford, pomogę wam z formalnościami.

— Nie wiem, kto za to wszystko zapłaci.

— Wiesz co — zaproponował pastor. — Pomódlmy się za to.

— Mam się modlić? Modliłem się za to wszystko, że prawie wypłułem sobie płuca. On mnie już nie słucha.

Donny odwrócił się i wyciągnął papierosa z paczki, którą miał w kieszeni koszuli, i zapalił go zapalką. Zaciągnął się i rzucił gniewnie zapalkę w krzaki.

— Niech ojciec się modli — zwrócił się do wikarego.

Jechali do Meadowgate z Sissie, która w torbie na zakupy wiozła piżamę, sfatygowanego pluszowego misia i ubrania na zmianę. Dooley i Sammy jechali przed nimi jeepem.

Ojciec Tim spojrzał na Sissie, która wyglądała na przygnębioną.

— Czy możesz mi powiedzieć, czego nauczyłaś się dzisiaj w szkole niedzielnej?

Sissie kopnęła szpicem żółtego buta deskę rozdzielczą.

— Sammy dał nam każdemu jedno ziarenko w małej doniczce z ziemią. Poszłam i zapomniałam swojego.

— Damy ci nowe. Czy mówił coś o ziarnie?

— Cynthy mówiła, że ziarenko potrzebuje światła... i czego jeszcze?

— Wody — dodała Cynthia. — I pożywienia.

— Powiedziała, że Jezus jest w nich wszystkich, i gdy żyje w nas, sprawia, że wzrastamy.

— Brawo, Sissie. A widziałaś kiedyś, jak rośnie ziarno?

— Nie.

— Zobaczysz, gdy dojedziemy do domu — obiecała Cynthia. — Czy uwierzysz, że małe ziarenko, które daliśmy każdemu dzisiaj rano, jest w rzeczywistości bardzo wysokim słonecznikiem, tak jak ta półciężarówka?

Sissie potrząsnęła głową.

— Nie.

— Ja też nie — dodał wikary.

— Fe!

Sissie rozejrzała się po ich zdewastowanej kuchni i zmarszczyła nos.

— Śmierdzi w waszym domu.

— Może to tobie śmierdzi pod nosem — odparł Sammy.

Ojciec Tim wszedł do łóżka i poklepał poduszkę. Ponieważ wszystkie łóżka były zajęte, Sissie rozłożyła się na dwuosobowej kanapie w ich sypialni, gdzie chrapała pod narzutą.

— Pełen dom — stwierdził, czując zarówno ciężar odpowiedzialności, jak i dar błogosławieństwa płynący z tych okoliczności.

Jego żona westchnęła głęboko.

— Zawsze chciałam mieć dzieci. Ale nigdy mi się nawet nie śniło, że wszystkie będą należeć do innych ludzi.

Gdy wychodził z domu tuż po szóstej w poniedziałek, zobaczył Williego, jak podąża w stronę ganku w szarówce wczesnego poranka. Niósł swój kapelusz i wyglądał na pokonanego.

— Wyjąłem je z gniazda wczoraj wieczorem. Jedenaście.

— Liczyłeś kury?

— Jedenaście.

— Do licha. W takim razie straciliśmy jedną.

— Tak, proszę ojca. Tylko że ja niczego nie słyszałem w nocy.

Willie potrząsnął głową. Był kompletnie zaskoczony, a na dodatek bardzo niezadowolony. Cała ta historia cholernie go irytowała.

Zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby dodać otuchy Dovey, i obiecał, że odwiedzi ją we wtorek. Po-tem pośpieszył do sklepu z artykułami żelaznymi Dory Pugh i zadzwonił dzwonkiem nad drzwiami.

— A ja zaczęłam już czytać nekrologi! — zawołała Dora.

— Trochę się pośpieszyłaś!

— Czy słyszał ojciec, że Coot Hendrick ma nową pracę?

— Coot pracuje? — O ile wiedział, Coot nie zhańbił się pracą od jakichś dwudziestu lat.

— Ma pod sobą sto siedemdziesiąt osób.

— Co?

— Plewi miejski cmentarz. Roześmiał się.

— Ach, Dora, udało ci się mnie nabrać.

— Słyszałam, że Bill Sprouse z kościoła baptystów cały pozacinał się przy goleniu, mówił, że myślał o kazaniu.

— Tak?

— Stwierdzili, że powinien był myśleć o goleniu i zacinać się na kazaniu.

— Nabrałaś mnie dwa razy z rzędu! Dora zachichotała.

— Ile kosztuje u ciebie łopata ogrodowa?

— Chce ojciec dobrą łopatę ogrodową czy beznadziejną łopatę ogrodową?

— Lepiej daj mi dobrą łopatę ogrodową.

— Trzydzieści cztery dziewięćdziesiąt pięć.

— Załatwione — odparł, sięgając do kieszeni spodni. Zauważył, że Dora przygląda mu się uważnie.

— I znowu zapuścił ojciec włosy.

— Tylko na dole — rzekł. — Na czubku nic się nie dzieje. Najwyższa pora znów to zrobić.

Pośpieszył w górę Main Street i przeszedł na drugą stronę do Sklepu, niosąc łopatę.

— Avis, jak interesy?

— Nie narzekam. A u ojca?

— Kościół rośnie — oznajmił, wyciągając listę zakupów. — Mamy w domu prawdziwy tłum — dwóch wielkich chłopaków oraz pięciolatkę. Czy mógłbyś to dla mnie przygotować? — poprosił. — Przyjdę po zakupy za kilka godzin.

— Będzie potrzebował ojciec przyczepkę — stwierdził Avis, spoglądając na listę. — Widzę, że Dooley jest w domu — stek i ziemniaki. — Przejrzał listę. — Nie ma tu nic dla małego dziecka; dam ojcu lepiej trochę masła orzechowego i dżemu.

— Cudownie! I zanim zapomnę, dodaj kilka pudełek ciast w proszku. Czekoladowych.

— Słyszał ojciec ten o gościu, który włamywał się do sklepu z odzieżą damską przez trzy noce z rzędu?

— Nie.

— Powiedział sędziemu, że wybrał sukienkę dla żony i musiał wymienić ją dwa razy.

Ojciec Tim wybuchnął śmiechem. Przez całe dwadzieścia lat znajomości z Avisem Packardem o pokerowej twarzy nie słyszał, aby ten opowiedział dowcip. Cuda, jak z radością po raz kolejny sobie uświadomił, nigdy się nie kończą.

Miał parę minut, żeby napełnić bak i pogadać, ale nie miał czasu na lunch.

Gdy skręcał na stację Lew, zdał sobie sprawę, że boi się spotkania z J.C.

Nie było jego zadaniem informowanie, na co się natknął, a mimo to, czy J.C. wiedział, że spełniły się jego najgorsze obawy? Z drugiej strony, J.C. wkrótce wszystkiego się dowie — ktoś na pewno zdradzi tajemnicę; romansowanie w wozie policyjnym nie pozostanie w Mitford niezauważone, z pewnością.

Wydawało mu się, że wydawca „Muse” wygląda... jak? Na opalonego? Szczuplejszego?

A Percy, zauważył, wygląda z pewnością młodziej.

— To wylegiwanie się w łóżku do szóstej — wyjaśnił Percy, który wstawał przed piątą przez ponad czterdzieści lat.

Mule wyglądał tak jak zawsze, co w świecie nieustających zmian było pocieszające, pomyślał ojciec Tim.

— Wiesz, jak to prezbiterianie nie płacą swojemu księdzu zbyt dużo — zaczął Mule.

To była nowina sprzed kilku dobrych lat.

— Pewnej nocy ktoś włamał się przez okno w jego sypialni i wymierzył w niego pistolet.

— Wielkie nieba! — zawołał ojciec Tim.

— Powiedział staremu Henry'emu, żeby się nie ruszał, powiedział, że szuka pieniędzy. Henry na to: „Pozwól, że wstanę i zaświecę światło, poszukamy razem”.

Ojciec Tim roześmiał się w głos, tak jak reszta Klubu Indyków.

Percy otworzył swoją torebkę z lunchem.

— Pewnie słyszeliście ten o gołębiu pocztowym, który dotarł na miejsce z dwunastogodzinnym opóźnieniem?

Nikt go nie słyszał.

— Powiedział, że był taki piękny dzień, że postanowił pójść na piechotę.

J.C. przewrócił oczami.



— Co się dzieje? — zdziwił się ojciec Tim. — Nagle Mitford stano się miastem dowcipów. Dora Pugh opowiada mi dowcipy, jeden opowiedział mi Avis, ze wszystkich ludzi...

— To na pamiątkę wujaszka Billy'ego — wyjaśnił Mule. — Kontynuujemy tradycję.

— No — przytaknął Percy.

J.C. wyjął zawinięty w folię pakunek ze swojej teczki.

— Jemy Więcej błonnika, opowiadamy więcej dowcipów. To rodzaj terapii zdrowego stylu życia, którą przyjęliśmy.

— Skoro mowa o zdrowiu, wygląda na to, że trochę zeszczuplałeś.

— Zrzuciłem kilka kilogramów. J.C. rozwijał folię.

— A ta opalenizna?

— Praca w ogrodzie, przyjacielu, praca w ogrodzie. Zapachy, jakie dochodziły z lunchu J.C., były niesamowite. Wikary spojrzał na zegarek.

— Słyszałeś ten o facecie, który był tak niski, że na jego prawie jazdy widać było nogi? — zapytał J.C.

Mule jęknął.

— Temu samemu gościowi jak usunęli wyrostek robaczkowy, to została mu blizna na szyi.

Co za niesamowita epidemia — pomyślał ojciec Tim, nieomal jak odra...

— Słyszałeś ten o dwóch gościach, którzy wypożyczyli łódkę i wypłynęli na jezioro łowić ryby?

— Nie słyszałem — odparł ojciec Tim.

— Pierwszego dnia złapali trzydzieści ryb.

— Samo to wystarczy za dowcip — stwierdził Mule, któremu nigdy nie udało się złowić nic godnego uwagi.

— Gdy zaczęli płynąć do brzegu, jeden z nich mówi...

— J.C. ugryzł ogromny kawałek kanapki. — „Lepiej zaznacz to miejsce żebyśmy mogli wrócić tu jutro”.

— Co on powiedział? — przerwał Percy.

— Nie mów z pełnymi ustami, na litość boską. Mule nie cierpiał, gdy ktoś mówił z pełnymi ustami. J.C. przełknął.

— Więc następnego dnia, gdy mieli wynająć łódkę, gość mówi: „Czy zaznaczyłeś to miejsce?”. Drugi na to: „No, na dnie łódki narysowałem duży krzyż”. Jego przyjaciel na to: „Ale jesteś głupi, a co, jeśli tym razem dostaniemy inną łódkę?”.

J.C. roześmiał się. Dźwięk jego śmiechu przypominał skwierczącą na tłuszczu szynkę.

— O Boże.

Mule równie mocno nie cierpiał ludzi, którzy śmiali się z własnych dowcipów.

Obserwując, jak J.C. śmieje się do rozpuku, ojciec Tim poczuł ukłucie żalu. Niewiedza jest zawsze błogosławieństwem.

— Coś nowego u Edith?

— Słyszałem, że powtarza w kółko to samo. Bóg jest, Bóg jest, coś takiego.

Miał rację, pomyślał wikary. Edith czyniła całkowite i pełne wyznanie Jego istnienia. Cuda były wszędzie. J.C. spojrzał na lunch Mule'a.

— Ja mam tuńczyka na chlebie pełnoziarnistym. A ty?

— Ravioli. — Mule wbił w swój lunch plastikowy widelec, który pękł na połowę. — A niech to, chwileczkę. Może to...

Agent handlu nieruchomościami wyglądał niepewnie.

— Nie wiem, co to jest.

— Ja stąd spadam — rzucił ojciec Tim.

— Nie wiem, co zrobić — zwrócił się do Betty Craig na ganku miejskiego muzeum.

— Jeśli ojciec czegoś nie zrobi, to następnym razem będzie mnie mógł ojciec odwiedzić w Broughton\*.

— Jest aż tak źle?

— Gdyby tylko ojciec wiedział.

— Więc powiedz mi, żebym wiedział.

— Wolałby ojciec tego nie wiedzieć.

\* Broughton — miasto w Karolinie Północnej, gdzie znajduje się między innymi szpital zajmujący się leczeniem chorób psychicznych.

Nie chciał też być tym, który usunie Rose Watson z domu, który zbudował jej brat, domu, który kochała i w którym mieszkała przez nieomal całe swoje życie. Ponadto z pewnością nie miał zbyt dobrej opinii o domu opieki w Holding. A ponieważ jedyną sposobnością na umieszczenie jej w Domu Nadziei było, aby ktoś zmarł, z pewnością nie będzie się modlił w tej intencji.

Czas. Właśnie tego potrzebuje. Czasu i modlitwy, która nigdy nie zawodzi.

— Ojczy, daję ojcu jeszcze jeden tydzień, a potem koniec. Jest mi przykro, bo był ojciec dla mnie bardzo dobry, ale jestem tylko człowiekiem. Nie jestem świętą z aureolą.

— Ależ jesteś, Betty!

— I niech się ojciec nie podlizuje, bo nic to nie da. Tydzień. Żeby dokonać niemożliwego.

We wtorek rano postanowił wykraść się do domu w lesie, sprawdzić go i załatwić tę sprawę raz na zawsze.

Nie musi tu nic nikomu mówić. Bóg raczy wiedzieć, dość jest zamieszania w Meadowgate, włącznie z zaimprovizowanym przedszkolem na strychu, gdzie Sissie maluje i zadaje nieprzerwanie pytania.

Gdy chłopcy będą jeszcze spali, pójdzie tam sam, zobaczy, jak się sprawy mają, a jeśli będzie musiał w to zaangażować policję okręgową, Justice i jego partner wyglądali jak para gości, którzy znają się na rzeczy.

Z drugiej strony, może nie powinien iść sam...

— Barnaba! — zawołał, zdejmując czerwoną smycz. — Co powiesz na spacer do lasu?

Gdy zbliżali się do domu, Barnaba zaczął warczeć.

Być może, pomyślał, dlatego, że coś wisi na lampie na ganku.

Zbliżył się ostrożnie i zobaczył, że na dwóch drucianych wieszakach jest zawieszona para zniszczonych spodni khaki, poplamione slipy, którym pranie niewiele pomogło, para białych skarpetek i koszula.

Koszula była w biało-czarną kratę.

Wszedł na ganek i przyjrzał się rękawom. Ktoś próbował zaszyć dziurę w lewym rękawie niezdarnym ścięciem na okrętkę. Ubrania były nadal wilgotne. Ktoś urządził dzisiaj pranie w domu w lesie; ta myśl sprawiła, że włosy zjeżyły mu się na głowie.

Odejdzie tak cicho, jak tu przyszedł, i wróci szybko do domu; numer telefonu na policję jest zapisany w notesie, który leży tuż przy telefonie.

Nagle Barnaba zeskoczył z ganku, szcękając dziko, i pobiegł za dom. Ojciec Tim ruszył za nim.

Nagi mężczyzna kuczał przy komórce, a Barnaba stał oddalony o kilka metrów i szcękiał donośnym baritonem, który niósł się echem po ciągnących się dookoła lasach.

— Zabierz ode mnie tego psa!

— Jesteś na tym terenie nielegalnie, mój pies robi, co do niego należy.

Serce waliło mu mocno.

Znał tę twarz dobrze, chociaż widział ją tylko raz.

— I ma na to cały dzień.

Nieustanne szcękanie Barnaby przeradzało się tylko od czasu do czasu w niskie warczenie, niezbyt przyjemny odgłos.

— Nie robię nic złego. Przechodziłem tylko, żeby się trochę obmyć w twoim strumieniu. — Mężczyzna skulił się, usiłując się zasłonić. — Nie możesz winić bogobojnego człowieka za użycie twojego strumienia.

— Mógłbym go winić za użycie moich kur.

— Jakich kur?

— Tych, które ukradłeś z naszego kurnika i upiekłeś na tamtym ognisku. Tych kur.

Barnaba przestał już szcękać i zaczął nisko warczeć. Warczenie, pomyślał wikary, było nawet bardziej przeraźliwe niż szcękanie.

— Nie ukradłem żadnych kur...

— Nie oszukujmy się. Wiem, kim jesteś; wiesz, kim ja jestem, i wydaje mi się, że wiem, dlaczego tu jesteś. Zajmijmy się tym, albo pozwolę mojemu psu, żeby cię przegonił na drogę i do samego Kirby's Store. Potem możesz sobie radzić sam.

— Kiedyś już ugryzł mnie pies; nie boję się.

— Tak, ale nie ugryzł cię ten pies.

— Pozwól mi się ubrać; pójdę sobie stąd. Już mnie nie zobaczysz.

Uniósł obydwie ręce. Ojciec Tim zauważył, że jego ręce drżą.

— Poczekaj chwilę, mamy sobie dużo do powiedzenia.

— Jestem goły, na litość boską...

— Dosłownie i w przenośni. Dowiedziałem się, że przed rządem federalnym uchodzisz za niejakiego Jaybirda Johnsona, przywłaszczyłeś sobie to imię i nazwisko od człowieka, który zmarł na jednym z placów budowy, gdzie pracowałeś.

— Nie wiem, o czym mówisz.

Jednooki Clyde Barlowe, alias Jaybird Johnson, przesunął się nagle na koniec komórki na drewno. Barnaba rzucił się w tamtym kierunku i przyparł Clyde'a do rogu budynku. Oddalony zaledwie o kilka centymetrów pies warczał tak zaciekle, że nawet włosy na karku ojca Tima stanęły dęba.

— Boże, miej litość! — krzyknął Clyde.

— Powiedz mi, jaką litość miałeś dla swojego syna, Sammy'ego, gdy trzymałeś go na muszce?

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Widzę, że wzywasz na pomoc Boga. Clyde splunął gwałtownie.

— Tak się tylko mówi, czegoś takiego jak Bóg nie ma.

— A może zostawię z tobą mojego psa, a sam pójde i wykonam telefon do policji okręgowej? Dojście do domu zajmuje mi około ośmiu minut, a policja przyjedzie za jakieś dziesięć, piętnaście. Dałoby ci to mnóstwo czasu na bliższe poznanie się z tym oto moim przyjacielem. Pozwól, że was sobie oficjalnie przedstawię — ma na imię Barnaba. Barnaba, oto Clyde Barlowe, ojciec Dooleya i Sammy'ego, który nigdy nie dał swoim dzieciom ani grama miłości i ani chwili bezpieczeństwa.

Clyde przeklął i przykucnął, plecami do komórki.

— Jeszcze cię za to dopadnę, dopadnę cię za to, że ukradłeś moich synów. Nigdy nie podpisywałem żadnej zgody na to, żebyś mi mógł zabrać moich chłopaków.

Ojciec Tim usiadł na pniaku. Barnaba ani na chwilę nie spuszczał wzroku ze swojej ofiary.

— Dobry pies, Barnaba, tak trzymaj. Więc, Clyde, powiedz mi, dlaczego tu jesteś. I proszę — nie marnuj mojego czasu ani swojego, w przeciwnym razie będę musiał poprosić Barnabę, aby przeszedł do rzeczy.

— Gdy Sammy ode mnie uciekł, wiedziałem, gdzie pójdzie, pójdzie do tych, co ukradli mi mojego drugiego chłopaka. Więc złapałem okazję do Mitford i powiedzieli mi, gdzie jesteś. Przyszedłem tu z drogi i zobaczyłem ten dom. Chciałem namówić Sammy'ego, żeby wrócił do swojego prawowitego domu.

— Wygląda na to, że nie śpieszyło ci się, żeby skontaktować się z Sammym.

— Jak zobaczyłem twój kurnik, pomyślałem, że szkoda, żeby zmarnowała się cała zagroda kur.

— Więc planowałeś zjeść kury, a potem przyjść po Sammy'ego.

— Wydawało mi się, że to dobry plan.

— Clyde, potrzebujesz kogoś, kto pomoże ci przemyśleć pewne sprawy.

— Wiem, jak zabrać sprytnie kurę z grzędę. Potrafię przechytrzyć psy, osły, wszystko.

Ojciec Tim nie miał pojęcia, jak udało mu się przechytrzyć perliczki, ale to była opowieść na inny dzień.

— Uzbierało ci się tu trochę wykroczeń, włącznie z włamaniem i kradzieżą. Sędzia mógłby znaleźć na ciebie wiele paragrafów — i dostałbyś około dwustu czterdziestu dni.

Ojciec Tim wiedział, jak dużo chłopcy wycierpieli z powodu swojego ojca. Jeśli zadzwoni na policję, Timothy Kavanagh będzie musiał zeznawać w sądzie; termin rozprawy może się ślimaczyć i Dooley z Sammym bardzo to przeżyją, delikatnie mówiąc. Koniec końców, lato, na które tak czekali, będzie zupełnie zrujnowane.

— Daj człowiekowi ubrać spodnie, na litość boską. To byłoby po chrześcijańsku.

— Spójrzmy na to w ten sposób, Clyde: Wiem, gdzie jest twoja przyczepa. Wiem coś, o czym nie chciałbyś, żeby dowiedziały się władze. Mam kawałek twojej koszuli, który posłuży jako dowód. Gdy będę zeznawał jako świadek, dostaniesz lekko dwieście czterdzieści dni za kratkami. A jeśli będę zmuszony — wystąpię przeciwko tobie w imieniu Sammy'ego. Nie masz szans.

Słońce wyszło zza dębu. Clyde przysłonił oczy dłonią.

— Posłuchaj mnie, lepiej dla ciebie, żebyś tu nigdy nie wracał.

Barnaba usiadł, nadal nie spuszczając wzroku z Clyde'a.

— Na wypadek gdyby sędzia musiał ją kiedykolwiek zobaczyć, zatrzymuję koszulę. Zakładaj spodnie i niech Bóg się zmiłuje nad twoją duszą.

Po odeskortowaniu Clyde'a Barlowe'a do drogi wrócił do domu, cały drżąc.

## Rozdział osiemnasty

### *Mądrze odmierzone*

Powiedział jej wszystko.

Czy powinien również powiedzieć chłopcom? Uważała, że nie. Jakakolwiek rozmowa na temat ojca zawsze bardzo przygnębiała Dooleya, podobnie jak Sammy'ego.

Clyde Barlowe się zjawił i Clyde Barlowe zniknął. Postanowili na tym zakończyć całą sprawę.

Przy śniadaniu w środę jego żona wyglądała jak wrak „Hesperusa”<sup>\*</sup>.

<sup>\*</sup> „Hesperus” — szkuner, który zatonął u wybrzeży Ameryki w roku 1839 w czasie potężnej burzy. Historię tę uwiecznił w swoim wierszu *The Wreck of the Hesperus* Henry Wadsworth Longfellow (1807-1882), poeta amerykański.

— Jutro przejmuję twoje obowiązki — obiecał — jeśli możesz zająć się Sissie jeszcze przez jeden dzień.

— Ale tylko jeden — zgodziła się. — Potem znowu zajmę się nią w piątek. Co ty na to?

Już od dawna uważał, że podział pracy to esencja stanu małżeńskiego.

— Lily, czy to ty?

— Mam już na sobie fartuch i przystępuję do działania.

— Przybyło nam kilka nowych twarzy od czasu twojej ostatniej wizyty. Sissie Gleason i nasz syn, Dooley Kavanagh.

Postawiła dzbanek słodkiej herbaty na stole.

— Nie wiedziałam, że ma ojciec dzieci.

— Tylko jedno. Od tygodnia.

— Ile ma lat?

Nałożyła swoją plastikową maskę.

— Dwadzieścia jeden.

— To właściwy wiek, żeby je dostawać. Jak osiągną wiek dojrzały.

— Nie musisz nakładać maski; Violet ostatnimi czasy przebywa na poddaszu, pracuje ze swoją panią.

— Nigdy nie wiadomo, co przyjdzie kotu do głowy; jak tylko wydostanie się z poddasza, pierwsze kroki skieruje do mnie, to pewne jak w banku. Jakie mamy na dzisiaj menu?

— Lazania. Burgery z serem. Potrawka jagnięca...

— Potrawka jagnięca? Mam nadzieję, że nie jecie tych niewiniątek, które widziałam na pastwisku.

— Na Boga, nie.

Na samą myśl zrobiło mu się niedobrze.

— To mięso jest ze sklepu.

— Dobrze! Co jeszcze?

— Ciasteczka owsiane z rodzynkami. I dwa ciasta czekoladowe, jedno do zamrażarki. Jeśli to nie za dużo.

— Na litość! Mam nadzieję, że nie zamierza sobie ojciec sprawdzać w niedługim czasie poziomu cholesterolu.

— To menu jest dla młodych ludzi. Starsi mieszkańcy tego domu zjedzą sałatkę owocową i serek ziar-  
nisty.

— Chce ojciec, żebym pokroiła owoce?

— Byłbym bardzo wdzięczny — odparł.

— Przy okazji, jutro nie mam kogo przysłać; będziecie musieli wytrzymać ze mną.

— Wspaniale!

Uwielbiał mieć plan; nigdy nie przepadał za niespodziankami.

— I Lily...

— Tak, proszę ojca?

— Dziękuję za to, że przyjeżdżasz, kiedy możesz, i za to, że przysyłasz swoje czarujące siostry, gdy nie możesz.

— Bardzo proszę. Arbutus mówi, że jest gotowa wrócić do pracy, więc od czasu do czasu może się zjawić i u was.

— Arbutus! Mieszka w murowanym domu z dwoma zabudowanymi gankami?

— I jest żoną Juniora Bentleya — dodała z dumą.

Skoczy szybko na Wilson's Ridge, gdzie — jak się właśnie dowiedział — nie pozostał już żaden Wilson. Potem pójdzie do szpitala i odwiedzi Dovey, zajrzy z wizytą do Puny i pośpieszy do domu, żeby zająć się Sissie.

W sklepie Hanka kupił dwa kantalupy — dla Agnes i Clarence'a.

— Są z Georgii — zachwalał Hank. — Słodziotkie jak cukierek. Przy okazji, Morris Millwright przyszedł tu wczoraj, powiedział mi, że nie będą już chodzić do kościoła.

Serce mu zamarło.

— Bardzo mi przykro. Dlaczego?

— Słyszał, że parę osób, które tam chodzą, kogoś zabiło. Uważa, że jego dzieci nie powinny mieć z tym nic wspólnego.

— Porozmawiam z Morrisem.

— Powiedziałem mu, że tylko jedna osoba z kongregacji kogoś zabiła i odsiedziała swoje.

— Robert odsiedział swoje, ale możemy nie znać całej prawdy. Jesteś dobrym człowiekiem, Hank. Dziękuję.

Co zrobić, dobry Boże? Roberta będzie to prześladowało przez całe życie, a teraz dotknęło to również Holy Trinity.

Żeby dojechać do Holy Trinity i Mertonów, trzeba skręcić w lewo przy wyjeździe z głównego parkingu.

Odmówił modlitwę, spojrzął na zegarek — dziesięć po dziewiątej — i skręcił w prawo.

Ktoś mówił, że szkolny autobus znajduje się u stóp wzgórza, za załomem skalnym. Około trzech kilometrów od sklepu Hanka zobaczył znak — FOGGY MOUNTAIN ROAD — i skręcił na wąską żwirową drogę porośniętą chwastami. Jechał, aż zobaczył spłowiały pomarańczowy dach autobusu, następnie zaparkował i zaczął szukać drogi prowadzącej w dół.

Wąska ścieżka była dobrze ukryta i wydeptana zakolami, prowadząc w dół stromego zbocza do autobusu.

Szczerze mówiąc, nie miałby nic przeciwko, aby podczas tej misji towarzyszył mu Barnaba.

— Na oko to jesteś ksiądz.

— Ojciec Kavanagh — przedstawił się, wyciągając dłoń. Jego ręka nie została przyjęta.

— Lepiej nie wchodzić, właśnie skończyłem gotować podgardle. Śmierdzi tak, że chyba będę musiał spalić tę rudę. Siądźmy na tarasie; ten mały kawałek cementu wylałem sam.

Miły wieczór, nie? Zobacz jastrzębie krążące w dole; mógłbym oglądać krążące jastrzębie cały dzień, jak bym nie musiał pracować w fabryce konserwów.

Fred klepnął swoją prawą nogę trzy razy i wykonał dwa podskoki.

— Siadaj tutaj, ja nie potrzebuję krzesła, usiądę se na pięści i oprę się o kciuka.

Ojciec Tim podziękował za zaproszenie.

— Zjeżdżaj stąd, Virgil, nie mam czasu zadawać się z ćpunami, w domu czeka mama, my, dzieci, nie możemy się bawić z tymi, co ćpają.

Mogę ojcu od razu powiedzieć, Fred Lynch nie zabił Cleve'a Pricharda; to jego wnuczek to zrobił.

Fred wykonał gest, jakby podcinając sobie gardło, i spojrzął gniewnie na swojego gościa.

— Nie zabiłem w życiu niczego innego jak szopa, raz węża, ale człowiek ma prawo zabić węża, tak stoi w Biblii. Jak byłem Jego Świątobliwością, ugryzł mnie wąż, którym się zajmowałem, zobacz ramię, zrobiło mi się czarne jak smoła i strasznie spuchło. Brałem pieniądze od ludzi, żeby se popatrzyli; to przynosi szczęście...

Jego gospodarz obrócił się trzy razy na pięcie, splunął dwa razy na ziemię i wykonał dziwny taniec.

*Ene due like fake,*

*korba borba esme smate,*

*deus deus kosmotaeus i morele baks.*

— Mówiąc o królikach, widzisz tego w chwastach? Cisza! Nic nie mów! Szkoda byłoby go przestraszyć. Zostań na miejscu i się nie ruszaj...

Fred przesunął się ukradkiem do drzwi autobusu i sięgnął do środka.

— Przestańcie gadać, nie mogę myśleć, jak ludzie miałą ozorem, gdy ja próbuję coś zabić...

Wizyta w szkolnym autobusie zupełnie wytrąciła go z równowagi.

Zaparkował za Holy Trinity i poszedł ścieżką do budynku szkoły. Pod zachmurzonym niebem błękitne góry nabrały purpurowego koloru.

— Kantalupy! — zachwyciła się Agnes. — Nie da się ich hodować w naszej żyznej glebie. Co za rarytas.

— Z Georgii. Hank je wybrał. I przyniosłem nową gałkę do drzwi i nową osłonę zamka do drzwi do zakrystii. Clarence mówił, że ją zainstaluje.

Spojrzała na niego, zaniepokojona.

— Wygląda ojciec źle.

— Nic mi nie jest.

Te parę minut na popękany cemencie pozbawiło go jakby siły.

— Jak radzi sobie Clarence ze swoim dużym zamówieniem?

— Bardzo dobrze. Bardzo bym chciała, żeby miał pomocnika, ale oczywiście nikt nie może dla niego rzeźbić; to tak, jakby ktoś chciał podrobić jego podpis.

— Czy mógłbym zajrzeć do niego na chwilę?

— Na pewno bardzo by się ucieszył. Rzeźbi teraz rodzinę niedźwiedzia czarnego; to jego pierwsza niedźwiedzia rodzina.

Agnes wlała gotującą się wodę z czajnika do czajniczka na herbatę.

— Cieszę się, że zdążył ojciec przed deszczem.

— Tak, chociaż bardzo na niego czekam. Podobnie jak Sammy.

— Jak my wszyscy, ale nic nie pomoże mojemu szpinakowi; króliki zjadły wszystkie liście.

Przy szkolnym autobusie nie było żadnego królika. W zasięgu swojej strzelby Fred Lynch wypatrzył kępę wyschniętych chwastów i obrócił je w pył. Potem wykonał szaleńczy taniec, wymachując rękami i krzyząc, i tak przeraził gościa, że ten czym prędzej uciekł ścieżką w górę.

Podszedł do jednej z wielu biblioteczek w tym dużym, wyłożonym boazerią pokoju z ogromnym kominem z kamienia i zaczął przeglądać zawartość jej półek. Poczuł, jak wypełnia go spokój tego domu.

— Proszę, ojciec — zaprosiła go — usiądźmy na ganku.

W czasie gdy burza przechodziła na wschód od wąwozu, on pił herbatę i rozmawiali o tym, gdzie był i co widział. Jego wizyta w szkolnym autobusie najwyraźniej poruszyła Agnes. Siedziała nieruchoma i blada na fotelu na ganku, a obok niej na małym stolyczku leżała krzyżówka.

— Dość o tym! — zawołał w końcu.

Sasafraś zaczynał na niego działać; czuł się silniejszy, gdy szedł do kuchni po ręcznik, który wyjął z szuflady. Wziął też ze sobą taboret.

— Tak jak ostatnio? — zapytała.



— Tak, proszę pani, byłbym wdzięczny.

— Wie ojciec, że nie wydaje mi się, abym miała odpowiednie umiejętności, tak jak mówiłam wcześniej.

— Zaiste, masz odpowiednie umiejętności! Moja żona ma bardzo dobre zdanie o twojej pracy.

— Skoro tak! — zgodziła się.

Za zabudowanym gankiem każdy wiosenny liść ociekał deszczem z krótkiego, gwałtownego oberwania chmury.

— Spójrz!

Wskazał spontanicznie na tęczę wznoszącą się łukiem nad górami.

— Właśnie tego pragnę dla całej naszej trójki w Holy Trinity.

— Niech On spełni to pragnienie, ojciec.

— Wiesz, czuję się winny, że mam tylko rok w tej parafii. Wyjazd do Irlandii wydaje się egoistyczny, jeśli nie całkiem próżny.

— Ależ oczywiście, że nie. To coś, co obiecywał ojciec sobie i Cynthii już od dawna, a obietnica jest obietnicą. Proszę tylko pomyśleć, jak często składamy obietnice i ich nie dotrzymujemy! Poza tym wydaje mi się, że potrzebuje ojciec tego wyjazdu.

Ścinała pewną ręką włosy znad koloratki.

— Wiem. Ale wiesz, kogo wam przyślą.

— Kogo, na litość boską?

— Żółtodzioba, z mlekiem pod wąsem. Roześmiała się.

— Nie uda się ojcu mnie wystraszyć.

— Kiedy opowiesz mi resztę swojej historii? Ścinanie ustało na chwilę.

— Następnym razem — rzuciła. — Następnym razem. Spojrzał na podłogę ganku. Była zaścielona jego włosami.

Zastał Dovey śpiącą i zostawił flakon z trzema różowymi różami, które kupił w Mitford Blossoms. Pośpieszył do Sklepu, skąd odebrał zamówienie telefoniczne Cynthii, następnie podjechał czym prędzej do Lew, żeby napęlnić bak.

— Słyszał ojciec ten o policjancie, który zatrzymał kobietę za jazdę z niedozwoloną prędkością?

— Nie słyszałem.

To była prawdziwa epidemia!

— Minęła go swoim samochodem z zawrotną prędkością, a obok siedział jej mąż, policjant dogonił ją i mówi: „Wypisuję pani mandat, czy pani wie, że jechała pani dziewięćdziesiąt na godzinę?”. Ona na to: „Oczywiście, że wiem, tak jest napisane na tym znaku”. On na to: „To oznaczenie autostrady, na litość boską”. Jej mąż siedzi błądy jak ściana; policjant pyta: „A jemu co jest?”. Ona na to: „Właśnie zjechaliśmy ze sto szesnaście”.

— Całkiem śmieszne.

— Jakoś nie widzę, żeby zrywał ojciec boki ze śmiechu. Domyślam się, że słyszał ojciec o pannie Pattie...

Panna Pattie stała się swojego czasu prawdziwą legendą. Zasłynęła z tego, że na przykład brała kąpiel w kapeluszu, sadziła fiołki w butach, a raz wydostała się przez okno na dach swojego wejściowego ganku, „zupełnie golusienka”, jak doniosła wszystkim i każdemu z osobna Hessie Mayhew.

— Co tym razem zrobiła panna Pattie?

— Zmarła.

Chwycił swoją resztę i nieomal przewrócił reklamę czerwonoskórego mężczyzny żującego tytoń, wybiegając przez drzwi. Wskoczył do półciężarówki, ruszył z piskiem opon, zupełnie tego nie zamierzając, skręcił w prawo na Main Street, następnie w lewo na Lilac, i wystrzelił prosto pod górę, do Domu Nadziei.

Puny huśtała Timmy'ego na jednym boku, a Tommy'ego na drugim.

— Myślmy z Joe Joe, że Timmy wygląda dokładnie jak jego dziadziu.

— Oczywiście, że nie!

— Ależ tak! Proszę na niego spojrzeć. Trochę łysy na głowie, bez obrazu. I proszę spojrzeć na jego mały nosek. Czy nie jest dokładnie taki sam jak ojca?

Dotknął własnego nosa, spoglądając przy tym na nos Timmy'ego.

— Dostrzegam jakieś podobieństwo.

— A Tommy wygląda dokładnie jak babcia Esther.

To była święta prawda. Wystarczyłoby założyć okulary i perukę Tommy'emu, a zostałby wybrany w sekundę. Mitford wciąż jeszcze nie pogodziło się ze stratą Esther Cunningham jako burmistrza.

— Przywiozłem każdemu jakiś drobiazg! Zaczął rozpakowywać torbę z zakupami.

— Dla ciebie, Puny, tuzin jajek, prosto od kury!

— Wspaniale! Joe Joe zjada dwa codziennie rano.

— Dla tych wspaniałych chłopców parę książek...

— Jakie to książki?

— Ta jest dla Tommy'ego, to dzieła George'a Herberta, a ta jest dla Timmy'ego — William Wordsworth!

— Czy są tam jakieś obrazki?

— Żadnych obrazków.

— Tylko słowa?

— No cóż, oczywiście, mają się przydać za parę lat. Sherlock Holmes powiedział, że to wspaniałe móc zaczynać życie z małą liczbą naprawdę dobrych książek, które należą wyłącznie do ciebie. Podpisałem każdą na obwołucie. A tutaj parę piłek do softballu...

Puny wyglądała na bardzo rozczarowaną, że dziadek jej wnuków tak zupełnie nie ma wycucia, gdy chodzi o prezenty.

— Posłuchaj — poprosił, potrząsając jedną z piłek.

Coś zadzwoniło delikatnie w środku; Timmy sięgnął natychmiast po piłkę, ale nie był w stanie jej złapać; rzucił piłkę na podłogę, a ta potoczyła się pod sofę. Wikary opadł na czworaka i wyjął piłkę spod sofy.

— Ojej, proszę tam nie zaglądać, nie wycierałam kurzu już od miesiący.

— Nie ma sprawy! — zawołał, opierając się o ramię fotela i wstając. — I oczywiście, jest także coś dla Sissy i Sassy...

— Powinien ojciec usiąść i złapać oddech.

W istocie, wydawało mu się, że od samego rana jest w jakimś kieracie.

— Nie mogę, muszę pędzić dalej. Wiem, że dziewczynki uwielbiają książki, oto cztery pierwsze z serii *The Boxcar Children*\*, mam nadzieję, że jeszcze ich nie mają.

\* *The Boxcar Children* — popularny cykl powieści dla dzieci autorki amerykańskiej, Gertrude Chandler Warner. Jest to jednocześnie tytuł pierwszej książki z cyklu. Powieść po raz pierwszy ukazała się w roku 1942.

Przyjrzała się okładkom.

— Nie mają! Tak się ucieszą, że dostały książki od dziadka. Przeczytały wszystkie, które dał im ojciec na Boże Narodzenie, trzy albo cztery razy.

— A może spakujecie z Joe Joe całą gromadkę i przyjedziecie do nas na kolację w któryś piątek?

— Gdy stąd wyjeżdżamy, nawet sobie ojciec nie wyobraża, co musimy ze sobą zabrać, ubrania na zmianę, książki dla dziewczynek, czytają przez cały czas, pluszowego aligatora Sissy...

— No to może jesienią — gdy będą starsze. Tęsknimy za wami.

— My też. Mam nadzieję, że Cynthy ma jakąś pomoc tam na farmie.

— Moja droga dziewczyno — odparł — potrzeba było trzech osób, żeby ciebie zastąpić.

— Może wrócę do pracy, gdy dzieci wyjadą z domu.

— No tak, ale do tego czasu z nas nic nie zostanie.

— Akurat, ojciec dożyje setki!

— Nie przy moim obecnym tempie życia — odparł.

Rzucił torby z zakupami na sosnowy stół i poszedł prosto do telefonu w bibliotece.

— Betty? Mówi ojciec Tim. Mam dobrą wiadomość...

— Dzięki Bogu!

— ...i złą wiadomość. Zmarła panna Pattie.

— Ale ja uwielbiałam pannę Pattie! — jęknęła Betty.

— Jednego razu opiekowałam się nią w domu przez cały miesiąc i ze wszystkich moich pacjentów tylko z nią przebywanie było naprawdę zabawne!

— Cynthia też uważała, że panna Pattie jest zabawna. Słyszałem, że lubiła się kąpać w kapeluszu.

— Nie, proszę ojca, ta historia jest zupełnie nieprawdziwa. Nigdy nie nakładała kapelusza; ale rzeczywiście kąpała się pod parasolem.

— Aha.

— Ponieważ kąpała z prysznicą! Wydawało mi się to zupełnie logiczne.

— Zdecydowanie tak. A teraz, dobra wiadomość. Panna Rose ma pokój w Domu Nadziei.

— Allelu... och, przepraszam. Ponieważ wiem, w jaki sposób go dostała, lepiej będę trzymała język za zębami.

— Masz rację — przyznał.

— Witam, ojczy, mówi Connie z Domu Nadziei. Panna Louella poprosiła mnie dzisiaj rano i kazała do ojca zadzwonić. Była zdenerwowana; powiedziała, że nie chce jej ojciec słuchać, ale że mnie ojciec posłucha. Dlaczego mnie wybrała, nie mam pojęcia! Przypuszczam, że to dlatego, że pracuję w biurze i wszystkim się wydaje, no nie wiem, że to bardziej oficjalne.

W każdym razie, nie powiedziała mi, o co chodzi, ale chce, abym ojca zapytała... gdzie jest ta karteczka, o tutaj, szkoda, że nie widzi ojciec mojego biurka, wygląda jak po wybuchu bomby... „Co robi ojciec w sprawie wie-ojciec-czyich pieniędzy?”.

Powiedziałam, że na wypadek gdyby ojciec nie wiedział, o czyje pieniądze chodzi, może powinna być bardziej precyzyjna, ale chyba jej nie przekonałam. No cóż, do widzenia.

*Pip.*

— Misiu i Cynthio! Chyba doicie owce! Mówi wasza jankeska kuzynka, Katherine. Walter i ja poruszyliśmy niebo i ziemię, żeby znaleźć wolny termin na wizytę w Meadowgate, ale utknęliśmy w martwym punkcie!

W domu opieki podjęłam się pracy w podwójnym wymiarze; uwielbiam swoje kochania, a na dodatek pozwoliłam się namówić naganiaczowi od burmistrza do przewodniczenia przygotowaniom do dużej imprezy dla dzieci chorych na AIDS w sierpniu. Czy nam wybaczyacie? Wiecie, że bardzo chcielibyśmy się z wami zobaczyć — ale pomyślcie tylko o tych tygodniach, które spędzimy razem za rok w Irlandii; ani się obejrzyjecie, a będziecie mieć nas dość!

Co mi przypomina — Misiu, co myślisz o zatrzymaniu się u tej przemilej pani, która zrobiła dla nas tę przepyszną tartę z rabarbarem? A może pójdziemy, gdzie nas oczy poniosą? Tyle rzeczy do omówienia.

Na razie — ucałowania i uściski! I niech wam Bóg błogosławi!

*Pip.*

— Ojczy? Mówi Andrew Gregory.

Znalazłem kogoś, kto podejmie się zadania odnowienia plymoutha — okazuje się, że za bardzo rozsądną cenę! Pomyślałem, że każę zrobić remont i przekażę samochód miastu. Możemy używać go na paradach i aby uświetnić nieco oficjalne wydarzenia z udziałem burmistrza. Koniec końców, wysłałam go do Charlotte za cztery, pięć dni, gość ma czas, żeby zacząć nad nim pracować teraz.

Czy chciałby ojciec przyjrzeć się mu jeszcze raz?

Poczekam na wiadomość od ojca. Wszystkiego najlepszego dla ojca i Cynthii; o tak, i dla Dooleya. Słyszałem, że został Kavanaghem. Moje gratulacje dla wszystkich.

*Pip.*

W odległym New Jersey Walter wypił łyk poobiedniego espresso.

— Zapomnij o tym, kuzynie.

— Zapomnij?

— Tak. Gdy oskarżony został skazany, prawo w kwestii obalenia wyroku jest bardzo surowe. Poza tym nie było nigdy żadnego dowodu, który wskazywałby na Freda, a nawet gdybyś poszedł za swoim domysłem i

coś by z tego wyszło, byłby mentalnie niezdolny do pojawienia się w sądzie jako oskarżony. Żaden prokurator okręgowy przy zdrowych zmysłach nie podjąłby się takiej sprawy.

Westchnął.

— Zawsze wierzyłem, że nigdy nie jest za późno.

— Jesteś księdzem, to należy do twoich obowiązków.

— Ty jesteś prawnikiem. Myślałem, że to należy i do twoich obowiązków.

Walter roześmiał się.

— Nie do obowiązków tego prawnika.

— Masz rację, oczywiście.

— No cóż, przykro mi słyszeć, że nie dacie rady odwiedzić nas tego lata, ale rozumiemy; w każdym razie mamy pełen dom. Dooley, jego brat Sammy i chwilowo pięciolatkę, która jest jak żywe srebro.

— Timothy, nieustannie przyjmujesz do siebie niczyje dzieci. Dobry z ciebie gość!

— To silniejsze ode mnie.

— Reasumując, kuzynie, zostaw biedną, obłąkaną duszę w spokoju. Nie masz czasu ani energii, żeby szukać wiatru w polu, chyba że jest coś, o czym nie wiem.

W istocie, był już zaangażowany w poszukiwanie wiatru w polu, chociaż o zdecydowanie poważniejszej naturze — był to ten przeklęty plik studolarówek rzekomo pogrzebany w głębiach plymoutha belvedere rocznik '58.

— M-mogłem o-o-obciąć ojcu włosy — rzucił Sammy, pożerając lazanie.

— Naprawdę?

— Tak. T-trzeba z-zebrać ojcu jeszcze trochę po bokach. Ojciec Tim dotknął ręką głowy w tym miejscu; jego fryzura wydawała mu się idealna.

— Tak?

— Tak, proszę ojca — włączył się Dooley. — Zdecydowanie tak.

Jego żonie podobało się to zdecydowanie za bardzo. Miał ochotę zgolić sobie głowę na zero i miałby w końcu święty spokój.

— To było trudne rozbiecie.

— Całkiem nieźle strzela.

— Jest mistrzynią na całe S-stany. Patrz, ile b-b-bil wbiła przy tym rozbieciu.

— A niech mnie — zachwycił się Dooley. — A ty byś tak potrafił?

Stał przy komodzie z pościelą na górze i słuchał głosów dochodzących z holu na dole.

— Nie wiem. P-pewnie nie.

No pewnie, że byś potrafił, pomyślał. Pewnie, że byś potrafił!

Dooley rozpoczął swoją letnią praktykę w klinice Hala, a Sammy pracował rozebrany do pasa w ogrodzie. W najgorętszy, najbardziej parny dzień tego lata ojciec Tim zabrał Sissy na długi i okrężny spacer — do kurnika, w dół nad staw, na górę na strych z sianem i wokół krowiego pastwiska.

Poinstruowano go, aby zmęczył dziewczynkę maksymalnie, tak aby nie powtórzył się seans z poprzedniej nocy. Nie będąc w stanie zasnąć, Sissy przysłała do ich łóżka i mówiła nieprzerwanie do dziesiątej.

— To wszystko przez cukier — obwieściła Cynthia przy śniadaniu. — Nie możemy jej dzisiaj dać nic słodkiego. Tylko owoce.

— Rodzynki! — zawołał pełen wsparcia. — Jabłka!

— Jaka byłam głupia, że pokazałam jej, gdzie jest słoik z ciasteczkami. Postawiłam go na szafce.

— Lepiej schowaj małe krzeselko — przestrzegł ją.

Po lunchu, na który złożyła się duża ilość sałaty i grochu, ogłosił drzemkę. Z pewnością, zważywszy na to, jak późno poszła spać i jak wcześniej wstała, ich mała podopieczna będzie spała jak zabita...

Podczas gdy Sissie zwinęła się pod kocem na sofie w bibliotece, on pisał w swoim notesie z cytatami.

*Gdyby próby wielu lat zostały zebrane w jeden rok — przepisywał ze starej książki, którą znalazł na półce Marge — zmiażdżyłyby nas; dlatego, litując się nad naszą słabością, Bóg zsyła najpierw jedną próbę, potem drugą, następnie znosi obydwie i nakłada trzecią, trudniejszą, zapewne, niż każda z poprzednich; ale wszystko jest tak mądrze odmierzone do naszych sił, że targana trzcina nigdy się nie łamie. Nie spoglądamy w wystarczającym stopniu na nasze próby z tej ciągłej i następującej po sobie perspektywy. Każda z prób zsyłana jest, żeby nas czegoś nauczyć, a razem stanowią lekcję, której nikt nie byłby w stanie nauczyć nas sam. H.E. Manning.*

Przeczytał ponownie zapisane słowa. Mądrze odmierzone do naszych sił... amen i amen, drogi bracie, kimkolwiek byłeś...

Powieki mu opadały. Schował na chwilę głowę w dłoniach, potem poszedł do fotela z wysokim oparciem i opadł na siedzenie. Leciutki wietrzyk wpadał przez okno. Cóż za błogi stan.

Sissie podniosła głowę znad poduszki, jakby coś ją nurtowało.

— Jak Jezus zamieszkuje w nas?

— Zapraszamy Go. Gdy to zrobimy, przychodzi, żeby zamieszkać w naszym sercu.

Położyła rękę na sercu, zmarszczyła czoło i słuchała uważnie.

— Co on tam robi przez cały dzień?

Usłyszał trzaśnięcie frontowych drzwi z siatką i kroki Dooleya w holu prowadzącym do biblioteki.

— Hej — zawołał Dooley, podchodząc do jego biblioteczeki.

— Hej — odwzajemnił powitanie.

Dooley potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— Niemożliwe!

— Blake.

— Ma tato rację.

— Co tym razem?

— Bo ma problemy z szyją; zauważyłem, że nie może jej zgiać. Ponadto nie je zbyt dużo i prawie w ogóle się nie porusza.

— Myślałem, że to może przez upał.

— Nie. Dokucza jej ból; wyczuwam skurcze mięśni jej szyi. I zaczyna powłóczyć prawą tylną nogą. Jestem pewien, że ma pęknięty dysk.

Dooley znalazł książkę, zdjął ją z półki i zaczął wertować.

— Co trzeba zrobić?

— Blake chce wezwać chirurga, który operuje plecy i szyję. Nikt w pobliżu już tego nie robi, musieliśmy zabrać ją do Johnson City.

— Zgadzasz się z opinią Blake'a?

— Absolutnie nie. Istnieje jedynie sześćdziesiąt procent prawdopodobieństwa, że operacja przyniesie pożądany skutek, a jeśli nie, może potrzebować kolejnych operacji.

— Jaka jest alternatywa?

— Myślę, że powinniśmy spróbować akupunktury.

— Akupunktury? Czy to nie jest trochę... zbyt wydumane rozwiązanie?

— Wielu weterynarzy stosuje akupunkturę, żeby zniwelować ból. Równocześnie musimy jej dać trochę czasu, czasami takie sprawy leczą się same. A jeśli to nie poskutkuje, możemy jej podawać środki uspokajające i sterydy. Operacja to ostateczność.

Pod nieobecność Hala Blake był zdecydowanie szefem.

— Czy Blake już podjął decyzję?

— Zadzwoń do Hala i zapytaj o jego opinię. Ale Hal weźmie stronę Blake'a.

— Jesteś pewien?

— Oni myślą podobnie.

Dooley zwrócił się do ojca Tima, wyglądając na rozgniewanego.

— Blake jest aroganckim, zadufanym w sobie dupkiem.

A ty musisz z nim pracować przez całe lato, pomyślał ojciec Tim.

*Boże, dziękuję Ci z góry za to, żebyś mądrze odmierzył to do jego sił.*

W towarzystwie Sissy pojechał złożyć wizytę Dovey, najpierw skręcając do Lew Boyda.

— Samochód panny Sadie jedzie do Charleston, do remontu — zakomunikował Harleyowi. — Czy moglibyśmy przeczesać go jeszcze raz jutro?

— O której?

— Jaka pora najbardziej ci odpowiada?

— Mógłbym się tym zająć koło czwartej. Mam dużo roboty przy Lincolnie pani Mallory. Ed Coffey ma go przyprowadzić jutro około dziesiątej. Nie dbali o ten samochód tak, jak powinni.

— Będę tu o czwartej.

Ed Coffey. Może będzie się mógł dowiedzieć, jakie są najnowsze rokowania dla Edith.

— Na marginesie, Harley...

— Tak, proszę ojca?

— Gdybyśmy mieli z Cynthią wychować jeszcze jednego chłopca, czy moglibyśmy liczyć na twoją pomoc?

Na usta Harleya wypłynął charakterystyczny szeroki bezzębny uśmiech.

— Może na mnie liczyć wielebny w każdej sprawie. Szczerze mówiąc, nie był pewien, czy chciałby wychowywać kolejnego chłopca; nie wiedział, czy znajdzie w sobie dość sił. Nawet jego niezmordowana żona, mimo że chętna, zdawała się trochę przytłoczona taką perspektywą. Ale co innego można było zrobić?

Na widok mamy Sissie wybuchnęła łzami i wspięła się na szpitalne łóżko, płacząc.

— Kiedy wracamy do domu, mamo?

— Niedługo, kochanie. Niedługo. Proszę, nie płacz. Odgarnęła włosy z czoła Sissie.

— Popatrz tylko, Donny przyniósł mój talerz i filiżankę i wszystko. Czy to nie miłe? Nie pozwalają mi ich używać, ale mogę na nie patrzeć, gdy modłę się za mamę Ruby.

Ojciec Tim ujął dłoń Dovey.

— Czujesz się silniejsza?

— Może troszkę. Wstałam i przeszłam się po pokoju dzisiaj rano.

Siostra Herman weszła do pokoju sto czternaście, a jej buty na gumowych podszwach odrywały się ze świstem od podłogi.

— Proszę pani, czy mogę na chwilę wziąć dzbanek?

— Tak, proszę, ale proszę brać go delikatnie; odpadł uchwyt.

— Dwa razy — poinformowała Sissie — ale jest przyklejony.

Siostra Herman zaprowadziła ojca Tima na korytarz, zamknęła za sobą drzwi i wyciągnęła przed siebie dzbanek.

— Oto winowajca — oświadczyła.

## Rozdział dziewiętnasty

### *Strzał w dziesiątkę*

Zajrzał do Dory Pugh po maskę, a drugą wziął dla Harleya. Ostatnim razem, gdy postanowił pogrzebać w plymoucicie, kurz spowodował, że z nosa ciekło mu jak z kranu.

— Będzie ojciec kogoś operował? — zainteresowała się Dora.

— Samochód, szczerze mówiąc.

— To chyba usunięcie wału napędowego. Właścicielce sklepu z materiałami żelaznymi prawie nigdy nie zamykały się usta.

— Jeśli to będzie konieczne — odparł, odliczając należną kwotę.

— Słyszał ojciec ten o...

— Następnym razem!

Ruszył w stronę drzwi ze swoją brązową torbą.

— ...o gościu, który wpadł w wyżymaczkę i się przekręcił?

Nie ma spoczynku dla potępionych, pomyślał, podążając Main Street do półciężarówki.

Zobaczył grupkę ludzi przed cukiernią Sweet Stuff. Dobrze, że sobie przypomniał! Cynthia już od jakiegoś czasu marzyła o batonikach figowych Winnie, które — zważywszy na wszystko — były stosunkowo niskokaloryczne. Jego żona pochłonęłaby kilka w sekundę.



Przeszedł przez Wisteria Lane, zauważając, że grupka ludzi była zgromadzona wokół... Jego serce zabiło mocniej. ...wokół Edith Mallory... ..na wózku inwalidzkim.

Gdy się zbliżał, właściciel Collar Button pochylał się nad Edith, jakby chciał usłyszeć, co ona mówi.

— Tak, tak.

Jakby zawstydzony uciekł do swojego sklepu.

Szef policji w Mitford, Hamp Floyd, wyszedł z cukierni, niosąc pudło z ciastem, a nad drzwiami rozległ się dźwięk dzwonka.

— Pani Mallory! Jak mi Bóg miły!

Rok temu we wrześniu Hamp Floyd zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby uratować posiadłość Edith na wzgórzu, ale ta spłonęła doszczętnie pomimo jego wysiłków.

Hamp pochylił się w stronę Edith.

— O tak, rzeczywiście jest!

Winnie Ivey wyjrzała przez szklane drzwi swojego sklepu, żeby zobaczyć, co się dzieje, następnie wyszła na zewnątrz, żeby przywitać kobietę, która usiłowała bez skutku kupić cukiernię Sweet Stuff za jedną trzecią wartości.

— Pani Mallory! Miło znowu panią widzieć na mieście!

Winnie podała dłoń, którą Edith uścisnęła. Ojciec Tim stał za Edith i nie słyszał jej słów, ale wywołały one uśmiech na twarzy Winnie.

— Tak, proszę pani — zgodziła się Winnie. — O tak, proszę pani.

Ed Coffey stał cierpliwie przy rączkach wózka, przyglądając się grupce ludzi. Jego wzrok napotkał wzrok ojca Tima.

Ojciec Tim i Ed Coffey mieli za sobą wiele trudnych chwil; sprawy nigdy nie układały się pomiędzy nimi gładko.

Był zaskoczony, a nawet zdziwiony tym, co ujrzał w oczach Eda — nie było w nich gniewu ani lekceważenia tak jak kiedyś, tylko ciepło, którego nigdy wcześniej nie widział. Ed skinął głową i pokazał, aby ojciec się przybliżył.

— Proszę spojrzeć, pani Mallory. To ojciec Tim. Ed odwrócił wózek.

Ojca Tima poruszyła delikatność jego starej i zacieklej nemezis; zawsze była drobną kobietą, a teraz wydawała się jakby skurczona, przypominając dziecko. Jej twarz była jednak promienna.

— Tim...o...thy. — Mówiła zaledwie szeptem.

— Edith.

— Wy...bacz... mi.

— Zrobiłem to dawno temu.

— Bóg... jest... dobry.

— Tak. Bardzo dobry.

Przykucnął obok wózka i ujął jej dłoń. Po policzkach, bezwiednie, popłynęły mu łzy.

— Dzięk...ku...ję.

— Ja ci dziękuję, Edith, za to, że świadczysz o Bogu. I dziękuję Bogu za to, że nigdy nas nie zawodzi.

Zdołała się uśmiechnąć lewym kącikiem ust.

— Bóg... jest... dobry — powiedziała ponownie.

Duże oczy, które zawsze wzbudzały w nim niepokój, świeciły nowym blaskiem.

Przyglądał się, jak Ed i Edith idą w górę ulicy, zatrzymując się, aby porozmawiać z każdym, kogo spotykali na swojej drodze. Dopiero po kilku minutach zdał sobie sprawę, że uginają się pod nim kolana, jakby minęła straszna burza i nareszcie wyszło słońce.

Wyszedł do małego ogródka pomiędzy cukiernią Sweet Stuff i Collar Button i usiadł na ławce, trzymając brązową torbę w ręce.

Bill Sprouse usiadł obok niego, ze swoim psem Buddym na smyczy.

— To prawdziwy cud, bracie.

— Tak.

— Niech jej Bóg błogosławi, głosi dobrą nowinę w trzech prostych słowach. Mówi to każdemu, kogo zobaczy.

Ojciec Tim osuszył oczy chusteczką. Łzy nie przestawały mu płynąć, ogromny ciężar, który nosił od dawna, w końcu został zdjęty z jego ramion.

— Wiem, że mieliście z nią problemy parę razy.

— Nawet więcej niż parę razy.

— Diabeł w spódnicy, tak ją niektórzy nazywali. Uwielbiam, gdy Bóg sięga ręką i wyjmuje jedno ze swoich dzieci i bierze je w ramiona!

— Tak jak zrobił ze mną — odparł wikary, wydmuchując nos.

— Tak jak zrobił ze mną — odparł kaznodzieja z kościoła baptystów.

Razem z Harleyem nałożyli maski.

Andrew stał obok, wystrojony w kaszmirową marynarkę. Zapiętą, jak zauważył wikary. Nadal trzymając w ręce drewnianą chochlę, Tony zrobił sobie przerwę od obowiązków w kuchni Lucery i usiadł wygodnie na pradawnej ławce ogrodowej obok garażu.

— Co myślisz, Harley?

— Na początek otwórzmy drzwi, żeby wpadło tam trochę powietrza.

Andrew otworzył tylne drzwi z lewej strony; Tony otworzył tylne drzwi z prawej strony; on i Harley zajęli się drzwiami z przodu.

— Praca zespołowa! — zawołał ojciec Tim.

Harley wsunął do środka głowę.

— Była tu mysz, na to wygląda. I słyszałem, że czasami do starych samochodów wślizgują się węże.

— Hola, przyjacielu, nie wchodź tam. Tony zaczął wymachiwać chochlą.

— Ja zajmę się wężem. Ojciec Tim roześmiał się.

— Dobrze! Tony zajmie się wężem; Harley zajmie się myszą.

— jak wyskoczy na mnie mysz, to tylko za mną kurz zostanie. Nigdy nie przepadałem za niczym z rodziny gryzoni.

Harley wszedł do środka ostrożnie i zajął miejsce na siedzeniu pasażera.

— Louella mówiła, że panna Sadie dobrze sobie radziła z narzędziami z pudełka. Nie mogę sobie wyobrazić panny Sadie posługującej się kluczem francuskim albo wiertarką. Ale może śrubokręt...

Usiadł na tylnym siedzeniu, rozglądając się dookoła, starając się zobaczyć wszystko od nowa.

— Z góry na dół, mówił ojciec — rzucił Harley. — No to zaczynamy od początku.

Harley zaczął sprawdzać pilśniową tapicerkę dachu; na wewnątrz posypał się kurz.

Nawet zabrnawszy tak daleko, wciąż nie był pewien, czy powinien traktować opowieść Louelli poważnie. Louella z pewnością w to wierzyła; ale czy był to, być może, jakiś fragment dawnego snu? Czuł się jak spocony, otyły głupiec, mozoląc się tak na oczach Andrew Gregory'ego, który jak zawsze prezentował się nie-nagannie, świeżo i olśniewająco.

— Czytałem o tym cacku — wyznał Harley. — Ma wszystko — nadbieg, wspomaganie hamulców, wspomaganie kierownicy, co sobie tylko zamarzysz.

Harley nie przestawał sprawdzać dachu.

— Prawdopodobnie najwięcej problemów będzie ze wspomaganiem kierownicy, trzeba je będzie przebudować...

Stuk, stuk; kurz, kurz.

— ...i prawdopodobnie trzeba będzie wymienić zbiornik na paliwo.

— Będzie się dobrze prezentować na ulicy — stwierdził Andrew. — Wszyscy będą zachwyceni tymi dyszami z tyłu.

— *Bello!* — zachwycił się Tony.

— Wszystkim opadnie z wrażenia szczęka, bez wątpienia. A na marginesie, tutaj nie ma nic z wyjątkiem dachu i tapicerki. Tak jak przedtem.

— A co myślisz o ściągnięciu paneli z drzwi? — zaproponował ojciec Tim. — Wygląda na to, że dałoby się to zrobić śrubokrętem.

— Nie zaszkodzi spróbować.

Harley usiadł na tylnym siedzeniu i zaczął odkręcać panel z prawych tylnych drzwi.

Nic poza wnętrznościami panelu i jeszcze większą ilością kurzu.

— Jak myślisz? Czy powinniśmy zdjąć panele ze wszystkich drzwi? A co z deską rozdzielczą?

— Zdejmijcie deskę — doradził Tony, który najwyraźniej bawił się doskonale. — Radio, zegar, wszystko.

Machnął chochlą na potwierdzenie swoich słów.

— Jeśli mała kobieta była w stanie wyjąć radio, dam ci nowiutki banknot pięciodolarowy. Jak zaczniemy się bawić z deską rozdzielczą, zostanie nas tu Nowy Rok.

Spragniony świeżego powietrza ojciec Tim wstał nagle, uderzając głową w klosz lampy na suficie.

— Do licha!

Wydostał się na zewnątrz, z ręką na głowie. Tak jak się obawiał — krew.

— A niech mnie! — jęknął, cytując Dooleya.

— Przyniosę spirytus i plaster! — zaproponował Andrew, wyglądając na zaniepokojonego.

— Ja przyniosę!

Tony rzucił się w stronę domu.

— A może pójdzie ojciec ze mną do kuchni?

— Och, nie. Nic mi nie będzie. Przyłożył do piekającej rany chusteczkę.

— Nie ma sprawy.

— Wie ojciec co... — rzucił Harley.

— Co?

— Zjrzę do tego klosza, w który właśnie ojciec uderzył. Jest ogromny.

Harley odkręcił klosz i skierował latarkę do wnętrza.

— Niech mnie kule biją!

Obydwaj mężczyźni pochyliłi się i spojrzeli na Harleya.

— To był strzał w dziesiątkę, ojcze.

Gdy odwiózł Harleya z powrotem na stację Lew, J.C. tankował właśnie benzynę do swojego zdezelowanego SUV-a.

J.C. pomachał do niego, najnormalniej w świecie rozpromieniony. Ojciec Tim zatrzymał się półciągarówką po drugiej stronie wysepki z dystrybutorem.

— Co słychać?

— Niewiele.

— A co znaczy ten uśmiech? Wyglądasz, jakbyś właśnie wygrał los na loterii.

— Ojciec uwielbia się wtrącać w nie swoje sprawy — stwierdził J.C.

— Podobno.

— Słyszał ojciec o...?

— Nie i nie chcę usłyszeć. Chcę wiedzieć coś, co ty wiesz, a czego ja nie wiem.

J.C. zachichotał.

— Może to nie ojca sprawa.

— Nie ułatwiasz mi zadania, przyjacielu.

— Tym razem to niech ojciec wsiądzie do mojego samochodu — zaproponował J.C.

Ojciec Tim zaparkował na tyle stacji i przeszedł na przód, a potem podszedł do SUV-a, którego J.C. zaparkował z boku kanału. Wskoczył na miejsce pasażera i zatrzasnął drzwi.

— I tak mi ojciec nie uwierzy — zaczął wydawca „Muse”.

— Spróbujmy.

— Sprawy z Adele ułożyły się dobrze. Jest dobrze od kilku tygodni, ale nie widziałem powodu, żebybiec do ojca i zaraz o wszystkim paplać; nie jest ojciec moim tatusem.

— Co się stało?

— Aresztowała mnie.

Ojciec Tim wydał z siebie okrzyk zachwyty.

— Nie żartuj!

— Za... Chwileczkę, mam tu akt oskarżenia.

J.C. zaczął przeszukiwać swoją pękatą teczkę.

— Za bycie zimnym, bezwzględnym, egoistycznym, ach, i upartym... draniem — przeczytał. — Aha, i za nieostrożne przechodzenie przez ulicę.

— A niech mnie. Zasypała cię paragrafami.

— Zgarnęła mnie z ulicy; kazała mi wsiąść do wozu policyjnego.

— Co za kobieta.

— Obwiozła mnie dookoła. Przywołała mnie do porządku.

— Jejku.

— Wiesz, co powiedziałem?

— Nie mam pojęcia.

— Powiedziałem jej, że ma rację. A potem powiedziałem...

— Co?

Ledwie mógł usiedzieć spokojnie na siedzeniu.

— Powiedziałem, że ją przepraszam.

J.C. zarumienił się.

— Wspaniale! Doskonale!

Nagle przypomniał sobie, co zobaczył w parku Baxter; jego niewypowiedziana radość nagle uleciała.

J.C. uśmiechnął się.

— I cóż... to mniej więcej wszystko.

— Nie, to nie wszystko, jest jeszcze coś. Wyrzuć to z siebie.

— No cóż, to znaczy... pojechaliśmy gdzieś. I, no wiesz, zaparkowaliśmy.

Zaryzykuje. Jeśli odpowiedź będzie brzmiała „nie”, jakoś z tego wybrnie.

— Pod drzewem w parku Baxter, może?

— Skąd to wiesz?

— Bywa się tu i tam — odparł.

*Alleluja!*

— Więc, jaką masz odsiadkę?

— Sześć miesięcy wychodzenia.

— Wychodzenia?

— Wychodzenia ze śmieciami, wychodzenia z nią na kolację, wychodzenia po jedzenie na wynos z

Ming Tree w Wesley...

— Mogłeś dostać dożywocie. Upiekło ci się. J.C. kiwnął głową, poważnie.

— Naprawdę mi się upiekło.

— Myślisz, że potem będziesz żył w zgodzie z prawem?

J.C. spojrzał mu prosto w oczy.

— Z bożą pomocą. To chyba jedyna droga.

— Amen — odparł wikary, jak najbardziej poważnie.

Serce waliło mu jak młotem, gdy wszedł przez obrotowe drzwi i ruszył wyłożonym chodnikiem korytarzem do pokoju numer jeden.

Louella podlewała gloksynię na parapecie.

— Louella, Louella, Louella! — Uniósł do góry ramiona, jakby wygłaszał mowę z balkonu. — Mam dobre wiadomości!

Louella odstawiła energicznie konewkę.

— Znalazł ojciec pieniądze panny Sadie!

— Trafiłaś w dziesiątkę!

— Dzięki Ci, Jezu! Dzięki Ci, Jezu! I dzięki panie Sadie, idę o zakład, że podsunęła ojcu do głowy pomysł o kryjówce.

— Można tak powiedzieć — przyznał.

Hoppy przecesał palcami swoje niesforne włosy.

— Tak więc było to tam na okrągło. Wypijała i jadła swoją własną śmierć. Jak wiesz, siostra Herman na to wpadła.

Ojciec Tim uściśnął dłoń dyrektor pielęgniarek w szpitalu w Mitford.

— Dobra robota!

— Tak jak mówiłam wczoraj, nie miałabym zielonego pojęcia o starych naczyniach, gdyby moja kuzynka nie chorowała tak bardzo na zatrucie ołowiem. Było dokładnie tak samo — zawsze jadła i piła ze starego serwisu, który podarowała jej babcia. Leczyła się na syndrom chronicznego zmęczenia przez dziesięć lat, zanim odkryli prawdziwy powód!

— Nigdy bym nie pomyślał, że porcelana może zawierać ołów — przyznał wikary.

— Najwięcej ołowiu znajduje się w przedmiotach wyprodukowanych do lat siedemdziesiątych. A na dodatek moja kuzynka i pani Gleason same wycięły sobie najgorszy numer — używały tych naczyń do podgrzewania jedzenia w mikrofalówce!

— Podgrzewanie w mikrofalówce uwalnia niebezpieczne ilości ołowiu — wyjaśnił Hoppy. — A wszelkie pęknięcia i wyszczerbienia mogą mieć naprawdę śmiertelny skutek.

— Czy nadal jest konieczne, aby wyprowadzili się z domu?

— O tym zdecyduje stanowa opieka zdrowotna — odparł Hoppy. — Najpierw prawdopodobnie sprawdzą rury — może się okazać, iż trzeba jedynie zrobić coś z bojlerem. Zawiera dużą ilość lutu ołowianego, który może się wytrącić i zamienić w osad. Czysta trucizna.

— I — dodała siostra Herman — pani Gleason mówi, że wszystkie napoje przygotowuje z gorącej wody!

— Jak myślicie, kiedy wróci do domu?

— W poniedziałek — odparł Hoppy. — Pozwoliłbym jej pójść dzisiaj, ale nie chcę ryzykować. Gdy jest tutaj, wiem, że je. Terapia chelatowa poprawi ogólny stan jej organizmu, ale to zdecydowanie potrwa i będzie musiała zgłosić się ponownie na badanie funkcji wątroby.

— A co z rachunkiem? — zapytał ojciec Tim. — Nie ma ubezpieczenia i nie pracowała od jakiegoś czasu. Jak wygląda typowa procedura dla...

— Mam numer telefonu, pod który możesz zadzwonić

— zaproponował Hoppy. — Nie jestem pewien, co ci się uda załatwić, ale ta organizacja non-profit pomogła wielu pacjentom w jej sytuacji. Może się udać. Co do mojego rachunku, jesteście kwita.

Hoppy uniósł dłoń w odpowiedzi na protesty swojego starego przyjaciela.

— Już od dawna mam wobec ciebie ogromny dług. Powiedzmy, że historia zatoczyła koło.

Opowiedział jej wszystko, czując się trochę jak Święty Mikołaj przybywający na swoich saniach. Za każdym razem, gdy sięgał do wора z prezentami-opowieściami, wyciągał kolejną niespodziankę dla słuchającego go z zachwytem dziecka w swojej żonie.

Pieniądze w kloszu lampy (co zilustrował, pokazując ranę na głowie)...

Dalsze odkrycie dziwnej tajemnicy Dovey...

Przesłanie Edith dla Mitford...

A potem pomyślny rozwój wydarzeń z Adele i J.C.

— Twoja kolej — rzucił, wypijając łączywie szklanekę wody.

— Nie mam nic równie atrakcyjnego — odparła, wciąż nie dowierając, jego żona.

— Opowiadaj.

— Hal nie zgodził się na operację.

— Aha!

— Nie zgodził się też na akupunkturę. Chce poczekać parę dni i zobaczyć, co się wydarzy. Jeśli dolegliwość nie ustąpi, zastosują środki uspokajające i sterydy.

— Co na to Dooley?

— Uważa, że to sprawiedliwy kompromis, chociaż sądzi, że akupunktura złagodziłaby ból.

— Czy sprawy się unormowały pomiędzy naszymi weterynarzami rezydentami?

— Według Dooleya Hal dał im jasno do zrozumienia, że nie popiera żadnego ze zdań; tak po prostu by postąpił, gdyby tu był. Więc być może to pomogło zażegnać spór.

— A co, jeśli plan Hala nie zadziała?

— Wygląda na to, że Blake będzie nadal upierał się przy operacji, a Dooley przy akupunkturze.

— Jak poszło z Sissie?

— Wspaniałe wiadomości! Znalazłam kasety wideo, które kupiłeś dla Jonathana w Whitecap; przyjechały z Mitford w pudełku z książkami! Obejrzała *Babe* dwa razy i ogląda go po raz trzeci w tej chwili.

— Moja dziewczyna!

— Zostawiłam *Małą syrenkę*, żebyście oglądali to razem jutro.

— Wielkie dzięki!

— Zjadła ogromny lunch i padła na sofę w bibliotece. Miałam nadzieję, że będzie spała jak zabita. I co? Nic z tego! Leżała przez sześćdziesiąt sekund, potem znowu stanęła na równe nogi, pełna pytań.

No to powędrowałyśmy do zagrody dla owiec, gdzie miałam chwilę odpoczynku, podczas gdy ona goniła za jagniętami, których — jak wiesz — nie można złapać. Potem zajrzałyśmy do kurnika i wykonałyśmy pracę za Williego. Muszę przyznać, że była słodka; każde jajko było dla niej prawdziwym cudem. Pomyślałam sobie, aha, Sissie i Violet zbierają jajka!

— Wrzesień?

— Październik.

— Cudownie.

— A tak na marginesie — rzucił — co stało się z twoim planem robienia koronek igłowych?

— Kalendarz.

— Oczywiście. Westchnęła.

— Zaledwie jedna z trzech.

— Całkiem niezła statystyka — uznał.

O ósmej godzinie położyli się wyczerpani do łóżka, Sissie chrapała na dwuosobowej kanapce, a Barnaba na półpiętrze.

Co do reszty domowników, Dooley i Sammy pojechali na pizzę do Wesley i mieli również umyć jeepa. Lace miała przyjechać do domu jutro, a Dooley nie potrafił ukryć radości. Próbował, oczywiście, ale nieskutecznie.

— „Żadne wysiłki nie potrafią ukryć miłości tam, gdzie jest — ojciec Tim zacytował La Rochefoucauld — ani długo jej udawać, tam gdzie jej nie ma”. Zapamiętałem te słowa, gdy zabiegałem o twoje względy — rzekł do Cynthii.

— Wydawało mi się, że to ja zabiegałam o twoje względy.

Pocałowała go w guza na głowie.

— No tak, być może granica pomiędzy jednym i drugim zatarła się na chwilę.

— Kocham cię bardziej niż kiedykolwiek przedtem — wyznała, głaszcząc go po ramieniu.

— Ja również kocham cię bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

On pogłaskał ją po ramieniu.

— Proszę, nie mów nikomu, że położyliśmy się spać, gdy było jeszcze jasno.

Był wykończony.

— Ode mnie nikt o tym nie usłyszy.

— Pomodlisz się za nas, najdroższy?

Modlił się słowami modlitwy przypisywanej świętemu Franciszkowi.

— Czuwaj, o Boże, z tymi, co nie śpią, czuwają lub płaczą dzisiaj w nocy, i spraw, by Twoi aniołowie i święci czuwali nad tymi, co śpią. Doglądaj chorych, o Jezu Chryste. Daj wypocząć zmęczonym. Pobłogosław tym, którzy umierają. Miej litość nad cierpiącymi. Chroń tych, którzy się radują. A to wszystko dla Twojej miłości.

— Amen — powiedzieli zgodnie.

Ujął jej dłoń i leżeli w ciszy, którą przerywało jedynie tykanie zegara na półce nad kominkiem.

— Zawsze wzrusza mnie ta prośba, „chroń tych, którzy się radują” — powiedziała w końcu — przez to, że uznaje ona, że radość jest taka straszliwie ulotna i że diabeł cały czas usiłuje ją nam wykraść. Ta prośba o radość jest taka mądra.

Odwróciła głowę i spojrzała na męża, jakby oczekując od niego odpowiedzi, ale on już spał.



Po śniadaniu wyjął *Małą syrenkę* z pudełka i usadowił Sissie w salonie. Może robić wiele rzeczy na tym świecie, ale oglądanie *Małej syrenki* na pewno nie jest jedną z nich. Rozłożył swoje własne stanowisko w bibliotece.

— Violet?

— Kto mówi?

— Ojciec Tim. Mam wspaniały pomysł. Czy dzwonię w porę?

— Tak, proszę ojca. Uwielbiam wspaniałe pomysły!

— Pięknie śpiewasz.

— Dziękuję.

— I Sparkle też sobie nieźle radzi.

— Ach, Sparkle jest dobra, naprawdę dobra. Uwielbiam jej kontralt.

— Wydaje mi się, że potrzebny jest nam chór w Holy Trinity.

— Chór!

— Tak. Żeby zachęcić innych do śpiewania; tak wielu obawia się śpiewać w kościele.

— Nie potrafią czytać z nut, to dlatego. I nigdy wcześniej nie słyszeli tych starych pieśni. Chodzi o to, że w tej czeredzie jest mnóstwo baptystów.

— To prawda. W każdym razie chór...

— Proszę mi wybaczyć, ale ja nie mam czasu na chór. To poważne zobowiązanie, na które obecnie nie jestem przygotowana.

— Rozumiem. Zastanawiałem się, czy mogłabyś usiąść przy pianinie podczas nabożeństwa i wstawać, i śpiewać razem ze Sparkle za każdym razem, gdy mamy pieśń?

— Chór z dwóch głosów?

— Coś takiego, tak.

— Ojciec też nieźle śpiewa.

— Nigdy tak nie myślałem, ale dziękuję.

— Mógłby ojciec podejść i stanąć razem z nami. Wtedy mielibyśmy trójkę z przodu i pannę Marthę z tyłu — od czasu do czasu zdarza się jej absolutnie zafałszować, ale ma silny głos. I pewno z nami na przedzie, i z nią z tyłu udałoby się nam... podciągnąć środek!

Violet zachichotała; jemu zrobiło się lżej na sercu.

— Dobrze powiedziane!

I chór musi mieć gdzieś swój początek.

<Drogi Ojczy Timie

<Zostało już tak niewiele czasu, że nie wiem, co ze sobą zrobić!!!!!!

<Snickers szaleje, jakby by! koniec świata, jestem na siebie wściekła, że wyciągnęłam walizkę za wcześnie, wie ojciec, jak działają na psy walizki, powinnam była czekać do ostatniej chwili, ale kto jest w stanie czekać do ostatniej chwili, żeby się spakować na podróż za ocean?????

<A na dodatek, niewiele brakuje, żeby Harold wybuchnął łzami. Czy może ojciec uwierzyć, że dorosła kobieta nie może pojechać w niedaleką podróż, żeby nie opłakiwało jej całe domostwo?

<Żałuję, że się na to zgodziłam, a teraz jest za późno, nie można zwrócić moich biletów, bo były takie tanie. Coś około 400 dolarów! Tam i z powrotem!!! Ale bez posiłku, czy może ojciec w to uwierzyć? Kanapki i prece! Żeby przelecieć nad całym oceanem!!!!

<W końcu pogodziłam się z tym, że jestem ogromna jak skała. Harold mówił mi setki razy, nie przejmuję się. Więc, no cóż, nie przejmuję się. Nie będę nawet próbowała wciągać brzucha, kogo to obchodzi. Widziałam czasopismo z angielskimi kobietami i z wyjątkiem rodziny królewskiej, która może sobie pozwolić na odsysanie tłuszczu, wyglądają mniej więcej jak ja. Więc, nie mam się co martwić. Wiem, że zgodziłby się ojciec ze mną.

<Czasami tęsknię za tymi czasami, gdy obydwójce byliśmy ściśnięci w tej małej kancelarii jak sardynki w puszcze. Wydaje się, że sprawy miały się wtedy lepiej, wszystko było ustabilizowane. Dlaczego wszystko musi się cały czas zmieniać? Dlaczego wszystko nie może zostać tak, jak jest???? Nawet nie próbuj mi cytować całego naręcza wersetów z Pisma Świętego na temat zmiany, chcę jedynie pozłościć się na to przez chwilę, dobrze?

<No cóż, serdeczne pozdrowienia. Proszę, módl się za mnie. Jestem strzępkiem nerwów. Lekarz przepisał mi tabletkę, którą mam połknąć, zanim wsiądę do samolotu. Jeśli się rozbije, mam nadzieję, że odprawisz mój pogrzeb, ha, ha. Na poważnie, spadnie prawdopodobnie do oceanu, jeśli w ogóle spadnie, więc byłoby to tylko nabożeństwo żałobne. Ale jeśli spadnie na ziemię i znajdą ciało, to chciałabym zostać pochowana w swojej sukience w groszki z białym kołnierzykiem.

<Emma

Poszedł do skrzynki na listy, następnie wrócił do biblioteki, zamykając drzwi przed *pac, pac, pac* kielni murarskich dochodzącego z komina w kuchni i odgłosami wideo dochodzącymi z salonu.

Zaproszenie na doroczne grill party spółdzielni elektrycznej. Rachunek ze Sklepu. Reklama karty kredytowej. Zawiadomienie o pikniku wędkarskim organizowanym przez straż pożarną z Farmer.

*Drogi Ojczy Kavanagh!*

*Dziękuję za egzemplarze Pisma Świętego. Każdy jest taki szczęśliwy, że ma teraz własne. Czytamy z Ewangelii wg św. Jana, rozdział 14 — Jeśli mnie kto miłuje, będzie zachowywał moją naukę, a Ojciec mój umiłuje go i przyjdziemy do niego, i mieszkanie u niego uczynimy.*

*To ogromna pociecha wiedzieć, że sam Bóg przyjdzie przez te więzienne ściany i usiądzie z nami w naszej celi, która jest naszym mieszkaniem i będzie z każdym z jego uwięzionych dzieci. To niesamowite i czasami trudno w to uwierzyć, ale ja zawsze czułam jego obecność i wiem, że to prawda.*

*Nie wiem w ogóle, czy powinnam o tym. pisać, ale bardzo ciężko pracowałam, żeby dostać wcześniejsze zwolnienie. Wygląda, jakbym mogła niedługo wrócić do domu, ale jeszcze nie wiem, więc proszę nic nie mówić Donny'emu i Dovey, ani nikomu innemu. Moja zbrodnia to ciężkie przestępstwo klasy B2 i mam czyste konto z całego czasu odosobnienia i mój wyrok może być skrócony z dziesięciu do siedmiu lat.*

*Będę wdzięczna, gdyby mógł się ojciec modlić, żeby mogli to zrobić. Powiadomię ojca. Proszę modlić się za Lucy, która przychodzi na czytanie Pisma Świętego, ma naprawdę złe serce i za Sue i Lonnie. Dziękuję i niech Ojca Bóg błogosławi.*

*Z poważaniem Ruby Luster Nr 10765L*

— To co on tam robi przez cały dzień? Zapomniałeś.

Pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach, żeby spojrzeć w jej pytające oczy.

— Prowadzi nas i kieruje nami, i pomaga nam podejmować decyzje, jeśli Go o to poprosimy. Daje nam poczucie przynależności.

— Co to jest poczucie przynależności?

— Bycie ważnym dla kogoś, to, że gdzieś czujemy się jak w domu. Bo gdy On mieszka w naszych sercach, należymy do Niego i On jest naszym domem.

To trudne, pomyślał. Położyła rękę na swoim sercu.

— Nie robi nic, tylko w kółko bim-bam, bim-bam.

— To twoje serce pompuje krew w twoim ciele, żebyś mogła żyć i oddychać, i chodzić, i mówić, i oglądać filmy na wideo, i jeść masło orzechowe. Bóg żyje w naszych sercach jako duch. Możemy mu wszystko powiedzieć i o wszystko go poprosić. Chce nam pomóc, bo nas kocha.

— Jak to możliwe, że On nas kocha?

— Jeden powód to taki, że nas stworzył.

— Ja wyszłam z brzucha mamy. Mówiła, że stworzyli mnie razem z tatą.

Wziął ją za rękę.

— Chodźmy odwiedzić Cynthię — zaproponował.

— Hej, tato.

— Hej, synu. Odłożył książkę.

— Usiądź na chwilę.

Dooley usiadł na kanapie w oknie naprzeciwko kominka.

— Wygląda na to, że twój jeep bardzo przejaśniał. Dooley wzruszył ramionami.

— Ale nie możesz wozić pięknej panny Lace Harper we wranglerze z zepsutymi drzwiami. Wiesz co. Prawie w ogóle nie korzystamy z mustanga. Może będziesz nim jeździł, dopóki nie dotrze twoja półciężarówka?

— Byłoby wspaniale. Naprawdę wspaniale. — Dooley promieniał. — Dzięki.

— Ma kilka haczyków, będę ci musiał je pokazać.

— Doszliśmy do wniosku z Sammym, że moja nowa półciężarówka dotrze mniej więcej w tym samym czasie co jego. Mówił, że będzie miał ziemniaki, pomidory winogronowe, kabaczki, przeróżne rzeczy w połowie czerwca. Ekstra.

— Nie mogę się już doczekać pierwszej kanapki z pomidorami. Przy okazji, uważaj dzisiaj w drodze powrotnej do domu; drogi są kręte, jak wiesz.

— Zgadza się.

— Jest ten zakręt o sto osiemdziesiąt stopni zaraz za znakiem do FARMER.

Dooley dotknął ręką stopy.

— I ten odcinek przy starej farmie mlecznej — trzy osoby tam...

— Rozumiem, tato.

— A kiedy zobaczymy Lace?

— Dzisiaj wieczorem zabieram ją do knajpki meksykańskiej w Wesley. Pomyślałem, że moglibyśmy zjeść z wami wszystkimi kolację jutro wieczorem. Jej naprawdę się tutaj podoba.

— Stek. Frytki. Sałata.

— Bez awokado.

— I ciasto czekoladowe, jeśli nie zawodzi mnie pamięć.

— Zgadza się. Dooley się uśmiechnął.

— Zabrałem wczoraj Sammy'ego do Holding, do jego starego salonu bilardowego. Jest wspaniały. Naprawdę wspaniały. Mówił, że widział ojciec kilka partii, które rozegrał w Wesley.

— Tak. I szukałem w Internecie organizacji stowarzyszających graczy w bilard. Być może w przyszłości będzie mógł robić to, co kocha.

— Gdy zacznę pracować i będę miał własne pieniądze, kupię mu stół do bilardu. I, wie ojciec, każę mu wyleczyć zęby.

— Wspomniałem o tym kiedyś; będziesz go musiał zaciągnąć do dentysty wołami.

Dooley roześmiał się.

— Oczywiście, chciałbym, żeby miał jakieś wykształcenie. Ale tu same woły by nie wystarczyły. Pamiętasz, przez co przechodziliśmy, żebyś dostał się do szkoły średniej?

— Wściekałem się.

— Delikatnie mówiąc.

— Czy myślisz, że moglibyście z Cynthią... no wiesz, zatrzymać go?

— Rozmawialiśmy o tym. Jedziemy za rok do Irlandii, ale jestem pewien, że coś wymyślimy. Rzecz w tym, że musi szanować zasady obowiązujące w domu i ludzi, którzy w nim mieszkają. Bez tego nie ma o czym mówić.

— Zgadza się. Dooley zamyślił się.

— To trudne. Jest naprawdę wściekły na życie z wielu powodów.

— Alternatywa samodzielnego życia, w jego wieku, nie jest dobra. Czy on o tym wie?

— Tak. Nie powiedział mi tego wprost, ale wydaje mi się, że się tego boi. Kilka razy już uciekał z domu i wpadł wtedy w naprawdę złe towarzystwo. Tak dorobił się szramy.

— Myślałem, że może zdarzyło się to... w domu. Twarz Dooleya przybrała surowy wyraz.

— W przyczepie działy się gorsze rzeczy.

— Jak się ma Bo?

— W porządku. To straszne, że tak marnujemy czas. Jest...

Lepiej się w to nie wgłębiać, pomyślał.

— Jak u ciebie z gotówką?

— Mam kilka dolarów. Czeka z kliniki dostanę dopiero w następny piątek.

Ojciec Tim wstał i wyjął portfel. Musi powiedzieć Dooleyowi. I to wkrótce. Nie był już w stanie dłużej znosić tego ciężaru. Ale musi nadejść właściwy moment; czekał na zielone światło...

— Pamiętasz pierwszą dwudziestkę, jaką ci kiedykolwiek dałem?

— Na urodziny.

— Powiedziałeś, że jej nie wydasz, tylko będziesz chodził z nią w kieszeni.

Gdzie uciekł ten czas? Wydawało się, że to zaledwie wczoraj... Dał Dooleyowi pięć dwudziestek.

— Niech ci to wystarczy, synu.

— Tak, proszę taty. — Dooley zwinął pieniądze i włożył je do kieszeni spodni. — Wielkie dzięki. — Ruszył w stronę drzwi.

— Jesteśmy z ciebie dumni.

Zobaczył, że jego chłopiec próbuje coś powiedzieć, ale nie był w stanie; odwrócił się i uciekł korytarzem.

W sobotę rano razem z Barnabą załadowali się do półciężarówki z lampą z rogu nosorożca, plikiem wygenerowanych komputerowo biuletynów kościelnych, trzema tuzinami jajek i paczką UPS i ruszyli na Wilson's Ridge.

Rozdarł paczkę, rozwinął nuty i położył je na ławce przy pianinie. Sparkle przyjdzie jutro wcześniej rano i zajmie się wszystkim.

Śpiewał pieśń komunijną, chodząc po nawie, tu coś prostując, tam coś poprawiając.

— Tak jak tu stoję, z własnej woli...

Zanurzył palec we flakonach na ołtarzu. Woda. Agnes już tu była.

— Bo krew swą za mnie przelałeś...

Ci spośród nich, którzy są baptystami, nie będą mieć z tą pieśnią żadnych problemów!

— Bo do siebie przyjść kazałeś... Ktoś zaśpiewał z nim ostatnią linijkę.

— O Baranku Boży, idę, idę.

— Agnes! Dzień dobry!

Barnaba wy dostał się spod przedniej ławki i ruszył w podskokach środkiem kościoła.

— Dzień dobry, ojczy! Dzień dobry, Barnaba! Clarence i ja właśnie przynieśliśmy coś do flakonów na ołtarzu.

W lewej ręce niosła koszyk pełen zielonego przybrania i kwiatów, a w drugiej trzymała laskę. Clarence szedł za nią z naręczem suszonych winorośli, witając wikarego językiem migowym.

Miłość do jego parafii nad chmurami przepełniła jego serce z nagłą i zadziwiającą siłą. Był u siebie, tak jak nakazywał mu Wordsworth.

I był rad.

Kręte łodygi winorośli sterczały w górę ze stojących na ołtarzu bukietów pasternaku, marchewnika i kalmii; gdy Clarence ich opuścił, usiedli w pierwszej ławce, przyglądając się z aprobatą rezultatowi swoich prac.

— Długie białe kwiaty? — zapytał.

— *Osmorbiza claytonii*. Marchewnik anyżowy. Jej korzenie pachną i smakują jak lukrecja albo anyż. Nazwa gatunku, *claytonii*, upamiętnia Johna Claytona, który był osiemnastowiecznym botanikiem z Wirginii.

— Znasz wszystkie kwiaty w tych górach?

— Wiele, ale na pewno nie wszystkie! Widzi ojciec tę długą piękność, odrobinę przypominającą trybulę? Pasternak albo *Heracleum lanatum*. Jego korzenie po ugotowaniu i wysuszeniu można używać jako zamiennika soli. Ale nie wolno go pomylić z cykutą, która może spowodować śmierć.

— To prawdziwa dżungla — stwierdził. Przyglądał się flakonom na ołtarzu jeszcze przez chwilę, potem zwrócił się do niej.

— Grace Monroe nauczyła Clarence'a, jak obchodzić się z porcelaną Staffordshire...

Uśmiechnęła się.

— Nie może ojciec z pewnością narzekać na problemy z pamięcią.

Mieszkaliśmy z Grace przez jedenaście lat; poszłam do pracy w Chicago Public Library. Gdy Clarence miał sześć lat, zapisałam go do szkoły dla głuchoniemych. Z wyjątkiem lekcji stolarstwa, był bardzo nieszczęśliwy, taki smutny. Czuł się skrepowany i nigdy wolny, jak dziecko. Staralam się oszczędzać każdy grosz i gdy Grace zmarła, wróciliśmy do domu na Wilson's Ridge i do naszej szkoły.

To była najcudowniejsza przemiana, jaką można sobie wyobrazić. Clarence pokochał te góry; wydawało się, że życie w mieście było zaledwie snem. Rozkwitał na każdy możliwy sposób — przestał być błydy, jego wyobraźnia zaczęła galopować, był szczęśliwy. Nauczył się nazw drzew i faktur ich drewna i wyrzeźbił pierwszego ptaka, gdy miał dwanaście lat.

— A ty? Jak tobie się wiodło po przyjeździe do domu?

— Tym, którzy pytali, powiedziałam, że ojciec Clarence'a zmarł, zanim mój syn się urodził, i że wróciłam do swojego panińskiego nazwiska. To samo powiedziałam też Clarence'owi. Ciężko mi przyszło powiedzenie mojemu synowi takiego kłamstwa. Ale tak było najlepiej. Tak było najlepiej. Może się mylę, ale wydaje mi się, że nikt na wzgórzu nie zna prawdy.

Usłyszał ich Pavarottiego śpiewającego sobie przy drzwiach.

— Przez wiele miesięcy siadywałam codziennie dokładnie w tej ławce i modliłam się, nie zauważając deszczu, który padał do środka, myszy, wiewiórek i ptaków. Holy Trinity został porzucony przez Kościół, chociaż, co dziwne, nigdy nie dokonano dekonsekracji, i wydawało mi się, że pożyczam po prostu to, co pozostało.

Po pewnym czasie przemówił do mojego serca Bóg, używając dokładnie tych samych słów, które skierował do świętego Franciszka.

„Odbuduj mój kościół — powiedział — który, jak widzisz, sypie się w ruinę”.

Byłam wtedy jeszcze młoda i pełna energii i zaczęłam natychmiast. Na początku moja praca była pokutą. Przez jakiś czas była obowiązkiem. Potem — stała się radością.

Wkrótce dołączył do mnie Clarence i pracowaliśmy razem, na chwałę Boga. Nigdy nie przyszło nam do głowy, żeby prosić o pieniądze albo jakąkolwiek pomoc. Powierzył nam zadanie, posługę; robiliśmy wszystko, będąc Mu posłuszni, to był cudowny sposób na podziękowanie Mu za wszystko, co dla nas zrobił.

Wiara Clarence'a jest głęboka, ojczy, być może głębsza niż moja. Absolutnie rozkwitał, gdy naprawiał dach i wymieniał przesiąkniętą wodą deski podłogi, i odnawiał drewniane poręcze wokół ołtarza. I w istocie, Bóg pobłogosławił jego dochodom ze stolarstwa tak hojnie, że nie musieliśmy już walczyć i odmawiać sobie wszystkiego po to, by kupić jeden gwóźdź — było to błogosławieństwo, którego czasami w dziwny sposób żalowaliśmy, muszę przyznać, bo ta walka była błogosławieństwem samym w sobie.

I tak pracowaliśmy, rok za rokiem. Mój ojciec wkrótce zmarł i zostawił mi swoją posiadłość, chociaż nie mogę powiedzieć, abym zasługiwała na krztynę tego spadku. A potem, pewnego dnia, zaczęliśmy się modlić z Clarence'em, żeby On przysłał kogoś, kto nas poprowadzi, kto zbierze nas razem ponownie na wzgórzu — jako rodzinę.

Wielu uważa, że odosobnienie takie jak nasze jest przewiną, że powinniśmy wyjść śmiało na zewnątrz i służyć Mu w wirze spraw tego świata. Ale te wąwozy i kotliny to też świat, ojcie. I jesteśmy zaszczytzeni, że wybrał nas, abyśmy zachowali Jego kościół przed obróceniem się w ruinę — na taki czas jak ten.

To historia mojego życia.

Agnes wzięła głęboki oddech, a potem odetchnęła z ulgą.

— Wiem, że na pewno jest ojciec wdzięczny, że moja historia dobiegła końca, ale na pewno nie tak bardzo, jak ja jestem ojcu wdzięczna za to, że ojciec mnie wysłuchał. Jest ojciec jedyną osobą, która kiedykolwiek usłyszała historię mojego życia w całości.

— On pobłogosławił cię serdecznym i wspaniałym synem. Doświadczenie, które dla ciebie było złem, On zamienił w dobro — jak ma w zwyczaju.

— Przypuszczam, że powinnam ojcu powiedzieć, kto...

— Nie — przerwał jej. — Wiem jedynie, że byłeś na pogrzebie Clevelanda Pricharda.

Spojrzała na niego odważnie; miała bardzo niebieskie oczy.

— I to — zapewnił ją — wszystko, co kiedykolwiek musimy powiedzieć.

Jubal zdjął brezent ze swojej sfatygowanej sofy. Siedział na ganku, gdy ojciec Tim wjechał samochodem na podwórko.

Zaparkował półciężarówkę w cieniu drzewa, dał Barnabie kawałek skóry do zabawy, następnie zeskończył z samochodu i wyjął słoik herbaty i karton jajek zza fotela kierowcy.

Jubal uniósł rękę.

— Niech ojciec zostawi zwierzaka w samochodzie!

Ojciec Tim podniósł z wysiłkiem lampę z paki półciężarówki i ruszył w stronę ganku. Nawet z daleka zauważył dziwną krzątaninę pod brodą Jubala.

Położył z impetem swój ładunek na ławce.

— Oferta dnia, Jubal!

— Co, u licha...?

Jubal przyglądał się lampie podejrzliwie, jeśli nie z wyraźną odrazą.

— To lampa! Z rogu nosorożca! Wiem, jak lubisz naturalne przedmioty.

— Rogu czego?

— Nosorożca.

— Nigdy czegoś takiego nie widziałem; jest brzydka jak noc.

— Zdecydowana większość nocy jest brzydka, muszę ci to przyznać, ale ta lampa wprowadzi radosny nastrój w twoim domu. Wejdzimy do środka i spróbujemy ją włączyć?

Osobiście był bardzo podekscytowany tym prezentem, nawet jeśli on sam dostał go od kogoś.

— Włączyć? Mam zaledwie dwa czy trzy miejsca na włączenie czegokolwiek. Do jednego jest podłączona kuchenka, do drugiego golarka...

— Golarka? Ale przecież ty się nie golisz.

— Czekaj gotowa, jak przyjdzie mi ochota. Gdzie panna Agnes?

— Przesyła swoje serdeczne pozdrowienia i słoik herbaty.

— Całkiem o mnie zapomniała. — Jubal wyglądał na niepokojonego. — Nie widziałem jej wieki.

— Gdybyś przychodził do kościoła w niedzielę, widywałbyś ją co tydzień.

Jubal spojrział gniewnie spod swoich krzaczastych brwi.

— Niech mnie ojciec posłucha! Wiedziałem, że będziecie próbowali mnie naciągnąć; wiedziałem to, jak tylko was zobaczyłem!

— Ależ ja nie próbuję niczego takiego zrobić, stwierdzam jedynie fakty. A to brown betties, które ci obiecałem.

Jubal otworzył karton, nagle wyglądając na bardzo zadowolonego.

— Cóż, może ojciec usiądzie? Niech ojciec nie stoi, naprawdę, ojciec to może człowieka zamęczyć na śmierć.

Wikary usiadł na drugim końcu pokrytej skórą kanapy, hojnie załatanej taśmą klejącą.

— Jubal, co, u licha, masz pod koszulą? Coś zdecydowanie się tam poruszało.

— To mój świstak.

Musiał się powstrzymać, żeby natychmiast nie wstać.

Jubal podniósł brodę, włożył rękę pod koszulę i wyjął pulchnego, brązowego świstaka z oczami jak paciorki i przystosowanymi do kopania łapkami.

— Wziąłem go do domu, to sierota.

— Czy on gryzie?

— Jak cholera! Jest dziki. Lis albo kojot musiał zakraść się do jego nory. Cały ranek szukałem koniczyny i mleczu. Mieszkanie samemu to nie radość... ale nie musi też być wieczną żalobą.

Jubal podrapał główkę stworzenia.

— Ogromny szczęściarz z tego malucha — rzekł wikary.

— To ona.

— Aha. Jak ma na imię?

— Myślałem, że mógłbym ją nazwać Panna Agnes. Wikary roześmiał się serdecznie.

— Jestem pewien, że byłaby zaszczycona.

— Kto? Świstak czy panna Agnes?

— Obydwie, wydaje mi się. Więc, Jubal, co było w torbie, którą ci przyniosłem?

— Ratki. Były całkiem smaczne, jeśli ktoś lubi tego typu jedzenie. Nie jadłem ratek od czasu, gdy pracowałem w tartaku.

Podrapał się w głowę.

— Przywiozłem ci... ratki?

— Sam mi je ojciec dał!



— Ale co to są właściwie ratki?

— Świńskie nóżki! — Jubal był najwyraźniej mocno zde gustowany taką ignorancją. — Boże, miej litość!

Boże, miej litość, zaiste.

— No cóż, będę się musiał wkrótce zbierać. Chciałem tylko powiedzieć, że szybko nas przybywa w Holy Trinity i planujemy spotkanie pokoleń pod koniec października. Wszyscy są zaproszeni. I może uda się nam sprowadzić potomków parafian, którzy chodzili do tego kościoła w jego początkach. Będziesz miał mnóstwo czasu, żeby się nad tym zastanowić, ale oczywiście mamy nadzieję, że do nas dołączysz.

— Nie mogę przesiadywać w domu bożym, nie wierząc w Boga Wszechmogącego! Grom z jasnego nieba by chyba we mnie wałnął.

— Nie wierzysz w Boga?

— Nie, proszę ojca, a jak on tu kiedy bądź przyjdzie, przywitam go strzelbą.

— No cóż, w takim razie wątpię, żeby cię niepokoił.

— I niech ojciec o tym pamięta — ostrzegł go starszy mężczyzna.

Podniósł się z sofy.

— Mam nadzieję, że będą ci smakować te jajka, Jubal. Wiem, jak bardzo lubisz coś przyrządzić na tym swoim słynnym piecyku.

— Wczoraj wieczorem nic nie gotowałem. Hank Triplett przysłał mi coś od swojej mamy... comber sarni, ze słodkimi ziemniakami i kawałkiem chleba kukurydzianego, na wielkość dłoni.

— Gdy zjadłeś tę smaczną kolację, czy wierzyłeś, że jest kucharz, który ją przygotował?

Jubal zastanawiał się przez chwilę nad pytaniem i włożył z powrotem świstaka pod koszulę.

— Nie próbuje mnie ojciec wyprowadzić w pole, co?

— Nie.

— Niech ojciec nie próbuje, bo poszczuję Panną Agnes. Ojciec Tim roześmiał się.

— Którą?

Świstak wystawił głowę przez białą brodę Jubala.

— Tą! — zawołał Jubal.

Sissie pomagała Cynthii w kuchni, a on wymknął się do biblioteki, żeby trochę odetchnąć. Dooley pojedzie wkrótce po Lace do Mitford.

Stał przy biblioteczce, gdy usłyszał, jak zbliża się szybkimi krokami jego chłopiec, prawdopodobnie, żeby wziąć kluczyki.

Dooley zatrzymał się przed nim gwałtownie.

— Co się stało? Jesteś biały jak ściana.

— Obrzuciłem go wyzwiskami. Obrzuciłem go bardzo brzydkimi wyzwiskami.

— Kogo?

— Blake'a.

— Dlaczego?

— Klóci się o wszystko, nie mogłem już tego znieść. Wyładowałem się na nim.

— Niewiarygodne.

To nie była dobra wiadomość.

— Jest aroganckim, zadufanym w sobie...

— Może to i prawda, ale to cię nie tłumaczy.

Był rozczarowany Dooleym. Panno Sadie, do licha, proszę na mnie na patrzeć; on wie lepiej.

— Ale nie powinienem był się tak do niego zwracać. Szczerze mówiąc, miałem ochotę go uderzyć; naprawdę musiałem się powstrzymać. Ale bez względu na to, jak jest ślepy, naprawdę nie powinienem był mówić tego, co powiedziałem. Tato, naprawdę mi przykro. Przepraszę go, i przepraszam również ciebie. Wiem, jak bardzo nie lubisz takich rzeczy.

Proszę bardzo. Chłopiec popełnił błąd i przepraszał wszystkich zainteresowanych. Dooley jest człowiekiem, na litość boską, na co jeszcze czeka? Aż jego syn zostanie kanonizowany? Nadszedł już czas.

Wypuścił powoli powietrze, tak jak uchodzi ono z przebitej opony.

— Usiądźmy, synu. Usiądź na fotelu z wysokim oparciem.

— To twoje miejsce.

— Nie. Teraz jest twoje.

— Chce tato, żebym usiadł teraz czy może najpierw poszedł i zrobił to, co powinienem zrobić wobec Blake'a?

— Idź najpierw do Blake'a i wróć tu szybko, mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Nie mógł już czekać ani chwili dłużej; oczekiwanie się skończyło. Ale od czego ma zacząć? Odbiwał tę rozmowę tysiące razy w swoich myślach...

Usiadł i pomodlił się i patrzył przez okno, drapiąc psa za uszami.

Dooley wrócił i widać było, że rozmowa z Blake'em przyniosła mu ulgę.

— Zniósł to całkiem dobrze; wie, że nie jest łatwy we współżyciu. Gdyby tylko zechciał posłuchać...

— Czy chciałbyś mieć swoją własną praktykę, gdy skończysz szkołę?

Dooley usiadł i spojrzał na zegarek.

— Ktoś musiałby mi chyba zapisać milion dolarów... Dooley spojrzał na niego, uśmiechając się.

— Nie patrz na mnie, przyjacielu. Z pewnością nie jestem właściwą osobą. Chciałbyś mieć praktykę w Meadowgate? Hal przechodzi na emeryturę za pięć lat, zaledwie na rok wcześniej, zanim ty skończysz studia.

— Meadowgate byłaby, tak jakby, ziszczeniem moich marzeń. Jest idealna, jest wszystkim, czego kiedykolwiek mógłbym pragnąć, ale potrwa wiele lat, zanim zarobię pieniądze, żeby...

— A co, gdybyś miał pieniądze, żeby ją kupić? Dlaczego zadawał te pytania? Dlaczego nie mógł od razu przejść do rzeczy? Tak długo trzymał to w tajemnicy, że miał trudności ze zdradzeniem prawdy.

— No tak — przyznał Dooley — ale nie wiem nawet, za ile Hal chciałby ją sprzedać. Prawdopodobnie, jak tato myśli, pół miliona? Trochę o tym czytałem, ale...

Dooley spoglądał na niego podejrzliwie, był nawet jakby trochę zdenerwowany.

— Dlaczego o tym mówimy?

— Ponieważ Hal planuje zostawić sobie dom i ziemię, przypuszczam, że sprzedałby praktykę za niecałe pół miliona. Może trzysta albo czterysta tysięcy za interes i dwa hektary. I gdybyś chciał, Hal mógłby zostać konsultantem. Ale tylko, gdybyś chciał.

— No i mógłbym zwolnić Blake'a. Miło pomarzyć. Dooley spojrzął na zegarek.

— Opowiem ci o jednym marzeniu panny Sadie. Marzyła, żeby pewien Dooley Barlowe stał się wszystkim, do czego jest zdolny, żeby stał się wszystkim, do czego powołał go Bóg. Wierzyła w ciebie.

Dooley poczuł mrowienie w koniuszkach palców; serce wikarego waliło jak młotem.

— Zapisła ci sumę, która wkrótce wyniesie dwa miliony dolarów.

Zastanawiał się przez lata, jak będzie się czuł, wypowiadając te słowa.

Zapadła długa chwila ciszy. Dooley miał trudności ze złapaniem oddechu; ojcu Timowi wydawało się, że chłopiec zemdleje.

— Przepraszam. — Dooley wstał i wybiegł z biblioteki.

— Nie wyglądasz za dobrze — powiedział ojciec Tim do Dooleya, gdy ten wrócił. — Co się stało?

— Zwymiotowałem.

— Całkiem zrozumiałe.

Dooley opadł na fotel, oszołomiony.

— Co myślisz? — ciekaw był ojciec Tim.

— Nie jestem w stanie myśleć. W ogóle. Nie żartuje sobie tato, prawda?

— Nie żartowałbym nigdy, gdy w grę wchodzi takie sumy.

— Szkoda, że nie mogę jej podziękować. To znaczy, dlaczego to zrobiła? Byłem zaledwie małym, chudym dzieciakiem, który sprzątał jej strych i wynosił popiół. Dlaczego to zrobiła?

— Nie umiem ci tego lepiej wytłumaczyć. Wierzyła w ciebie.

— Ale dlaczego?

— Może dlatego, że mężczyzna, którego kochała, był takim samym chłopcem jak ty — ze wsi, który próbował dojść do czegoś w życiu sam; był inteligentny, bardzo inteligentny, ale nie miał znikąd żadnej pomocy. Tak się składa, że Willard Porter odniósł sukces, mimo wszystko, tak jak powiodłoby się i tobie. Ale ona chciała, żebyś miał pomoc.

Do oczu Dooleya napłynęły łzy.

— A niech mnie.

— Masz ochotę wyjść na podwórko i krzyknąć — albo coś takiego?

— Mam ochotę... — Dooley odwrócił wzrok.

— Masz ochotę?

— Mam ochotę wybuchnąć płaczem.

— Proszę bardzo — zgodził się. — Popłaczę z tobą.

Cynthia zapukała delikatnie i otworzyła drzwi.

— Czuję to. Wiesz. Dooley wstał.

— No. Tak, madam.

— I obydwaj płaczecie z tego powodu? Ojciec Tim pokiwał głową, wycierając oczy.

— Ale z was osły. — Podeszła do Dooleya, przytuliła go, przyciągnęła w dół jego głowę i pocałowała go w policzek. — Pamiętaj o mnie, gdy się zestarzeję.

Dooley zachichotał. Atmosfera w pokoju się rozładowała. Ojciec Tim schował chusteczkę do kieszeni. Zaczęła się nowa era.

## Rozdział dwudziesty

### Żywy ogień

Kaznodzieja z kościoła baptystów Green Valley wyszedł na drogę, niosąc pudełko wypełnione metalowymi literami. Jego pies, Malachiasz, podążał za nim.

Kaznodzieja przesłonił oczy i spojrzął na południowe niebo. Po suchym czerwcu i lipcu dolina zaznała ulewnych deszczy we wrześniu. Rynny ledwie nadążały odprowadzać wodę! Ale od początku października ponownie stopniowo robiło się coraz bardziej sucho i nie zanosilo się na nowe opady.

Według niego ludzie popełniali błąd, czekając, aż brak wody przerodzi się w suszę i zaczną o niej pisać gazety. W tę niedzielę, za dwa dni, dołączy do intencji modlitwę o deszcz, nawet jeśli niektórzy uznają tę prośbę za przedwczesną.

Wyjął wszystkie czarne litery Sans Serif z napisu i wrzucił je do przegródek w metalowym pudełku.

Zmienił plany co do napisu, który zamierzał ułożyć. *Ćwicz codziennie, kroc z Bogiem* — tak brzmiało przesłanie, które miał na myśli. Potem zmienił zdanie, do czego miał pewne prawo, ponieważ modlił się w tej sprawie. Ten napis będzie głębszy, można powiedzieć, bez humorystycznego akcentu. Na pewno jedna czy dwie osoby zwrócą mu uwagę, ale zawsze jedna czy dwie osoby zwracały mu uwagę.

Zachichotał, pochylając się nad pudełkiem i wybierając literę M.

— Malachiasz, czy nadal wychwytyjesz błędy w pisowni?

Jego pies nie odpowiedział.

— Napisanie ostatniej księgi Starego Testamentu musiało cię zmęczyć; wygląda na to, że powiedziałeś wszystko, co miałeś do powiedzenia.

Zanurzył dłoń i wyciągnął I.

— Chciałem ci powiedzieć, że zwróciłem szczególną uwagę na to, co wyłożyłeś w trzecim rozdziale. „Wówczas mówili między sobą ludzie bojący się Boga, a Pan uważał i to posłyszał. Zapisano to w Księdze Wspomnień przed Nim na dobro bojących się Pana i czczących Jego imię”.

Wybrał Ł.

— Byłoby miło, gdyby moje imię znalazło się w Jego Księdze Wspomnień; a ty też byś tego chciał?

Po chwili otarł ociekającą potem twarz i cofnął się trochę, żeby zobaczyć efekt swojej dotychczasowej pracy. MIŁOŚĆ TO

Malachiasz przewrócił się na bok i zasnął; świerszcze cykały w suchej trawie. Niecały kilometr w górę od kościoła Green Valley kapusta, gorczyca i karpień radziły sobie pośród dyń, cebuli i kabaczków w ogrodzie

Sammy'ego Barlowe'a. Zasilany wodą ze stawu żółty zraszacz polewał swoje jesienne królestwo, podczas gdy zapach owczego nawozu unosił się w powietrzu, parując z nawiezionych grządek.

Na Wilson's Ridge Lloyd Goodnight i Clarence Merton wiercili otwory na śruby pod okapem kościelnego dachu, na którym miał zawisnąć w niedzielę rano malowany baner. Warkot wiertarki niósł się echem po okolicznych lasach; Agnes słyszała go w budynku szkoły, gdzie polerowała mosiężne flakony na ołtarz.

W nawie Cynthia Kavanagh, Dooley Kavanagh, Sammy Barlowe, Sparkle Foster, Rooter Hicks, siostry McKinney, Clarence Merton, Lloyd Goodnight i ich wikary zbliżali się do końca trwającego od kilku godzin, pierwszego, dorocznego, wielkiego woskowania w Holy Trinity. Ambona, ołtarz, balustrada wokół ołtarza, cztery drewniane składane krzesła i każda ławka poddawane były energicznemu polerowaniu pszczelim woskiem.

— Mam nadzieję, że nikomu nigdy nie przyjdzie do głowy woskować podłogi — wyraziła swoją nadzieję panna Martha. — Prawo powinno zabraniać woskowania podłogi w kościele.

— Prawo powinno zabraniać — powtórzyła panna Mary.

— Bess Sawyer zawsze siedziała w ostatniej ławce u metodystów, ale jednego ranka po woskowaniu podłogi przeleciała tuż obok mnie i wylądowała przed amboną. Myśleliśmy, że pan Greer wezwał parafian do wyznania wiary.

Clarence zadeklarował, że odkręci oświetlenie na suficie, wyrzuci insekty i przykręci je ponownie; Rooter zadeklarował, że potrzyma drabinę. Wszyscy byli zdania, że insekty są wiekowe.

— Mogę tylko siedzieć i rozmawiać — stwierdziła Granny, którą do przyjścia skusił towarzyski aspekt robót.

Oparła stopę, która nadal jej doskwierała, na klęczniku.

Roy Dale i Gladys siedzieli obok niej, żując gumę i przyglądając się, jak wszyscy uwijają się jak pszczoły w ulu. Granny przyjrzała im się dokładnie.

— Jesteście, dzieci, strasznie brudne. Lepiej wykąpcie się, zanim przyjdziecie tu w niedzielę.

— Myję się pod wodospadem.

— To dobre miejsce. Ja też myłam się pod wodospadem kilka razy w życiu. Rzecz w tym, czy używacie mydła?

— Nie mamy mydła.

— Pojedziecie ze mną, gdy pan Goodnight zabierze mnie i Rootera do domu. Dam wam kostkę.

Brak odpowiedzi.

— Powiedźcie: dziękuję.

— Dziękuję.

— Bardzo proszę.

— Hej, R-Rooter, jaki z-znak po-pokażesz w niedzielę?

— Nie mogę pokazać, to tajemnica.

Rooter wydawał się dumny, że go zapytano, i jeszcze bardziej dumny, że nie wolno mu było zdradzić tej informacji.

Ojciec Tim postawił swój pojemnik z woskiem i szmatkę na ławce i zaczął bawić się drzwiczkami od piecyka. Otworzył je, potem zamknął, otworzył i znowu zamknął. Rozklekotane! — pomyślał, ale to przywilej czegoś tak wiekowego.

— Już takich nie robią — podzielił się swoją obserwacją z kimkolwiek, kto mógł go usłyszeć.

Robotnik z doliny pracował z Clarence'em przez dwa dni, żeby zainstalować ponownie wielkiego żelaznego kolosa, a wikary Holy Trinity stanął na wysokości zadania i osobiście go naoliwił, tak że on sam był cały czarny. Następnie on, instalator, Clarence i Agnes napili się razem herbaty i przeprowadzili próbę, rozpalając ogień w wybrzuszonym palenisku pieca.

Wyszli nawet na zewnątrz, żeby zobaczyć, jak dym z hikory unosi się z komina jak z lokomotywy. Porwany przez jesienny wiatr, zniknął nad wąwozem.

— Dobrze ciągnie — ocenił instalator.

Ojciec Tim odetchnął głęboko, aż oszołomiony zapachem, który przeniósł go w czasy wczesnego dzieciństwa. W istocie, stary piec będzie ich kadzielnicą.

Cynthia pojechała do domu czerwoną półciężarówką z Dooleyem i Sammym, z których każdy pachniał pszczelim woskiem; wikary skręcił w lewo przy strumieniu, kierując się do Lambert.

— Hej, tato.

— Hej, synu. Co słyszeć?

— Nie przyjedziemy na kolację. Lace i ja zabieramy Sammy'ego i dzieci na pizzę i do kina.

— Szkoda. Ominie cię potrawka z okry.

— Naprawdę niezmiernie żałuję. Cieszę się, że używasz telefonu komórkowego.

— Dobrze dołączyć do reszty ludzkości.

Nie wspomniał, że używa go głównie po to, żeby porozmawiać z Dooleyem i może ze cztery razy zadzwonił do Cynthii, gdy załatwiał sprawy w Mitford.

— Bądźcie ostrożni, gdy będziecie wracać z Sammym do domu, pamiętasz ten odcinek przy...

— Tak.

— Czy już wiemy, czy Lace będzie z nami na Boże Narodzenie?

— Tak, proszę taty. Harperowie zdecydowanie muszą pojechać do Dallas na trzy dni; chciałaby zatrzymać się u nas, jeśli to nadal możliwe.

— To wspaniale. Lepiej uważaj, jak będziesz jechał tą czerwoną półciężarówką, widziałem kilka policyjnych wozów zaparkowanych w krzakach na...

— Rozumiem, tato.

— Kochamy cię, stary.

— Ja też was kocham.

Wyciągnął nogi, rozkoszując się ciepłem z kuchennego kominka, które ogrzewało mu, jak mawiał jego tato, stopy po skarpetki.

Ach, ten spokój, który bierze się z dobrze wykonanej pracy — Holy Trinity jest gotów na wielkie wydarzenie; wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. A ponieważ napisał kazanie w środę, zasłużył sobie na niczym nie skrepowaną swobodę w sobotę.

— Teraz, gdy już skończyłaś kalendarz, Kavanagh, może wpakujemy się jutro w jakieś tarapaty?

— Już od wieków nie wpakowałam się w żadne tarapaty. Bardzo chętnie!

— Jakie tarapaty cię interesują?

— Może... coś związanego z antykami. Bardzo chciałabym znaleźć mały stolik z szufladą do postawienia przy twoim fotelu w domu. Moglibyśmy pojechać do Mitford i zobaczyć, co ma u siebie Andrew. Albo moglibyśmy pójść do lasu i posłuchać gałęzi, jak łamią się pod nogami, i znaleźć wodospad, o którym mówiła nam Granny.

— Zajmę się wszystkim. Półciężarówka czy samochód?

— Półciężarówka.

— Rano, po południu czy cały dzień?

— Cały dzień.

— Lunch w koszyku czy w restauracji?

— W koszyku.

— Załatwione. Okra dobrze pachnie.

— Cała jest twoja, kochanie.

Jego żona nawet nie dotykała się potrawki z okry. Uważał za swój święty obowiązek zjeść wszystką okrę, którą zasadził Sammy i którą zamroziła Lily — a starczy jej na pewno do marca, jeśli będzie konsekwentny.

Cynthia otworzyła drzwiczki piekarnika i sprawdziła piekącego się kurczaka; aromat rozmarynu i cytryny rozniósł się w powietrzu.

— Zostawiłeś mi do przeczytania list Hope, ale byłoby jeszcze lepiej, gdybyś przeczytał mi go na głos.

Podszedł do stołu, na którym zostawił list.

— Przy okazji, Timothy, już od wielu dni coś ukrywasz; widzę to po tobie.

— Czyżby?

Usiadł i wyjął złożone kartki z błękitnej koperty.

— Nie sądzę, że jest jakiś sposób, aby udało mi się to z ciebie wydobyć, mam na myśli tę twoją tajemnicę.

Roześmiał się.

— Masz absolutną rację, że nie sądzisz.

— „Drogi Ojciec Timie i Cynthio...

Gdy poprosiłam gospodynię o papeterię, powiedziała mi, że prawie nikt nie pisze listów ze swojego miesiąca miodowego. Tak, odparłam, ale osoby, do których piszę, dały mi mojego męża i księżyc i gwiazdy. W takim razie to wszystko tłumaczy, odparła i uśmiechnęła się.

Scott i ja nigdy nie będziemy w stanie wyrazić w pełni naszej wdzięczności, ale ślubujemy, że będziemy próbowali to robić w nieskończoność.

Nasz ślub dał nam wszystko, czego pragnęliśmy, i jeszcze dużo więcej. Słodycz Holy Trinity na zawsze pozostanie w naszych sercach i piękno gór, przybranych tak bogato i w swoje najcudowniejsze barwy, nigdy nie zatra się w naszej pamięci.

Słyszałam, że panny młode często nie pamiętają, co działo się podczas uroczystości! Ja jednak pamiętam tak żywo, jak pachniał kościół zapachem mchu i wosku pszczelego, jabłek i cedru. Nadal pamiętam miękkość dywanu pod moimi stopami, gdy szłam do ołtarza, i dotyk Scotta na mojej dłoni, gdy klęczeliśmy razem. I pamiętamy głos ojca, odmawiającego tę prostą modlitwę, która zdaje się zawierać w sobie całą dobroć i łaskę życia.

Pobłogosław, Panie Boże, tę obrączkę, aby ten, który ją ofiaruje, i ta, która ją przyjmuje, zamieszkali w Twoim pokoju i cieszyli się Twoją łaską, do końca ich życia, przez Jezusa Chrystusa, naszego Boga.

Potem zjedliśmy ciasto, o którego upieczenie poprosił ojciec Esther — to było najwspanialsze ciasto pod słońcem! I było tak cudownie, gdy opatuliliśmy się naszymi płaszczami i wyszliśmy pod murek ze wszystkimi, którzy są nam tacy drodzy, aby podziwiać błądy róż zachodzącego słońca i pić szampana i śmiać się, i płakać, i znowu się śmiać. Potem ruszyliśmy, absolutnie zaskoczeni, że ktoś naprawdę przywiązał puszki do zderzaka naszego samochodu!

Laura Ingalls Wilder powiedziała, że koniec końców to właśnie te słodkie, zwyczajne rzeczy w naszym życiu są prawdziwe.

Nasze serca przepelnia wdzięczność za ojca słodki i prosty skarb hojności i przyjaźni. Niech ojciec nadal doświadcza Jego łaski i przychylności.

Scott i Hope.

PS: Przesyłamy spóźnione życzenia szczęścia z okazji rocznicy ślubu. Właśnie zdałam sobie sprawę, że w zeszłym miesiącu minęło osiem lat od chwili, gdy byłam świadkiem, jak ojciec podejmuje ten sam, wyjątkowy, krok!

PPS: Vermont jest fascynujący.

— To bardzo szczęśliwy list! — zachwyciła się jego żona.

— Chciałem cię zapytać... Czy zauważyłaś, że siostra Hope, Louise, przy całej swej nieśmiałości, najwyraźniej znajdowała wspólny język z George'em Gaynozem? I vice versa, mógłbym dodać.

— Rzeczywiście, zauważyłam. Uśmiechnął się.

— Wielkie nieba — zawołał.

<Drogi Stuarcie

<Jak wiesz, wybierałem niewielkie sumy z Twojego specjalnego funduszu dla Holy Trinity (na klęczniki i takie tam) i przypominam sobie, że mówiłeś, że można dostać więcej, jeśli będzie taka potrzeba.

<Wydaje mi się rozsądne, abym potwierdził to u Ciebie (raczej niż niepokoił nowego biskupa), jako że mam coś do oznajmienia w niedzielę. Marzy mi się pewien projekt, który znacznie uszczupliłby pozostałą kwotę. Czy mógłbyś mi dać znać jak najszybciej, czy ten plan cieszyłby się błogosławieństwem skarbnika?

<Po raz kolejny wielka hosanna czerwca była niezapomniana. Nie powiedziałem ci tego, co stwierdziła Cynthia, że stojąc obok naszego nowego biskupa, wyglądałeś jak istny Tom Sawyer. Jestem pewien, że czas spędzony na wyspach odjął ci całą dekadę. W każdym razie, Ty i wszyscy związani z wielką hosanną dostarczyliście nam najwspanialszych przeżyć w odnotowanej historii naszej diecezji.

<Niech Bóg obdarzy Ciebie i Marthę wieloma latami zdrowia, szczęścia i pomyślności.

<Będę Cię informował na bieżąco, oczywiście. Modlę się za Ciebie nieustannie.



<Timothy

Nieomal na godzinę przed nabożeństwem na terenie kościoła zastali z Cynthią ludzi, opatulonych w płaszcze i kurtki. Niektórzy siedzieli na murku, inni spacerowali dookoła, podziwiając widok.

Poczuł zapach dymu z drewna, gdy wysiedli z półciężarówki. Spojrzał w górę, upewniając się, że baner znajduje się na swoim miejscu.

*Kościół Episkopalny Holy Trinity, rok zał. 1899*

*Spotkanie Pokoleń, 28 października*

*Witamy wszystkich i każdego*

Nie było to nic wyszukanego, ale jeśli wikariusz zapragnie niedogodności corocznej fety, ten baner wygląda tak, jakby miał przetrwać Sfinksa.

— Paul Taggart — przedstawił się jowialny jegomość, robiąc krok i podając dłoń.

— Timothy Kavanagh. Pan zapewne jest krewnym Ala Taggarta, który wykonuje niektóre prace polowe dla sióstr McKinney?

— Ta sama rodzina, inna gałąź. Ja jestem z okolic Lambert.

— Cieszymy się, że pan do nas dołączył, Paul. Moja żona, Cynthia.

— Miło mi panią poznać. Moja babcia i dziadek chodzili do tego kościoła... już nieomal zapomniałem o tym miejscu. Tam stoi kilku moich kuzynów, moja żona oraz dzieci.

— Wejdziemy do środka, wystroimy księdza i zaraz wracamy — przeprosił gościa wikary.

— Modłę się, żeby starczyło nam jedzenia — szepnęła Cynthia — już nie mówiąc o miejscach do siedzenia.

Flakony na ołtarzu świeciły się, okna błyszcząły, piec łagodził październikowy chłód.

Śpiesząc do zakrystii, przywitali Lloyda i Violet, którzy właśnie zamierzali postawić przyniesiony przez nich poczęstunek na wspólnym stole.

— Kalifornijski pudding Nana! — obwieściła Violet, która wyglądała tak, jakby właśnie wygrała na loterii.

— Dość dla całego pułku!

— Ja zaś przyniosłem fasolę w sosie pomidorowym — pochwalił się Lloyd. — Chce ojciec, żebym uruchomił ekspres z kawą po komunii?

Uniósł do góry kciuk w geście aprobaty.

Cynthia pomogła mu nałożyć przez głowę białą albę.

— Chciałem ci powiedzieć — zaczął. — Wyglądasz cudownie w tej sukience.

— Dziękuję, ojcze. Pragniemy się podobać. — Zapięła mu koloratkę i nałożyła stułę wokół szyi.

— Szaleję za tobą, Kavanagh. Pomogła mu nałożyć zielony ornat.

— Ja też za tobą szaleję.

Uśmiechając się, przepasała go, wygładziła mu dłońmi zmierzwiłone włosy i obrzuciła go aprobującym spojrzeniem swoich szafirowych oczu.

Krew zaczęła mu szybciej krążyć. Zdecydowanie szybciej.

*Jak miłe są przybytki Twoje, Panie Zastępów!*

*Dusza moja usycha z pragnienia i tęsknoty*

*Do przedśionków Pańskich.*

*Moje serce i ciało radośnie wołają*

*Do Boga żywego...*

Prowadząc procesję, ubrany w nową czarną szatę i białą komżę, Clarence Merton niósł krzyż, który wyrzeźbił z przewróconego dębu. Za nim środkiem kościoła postępował chór — Violet O'Grady, Lloyd Goodnight i Dooley Kavanagh — również ubrani w odświętne szaty.

*Nawet wróbel dom sobie znajduje*

*i jaskółka gniazdo,*

*idzie złoży swe pisklęta:*

*przy Twoich ołtarzach, Panie Zastępów,*

*mój Królu i mój Boże!*

*Szczęśliwi, którzy mieszkają w domu Twoim,*

*Panie, nieustannie Cię wychwalają...*

Odziany w szaty, przerażony tak, że było mu niedobrze, i z ulizanymi na płasko włosami, ministrant Rooter Hicks postępował za chórem.

*Szczęśliwi, których moc jest w Tobie,*

*którzy zachowują ufność w swym sercu.*

*Przechodząc dolinę Baka,*

*przemieniają ją w źródło,*

*a wczesny deszcz błogosławieństwem ją okryje.*

*Z mocy w moc wzrastać będą:*

*Boga <nad bogami> ujrzą na Syjonie...*

Wikary Kavanagh pochylił się przed krzyżem nad ołtarzem, po czym dołączył do chóru przy pianinie, śpiewając z całych sił.

Przywitał serdecznie nowo przybyłych, zaprezentował nieco kościelnej historii, zaprosił wszystkich, aby zostali na kolację przed kościołem, i przeszedł szybko do kolejnych punktów programu.

Podczas wszystkich swoich lat jako ksiądz przeżył niewiele niedziel niosących ze sobą tyle obietnic, obietnic tak absolutnie pełnych, jak — miało się okazać — dzisiejsza.

— Biuletyny kościelne zostały wydrukowane w piątek, dużo wcześniej, zanim otrzymałem pewną ekscytującą wiadomość, wiadomość, która dotyczy całej naszej parafii — wiadomość, która w istocie sprawia, że radują się aniołowie w niebie.

Dodajcie do tego jeszcze jeden dowód na łaskawość Boga wobec Holy Trinity i śmiem twierdzić, że spokojna lektura biuletynu będzie bardzo trudna.

Zdjął okulary i spojrzał na swoją kongregację; poczuł, jak na twarz wypływa mu uśmiech.

— Krótko mówiąc, przygotujcie się na najlepsze! Kilku członków kongregacji spojrzało na swoich sąsiadów z ławki ze zdziwieniem.

— W piątym rozdziale listu świętego Jakuba Bóg wzywa nas, abyśmy wyznawali sobie nawzajem grzechy. W trzecim rozdziale Ewangelii według świętego Mateusza czytamy: „Wówczas ciągnęły do niego”, to znaczy do Jana Chrzciciela, „Jerozolima oraz cała Judea i cała okolica nad Jordanem. Przyjmowano od niego chrzest w rzece Jordan... wyznając swoje grzechy”.

Zawsze cenilem ideę spowiedzi i w moim zawodzie doświadczam się tego dość często. Ale ten pomysł wyznawania sobie grzechów nawzajem to coś zupełnie innego. W istocie, obejmuje on coś więcej niż tylko księdza i modlącego się; oznacza wyznanie grzechów społeczności, w przymierzu świętych.

Gdy wyjechałem z Holy Trinity w piątek, byłem w drodze do domu. Ale Bóg skierował moją półciężarówkę w innym kierunku.

Pojechałem zobaczyć się z kimś, kogo pokochałem, tak jak pokochałem wielu z was, odkąd przybyłem na Wilson's Ridge.

Rozmawialiśmy i widzieliśmy się kilka razy i widziałem, że jego dystans do Boga utrudnił porozumienie zarówno z jednej, jak i z drugiej strony. Zawsze jednak obawiałem się zadać mu proste pytanie.

Tym razem się nie zaważałem. Zapytałem go, czy odmówi prostą modlitwę, która zmieni wszystko.

Jego oczy błędziły po wypełnionych ławkach oraz ludziach siedzących na składanych krzesłach wzdłuż nawy. Był tam Jubal. I wszyscy Millwrightowie. I Robert, i Dovey, i Donny, i Ruby Luster z Sissie na kolanaach...

— Oczywiście, myśl, że wszystko w naszym życiu się zmieni, jest przerażająca. Nawet jeśli to, co trzeba zmienić, jest trudne i brutalne, niektórzy z nas i tak trzymają się tego kurczowo, ponieważ jest znajome. W istocie, nasz brat trzymał się kurczowo... ale to nie działało.

W naszej pieśni dzisiejszego ranka śpiewaliśmy: „Szczęśliwi, których moc jest w Tobie, A Twoje ścieżki są w ich sercu. Przechodząc doliną Baka, Przemieniają ją w źródło”. Gdy postanowimy iść razem z Nim przez dolinę Baka, On będzie naszą wodą życia. Nie tylko będzie nas żywił, ale również obdarzy nas łaską, abyśmy, jak mówi ta piękna pieśń, wciąż w siłę wzrastali.

Za chwilę przeżyjemy radosny chrzest, pierwszy, odkąd Holy Trinity otworzyło ponownie swoje drzwi po czterdziestu latach. W ramach nabożeństwa i ceremonii chrztu świętego nasz brat poprosił, aby mógł dzisiaj dokonać przed nami wszystkich wyznania grzechów.

Zanim go poproszę, chciałbym wyrecytować prostą modlitwę, którą on odmówił, podobną do tej, którą ja sam odmówiłem... na długo po ukończeniu seminarium.

Jest to modlitwa, którą wy również możecie zechcieć odmówić w ciszy własnego serca. I gdy będziecie znowu iść doliną Baka, jak wiele razy czyniliście to samotnie, On będzie tam, gotów przejść przez nią razem z wami. A to jedynie początek wszystkiego, co czeka tych, którzy w Niego wierzą.

Pochylił głowę, podobnie jak większość kongregacji.

— Dziękuję Ci, Boże, za to, że mnie kochasz. I za to, że posłałeś swojego Syna, żeby umarł za moje grzechy. Szczerze za nie żałuję i przyjmuję Chrystusa jako mojego Zbawiciela. Teraz, jako Twoje dziecko, zawieram Ci całe swoje życie.

— Amen.

— Robercie Cleveland Prichard, czy staniesz przed nami?

Robert ruszył wzdłuż zatłoczonej nawy, drżąc. Nogi miał jak z waty i wydawało mu się, że krew przestała mu krążyć.

Stanął obok ambony i otworzył usta, ale zamiast słów, popłynęły mu łzy. Od dwóch dni tego właśnie bał się najbardziej. Odwrócił się na chwilę, potem znowu spojrzął na ludzi.

— Chciałbym wam wyznać... — zaczął.

W nawie zapadła grobowa cisza. Robert uniósł prawą rękę.

— ...przed Bogiem... że ja tego nie zrobiłem.

Ojciec Tim spojrzął na pannę Marthę i pannę Mary, które obydwie zapomniały zamknąć usta. Zobaczył Lace, pochłoniętą tym, co się właśnie działo; była też Agnes, biała jak ściana...

— Nie mogę wchodzić w szczegóły wszystkiego na temat mojego dziadka, bo są tu małe dzieci. Ale w piątek wieczorem zrobiłem coś z pomocą ojca Tima, co, jak mi się wydaje, chciałem zrobić, ale nie wiedziałem jak. Zawierzyłem wszystko Jezusowi Chrystusowi, tak jak powinienem był to zrobić, gdy mój kolega mówił mi o tym w więzieniu.

Wszystko, co mogę powiedzieć, to że to dobre. To jest dobre.

Robert kiwnął głową, jakby sam do siebie.

— Dziękuję wam.

Spojrzał spokojnie w oczy ludzi, którzy siedzieli w nawie.

Agnes Merton wstała i razem z Dooleyem podali ojcu Timowi liczącą sto lat misę, do której nalał z dzbanka wodę ze strumienia.

Słysząc było odgłos drewna przewracającego się w piecu; coś na podobieństwo głębokiego, zbiorowego westchnienia ulgi uniosło się znad ławek.

*Moja wiara ku tobie się skłania,  
Baranku Kalwarii, Zbawco boski!  
Usłysz mą modlitwę,  
Zmyj moje winy;  
Ach, pozwól, bym od dziś  
Twój w całości był.  
Niech twa hojna łaska  
Siłę słabemu sercu memu da,  
Niech gorliwość wzbudzi;  
Jak za mnie umarłeś,  
Niech moja miłość dla ciebie  
Czysta, gorąca i niezmienna będzie  
Żywym ogniem...*

W porze ogłoszeń parafialnych i bez sugerowania, na co się zanosi, ojciec Tim przedstawił Lloyda Godnigha i Clarence'a Mertona.

Obydwaj mężczyźni zajęli miejsca przy ambonie.

Lloyd odchrząknął, zarumienił się i poprawił kołnierzyk koszuli. Zupełnie zapomniał sprawdzić rozprek, a teraz było już za późno.

— To będą dwie kabiny, jedna dla pań, druga dla panów, półtora na dwa metry, z umywalkami i wszystkim.

Wyjął zapiski z kieszeni, studiował je przez chwilę i ponownie zwrócił się do kongregacji.

— Ja i Clarence będziemy waszymi budowniczymi. Poprowadzimy rurociąg do źródła, tak jak w budynku szkoły. Będziemy mieć dach z blachy i cementową płytę, i naprawdę dobrą wentylację.

— Dziękujemy wam.

Kongregacja wstała jak jeden mąż i zgotowała gorący aplauz.

Rooter nieomal czuł, jak jego włosy wysychają pod koniec pierwszej pieśni. Nie wiedział, w którą stronę mogą mu sterczeć, ponieważ Granny obcięła je brzytwą. Nie mógł jednak o tym myśleć, właśnie dostał znak od ojca Tima i miał teraz zadanie do wykonania.

Stanął najbliżej wikarego, jak tylko mógł, dla bezpieczeństwa — chociaż nie był pewien, co mu grozi — i wykonał znak, którego się nauczył w tym tygodniu od Clarence'a.

— Patrzcie na Rootera — wezwał wikary.

Rooter uczynił znak, który składał się z trzech odrębnych ruchów, trzy razy. Dołożył starań, aby wykonać znak wolno.

— Teraz nasza kolej.

Jednym od razu się udało, innym zaś przychodziło to z trudnością.

— Jaki znak ćwiczymy, Rooter?

— Bóg... nas... kocha! — wykrzyknął Rooter. Nie chciał krzyczeć. Zrobił się czerwony jak burak.

— Amen! — rzucił ktoś z tylnego rzędu.

— Proszę, abyście zwrócili się tym znakiem dzisiaj do kogoś — powiedział do całej kongregacji ojciec Tim.

— I zróbcie to tak, jakbyście naprawdę tak myśleli, bo On tak myśli. Zaprawdę, chciałbym was poprosić, abyście pozwolili sobie... na to, żeby uwierzyć, w głębi waszej duszy, że...

Przyglądał się uważnie twarzom, podczas gdy razem z Rooterelem wykonywali ten znak.

— ...Bóg... nas... kocha.

— Amen.

— Amen!

Kiwnął głową do Sparkle oraz chóru. Clarence wziął krzyż.

*Błogosławiona więź, co w miłości*

*Chrześcijańskiej nasze serca wiąże;*

*Braterstwo pokrewnych dusz*

*Jak to, które nad nami.*

*Przed tron naszego Ojca*

*Zanosimy żarliwe modlitwy;*

*Nasze obawy, nadzieje i cele są jedno*

*Nasze pociechy i nasze troski,  
Dzielimy się naszymi smutkami,  
Razem niesiemy nasze ciężary;  
I często dla drugiego  
Płynie nasza łza współczucia...*

Deszcz zaczął padać o zmierzchu.

Szybko przybierał na sile i wkrótce przemienił się w ulewę, napełniając wysuszone koryta rzek i zmuszając bydło do poszukiwania schronienia pod drzewami i wiatami.

Każdy przejeżdżający w tej ulevie obok kościoła baptystów Green Valley zauważyłby prawdopodobnie śmiałe czarne litery na pulpicie przy drodze.

MIŁOŚĆ TO NIEUSTAJĄCY AKT WYBACZANIA

## Rozdział dwudziesty pierwszy

### *Niech stajenka nas zadziwia*

Leżeli w łóżku wieczorem w pierwszą niedzielę adwentu, słuchając Mozarta i jedząc prażoną kukurydzę.

Violet leżała zwinięta na siedzeniu bujanego fotela; Barnaba chrapał na chodniku przy biurku; lodowaty wiatr omiatał dom.

Zauważył, że Cynthia wpatruje się przed siebie od jakiegoś czasu, co mogło oznaczać jedną albo nawet dwie z dwóch możliwych rzeczy. Rozkoszowała się żywo *Symfonią Jowiszową* albo obmyślała kolejną książkę. Miał szczerą nadzieję, że to drugie nie jest nawet dalece prawdopodobne, ale nauczył się, że gdy jego żona już zacznie się wpatrywać przed siebie...

— Szopka noworoczna na żywo — powiedziała.

— Dla Holy Trinity?

— Dla nas wszystkich. Tutaj, w Meadowgate. W kuchni. Po nabożeństwie o piątej w Wigilię.

— Opowiedz mi więcej.

— Zaczynam planować, rozumiesz.

— To zawsze dobre rozwiązanie.

— Dooley i Lace mogliby być Maryją i Józefem.

— Cudownie.

— Ty mógłbyś być pasterzem.

— Byłem pasterzem do twojej książki *Mysz w stajence*.

Pozowałem w tym idiotycznym obrusie na głowie, czy czymś takim. Czy muszę znowu być pasterzem?

— Ale, Timothy, tym właśnie jesteś — pasterzem!

— To szufladkowanie — ocenił.

On sam też musi zaplanować parę rzeczy.

Przekartkował swój notes z cytatami i zaczął robić notatki.

Po pierwsze, musi pojechać do Mitford i zabrać scenkę bożonarodzeniową, nad którą pracował parę miesięcy i którą podarował Cynthii na ostatnie Boże Narodzenie. Cieszył się na myśl, że ujrzy ją ponownie i anioła, którego na powrót skleić z fragmentów.

Lepiej złożyć zamówienie w Sklepie już teraz, skoro i tak tam będzie. Trufle czekoladowe dla sióstr z Domu Nadziei, jak zawsze, i wszystkich ze Szpitala Dziecięcego w Wesley. I przypomnieć Avisowi o specjalnym zamówieniu świeżych ostryg na odlotową zapiekankę z ostrygami jego żony.

Coś czekoladowego z orzechami dla Louelli i powtórka zeszłorocznej szminki z drogerii...

Prezenty dla bliźniaków, już kupione i zapakowane. Odhaczone.

Sammy. Odhaczone. Był osobiście oczarowany ich prezentem dla Sammy'ego. To był wspaniały pomysł, nawet jeśli sam tak twierdził.

Dooley. Czekają, aż przyjdzie płaszcz przeciwdeszczowy i srebrny łańcuszek na klucze. Sweter ponownie zamówiony. Nie cierpiał ponownych zamówień.

Nie miał pojęcia, czy jego trzódka będzie się w stanie zgromadzić na nabożeństwo w Wigilię w Holy Trinity. Jeśli będzie padało, jak niektórzy przewidywali, dotarcie do kościoła może być ograniczone i ryzykowne.

*Daj nam, Panie, swą łaskę do zgromadzenia...*

*Łaska do zgromadzenia*, zanotował. Tytuł kazania.

A co podaruje swojej małżonce od ośmiu lat, jego pokrewnej duszy, jego dużo lepszej połowie?

Zero pomysłu.

Rok temu włożył całe swoje serce i duszę, nie wspominając o melancholii, w odnowienie z górą dwudziestu zniszczonych figurek scenki bożonarodzeniowej.

Jak może wymyślić coś jeszcze lepszego?

Życie z Sammym nie zawsze układało się gładko.

Nie oczekiwał jednak, że tak będzie.

Z pewnością nieomal cowieczorne rozmowy z Dooleyem bardzo pomagały. Bez wątpienia.

Ogród pomógł.

Praca u Williego pomagała.

Wyjazdy do klubu bilardowego Buda Wyzera też przynosiły zdecydowane korzyści, chociaż Sammy nie był zadowolony, że ojciec kręcił się w pobliżu, szczególnie w swojej koloratce.

Przyznając, że jego obecność w barze Buda ogranicza niejako poczucie niezależności Sammy'ego, wikary postanowił wziąć byka za rogi i zrobić coś więcej, niż tylko kręcić się w pobliżu.

Od stycznia sam zacznie się uczyć gry w bilard.

Cynthia była kompletnie zaskoczona.

— Bogu chwała! — zawołała.

Nie miał pojęcia, gdzie jego jankeska żona mogła nauczyć się takich słów.

— Myślałem, że m-modli się ojciec za Kenny'ego, żeby się o-odnalazł.

— Modłę się. Wszyscy się modlimy.

— Nie znalazł się.

— Być może Bóg ma inne plany na życie Kenny'ego. Coś ważniejszego.

— C-co może być ważniejsze od b-bycia z...

— Z rodziną? — Wikary nigdy nie słyszał, aby Sammy używał tego słowa. — Nie wiem. Ale Bóg wie.

— M-może powinien o-ojciec zmienić modlitwę.

— Spodziewam się, że Bóg go przyśle, wierzę, że Bóg go przyśle, ale koniec końców...

— Koniec końców co?

— Odmawiam modlitwę, która nigdy nie zawodzi.

— C-co ona mówi, zapomniałem.

— Niech się dzieje wola Twoja. Tę właśnie modlitwę odmawiał nasz Bóg, gdy wiedział, że zostanie ukrzyżowany, tę...

— I w-widzi ojciec, co się stało? — Sammy wyglądał na mocno zaniepokojonego. — Nie z-zadziało.

— Mamy nadzieję, że Dooley i Lace będą Maryją i Józefem i oczywiście ojciec Tim będzie pasterzem. Ty będziesz doskonałym mędrcelem ze Wschodu i kostiumy będą wspaniałe; sama je zrobię. Mamy nadzieję, że się zgodzisz; naprawdę potrzebujemy, żebyś się zgodził!

Jego żona była świadoma, że obsadzenie tej roli nie przyjdzie jej łatwo.

— Damy mu wszystko, co lubi na kolację, i użyję słowa „potrzebujemy”. Cóż może odpowiedzieć?

— Nie — odparł Sammy.

— Mam wspaniałą myśl.

Siedzieli w kuchni przed buzującym na kominku ogniem. Lloyd twierdził, że nowy komin będzie ciągnął lepiej niż w najlepszych czasach, i wyglądało na to, że miał rację.

— Drzewko zetniemy w lesie w czwartek przed Bożym Narodzeniem. Ty, Dooley, Lace, Sammy, Willie, wszyscy pójdziemy szukać. Co myślisz?

Pamiętał, jak on i Peggy, gospodyni jego mamy, poszli do lasu z wózkiem i siekierą i ścięli, jak im się wydawało, trzynastometrowy cedr. Było to niesamowite osiągnięcie, nawet jeśli drzewko — jak się później okazało — sięgało jedynie do połowy ściany.

— Jak na wiktoriańskiej pocztówce — zachwyciła się jego żona. — I doskonała okazja na gorącą czekoladę w termosie! Kocham ten pomysł!

— Cynthia, Cynthia, czego ty nie kochasz?

— Centrów handlowych o każdej porze roku, szczególnie teraz; szamponu na pchły, który nie robi nic innego, jak tylko przyciąga kolejne tabuny pcheł; i pieczeni, która kosztuje całą fortunę, a po upieczeniu jest sucha jak pieprz.

— Gdy zadaję ci to pytanie, odpowiedź masz zawsze na końcu języka. Jak ty to robisz?

— Nie wiem, przypuszczam, że ona tam po prostu czeka, aż będzie się mogła wydostać na zewnątrz.

— Gdzie postawimy choinkę?

— Przy kanapie w oknie? Jest tam mnóstwo miejsca. Oczywiście, nie będzie jej widać z drogi, wielka szkoda. Uwielbiam, jak choinki świecą się w oknach. Ale to w kuchni mieszkamy.



— Załatwione!

Podszedł do szuflady w piecyku i poszukał taśmy do mierzenia.

— Nasz chłopiec przyjeżdża jutro po południu. Co powiesz na wspólną kolację w Lucerze?

— Hm — odparła jego żona.

— Hm? Nie masz ochoty na wymyślny, drogi obiad?

— Nie, kochanie. I Dooley też by nie miał, ani Sammy, ani ty. Ale dziękuję.

— Bardzo proszę.

Zmierzył głębokość okna i wysokość wnęki.

— Niska i gruba!

Jego żona podniosła wzrok znad książki.

— Nie ty, Kavanagh.

Od czasu do czasu przechadzał się po domu, spoglądając na gipsową bożonarodzeniową scenkę.

Podczas gdy Maryja i Józef czekali cierpliwie na kanapie w oknie, gdzie zostanie umieszczona choinka, pokorny stary pasterz i jego trzódka rezydowali w bibliotece na ławie, a mędrzy i ich zabawny wielbłąd zostali stosownie umieszczeni „z daleka”, w biblioteczkę w salonie.

Dzieciątko leżało w szufladzie biurka, zawinięte w jeden z podkoszulków wikarego, a o jego miejscu pobytu nie wiedział nikt, z wyjątkiem samego ojca Tima.

Nie było w tym nic dziwnego, że był posyłany do Mitford wielokrotnie, aby przywozić różne rzeczy potrzebne na te święte dni: stare prześcieradła na kostiumy, sznur z ogromnych zapasów różności Harleja, świece, koła do kompozycji kwiatowych, wstążkę, papier pakunkowy, pudła na prezenty...

— Towar zdobyczny! — wołał, wyładowując wszystko na stół w kuchni.

— Czy mówiłeś Williemu, że będziemy potrzebować słomy?

— Z tym nie będzie kłopotu, nie ma się o co martwić.

— Chciałabym też, żebyśmy mogli przyprowadzić do domu parę jagniąt — zauważyła jego żona, całkiem serio.

— Chyba zaszliśmy trochę za daleko. Jeszcze trochę, a każesz mi budować mury Betlejem, jako tło.

— Czyż nie byłoby to wspaniałe? — odparła, wyglądając na zainteresowaną.

Gdy jego żona nie pracowała nad książką czy kalendarzem ściennym, stanowiła prawdziwe zagrożenie.

Dwie miski prażonej kukurydzy wędrowały z rąk do rąk uczestników ich małego wieczornego zgromadzenia przy kominku.

— Myślałam, że byłoby cudownie, gdybyśmy coś dodali — obwieściła ich pani reżyser. — Lace, czy przeczytasz nam wiersz w Wigilię?

— Przeczytam!

— Ponieważ cała nasza obsada jest tutaj, z wyjątkiem mędrca, którego bardzo trudno znaleźć w dzisiejszych czasach, pomyślałam, że byłoby dobrze, gdybyś przeczytała nam dzisiaj wieczorem wiersz. Potem, gdy usłyszymy go ponownie w Wigilię, będzie miał świeżą głębię i znaczenie dla nas wszystkich. Jak myślicie?

Lace wzięła książkę, którą podała jej Cynthia; wzrok jej bursztynowych oczu przebiegł po liniijkach.

Odchrząknęła, wzięła głęboki oddech i zaczęła czytać.

*Niech stajenka nas zadziwia;  
Słoma — klepisko, smutne oczy,  
Zakurzone boki osłów, wołu;  
Sypiące się, krzywe ściany;  
Bez łóżka, do ukojenia bólu,  
A potem, dziecko,  
Zawinięte w gałganki, złożone  
W żłóbku, z płaczem.  
Kto by to wybrał?*

Ojciec Tim obserwował, jak płomień z kominka rzuca cienie na twarze tych, których kocha. Bo, która wróciła do zdrowia, chrapała u jego stóp.

*Kto powiedziałby:*

*„Tak. Niech Bóg wszystkich niebios I ziemi  
Zrodzi się tutaj, w tym miejscu?”*

*Kto, jak nie ten sam Bóg  
Który stoi w ciemniejszych, straszniejszych  
konnatach naszego serca*

*I mówi: „Tak.*

*niech Bóg Nieba i Ziemi  
zrodzi się tutaj — w tym miejscu”.*

Zapadła chwila ciszy pełna namysłu. Ogień trzaskał na kominku.

— N-nie rymuje się — stwierdził Sammy.

— Nie każdy wiersz ma rymy — wyjaśnił ojciec Tim. To było absolutnie wszystko, co wiedział na ten temat. — Pięknie, Lace. Masz głos anioła.

— Dobrze by było, gdyby wszyscy zebrali się wokół żłóbka, potem ty wejdiesz do pokoju, przeczytasz wiersz i zajmiesz swoje miejsce w scenie. Jak myślicie? — zwróciła się Cynthia do obsady.

— Wspaniale! — zawołał ojciec Tim.

— Pewnie — zgodził się Dooley.

— Podoba mi się — zawyrokowała Lace. — Czy powinnam po prostu schować wiersz w szatach, potem, i usiąść na beli słomy obok żłóbka?

— Doskonale! — ocenił ich reżyser. — A ojciec Tim uklęknie po prawej stronie Józefa — z Barnabą, oczywiście. Timothy, czy masz laskę pasterską?

— Na górze starej szafki, gotowa do użycia.

— Potem wszyscy zaśpiewamy *Cichą noc*, a Sammy włączy choinkę.

— A kim ty będziesz? — zwrócił się Dooley do Cynthii.

— Ja będę właścicielem gospody.

— To trochę niewdzięczna rola — musi powiedzieć, że nie ma miejsca w gospodzie, przykro mi, idźcie spać do stodoły.

— W interesach nie ma sentymentów. Jeśli ma się gospodę, która jest w całości zajęta, wtedy, cóż, nie ma miejsca. Pomyśl tylko o tych wszystkich ludziach, ciągnących do miasta, żeby zapłacić podatki, biedactwa. A ile gospód mogło tam być? Z pewnością za mało!

— A kto wiedział, że odmawia Królowi Królów? — dodała Lace.

— No właśnie! — wtrącił się wikary, któremu udzieliła się świąteczna atmosfera.

— Oczywiście, nikt nie będzie rozmawiał — uprzedziła obsadę Cynthia.

Dooley wyglądał na przerażonego.

— Tylko... cisza?

— Tak. Wykorzystamy ten czas, aby spojrzeć w głąb siebie, spróbować poczuć to, co oni czuli.

— Skąd możemy wiedzieć, co oni czuli?

— Skąd Lee J. Cobb wiedział, co czuł Willy Loman? Nie był handlowcem, był aktorem. Jeszcze lepszy przykład, skąd John Gielgud wiedział, co czuł Hamlet, gdy zabijał Klaudiusza — pan Gielgud nie był mordercą, był aktorem.

— Cynthia ma rację — przyznał ojciec Tim.

— A niech mnie! — zawołał Dooley. — Musimy to robić? Podobno krowy mówią ludzkim głosem w Wigilię; wolałbym pójść do stodoły i posłuchać, jak mówią.

— P-pójdę z tobą — zadeklarował Sammy.

— Mam pytanie.

— Kocham pytania.

Siedzieli przy małym ogniu w kuchni. Ponieważ Harperowie nie wyjechali jeszcze do Dallas, gdzie przyjaciel ze szkolnej ławy Hoppy'ego miał poddać się operacji mózgu, Dooley zabrał Lace do domu. Sammy oglądał turniej bilardowy w telewizji.

— Kto będzie u nas, żeby mógł być widownią dla naszej szopki noworocznej?

— Nikt, jak mi się wydaje.

Jego żona próbowała naprawić dziurę w jego ulubionym swetrze.

— Ponieważ będziesz odprawiał nabożeństwo, myślałam, że możemy mieć ciche Boże Narodzenie w domu, tylko nasza piątka.

— Wydaje mi się, że to za dużo zachodu, żeby robić to tylko dla nas.

— To może być bardzo poruszające przeżycie.

— Tak — zgodził się — teoretycznie.

Nie wydawało mu się jednak, żeby każdy i wszyscy z tej konkretnej obsady byli w stanie docenić fakt poruszającego przeżycia.

— Może powinniśmy zaprosić parę osób. Bufet lub coś w tym stylu. Willie? Harley?

— Czujesz się na siłach to wszystko zorganizować?

— Zdecydowanie tak. Pomyślmy, jest Blake Eddistoe sam jak palec, chociaż wydaje mi się, że jest w tle jakaś dziewczyna. A jeśli przyjedzie Harley, mógłby przywieźć ze sobą Hélène.

— Tak, a co powiesz na Lona Burtiego? Sammy byłby zadowolony.

— Świetna myśl!

— Przypuszczam, że Louella nie chciałaby wychodzić nocą. Ale możemy ją zaprosić.

— Zdecydowanie! — zawołał. — Ponieważ jest tym, kim jest, jestem pewien, że Dom Nadziei przywiozłby ją w ich specjalnym vanie. I panna Lottie, co powiesz na to, żeby zaprosić pannę Lottie?

— Oczywiście!

Przyjrzała się uważnie kuchni.

— Moglibyśmy przesunąć stół do rogu obok kanapy w oknie, co stworzyłoby otwartą przestrzeń, i wypożyczyć składane krzesła...

Zajrzał do szuflady małego stolika stojącego w pobliżu i wyjął notes i pióro. Zrobi listę.

*Moja Droga Ciociu! Wiem że nie pisałem do Ciebie od wieków ale pamiętasz, jak powiedziałem Ci kiedyś że ani czas ani odległość nie zmniejszą mojego ciepłego uczucia do Ciebie? Mimo że możesz w to wątpić, ta deklaracja pozostaje zdecydowanie prawdziwa. Afryka nie jest dla mięczaków, nie tu gdzie ja byłem.*

*Po latach wędrowania po świecie jestem gotów wrócić „do domu” i dać odpocząć moim znużonym kościom nawet jeśli tylko na chwilę. Jestem niebezpiecznie bliski zostania starym zgreдем. Być może powinienem gdzieś osiąść na stałe i założyć liczną rodzinę — słyszałem że dzieci mogą być wielką pociechą na stare lata!*

*Czy mógłbym zatrzymać się na chwilę u Ciebie zanim się zorganizuję? Tylko przez kilka dni, obiecuję.*

*Wiem że ponownie wyszłaś za mąż — dostałem twój list w poprzednim życiu i to podle z mojej strony że nie odpowiedziałem wcześniej — i jestem zachwycony że tym razem wybrałaś bardzo przyzwoitego faceta (nareszcie!).*

*Przyjadę do Stanów 23 grudnia i zamelduję się pod Twoimi drzwiami następnego wieczoru, jeśli nie będzie to zbyt wielkim kłopotem. Wielkie nieba, właśnie zdałem sobie sprawę, że 24 to Wigilia!*

*Będę miał ze sobą prezenty.*

*Zalączęm mój międzynarodowy numer telefonu komórkowego, pod którym możesz się ze mną skontaktować w każdej chwili. A jeśli ten niezręczny pojawiający się w ostatniej chwili zwiastun mojej wizyty przychodzi nie w porę, schronię się pod innym dachem, nie martw się tym ani przez chwilę.*

*Twój kochający i oddany, nawet jeśli adoptowany siostrzeniec*

*David*

Podawała mu list, promieniejąc.

— David nigdy nie był zwolennikiem przecinków. Gdy skończył czytać list Davida, podała mu kolejny, zanim zdążył skomentować ten, który właśnie przeczytał.

— Prawdziwa klęska urodzaju — stwierdziła.

*Drogi Ojczy, Szanowna Pani!*

*Mama mówi, że powiedziała Wam, iż zamierzam rozpocząć nowe życie w górach Karoliny Północnej.*

*Jeśli nie będzie to zbyt wielkim kłopotem, byłabym bardzo wdzięczna, gdybym mogła spędzić kilka nocy z Wami w Meadowgate, począwszy od 23 grudnia, kiedy to przyjeżdżam do Charlotte. Przyjechałabym samochodem i byłabym na miejscu około czwartej po południu. Naprawdę, nie chcę Wam sprawiać żadnego kłopotu. Z przyjemnością zajmę się sobą sama, korzystając z tego, że moje lata w służbie zagranicznej tak dobrze mnie do tego przygotowały.*

*Zadzwońię do Was w następnym poniedziałku i mam nadzieję, że uda nam się porozmawiać. Wiem, jak bardzo Mama i Tato cenią sobie Waszą przyjaźń i jestem wdzięczna, że dogładcie wszystkiego pod ich nieobecność. Mile wspominam, Ojczy, nasze spotkanie kilka lat temu i cieszę się, że znowu będziemy mogli się zobaczyć.*

*Z poważaniem Annie Owen*

— Gdzie ich wszystkim przenocujemy? — zapytał.

— Kręci mi się w głowie. Jak myślisz?

Nie miał pojęcia. Nie miał też pojęcia, jaki prezent da swojej żonie na Boże Narodzenie. Był w kropce. Naprawdę.

Wziął listę i przyjrzał się jej.

Cynthia Dooley Lace

Sammy

T.K.

Lon

Harley

Hélène

Willie

Blake

Laura

Louella

Panna Lottie

*David, dopisał. Annie...*

Całe mnóstwo kartek. Wiele przesłanych z Mitford; na jednej kopercie odręczny dopisek: *Jesteśmy Ci dlužni 32 centy. Wesołych Świąt, Jim.*

Pocztówka. Jaki miły widok. Krowa rasy jersey na łące i napis: WISCONSIN.

*Wszystko dobrze z moją duszą i modłę się, żeby z duszą Ojca było tak samo. Mam nadzieję, że spotkamy się w Mitford 24 grudnia, mój nowy teren sprowadza mnie do Karoliny Północnej. Dziękuję Bogu, że poprowadził mnie Ojciec w tej modlitwie w Święto Dziękczynienia w Lord's Chapel. Ojca brat w Chrystusie, Pete*

Wziął notes. *Pete*, dopisał.

Była druga nad ranem. Usłyszał jakieś dziwne szuranie po pokoju.

— Nie śpisz? — upewnił się.

— Nie! — szepnęła.

— Dlaczego?

— To, co zwykle.

— Aha.

— Zastanawiałam się.

— Strach się bać.

— Potrzebujemy pomocy.

— Jakiej pomocy?

— Lily. I Del!

— Na Wigilię?

— Tak, na litość boską, będzie szesnaście osób i Bóg raczy wiedzieć, kto przyjedzie z nami po kościele.

— Gdzie jesteś?

— Siedzę na bujanym fotelu.

— Wracaj do łóżka. Połóż się spać. Wszystko się uda. Obiecuję.

— Potrzebne są nam hektolitry ostryg.

— Willie zgodził się zostać mędrcom.

Ta wiadomość powinna ją trochę pocieszyć.

<Drogi Ojcie Timie

<Minęło już tak wiele czasu, a mnie dopiero teraz przyszło do głowy, kogo przypomina mi królowa. Moją ciocię Clare! Tyle że Królowa nosi kapelusze i pasujące do nich kostiumy, a ciocia Clara nigdy nie miała talentu do dopasowywania czegokolwiek.

<Widok Królowej, jak wsiada do tego samochodu — dokładnie tak jak my, najnormalniej w świecie — to najlepsze, co mi się kiedykolwiek przytrafiło. Jestem taka wdzięczna, że nauczył mnie ojciec, jak należy dygnąć. Tak jak już mówiłam, dygnęłam I tak, jak odjeżdżali, chociaż tego nie widziała. Cieszę się, że tak robiłam, zasługuje na dużo szacunku. Czytałeś wczorajsze gazety? Ciekawa jestem, czy bierze jakieś środki antydepresyjne, żeby znieść wszystkie nieprzyjemności, na które naraża ją jej rodzina? Podobno popija coś dżinem codziennie wieczorem.

<Esther spędza Boże Narodzenie ze swoimi siostrami. Nie pozwoliły jej upiec ciasta na rodzinne spotkanie. Myślę, że była im wdzięczna, chociaż zabiera zapiekankę z mielonym mięsem.

<Jestem w kropce.

<Nie mam pojęcia, co dać Haroldowi. Nie lubi swetrów, bo drapią. Nie proponuj koszuli; nie prasuję. Nie proponuj krawatu; nie nosi, nawet do kościoła. Ksiądz też nie nosi krawatu.

<Miałam kilka pomysłów, ale jestem niezdecydowana. Na miejscu Harolda wolałbyś:

<Ładny płaszcz przeciwdeszczowy

<Ładną książkę o II wojnie światowej

<Ładny pasek do jego szlifierki

<Szczęśliwego adwentu dla Ciebie i Cynthii. Miło, że nadal lubisz swój nowy kościół.

<Pozdrowienia, Emma

Na miejscu Harolda...

Na miejscu Harolda byłby mężem Emmy. Ta perspektywa sprawiła, że wydawało mu się, iż za chwilę stanie mu dęba resztką włosów, którą miał jeszcze na głowie.

Dobry Boże, teraz to on był konsultantem od dawania prezentów — on, który nie jest w stanie wymyślić prezentu dla jednej jedynej, najważniejszej osoby na jego liście.

<Płaszcz przeciwdeszczowy oraz pasek do szlifierki. Życie jest krótkie.

<Twój, o. Tim

Nie ma ładnych książek o wojnie.

Nie mógł dłużej czekać, aż spadnie mu z nieba, już zapakowany. Potrzebował konsultanta.

— Katherine? Mówi Tim.

— Tim! Jak miło słyszeć twój głos! Radosnego adwentu.

— Wzajemnie, dla ciebie i Waltera. Jestem bliski rozpacz...

— Prezent dla Cynthii?

— Tak. Jestem wikarym, obecnie, jak wiesz, kościoła misyjnego i zabrakło mi czasu. Zupełnie nic nie przychodzi mi do głowy.

— Może perły? Wydaje mi się, że perły by do niej pasowały.

— Nie wiem. Może krzyżyk?

Dość niespodziewanie jego mózg zaczął pracować.

— Nigdy nie dałem jej naprawdę ładnego krzyżyka.

— To takie proste. Masz coś do pisania?

— Tak.

— Zapisz, szafiry, będą pasowały do jej przepięknych oczu. Osadzone w platynie. Łańcuszek na czterdzieści pięć centymetrów. Dział z biżuterią w Tiffany's. Podaję numer.

Zapisał numer telefonu.

— Czy to będzie astronomiczna kwota?

— Wstydź się, że zapytałeś! Zaledwie podniebna, ale nie astronomiczna.

Po ich ostatnich urodzinach w czerwcu i lipcu on miał siedemdziesiąt lat, Cynthia sześćdziesiąt cztery. Nie będą żyli wiecznie.

— Załatwione! — odparł, weselej. — Jestem twoim dłużnikiem.

Jego niepijaca alkoholu „kuzynka” roześmiała się.

— Postawisz mi piwo imbirowe w irlandzkim pubie.

Panna Martha dopilnowała prac przy przystrajaniu gałązkami igliwia kościoła tego dnia po południu. Ostry, intensywny aromat sosny i cedru wypełniał nawę; kawałki drewna płonęły jasno w piecu.

— W imię Ojca... — Przeżegnał się. — ...i Syna, i Ducha Świętego. Amen. Napisałem w tym tygodniu kazanie, ale odkryłem coś, gdy się nad nim zastanawiałem. Mówiło więcej, niż potrzebujemy wiedzieć.

Ktoś zachichotał. Mógł sobie trochę pozartować, ale czas był bezcenny; zapowiadano na dzisiaj po południu duże opady śniegu.

— Cóż, Boże, powiedziałem, proszę, daj mi to, co potrzebujemy wiedzieć. I tak zrobił. Jak wielu z was wie, ta ambona została zbudowana i pięknie ręcznie wyrzeźbiona przez jednego z nas — Clarence'a Mertona. Kościół nie był otwarty, gdy on to robił; w istocie, nie było żadnej pewności, że kiedykolwiek zostanie na powrót otwarty. Clarence jednak postanowił zrobić tę ambonę mimo wszystko. Po co miałby to robić? Na chwałę Boga. A potem do kościoła włamał się wandal i wyjął nóż i zaczął wycinać swój własny wzór, dokładnie na tej wspaniałej ambonie.

Z czyichś ust wydobył się okrzyk przerażenia.

— Dla tych, którzy nie widzieli tego napisu, znajduje się on dokładnie tutaj.

Pochylił się w lewo i wskazał na dębowy bok ambony.

— Uważam, że to najgłębsze kazanie, jakie można wygłosić z tej czy innej ambony. Brzmi: „J.C. kocha C.M.” Gdy Agnes i Clarence zobaczyli, co się stało, mogli rozpaczać. Ale czy tak postąpili? Nie, dziękowali. Mogło im się wydawać, że to świętokradztwo. Ale co zrobili? Uznali, że to przesłanie od Boga. J.C., Jezus Chrystus... kocha C.M., Clarence'a Mertona.

Szmer ulgi dał się słyszeć pośród kongregacji.

— Najcudowniejsza rzecz w tym napisie to to, że jest pełen prawdy, nie tylko dla Clarence'a Mertona, ale dla każdego z nas w tę świętą wigilię Jego narodzin.

We wszystkim, co powiedział nam Bóg w Swoim Słowie, jedną prawdę czyni bezspornie widoczną: Bóg nas kocha.

Nie jedynie jako ludzkość bez imienia i twarzy, ale każdego z osobna.

J.C., Jezus Chrystus kocha ciebie, panno Martho. Kocha ciebie, panno Mary. Kocha ciebie, Jubal.

I ciebie, i ciebie, i ciebie — pojedynczo i po imieniu. — „Moje owce słuchają mojego głosu — mówi — a Ja znam je”.

W tę wigilię Jego narodzin, niektórzy z was mogą nadal zadawać odwieczne pytanie: Po co się urodziłem?

W Apokalipsie świętego Jana, czytamy, że On stworzył wszystkie rzeczy — to znaczy, że nas też! — dla Siebie. Po co miałby to robić? Dla własnej przyjemności, mówi Pismo Święte.

Oto i wasza odpowiedź. Zostaliście przez Niego stworzeni... i dla Niego, dla Jego przyjemności.

Proszę bardzo. Pomyślcie o tym.

A po co On się urodził?

Przyszedł, abyśmy mogli mieć życie. Nowe życie, w Nim. Co oznacza ten dar nowego życia w Nim? W najbliższych tygodniach będziemy mówić o tym, co on oznacza i skąd ma moc odnawiania i wzmacniania, i przemieniania nas, i wybawiania nas z ciemności, do światła.

Teraz Clarence chciałby wręczyć prezent każdemu w tym pomieszczeniu. A jest to cudowny prezent.

Skinął w stronę nosiciela krzyża.

— Clarence, możesz wystąpić?

Clarence wystąpił, trzymając dużą, płaską, wypolerowaną deskę.

Uniósł ją, aby wszyscy mogli ją zobaczyć.

— Dąb — wyjaśnił wikary. — Biały dąb, król lasu. To miejsce, na którym wszyscy możemy zrobić własny napis, tak jak ten na ambonie. Ta deska będzie się tu znajdować w każdą niedzielę do Wielkanocy i każdy, kto chce to zrobić, otrzyma pomoc od Clarence'a, jeśli będzie potrzebna. Nie musicie nawet przynosić własnego nożyka, jest tutaj. Gdy już skończymy, powiesimy deskę tam, na ścianie, gdzie po latach będą ją mogli zobaczyć inni i przypomnieć sobie, że Bóg kocha także ich.

Przyglądał się przez chwilę twarzom przed sobą, tym, których Bóg oddał w jego ręce.

*Twórz poeto! U siebie...*

— „Tak bowiem Bóg umiłował świat — powiedział — że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy...



Wielu z członków kongregacji dołączyło do niego, gdy wypowiadał werset z Ewangelii według świętego Jana.

— ...kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne".

— Na tę godzinę — zakończył — to wszystko, co potrzebujemy wiedzieć.

*Cicha noc, święta noc.*

*Pokój niesie ludziom wszem,*

*A u żłóbka Matka Święta*

*Czuwa sama uśmiechnięta*

*Nad Dzieciątka snem,*

*Nad Dzieciątka snem...*

*Cicha noc, święta noc,*

*Narodzony Syn Boży.*

*Pan wielkiego majestatu...*

Podczas gdy kongregacja i chór śpiewali a cappella przyciszonym głosem, on szedł przez kościół, postępując za Violet, Dooleyem, Lloydem, Rooterem i Clarence'em, do narteksu.

Zobaczył zapakowane pudełko stojące na stoliku do gry w karty. Clarence promieniał. „Dla Ojca” — uczynił znak Clarence, podając wikaremu prezent.

*Nad Dzieciątka snem,*

*Nad Dzieciątka snem.*

— *Wesołych Świąt!* — Lloyd uściskał mu mocno dłoń.

— *Wesołych Świąt,* Lloyd, Violet.

— Lily dopilnuje, żeby wszystko było gotowe, gdy wróci ojciec do domu — obiecała Violet. — Nie będzie musiał ojciec nawet kiwnąć palcem. Mam nadzieję, że będziecie zadowoleni. *Wesołych Świąt!*

Agnes ujęła jego dłoń.

— *Joyeux Noël,* ojczy!

Rooter zajął miejsce obok wikarego, czyniąc znak, którego uczyli się podczas spotkania pokoleń. Nie wszyscy pamiętali.

— Na każdym trzech, do których się zwracam, tylko jedna odpowiada — złożył relację.

— Całkiem niezła statystyka — ocenił ojciec Tim.

— Boże, miej litość — przywitał się Jubal — mówią, że spadnie dwadzieścia pięć centymetrów śniegu.

Naciągnął na głowę spłowiałą wełnianą czapkę.

— Kto zawiezie cię do domu?

— Donny mnie zawiezie. Świecę tą lampę, co mi ojciec dał.

— Widziałem ją u ciebie w oknie, gdy przejeżdżałem. Jak się ma mała Panna Agnes?

Starszy mężczyzna uśmiechnął się.

— Jest nieznośna. Wikary roześmiał się.

— Jest szczęściarą — zawyrokował, obejmując ramieniem Jubala.

— Czy to płatek śniegu? — zapytała Lace. — Tak! To płatek śniegu!

— Czas na nas — stwierdził ojciec Tim.

Śnieg padał gęsto i szybko, gdy skręcali na podjazd do Meadowgate. Wianuszki na filarach miały piękne czapy ze śniegu, a wycieraczki odgarnęły już dość dużą ilość białego puchu na jedną i drugą stronę szyby.

Wszyscy będą tu dzisiaj wieczorem z wyjątkiem panny Lottie — wybrała ciepło własnego kominka.

Ujrzał szacowne pick-upy Lona Burtiego i Harleya i van z Domu Nadziei, z łańcuchami na oponach. Była tam też półciężarówka Dooleya, która wyruszyła przed nimi z Holy Trinity, i BMW Lace, i SUV, należący zapewne do Pete'a Jamisona...

Każde okno domu jaśniało światłem.

Gdy parkował półciężarówkę, ujrzał światła samochodu jadącego za nim podjazdem. To będzie van Blake'a.

— Grand Central Station — powiedział, całując żonę.

Zostawił włączony silnik, przyglądając się prezentowi, który trzymała na kolanach.

— Przyszynaję, że nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, co podarował mi Clarence.

— A co jest złego w tym, żeby to zrobić w tej chwili?

— Cynthia, Cynthia!

Gdy pojawiała się kwestia, kiedy należy i kiedy nie należy otwierać bożonarodzeniowego prezentu, jego żona nie podzielała jego bardziej konserwatywnych poglądów.

— OK, Kavanagh. Otwieraj.

Odwiązała czerwoną wstążkę, rozdarła ozdobny papier i rzuciła je na podłogę.

— Ty podnosisz wieczko — poleciła.

Zajrzał do pudełka w świetle zewnętrznej lampy; wycieraczki nadal zrzucały śnieg z szyby.

Niedźwiedzie. Czarne. Trzy, cztery, razem pięć. Dwa duże, jak te, które widział w pracowni Clarence'a, i trzy małe.

— Ach — zachwyciła się.

Wziął jednego z dużych niedźwiedzi i obrócił go w dłoniach, poruszony. Przeczytała bilecik.

— „Dziękujemy, że uczynił nas ojciec na powrót rodziną. Wesołych Świąt, Mertonowie”.

Nie był w stanie się odezwać.

— Wiesz, Timothy, masz dar do czynienia właśnie tego — sprawiania, żeby ludzie na powrót stali się rodziną.

Wzięła niedźwiedzia, umieściła go w pudełku i przykryła wieczkiem.

Potem się uśmiechnęła.

— Chodźmy tam, gdzie jest ciepło.

Zdjął zapakowany kij z górnej półki w ich garderobie i położył go na biurku z innymi prezentami, które wymienia. Rozpostarł następnie afgan na wszystkich skarbach, niczym plandekę.

— Hej, tato.

— Hej, synu.

Dooley wszedł do pokoju, nakładając płaszcz Józefa.

— Robię to tylko dla ciebie i Cynthii.

— Rozumiem. I jesteśmy wdzięczni.

— Na dole są całe chmary ludzi. Jesteś... zdenerwowany?

— Ani trochę.

— Pewnie. Zapomniałem, że ty przez cały czas stoisz przed ludźmi i robisz z siebie błazna.

Dooley zdał sobie sprawę, jak zabrzmiały jego słowa, obydwaj wybuchli śmiechem.

— Kenny...

— Tak?

— No wiesz. Chciałbym, żeby tu z nami był.

Kenny to brat, który był Dooleyowi najbliższy z całego rodzeństwa.

— Wierzę, że pewnego dnia będzie z nami. Oczekuję tego. Oczekujesz tego, jak mówiliśmy rok temu na Boże Narodzenie?

— Tak, proszę taty. Czasami. To się zmienia.

— Rozumiem.

— Wymyślili w końcu, co zrobić z dzieciątkiem. To bochenek chleba, zawinięty w bluzkę Lace. Tak jak stoi żłóbek, trudno powiedzieć, czy jest prawdziwe, czy nie.

— Świetny pomysł.

Nie wiedział, dlaczego ten konkretny pasterz musi nosić nakrycie głowy; pasterze byli biedni, nosili włosy luzem.

— David to wariat. Ojciec Tim roześmiał się.

— Bardzo przyjemny wariat, wydaje mi się.

— Tak, podoba mi się. I Annie. Jest taka mądra.

— Dziękuję, że będziesz spał z bratem. I to bardzo miło ze strony Lace, że będzie spała z Annie. Wygląda na to, że David wyląduje na sofie w bibliotece.

— Mam nadzieję, że lubi psy — stwierdził Dooley. Psy na farmie szczególnie upodobały sobie sofę w bibliotece.

— Twoje, hm, przybranie głowy wysuwa się z tego pierścienia.

— Czuję, że się rozpada... czy możesz mi pomóc?

— Hej, kolego.

Do pokoju wszedł Sammy w swoim stroju mędrca.

— To najgłupsza rzecz, jaką k-kiedykolwiek z-zrobiłem.

Ojciec Tim uśmiechnął się.

— Nie wyglądasz, jakbyś spędził ostatnie dwa lata na wielbłądzie.

— Lace go namówiła — poinformował Dooley. Ojciec Tim przepasał się i zawiązał pas ze sznura.

— Lace jest w stanie namówić ludzi do prawie wszystkiego.

Wysunął szufladę biurka i wyjął z niej gipsową figurę zawiniętego dzieciątka.

— Sammy, tuż zanim włączysz choinkę, możesz położyć małego Chrystusa w żłóbku?

Sammy odsunął się.

— Cz-czy nie powinien tego z-zrobić D-dooley?

— Byłoby nam miło, gdybyś ty to zrobił. Obchodź się z nią tylko ostrożnie i odwiń, zanim postawisz ją na parapecie.

Sammy wziął zawiniątko.

— M-mogę schować ją za ch-choinką, zanim będzie czas, żeby to z-zrobić.

— Dobrze myślisz.

Dooley szybko sprawdził swoje odbicie w lustrze na drzwiach.

— Kuchnia wygląda wspaniale. Cynthia rozsypała po całej podłodze słomę. Świece palą się wszędzie i latarnie ze stodoły, na ścianach tańczą takie ogromne cienie; będzie się im wydawało, że naprawdę są w stodo-  
le.

— Pamiętajcie — nasza pani reżyser chce, żebyśmy przeżyli to, co będziemy robić, żebyśmy byli autentyczni. Spróbujmy sprawić jej przyjemność, chłopcy.

— Mam nadzieję, że zostanie jeszcze trochę c-ciasta, gdy skończymy już odprawianie tej głupoty.

— Uspokój się, Sammy.

Dooley ściągnął mocniej sznur w pasie.

— Nie nazywaj tego głupotom, bo to najprawdziwsza prawda.

— Jesteś mi winien p-pięćdziesiąt c-centów — zawołał Sammy. — Powiedziałeś „głupotom”.

Chłopcy ruszyli przed ojcem Timem i czekali w holu z Lace i Williem oraz właścicielem gospody, gdy on schodził na dół.

Usłyszał śmiech w kuchni i muzykę w salonie i poczuł przyływ adrenaliny.

Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie powie Louelli, że tak jak uzgodnili, część pieniędzy panny Sadie zostanie przekazana, aby pomóc Dovey przetrwać trudne chwile, a z pięciu tysięcy zostanie utworzony specjalny fundusz na stypendia w Holy Trinity. Pewnego dnia może Rooter i Sissie...

Czyżby usłyszał pukanie do drzwi?

Dało się słyszeć ponownie, dwa razy.

Zawsze jest miejsce dla jeszcze jednej osoby, pomyślał.

Otworzył wejściowe drzwi i zobaczył młodego mężczyznę w oblepionych śniegiem butach i kurtce z kapturem. Kaptur opadł do tyłu, ukazując śnieg we włosach i pieprzyk na lewym policzku.

— Ojciec Tim?

Wciągnął powietrze i poczuł kłujące w gardle zimno.

— Wejdz — powiedział łamiącym się ze wzruszenia głosem. — Wejdz... gdzie jest ciepło.

Ręka drżała mu, gdy ją wyciągał, aby uścisnąć podaną mu dłoń. Poczuł, jakby przeszył go prąd, gdy ich dłonie spotkały się w dotyku.

— Czekaliśmy na ciebie — powiedział.

# Posłowie

Ojciec Tim leżał na plecach w odległym kącie zagrody dla owiec, spoglądając na błyszczącą cumulowaną chmurę, która pęczniała nad nim w głębinie nieba.

Osa brzęczała w koniczynie; drzemał, ale nie spał. Za skałką trzy owce leżały, żując.

Nigdy w swoim życiu nie odczuwał takiego spokoju, nigdy też nie czuł się tak bardzo częścią wszystkiego, co było, jest i będzie, jakby nie było żadnej granicy pomiędzy jego rozgrzanym słońcem ciałem i rozgrzaną ziemią pod nim.

Od dzieciństwa starał się unikać leżenia w trawie, wiedząc aż nazbyt dobrze, że żyją w niej pająki, żuki i robaki. W zamian ściągał na siebie niewygodę siedzenia w fotelach z oparciem — i proszę, ile przez te wszystkie lata tracił!

Zamknął oczy i położył dłoń na psie, który drzemał obok niego.

„Psy są naszymi łącznikami z niebem” — powiedział Milan Kundera. Ojciec Tim zapisał to w swoim notesie z cytatami „Siedzieć z psem na wzgórzu w piękne popołudnie to tak, jakby wrócić do raj, gdzie nierobienie niczego nie było nudne, było spokojem”.

Przyjechali do Meadowgate, żeby zabrać duże pudło książek, które tu zostało po ich przeprowadzce 10 stycznia. Zaiste, było to nieomal ostatnie zadanie z ich listy rzeczy do zrobienia, przed ich eskapadą do Irlandii pod koniec czerwca.

Mimo że musiał śpieszyć się do domu, by pomóc Williemu przy przenoszeniu wszystkich ładunków, nie odczuwał konieczności pośpiechu, potrzeby gonitwy i nic z ciągłej troski i obaw, które towarzyszyły mu przez wszystkie dni jego życia.

*Leć...*

Wydawało mu się, że słyszy w swojej wyobraźni odległy głos z odległej przeszłości.

*Leć do nowego życia...*

Głos był dziwnie znajomy, a on słuchał głęboko w swojej duszy, co jeszcze miał mu do powiedzenia.

*Leć, powtórzył głos...*

*...i bądź jak motyl.*

To jednak inny głos sprawił, że usiadł i zaczął nasłuchiwać.

— Timothy-y-y!

To jego żona nawoływała swojego zagubionego robotnika, on jednak nie chciał przerywać tej słodkiej tajemnicy.

Rozległ się krzyk jastrzębia; i drugi w odpowiedzi. Przysłonił oczy dłonią i spojrzał w górę, jak ptaki krążą i nurkują absolutnie wolne.

Wstał, otrzepał się i spojrzał na wgłębienie, jakie pozostawiło jego śmiertelne ciało na tym kawałku ziemi. Cudownie było leżeć w tym miejscu, na trawie, którą wygniótł, mimo że musiał przyznać, iż jego serce uradowało się, słysząc głos Cynthii, wiedząc, że gdzieś ktoś go potrzebuje.

— Nie ma spoczynku dla potępionych — rzucił, cytując wujaszka Billy'ego — a prawi go nie potrzebuja.

Ruszył w stronę domu, a za nim ścieżką, którą zrobił w wysokiej zielonej trawie tego lata, wędrował Barnaba.

TLR